



Stawką w tej grze
jest władza
w komunistycznej Polsce

WYKŁĘTY '48

Dominik Kozar

Dominik Kozar

WYKŁĘTY '48



Warszawskie Wydawnictwo Literackie

Mojej żonie Oldze

Ta książka jest fikcją literacką i wytworem wyobraźni autora. Wszelkie podobieństwo do realnych osób i zdarzeń jest niezamierzone i całkowicie przypadkowe.

*Kogo nasza miłość obchodzi,
Komu nasza miłość zaszkodzi,
Komu oczy łzami wypije,
Kogo nasza miłość zabije?*

M. Hemar

Spis treści

Prolog

1. | 2. | 3. | 4. | 5. | 6. | 7. | 8. | 9. | 10. | 11. | 12.
| 13. | 14. | 15. | 16. | 17. | 18. | 19. | 20. | 21. |
22. | 23. | 24. | 25. | 26. | 27. | 28. | 29. | 30. | 31. |
32. | 33. | 34. | 35. | 36. | 37. | 38. | 39. | 40. | 41.
| 42. | 43. | 44. | 45. | 46. | 47. | 48. | 49. | 50. | 51.
| 52. | 53. | 54. | 55. | 56. | 57. | 58. | 59. | 60. |
61. | 62. | 63. | 64. | 65. | 66. | 67. | 68. | 69. | 70. |
71. | 72. | 73.

Epilog

Prolog

WARSZAWA, LIPIEC 1939 ROKU

Komisarz wszedł do bramy kamienicy, odwrócił się i spojrzał na policjanta, który chwilę wcześniej powiedział mu, dokąd dokładnie ma iść. W sumie ta informacja była zbędna. Już jadąc tutaj, domyślił się wszystkiego, a mieszkanie, w którym dokonano zabójstwa, odwiedzał niejednokrotnie.

– Byłeś w środku? – spytał mundurowego.

Mężczyzna w milczeniu pokiwał głową. Śledczy, patrząc na jego bladą twarz, pomyślał, że niepotrzebnie o to pyta. Policjant z pewnością rzadko miał do czynienia ze zbrodniami. Kradzieże, włamania, pijani wandalie to był jego chleb powszedni. Zabójstwa granatowi zostawiali komu innemu. Wypranym z emocji i wszelkiej wrażliwości tropicielom, takim jak on. Ale to były tylko pozory. W istocie był wrażliwy i niepozbawiony ludzkich uczuć.

– Jak to wygląda? – Zanim zdążyło przebrzmieć to zdanie, już zganił się w myślach. Kolejne idiotyczne pytanie! Podświadomie jednak odwlekał moment, kiedy przyjdzie mu stanąć twarzą w twarz z ofiarą. Chciał jak najdłużej tu zostać, na tej brudnej klatce schodowej. Wiedział, że to, co zastanie w mieszkaniu na trzecim piętrze, jeszcze długo będzie prześladować go w snach.

– Źle, panie komisarzu – odparł funkcjonariusz. Śledczy stał na tyle blisko swego rozmówcy, że doleciał go nieświeży zapach wydobywający się z ust młodzieńca wraz z każdym wypowiedzianym słowem. Niedoświadczony posterunkowy miał okazję oglądać przed godziną swego pierwszego w karierze trupa. Zareagował na jego widok podobnie jak wszyscy nowicjusze. Komisarz miał nadzieję, że chłopak zdążył zjeść

dzisiaj śniadanie, bo z własnego doświadczenia wiedział, że nie ma nic gorszego niż torsje przy pustym żołądku. – Nigdy w życiu czegoś takiego nie widziałem... I mam nadzieję, że nigdy już nie zobaczę.

Doświadczony gliniarz pokiwał w milczeniu głową. Odwrócił się od funkcjonariusza i wolno zaczął wchodzić na schody. Gdy był na czwartym stopniu, jego uszu dobiegł jeszcze głos mundurowego:

– Szkoda tej dziewczyny, panie komisarzu, była naprawdę ładna!

Komisarz zatrzymał się na chwilę. Nabrał w płuca powietrza i wolno je wypuścił. To go w pewien sposób uspokajało.

– Wiem o tym, posterunkowy. – Westchnął i ponownie zaczął wspinać się na trzecie piętro.

Nie wchodził tymi schodami od roku, w którym cała Polska żegnała marszałka, a mimo upływu kilku lat czuł się, jakby ostatnio był tutaj zaledwie wczoraj. Dłonią ścisnął wyslizganą drewnianą poręcz i ciężko mijał drugie piętro, wiedząc, że już za kilkanaście sekund będzie musiał stanąć po raz ostatni oko w oko z kobietą, którą znał tak dobrze, jak może ją znać bliski jej mężczyzna.

Przy drzwiach na trzecim piętrze stał kolejny mundurowy, pilnując, żeby nikt niepowołany nie próbował dostać się do środka. Komisarz pokazał mu swoją legitymację i bez przeszkód został wpuszczony do mieszkania. Wewnątrz znajdowało się już kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach. Trzech techników zabezpieczało ślady, jakie mógł w pomieszczeniu zostawić morderca. Lekarz sądowy stał w oknie małej kuchni i beznamytnie palił papierosa. Jego rola na razie się skończyła. Policyjny fotograf robił ostatnie zdjęcia denatki i jej otoczenia. A przyglądał się im wszystkim niski, krępy facet co chwilę sięgający ręką do kieszeni marynarki, z której coś wyjmował, wkładał do ust i przeżuwał, następnie powtarzał się cały cykl.

– Cześć, Wiewiór! – krzyknął do niego komisarz, wchodząc do pokoju.

Mężczyzna odwrócił się w stronę przybysza. Na jego twarzy pojawiło się coś na kształt uśmiechu. Wytarł prawą dłoń o kłapy nieco już brudnej marynarki i wyciągnął ją na powitanie.

– Psiakrew! – zaklął komisarz, ścisnąc zatłuszczoną łapę swojego współpracownika. – Nawet w takich okolicznościach nie możesz powstrzymać się od jedzenia tych cholernych orzeszków?

Wiewiór uśmiechnął się szeroko.

– Myślę, że i ten kurdupel, kanclerz Trzeciej, tfu, Rzeszy, nie zdołałby mi zabronić jedzenia mojego przysmaku!

– Wzrostem to akurat mu dorównujesz – odparł cierpko. Wiedział, że Wiewiór się nie obrazi, gdyż obaj często sobie dogryzali jedynie z czystej sympatii. W ten sposób okazywali sobie przyjaźń. Inaczej nie potrafili. – Wagą jednak już dawno go przerosłeś.

Wiewiór udał obrażonego. Po chwili jednak sięgnął po garść orzeszków i wkładając je do ust, powiedział niewyraźnie:

– Przerosłem go jeszcze pod jednym względem.

Komisarz znacząco uniósł brew ciekaw, czym zaskoczy go partner.

– Urodę pomijam, bo to każdy widzi – zaczął przechwalać się Wiewiór – ale musisz przyznać, że intelektem też biję go na głowę!

Śledczy się uśmiechnął. Odkąd pamiętał, żarty zawsze towarzyszyły im przy okazji nawet najbrutalniejszych zabójstw, z którymi się stykali podczas pracy. Dzięki nim udało im się do tej pory utrzymać w zawodzie bez jakichś większych zaburzeń psychicznych. Te mniejsze zaburzenia zawsze mogli spłukać alkoholem, wypierając je z pamięci. Przychodziły jednak noce, w czasie których byli całkowicie bezbronni. Twarze zamordowanych pojawiały się w ich snach i nie opuszczały dopóty, dopóki się nie przebudzili z lepkiego koszmaru, by potem, w czasie służby, karmić podświadomość tym, co miało powrócić echem w czasie kolejnych nocy. Dlatego żarty na miejscu zbrodni były nieodzowne. Pozwalały zająć czymś podświadomość na tyle, by nie przenikało do niej nic, co rejestruje wzrok śledczych.

– Jest w pokoju? – spytał już zupełnie poważnym tonem komisarz.

Wiewiór pokiwał głową.

– Nie wygląda to dobrze.

– Domyślam się. Poczekasz tu, dopóki cię nie zawołam? Chciałbym przez chwilę побыć z nią sam.

– Jasne! – Wiewiór ponownie włożył rękę do kieszeni marynarki.

Komisarz odwrócił się i wszedł do sypialni.

Wielkie łoże, w którym spędził niejedną przepojoną rozkoszą godzinę, stało na wprost drzwi. Nijak nie dało się go ominąć wzrokiem. Mężczyzna zatrzymał się w progu. Na razie nie interesowały go szczegóły. Chciał swoim spojrzeniem ogarnąć całość. W białej pościeli, teraz przesiąkniętej

krwią, leżała Marta. Nie potrafił jeszcze myśleć o niej w kategoriach denatki. Wiedział z doświadczenia, że to przyjdzie z czasem. Na razie jednak przyglądał się Marcie, nie denatce. Leżała na plecach. Ręce miała rozrzucone na boki, uda rozchylone. Piersi były całe we krwi. Domyślał się dlaczego. Podobnie to wszystko wyglądało przy dwóch poprzednich kobietach. Podeszedł bliżej. Stał nad łóżkiem. Na twarzy dziewczyny zastygł grymas bólu. Komisarz ujął w dłonie przegub jej prawej ręki. Nachylił się i zaczął uważnie go oglądać. Po chwili znalazł to, czego szukał. Mały czerwony punkcik, ślad po zastrzyku, pewnie z morfiny, tak jak w poprzednich wypadkach. Narkotyk miał za zadanie otumanić kobietę i znieczulić. Trudno było bowiem wytrzymać bez krzyku, gdy zwyrodniały zabójca obcinał brodawki piersiowe. Tuż przy dłoniach widniał kolejny ślad, odcisnięty sznur lub kabel, którym morderca skrępował ofiarę.

Westchnął ciężko i delikatnie, jakby to miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie, położył dłoń Marty na poduszce. Wiedział, że to jeszcze nie wszystko. Teraz czekało go najgorsze. Zdjął marynarkę, podeszedł do stojącego przy stole krzesła i powiesił ją na jego oparciu. Rozpiął guziki przy mankietach koszuli, podwinął rękawy. Ponownie podeszedł do łóżka. Nachylił się nad kobietą i z trudem przewrócił ją na bok, ponieważ prześcieradło w miejscu zetknięcia się z plecami zamordowanej całe przesiąkło krwią. Teraz ta krew zdążyła już na tyle zakrzepnąć, że niemalże musiał odklejać ciało Marty od prześcieradła.

Kilka chwil później, wycierając chusteczką spocone czoło, stał nad łóżkiem, przyglądając się ułożonym na brzuchu zwłokom. Plecy Marty były umazane krwią. Wiedział, co się kryje pod tą czerwienią. Powinien jednak ujrzeć to na własne oczy. Raz jeszcze musiał przejść przez tortury psychiczne, jakie przygotował dla niego psychopatyczny zabójca.

– Wiewiór! – krzyknął w stronę korytarza. – Miednica z wodą!

– Już się robi!

Komisarz podeszedł do krzesła, na którym wcześniej powiesił marynarkę. Ostrożnie, by nie ubrudzić jej krwią, wyciągnął z bocznej kieszeni pudełko papierosów. Zapalił i wydmuchując dym, próbował odgonić od siebie myśli o wszystkich chwilach spędzonych wspólnie z Martą w tym mieszkaniu.

Gasił właśnie papierosa, kiedy w drzwiach ukazał się Wiewiór niosący poobijaną emaliowaną miskę wypełnioną wodą. Postawił ją przy łóżku. Spojrzał na siedzącego przy stole przyjaciele.

– Pomóc ci?

– Nie, sam muszę przez to przebrnąć. Jestem jej to winien.

Wiewiór zajął miejsce kolegi, który z miski wyłowił szmatę, wycisnął ją i powoli zaczął zmywać zaschniętą krew z pleców zamordowanej. Po dziesięciu minutach, podczas których dwaj mężczyźni nie zamienili ze sobą ani słowa, plecy denatki zostały w miarę oczyszczone. Komisarz wrzucił ścierkę do miski, w której woda miała teraz kolor różowy. Spojrzał na plecy Marty. Na ich środku morderca wyciął jakimś ostrym narzędziem serce, a w nim literę „W”.

– Znowu ten sam scenariusz – stwierdził Wiewiór, który stanął obok komisarza i pełnym bezradnej złości wzrokiem przypatrywał się plecom ofiary.

– Kto ją znalazł?

– Rano otrzymaliśmy anonimowy telefon, że w mieszkaniu na Wolskiej czeka na nas niespodzianka.

Mężczyzna w zamyśleniu pokiwał głową, przetrawiając wszystkie informacje z tego i poprzednich morderstw. Szukał jakiegoś punktu zaczepienia. Marta była trzecią ofiarą psychopaty, którego bezskutecznie próbowali schwytać. We wrześniu miną dwa lata, od czasu gdy zabił pierwszą z kobiet. Chociaż od tamtej pory wiedzieli już, w jaki sposób morderca dobiera swoje ofiary, nie zdołali ustrzec ich przed śmiercią.

– Rozmawiałeś z sąsiadami?

Wiewiór przytaknął.

– Nikt nic nie słyszał i nie widział żadnych podejrzanych osób kręcących się po kamienicy.

– Zgwałcił ją?

– Wszystko na to wskazuje. Lekarz zauważył otarcia na wewnętrznej stronie ud i w częściach intymnych. Musiała się bronić, bo za paznokciami odnalazł fragmenty naskórka napastnika.

Komisarz przełknął ślinę. Czuł wzbierającą wściekłość. Wiedział, że gdyby morderca wpadł mu w ręce, to pewnie sam wymierzyłby bydłakowi sprawiedliwość.

– Dowiedziałeś się, gdzie teraz przebywa jej córka?

– Sąsiadka z naprzeciwka twierdzi, że na początku lipca małą zabrała do siebie jej babcia. To gdzieś na wsi pod Warszawą, miała wrócić dopiero

pod koniec wakacji.

Komisarz pokiwał głową. Wiedział, gdzie jest ta wieś. Córka Marty jeździła tam co roku w okresie wakacji. Był tam kiedyś odebrać małą od babci. Spędzili wówczas z Martą jeden z najwspanialszych weekendów.

– Powiadomiliście już rodzinę? – spytał.

– Jeszcze nie. Myśleliśmy, że ty zechcesz to zrobić.

Komisarz uśmiechnął się smutno. Odwrócił wzrok od krwawego serca na plecach zamordowanej kobiety i patrząc na Wiewióra, rzekł:

– Matka Marty to bardzo miła i ciepła osoba. Miałem okazję ją kiedyś poznać i naprawdę się polubiliśmy. Mieszka sama na wsi. Oprócz swojej córki i wnuczki nie ma na tym świecie już nikogo.

Zamilkł. Patrzył tępo na Wiewióra. W końcu pokręcił głową i z rezygnacją w głosie powiedział:

– Nie, Zygmunt, nie jestem w stanie powiedzieć tej kobiecie, że jakiś psychopata zabił jej ukochaną córkę tylko dlatego, że kiedyś miała ze mną romans!

1.

Marek kochał swego ojca, dziś jednak nie mógł zrozumieć jego zachowania. To, co robił, nie pasowało do jego charakteru. W jednej chwili stał się innym człowiekiem niż ten, którego znała cała rodzina. Dumny piłsudczyk, żołnierz niepodległościowego podziemia w czasie wojny, człowiek niejednokrotnie zagładający śmierci w oczy, dziś był potulny, małomówny i przede wszystkim, czego nijak nie można było pojąć, posłuszny nowej władzy. Chłopak stał w kącie chałupy i obserwował to, co działo się przy stojącym na środku stole. Oprócz ojca siedziało przy nim jeszcze trzech mężczyzn. Jeden w długim skórzanym płaszczu, przypominającym te, w których podczas wojny chodzili gestapowcy, oraz dwóch funkcjonariuszy milicji obywatelskiej. Milicjanci byli mniej więcej w wieku Marka. Ich gładkie twarze z miękkim jeszcze zarostem wskazywały, że nie mogli mieć więcej niż po dwadzieścia lat. Prężyli się jednak dumnie przy stole i robili groźne miny. W końcu mundury, które mieli na sobie, do czegoś zobowiązywały.

W chałupie, mimo przedpołudniowej pory, panował półmrok, dlatego Marek nie mógł zbyt dokładnie przyjrzeć się twarzom milicjantów. Jeden z nich przypominał mu jednak chłopaka z sąsiedniej wioski. Było to możliwe, ponieważ wielu młokosów ze wsi zasiliło ostatnio szeregi niedawno powstałej Milicji Obywatelskiej. Złudzeni obietnicami władzy ludowej, mówiącej o większych zarobkach i otrzymaniu mieszkania w mieście, masowo opuszczali wieś, odcinając się od swoich korzeni. Marek uważał ich za zdrajców. Zdradzali nie tylko swoją rodzinę, ale przede wszystkim ojczyznę, służąc nowemu okupantowi.

Mężczyzna w czarnej skórce, gdy siadał przy stole, zdjął z głowy kapelusz i ostrożnie położył go na starej, wytartej ceracie. Ręką strzepnął

z niego jakiś niewidoczny pyłek, z kieszeni płaszcza wyciągnął pudełko papierosów. Wyłuskał jednego i podał siedzącemu naprzeciw ojcu Marka. Ten jednak pokręcił głową. Tajniak uśmiechnął się i zapalił, wydmuchując dym w kierunku gospodarza.

– Gdzie wasz starszy syn? – spytał ochryple.

Ojciec odetchnął głęboko i siłąc się na spokój, odpowiedział:

– Nie wrócił jeszcze z wojny.

Tajniak uderzył pięścią w stół, po czym zaśmiał się głośno. Milicjanci również się roześmiali, choć nie do końca wiedzieli, co go tak rozbawiło.

– Próbujecie mi wmówić, że wojna się jeszcze nie skończyła?! – ryknął tajniak, a z jego twarzy zniknęły resztki uśmiechu.

– Nic nie próbuję wam wmówić...

– Nic nie próbuję wam wmówić, towarzyszu! – przerwał ojcu tajniak.

– Tak, towarzyszu – poprawił się ojciec, a stojący w kącie Marek bezsilnie zacisnął pięści, obserwując upokorzenie ojca. – Chciałem tylko powiedzieć, że od zakończenia wojny nie widziałem starszego syna.

Mężczyzna w skórzanym płaszczu milczał, uważnie przypatrując się swojemu rozmówcy. W końcu upuścił niedopałek papierosa na podłogę i rozgniół go obcasem.

– Kłamiecie, obywatelu Brodzki – powiedział powoli. – Kłamiecie, ale pamiętajcie, że władzy ludowej nie da się oszukać! Daję wam dwa dni na odnalezienie syna; jak wam się nie uda, to spotkamy się w mniej sympatycznych okolicznościach!

Tajniak podniósł się z krzesła. Milicjanci uczynili to samo. Wszyscy trzej odwrócili się w stronę drzwi. Wzrok mężczyzny zatrzymał się przez chwilę na Marku. Chłopak dzielnie wytrzymał spojrzenie tajniaka, który uśmiechnął się ironicznie.

– Zdziorny po ojcu – wymamrotał. – W aktach czytałem, że macie jeszcze osiemnastoletnią córkę. Gdzie ona jest?

Gospodarz znieruchomiał.

– Pojechała z matką do miasta – odparł, starając się, by jego głos brzmiał naturalnie i nie ujawniał jakichkolwiek emocji.

– Pilnujcie jej, gospodarzu. – Ubek odwrócił się z uśmiechem. – Niech wieczorami chałupy nie opuszcza, bo takim ślicznotkom różne rzeczy

mogą się przytrafić, a czasy teraz niebezpieczne.

Marek bezgłośnie przełknął ślinę. Patrzył na ojca, czekając, jak zareaguje na tę zawołaną groźbę. Ojciec tylko skinął powoli głową i rzekł:

– Będę jej pilnował, towarzyszu.

– No, to widzimy się za dwa dni! – zawołał zadowolony mężczyzna. – Żegnam!

Wszyscy trzej opuścili chałupę. Wychodząc, mijali stojącego w kącie Marka, który wreszcie dokładnie przyjrzał się ich twarzom. Nie mylił się. Jednym z milicjantów był chłopak z sąsiedniej wsi. Marek pamiętał go z czasów dzieciństwa, kiedy razem łowili ryby w płynącej nieopodal rzece. Teraz tamten udawał, że go nie poznaje. Przez jakiś czas patrzył jeszcze, jak pewni siebie powoli idą przez ich podwórze do zaparkowanego za płotem samochodu.

– Marek!

Chłopak spojrzał na wciąż siedzącego przy stole ojca.

– Tak, tato?

– Usiądź koło mnie.

Marek przeszedł przez izbę i zajął miejsce, na którym kilka chwil wcześniej siedział tajniak. Ojciec i syn przyglądali się sobie przez jakiś czas. Chłopak dopiero teraz zauważył, że ojciec w ostatnich dniach bardzo się postarzał. Przybyło mu siwych włosów, a zmarszczki wokół oczu wyraźnie się pogłębiły.

– Obiecaj mi, że nie będziesz się w nic mieszał.

– Nie rozumiem.

– Obiecaj, że zostaniesz na gospodarce i nie pójdziesz do lasu. Wystarczy, że straciłem w ten sposób już jednego syna!

Marek odwrócił wzrok. Nie mógł patrzeć, jak do oczu ojca napływają łzy.

– Wojna się już skończyła – kontynuował starszy mężczyzna – i czy tego chcemy, czy nie, musimy się z tym pogodzić i słuchać nowej władzy.

– Ale tato!... – zaczął chłopak.

– Nic nie mów! – przerwał mu ojciec i podniósł się z krzesła.

Podszedł do ściany, na której wisiał drewniany krzyż. Zdjął go

i wracając do stołu, powiedział:

– Przysięgnij mi na mękę Pana naszego, że nie pójdiesz do lasu!

Marek wstał.

– Dlaczego? Tato, dlaczego?!

Mężczyzna wyciągnął krucyfiks w stronę chłopaka.

– Dość już naszych nagięło. Ktoś musi ocaleć, przechować pamięć o tym, czegośmy doświadczyli. Oni tylko czekają na to, żebyście wszyscy chwycili za broń, wtedy mogliby was nazwać bandytami, a potem bezkarnie zabić! Przysięgnij, że ty nie będziesz z nimi walczył. Ożeń się, spłodź dzieci i... żyj!

Marek się przeżegnał. Nachylił nad drewnianym krzyżem, ucałował go i patrząc ojcu w oczy, wyszeptał:

– Przysięgam!

Mężczyzna odetchnął z ulgą. Położył krucyfiks na stole i uściskał syna. W tym momencie z jego oczu popłynęły łzy, które dotąd wstrzymywał.

2.

Pan Franciszek Bralewski podniósł się ciężko ze swojego fotela, w którym zwykł ostatnio spędzać bardzo dużo czasu. Raz jeszcze spojrzął na sad i rosnące w nim drzewka owocowe roztaczające przyjemną woń. Westchnął cicho i wolnym krokiem skazańca wszedł do dworku, w którym od kilku dni panowała głucha, nabrzmiała smutkiem cisza. Potrącając stojące w przedpokoju walizki, przeszedł do salonu. Siedziały w nim jego dwie córki i żona – Jadwiga. Hania i Natalka na widok ojca wstały i dygnęły delikatnie. Pan Franciszek przystanął. Najpierw uśmiechnął się, jakby przypomniały mu się dawne, szczęśliwe dni, potem jednak uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy, a oczy się zaszkliły. Powróciła świadomość ponurej rzeczywistości, przed którą nie było ucieczki.

Bralewski ominął córki i żonę. Podszedł do stojącego pod ścianą masywnego dębowego barku. Wyciągnął butelkę dereniówki i napełnił kryształowy kieliszek. Wypił. Wraz ze słodkawym smakiem nalewki wróciły wspomnienia z polowań, jakie odbywali w pobliskich lasach. Zamknął oczy. Chciał obraz tych polowań jak najdłużej zatrzymać pod powiekami. Wiedział, że wszystko to wraz z zakończeniem wojny stracił bezpowrotnie. Usłyszał, jak któraś z kobiet odsuwa krzesło, wstaje i idzie w jego kierunku. Chwilę później na swoim policzku poczuł ciepły dotyk dłoni. Wspomnienie polowań ustąpiło teraz miejsca wspomnieniom z odległych czasów dzieciństwa, kiedy to w chwilach smutku głaskała go matczyna dłoń, a cichy, spokojny głos zapewniał, że wszystko będzie dobrze. Teraz jednak warunki się zmieniły. Matka już dawno nie żyła, a sytuacja, w jakiej znaleźli się on i jego rodzina, była beznadziejna.

– Może nie powinieneś już więcej pić? – Usłyszał głos żony.

Otworzył oczy. Jadwiga stała tuż przy nim. Niemalże dotykali się czołami. Czuł na sobie jej oddech. Z bliska i bez makijażu wyglądała staro.

Zdawał sobie sprawę, że sam przez ostatnie sześć lat również bardzo się postarzał. Wojna odcisnęła piętno na nich wszystkich. Jeszcze przed wyzwoleniem modlili się, by przeżyć hitlerowską okupację, bo wierzyli, że później wszystko się jakoś ułoży. To dawało im siłę do walki z każdym nowym dniem. Teraz jednak, kiedy wojna się skończyła, spadł na nich kolejny cios. Stalin zainstalował w Polsce nowy rząd, którego członkowie byli bezwzględnie posłuszni dyrektywom z Moskwy, a te były jednoznaczne. Po pierwsze, rozprawić się z członkami zbrojnego podziemia antyhitlerowskiego; po drugie, pozbawić majątków wszystkich przedwojennych właścicieli ziemskich. Tych pierwszych sowiecka i polska propaganda nazywała „bandytami”, drugich natomiast: „obszarnikami”. Pan Franciszek, jako że podczas wojny nie należał do Armii Krajowej ani nie brał zbrojnego udziału w walce, zaliczany był do grona „sanacyjnych panów, których panowanie skończyło się w socjalistycznej Polsce!”. Bo nowa Polska, która narodziła się po wojnie, nie była już „pańska”, tylko ludowa.

Władza panów się skończyła, a rozpoczęła się władza ludu. Wbrew oczywistym kłamstwom niektórzy wierzyli w zapewnienia komunistycznego rządu. Zwłaszcza ci, którzy do tej pory nic nie mieli, a teraz otrzymali niewielki spłachetek ziemi. Nie interesowało ich to, że ziemia, którą będą od tej pory uprawiać, wcześniej należała do ludzi pokroju Franciszka Bralewskiego.

Drżącą ręką raz jeszcze napełnił kieliszek.

– Jadziu, jeżeli my tego nie wypijemy, zrobią to ci, którzy tu po nas przyjdą – powiedział, podnosząc go do ust.

Kobieta westchnęła cicho i przytuliła się do męża. Franciszek wypił, a pusty kieliszek cisnął na podłogę. Kryształ stłukł się na drobne kawałki.

– Oni piją w szklankach, nie przywykli do kieliszków! – rzekł smutno.
– Idę pożegnać się ze służbą.

– Co teraz z nami będzie? – spytała Natalka, kiedy tylko drzwi zamknęły się za ojcem.

Miała już prawie dwadzieścia lat i jako starsza z rodzeństwa przypisywała sobie prawo do rządzenia młodszą o dwa lata siostrą, która

ze względu na swoje usposobienie godziła się na wiele. Unikała niepotrzebnych zadrażeń z Natalką, zdając sobie sprawę, że ma ona twardego charakter, odziedziczony po którymś z przodków. Jej ustępstwa rzecz jasna były pozorne i dotyczyły spraw mało istotnych. W innych sytuacjach potrafiła zawalczyć o swoje. Na co dzień starała się bowiem nie pokazywać swojej prawdziwej natury, która ujawniała się jedynie w chwilach wielkiego wzburzenia. Teraz znowu przyjęła rolę tej cichej i pokornej, czekając na odpowiedź matki.

– Teraz zaczniemy nowe życie – powiedziała bez przekonania Jadwiga.

– Gdzie? – drążyła temat Natalka.

– Pojedziemy do Warszawy, tam mamy dostać mieszkanie.

W tym momencie młodsza z córek zaczęła płakać. Najpierw cicho, prawie bezgłośnie, ale już po chwili niepohamowany szloch zawładnął całym jej kruchym, osiemnastoletnim ciałem. Jadwiga poderwała się z krzesła, chcąc przytulić córkę, ale nie zdążyła. Uprzedziła ją Natalka.

– Nie płacz, głupia – mówiła, tuląc siostrę. – Nie będzie tak źle.

Hanka jednak odepchnęła ją od siebie i z malującą się na twarzy wściekłością, która zastąpiła smutek, krzyknęła:

– Co ty możesz o tym wiedzieć! Będzie gorzej, niż nam się wydaje! Kto wie, może już za miesiąc będziemy służącymi w czyimś domu?!

Natalka patrzyła na siostrę ze zdziwieniem. Po chwili jednak się otrząsnęła i spytała:

– A nawet jeśli tak będzie, to co? Tobie się wydaje, że urodziłyśmy się księżniczkami? Cieszymy się, że przeżyłyśmy wojnę!

– Co nam po takim życiu?! – zachnęła się ze złością Hanka.

– Córeczki – Jadwiga próbowała zażegnać rodzącą się kłótnię – teraz, w tych trudnych chwilach, musimy trzymać się razem. Nie możemy się spierać. Przede wszystkim powinnyśmy zadbać o ojca. On z nas wszystkich znosi to najgorzej.

Hanka przeniosła rozognione złością spojrzenie z Natalki na matkę.

– Zadbać o niego?! Przecież to wszystko jego wina! Gdyby się bardziej postarał, to wcale nie musielibyśmy stąd odjeżdżać!

– Co masz na myśli? – spytała Jadwiga z konsternacją w głosie. Domyślała się, co za chwilę usłyszy, ale łudziła się jeszcze, że to niemożliwe.

– Mam na myśli to, że ojciec mógł zrobić tak jak Leśniewscy! Oni nie muszą opuszczać swojego majątku!

W pokoju zapanowała cisza. Natalka usiadła na krześle i z niedowierzaniem kręciła głową. Mieszkający w pobliżu Leśniewscy rzeczywiście nie otrzymali polecenia opuszczenia dworu, zawdzięczali to jednak temu, iż Maurycy Leśniewski zgodził się na pełną współpracę z nowymi władzami. Aby uwiarygodnić swoją lojalność, sporządził listę chłopów, którzy tuż po wyzwoleniu ukrywali powstańców podejrzanych o niechęć wobec rządu komunistycznego.

– Haniu – zaczęła Jadwiga, próbując ukryć wzburzenie – wiesz dobrze, że ani ja, ani ojciec nigdy byśmy nie postąpili w ten sposób. Nasz ród ma swoje tradycje, nie można jedną złą decyzją zhańbić swojego nazwiska na wieki!

Dziewczyna uśmiechnęła się szyderczo i zaczęła przedrzeźniać matkę:

– Nasza rodzina ma tradycje! Co oprócz tej cholernej tradycji zostało naszej rodzinie?! Bo majątek właśnie straciliśmy!

Jadwiga ukryła twarz w dłoniach i zaczęła cicho płakać.

Natalka podniosła się z krzesła i stając naprzeciwko Hanki, dobitnie wymawiała każde słowo:

– Oprócz tradycji naszej rodzinie został honor. I zapamiętaj sobie, siostrzyczko, że są to dwie wartości, których nie kupisz za żadne pieniądze. Możesz mieć olbrzymi majątek, ale honoru i tradycji nie zdobędziesz. Na to pracuje się latami!

Hanka otworzyła usta, jakby chciała coś odpowiedzieć, w ostatniej chwili jednak się rozmyśliła i szybkim krokiem wyszła z pokoju.

Natalia podeszła do matki. Ukucnęła przy niej i cicho powiedziała:

– Nie martw się, mamo, ona jest jeszcze młoda i potrzebuje czasu, żeby zrozumieć pewne sprawy.

Jadwiga podniosła wzrok na córkę.

– Boję się, że jej tego czasu może zabraknąć.

3.

Ciemnowłosa mężczyzna zatrzymał się przy ostatnich drzewach, za którymi była już tylko pusta łąka i droga prowadząca do wsi. Przez krótki czas stał skryty w cieniu i przyglądał się drewnianym zabudowaniom rozrzuconym jakieś czterysta metrów przed nim. Z przewieszanej przez ramię torby wyciągnął lornetkę, którą przyłożył do oczu. W oknie jednej z chałup dostrzegł rozsunięte firany. Był to znak, że może bezpiecznie pojawić się w wiosce. Dla pewności przebiegł jeszcze wzrokiem pozostałe zagrody. Gdy nie dostrzegł nic niepokojącego, schował lornetkę, a z kieszeni spodni wydobyl małe kwadratowe lustro i grzebyk. Przejrzał się, po czym przecesał gęste włosy i bez pośpiechu opuścił bezpieczne schronienie, jakie dawał mu las, będący dla niego jedynym domem. Teraz, na otwartej przestrzeni, czuł się mniej pewnie. Z jednej strony chciał jak najszybciej przebyć odległość dzielącą go od wioski, z drugiej jednak wiedział, że musi iść krokiem niewzbudzającym niczyich podejrzeń. Ot, jeszcze jeden młody chłopak wracający do domu z popołudniowej przechadzki.

Andrzej, mimo swojego młodego wieku, dawno już przestał być beztroskim chłopakiem. Sześć lat partyzanckiej walki z niemieckim okupantem odmieniło go na zawsze. Kiedy w 1945 roku wszyscy mieli nadzieję, że nadszedł wreszcie upragniony koniec ganiania po leśnych traktach, gdy jego oddział, podobnie zresztą jak wiele innych, otrzymał rozkaz, aby się rozwiązać, on pierwszy powiedział, że tego polecenia nie wykona. W jego ślad poszli inni. Sprzeciwili się nakazom wodza naczelnego. Nie złożyli broni. Od tej pory przestali być prawdziwymi żołnierzami. Oficjalnie nie mogli być za takowych uważani. Stali się wyklęci. Ich schronieniem nadal pozostał las. Tylko w nim czuli się bezpieczni. Niczym wilki rzadko opuszczali swoją kryjówkę i zachodzili do ludzkich siedzib. Andrzej stał się niekwestionowanym przywódcą

leśnej watahy.

Dochodził właśnie do pierwszych zabudowań. Wiedział, że w tej wsi nie ma szpicli i nic mu nie grozi, za każdym razem jednak towarzyszyła mu pewna obawa. Włożył rękę do kieszeni marynarki i mocno ścisnął kolbę ukrytego tam pistoletu. Od razu poczuł się pewniej. Dobrze rozumiał, że jednym pistoletem nie obroniłby się przed oddziałem Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, ale na pewno nie dałby się wziąć żywcem. Ostrzeliwałyby się przez jakiś czas, a ostatnią kulę zostawiłby dla siebie. Innego wyjścia nie miał. Ktoś inny mógł ryzykować dostanie się w ręce bezpieki, ale nie on. Jego żywego by nie wypuścili. Już miał zasądzoną przez władzę karę śmierci, a za wskazanie jego miejsca pobytu wyznaczono dużą nagrodę. Za takie pieniądze można było rozpocząć nowe życie. Andrzej zdawał sobie sprawę, że wcześniej czy później znajdzie się ktoś, kto nie oprze się pokusie i go zadenuncjuje. Była to zresztą historia stara jak świat, a ziemia zawsze nosiła mnóstwo judaszy. Mimo tej wiedzy i ryzyka, jakie niosły ze sobą jego eskapady, nie potrafił odmówić sobie spotkania z ukochaną mieszkającą w tutejszej wsi. Miał dopiero dwadzieścia pięć lat, całą swoją młodość złożył na ołtarzu miłości do ojczyzny, a teraz po tych wszystkich wyrzeczeniach chciał zaznać miłości dziewczyny.

Kobiety krzątające się na podwórzach udawały, że nie widzą przechodzącego drogą smukłego, czarnowłosego mężczyzny. Znały go dobrze, bo przed wojną mieszkał tutaj razem z rodziną. Podczas okupacji Niemcy wymordowali całą jego rodzinę za to, że dostarczała partyzantom żywności. Andrzej był wówczas w Kielcach, gdzie ojciec wysłał go, żeby załatwił jakieś urzędowe sprawy. Kiedy wrócił, zamiast domu zastał dymiące jeszcze pogorzeliisko. Na podwórzu leżały ciała jego rodziców i dwóch starszych braci. Wszyscy zostali podziurawieni serią z pistoletu maszynowego. Andrzej nie mógł wówczas wydobyć z siebie głosu. Ogromna rozpacz rozsadzała go od środka, chciał krzyczeć, ale nie mógł. Chciał płakać nad zwłokami najbliższych, a jego oczy pozostawały suche. Sąsiedzi przyglądali mu się z daleka, nikt nie odważył się do niego podejść. Wiedzieli, że na niego Niemcy też wydali wyrok śmierci, dlatego się go bali. Był dla nich jak trędowaty, którego każdy omija z daleka. Być może Andrzej klęczałby tak przy swoich bliskich, aż gestapo ponownie zjawiłoby się we wsi, pomógł mu jednak jeden z mieszkańców. Michał Brodzki, nie zważając na strach, podszedł do młodego, osiemnastoletniego chłopca i wziął go w ramiona. Zawstydzeni sąsiedzi spuścili głowy i powoli zaczęli wracać do swoich codziennych obowiązków. Zapewne

niektórzy żalowali, że nie starczyło im odwagi, by pocieszyć tego biednego chłopaka, który w jednej chwili utracił wszystkich najbliższych. Było jednak za późno. Musieli poradzić sobie ze wstydem, który palił ich sumienia. Wiedzieli, że w chwili próby znowu zabrakło im odwagi. Andrzej złożył głowę na ramieniu Michała i dopiero wtedy coś się w nim odblokowało. Z jego oczu popłynęły łzy, a z gardła wydobył się krzyk rozpaczy. Brodzki pozwolił mu się wypłakać, a później zabrał go do siebie. Nakarmił, opowiedział o ostatnich chwilach życia jego bliskich, a kiedy się ściemniło, zaprowadził do lasu. Tam poznał go ze swoim starszym synem – Jurkiem, który od początku wojny działał w partyzantce. Od tej pory Andrzej zamieszkał wśród leśnych, którzy stali się dla niego nową rodziną. W walce z hitlerowcami wykazywał się brawurą i odwagą, tak że w krótkim czasie zyskał podziw i szacunek towarzyszy broni. Bardzo rzadko odwiedzał rodzinną wioskę. Każda wizyta w niej przywoływała wspomnienia wywołujące ból.

W lecie czterdziestego czwartego w jednym ze starć z Niemcami Andrzej odniósł poważne rany. Został postrzelony w nogę i ramię. Przez kilka tygodni był unieruchomiony. Opiekowała się nim wówczas niespełna siedemnastoletnia panna Basia. Chłopak nie wiedział, jak to się stało, ale kiedy odzyskał przytomność i ujrzał pochylającą się nad nim piękną twarzyczkę o cudownie zielonych oczach, pomyślał, że znalazł się w niebie i ma do czynienia z aniołem. Jego uszu dobiegły troskliwie wypowiedane słowa, że musi teraz odpoczywać, a delikatne ręce anioła przykładały mu zimny kompres na rozpalone gorączką czoło. Później okazało się, że dziewczyna jest siostrą Jurka i zarazem córką Michała, który jako jedyny z wioski nie bał się okazać mu pomocy w dniu śmierci jego rodziny. Nie rozpoznał jej, ponieważ kiedy widział ją kilka lat wcześniej, była jeszcze podlotkiem, a teraz przeobraziła się w uroczą panienkę, od której nie mógł oderwać oczu. Uznał, że to nie mogło być dziełem przypadku. Był pewien, że jest skazany na rodzinę Brodzkich. Kiedy na tyle odzyskał siły, że nie potrzebował już pomocy, dziewczyna przychodziła do lasu coraz rzadziej, aż w końcu nie pojawiła się w ogóle. Wtedy zrozumiał, jak bardzo brakuje mu jej towarzystwa. Zmarkotniał i posmutniał. Całe dni chodził osowiały, co nie uszło uwagi kolegów z oddziału, którzy sugerowali mu, że teraz powinien specjalnie dać się postrzelić, żeby wróciła do niego panna Basia. W końcu chłopak zebrał się na odwagę. Akurat była jesień, nazbierał więc w lesie cały kosz grzybów i udał się do wioski. Mijając to, co zostało z jego domu, starał się nie

patrzyć w tamtą stronę. Mocno ścisnął wiklinowy kosz i szedł prosto do chałupy zamieszkałej przez Brodzkich. Bał się tego, w jaki sposób przyjmie go dziewczyna. Przed drzwiami wahał się dosyć długo, zanim zapukał. Okazało się, że jego obawy były bezpodstawne. Basia bardzo ucieszyła się na jego widok. Rozmawiali do późnej nocy i umówili się na spotkanie następnego dnia. A w niedzielę Andrzej towarzyszył jej podczas mszy odprawianej w niewielkim drewnianym kościółku. To publiczne pokazanie się chłopaka sprawiło, że ludzie znowu zaczęli szeptać. Domyślali się, że Andrzej należy do partyzantki. Każdy jednak czuł jeszcze wyrzuty sumienia, gdy przypomniał sobie, jak nie udzielił chłopakowi wsparcia w ów feralny dzień, i dlatego u nikogo nie pojawiła się nawet myśl, że można by teraz na niego donieść gestapo. Nie było tu nikogo, kto wydałby Andrzeja w ręce Sowieców, jednak wraz z upływem czasu zacierała się w ludziach pamięć o wyrzutach sumienia, jakie niesie ze sobą lojalność wobec okupanta. Dodatkowym elementem „zmiękcającym” sumienie była wysoka nagroda pieniężna oferowana za Andrzeja, ponieważ Urząd Bezpieczeństwa wiedział, że jest on przywódcą leśnej bandy w tym rejonie. To wszystko przestawało mieć jednak dla chłopaka jakiegokolwiek znaczenie w momencie, kiedy spotykał się z Basią. Ta dziewczyna sprawiała, że świat, w którym przyszło im żyć, chociaż na chwilę odzyskiwał pozory normalności.

Dochodząc do chałupy zamieszkiwanej przez Brodzkich, Andrzej już zaczynał odczuwać radość na myśl o spotkaniu z ukochaną. Szybko przebiegł podwórze i zastukał w drewniane drzwi. Nie czekając na zaproszenie, nacisnął klamkę i wszedł do środka.

– Niech będzie pochwalony! – krzyknął od progu.

– Na wieki wieków! – usłyszał w odpowiedzi głos pani Heleny Brodzkiej.

Przeszedł przez wąską sień i znalazł się w kuchni. Przy stole zastał całą rodzinę Brodzkich, oczywiście z wyjątkiem najstarszego syna Jurka, który ze względów bezpieczeństwa bardzo rzadko zachodził do rodzinnego domu.

– Siadaj z nami – odezwał się dziwnie zmienionym głosem Michał Brodzki – właśnie zaczynamy wieczerzę.

Andrzej podszedł do stołu, odsunął wolne krzesło i usiadł. Kątem oka pochwycił spojrzenie Basi, która dzisiaj nie przywitała go jak zwykle uśmiechem. Zauważył też, że Marek w ogóle nie zareagował na jego

przybycie, cały czas siedział ze wzrokiem utkwionym w stojącą przed nim miskę. Jedynie pani Helena zachowywała się w miarę zwyczajnie, ale wynikało to pewnie stąd, że była zajęta podawaniem posiłku.

– Stało się coś? – spytał, chcąc jak najszybciej poznać przyczynę niecodziennego zachowania rodziny ukochanej.

– Dziś przed południem było u nas UB – odparł Michał, patrząc przy tym tępo na Andrzeja. – Dopytywali o Jerzego. Za dwa dni mają tu wrócić i jeżeli nie zastaną Jurka, zabiorą mnie.

– Ilu ich było? – spytał Andrzej.

– Jeden jakiś waśniak i dwóch milicjantów – odpowiedział szybko Marek, nie patrząc w stronę ojca, którego mina świadczyła, że nie jest zadowolony, iż młodszy syn miesza się w te sprawy.

– Dlaczego nie wysłaliście Basi, żeby nas o wszystkim poinformowała?

– Nie było jej w domu, wróciła dopiero przed godziną. Poza tym wiedzieliśmy, że przyjdiesz po południu.

– Mógł chociaż przyjść Marek – powiedział Andrzej, starając się, by w tonie jego głosu Brodzki nie wyczuł nutki pretensji. Darzył mężczyznę dużym szacunkiem i nie chciał go w żaden sposób urazić.

– Marek nie będzie się do tego mieszał! – rzekł Michał głosem nieznoszącym sprzeciwu, a jego syn momentalnie spuścił głowę i ponownie zaczął się bezmyślnie wpatrywać w talerz z zimnym już bigosem.

Andrzej skinął głową. Nie chciał się sprzeciwiać człowiekowi, z którego córką wiązał pewne plany na przyszłość.

– Panie Michale – zaczął po chwili namysłu – proszę sobie nie zaprzętać głowy tą sprawą. Biorę to na siebie.

Brodzki odsunął od siebie talerz z nietkniętym jedzeniem. Podniósł się od stołu, podszedł do kredensu i z jednej z półek wyjął fajkę oraz woreczek z tytoniem. Z powrotem usiadł na krześle i w milczeniu zaczął nabijać cybuch.

– Obaj wiemy, że tej sprawy nie da się załatwić – odezwał się po chwili, kiedy już przypalił fajkę i wypuścił pierwsze kłęby aromatycznego dymu. – Muszę pozwolić, by mnie aresztowali.

Po słowach Michała w kuchni zapanowała cisza. Marek wciąż siedział ze wzrokiem utkwionym w talerz, Basia grzebała łyżką w swojej porcji

bigosu, pani Helena nie była już pochłonięta podawaniem jedzenia, którego i tak nikt nie skosztował, stała teraz przy kuchni, przysłuchując się rozmowie, a do jej oczu napływały łzy, których nie mogła powstrzymać. Andrzej odchrząknął, jakby chciał dodać sobie pewności, i powiedział:

– Pojutrze nikt pana nie aresztuje. Nie pozwolę na to!

Brodzki przez chwilę się nie odzywał. Pykał fajkę, wypuszczając kłęby dymu. W końcu rzekł ciepłym, spokojnym głosem, jakim mógłby przemawiać ojciec do swego dziecka, które jest jeszcze nieświadome pewnych zasad rządzących ludzkim życiem:

– Wiem, że chcesz dla mnie jak najlepiej, i doceniam to. Jednak sytuacja, w jakiej się znalazła moja rodzina, wymaga tego, bym dał się zaaresztować.

– Tato! – krzyknęła siedząca do tej pory w milczeniu Basia. – Nigdy na to nie pozwolimy! Znasz przecież ich metody, jak cię zaborą, to już nigdy nie zobaczymy cię żywego!

– Nic na mnie nie mają – próbował uspokoić córkę Brodzki. – Przesłuchają mnie, spiszą protokół i wypuszczą.

Marek roześmiał się głośno.

– Mówisz tak, jak byśmy żyli w państwie prawa! Sam dobrze zdajesz sobie sprawę, że oni wcale tak łatwo nie wypuszczają, a jeśli już, to zwolniony przez nich człowiek długo jeszcze musi dochodzić do siebie po przesłuchaniu, jakiemu był poddawany!

– W każdym razie – rzekł Brodzki tonem znamionującym, że mimo wszelkich protestów już podjął decyzję, której nic nie zmieni – nie mamy innego wyjścia.

– Myli się pan – powiedział Andrzej. – Jest wyjście.

Michał pokręcił przecząco głową.

– Nie, tego wam zrobić nie wolno. Jeżeli ten tajniak by zginął, to odpowiedziałyby za to cała moja rodzina, a tego nikt z nas nie chce.

Andrzej spojrział na Basię. Dziewczyna miała smutną minę. Czuł, że musi zrobić wszystko, by na jej twarz powrócił uśmiech. Brodzki jednak miał rację, sytuacja była patowa. Cokolwiek by zrobili, to i tak ktoś musiałby zapłacić za to najwyższą cenę.

– Wieczorem porozmawiam z Jerzym i resztą chłopaków – powiedział w końcu. – Razem z pewnością uda nam się coś wymyślić. A teraz, jeżeli

nie ma pan nic przeciwko temu, chciałbym zabrać Basię na krótki spacer.

Michał kiwnął głową na znak, że się zgadza. Pani Helena odruchowo zerknęła na stojący przed Andrzejem talerz, który podobnie jak pozostałe był pełen bigosu. Westchnęła tylko ciężko i w milczeniu zaczęła sprzątać ze stołu. Zrozumiała, że dzisiaj wszyscy położą się bez kolacji. Ona zresztą też straciła apetyt.

4.

Waclaw Hrabski, komendant podwarszawskiego Urzędu Bezpieczeństwa, rozparł się wygodnie w swoim fotelu. Sięgnął po leżące na biurku papierosy. Zapalił, schylił się ciężko, otworzył dolną część biurka i wyjął z niej litrową butelkę wódki oraz szklankę. Nalał około setki, podniósł do ust i wypił. W przetyku poczuł znajome uczucie pieczenia, zaciągnął się dymem z papierosa i zamknął oczy. To był jego codzienny rytuał, któremu oddawał się po pracy. Kilka papierosów i szklanka wódki na ukojenie nerwów. Raz jeszcze wlał setkę i zakręcił butelkę, którą następnie odstawił na półkę. W domu i tak nikt na niego nie czekał, dlatego się nie spieszył. Przed powrotem musiał się odprężyć. Wbrew pozorom był wrażliwym człowiekiem i pewne rzeczy, z którymi stykał się w pracy, pozostawiały ślady. Takie małe blizny. Wieszając mundur w przedpokoju swojego mieszkania, zdejmował z siebie ciężar bycia komendantem UB.

Zdusił papierosa w przepelnionej popielniczce i raz jeszcze spojrzął na piętrzące się na biurku papiery. Nigdy się z tym wszystkim nie uporam, pomyślał, podnosząc szklankę. Przechylił, połykając łapczywie trochę za ciepłą wódkę. Skrzywił się i sięgnął po kolejnego papierosa. W tym momencie zadzwonił stojący na biurku telefon. Hrabski spojrzął na zegarek. Każdy wiedział, że o tej porze nie ma go już zwykle w pracy. Kie licho? – zastanawiał się, sięgając po słuchawkę.

– Urząd Bezpieczeństwa w Komorowie, komendant Hrabski przy telefonie! – powiedział na jednym wydechu, trochę nazbyt głośno i opryskliwie, ale chciał, żeby ten, kto do niego dzwonił, wiedział, że nie jest zadowolony z tak późnego telefonu.

Po chwili jednak Wacław Hrabski stał już prawie na baczność przy swoim biurku, a ton jego głosu uległ zdecydowanej zmianie. Teraz był

usłużny, nad wyraz słodki i mówił jedynie:

– Bardzo mi miło, towarzyszu sekretarzu... oczywiście, że nie jest za późno, towarzyszu sekretarzu...

– Cieszę się, Hrabski, że zastałem was o tej porze w robocie – brzmiał tymczasem mocny męski głos w słuchawce ściskanej przez spoconą dłoń komendanta. – Dużo dobrego o was słyszałem i widzę, że nie były to jedynie puste słowa! Ale do rzeczy, dzwonię do was w bardzo delikatnej, ale zarazem pilnej sprawie...

Nastąpiła krótka pauza w rozmowie. Hrabski był tak spięty, że wyprostował się jeszcze bardziej i jedną ręką próbował zapiąć guzik przy kołnierzyku munduru, jakby się bał, że jego przełożony nie dość, iż go słyszy, to jeszcze go obserwuje.

– Słucham, towarzyszu sekretarzu? – wysapał w końcu do słuchawki, rezygnując po kilku nieudanych próbach z zapięcia guzika. Wciąż jednak stał wyprostowany niczym struna.

– Ptaszki ćwierkają, że macie tam u siebie problemy z reakcjonistami, towarzyszu.

Hrabski pobladł. Sekretarz uderzył w jego słaby punkt. Od pewnego czasu jego podwładni nie mogli sobie poradzić z leśnymi bandami, które stawały się coraz zuchwalsze. Doszło nawet do ataków na oddalone od miasta niewielkie posterunki Milicji Obywatelskiej.

– Zapewniam, towarzyszu sekretarzu, że to nic poważnego – próbował się usprawiedliwić komendant, lecz ton jego głosu nie był przekonujący.

– I ja tak uważam, towarzyszu. – Głos w słuchawce brzmiał teraz na tyle złowieszczo, że Hrabski poczuł perlący mu się na czole pot. – Pomyślałem jednak, że przyda wam się mała pomoc, dlatego postanowiłem wysłać do was jednego z moich zaufanych ludzi. Zapewniam was, że jest on specjalistą w tropieniu i likwidowaniu leśnych band.

– Nie wątpię, towarzyszu sekretarzu, ale może na razie damy sobie jakoś radę bez pomocy waszego specjalisty – odpowiedział i zaraz pożałował swoich słów.

– Gównu mnie interesuje wasze zdanie w tej kwestii, Hrabski! – wycedził do słuchawki sekretarz. – Jutro pojawi się u was mój człowiek i od tej pory to on przejmie dowodzenie na podlegającym wam terenie, zrozumieliście?!

– Tak jest, towarzyszu sekretarzu! – krzyknął zrezygnowany komendant.

– Cieszę się, że udało nam się dojść do porozumienia, towarzyszu. – Tembr głosu sekretarza wrócił już do normy i brzmiał nawet sympatycznie, mimo to Hrabski czuł, jak po plecach spływają mu krople potu. – Nie muszę wam oczywiście nadmieniać, że mój człowiek zobowiązany jest pisać dla mnie szczegółowe raporty dotyczące współpracy z wami?

– Oczywiście – wychrypiał Hrabski – zdaję sobie z tego sprawę i zapewniam, że zrobię wszystko, aby nasza współpraca układała się pomyślnie.

– W takim razie nie zabieram wam już więcej czasu – powiedział sekretarz. – Idźcie do domu, odpocznijcie trochę, bo czekają was teraz dni wytężonej pracy!

– Oczywiście, towarzyszu sekretarzu!

– Żegnam was! – odezwał się po raz ostatni głos po drugiej stronie linii i połączenie zostało przerwane.

Hrabski odłożył słuchawkę na widełki i opadł bezwładnie na fotel przy biurku. Rękawem munduru otarł mokre czoło. Zapalił papierosa i ponownie wyciągnął z szafki butelkę wódki. Zostało w niej trochę mniej niż pół litra.

Wiedział, że nie wróci do domu, dopóki jej nie opróżni.

5.

Trzy lata na usunięcie wojennych zniszczeń, jakich Polska doświadczyła podczas drugiej wojny światowej, to zdecydowanie za mało. Przez ten czas nie udało się odbudować wielu zniszczonych domów, bibliotek, muzeów czy kościołów. Inaczej jednak sprawa się miała z restauracjami, hotelami i burdelami. Każdy wiedział, że da się przez jakiś czas żyć, nie odwiedzając muzeum czy biblioteki, ale życie bez knajpy, gdzie zawsze można wpaść na jednego lub też zaprosić piękną damę na wykwintną kolację przy butelce dobrego wina, to było dla większości mieszczuchów nie do pomyślenia. Dlatego restauracje o wyższym lub niższym standardzie oferowanych usług pojawiały się jak grzyby po deszczu.

Dużym powodzeniem cieszyły się zarówno podłe spelunki, gdzie pod lekko już śmierdzącego śledzia można było wypić kilka literatek najtańszej wódki, jak i ekskluzywne lokale, w których mężczyźni obowiązywały krawaty, a kobiety stroje wieczorowe. Kryterium doboru miejsca, w którym chciało spędzić się wieczór, była oczywiście wyłączność zasobność portfela.

Nikodem Morawski z pewnością nie narzekał na zarobki, które sprawiały, iż mógł sobie pozwolić na odwiedzanie najdroższych restauracji w mieście. Zwykł jednak wybierać te, do których uczęszczała średnio zamożna grupa społeczeństwa. Wpływ na to miało kilka czynników. Przede wszystkim te lokale były zawsze pełne, nie uświadczyło się w nich wolnych miejsc, a Nikodem uwielbiał obserwować ludzi i wybierać sobie wśród nich tych, z którymi później zawierał znajomość. Polował zwłaszcza na kobiety, choć nie gardził też męskim towarzystwem. Oczywiście kobiety miały dla niego tę zaletę, że oprócz różnego rodzaju informacji mógł od nich dostać coś jeszcze. Poza tym łatwiej było mu się zbliżyć do przedstawicielek płci pięknej, które często przychodziły do tego typu miejsc, by spotkać kogoś, kto by je wysłuchał, zrozumiał, poprowadził

w tańcu, powiedział kilka miłych słów o ich wyglądzie czy stroju. A w tym Nikodem Morawski nie miał sobie równych. Ponadto kobiety, patrząc w jego lekko zmrużone ciemne oczy i słuchając niskiego chropawego głosu, gotowe były uwierzyć we wszystko, co im mówił. Kolejnym z atutów Morawskiego była fizjonomia, jaką obdarzył go los. Dobrze zbudowany brunet o zmęczonej twarzy Humphreya Bogarta mógł się podobać niewiastom. Wiedział o tym i bez jakichkolwiek skrupułów to wykorzystywał.

Zawsze zajmował stolik w rogu, żeby za plecami mieć ścianę, a przed sobą widok na całą salę. Czuł wówczas, że ma wszystko pod kontrolą. Przez pewien czas przypatrywał się gościom, a później wybierał swoją ofiarę. Z mężczyznami był ten kłopot, że trzeba było co chwilę stawiać im wódkę, wysłuchując pomiędzy jedną a drugą kolejką sprośnych dowcipów i starych jak świat historii o relacjach damsko-męskich opowiedzianych soczystym, samczym językiem. Na naprawdę cenne informacje należało poczekać, aż delikwent spije się na tyle, że straci instynkt samozachowawczy i zacznie mówić rzeczy, których na trzeźwo nie wypowiedziałby nawet w samotności. Z kobietami było o tyle łatwiej, że szybciej się upijały, a równie mocno jak alkohol działał na nie sam Nikodem. Oprócz tego gdy już raz mu zaufały, to potrafiły zwierzyć się ze wszystkiego. Niektórych rzeczy wolałyby nie słyszeć, ale nic nie mógł na to poradzić. Niczym spowiednik musiał cierpliwie wysłuchać do końca, a później odcedzić ziarno od plew. Informacje istotne od zbędnych.

Dzisiejszego wieczoru mógł zostać w mieszkaniu i nie przychodzić do restauracji Europejska, ponieważ jutro wyjeżdżał z miasta. Miał nowe zadanie wyznaczone przez przełożonych. Wolał jednak spędzić część nocy poza domem. Nie chciał wysłuchiwać utyskiwań swojej schorowanej matki, która w czasie wojny straciła dwóch starszych synów i męża i teraz była wobec niego nadopiekuńcza. Poza tym dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że matka się domyśla, czym zajmuje się jej jedyny ocalały potomek. Ona i on nadawali na zupełnie innych falach. Starsza kobieta żyła przeszłością, pielęgnując pamięć o czasach przedwojennych, on natomiast był bezgranicznie oddany nowej władzy ludowej. Wierzył w nią, tak jak matka wierzyła kiedyś w Piłsudskiego.

Zapalił papierosa i po raz nie wiadomo już który zaczął się zastanawiać, jak wszystko by się potoczyło, gdyby jego dwaj bracia nie polegli w czasie wojny. Obaj należeli do AK – organizacji, której członków teraz zwalczał.

On też się kiedyś rwał, by wstąpić w jej szeregi, jednak matka się na to nie zgadzała, mówiąc, że chce przy sobie zostawić chociaż jednego z synów, który pomagałby jej przetrwać ciężką okupacyjną codzienność. Bracia z miejsca poparli ten pomysł, nie chcieli ryzykować życia swojego brata, którego wciąż traktowali jak małego chłopca. Dla nich Nikodem, chociaż w 1940 roku miał już dwadzieścia lat, wciąż pozostawał za młody na udział w konspiracji. Później Morawski tak bardzo wczuł się w rolę opiekuna matki, że całkowicie przestał myśleć o wstąpieniu do Armii Krajowej. Wiadomość o śmierci synów zupełnie załamała panią Morawską, a Nikodema utwierdziła w słuszności decyzji, do której podjęcia został poniekąd zmuszony przez najbliższą rodzinę.

Teraz dorosły Nikodem ścigał niedobitków z AK, jakby chciał wziąć odwet za to, że kiedyś sam nie został jednym z jej członków. A może robił to na przekór całej rodzinie – ojcu piłsudczykowi, braciom akowcom, chcąc im pokazać, że dokonali złego wyboru życiowej drogi? Wszyscy oni już nie żyli, tymczasem on miał się całkiem dobrze i był pupilkiem przedstawicieli najwyższych władz, którzy widzieli jego duży potencjał.

Nikodem zgasił papierosa w popielniczce, poprawił krawat, wstał od stolika i szybkim krokiem ruszył w stronę brunetki, którą ujrzał przy barze. Nie mógł się powstrzymać. Ta kobieta, gdy ją tylko ujrzał, od razu przykuła jego uwagę. Długa czerwona suknia spływała aż do podłogi, sprawiało to wrażenie, że piękna nieznajoma jakby sunęła w stronę bufetu. Teraz, gdy usiadła na wysokim stołku barowym i założyła nogę na nogę, Nikodem zauważył, że suknia ma tak wielkie rozcięcie, że odkrywa aż udo kobiety. Widok, jaki ukazał się jego oczom, sprawił, że na moment zabrakło mu powietrza. Szybko zajął wolne miejsce obok niej. Udając roztargnienie, jakby mimochodem zerknął na jej twarz. Ich spojrzenia na moment się skrzyżowały. Nikodem uśmiechnął się lekko. Kobieta odwzajemniła uśmiech. Jej bajecznie czerwone usta rozchyliły się i po raz pierwszy usłyszał głos, którego miał nie zapomnieć do końca życia.

– Mam na imię Wiera – powiedziała płynną polszczyzną, w której brzmiał ledwo rozpoznawalny rosyjski akcent.

– Nikodem – odparł po chwili zdezorientowany chłopak. – Bardzo mi miło.

Kobieta uśmiechnęła się i bez skrępowania zaczęła mu się przyglądać, jak zwykli to czynić chłopcy na targu, zanim zdecydują się na zakup młodego byka. Jej spojrzenie błędziło po całym jego ciele, nie pomijając

żadnego szczegółu.

– Może być jeszcze milej – rzekła nieco lubieżnym tonem. – Napijemy się?

– Tak, oczywiście. – Nikodem wciąż był w szoku. Dotychczas nigdy nie spotkał się z takim zachowaniem u kobiety. Zwykle starały się być powściągliwe, siląc się na pruderię. – Co ci zamówić?

Wiera nachyliła się w jego stronę, tak że jej usta delikatnie muskały jego ucho. Poczłł słodki zapach perfum i ciepło oddechu na skórze. Ta bliskość działała na niego bardzo podniecająco. Najchętniej od razu by stąd wyszedł i zaprosił dziewczynę do jednego z hotelowych pokoi.

– Weź dla mnie kieliszek szampana i chodźmy zatańczyć.

Nikodem złożył zamówienie. Dla siebie wziął setkę wódki. Miał ochotę na piwo, ale nie chciał wyjść na prostaka, raczącego się złocistym napojem, po którym zawsze dokuczały mu wzdęcia i co chwilę musiał biegać do toalety.

Wiera podniosła kieliszek i stuknęła nim w literatkę Nikodema.

– Za spotkanie! – wzniosła toast. – Chodźmy zatańczyć – powiedziała, kiedy już upiła nieco szampana.

Nikodem odstawił niedopitą literatkę. Zsunął się z wysokiego stołka barowego krzeselka i podał rękę kobiecie. Na parkiecie tańczyło już kilka par w rytm muzyki granej przez czteroosobowy zespół. Dzisiejsza noc, ostatnia przed wyjazdem z miasta, zapowiadała się na wyjątkowo udaną. Nikodem uśmiechnął się pod nosem i delikatnie objął smukłą w pasie, cudownie pachnącą Rosjankę, która natychmiast przyłgnęła do niego swym rozgrzanym ciałem.

6.

Majowy wieczór był jeszcze na tyle chłodny, że Jan Wolak, przedwojenny komisarz warszawskiej policji, dokładnie zapiął wszystkie guziki wojskowego płaszcza i przysunął się bliżej płonącego na leśnej polanie ogniska. Z dumą i z pewnym namaszczeniem dotykał niewielkich okrągłych guzików, na których wygrawerowany był polski orzeł w koronie. W Polsce, w której teraz przyszło mu żyć, godło kraju prawie się nie zmieniło. Wciąż widniał na nim dumny biały orzeł na czerwonym tle, tyle że na jego głowie nie było już złotej korony. Zdjęli ją ci, którzy przyszli w czterdziestym piątym wyzwalać nadwiślański kraj. Mała złota korona, niby drobny, niewiele znaczący szczegół. Komisarz obiecał sobie, że nie wyjdzie z lasu, nie wypuści z rąk pistoletu, dopóki korona nie wróci na głowę orzełka. Dopiero wtedy Polska naprawdę będzie wolna i niezależna. Tuż po zakończeniu wojny takich jak Wolak było wielu. Teraz, po upływie trzech lat, ich liczba znacznie się zmniejszyła. Niektórzy zginęli w walce, lecz większość z tej walki po prostu zrezygnowała. Każdego roku po zimie coraz mniej chłopaków wracało wraz z wiosną do lasu. Pozostawali w cywilu. Zakładali rodziny, szukali pracy, stawali się obywatelami Polski Ludowej. Wolak nie miał im tego za złe. Nawet ich rozumiał. Pewnie sam też by tak postąpił, w końcu miał już pięćdziesiąt lat i coraz ciężiej było mu znosić trudy partyzanckiego życia. Jednak on nie miał do kogo ani do czego wracać. Jemu został tylko las. Był człowiekiem wyrzuconym poza nawias społeczeństwa. Wyklęty, musiał żyć wśród do siebie podobnych. W swoim ukochanym mieście był zanadto znany, żeby znaleźć jakieś zajęcie i spokojnie egzystować. Przez władze oskarżony został o kolaborację z Niemcami w czasie wojny i ciążył na nim wyrok śmierci. Miał zbyt wielu wrogów, zwłaszcza wśród tych, których przed wojną ścigał, a którzy teraz byli na wolności i czekali tylko, by odegrać się na swoim prześladowcy. Było to możliwe, ponieważ za schwytanie Jana

Wolaka wyznaczono wysoką nagrodę. Na domiar złego stary komisarz powoli zaczynał tracić wiarę, że jego ojczyzna stanie się w pełni suwerennym krajem, a na głowę orzełka powróci upragniona złota korona. Myny jego o wiele młodszych towarzyszy, którzy wołali na niego „ojciec”, również mówiły o pewnym zniecierpliwieniu i powątpiewaniu.

Tej wiosny na miejsce zbiórki powróciło dwudziestu czterech chłopaków. W zimowych kwaterach zostało jedenastu. Przy takim rozwoju wydarzeń, za dwa, najdłużej trzy lata, partyzantka w Polsce przestanie istnieć – pomyślał, grzejąc nad ogniskiem zmarznięte dłonie.

– Coś się tak zadumał, ojciec? – spytał go szczupły, wysoki, na oko najwyżej dwudziestoletni chłopak o gęstych kruczoczarnych włosach, z charakterystyczną blizną biegnącą przez cały lewy policzek. Blizna ta była pamiątką po brutalnym przesłuchaniu, jakiemu poddało go UB.

– O naszej doli niełatwej myślę, „Bohun”. – Wolak lubił tego chłopaka. A kiedy dowiedział się, że od jedenastego roku życia jest on sierotą i przez całą okupację musiał sam sobie radzić, zaczął go otaczać ojcowską opieką. Rozmawiał z nim na wiele tematów, chłopaka najbardziej interesowały tajniki policyjnej pracy. Godzinami mógł wysłuchiwać opowieści Wolaka o prowadzonych przez niego przedwojennych śledztwach. Największe zainteresowanie wzbudzała u Bohuna historia dochodzenia, jakie Wolak prowadził wraz z niemieckim oficerem kripo podczas wojny, kiedy to ścigał seryjnego mordercę zabijającego gestapowców i działaczy Armii Krajowej. Młody chłopak nie potrafił zrozumieć, że ten epizod z życia komisarza wystarczył powojennym władzom do oskarżenia go o kolaborację i stał się podstawą do wydania nań wyroku śmierci.

Bohun przyjacielsko klepnął komisarza w plecy.

– Nie ma co nad tym myśleć! Teraz należy cieszyć się nadchodzącą wiosną i mieć nadzieję, że Andrzej pomyśli o jakiejś akcji dla nas, żebyśmy się po zimie trochę rozruszali!

Wolak spojrzął na chłopaka. Uśmiechnął się i powiedział:

– Wam, młodym, wszystko wydaje się takie proste.

– Gadasz, ojciec, jakbyś miał ze sto lat! – Bohun roześmiał się, a chwilę później ściszył głos i nieco konfidencjonalnym tonem spytał: – A może ty już coś wiesz? Byłeś już na naradzie u dowództwa?

Wolak zrobił tajemniczą minę.

– Daj, młody, machorkowego, to może ci coś zdradzę.

Bohun pospiesznie sięgnął do kieszeni płaszcza podobnego do tego, który miał na sobie komisarz, i wyjął pomięte pudełko papierosów.

– Częstuj się, ojciec – powiedział, podsuwając je komisarzowi – i mów, co wiesz!

Wolak wyciągnął jednego papierosa, schylił się i podniósł z ogniska tłącą się gałązkę, od której przypalił sobie i Bohunowi.

– Otóż, mój drogi młody przyjacielu – zaczął poważnym tonem – muszę ci z przykrością oznajmić, że w tej chwili mój stan wiedzy jest taki sam jak twój. Andrzej poszedł do Baški i jeszcze nie wrócił, tak więc narady na razie nie było.

– Psiakrew! – zaklął Bohun, zły na siebie, że dał się podpuścić komisarzowi.

Wolak roześmiał się głośno. Partyzanci zgromadzeni wokół ogniska spojrzeli na nich z zaciekawieniem. Wszyscy w milczeniu grzali się przy ogniu i podobnie jak Bohun czekali na mającą odbyć się dzisiaj naradę. Nudziło im się beczynne siedzenie. Po ciężkiej, leniwej zimie rwali się do walki.

Zrezygowany Bohun miał już zasiąść wraz z innymi, kiedy zza drzew po cichu wyłoniła się postać dowódcy.

– Czy ktoś tu, do jasnej cholery, stoi na warcie! – wrzasnął Andrzej, podchodząc do ogniska. Od razu widać było, że jest w złym humorze. Zawsze udawało mu się niepostrzeżenie wemknąć do obozu i nigdy z tego powodu nie robił chłopakom wyrzutów. Każdy wiedział, że Andrzej, nazywany przez pozostałych „Rysiem”, umie bezszelestnie się skradać. Las sprawiał, że dowódca był niewidoczny.

Wolak wyprostował się i tonem służbisty rzekł:

– Melduję, że wartownicy chwilę wcześniej, przed pana przybyciem, donieśli nam, że jeden człowiek idzie od wsi w naszą stronę. Spytali, czy mają doń strzelać, na co im odpowiedziałem, że w żadnym wypadku, gdyż to z pewnością nasz dowódca wraca z bardzo ważnego spotkania z miejscową ludnością...

– Dość! – przerwał mu Andrzej. Jego twarz nie była już jednak tak stężała ze złości i po chwili znacznie spokojniejszym i przyjaznym tonem dodał: – Za pięć minut szefowie grup mają stawić się u mnie na naradę!

– Tak jest! – krzyknął Wolak.

Główna kwatery partyzantów z oddziału „Rysia” mieściła się w zbudowanej z drewnianych bali chałupie, która jeszcze przed wojną z 1914 roku pełniła funkcję leśniczówki. W latach dwudziestych, kiedy zmarł stary leśniczy Cyranka, jego następcą nie chciał mieszkać wraz z rodziną w głębi lasu, bojąc się napaści jednej z wielu band grasujących w tych okolicach. Nadleśnictwo przychyliło się do jego próśb i wybudowało nową leśniczówkę, która stała teraz na pograniczu lasu i wsi. Nowy leśniczy, widząc przez okna swojego lokum zabudowania wiejskie, od których dzieliło go nie więcej niż pół kilometra w linii prostej, mógł czuć się bezpiecznie. Tymczasem o starej leśniczówce pomału zapominano. Kiedy podczas wojny ukrywający się w lesie partyzanci zupełnie przypadkiem na nią trafili, natychmiast zaadaptowali ją na swoją kryjówkę. Wojna się skończyła, a stara drewniana chata nadal służyła ukrywającym się w lesie ludziom. Jej położenie było idealne. W głębi gęstego lasu, gdzie mało kto się zapuszczał, przykryta koronami drzew była niewidoczna nawet dla przelatujących nisko nad lasem samolotów zwiadowczych. Składała się z trzech izb, z których jedna służyła za kuchnię, druga przeznaczona była dla dowódcy, w niej też odbywały się narady. Trzecia, największa i pozbawiona jakichkolwiek mebli, była sypialnią. Na drewnianej podłodze leżały rozłożone materace i koce.

Wolak wszedł do pokoju dowódcy i zamknął za sobą drzwi. W środku, przy niewielkim kwadratowym stole siedzieli już trzej mężczyźni – Andrzej, Jerzy i „Szopen” – młody chłopak, zawdzięczający swój pseudonim charakterystycznej szopie włosów, których nie potrafił ujarzmić żaden fryzjer. Ponadto Szopen potrafił grać na organkach, dzięki czemu wieczory spędzane przy ognisku nie były nudne.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedział Janek, siadając na krześle.

Andrzej kiwnął tylko głową i od razu zaczął mówić:

– Panowie, wieści, które chcę wam przekazać, nie napawają optymizmem. – Przerwał na moment i powiódł wzrokiem po zgromadzonych. Jego spojrzenie nieco dłużej zatrzymało się na Jerzym. – Jurek, twój ojciec powiedział mi, że było u niego dzisiaj UB. Szukali cię.

Blondyn o krótko obciętych włosach i przenikliwie niebieskich oczach uśmiechnął się, wzruszając ramionami.

– Bo to pierwszy raz byli po mnie?

Ryś zmarszczył brwi, nabrał powietrza i powoli, siląc się na spokój, rzekł:

– Tym razem jednak zagrozili, że jak pojutrze wrócą i nie zastaną cię w domu, to zabiorą twojego ojca.

Blondyn spojrzał na Andrzeja, jakby chciał się upewnić, że to, co przed chwilą usłyszał, jest prawdą. Twarz przyjaciela była jednak kamienną maską, pozbawioną jakichkolwiek emocji. Wyczytał z niej jedynie, że sprawa jest poważna i bardzo trudno będzie znaleźć właściwe rozwiązanie.

– A to skurwysyny! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

– Nie możemy urządzić na nich zasadzki? – spytał Szopen.

Andrzej pokręcił głową.

– Absolutnie nie może im się stać krzywda, w przeciwnym razie zemściliby się na całej rodzinie Jurka.

– Impas – skwitował krótko Wolak, rozpinając guziki płaszcza, gdyż zrobiło mu się za ciepło.

– Twój ojciec powiedział, że masz zostać w lesie. Nie chce, żebyś dostał się w ich ręce.

Jurek spojrzał na przyjaciela.

– Ale przecież nie mogę żyć jego kosztem!

Andrzej nic nie odpowiedział.

Wolak uporał się z ostatnim guzikiem. Wstał, zdjął płaszcz, położył go na stojącej pod ścianą kozetce i powiedział:

– Wybacz, że wtrącam się w wasze rodzinne sprawy, ale chyba rozumiem twojego ojca. Ile on ma lat?

– Czterdzieści osiem – odparł Jerzy.

Wolak pokiwał głową.

– Ja mam już pięćdziesiąt i uwierz mi, że gdybym był na jego miejscu, to postąpiłbym tak samo. Każdy normalny ojciec gotowy jest poświęcić wszystko, nawet życie, dla swojego dziecka. I nie wolno mu tego zabraniać!

– Czy wam wszystkim odebrało rozum?! – krzyknął Jerzy, podrywając się z krzesła. – Mam pozwolić, żeby zabili ojca i co dalej?! Jak będę mógł żyć z tą świadomością?!

Andrzej przez jakiś czas obserwował chodzącego nerwowo po małym pomieszczeniu Jurka. Przypominał mu teraz wściekłe zwierzę zamknięte w za ciasnej klatce.

– Nikt nie powiedział – odezwał się w końcu – że go zabiją. Z tego, co zdążyłem się zorientować, nic na niego nie mają. Może tylko potrzymają go kilka dni, żeby cię nastraszyć, a jak zobaczą, że nic nie wskórali, to wypuszczą?

– Chyba sam nie wierzysz w to, co mówisz!

– Wierzę czy nie, musimy zaryzykować. Nie mamy innego wyjścia. Zapewniam cię, że twój ojciec jest dla mnie ważny i zrobię wszystko, co w mojej mocy, by go ochronić.

– Może ukryjmy go u nas? – zaproponował Szopen.

– Jeżeli to rozwiązałyby sprawę – zaczął tłumaczyć Ryś – to wierz mi, że pan Michał byłby w tej chwili z nami. Zastanów się, co zrobiliby ubecy, gdyby pojutrze nie zastali w domu ani Jurka, ani jego ojca?

W pokoju na chwilę zapanowało milczenie.

– Zabraliby Basię i jej matkę, a całe gospodarstwo puścili z dymem – dokończył cierpko Andrzej.

– Czego od nas oczekujesz? – spytał Wolak.

Dowódca wzruszył ramionami.

– Na pewno nie tego, że za chwilę któryś z was poda mi gotowe rozwiązanie problemu. Proszę jednak, żebyście przez noc zastanowili się nad tym, co wam powiedziałem, i jeżeli przyjdzie wam do głowy jakiś pomysł, to...

– Na pewno cię o tym poinformujemy – przerwał Andrzejowi Wolak. – Jest jeszcze coś.

– Słucham?

– Chłopaki zaczynają się nudzić – zaczął niepewnie, wiedząc, że to nieodpowiedni moment na tego typu sprawy. – Dopytują, kiedy wyruszymy na akcję.

– Muszą jeszcze trochę się wstrzymać. Broni mamy pod dostatkiem, pieniądze też na razie są... – Andrzej zawahał się, po chwili jednak kontynuował: – Powiedz im, żeby się ogolili i odświeżyli, to na niedzielę dostaną przepustkę. W Wólce organizują potańcówkę. W kwestii rozrywek na razie to im musi wystarczyć.

Szopen uśmiechnął się szeroko, jakby już zapomniał o problemach Jerzego i jego rodziny.

– Czy ja również dostanę przepustkę na sobotę?

Andrzej spojrzał na niego z roztargnieniem. Jego umysł zaprzątnięty był teraz dużo ważniejszymi sprawami.

– Przynajmniej ośmiu chłopaków ma zostać tutaj, na miejscu. Reszta może iść na zabawę. – Odwrócił się w stronę Wolaka. – Janek, ty zdecydujesz, kto zostaje, a kto może iść!

Stary komisarz nie był zadowolony, że to jemu przypada ta niewdzięczna rola. Z doświadczenia wiedział, że większość chłopaków zechce pójść na zabawę i trudno mu będzie znaleźć ochotników, którzy zostaną.

– Jeżeli nie macie więcej żadnych pytań, to możecie się rozejść.

Mężczyźni powoli zaczęli opuszczać pokój narad.

– Jurek! – zawołał Andrzej. – Zostań jeszcze chwilę.

Blondyn przepuścił w drzwiach wychodzącego Wolaka, który znowu mocował się z guzikami płaszcza, i wrócił do stołu, przy którym wciąż siedział jego dowódca i przypuszczalnie przyszły szwagier.

7.

Komendant podwarszawskiej komendy Urzędu Bezpieczeństwa z niezadowoleniem spojrzął na pogniecioną koszulę, którą miał na sobie poprzedniego dnia. Podniósł ją z oparcia krzesła i podetknął pod nos. Chwilę wahał, mając nadzieję, że i dzisiaj nadaje się do włożenia. Skrzywił się i z niesmakiem spojrzął na widoczne pod pachami żółte plamy zaschniętego potu. Ze złością zmiął koszulę i rzucił ją na środek pokoju. Usiadł na łóżku. Utkwił wzrok w podłodze i zaczął intensywnie myśleć.

Jego żona zginęła podczas wojny w jednym z nalotów. Tak ją kochał, że wciąż nie mógł o niej zapomnieć, dlatego też nie potrafił spojrzeć na żadną inną kobietę. Coraz częściej jednak zdawał sobie sprawę, że ten stan rzeczy będzie musiał ulec zmianie. Dzisiejszy poranek jeszcze mocniej go w tym utwierdzał. Pognieciona, brudna koszula, niezacerowane skarpetki i brak czegoś ciepłego na kolację znaczyły dla niego dużo więcej niż możliwość przytulenia się do rozgrzanego kobiecego ciała. Powoli w jego głowie dojrzewała myśl, że musi znaleźć sobie żonę. Pensja, którą co miesiąc otrzymywał, nie była niska, ale z całą pewnością nie wystarczyłaby na luksus, jakim jest wynajęcie służącej. Z tych powodów jedynym wyjściem był powtórny ożenek. Sytuacja była o tyle komfortowa, że Hrabski, mężczyzna jeszcze w sile wieku, bo raptem czterdziestojednoletni, nie musiał w swój przyszły związek lokować uczuć. Przy wyborze kandydatki na żonę powinien kierować się raczej rozumem niż sercem. Czysty pragmatyzm mógł mu załatwić zawsze czystą i wyprasowaną koszulę.

Dziś Hrabski znajdował się w nie lada tarapatach. Za godzinę musiał być w pracy, by powitać przysłanego z Warszawy oficera, który przez nie wiadomo jak długi czas miał mu patrzeć na ręce. Nie mógł więc już pierwszego dnia zrobić złego wrażenia na człowieku, który przez cały swój

pobyt tutaj będzie szukał pretekstu, aby dopieć małomiasteczkowemu komendantowi. Dlatego należało czym prędzej znaleźć świeżą bieliznę, koszulę oraz wyczyścić obuwie, żeby w pełnym blasku zaprezentować się przed tą wielkomięską szyczą.

Komendant ciężko podniósł się z łóżka, wciągnął spodnie, złapał stojące na taborecie ocynkowane wiadro i nie zamykając za sobą drzwi, wyszedł z mieszkania. Na korytarzu nie spotkał nikogo z sąsiadów. Szybko zbiegł po schodach i po kilku chwilach znalazł się na podwórzu kamienicy. Odetchnął głęboko świeżym, rześkim powietrzem i skierował się w stronę studni. Napełnił wiadro zimną wodą, a potem ostrożnie, by nic nie rozlać, wrócił do mieszkania. Nie chciał mu się rozpalać pod kuchnią, dlatego ogolił się i umył w lodowatej studziennej wodzie. Miało to tę zaletę, że taka toaleta wpłynęła na niego trzeźwiąco.

Kiedy już zakończył poranne ablucje, wlał trochę wody do emaliowanego, poobijanego kubka, włożył doń grzałkę i czekał, aż się woda zagotuje. Nasypał do środka dwie łyżki chińskiej herbaty i powoli zaczął mieszać łyżeczką. Oddawał się przy tym czynności, która być może nie była jego najmocniejszą stroną, ale bez której pełniona przez niego funkcja nie miałaby racji bytu.

Mieszając herbatę, komendant intensywnie myślał.

Po wielu brzdęknięciach metalowej łyżki o blaszany kubek wyjął ją, oblizał i z pieczołowitością odłożył na stół wyglądający niczym pobjowisko. Podniósł kubek, upił trochę gorącej herbaty, oblizał się i ponownie opuścił mieszkanie. Poszedł na sam koniec korytarza, zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami. Dłonią przecesał włosy, a później energicznie zastukał w drewnianą futrynę. Po chwili za drzwiami mieszkania rozległo się jazgotliwe ujadanie psa. Hrabski skrzywił się mimowolnie. Nie lubił zwierząt, od zawsze wyznawał zasadę, że ludzie i zwierzęta nie powinni mieszkać razem.

– Kto tam? – usłyszał zza drzwi kobiecy głos, próbujący przekrzyczeć wciąż szczekającego kundla.

– To ja, pani sąsiadko – odezwał się równie głośno komendant, bojąc się jednocześnie, że pobudzi sąsiadów, którzy pomyślą, że ma romans z właścicielką czworonoga. – Mam do pani pilną sprawę!

– Już panu otwieram, tylko zamknę w kuchni Marszałka! – odkrzyknęła kobieta.

Hrabski ponownie się skrzywił. Jak bardzo trzeba być popieprzonym, żeby tak nazwać swojego psa! Stał jednak cierpliwie. Wiedział, że nie ma wyjścia. Przede wszystkim musi być miły dla tej wariatki, której nie cierpiał. Zresztą chyba z wzajemnością.

Jego dalsze rozmyślania przerwał zgrzyt zamka oraz skrzywienie otwieranych drzwi, w których ukazała się niewysoka, szczupła kobieta o gęstych ciemnych włosach opadających na ramiona.

– Słucham? – spytała, a Hrabski od razu zrozumiał, że sąsiadka nie zamierza zaprosić go do środka.

– Pani Wandziu... – odezwał się, rozglądając po korytarzu w obawie, że któryś z sąsiadów może przypatrywać się całej tej scenie. Dopiero mieliby powody do plotek. Hrabski, komendant Urzędu Bezpieczeństwa, romansuje z wdową po zaginionym podczas wojny oficerze Wojska Polskiego! – ...mam do pani ogromną prośbę...

Kobieta owinęła się szczelniej szlafrokiem i patrzyła wyczekująco na Hrabskiego, który niespodziewanie zamilkł, jakby zapomniał języka w gębie.

– No niech pan wreszcie powie, o co chodzi? Jak mogę panu pomóc?

– Otóż... mam dzisiaj bardzo ważne spotkanie i potrzebuję świeżej koszuli! – wypalił jednym tchem Hrabski.

Sąsiadka z niedowierzaniem i zaskoczeniem przypatrywała się swojemu porannemu niespodziewanemu gościowi.

– I pomyślałem – kontynuował mężczyzna – że może znajdzie pani u siebie jakąś koszulę po mężu. Byliśmy podobnego wzrostu i pewnie by na mnie pasowała...

Kobieta z niedowierzaniem pokręciła głową.

Hrabski sklął siebie w myślach za idiotyczny pomysł, który przyprowadził go pod te drzwi. Zrezygnowany machnął ręką i zaczął się odwracać, by odejść, kiedy usłyszał nieco rozbawiony głos sąsiadki:

– Proszę, niech pan wejdzie. Myślę, że znajdzie się jakaś odpowiednia koszula.

Komendant odetchnął. Próbował się nawet uśmiechnąć, ale nie bardzo mu to wyszło. Wciąż nie wierząc w to, co usłyszał, wszedł do mieszkania sąsiadki.

8.

Morawski powoli otrząsał się z resztek snu. Odwlekał moment, w którym będzie musiał otworzyć oczy i całkowicie powrócić do realnego świata. Zdawał sobie sprawę, że powrót ten może okazać się niezwykle bolesny. Pod zamkniętymi powiekami przelatywały mu, niczym wyświetlany w kinie film, fragmenty wczorajszego wieczoru. Ponownie rozkoszował się widokiem pięknej Wiery, z którą przetańczył bez mała pół nocy. W przerwach pomiędzy jednym a drugim tangiem wracali do baru, wypijali kolejne porcje alkoholu i pogrążali się w rozmowie, zdradzając sobie tajemnice, o których istnieniu sami do tej pory nie wiedzieli. Nikodem zastanawiał się, który moment ostatnich dwunastu godzin był najpiękniejszy. Czy chwila, w której ujrzał dziewczynę w czerwonej sukience? Czy pierwszy taniec, kiedy ich ciała przywarły do siebie i oboje zrozumieli, że mogliby trwać tak na wieki? A może ostatnia część wieczoru, będąca ukoronowaniem wszystkiego, kiedy to w hotelowym pokoju zdejmował z Wiery bieliznę i pieścił językiem każdą część jej ciała, oddając tym samym hołd pięknu, które skumulowało się w tej dwudziestoletniej pół Polce, pół Rosjance?

Nie wiedział.

Wiedział natomiast to, że po raz pierwszy w życiu naprawdę się zakochał. Ubiegła noc, mimo że ilość wypitego alkoholu spowodowała, iż nie wszystko pamięta, należała do najszczęśliwszych, jakie dotychczas przeżył.

Najpiękniejsze było to, że Wiera leżała teraz obok niego. Swoje szczęście miał na wyciągnięcie ręki.

Nie otwierając oczu, przesunął dłoń po wielkim hotelowym łóżku, szukając po omacku swojej ukochanej. Już po chwili ją odnalazł. Uśmiechnął się i zaczął delikatnie głaskać włosy dziewczyny. Gdy nie

zareagowała na jego pieśczoły, poczał wolno przesuwać dłoń coraz niżej.

Nagle poczuł coś lepkiego i mokrego. Otworzył oczy. Nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Chciał krzyknąć, ale głos uwiązł mu w gardle. Przez chwilę łudził się jeszcze, że to wszystko jest dalszą częścią jego snu, który teraz przerodził się w koszmar.

Obok niego leżała Wiera. Jej ciemne włosy były rozrzucone na poduszce. Twarz kobiety wykrzywiał grymas bólu. Nikodem spojrział na jej piersi, które jeszcze kilka godzin temu delikatnie pieścił. To, co ujrzał, bynajmniej nie wprawiło go w rozkoszne drżenie wywołane podnieceniem. Piersi kobiety miały obcięte sutki. Morawski podniósł się błyskawicznie z łóżka. Poczuł, jak dygoczą mu nogi. Zmusił się, by raz jeszcze dokładnie przyjrzeć się ukochanej. Cały jej brzuch zalany był krwią. Kilka centymetrów nad pępkiem miała wbity szpikulec do rozdrabniania lodu.

Jak w kalejdoskopie Nikodemowi migają przed oczami obrazki z ubiegłej nocy. Widział siebie zamawiającego przez telefon butelkę szampana dla Wiery, widział, jak otwiera na oścież okno, by wpuścić trochę świeżego nocnego powietrza. Później usłyszeli pukanie do drzwi. Wiera nakryła się kołdrą, gdyż namiętny kochanek zdążył już zdjąć z niej ubranie. W progu stanął spieszony boy hotelowy. Przed sobą pchał wózek, na którym stały dwa wysokie kieliszki oraz wiaderko wypełnione lodem wraz z butelką chłodzącego się tam szampana, a obok leżał ostry szpikulec. Po wyjściu chłopaka z obsługi Nikodem wziął do ręki szpikulec i z ciekawością mu się przyglądał. Nagle tuż przy uchu usłyszał szept Wiery, która tłumaczyła mu, do czego służy ostre narzędzie będące przedmiotem jego zainteresowania. Morawski trochę zły na siebie, że w oczach kochanki wyszedł na nieobytego ignoranta, ze złością wbił szpikulec w lód.

A później...

Nikodem otworzył oczy. Jeszcze przez jakiś czas próbował sobie przypomnieć, co wydarzyło się po tym, kiedy skończył się kochać z Wierą. Nic nie pamiętał. Zdarzało mu się to już nieraz po suto zakrapianych alkoholem wieczorach, jednak dzisiejsza amnezja była mu szczególnie nie na rękę.

Pochylił się nad leżącą we krwi kobietą. Chwycił rękojeść szpikulca wystającą z brzucha ofiary i szybkim ruchem go wyciągnął. Z rany wypłynął strumyk krwi. Intensywnie wpatrywał się w narzędzie zbrodni, mając nadzieję, że pomoże mu ono przypomnieć sobie jakieś szczegóły

z ostatniej nocy. Nie zwrócił uwagi, że jego prawa dłoń cała jest unurzana w krwi. Stał i tępo patrzył na zakrwawiony kawałek metalu. Wiedział, że znalazł się w beznadziejnej sytuacji. Trudno mu będzie przekonać władzę, że to nie on zabił Wierę. Musi coś zrobić! Tylko co? Ucieczka nie wchodziła w grę, jedynie pogorszyłaby jego i tak już beznadziejną sytuację.

Kiedy jakiś czas później drzwi pokoju otworzyły się z impetem, odruchowo zerknął na wbiegających do środka mężczyzn. Zauważył, że dwóch z nich ma na sobie milicyjne mundury, natomiast trzeci ubrany jest po cywilnemu. Widok wycelowanych w niego pistoletów nie zrobił na nim większego wrażenia.

– Rzuć to i odsuń się od łóżka! – krzyknął jeden z milicjantów.

Nikodem spojrzał na niego. W jego wzroku musiało być coś, co przeraziło młodych funkcjonariuszy. Jednemu z nich lekko zaczęła drżeć ręka, w której trzymał pistolet. Drugi natomiast na chwilę przeniósł spojrzenie z Morawskiego na leżącą we krwi Wierę. To był błąd, gdyż od tej pory młody chłopak nie potrafił już w pełni skoncentrować się na stojącym przy ciele zamordowanej mężczyźnie. Nikodem wiedział, że z tymi dwoma poradziłby sobie bez większego problemu. Prawdziwym zagrożeniem był ten trzeci. Wprawdzie nie wyjął broni, ale w przeciwieństwie do swoich podwładnych był czujny i nawet na chwilę nie spuścił wzroku z Morawskiego.

– Spokojnie... – odezwał się głosem, w którym pobrzmiwały tysiące wypalonych papierosów i morze wypitego alkoholu. – Nie chcemy tutaj żadnych niepotrzebnych problemów, prawda?

Nikodem ocknął się z amoku, w jakim trwał przez kilka ostatnich minut. Zrozumiał, że w tej chwili jego położenie jest naprawdę bardzo trudne. Rozluźnił uchwyt i upuścił na miękki dywan narzędzie zbrodni.

– Dobrze – pochwalił go tajniak, a jego słowa zabrzmiały jak te wypowiedane przez tresera do nader agresywnego i nieobliczalnego zwierzęcia – a teraz podnieś obie ręce i powoli, bez żadnych gwałtownych ruchów połóż się na podłodze.

Morawski podniósł ręce, a następnie powoli położył się na dywanie. Zamknął oczy. Czekał. Już nie próbował przypomnieć sobie tego, czego nie pamiętał z ubiegłej nocy. W tej chwili myślał jedynie nad tym, czy uda mu się przekonać śledczych, że to nie on zabił Wierę.

– Skuć go! – ponownie usłyszał gdzieś tam nad sobą ten chropawy, mało przyjemny głos.

Chwilę później poczuł, jak jeden z milicjantów siada na nim okrakiem i w mało delikatny sposób krzyżuje mu ręce na plecach. Sam robił to niejednokrotnie, a w przypadku osób, które uważał za szczególnie zwyrodniałe i niebezpieczne, starał się zadać jak najwięcej bólu. Młody funkcjonariusz postępował z nim teraz podobnie. Kajdanki, które mu założył, ścisnął na tyle mocno, że ich obręcze tak mocno wbijały się w przeguby, iż tamowały dopływ krwi do dłoni. Morawski uśmiechnął się bezsilnie.

– Podnieście go!

Gwałtowne szarpnięcie poderwało Nikodema z podłogi. Stał podtrzymywany z obu stron przez milicjantów. Tajniak podszedł do niego. Jego twarz poznaczona była śladami po ospie. Oddech cuchnął nikotyną i niestrawionym alkoholem.

– Wreszcie cię dorwaliśmy, gagatku! – powiedział mężczyzna w garniturze, po czym wymierzył więźniowi mocny cios w brzuch.

Morawski zgiął się wpół. Przez chwilę nie mógł złapać powietrza.

– Do samochodu z nim i wracamy na komisariat!

Milicjanci pociągnęli Nikodema w stronę drzwi. Zanim opuścili pokój, udało mu się obrócić głowę i po raz ostatni spojrzeć na ciało kobiety, którą w ciągu ostatnich dziesięciu godzin zdążył poznać, pokochać oraz stracić.

9.

Twarde zawieszenie wojskowego gazika w połączeniu z mało wygodnymi siedzeniami obciągniętymi sztuczną skórą, która nagrzana promieniami słońca oddawała ciepło plecom pasażera, sprawiało, że Edward Jastrzębski czuł duży dyskomfort. Do tego te cholerne wiejskie drogi. Brak opadów przez ostatnich kilka dni spowodował, że kurz unoszący się spod kół wdzierał się wszędzie. Jastrzębski rozparł się na siedzeniu obok kierowcy. Cały tył gazika zawałony był jego bagażami. Ktoś wysoko postawiony w Warszawie w końcu dobrał mu się do dupy i załatwił przeniesienie na prowincję. Oznajmiono mu, że to tylko tymczasowo, Jastrzębski nie był jednak na tyle naiwny, by w to uwierzyć. Dlatego spakował wszystko, co uważał za przydatne, i zabrał ze sobą. W stolicy już zdążył się zaaklimatyzować i jako tako urządzić. Wprawdzie urodził się i wychował w niewielkiej miejscowości w centralnej Polsce, ale bez najmniejszych problemów polubił wielkomiejski styl życia. A teraz został skazany na to cholerne zadupie, otoczone lasami, w których roiło się od reakcyjnych bandytów. Powiedziano mu, że powinien być dumny z tego, iż to właśnie jego oddelegowano do wytropienia i zlikwidowania bandy Rysia.

Jeszcze teraz, mimo głośnego warkotu silnika samochodowego, w uszach pobrzmiwały mu słowa, którymi zegnał go sekretarz Komitetu Centralnego: „Darzymy was ogromnym zaufaniem oraz pokładamy wiarę w wasze umiejętności w radzeniu sobie z bandytami spod znaku Andersa. Niejednokrotnie miałem okazję czytać raporty z przeprowadzanych przez was akcji i muszę przyznać, że za każdym razem czułem ogromną dumę z tego, że ktoś taki jak wy pracuje dla nas!”.

Edward bynajmniej nie podzielał entuzjazmu swoich przełożonych. Nawet zapewnienie, że ma zielone światło dla wszelkich działań nie przynosiło mu żadnej ulgi. W Warszawie nie miał zbyt wielu przyjaciół. W

sumie oprócz dwóch lub trzech kolegów, z którymi mógł czasem napić się wódki, to nie miał nikogo. Większość tych, z którymi się stykał, nie lubiła go, wręcz tylko czekała, aż powinie mu się noga. Zazdrościli mu odnoszonych sukcesów. Ponadto nie podobało im się to, że „Jastrząb”, bo tak go wszyscy nazywali, nie potrafi się przed nikim otworzyć. Uważali, że coś ukrywa. Bali się, że ma na każdego jakieś kompromitujące informacje. Powoli zaczęli się od niego odsuwać. Edwardowi to nie przeszkadzało, z natury był bowiem samotnikiem. Cały swój czas poświęcał pracy, którą przerywał jedynie po to, żeby przespać się kilka godzin. Ale nawet wtedy nie potrafił wypoczywać. Zасыpiając, myślał o ludziach, których aktualnie tropił. Myśli te zamieniały się później w sny, sny w koszmary, koszmary w rzeczywistość.

Był naprawdę dobry w tym, co robił. Idealnie potrafił odnaleźć się w miejskiej plątanie uliczek, zrujnowanych przez wojnę domów, podłych spelunek, bram, w których wystawali mężczyźni przerażający samym swym widokiem. Ofiara, którą tropił, nie miała szans mu umknąć. Nie było miejsca, w którym by jej nie odnalazł. Kiedy tylko trafił na ślad tropionego przez siebie bandyty, to już go nie zgubił. Był niczym krążący nad ofiarą jastrząb, który zaatakuje w najmniej spodziewanym momencie. Teraz najwyraźniej zbyt długo sprzyjało mu szczęście. Musiał nadepnąć na odcisk komuś, kto miał wysoko postawionych znajomych, i przeniesiono go do pracy z dala od stolicy.

Edward czuł, jak koszula przylepia mu się do pleców. Odchylił się, sięgnął ręką do tyłu. Wszystko mokre. Jedyłą ulgę przynosił pęd powietrza chłodzący twarz podczas umiarkowanie szybkiej jazdy. Nieutwardzone drogi pełne wybojów, na których gazik co chwilę podskakiwał, wprawiały Edwarda we wściekłość. Zwykle nie dawał ponieść się jakimkolwiek emocjom. Zawsze starał się być opanowany. Dzisiaj jednak coś w nim pękło, miał ochotę na kimś lub na czymś wyładować swoją wściekłość. Mocniej ścisnął kolbę pepeszy, którą trzymał na kolanach, i uważnie zaczął przyglądać się lasom, między którymi biegła droga. Po twarzy swojego kierowcy widział, że ten chciałby już znaleźć się na otwartej drodze, gdzie nie groził im atak leśnych band, często strzelających spomiędzy drzew do przejeżdżających tędy wojskowych gazików. Edwardowi było to obojętne. Od dawna nie czuł strachu. Stracił tych, których kochał, a o swoje życie nie dbał. Czasami wręcz świadomie szukał śmierci. Być może dlatego do tej pory go omijała, zabierając wszystkich dookoła, tylko nie jego.

– Zatrzymaj samochód! – powiedział nagle do kierowcy. – Muszę się odpryskać!

– Ale obywatelu poruczniku – młody żołnierz odwrócił się w stronę Jastrzębia, z twarzy odpłynęła mu cała krew – może lepiej będzie, jak wyjedziemy z tego lasu? Tu jest trochę niebezpiecznie.

– Szeregowy – Edward uśmiechnął się, odsłaniając przy tym rząd równiutkich białych zębów – chyba nie chcecie, żebym złał się w gacie, co?

Żołnierz zastanawiał się przez chwilę. W sumie to zrobiłby wszystko, żeby minąć już ten cholerny las, w którym z pewnością roiło się od bandytów. Nie mógł jednak sprzeciwić się przełożonemu. Dużo słyszał o Jastrzębskim, słynącym z brawurowych akcji i szalonych pomysłów. Gdyby ten świr kazał mu się zatrzymać i iść razem z nim nazbierać jagód, to też nie miałby wyjścia, zesrałby się ze strachu, ale musiałby iść. Wrzucił luz i powoli, delikatnie zaczął naciskać hamulec. Samochód zwolnił, aż w końcu zatrzymał się przy gęstej kępie drzew. Edward zwinnie wyskoczył na drogę. Chwilę rozprostowywał kości.

– Wam też radzę odcedzić kartofelki – powiedział do kierowcy. – Przed nami jeszcze co najmniej godzina jazdy.

Szeregowy pokręcił głową, dając przełożonemu do zrozumienia, że nie musi. Jastrzębski uśmiechnął się i skierował w stronę lasu. Po chwili zniknął między drzewami. Kierowca z przerażeniem zauważył, że Jastrzęb nie zabrał ze sobą pepeszy, która leżała teraz na przednim fotelu.

– Ja pierdołę! – zaklął pod nosem, odbezpieczając pozostawioną broń.

Rozglądał się nerwowo, w każdej chwili oczekując strzałów spomiędzy drzew. Mijały minuty, a Jastrzębski nie wracał. Kierowca denerwował się coraz bardziej. Na czoło wystąpiły mu grube krople potu. Silnik gazika pracował miarowo, wóz w każdej chwili mógł jechać dalej.

Gdzie ten wariat? – zastanawiał się szeregowy. Spojrzał na zegarek, był pewien, że od odejścia Jastrzębskiego minął już przynajmniej kwadrans, tymczasem okazało się, że upłynęło zaledwie pięć minut.

Nagle poruszyły się gałęzie drzew parę metrów przed samochodem. Żołnierz skierował w ich stronę lufę gotowej do strzału pepeszy.

– Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy, żeby do mnie strzelać! – usłyszał zza drzew głos swojego pasażera.

Odetchnął z ulgą. Opuścił broń. Z lasu wyłonił się idący lekko rozkołysanym krokiem Jastrzębski. Przystojny blondyn mający ponad metr osiemdziesiąt wzrostu uśmiechał się, przyglądając wystraszonej twarzy szeregowego.

– Podobno te lasy pełne są reakcjonistów – powiedział, wskakując na przednie siedzenie. – Dziwne, że do tej pory nie spotkaliśmy ani jednego, prawda?

Szeregowy przełknął ślinę. Wrzucił bieg, dodał gazu, puścił sprzęgło i gazik oderwał się od pobocza.

– Ma obywatel porucznik rację – potwierdził cicho – to naprawdę dziwne.

Jastrzębski roześmiał się głośno, klepnął kierowcę w plecy, wygodnie rozparł się na fotelu i zamykając oczy, powiedział:

– Obudźcie mnie, jak będziemy dojeżdżali!

– Tak jest! – krzyknął szeregowy. Nie wiedział, czy podziwiać odwagę tego człowieka, czy ubolewać nad jego lekkomyślną brawurą.

10.

Hanka szybko przebiegła podwórze i skierowała się w stronę zabudowań gospodarczych. Minęła stajnię, odwróciła się, by sprawdzić, czy nikt jej nie widzi, i podeszła do małej szopy służącej za składzik na narzędzia. Na drzwiach wisiała kłódka. Nie była ona jednak przeszkodą dla dziewczyny, która sięgnęła za dekolt bluzki i wyjęła stamtąd mały kluczyk zawieszony na szyi. Był on dla niej cenniejszy niż jakikolwiek łańcuszek, którymi zwykły obwieszać się panny w jej wieku.

Otworzyła kłódkę i błyskawicznie wsunęła się do szopy. Pomieszczenie nie było zbyt wielkie, miało około dziewięciu metrów kwadratowych powierzchni. Na ziemi leżały różnego rodzaju narzędzia ogrodowe – grabie, łopaty, motyki, a także kosze wiklinowe, w rogu z kolei stały dwa wózki do przewożenia siana czy słomy na podściółkę dla zwierząt. To wszystko jednak w ogóle nie interesowało Hanki. Dla niej najważniejsze było małe poddasze, na które wchodziło się po drabinie.

Dziewczyna zwinnie wdrapała się na górę, usiadła na starym kocu, który przyniosła tutaj pięć lat temu, odetchnęła głęboko i zaczęła się wszystkiemu przyglądać, jakby wierzyła, że uda jej się ten widok na zawsze zatrzymać pod powiekami. Gdy w wieku trzynastu lat odkryła to miejsce, czuła się jak Mary z *Tajemniczego ogrodu*. Przychodziła tu często, by w samotności rozmyślać nad losami bohaterek i bohaterów książek, które zachłannie czytała. To tutaj, na tym stryszku, w wieku czternastu lat odkryła swoją kobiecość. Leżąc na kocu i wpatrując się w sufit, o który uderzały krople deszczu, niejednokrotnie żałowała, że nie ma rudych włosów, bo być może wtedy zakochałby się w niej taki przystojniak jak Gilbert Blythe.

Pewnego popołudnia dowiedziała się, że to miejsce nie należy tylko do niej. Miała już piętnaście lat i w tajemnicy przed mamą, która kazała jej

czytać dzieła Szekspira w oryginale, by jeszcze lepiej powiczyć język angielski, zabierała ze sobą opasy tom dramatów mistrza i mówiła, że idzie nad rzekę, by tam czytać. Tymczasem przychodziła do narzędziowni, wdrapywała się na strych, spod koca wyciągała książkę, którą w tajemnicy podkraśla z biblioteki rodziców i często aż do zmierzchu oddawała się lekturze powieści *Przeminęło z wiatrem*. Płakała przy tym nad miłością Scarlett O'Hary i Rhetta Butlera.

Zdawała sobie sprawę, że główna bohaterka książki Margaret Mitchell nie jest osobą krystaliczną, ale właśnie to sprawiało, że Hanka polubiła ją jeszcze bardziej.

Jednego z ciepłych słonecznych dni, kiedy z wypiekami na twarzy czytała o miłosnych perypetiach Scarlett i Rhetta Butlera, usłyszała, jak ktoś otwiera drzwi do narzędziowni. Nie zdziwiło jej to, gdyż ogrodnik co jakiś czas zaglądał tutaj, by zabrać narzędzia. Wiedziała, że na górze nic jej nie grozi, ponieważ za każdym razem wciągała na stryszek drabinę, żeby nikt nie mógł się tam dostać podczas jej obecności. Po chwili jednak już wiedziała, że tym razem to nie ogrodnik wszedł do szopy. Z dołu zaczęły dobiegać do jej uszu najpierw przytłumione szepty dwojga ludzi, a później głośne sapanie, kojarzące się dziewczynie z przyspieszonym oddechem sportowca, który właśnie zakończył bieg na tysiąc pięćset metrów.

Ostrożnie wychyliła się, by sprawdzić, co się dzieje na dole. Widok, jaki ukazał się jej oczom, sprawił, że omal nie parsknęła śmiechem. Grzegorz, parobek ojca, przyciskał do ściany szopy ich kucharkę, Małgorzatę. Mężczyzna miał opuszczone do kostek spodnie i świecił bladym tyłkiem, którym wykonywał teraz posuwisto-zwrotne ruchy. Małgorzata miała przymknięte oczy i czerwoną twarz przypominającą rozgrzany zimą piec. Ręką, w której zwykle trzymała wielką drewnianą chochlę, uderzała teraz mocno w plecy parobka, jakby poganiała go do jeszcze bardziej wytężonego wysiłku. Oboje sapali głośno niczym lokomotywa z wiersza Tuwima. Hanka zakryła dłonią usta, by nie roześmiać się i tym samym nie zdradzić swojej obecności.

Tego popołudnia zrozumiała, że życie i literatura nie idą ze sobą w parze. Romantycznych uniesień Scarlett i Rhetta nijak nie dało się porównać ze spotkaniem parobka i kucharki w szopie na narzędzia.

Hanka uśmiechnęła się do swoich wspomnień. Oczy zaszły jej mgłą, czuła, jak wzbierają w nich łzy. Za wszelką cenę musiała je powstrzymać. Nie może pozwolić sobie na taką oznakę słabości. Wystarczy, że ojciec

okazał się człowiekiem słabym, który pozwala odebrać sobie to, co przez całe pokolenia należało do jego rodziny. Ona nigdy taka nie będzie. Przysunęła się do ściany szopy. Przez wąską szparę pomiędzy deskami widziała cały dworek należący do szlacheckiej rodziny Bralewskich. Dziewczyna długo przyglądała się budynkowi, w którym przyszła na świat i w którym wyrastała. Gdy wreszcie odsunęła się od ściany, w jej oczach nie było już śladu po wzbierających wcześniej łzach. Spod koca wyjęła papierosa, które przynosił jej zakochany po uszy chłopak z pobliskiej wioski, Marek Brodzki. Ten na wskroś uczciwy młodzieniec, przesiąknięty ideałami wpajanymi mu przez ojca piłsudczyka, zrobiłby dla niej wszystko. Dlatego, chociaż był jej całkowicie obojętny, nie dawała mu tego odczuć. Kto wie, być może jeszcze kiedyś będzie potrzebowała jego pomocy. Zapaliła papierosa i zaciągnęła się z przyjemnością. Jeszcze jedna rzecz, której nie powinna robić dziewczyna z dobrego domu – pomyślała z satysfakcją i sięgnęła po słoik wypełniony do połowy wodą. Odkręciła zakrętkę i strząsnęła do środka popiół z papierosa.

– Jeszcze tu wrócę! – powiedziała na głos, kiedy już skończyła palić i szykowała się do opuszczenia miejsca, które miało dla niej ogromną wartość sentymentalną.

11.

Komendant odpiął guzik przy kołnierzyku koszuli, którą pożyczył od sąsiadki. Dopił stojącą na biurku herbatę, jeszcze raz upewnił się, że w jego pokoju panuje odpowiedni porządek, i przeszedł do pomieszczenia, w którym przebywali podkomendni. Dziś kazał się stawić do pracy całej piętnastce funkcjonariuszy, których miał do dyspozycji. Wszystkim udzieliło się nerwowe oczekiwanie na przyjazd oficera ze stolicy. Każdego nurtowało, jaki będzie ten nowy. Nikt jednak nie spodziewał się po nim zbyt wiele dobrego. Przyzwyczaili się już pracować pod rozkazami Hrabskiego, którego uważali za równego chłopa, nieczepiającego się swoich ludzi z byle powodu. Zdawali sobie sprawę, że teraz szef, chcąc wykazać się przed oficerem z Warszawy, może traktować ich surowiej niż do tej pory.

Komendant w milczeniu przemierzył pokój i wyszedł przed budynek komendy. Majowe słońce prażyło niemiłosiernie. Ciasny kołnierzyk koszuli wciąż go uwierał, nie mógł jednak sobie pozwolić na odpięcie jeszcze jednego guzika, musiał dobrze zaprezentować się przed nowo przybyłym. Z kieszeni marynarki wyciągnął zmięte pudełko pokruszonych papierosów bez filtra. Zapalił i od razu zaschło mu w gardle. Chciał jednak czymś się zająć. Na biurku w gabinecie obok umytej popielniczki leżało specjalnie zakupione na dzisiejszą okazję pudełko gabinetowych. Teraz musiał zadowolić się gorszej jakości machorką, dopiero przy gościu pozwolił sobie na papierosy z wyższej półki. Hrabski splunął kawałkami tytoniu, które przykleiły mu się do ust.

– Czemu nie zaczniesz kupować fajek z filtrem? – usłyszał za sobą głos swojego zastępcy, Czesława Kowalika. – Albo chociaż pal je przez cygarniczkę.

Hrabski popatrzył na poślinioną, mokrą końcówkę papierosa, z której

wystawały kolejne kawałki brązowego, grubo pociętego tytoniu.

– Może i masz rację – powiedział, pstrykając niedopałkiem przed siebie. – Wiadomo coś już o Brodzkim?

– Wczoraj, jak u nich byłem, to stary wyglądał na trochę przestraszonego, zwłaszcza jak mu napomknąłem, że powinien bardziej pilnować swojej córki.

– Kurwa, Czesiek! – Komendant odwrócił się do niego ze złością. – Ile lat znasz starego Brodzkiego?

Mężczyzna zastanawiał się przez chwilę.

– Odkąd pamiętam – odparł w końcu. – Mój ojciec, jak jeszcze żył, to się z nim przyjaźnił...

– No właśnie – wszedł mu w słowo Hrabski. – A ty teraz jesteś takim skurwysynem, że grozisz jego córce? Już wystarczy, że chcemy dopaść jego syna!

Kowalik przyglądał się w milczeniu przełożonemu.

– Albo tak bardzo się denerwujesz dzisiejszym przyjazdem tego nowego, albo zaczynasz mięknąć, Wacek.

Hrabski przetarł dłonią spocone czoło. Wiele by dał za zimny kufel królewskiego w Gospodzie Ludowej. Wiedział jednak, że nie może sobie teraz na to pozwolić.

– Nie mięknę, Czesiu – rzekł, patrząc w nieco rozbiegane oczy zastępcy. – Staram się jedynie nie zapominać, że wychowałem się wśród tych ludzi, i mimo funkcji, jaką sprawuję, nie chcę być dla nich zanadto okrutny. Wystarczy, że sześć lat okupacji dało im nieźle w dupę!

– Jak tam uważasz, Wacek. – Kowalik wzruszył ramionami. – Jeśli mam być jednak zupełnie szczery, to nie podoba mi się twój sposób myślenia. Ludzie muszą się bać, inaczej nie będą nas szanować!

Hrabski miał już dość tej rozmowy. On i Kowalik, pomimo że znali się od dzieciństwa i wiele razem przeszli, reprezentowali dwa różne światopoglądy.

– Myślisz, że Jurek się do nas zgłosi? – spytał Hrabski, chcąc nieco zmienić temat.

Kowalik zmrużył oczy, wpatrując się w jakiś daleki punkt na horyzoncie. Przed nimi rozpościerała się droga, którą miał nadszednąć oficer z Warszawy. Wszyscy spodziewali się go wcześniej rano, tymczasem

mijało południe, a jeszcze nie dotarł.

– Ma czas do jutra, ale nie wydaje mi się, żeby przyszedł. – Zastępca komendanta splunął gęstą śliną na ziemię. – A wtedy trzeba będzie zabrać starego.

Hrabski w milczeniu pokiwał głową. Powoli miał już dość swojej pracy. Zaczynając ją, inaczej sobie to wszystko wyobrażał. Później tłumaczył sobie, że UB robi porządek, bez którego nijak nie da się zaprowadzić nowego ładu. Dzisiaj nic nie było dla niego jasne i zrozumiałe. Zaczynał się w tym wszystkim gubić. A teraz dodatkowo ten cholerny oficer z Warszawy. Wszystko pomału wymykało się spod kontroli. Myślał, że w prowincjonalnym Urzędzie Bezpieczeństwa bez większych problemów przepracuje kilka lat, a później odejdzie na emeryturę. Perspektywa emerytury zaczęła się jednak oddalać. Prędzej dostanę kulkę w łeb od partyzantów z lasu albo od moich mocodawców, którzy uznają, że jestem zbyt łagodny dla wrogów systemu – pomyślał z goryczą.

– Gówno to wszystko warte! – wycedził pod nosem.

– Co mówisz? – spytał wyrwany z zadumy Kowalik.

Hrabski zamiast odpowiedzieć, zaczął uważnie wpatrywać się w mały punkcik daleko przed nimi na drodze. Punkcik ów wyraźnie się przybliżał, z każdą chwilą stając się coraz większy. Po kilkudziesięciu sekundach można już było rozpoznać w nim samochód jadący z dość dużą prędkością wśród tumanów kurzu.

– Powiedz chłopakom, żeby wyszli – rzekł Hrabski, zapinając ostatni guzik przy kołnierzyku koszuli. – Niech się ustawią w szeregu przed wejściem do komendy!

Kowalik bez słowa wbiegł do budynku. Po chwili wysypali się z niej wszyscy funkcjonariusze i zaczęli ustawiać w szeregu.

Silnik gazika słychać było coraz wyraźniej. Hrabski nerwowo przełykał ślinę. Cieszył się, że w końcu będzie miał to już za sobą. W tym momencie przestał nawet odczuwać jakikolwiek stres.

Spowity chmurą kurzu samochód zajechał na plac przed komendą UB i zahamował gwałtownie. Ludzie Hrabskiego wyprostowali się, stając na baczność. Komendant z ciekawością przyglądał się pasażerowi gazika, ale niewiele mógł dostrzec, musiał poczekać, aż wzbity w powietrze kurz nieco opadnie. Nim zdążył się zorientować, w jego kierunku zmierzał już wysoki, szczupły blondyn, ubrany w cywilne ubranie.

– Gdzie komendant? – spytał oschle.

Hrabski poczuł się nieco urażony tym, że mężczyzna nie zorientował się, iż to on pełni tutaj zaszczytną funkcję komendanta UB.

– Waclaw Hrabski! – rzekł, wyciągając prawicę w stronę nowo przybyłego. – Miło mi pana powitać w imieniu tutejszej komendy Urzędu Bezpieczeństwa!

Jastrzębski popatrzył na niego przez chwilę, po czym ucisnął wyciągniętą dłoń.

– Co tu za szopki odstawiacie?! – spytał, wskazując na stojących na baczność podkomendnych Hrabskiego. – Czy wasi ludzie nie mają nic pilniejszego do roboty niż stanie w tym upale i czekanie, aż ich bandyci powystrzelają?!

– Melduję, że wszyscy wyszli, ponieważ rozkazałem im, żeby godnie przywitali pana, poruczniku... – tłumaczył się zmieszany Hrabski.

Oficer pokiwał głową.

– Proszę mnie zaprowadzić do swojego gabinetu!

– Tak jest!

– Kierowca też niech wejdzie do środka, aby trochę odpocząć. Samochodu niech popilnują dwaj z waszych ludzi!

– Oczywiście – odparł ochotczo komendant, spoglądając wymownie na Kowalika, który skinieniem głowy dał do zrozumienia, że wszystkim się zajmie. – Proszę za mną!

Hrabski pchnął drzwi i przepuścił gościa z Warszawy, który nie czekając na zaproszenie, zasiadł na krześle przy biurku.

– Jak podróż? – spytał komendant, chcąc nawiązać rozmowę.

– Gdyby nie upał i kurz, byłoby całkiem znośnie – odpowiedział Jastrzębski, bez skrępowania rozglądając się po gabinecie. – Skromnie tu macie.

Burak! – pomyślał Hrabski i uśmiechnął się.

– Cóż, to nie stolica, a jedynie mała prowincjonalna miejscowość. Nie ma co spodziewać się luksusów...

– Nie to miałem na myśli – odparł szybko Edward. – Przywykłem do skromnego i twardego życia, poza tym nie przyjechałem tutaj, aby wypoczywać. – Przerwał, by utkwić wzrok w komendancie. – Prawdę

powiedziawszy, przysłało mnie tutaj, żeby pomóc wam uporać się z bandą Rysia!

Hrabski się uśmiechnął. Wskazał głową na stojącą na biurku tacę z dzbankiem wypełnionym wodą i dwie szklanki.

– Może zechce pan spłukać z gardła kurz?

– Myślałem, że epoka panów skończyła się wraz z upadkiem sanacji! – Jastrząb spojrzawszy wymownie na komendanta, po chwili już łagodniejszym głosem dodał: – Nalejcie mi, towarzyszu.

– A wracając do bandy Rysia – zaczął Hrabski, napełniając szklankę – pomoc waszą doceniam, ale zapewniam, że i bez niej byśmy sobie poradzili.

– Nie wątpię, towarzyszu – rzekł, odbierając z rąk komendanta szklankę. – Już na pierwszy rzut oka można rozpoznać w was nie lada wywiadowcę, który niejednego bandytę z lasu wyciągnął.

Słowa te były wypowiedziane na tyle poważnym tonem, że Hrabski poczuł się nimi mile połączony. Przez moment pomyślał nawet, że może ten oficer wcale nie będzie taki zły, jak się wszystkim wydawało.

– Powiedzcie mi tylko jedno – kontynuował Jastrzębski nieco cichszym głosem. Hrabski nachylił się przez biurko w jego stronę, aby lepiej słyszeć. – Dlaczego, do ciężkiej cholery, macie na sobie koszulę, jaką w czasie wojny nosili sanacyjni oficerowie?!

Komendant pobladł. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Uznał bowiem, że jego tłumaczenia zabrzmiałyby naiwnie i mało wiarygodnie.

– Mniejsza o to. – Oficer machnął ręką. – Na dziś wieczór chciałbym dostać wszystkie akta dotyczące Rysia i jego bandy. Jutro w południe zrobimy odprawę, na której wspólnie wypracujemy dalszy ciąg działań. A teraz proszę mi wskazać, gdzie przez najbliższe dni będę mógł mieszkać.

– Oczywiście. – Hrabski wstał energicznie z krzesła, rad, że to męczące spotkanie dobiega końca. – Akurat dzisiaj zwalnia się pewne lokum, wprawdzie znajduje się ono blisko wsi, do której jeszcze w ubiegłym lecie zagładali leśni, ale nie będziecie tam sami.

Jastrzębski z zaciekawieniem patrzył na komendanta.

– Daleko stąd?

– Niecałe cztery kilometry. Zaraz tam pojedziemy. Jest to dworek, z którego wyeksmitowano przedwojenną rodzinę. Duża i naprawdę ładna

posiadłość. Jej budynki gospodarcze będą w lecie służyły kilkudziesięcioosobowemu oddziałowi KBW, który najpóźniej pojutrze powinien się tam zameldować. Pan i dowódca oddziału zajmiecie, ma się rozumieć, pokoje we dworze.

Edward słuchał uważnie. Nie do końca podobało mu się, że będzie musiał mieszkać w tak bliskim sąsiedztwie żołnierzy. Równie dobrze mogliby go zakwaterować w koszarach. Postanowił jednak nie narzekać. Odwiedzana przez partyzantów wioska dawała mu duże możliwości, aby ruszyć z miejsca śledztwo w sprawie leśnych band, a tym samym schwytać ich przywódcę i jak najrychlej powrócić do stolicy.

– Jedźmy więc tam! – powiedział, chcąc jak najprędzej się rozpakować, zmyć z siebie kurz i trochę odpocząć przed całonocnym czytaniem akt Rysia.

12.

Trzystuwatowa żarówka skierowana prosto w twarz Morawskiego nie dość, że oślepiła swym światłem, to w dodatku nagrzewała skórę, powodując nieprzyjemne mrowienie. Nikodemowi przypomniało się, jak kiedyś, dawno temu, gdy był małym chłopcem, zastanawiał się, co czują młode kurczęta przemykające pod olbrzymią rozgrzaną żarówką. Teraz wydawało mu się, że to wszystko działo się w innym życiu. Świat jego beztroskiego dzieciństwa na zawsze zniknął za ciężką kurtyną wojny i okupacji. Dziś natomiast jego świat całkowicie się zawalił. Na Morawskim ciążyło podejrzenie o dokonanie morderstwa. Wszystkie fakty wskazywały na to, że jest winny, w końcu złapano go, gdy stał nad ofiarą zabójstwa, a w ręku trzymał narzędzie zbrodni. Wprawdzie był przekonany, że nie zamordował Wiery, jednak nie miało to żadnego znaczenia. Musiał o swojej niewinności przekonać śledczych. Ci jednak skryci za mocno świecącą żarówką nie przyjmowali tłumaczeń podejrzanego. Z uporem maniaka co chwilę pytali tylko, czy przyznaje się do winy i czy podpisze protokół przesłuchania, w którym było napisane: „Ja, Nikodem Morawski, potwierdzam, że noc z 25 na 26 maja 1948 roku spędziłem z Wierą Sonikówną. Większą część nocy bawiliśmy się w jednym ze stołecznych lokali gastronomiczno-tanecznych. Później przekonałem mocno już pijaną kobietę, aby została ze mną do rana w pokoju hotelowym, który wynająłem. Gdy znaleźliśmy się w pokoju, zamówiłem szampana, aby jeszcze bardziej upić swoją ofiarę. Pijaną Wierę najpierw wykorzystałem seksualnie, a następnie w bestialski sposób pozbawiłem życia”.

– Nie wymigasz się – odezwał się głos zza lampy. – Tak więc lepiej dla nas wszystkich, żebyś podpisał zeznanie. Wtedy wrócisz odpocząć do celi, a my nie będziemy musieli dłużej prowadzić tego wyczerpującego dla nas i dla ciebie przesłuchania.

Nikodem uśmiechnął się na tyle, na ile pozwalały mu opuchnięte od bicia usta. W sumie i tak miał wiele szczęścia, bo do tej pory nie stracił jeszcze nawet jednego zęba. Marną to było jednak pociechą, jako że czekała go kara śmierci.

– Nic wam nie podpiszę – powiedział, próbując przebić się wzrokiem przez oślepiające światło wycelowanej w niego żarówki.

Chwilę później stojący za nim dryblas silnym kopnięciem w plecy rzucił go na podłogę. Morawski odruchowo zasłonił rękoma głowę, dzięki czemu uderzenia, jakie na niego spadły, nie uszkodziły mu czaszki. Czekał na utratę przytomności. Zdawał sobie sprawę, że nie przyniesie ona wybawienia na długo, bo wiadro zimnej wody, którą wylano na niego już dwukrotnie podczas przesłuchania, momentalnie go otrzeźwiało. Uderzenia drewnianej lagi wciąż odbijały się od jego rąk, pleców i nóg. Powoli zaczął odpływać w niebyt. Słyszał jeszcze coraz głośniejsze sapanie obrabiającego go ubeka, ale nie czuł już bólu.

– Dość! – Głos, który rozległ się w niewielkim pokoju przesłuchań, z pewnością nie należał do faceta za biurkiem.

Ubek odsunął się od więźnia. Ciosy ustały. Morawski wciąż jeszcze zasłaniał głowę rękoma. Prowadzący śledztwo oficer głośno odsunął krzesło i stanął wyprostowany na baczność.

– Przyznał się? – rozległ się ponownie ten sam głos.

– Posłusznie melduję, towarzyszu sekretarzu, że jeszcze nie, ale pracujemy nad nim! – wykrzyczał na jednym wdechu oficer śledczy.

– Widzę, że pracujecie – powiedział spokojnie mężczyzna tytułowany sekretarzem. – Za długo to wszystko trwa! Posadźcie go na taborecie!

Dryblas pochylił się nad Morawskim, chwycił go mocno i chwilę później więzień ponownie siedział przed biurkiem, półprzytomnym wzrokiem wpatrując się w światło, które teraz już wcale go nie raziło.

Sekretarz wolno obszedł biurko i usiadł na miejscu, które wcześniej zajmował śledczy. Wyciągnął rękę w stronę stojącej na blacie lampki i wyłączył ją. Nikodem przez chwilę nie mógł się przyzwyczaić do panującego w pomieszczeniu półmroku. Upłynęło kilkanaście sekund, zanim siedzący naprzeciwko mężczyzna zaczął nabierać wyraźnych kształtów. Sekretarz był zadbanym pięćdziesięcioletnim mężczyzną. Czarne włosy poprzetykane srebrnymi nitkami starannie zaczesał na bok. Z jego twarzy emanował spokój i pewność siebie. Obaj mężczyźni

w milczeniu przypatrywali się sobie.

– Wiesz, kim ona była? – spytał sekretarz.

Nikodem milczał. Zastanawiał się. W sumie niewiele wiedział o zamordowanej dziewczynie.

– Wiera – zaczął niewyraźnie, gdyż opuchnięte wargi nieco zniekształcały wypowiedane przez niego słowa – była bardzo piękną kobietą...

– To prawda. – Sekretarz pokiwał głową. – Co jeszcze o niej wiesz?

Nikodem wzruszył ramionami.

– To, że chyba się w niej zakochałem...

Mężczyzna siedzący po drugiej stronie biurka zacisnął pięści.

– A wiedziałeś może – odezwał się po chwili, gdy trochę ochłonął – że Wiera miała męża?

Morawski podniósł wzrok na sekretarza i pokręcił głową.

– Nie mówiła mi o tym... Zwierzyła się jedynie, że jest mocno nieszczęśliwa. Może mąż jej nie kochał?

Sekretarz odwrócił się do stojącego za nim oficera.

– Macie może papierosa?

Oficer bez słowa podsunął sekretarzowi paczkę klubowych.

– Jego też poczęstujcie – rzekł, wskazując więźnia. – Wyobraź sobie – odezwał się po chwili, kiedy już wydmuchał pierwszą chmurę gęstego, duszącego dymu – że Wiera w swoim małżeństwie była szczęśliwa.

Nikodem zaciągnął się papierosem. Wzruszył ramionami i powiedział:

– A skąd pan może o tym wiedzieć? To była naprawdę wrażliwa kobieta, potrzebująca wiele czułości.

– Dość tego! – krzyknął sekretarz, uderzając otwartą dłoń w blat biurka. – Wyobraź sobie, że znałem Wierę dużo lepiej niż ty! Przez ostatnie trzy lata była moją żoną!

Morawski spojrział z niedowierzaniem na siedzącego naprzeciw mężczyznę. Facet, mimo że zadbany, co najwyżej nadawałby się na ojca kogoś takiego jak Wiera, ale z pewnością nie na jej męża. Teraz w pełni zrozumiał, że taka młoda dziewczyna nie mogła wyjść za kogoś takiego z miłości. Musiały istnieć jakieś inne powody. Może w tych niepewnych powojennych czasach szukała poczucia bezpieczeństwa? A kto jak nie

sekretarz partii mógłby je zapewnić? Uśmiechnął się pod nosem. Dotarło do niego coś jeszcze. Jeżeli zamordowana kobieta była żoną tak wysoko postawionego dygnitarza partyjnego, to on, jako jedyny podejrzany o jej zabicie, ma nie lada kłopoty.

– Z czego się śmiejesz, bydlaku?! – warknął oficer śledczy, po czym nachylając się nad sekretarzem, spytał: – Czy mamy mu jeszcze przyłożyć?

Sekretarz rozejrzał się po biurku, poszukując wzrokiem popielniczki, kiedy jej jednak nie odnalazł, wrzucił niedopałek do szklanki w połowie jeszcze wypełnionej herbatą.

– To już nie będzie potrzebne – powiedział, podnosząc się z krzesła. – Godzinę temu rozmawiałem z sędzią Fijałkowskim, powiedział mi, że zebrane dowody są wystarczające, by wydać wyrok w tej sprawie.

Oficer kiwnął ze zrozumieniem głową. Był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Oznaczało to bowiem, że będzie mógł wcześniej zakończyć pracę i wrócić do domu.

– Mam nadzieję – zaczął, siląc się na współczujący ton – że ten bydlak dostanie najwyższy wymiar kary.

– Prokurator ma wnieść o karę śmierci – rzekł sekretarz, patrząc na skulonego na taborecie Nikodema. – Sędzia Fijałkowski powiedział mi, że wyrok ten będzie przez niego zatwierdzony.

Morawski przyjął tę wiadomość ze spokojem. Nie czuł strachu. Być może wszystko to jeszcze nie dotarło do niego, bo jego psychika była zanadto obciążona wydarzeniami ostatnich dwudziestu czterech godzin. Siedział na taborecie, nie zauważywszy nawet, że trzymany pomiędzy palcami papieros już jakiś czas temu się wypalił.

13.

Młodszy z braci Brodzkich stał, przyglądając się, jak rodzina Bralewskich pakuje swój dobytek na dwa wozy zaprzężone w konie. Przepęłniał ich smutek, ale pogodzili się z zaistniałą sytuacją. Nikt nie mógł nic poradzić na to, co się stało. Bralewscy nie byli pierwszą ziemiańską rodziną, która przez nowe władze została pozbawiona dorobku swojego i swoich przodków. Przyszedł tutaj, by pożegnać się z Hanką. Na razie nigdzie nie mógł jej dostrzec. Widział za to jej starszą siostrę i matkę. Obie kobiety, nie zważając na siedzącego na ganku pana Franciszka, który ze zrezygnowaniem palił fajkę, nosiły tobołki i układały je starannie na wozie.

– Pani pozwoli, że pomogę – powiedział, wyręczając panią Jadwigę w dźwiganie ciężkiego pudełka.

– Tylko uważaj, bo jest tam rodzinny serwis – rzekła kobieta, z troską patrząc, jak chłopak kładzie pakunek na wozie.

– Nie wie pani, gdzie jest Hanka? – spytał Marek, kiedy już uporał się z cenną pamiątką.

Pani Jadwiga tylko wzruszyła ramionami, dając do zrozumienia, że nie wie i w sumie niewiele ją to teraz interesuje.

Chłopak uśmiechnął się nieśmiało i rzekł:

– To może pójde jej poszukać. Pewnie państwo niedługo muszą odjechać?

– Idź, Mareczku, i przyprowadź ją tutaj – powiedziała pani Bralewska.

Marek ochoczo kiwnął głową i żwawo pobiegł w stronę zabudowań gospodarczych. Znał Hankę na tyle, że domyślał się, gdzie może teraz przebywać. Szybkim krokiem minął niewielki sad i skierował się w stronę drewnianej narzędziowni. W tej samej chwili ujrzał wychodzącą z niej

dziewczynę.

– Cześć, Hanka! – krzyknął, uśmiechając się.

Dziewczyna obrzuciła go nieco gniewnym spojrzeniem. Ręką poprawiła opadającą na czoło grzywkę.

– Z czego się tak cieszysz? – spytała wciąż uśmiechającego się Marka.

– Cieszę się, że cię widzę – odparł bez namysłu młodzieniec.

– Być może po raz ostatni – rzekła Hanka, siląc się na tajemniczy ton.

Marek spochmurniał.

– Jak to?

Hanka popatrzyła na niego jak na niewiele rozumiejące małe dziecko. Wydęła usta i powiedziała:

– A tak to, że dzisiaj wyjeżdżamy do Warszawy i prawdopodobnie już nigdy tu nie wrócimy!

Marek przez chwilę się nie odzywał, nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

– Ale przecież zawsze możesz przyjechać do mnie. Moja rodzina z pewnością chętnie cię przenocuje.

Hanka spojrzała przenikliwym wzrokiem na chłopaka.

– Pewnie mogę. Tylko powiedz po co?!

Zmieszał się. Na jego twarzy pojawił się rumieniec. Wbił wzrok w ziemię.

– Myślałem, że może będziesz tęsknić i zechcesz się ze mną zobaczyć.

Hanka roześmiała się głośno.

– Będę tęsknić, Mareczku, ale nie za tobą.

– Nie za mną? – spytał z niedowierzaniem chłopak – Myślałem, że dużo nas łączy. Przecież zawsze kupowałem dla ciebie najlepsze papierosy na targu i nigdy...

Zamilkł.

Hanka spojrzała na niego ostro. Złapała go dłonią za podbródek i pociągnęła ku górze, tak że chłopak, chcąc nie chcąc, musiał patrzeć jej w oczy.

– I nigdy nie zażądałeś w zamian pieniędzy, to chciałeś powiedzieć?!

Marek wciąż milczał. Jego twarz spąsowiała jeszcze bardziej. W

milczeniu mierzyli się wzrokiem. W końcu Hanka przyciągnęła jego głowę do siebie, wspięła się na palcach, gdyż chłopak był od niej nieco wyższy, i namiętnie pocałowała go w usta.

– Masz, to twoja zapłata – rzekła. – Mam nadzieję, że teraz jesteśmy kwita!

Oszołomiony chłopak stał, nie wierząc w to, co się przed chwilą stało. Niejednokrotnie śnił i marzył o czymś takim, a teraz, kiedy stało się to faktem, nie wiedział, jak powinien się zachować.

– Obiecuj mi, że jeszcze kiedyś się spotkamy – wykrztusił w końcu.

Hanka odsunęła się od niego. Rękawem bluzki wytarła usta. Uśmiechnęła się. Sama była poniekąd zaskoczona swoim zachowaniem.

– A ty mi obiecuj, że jak się jeszcze kiedyś spotkamy, zrobisz wszystko, o co cię poproszę.

– Obiecuję! – odparł bez zastanowienia, gdyż w tej chwili był gotów na wszystko, byle tylko raz jeszcze poczuć smak ust tej dziewczyny, która bez wątpienia igrała z jego uczuciami. On jednak wierzył, że przyjdzie taki czas, kiedy Hanka odwzajemni jego miłość.

– Dobrze, a teraz złap mnie za rękę i zaprowadź przed dom, bo już pewnie się tam wszyscy o mnie niepokoją – powiedziała Hanka, wyciągając dłoń w stronę Marka.

Chłopak, wciąż nie wierząc, że jednego dnia spotkało go tyle szczęścia, chwycił małą rączkę dziewczyny i poprowadził w stronę gotowych do odjazdu wozów.

14.

Hrabski szykował się właśnie do domu, kiedy rozległo się pukanie do drzwi jego gabinetu. Skrzywił się, szybko zdusił w popielniczce papierosa, odchrząknął i krzyknął:

– Wejść!

Skrzypnęły nienaoliwione zawiasy i w progu ukazał się jego zastępca, Kowalik.

– Nie chciałbym przeszkadzać... – Hrabski w tym momencie pomyślał, że w ten sposób musi zaczynać rozmowę każdy, kto zdaje sobie sprawę, że jego obecność jest co najmniej niepożądana. Uśmiechnął się jednak i zachęcająco kiwnął głową do stojącego w progu mężczyzny, który kontynuował: – Wiem, że wybierałeś się właśnie do domu, ale wydaje mi się, że dzisiaj będziesz musiał zostać nieco dłużej w pracy.

Tego było już za wiele. Hrabski miał alergię na ludzi, którzy każdą swoją wypowiedź zaczynali od dupy strony. A jego podwładny był w tym mistrzem.

– Do rzeczy, mów, co się stało!

– Otóż spieszę zameldować, że przed chwilą zgłosił się do nas jeden z poszukiwanych bandytów...

– Co?! – krzyknął z niedowierzaniem Hrabski. – Kto taki?!

– Jerzy Brodzki z grupy Rysia!

– Gdzie on teraz jest?

– Kazałem go skuć i zamknąć w celi. Jeden z chłopaków cały czas ma na niego oko.

– Bardzo dobrze się spisałeś! – rzekł Hrabski takim tonem, jakby jego ludzie własnoręcznie w krwawej walce pochwycili reakcjonistę i siłą

sprowadzili na komendę.

– Dziękuję, towarzyszu komendancie! – odparł zadowolony wywiadowca, prostując się przy tym niemalże na baczność i wypinając pierś, która jakby tylko czekała na przypięcie do niej medalu. – Czy przyprowadzić go tutaj?

Hrabski postukał palcami w blat biurka, zastanawiając się, jak rozegrać spotkanie z Brodzkim. To, że nie wróci dzisiaj zbyt wcześnie do domu, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Grunt, że wreszcie odnotowali jakiś sukces, którym będzie mógł się pochwalić przed tym nadętym oficerem z Warszawy.

– Na razie niech posiedzi na dechach, to może kilka spraw przemyśli. Mówił coś, jak się u nas zjawiał?

– Niewiele, wylegitymował się, przyznał, że jest poszukiwanym przez nas bandytą, i prosił o rozmowę z tobą.

Hrabski pokiwał głową. Głęboka bruzda przecięła jego czoło. Widać było, że intensywnie nad czymś rozmyśla.

– Dobrze, zmieniłem zdanie! Za dziesięć minut przyprowadź go do mnie!

– Tak jest! – krzyknął służbiście Kowalik i odszedł.

15.

Pprzedwojenny komisarz miał już dość siedzenia w lesie. Nużyła go beczynność i monotonia codziennego życia w ukryciu. Wprawdzie jego oddział miał odpowiednią ilość broni, którą jeszcze w czterdziestym piątym zdobyli na wycofujących się oddziałach Wehrmachtu, ale z tego, co wiedział, powoli kończyły im się pieniądze. A o nie ostatnimi czasy było coraz trudniej. Młodzi ludzie z racji bycia w partyzantce nie mogli nigdzie wystarać się o robotę, a musieli za coś jeść i żyć. Pozostawał jedynie rabunek. Jeszcze dwa lata temu nie było z tym większych problemów. Nowa władza nie pilnowała tak dobrze swoich rezerw zgromadzonych w bankach i łatwo można było zorganizować skuteczny napad. Dziś jednak w ochronę banków były zaangażowane spore grupy żołnierzy z KBW, a wywiadowcy z Urzędu Bezpieczeństwa wszędzie mieli swoich szpiegów, donoszących im o ruchach wśród leśnych grup. Na razie sytuacja nie była jeszcze tragiczna. Takie niewielkie oddziały jak ten, w którym ukrywał się Wolak, były zaopatrywane w żywność przez miejscową ludność. Jednak i to musiało się kiedyś skończyć, gdyż na wioski nakładano coraz większe kontyngenty, egzekwowane przez zauszników władzy ludowej. Chłopi niejednokrotnie żalili się partyzantom, że w czasie wojny doili ich Niemcy, a teraz doi ich władza ludowa. Jedno tylko się nie zmieniło. Zarówno podczas wojny, jak i po jej zakończeniu siedzący po lasach partyzanci byli na utrzymaniu chłopów, którzy musieli wyżywić nie tylko siebie i swoją rodzinę, ale i tych „dzielnych chłopaków walczących za Polskę”.

Wolak podniósł głowę ku niebu. Popatrzył w świecące w górze gwiazdy. Jak długo to wszystko jeszcze potrwa? – pomyślał. – Kiedy chłopom znudzi się ryzykowanie własnego życia i dostarczanie nam żywności? Do czego my jeszcze jesteśmy im potrzebni? Splunął ze złością na ziemię i wyszedł zza ostatnich drzew dzielących las od polnej drogi.

Rozejrzał się dookoła. Nie zauważył niczego, co mogłoby wzbudzić

podejrzenia. Droga była pusta. W oddali majaczyły światła wiejskich chałup. Wolnym krokiem skierował się w ich stronę. Rękę włożył do kieszeni płaszcza. Ścisnął kolbę pistoletu. Nie pamiętał już, od jak dawna towarzyszył mu ten nawyk. Powoli stawał się zaszczutym zwierzęciem, które nigdzie nie może czuć się bezpieczne. Nie znosił takich wieczorów, kiedy dopadająca go chandra zmuszała do rozmyślań nad własnym losem.

W sumie mógł zginąć już dawno temu. Jeszcze przed wojną. Jego praca nie należała do najbezpieczniejszych. Ludzie, których wówczas spotykał na swojej drodze, rzadko byli nastawieni do niego przyjaźnie. Mimo to przeżył. Później dziwnym zrzędzeniem losu udało mu się uniknąć śmierci w jednym z najbardziej nieprzyjaznych człowiekowi miejsc, jakim był w czasie wojny obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Lata powojenne również go nie rozpieszczały, wokół ginęli dużo młodszy i o wiele sprawniejsi fizycznie ludzie, a on, stary komisarz Jan Wolak, wciąż pozostawał przy życiu. Przekleństwo czy akt łaski? Nieraz zastanawiał się nad tym pytaniem, nigdy jednak nie potrafił udzielić na nie jednoznacznej odpowiedzi.

Minął pierwsze nędzne wiejskie chałupy i szedł dalej, nie zważając na szczekające wokół psy. Wieś była pusta i wydawała się uśpiona. Wolak znał jedno miejsce, gdzie mimo późnej pory znajdzie jakichś towarzyszy do rozmowy. Na skraju wsi stała karczma, pamiętająca podobno jeszcze czasy zaborów. Zarówno wtedy, jak i teraz jej właścicielem był Żyd. Komisarzowi to nie przeszkadzało. Był człowiekiem pozbawionym uprzedzeń do tej nacji.

W oknach karczmy paliły się światła, z komina płynął ku niebu warkocz siwego dymu. Przy drodze przed wejściem stał wóz. Zaprzężony do niego koń jadł obrok z przywiązanego do szyi worka. Nawet nie zareagował na zbliżającego się komisarza, który ostrożnie podszedł do jednego z okien. Wspiął się na palce i przez chwilę lustrował wnętrze lokalu. Kiedy stwierdził, że może bez obaw wejść do środka, ruszył w stronę wielkich drewnianych drzwi. Pchnął je i w nozdrza od razu uderzył go zapach gotowanych potraw, których głównym składnikiem była kapusta i chyba jakieś smażone mięso. Wolak momentalnie poczuł głód.

Bez słowa powitania przeszedł przez salę. Minął wielką ławę, na której siedziało kilku chłopów rozmawiających przyciszonymi głosami nad wielką butelką samogonu. Spojrzeli na niego, ale zaraz odwrócili wzrok. Woleli nie interesować się obcymi zachodzącymi do karczmy, dość już

mieli problemów. Komisarz stanął przy małym stoliku w kącie sali. Zdjął płaszcz, powiesił go na oparciu krzesła i usiadł. Ręką sięgnął dyskretnie do kieszeni, skąd niepostrzeżenie wyjął pistolet, który wetknął za pasek spodni. Nigdy nie zapominał, że wszędzie, oprócz lasu, jest intruzem. Dlatego niczym prawdziwy wilk musiał się jakoś bronić przed czyhającym zewsząd niebezpieczeństwem.

Do stolika podszedł właściciel gospody.

– Co szanowny pan sobie winszuje? – spytał stary Żyd, który w przeciwieństwie do wielu swoich rodaków miał to szczęście, że nie tylko udało mu się przeżyć okupację, ale w dodatku po wojnie odzyskał swoją karczmę i nadal mógł stać za jej szynkwasem. Wolak nie do końca mu ufał. Po prostu nie wierzył, że ktokolwiek może mieć tyle szczęścia. Podejrzewał, że stary jest na usługach ubecji, której zdaje raporty z tego, co podchmieleni goście jego przybytku wygadują na temat nowej władzy.

– Nalej mi setkę i daj coś ciepłego do zjedzenia – odparł, patrząc w chytre i rozbiegane oczy właściciela knajpy.

– Już się robi, szanowny panie. – Żyd ukłonił się przesadnie nisko i trzymaną w ręku ścierką, która z pewnością już dawno zapomniała, kiedy ostatnio zażywała kąpieli w balii z gorącą wodą, zaczął wycierać stół. – Coś dawno pana u mnie nie było?

Wolak poszukał w płaszczu papierosów. Wyciągnął jednego, zapalił, zaciągnął się szybko kilka razy i kiedy Żyd skończył wycierać stół, strząsnął popiół na blat daleko od stojącej na nim popielniczki.

– Musiałem wyjechać w interesach – powiedział zimno, patrząc Żydowi w oczy. – A teraz, kiedy zaspokoiliś już swoją ciekawość, idź i przynieś mi to, o co prosiłem!

– Oczywiście, oczywiście – powiedział szybko speszony karczmarz, podążając żwawo w stronę kuchennego zaplecza.

Komisarz westchnął ciężko. Teraz, kiedy pozbył się tego ciekawskiego natręta, miał chwilę dla siebie i swoich myśli. Raz jeszcze rozejrzał się po lokalu. Z niezadowoleniem stwierdził, że nie ma w nim nikogo, do kogo mógłby się przysiąc albo kto mógłby przysiąc się do niego, żeby porozmawiać. Grupka siedzących na ławie chłopów była już nieco podchmielona i z coraz większym ożywieniem rozmawiała o prognozach na tegoroczne ceny skupu żywca.

Wolak dopalał właśnie papierosa, kiedy kątem oka dostrzegł światło,

które na moment odbiło się w oknach karczmy. Domyślił się, że na zewnątrz przejeżdżał jakiś samochód. Pozostawało tylko pytanie, czy pojechał dalej, czy też zatrzymał się przy karczmie. Wykluczał możliwość, żeby stary Żyd zatelefonował na najbliższy posterunek Urzędu Bezpieczeństwa, gdyż dobrze wiedział, że na zapleczu, podobnie jak w całym lokalu, nie ma aparatu telefonicznego. Poza tym zbyt mało czasu minęło, żeby jakiegokolwiek służby tak szybko zareagowały. Jedyne czyste przypadek mógł zrządzić, że mundurowi pojawią się tutaj akurat wtedy, kiedy on tu przebywa. Ale tego nie można było wykluczyć. Komisarz niedbale zdusił niedopałek papierosa w fajansowej popielniczce. Spojrzał na siedzących przy stole chłopów. Wciąż pogrążeni w rozmowie wydawali się niczego nie zauważać. Za barem Żyd zajęty był nakładaniem na talerz jedzenia. Wolak sięgnął za pasek spodni. Odbezpieczył pistolet i trzymał go w schowanej pod stołem dłoni. Był gotów. Czekał.

Minutę później drzwi otworzyły się i stanął w nich wysoki, przystojny blondyn. Zatrzymał się w progu. Rozejrzał. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do stolika znajdującego się naprzeciw Wolaka.

Komisarz uważnie go obserwował. Wprawdzie mężczyzna był sam, nie można było jednak wykluczyć, że na zewnątrz zostali inni. Janek czuł pulsowanie w skroniach. Zrozumiał, że robi się na to wszystko za stary.

Tymczasem nowo przybyły gość zasiadł przy stole. Barman, zauważywszy kolejnego klienta, szybkim ruchem zgarnął talerz z jedzeniem i literatkę z alkoholem na tacę. Podniósł ją i przyniósł do stolika komisarza.

– Życzę smacznej degustacji – powiedział, rozkładając talerz i sztućce.

Wolak odruchowo spojrział na talerz, na którym apetycznie pachniał bigos gęsto poprządkany mięsem i grzybami.

– Dziękuję – powiedział cicho do oddalającego się pospiesznie Żyda.

Lewą rękę wciąż trzymał pod stołem, prawą sięgnął po widelec i zaczął jeść. Bigos z pewnością był smaczny, lecz on tego nie czuł. Jadł machinalnie, nie czerpiąc żadnej przyjemności. W pewnej chwili zauważył, jak wysoki blondyn podnosi się z krzesła i lekko rozkołysanym krokiem zmierza w jego kierunku. Wolak mocniej ścisnął kolbę pistoletu.

– Przepraszam, że pana niepokoję – usłyszał nad sobą głos nieznanego. Odłożył widelec i podniósł głowę. Spojrzenia obu mężczyzn się skrzyżowały.

– Tak?

– Czy mógłbym się dosiąść? Widzi pan, nie jestem stąd, przyjechałem dopiero dzisiaj i czuję się tu trochę obco. – Mężczyzna przerwał na chwilę, jakby zrobiło mu się trochę głupio z powodu swoich wynurzeń. – Nie mam nawet do kogo zagadać, a widzę, że i pan siedzi sam, to pomyślałem...

Wolak nie wierzył w ani jedno jego słowo. Zbyt długo pracował jako wywiadowca, żeby dać się nabrać na taką tanią gadkę. Uśmiechnął się jednak i powiedział:

– Oczywiście, proszę siadać. Choć nie mogę zapewnić, że okażę się dla pana dobrym kompanem do rozmowy.

Blondyn odsunął krzesło. Usiadł.

– Smaczny mają tutaj bigos? – spytał.

Komisarz wolno przełknął jedzenie. Zerknął na uważnie przypatrującego mu się młodzieńca. Znał to spojrzenie. Sam dawniej w podobny sposób sondował podejrzanego. Ostrożnie, niczym wytrawny myśliwy zabierał się do swojej ofiary. Najpierw należało uśpić jej czujność, a później zaatakować.

– Bigos niczego sobie, a jeśli jest pan naprawdę głodny, to zapewniam, że wyda się panu wręcz wyśmienity.

– Wyśmienity, powiada pan? Wyśmienity bigos przyrządzała moja nieboszczka matka. Zanim podała go na stół, to gotowała go trzy dni, wyobraża pan to sobie?

– Nie – odparł krótko Wolak, mając nadzieję, że zniechęci swego rozmówcę do dalszych dywagacji na temat kulinarnych zdolności nieżyjącej matki.

– Pan, jak rozumiem, też nie jest stąd? – spytał, zmieniając temat młody mężczyzna.

– Jestem tu przejazdem – odpowiedział komisarz pomiędzy jednym a drugim kęsem.

Blondyn się uśmiechnął.

– Przejazdem – powtórzył powoli – pan wybaczy, ale przed karczmą nie zobaczyłem żadnego pojazdu oprócz zaprzęzonego w konia wozu, a nie chce mi pan chyba powiedzieć, że to jest właśnie pański środek transportu?

Wolak ciężko westchnął. Miał już tego dość. Odłożył widelec. Podniósł wzrok na blondyna, mierzącego go kpiarskim spojrzeniem niebieskich

OCZU.

– Powiedz, chłopcze, jasno, o co ci chodzi, albo wróć do swojego stolika i daj mi spokojnie dokończyć posiłek!

Młody mężczyzna nie dał po sobie poznać, że słowa komisarza zrobiły na nim jakiegokolwiek wrażenie. Uśmiechnął się delikatnie. Powolnym ruchem ręki, tak by nie wzbudzić w Wolaku żadnych gwałtownych reakcji, sięgnął do kieszeni w klapie marynarki. Wyjął stamtąd białą, czystą chustkę do nosa. Podniósł ze stołu odłożony przez Wolaka widelec, dokładnie go wytarł, po czym spytał:

– Będzie pan jeszcze jadł?

Komisarz zaprzeczył ruchem głowy.

Mężczyzna, który zdaniem Wolaka musiał być tajniakiem, przysunął sobie talerz z bigosem. Nabrał na widelec znaczną porcję i powoli zaczął przeżuwać. Po chwili odłożył widelec i odsunął od siebie talerz.

– Okłamał mnie pan – powiedział, wycierając usta chusteczką.

Komisarz czuł, że nadchodzi czas ostatecznej rozgrywki pomiędzy nim a tym cholernym, przybyłym znikąd ubekiem.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Okłamał mnie pan, mówiąc, że ten bigos nadaje się do jedzenia – spokojnym tonem wyjaśnił tajniak.

Popieprzony typ! – pomyślał Wolak, z niedowierzaniem patrząc na siedzącego naprzeciw osobnika.

– A wracając do naszej poprzedniej kwestii – zaczął młodzieniec, chowając chusteczkę z powrotem do kieszeni marynarki – nazywam się Edward Jastrzębski i jestem oficerem Urzędu Bezpieczeństwa.

Wolak przełknął ślinę. W sumie tego właśnie się spodziewał, ale było w tym człowieku coś, co sprawiało, że paraliżował swoją osobą nawet tak wytrawnego gracza jak komisarz.

– Nadal nie rozumiem, czego może pan ode mnie chcieć. – Mimo wszystko głos Wolaka brzmiał nad wyraz naturalnie.

Jastrzębski przez kilka nieskończenie długich sekund mierzył komisarza wzrokiem.

– Szukam bandyty o pseudonimie Ryś – wypalił w końcu.

Wolak nie dał się zaskoczyć. Identyczne techniki stosował przed wojną

podczas rozmów z różnymi typami spod ciemnej gwiazdy. Teraz role się odwróciły, gdyż to on był poddawany zawołowanemu przesłuchaniu rozpoczętemu od zwykłej, prozaicznej rozmowy dwóch mężczyzn, którzy spotkali się przypadkiem.

– I co w związku z tym? – spytał beznamiętnie.

Jastrzębski wzruszył ramionami.

– Nic, proszę mu tylko przekazać, że nie wyjadę z tej dziury, dopóki nie dostanę go w swoje ręce.

– Niech pan nie będzie śmieszny. – Wolak zastanawiał się, czy nie rozwalić siedzącego naprzeciw oficera UB. Pewnie gdyby na jego miejscu siedział jakiś młodszy o dwadzieścia lat chłopak z oddziału, to tak właśnie by uczynił. W nim jednak nie płynęła już tak gorąca krew. Wszelkie decyzje podejmował spokojnie i z rozwagą, bez zbędnego pośpiechu. Dzięki temu jeszcze żył. Wciąż przecież nie wiedział, czy na zewnątrz nie czekają z odbezpieczonymi pepeszami ludzie Jastrzębskiego. – Nie podejrzewa mnie pan chyba o kontakty z takimi ludźmi jak wspomniany przed chwilą Ryś?

– Drogi panie – ton głosu Jastrzębskiego zrobił się nieco kpiący – ja podejrzewam wszystkich. Niech pan w spokoju wypije wódkę i pomyśli nad tym, co powiedziałem. – Podniósł się z krzesła. – A teraz żegnam i życzę spokojnej nocy!

– Wzajemnie – rzekł Wolak, patrząc za odchodzącym w stronę drzwi wysokim blondynem.

Chwilę później z zewnątrz dał się słyszeć odgłos uruchamianego gazika. Komisarz poderwał się od stolika i podbiegł w stronę okna. Ostrożnie uchylił brudną firankę i wyjrzał na drogę. W panujących ciemnościach zdążył dostrzec wycofujący się samochód z tylko jednym człowiekiem za kierownicą.

Jednak mogłem go sprzątnąć! – pomyślał, wracając do stolika, by wypić stojącą na nim setkę wódki.

16.

Przedwojenny przyjaciel i współpracownik komisarza Wolaka, Zygmunt Wieczorek nazywany Wiewiorem, miał nie lada problem. A zasadniczo dwa problemy. Pierwszy z nich był natury moralnej. Otóż ten niespełna pięćdziesięcioletni mężczyzna od kilku dni nie miał żadnych środków do życia. Ostatni posiłek, jeżeli tak można nazwać kilka kromek zeschniętego chleba znalezionej na śmietniku, jadł przedwczoraj. Z mieszkania, które było już ogołocone z wszelkich mebli, łącznie z łóżkiem, w bezlitosny sposób został wyrzucony. Pozostała mu podła egzystencja na ulicy połączona z żebraniem o parę groszy.

Dlatego teraz znalazł się w korytarzu budynku zajmującego się udzielaniem wsparcia osobom znajdującym się w sytuacji podobnej jak on. Wiewiór wciąż się wahał. Duma nie pozwalała mu wyciągnąć ręki po ofiarowaną przez państwo pomoc. Od dzieciństwa miał wpajane pewne zasady, którym przez całe życie starał się być wierny. Jedną z nich było to, że prawdziwy mężczyzna zawsze powinien sobie dać radę, niezależnie od tego, w jak trudnej sytuacji się znalazł. Przez długi czas Wieczorkowi to się udawało. Teraz czuł, że już sobie nie poradzi. Wciąż jednak pozostawał niezdecydowany. Patrzył w górę na wysokie schody prowadzące na piętro, gdzie mieściło się biuro pomocy społecznej.

Te schody były dla niego drugim poważnym problemem. Nie miał pojęcia, w jaki sposób uda mu się je pokonać. Przechodzący obok ludzie mijali go, nawet nie pytając, czy mogą w jakiś sposób pomóc. A samemu Wieczorkowi, który wskutek wypadku utracił obie nogi i poruszał się na wózku inwalidzkim, trudno było się dostać na wyższą kondygnację. Stawał się coraz bardziej poirytowany. Chyba naprawdę był już nikim. Jako takim pocieszeniem było to, że jego ojciec nie doczekał czasów, kiedy Zyga stał się pozbawionym nóg wrakiem człowieka. Stary Kleofas Wieczorek, wyznający zasadę, że każdy ma prawo żyć, dopóki sam sobie radzi,

stanąłby przed nie lada problemem. Co zrobić z kalekim synem? Pomóc mu czy zostawić na pastwę losu?

– A srał to pies! – mruknął pod nosem Wiewiór, wycofując wózek w stronę drzwi. – Mam zdechnąć, to zdechnę, ale nie będę nikogo o nic prosił!

Wyjeżdżając na chodnik, wpadł na jakiegoś spieszącego gdzieś przechodnia, który nie zdążył uskoczyć i zderzył się z nim.

– Uważaj, jak jeździsz! – krzyknął potrącony mężczyzna.

Wieczorek obrzucił go gniewnym spojrzeniem.

– Goń się! – odburknął rozeźlony i powoli, wprawiając w ruch swój wózek, zaczął jechać po nierównym trotuarze, na którym wciąż jeszcze brakowało wielu płyt, gdyż te zerwano w czasie powstania i wrzucono na barykadę.

W jego głowie zaczęła kiełkować pewna myśl. Nie może już dłużej żyć w ten sposób, w świecie, który jest mu nieprzyjazny. Musi odejść z honorem. Tak, żeby ojciec mimo wszystko był z niego dumny. Ze wzrokiem utkwionym w chodnik parł do przodu, napędzając siłą ramion kółka wózka. W wychodku, znajdującym się na podwórzu kamienicy, z której go eksmitowano, miał ukryty przedwojenny pistolet. Jeszcze dziś skończy tę farsę, której z pewnością nie można nazwać życiem. Jednym pociągnięciem za spust przerwie męczące pasmo dni i nocy wypełnionych poczuciem pustki i beznadziei. Tak trzeba. Nie ma innej możliwości. Nie będzie skomlał o litość.

Pogrążony w rozważaniach Zygmunt nie zauważył, że od jakiegoś czasu równoległe z nim jedzie po ulicy ciemna limuzyna, a znajdujący się na tylnym siedzeniu pasażer z uwagą mu się przygląda. W pewnym momencie samochód przyspieszył, wyprzedził go i zatrzymał się przy chodniku jakieś sto metrów przed Wiewiórem. Uchyliły się tylne drzwi i na chodniku pojawiła się stopa w czarnym, wyczyszczonym do połysku męskim pantoflu. Chwilę później wysoki, przystojny brunet wkładał na głowę czarny kapelusz, poprawiał zawiązany pod szyją krawat i stojąc pewnie na chodniku, czekał, aż zbliżający się inwalida zrówna się z nim. Kiedy był już blisko, mężczyzna z samochodu, którego silnik wciąż pracował na jałowym biegu, stanął pośrodku chodnika. Inwalida zatrzymał się tuż przed nim. Podniósł wzrok.

– Czy mógłby obywatel... – zaczął, patrząc na zawalidrogę.

– Zygmunt Wieczorek, o ile się nie mylę? – przerwał mu mężczyzna w kapeluszu.

Zyga przyjrzał się uważnie nieznanemu. Od razu domyślił się, z kim ma do czynienia. Facet na odległość śmierdział tajniakiem.

– Zgadza się – potwierdził swoją tożsamość ciekaw, czego tamten może od niego chcieć.

Tajniak tymczasem odwrócił się w stronę samochodu i kiwnął głową na siedzącego w nim kierowcę, który już po chwili znalazł się obok niego.

– Mamy go – powiedział szybko.

Zygmunt Wieczorek niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Ze spokojem czekał na dalszy rozwój wydarzeń. Idący chodnikiem przechodnie wymijali ich, klnąc pod nosem.

– Spiesz się obywatel gdzieś? – spytał tajniak.

Wiewiór prychnął kpiąco i odparł:

– Właśnie jechałem na lodowisko, ale tak się składa, że jest maj, a poza tym łyżew nie miałbym na co założyć!

Tajniak nawet się nie roześmiał. Był człowiekiem, który miał wykonywać polecenia przełożonych, nic poza tym go nie interesowało.

– Musi obywatel pojechać z nami – powiedział stanowczo.

– Niby jak? – spytał Wieczorek, wybuchając śmiechem. – Przyczepicie mnie do samochodu i będziecie holować?

Tajniak zastanawiał się, jak rozwiązać problem, przed którym stanął. Do tej pory nigdy jeszcze nie musiał przewozić inwalidy.

Wieczorek westchnął ciężko.

– Dobra – powiedział w końcu – weź mnie pan na ręce i posadź z tyłu na siedzeniu. Wózek się składa, po złożeniu powinien zmieścić się w bagażniku.

Trzy minuty później czarna limuzyna z Wiewiorem na tylnym siedzeniu mknęła Alejami Jerozolimskimi. Zyga patrzył przez okno na mijane kamienice, które powoli dźwigały się z wojennych zniszczeń. Zamknął oczy. Przez moment poczuł się jak przed wojną, kiedy wraz ze swoim przyjacielem, Jankiem Wolakiem, jechał samochodem lub dryndą tymi samymi alejami, by znaleźć się na miejscu zbrodni i rozpocząć kolejne wspólne śledztwo. Prędzej nogi mi odrosną, niż wrócą tamte czasy –

pomyślał z gorzką ironią.

17.

Starszy z braci Brodzkich rozmasowywał przeguby rąk, z których Kowalik zdjął mu kajdanki. Stał przed biurkiem w pokoju komendanta UB. Jerzy pamiętał go jeszcze z przedwojennych czasów. Był on jakieś dziesięć lat młodszy od jego ojca, z którym nieraz spotykał się w karczmie po niedzielnym nabożeństwie. Teraz jednak Hrabski był innym człowiekiem. Opuścił wieś, w której się wychował, zmienił poglądy, przytył znacznie i wierzył we władzę ludową.

– Dziękuję, Kowalik, możecie odejść – powiedział Hrabski do swego zastępcy, który niechętnie, ociągając się, opuścił gabinet komendanta.

Jurek stał nieruchomo. Na ścianie za biurkiem wisiał duży portret Stalina. Chłopak przyglądał mu się przez chwilę. Ojciec opowiadał mu kiedyś, że po pierwszej wielkiej wojnie wisiał tam krzyż. Później, po przewrocie majowym, wszędzie wieszano portrety marszałka, a teraz wisi Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili. Tylko gwóźdź wciąż pozostawał ten sam.

– Nad czym tak dumacie, Brodzki? – przerwał ciszę Hrabski.

– Nad tym – zaczął, cedząc słowa – jak łatwo przychodzi niektórym wyrzucić z serca Boga, a później zastąpić go byle jaką imitacją.

Hrabski poczerwieniał na twarzy. Uderzył ze złością pięścią w blat biurka.

– Nic nie wiesz, gówniarzu! – krzyknął, sapiąc. – Co ty sobie wyobrażasz, że kilku takich jak ty wygra walkę z czerwonymi?! Rosjanie złamali Hitlera i wy chcecie się teraz z nimi mierzyć? Nie macie żadnych szans!

Brodzki wzruszył ramionami. Był spokojny. Przychodząc tutaj, liczył się z tym, że już nigdy więcej nie zobaczy tych, których kocha. Pogodził

się ze śmiercią i przestał się czegokolwiek obawiać. Tym bardziej nie wzbudzał w nim strachu jakiś nadęty komendant podmiejskiego UB, którego pamiętał jeszcze z czasów młodości.

– Ci, którzy walczą tylko wtedy, gdy wiedzą, że wygrają, nie zasługują na miano bohaterów.

– A co ty, kurwa, sobie ubzdurałeś? Że zostaniesz jakimś pieprzonym bohaterem?! A o matce i ojcu pomyślałeś? Co będą czuli, oplakując cię na pogrzebie? – Hrabski sięgnął po papierosa. Zapalił, wydmuchnął kłęb gęstego, śmierdzącego dymu i gdy się nieco uspokoił, kontynuował: – Wszyscy powinniście już wyjść z lasu i pogodzić się z sytuacją. Dość już przelewania polskiej krwi! Nie możemy się nawzajem zabijać!

– Tacy jak ja nigdy nie nauczą się żyć pod jarzmem radzieckiej niewoli. Walczyliśmy z Hitlerem, to i przed Stalinem nie schylimy głowy!

Hrabski zaciągnął się głęboko papierosem. Spojrzał na Brodzkiego, machnął z rezygnacją ręką.

– Siadaj – powiedział, wskazując stojące po drugiej stronie biurka krzesło. – Nie jestem głupi. Wiem, że cię nie przekonam, a mówiłem to wszystko, gdyż naprawdę nie mogę już patrzeć, jak Polak zabija Polaka. Tacy młodzi ludzie jak ty, pełni ideałów i miłości do ojczyzny, zasługują na coś lepszego niż ciągłe ukrywanie się po lasach i unikanie śmierci, która depta wam po piętach. Wiesz, co cię teraz czeka?

Brodzki głośno przełknął ślinę. Skinął w milczeniu głową.

– Dlaczego zdecydowałeś się do nas dobrowolnie zgłosić?

– Nie chciałem, żeby ktoś od was przyszedł po kogoś z mojej rodziny. Oni nie są w to zamieszani.

Hrabski zaśmiał się głucho. Odsunął się nieco od biurka, otworzył szafkę, w której zawsze trzymał butelkę wódki.

– Wszyscy jesteśmy w to zamieszani – powiedział, stawiając alkohol na blacie. – Napijesz się ze mną?

Brodzki nie odpowiadał. Patrzył tępo na komendanta, nie mogąc zrozumieć, o co tak naprawdę mu chodzi.

– Mną możesz gardzić – mówił tymczasem Hrabski, nalewając siwuchę do dwóch szklanek – wódką nie powinienes. Tym bardziej że może ostatni raz będziesz pił.

Jerzy nagle się ocknął. Spojrzał trzeźwo na wyciągniętą w jego

kierunku dłoń komendanta z wypełnioną do połowy szklanką.

– Ma pan rację, może to być ostatnia wódka w moim życiu – powiedział. – Dlatego nie napiję się jej z panem. Z każdym, ale nie z kimś, kto ujada na łańcuchu trzymanym przez towarzysza Stalina!

Hrabski zatrząsł się ze złości. Jeszcze przez parę sekund trzymał wyciągniętą w stronę więźnia rękę, po czym chlusnął mu alkoholem w twarz.

– Głupi jesteś! – wykrzyknął.

Brodzki wytarł rękawem marynarki spływające po twarzy krople.

Komendant wyjął z szuflady kartkę czystego papieru. Odnalazł na biurku pióro, na brudnej kartce sprawdził, czy pisze, i podał Jerzemu.

– Napiszesz swoje zeznanie – powiedział, podsuwając mu czystą kartkę.

– Nic nie napiszę! – odparł hardo więzień. – Miałem się do was zgłosić, to przyszedłem. Prawdę mówiąc, nie wiem jednak, czego ode mnie chcecie.

– Tak zamierzasz to rozegrać?! – Hrabski nachylił się przez biurko w stronę siedzącego po drugiej stronie młodego mężczyzny. – Obaj dobrze wiemy, że współpracujesz z bandą poszukiwanego przez nas Rysia! Przyznasz się do tego, później wskażesz nam miejsce, w którym się ten bandyta ukrywa, dostaniesz niewielki wyrok i za kilka lat, gdy wyjdiesz na wolność, nie będzie jeszcze dla ciebie za późno, byś założył rodzinę i żył w naszym socjalistycznym kraju!

– Nie znam żadnego Rysia!

– Łżesz! Obaj dobrze o tym wiemy! – Hrabski złapał głęboki oddech, w myślach policzył do dziesięciu i już po chwili kontynuował dużo spokojniejszym tonem: – Jurek, pamiętam cię jeszcze jako małego chłopca, myślisz, że sprawia mi przyjemność to przesłuchanie? Proszę, przyznaj się i miejmy to już z głowy.

– Nie zamierzam do niczego się przyznawać. Nie czuję się wobec kogokolwiek winny, nie zrobiłem nic złego.

– Dość! – przerwał Hrabski. – Kowalik!

W drzwiach ukazał się zastępca komendanta.

– Tak?

– Do celi z nim! – zakomenderował Hrabski, wskazując na Brodzkiego.

– Tak jest! – powiedział Kowalik i wyprowadził więźnia.

Po wyjściu obu mężczyzn komendant ze złością chwycił stojącą na biurku szklankę i duszkiem wypił jej zawartość. Z głośnym uderzeniem odstawił naczynie na blat i wygodnie rozparł się na krześle. Naprawdę było mu żal tego chłopaka. Wiedział jednak, że nie będzie mógł mu w żaden sposób pomóc. Tym bardziej że gówniarz szedł w zaparte i nie chciał się do niczego przyznać. Tym gorzej dla niego. Hrabski widział już niejednego takiego pewnego siebie bohatera, który po kilku dobach przesłuchania był gotów przyznać się do wszystkiego. Schował butelkę do szafki, podniósł się i ciężkim krokiem ruszył w stronę drzwi. Na dzisiaj miał już dość. Jednak myśl o powrocie do pustego mieszkania wcale nie działała na niego pocieszająco. Kto wie, może powinien wystarać się na wsi o kilka jajek i w ramach podziękowania za koszulę zanieść je sąsiadce? Ta myśl sprawiła, że przez chwilę nawet się uśmiechnął i zaczął iść różniejszym krokiem.

18.

Z pewnością nie uważał siebie za pedanta, ale zawsze powtarzał, że facet musi o siebie dbać. Jeżeli nie stać go na nowe ubrania, to niech chociaż te, w których chodzi, będą czyste i odprasowane. Rozumiał, że była wojna i od pewnych higienicznych standardów wówczas się odchodziło. Teraz jednak, w powojennym, uporządkowanym przez władzę ludową państwie każdy powinien o siebie dbać. Chociaż na tyle, by nie śmierdział! A tego nie dało się powiedzieć o mężczyźnie, którego przed paroma minutami przywieziono do pokoju zajmowanego przez sekretarza Komitetu Centralnego. Facet straszliwie cuchnął i sekretarz obawiał się, że po tej wizycie będzie musiał długo wietrzyć gabinet. Zastanawiał się, jak to możliwe, żeby taki niewielki, drobny i w dodatku pozbawiony nóg mężczyzna aż tak śmierdział. Żałował, że zaraz po przywiezieniu go tutaj przez dwóch tajniaków podszedł do inwalidy i beztrudnie przywitał się z nim, podając mu swoją czystą i wypielegnowaną dłoń. Wtedy jeszcze nie wiedział, z jaką bombą bakteriologiczną ma do czynienia. Mądry Polak po szkole – pomyślał z przekąsem.

– Czy mógłbym wreszcie dowiedzieć się, w jakim celu mnie tutaj sprowadziliście? – spytał Zygmunt Wieczorek, który miał już dość świdrującego go spojrzenia siwego mężczyzny w nienagannie skrojonym popielatym garniturze.

– Nazywam się Bolesław Makowski i jestem sekretarzem Polskiej Partii Robotniczej. – Morawski zrobił pauzę, by zobaczyć, jaką reakcję u inwalidy wywołają jego słowa. Nie wywołały żadnej. Kontynuował więc swoją mowę, ale już bez towarzyszącego jej na początku uniesienia. – Kilka dni temu w jednym ze stołecznych hoteli zamordowano moją żonę. Po przybyciu na miejsce milicja zastała w pokoju młodego mężczyznę. Na jego ciele odnaleziono liczne ślady krwi, a w rękę trzymał narzędzie, którym zadano śmierć...

– W takim razie milicji się poszczęściło – przerwał wesoło Wieczorek.
– Za moich czasów musiało minąć trochę czasu, zanim udało nam się wytropić mordercę, a tu proszę, szast-prast i już został pochwycony przez sprawne organa ścigania, będące niezawodnym narzędziem władzy ludowej, która bezlitośnie tępi wszelkie jednostki społeczne.

Makowski spojrzał ostro na siedzącego w wózku inwalidę, przypominającego mu bezdomnego żebraka, który przed wojną zawsze stał na rogu Nowego Świata i Alei Jerozolimskich. Tamten jednak tak nie śmierdział.

– Proszę nie kpić z władzy ludowej!

Wiewiór roześmiał się głośno. Podjechał bliżej Makowskiego, który w pierwszym odruchu chciał się cofnąć w stronę uchylonego okna, jednak w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Bo co? – rzucił zaczepnie inwalida. – Co gorszego może mnie jeszcze spotkać? Czy pańscy oprawcy od przesłuchań okażą się lepsi od gestapowskich? Co?! Może zrobicie taki eksperyment, swoisty rodzaj zawodów! Czyje tortury są lepsze? Gestapo czy UB? Jurorem zostanie pan Zygmunt Wieczorek, który wszystkiego doświadczy na własnym ciele!

– Dość!

Wiewiór zamilkł. Podjechał w stronę okna. Złapał się parapetu, podciągnął nieco i wychylił na zewnątrz. Znajdowali się na drugim piętrze, jakieś sześć metrów niżej po chodniku spacerowali ludzie.

– Gównno możecie mi zrobić – powiedział, patrząc w dół.

Bolesław Makowski pobladł. Jeszcze tylko tego brakowało, by ten cholerny beznogi śmierdziel wymknął mu się w tak głupi sposób.

– Nikt nie chce wam nic zrobić – odezwał się spokojnie. – Potrzebujemy waszej pomocy.

Wieczorek odsunął się od okna. Usiadł w wózku i odwrócił się w stronę swojego rozmówcy.

– Pomocy? – powtórzył niepewnie. – W czym? Przecież z tego, co pan mówił, wynika, że ujęliście zabójcę tej kobiety.

Sekretarz najważniejszej w Polsce partii rozłożył ręce w geście bezradności. Chciał, zanim przystąpi do wyjaśnień, zaczerpnąć głęboki haust powietrza, jednak powstrzymał się od tego, gdy spojrzał na Wiewióra.

– Do wczoraj myśleliśmy podobnie jak wy. Okazało się jednak, że jesteście w błędzie. Mężczyzna, którego zatrzymaliśmy przy zwłokach mojej żony, nie jest jej mordercą.

Wieczorek triumfował. Przedstawiciel znienawidzonej przez niego władzy ludowej przyznawał się do pomyłki podlegających mu organów ścigania.

– Na jakiej podstawie wyciąga pan takie wnioski? – spytał, drapiąc się po ciemnych skołtunionych włosach. Z satysfakcją zauważył, że wzbudza tym wstręt mężczyzny przypominającego chodzącą reklamę z żurnala ukazującego męską modę dla panów w średnim wieku.

– Wczoraj wieczorem znaleźliśmy zwłoki kolejnej dziewczyny zamordowanej w taki sam sposób jak moja żona.

Wiewiór w swojej policyjnej karierze miał tylko dwa razy okazję prowadzić śledztwo w sprawie seryjnego mordercy. Raz udało mu się go ująć, w drugim przypadku śledztwo przerwał wybuch wojny.

A więc po to jestem wam potrzebny – pomyślał nie bez pewnego zadowolenia. Musiał przyznać, że wbrew temu, co sądził o powojennych śledczych, dość szybko go znaleźli. Bądź co bądź po zakończeniu wojny nie mógł wrócić do dawnego mieszkania ze względu na swoje kalectwo, a z tego, które od trzech lat wynajmował, wyrzucono go na bruk. Był więc człowiekiem bezdomnym, a na ślad takich wcale nie jest łatwo trafić. Zwłaszcza w Warszawie, gdzie można ukryć się w różnych miejscach. Dobra – pomyślał – jeden punkcik dla was.

– Skąd pewność, że obu zabójstw dokonała ta sama osoba? – Wiewiór, zadając to pytanie, poczuł się jak przed wojną, kiedy robił to, co potrafił najlepiej.

Makowski szybkim krokiem podszedł do stojącego po przeciwnej stronie pokoju wielkiego, masywnego biurka. Podniósł z niego jakąś kopertę.

– Proszę to obejrzeć – rzekł, podając kopertę Wieczorkowi.

Inwalida otworzył szarą, ciężką paczuszkę. Tak jak się domyślał, znajdowały się w niej zdjęcia. Spojrzał na pierwsze z nich. Przez chwilę nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Szybko obejrzał następne i kilka kolejnych. Poczuł, jakby cofnął się w czasie o dziesięć lat. Na moment zapomniał o swoim kalectwie. Wydawało mu się nawet, że w chwili gdy podniesie znad zdjęć wzrok, ujrzy zamyśloną twarz swojego przyjaciela,

Jana Wolaka.

Zdjęcia przedstawiały dwie kobiety. Łączyło je tylko jedno. Sposób, w jaki zakończyły życie. Każda została zadźgana jakimś ostrym narzędziem, a na ich plecach morderca wyrznął serce, w którego środku znajdowała się litera „W”. Inwalida złożył zdjęcia i schował je do koperty, którą oddał Makowskiemu.

– Przed wojną, podobnie jak większość warszawiaków, z zapartym tchem śledziłem w gazetach artykuły dotyczące pańskiego śledztwa w sprawie „Kościelnego zabójcy”. Poczuliśmy ogromną radość, kiedy dowiedziałem się, że dzięki pana sprawnie poprowadzonej akcji wywiadowczej ten psychopata został zastrzelony podczas próby ucieczki z miejsca zbrodni. Z tego, co pamiętam, to chyba pan wówczas do niego strzelał, prawda?

Wieczorek skinął głową. Przed oczami przelatywały mu wydarzenia z tamtego listopadowego wieczoru 1937 roku. Zenon Wójcik, lat trzydzieści dziewięć. W trzydziestym szóstym wyrzucony z Legii Cudzoziemskiej. Powód oficjalny – kłopoty ze zdrowiem. Powód nieoficjalny – dwukrotne przyłapano Zenona W., gdy gwałcił kobiety w Hiszpanii. Po powrocie do ojczyzny Wójcik przechodzi kryzys. Wiele czasu spędza w kościołach, gdzie wśród modlących się kobiet szuka swoich przyszłych ofiar, które następnie śledzi, wyczekuje na odpowiedni moment, gwałci i dusi. Prawda o złapaniu Wójcika była inna od tej, którą podawały gazety. Wiewiór trafił na mordercę przez przypadek. Wracał późnym popołudniem do domu i usłyszał dziwne odgłosy dochodzące od strony mało uczęszczanej parkowej alejki. Zakradł się tam i zobaczył potężną sylwetkę mężczyzny zaciskającego mocarne dłonie na szyi klęczącej przed nim kobiety. To, co wydarzyło się później, było wynikiem działań niemających nic wspólnego z literą prawa. Wiewiór powinien skuć kajdankami przestępcę i doprowadzić go na najbliższy posterunek. W razie gdyby dryblas stawiał opór, można go było postrzelić w kolano. Stało się jednak inaczej. Pięć kul utkwilo nie w kolanie, ale w klatce piersiowej gwałciciela. To był pierwszy człowiek, jakiego w czasie służby zastrzelił Zygmunt Wieczorek. Do dziś miał świadomość, że wcale nie musiał tego robić. Facet, w momencie kiedy usłyszał i zobaczył mierzącego do niego Wiewióra, który krzychał przy tym, że jest z policji, podniósł ręce i zaczął klękać na ziemi. Nie zdążył. Pierwsza kula sprawiła, że odruchowo poderwał się na nogi. Druga wywołała zdziwienie. Trzecia i czwarta

rzuciły go na kolana. Piąta... Piąta była niepotrzebna.

– Tak, to ja do niego strzelałem – potwierdził Wieczorek.

– Cała stolica uważała was wówczas za bohatera – rzekł Makowski.

Zyga na dobre otrząsnął się ze wspomnień. Nieco zamglonym wzrokiem spojrzął na szychę z PPR-u.

– I co mi teraz z tego? Pięć minut chwały, a potem zapomnienie. Szukanie nowego bohatera, którego zdjęcia można umieszczać na pierwszych stronach gazet, tyle to wszystko było warte!

Makowski odchrząknął. Trzymaną w dłoni kopertę odłożył na biurko.

– Być może jeszcze nie wszystko skończone i stracone.

Wieczorek przez dłuższą chwilę szukał czegoś w kieszeni marynarki. W końcu wyciągnął stamtąd kilka petów. Wybrał najdłuższego, włożył do ust i przypalił zapalniczką zrobioną z łuski naboju.

– Myli się pan – powiedział, wydmuchując chmurę dymu – dla mnie już wszystko skończone. Dokonałem tego, co miałem dokonać. Fortuna przez chwilę się do mnie uśmiechała, a teraz... teraz odwróciła się do mnie dupą!

– Potrzebujemy waszej pomocy – powiedział Makowski, po którym widać było, że z dużym trudem słowa te przechodzą mu przez gardło. – Oczywiście nie za darmo.

Wiewiór ponownie się uśmiechnął.

– Drogi towarzyszu – zaczął nieco kpiarskim tonem. – Nie wiem, czy się dobrze zrozumieliśmy, ja nie dam się ani zastraszyć, ani przekupić. Po prostu nie mam już nic do stracenia ani do zyskania.

Makowski westchnął. Rozmowa z inwalidą coraz bardziej go irytowała. Najchętniej złapałby go za ten zawoszony łeb i wyrzucił przez okno.

– Nie chcę was przekupić. Pragnę tylko, żebyście raz jeszcze wykorzystali swoje umiejętności śledcze i pomogli nam schwycić mordercę mojej żony.

– Pańskiej żony i pozostałych kobiet.

– Tak, oczywiście – zgodził się Makowski. – Pozostałe kobiety są równie ważne jak moja żona. Przede wszystkim zależy nam na tym, żeby ten bydlak nikogo już nie zamordował.

Wieczorek miał przygotowaną ciętą ripostę, powstrzymał się jednak od

wypowiedzenia jej głośno. Chciał jak najszybciej zakończyć rozmowę z Makowskim. Od chwili, gdy zobaczył zdjęcia zamordowanych kobiet, nie marzył o niczym innym, jak tylko o tym, aby móc wziąć udział w śledztwie dotyczącym seryjnego zabójcy. Nie chciał jednak, by jego rozmówca zorientował się, jak bardzo mu na tym zależy. Trzymany w ustach papieros zdążył już zgasnąć. Wiewiór podjechał wózkiem do otwartego okna i pstryknął niedopałkiem na zewnątrz. Zdegustowany Makowski przyglądał mu się z niesmakiem.

– Zgadzam się – powiedział inwalida, podjeżdżając na środek pokoju.

Twarz Makowskiego rozjaśnił promienny uśmiech. Raz jeszcze dopiął swego. Trudne pertraktacje zakończyły się powodzeniem. Gdyby mógł, to sam sobie uściskałby dłoń.

– Nawet nie wiecie, jak bardzo się cieszę – powiedział podekscytowany.

Do czego to doszło – pomyślał rozbawiony inwalida – władza ludowa potrzebuje pomocy kogoś takiego jak ja.

– Potrzebne mi wszystkie protokoły spisane w miejscach znalezienia zwłok, jeszcze raz będę chciał przyjrzeć się zdjęciom. Ponadto potrzebny mi będzie ktoś do pomocy.

– Oczywiście – przytaknął pospiesznie Makowski. – Wszystko to dla was zorganizujemy. W kwestii pomocnika mam już nawet pewną kandydaturę, młody, sprawny, silny...

– Towarzyszu – przerwał mu głośno Wieczorek – mnie nie chodzi o kogoś, kto będzie pchał mój wózek czy wnosił mnie po schodach! Pomocnika sam chciałbym sobie wybrać!

Cholerny impertynent! – pomyślał Makowski. Skinął jednak głową, odetchnął głęboko i siląc się na spokój, odparł:

– Rozumiem. Jutro z samego rana przekażę wam akta personalne kilku moich najlepszych wywiadowców i wybierze pan sobie któregoś z nich.

– Nie ma takiej potrzeby – odparł szorstko Wieczorek. – Ja już wybrałem.

Makowski z zaciekawieniem uniósł brew.

– Można wiedzieć, kto to taki?

Inwalida skinął głową.

– To człowiek, który dziesięć lat temu tropił wraz ze mną mordercę

pańskiej żony.

– O czym mówicie? – Makowski nawet nie próbował ukryć zdziwienia.

Wieczorek ponownie zaczął szukać w kieszeni niedopałków. Makowski szybko podszedł do stojącej pod ścianą szklanej witryny. Otworzył drzwiczki, wyjął pudełko nienapoczętych gabinetowych i podał je Wieczorkowi. Ten wziął je, nie siląc się na słowa podziękowania.

– Mówię o tym, że morderca, którego mam znaleźć, zabijał również przed wojną – powiedział Zyga, kiedy już ze smakiem zaciągnął się luksusowym papierosem.

– Nie rozumiem! Jak to możliwe?

– Jeżeli mi pan nie wierzy, to nie ma sensu, żebym dla pana pracował – rzekł obojętnie Wieczorek.

– Nie powiedziałem, że wam nie wierzę – zaczął Makowski, bojąc się, że inwalida się rozmyśli i nie będzie chciał współpracować. Najgorsze w tym wszystkim było to, że Wieczorek nie miał żadnej rodziny. Nikogo bliskiego, kim można by go szantażować.

– Rozumiem. Nie chcę jednak, żeby pan myślał, że wszystko to sobie wymyśliłem. Rzeczywiście w prasie wtedy niewiele pisano o tamtych morderstwach. Wszystko było trzymane przez nas w tajemnicy. Nie chcieliśmy wywołać w społeczeństwie paniki podobnej do tej, jaka miała miejsce w czasie, gdy grasował „Kościelny zabójca”. Jednak w archiwum stołecznej policji powinny zostać jeszcze akta tamtej sprawy. Wystarczy trochę czasu, aby pan się przekonał, że mówię prawdę.

Makowski milczał. Zastanawiał się, czy Wieczorek mówi prawdę, czy blefuje. Najgorsze było to, że nie mógł tego sprawdzić.

– Obawiam się, że będę musiał wam uwierzyć na słowo – rzekł w końcu.

– Nie rozumiem, przecież może pan to sprawdzić.

– Nie mogę! – przerwał zdenerwowany towarzysz. – Całe archiwum stołecznej policji zostało zniszczone podczas powstania!

– O kurwa! – zaklął bezsilnie inwalida.

– No właśnie. Jest dużo gorzej, niż myślicie!

Teraz Wieczorkowi wszystko poukładało się w całość. Bez archiwum ludzie pracujący w wydziale śledczym działali po omacku. A tacy jak Wiewiór, doświadczeni i znający przedwojenny element, byli teraz na

wagę złota. Zwłaszcza przy poszukiwaniu morderców. Pieski władzy ludowej nie miały pojęcia, gdzie szukać. A stary, wytrawny pies, nawet pozbawiony nóg, był o niebo lepszym tropicielem.

– Facet, o którym panu mówiłem, to jedyny człowiek, mogący nam teraz pomóc – poważnym tonem powiedział Zygmunt i znowu podjechał do okna. Pstryknął niedopałek na ulicę. Tym razem Makowski nawet nie zwrócił na to uwagi.

– Kto to taki?

Wieczorek przez chwilę został przy oknie, chłonąc powiew powietrza. W końcu odwrócił się i powiedział:

– Jan Wolak, najlepszy przedwojenny komisarz w całej stolicy.

– A teraz poszukiwany przez nas reakcyjny bandyta – powiedział z rezygnacją sekretarz. – Musicie wskazać kogoś innego, Wolak nie może prowadzić dla nas śledztwa!

Wiewiór podjechał do Makowskiego. Zrobił to tak szybko, że sekretarz przez chwilę bał się, iż inwalida nie wyhamuje i wjedzie w niego. Odruchowo cofnął się o dwa kroki.

– Niech pan wreszcie zrozumie, że bez Wolaka nikt nie znajdzie mordercy! Zwłaszcza teraz, kiedy się okazuje, że wszystkie akta tej sprawy poszły z dymem podczas powstania! On miał je w głowie! Żył tą sprawą, bo... bo ona w dużej mierze dotyczyła jego osoby!

– Czyli wy sami – próbował jeszcze coś ugrać Makowski – nie potraficie odnaleźć zabójcy mojej... to znaczy zabójcy tych wszystkich kobiet

Wieczorek pokręcił przecząco głową.

– Ani ja, ani nikt inny w całym tym cholernym mieście!

– Skąd pewność, że Wolak będzie chciał nam pomóc?

– Mówiłem już, że to dla niego sprawa osobista. Zagwarantujcie mu nietykalność, a do reszty ja go przekonam.

Makowski wahał się przez chwilę. W końcu zdecydował, że nie ma innego wyjścia, jak tylko zgodzić się na warunki zaproponowane przez kalekę. Podlegający mu śledczy naprawdę byli mało rozgarnięci. Nadawali się jedynie do tłumienia awantur w podrzędnych spelunkach i patrolowania ulic nocami.

– Dobrze, jutro z samego rana wyślemy was w rejon, w którym ukrywa

się jedna z reakcyjnych band. Może tam odnajdziecie swojego dawnego przyjaciela. – Makowski już miał odprawić Wiewióra, ale w ostatniej chwili coś mu się przypomniało. – Zanim udacie się na spoczynek, mój człowiek weźmie miarę z waszych ubrań i przygotuje na jutro coś... świeżego. Proszę też, abyście wzięli kąpiel, bo z całym szacunkiem, ale nawet ci leśni bandyci puciekają od kogoś, kto wydziela tak intensywną woń. Nie mówię tego, aby was obrazić, tylko...

– ...tylko z czystej troski, jaką władza ludowa obdarza każdego ze swoich obywateli! – dokończył Wieczorek, który dobrze zdawał sobie sprawę z tego, jak wielkimi męczarniami musiało być dla takiego zadbanego i pachnącego pedanta przebywanie w jednym pokoju z kimś, kto – delikatnie mówiąc – trochę się zaniedbał.

– Sam lepiej bym tego nie ujął – odparł Makowski. – Za drzwiami stoi jeden z moich ludzi i on się wami zajmie.

– W takim razie do jutra, towarzyszu! – rzekł Wieczorek, odwracając wózek w stronę wyjścia. – Aha, proszę pamiętać o aktach z ostatnich zabójstw, te chyba wam się nigdzie nie zawieruszyły?

Makowski chciał coś odpowiedzieć, ale inwalida już zniknął za drzwiami. Bezsilnie zacisnął usta, patrząc, jak niepełnosprawny radzi sobie z wymanewrowaniem wózkiem na korytarz. Gdy tylko za trudnym gościem zatrzęsły się drzwi, Makowski podniósł rękę i obwąchał rękaw swojej marynarki. Dałby sobie głowę uciąć, że całe jego ubranie przesiąknęło smrodem wydzielanym przez Wieczorka. Jednak dla odnalezienia mordercy Wiery gotów był do dużo większych poświęceń.

19.

Idąc przez las, zastanawiał się, czy jest dobrym dowódcą. Swoim chłopakom zabronił pójścia na potańcówkę organizowaną w sąsiedniej wsi, a sam szedł na spotkanie z Baską. Tyle że on ryzykował o wiele mniej niż tamci. Z tego, co dowiedział się od Marka, brata Basi, do wsi przyjechał jakiś nowy, wysoki rangą oficer z Warszawy. Wolak zresztą potwierdził te informacje, opowiadając o spotkaniu z Jastrzębskim w karczmie. Ryś był zły na starego komisarza, że z taką lekkomyślnością pokazuje się w miejscach publicznych. Nic jednak nie mógł zrobić. Marek dowiedział się od koniuszego Romualda, pracującego we dworze Bralewskich, w którym teraz zamieszkał Jastrzębski, że pojawił się tam również oddział żołnierzy KBW. Koniuszy podsłuchiwał rozmowę, z której wywnioskował, że oficer UB szykuje obławę na partyzantów. Nie znał niestety żadnych szczegółów, dlatego Andrzej musiał być szczególnie czujny. Garstka jego ludzi nie miałyby żadnych szans w starciu z dużo liczniejszą grupą żołnierzy. Bał się, że Jastrzębski może zrobić obławę podczas najbliższej potańcówki, dlatego zabronił iść na nią swoim ludziom. Miał jednak ogromne wyrzuty sumienia. Chłopakom należała się przecież jakaś odskocznia od monotonii ciągłego ukrywania się w lesie. Widział ich wściekłe spojrzenia, kiedy dzisiaj wychodził do wsi na spotkanie z ukochaną. On mógł, a oni nie. W oczach swoich podwładnych stracił dzisiaj bardzo dużo. Nie miał pojęcia, co będzie musiał zrobić, by na nowo odbudować swój autorytet i ponownie zdobyć ich sympatię. To wszystko powoli go przerastało.

Coraz częściej w jego głowie pojawiała się myśl, żeby rzucić to, zabrać Baškę i wyjechać gdzieś, gdzie mogliby rozpocząć nowe życie. Może na Ziemi Odzyskanej? Wystarzałyby się o jakieś dobre dokumenty, znalazł pracę, założył rodzinę i...

Odsuwał od siebie tę myśl, ona jednak powracała. Wyjeżdżając,

zakładając rodzinę, stałby się częścią systemu, przeciwko któremu walczył. Nie mógł zdradzić samego siebie. Jak wtedy spojrzalby w lustro? Zostając w lesie, też niewiele zyskiwał. Było to powolne czekanie na śmierć z rąk ścigających go prześladowców. Andrzej zrozumiał, że nadszedł czas, by zwołać naradę wszystkich członków grupy i otwarcie przedyskutować sens dalszej aktywności oddziału. Wszyscy jeszcze byli młodzi i mieli szansę rozpocząć zwyczajne życie. Jedyne, co musieliby zrobić, to pogodzić się z nowym statusem społecznym. A to byłoby dla nich dosyć trudne, ponieważ wszyscy staliby się obywatelami Polski rządzonej przez komunistów, którym rozkazy wydawali sowieccy towarzysze. Nagle przypomniał sobie o Wolaku. Z nim był największy kłopot. Komisarz nie był już tak młody, aby zaczynać wszystko od początku. Ryś uświadomił sobie, że prawa jednostki nigdy nie liczyły się w systemach totalitarnych, którym tacy jak oni się przeciwstawiali. Tak więc nie wchodziło w grę poświęcenie losu Wolaka dla dobra pozostałych. Decyzja, jaką podejmą w sprawie dalszej walki lub jej zaprzestania, musiała być korzystna dla wszystkich. Nikt nie powinien w jej wyniku ucierpieć.

Doszedł do granicy lasu. Ściemniało się, ale na wiejskiej drodze panował ożywiony ruch. Słychać było śmiechy i rozmowy młodych ludzi, którzy małymi grupkami szli na zabawę do sąsiedniej wsi. Ryś, stojąc w cieniu drzew, przypatrywał się im przez jakiś czas. Większość idących traktem chłopców była niedużo młodsza od niego. Niektórzy pewnie byli jego rówieśnikami. Na początku nie mógł sobie uzmysłowić, co się z nim dzieje, po chwili zrozumiał, że patrzy na nich z zazdrością. Chciałby tak jak oni beztrąsko się śmiać, żartować, zwyczajnie cieszyć życiem. A tymczasem, wychodząc z lasu, za każdym razem rozglądał się bojaźliwie na wszystkie strony. Unikał głównych dróg, zwykle się skradał, kiedy już zapadł zmierzch. Powoli gubił ludzkie cechy, coraz bardziej upodabniając się do dzikiego, zaszczutego zwierzęcia.

Wszedł na drogę i ściskając w kieszeni rękojeść pistoletu, szedł w stronę zabudowań. Basia czekała na niego przed domem. Podszedł, nachylił się, by pocałować ją w usta. Dziewczyna w ostatniej chwili odwróciła twarz, tak że zdążył cmoknąć ją tylko w policzek. Zorientował się, że jest na niego zła.

– Długo kazałeś na siebie czekać – odezwała się, nim zdążył cokolwiek powiedzieć.

Fakt, spóźnił się na spotkanie z nią prawie godzinę, ale przecież zdarzało mu się to już wcześniej. Trudno było mu zrozumieć poirytowanie ukochanej.

– W ostatniej chwili coś mi wypadło i musiałem zorganizować szybką odprawę dla całej grupy – próbował się wytłumaczyć, choć zdawał sobie sprawę, że może to tylko zaognić sytuację.

Basia wzruszyła ramionami, jakby to wszystko niewiele ją interesowało.

– Wiadomo już coś o Jurku?

– Na razie tylko tyle, że przewieziono go do Warszawy – odparł, unikając wzroku dziewczyny.

Panna Brodzka skinęła w milczeniu głową. Przełknęła ślinę i drżącym głosem zadała pytanie:

– Jakie są szanse, że wróci do nas cały i zdrowy?

Andrzej pożałował, że nie został w lesie. Ta rozmowa stawała się dla niego coraz trudniejsza. Czuł się odpowiedzialny za każdego członka swojego oddziału, ale na litość boską, brat Baśki sam się oddał w łapy UB! Nie można za to winić jego jako dowódcy! W myślach policzył do pięciu, uspokoił się, położył dłoń na ramieniu dziewczyny i tym razem, patrząc jej głęboko w oczy, powiedział:

– Obiecuję ci, że zrobię wszystko, by go stamtąd wyciągnąć...

– Jak?! – przerwała mu gwałtownie.

– Nie wiem jeszcze – Andrzej z coraz większym trudem panował nad sobą – ale uwierz mi, nie zostawię tak twojego brata.

Basia mierzyła wzrokiem Andrzeja. W końcu delikatnie strąciła jego dłoń ze swego ramienia i powiedziała:

– Chodźmy.

– Dokąd?

– Tam gdzie wszyscy – rzekła, wskazując na wciąż idących drogą młodych ludzi.

Andrzej w jednej chwili zrozumiał, o co dziewczynie chodzi. Postanowił się jednak upewnić.

– Chcesz iść na potańcówkę? – Miał jeszcze nadzieję, że się myli. Że Baśka tak tylko z niego żartuje.

– Nigdy jeszcze z tobą nie tańczyłam, a dziś nadarza się ku temu świetna okazja – rzekła poważnie.

Ryś pobladł. Nagle poczuł się kompletnie bezradny. Nie wiedział, co ma zrobić. Dużo łatwiej było mu wydawać rozkazy podczas potyczki z oddziałami KBW, niż teraz podjąć jakąś decyzję.

– Nie możemy tam iść – wykrztusił w końcu.

Baśka uśmiechnęła się zaczepnie.

– A to niby czemu?

– Bo... – zaczął Andrzej i umilkł. Zrozumiał, że cokolwiek powie, to i tak nie przekona dziewczyny.

Baśka patrzyła, jak stoi i nie może wydusić z siebie słowa. Zdziwiła się, że wcale nie jest go jej żal. Coś się w niej zmieniło. Coś pękło i teraz musiała sobie wszystko raz jeszcze na nowo poukładać.

– Andrzej – zaczęła spokojnym głosem – zrozumiem, że mam już dość tych potajemnych spotkań w ukryciu. Nie jestem jakąś Julią, która ukradkiem spotyka się ze swoim Romeem. Ja chcę cieszyć się nami przed całym światem. Pragnę, żeby inni widzieli, że jesteśmy razem i że jesteśmy szczęśliwi.

Chłopak w dalszym ciągu stał w milczeniu. Baśka wzięła w swoje ręce jego dłoń.

– Więc albo pójdziemy tam dzisiaj razem, albo pójdę sama.

Ryś wyrwał dłoń z rąk dziewczyny.

– Zrozumiem, nie mogę pójść tam z tobą – powiedział łamiącym się głosem.

Dziewczyna patrzyła jeszcze przez chwilę na Andrzeja. Nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Zawsze zapewniał ją o swoich uczuciach, a teraz nie może dla niej zrobić tej jednej rzeczy, o którą go tak prosi. Odwróciła się i dołączyła do rozweselonej grupy młodych ludzi spieszących na potańcówkę.

Ryś długo jeszcze stał, patrząc za znikającą w ciemności Basią. Żałował, że nie potrafi wydusić z siebie nawet jednej łzy. Może wówczas poczułby ulgę, a tak całe cierpienie rozsadało go od środka, nigdzie nie mogąc znaleźć ujścia. Kiedy już nie widział ani nie słyszał Basi i jej towarzystwa, skierował się w stronę lasu, który był wszystkim, co mu zostało.

20.

Cela, w której zamknięto Nikodema, miała nie więcej niż sześć metrów kwadratowych. Pod jedną ze ścian stała prycza z rzuconym na nią siennikiem, w którym prawie już nie było słomy. Po przeciwległej stronie znajdowała się druga prycza. Ta jednak była nieco węższa i krótsza. Nikodem, kiedy na nią patrzył, miał wrażenie, że komuś, kto ją tam postawił, zdecydowanie brakowało wyobraźni. Próbował się na niej położyć, ale jej rozmiary były idealne dla dziecka, nie dla dorosłego mężczyzny.

Z nudów zaczął chodzić po celi, odliczając kroki. A raczej kroczi, gdyż wymiary pomieszczenia znacznie go ograniczały. Trzy do umieszczonego w górze wąskiego zakratowanego okna. Trzy w stronę drewnianych drzwi z zasłoniętym judaszem. Dwa i pół do pryczy. Dwa do wiadra wypełnionego uryną. I kolejne okrążenie, aż do ogłupienia. Zdziczenia. W pogoni za przeszłością wyświetlaną pod wpół przymkniętymi powiekami niczym film w iluzjonie. Wisząca u sufitu żarówka bez skrupułów oświetlała wszystko, co go otaczało. Nie było tego wiele.

Nie tak sobie wyobrażał koniec. W sumie to nigdy o nim nie myślał. Życie jednak weryfikuje wszystkie plany i marzenia. „Chcesz rozśmieszyć Boga, to opowiedz mu o swoich planach” – przypomniało mu się zasłyszane kiedyś zdanie. Uśmiechnął się smutno. Matka zaszczepiła mu wiarę w Boga, którą on zamienił na wiarę we władzę ludową. Bóg, w jego mniemaniu, nic mu nie dał, władza ludowa dała mu wszystko. Stanowisko, pieniądze. Teraz władza, której się zaprzedał, miała wydać na niego wyrok śmierci. Nikodem poczuł, że do oczu napływają mu łzy. Gdzieś popełnił błąd. W którymś momencie swojego życia wybrał złą drogę. Po policzkach popłynęły mu łzy. Na wszystko jednak było już za późno.

Po kilku kolejnych krokach poczuł parcie na pęcherz. Skrzywił się na samą myśl o tym, że będzie musiał się załatwić. Prosta czynność, nad którą nigdy do tej pory się nie zastanawiał, w jednej chwili stała się czymś nad wyraz bolesnym. Staął w rozkroku nad wiadrem. Tyłem do drzwi. Był przekonany, że klawisz bezustannie go obserwuje. Dziwne, jak długo człowiek nie wyzbywa się wstydu – pomyślał.

Pierwsze krople moczu wywołały paroksyzm bólu. Spojrzał w dół. Tak jak się spodziewał – sikał z krwią. Ci zwyrodnialcy mocno obili mu nerki. W sumie powinien się cieszyć, że nie ma nic złamanego. Albo pękniętej czaszki. W czasie swojej pracy w UB widywał więźniów w dużo gorszym stanie. Marną to było pociechą, ale zawsze. Wciąż miał nadzieję, że proces, który go czekał, wszystko wyjaśni i niebawem odetchnie świeżym powietrzem.

Kończył właśnie sikać, kiedy usłyszał odgłosy kroków dochodzące z korytarza. Szybko podciągnął spodnie, które zaraz i tak opadły na biodra, gdyż nie były podtrzymywane przez pasek skonfiskowany przez strażników. Podeszedł do swojej pryczy. W momencie, gdy w drzwiach zgrzytnął klucz, Nikodem stanął na baczność. Czuł, jak serce bije mu coraz szybciej. Bał się kolejnego przesłuchania. Czarny but strażnika przekroczył próg. Morawski zacisnął dłonie. Serce łomotało mu w piersiach coraz mocniej, niczym zamknięty w klatce ptak, który nie chce pogodzić się z utratą wolności.

Wysoki, barczysty strażnik stanął naprzeciw więźnia. W opuszczonej ręce trzymał drewnianą łagę. Delikatnie uderzał nią o udo. Pełna napięcia cisza przedłużała się w nieskończoność. Morawski oczami wyobraźni widział, jak dryblas bierze zamach i z całej siły uderza go pałą w głowę. Mógłby przysiąc, że słyszy towarzyszący wyimaginowanemu uderzeniu gruchot pękającej czaszki.

– No i co, Morawski, jak to jest znaleźć się po drugiej stronie? – odezwał się strażnik.

Nikodem milczał. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć, żeby nie sprowokować klawisza.

Strażnik pociągnął nosem.

– Śmierdzi tu. Zlaliście się w gacie?

Nikodem zacisnął usta. Strach ustępował w nim powoli wzbierającej bezsilności, z której lada chwila mogła narodzić się wściekłość.

– Melduję, że wiadro z nieczystościami się przepełnia i stąd ten smród.

Dryblas zrobił zdziwioną minę. Rozejrzył się po celi. Po chwili spostrzegł kubek z uryną. Podeszedł do niego. Przystanął. Uśmiechnął się, odsłaniając żółte od nikotyny zęby i patrząc na Morawskiego, powiedział:

– Wiadro z nieczystościami, mówicie?

– Tak jest, wiadro z...

– Nigdzie go nie widzę – rzekł strażnik, udając, że się rozgląda, a potem kopnął stojący u jego stóp kubek, którego cuchnąca zawartość rozlała się po betonowej posadzce. – O, tutaj stało! – krzyknął z udawanym zdziwieniem – Wybaczcie, ale go nie zauważyłem.

Morawski przełknął ślinę.

– No, ale teraz macie problem z głowy. Wiadro jest puste i znowu możecie szczać do woli! – Strażnik roześmiał się głośno. – Wiecie, po co do was przyszedłem?

Nikodem zaprzeczył ruchem głowy. Sekundę później uświadomił sobie, że popełnił błąd. Drewniana laga uderzyła go w skroń. Dryblas był tak szybki, że więzień nie zdążył zasłonić się ręką, by choć trochę osłonić się od ciosu.

– Nie kręćcie mi tu łbem, tylko odpowiadajcie całym zdaniem, jak was w szkołach uczono!

Morawski czuł, jak uderzona skroń zaczyna mu puchnąć. Przed oczyma pojawiła się mgła. Jeszcze mocniej zacisnął dłonie. Nie mógł zemdleć i upaść na brudną, mokrą podłogę. Wiedział, że wtedy naraziłby się na kolejne razy.

– Posłusznie melduję, że nie wiem, po co przyszliście – zdołał wykrztusić.

– No, teraz znacznie lepiej! – pochwalił go strażnik. – Przyszedłem wam oznajmić, że będziecie mieli gościa!

Nikodem, niewiele rozumiejąc, usiłował skupić spojrzenie na klawiszu, który podeszedł do drzwi i ryknął na całe gardło:

– Wprowadzić go!

Na korytarzu dało się słyszeć kroki i dziwne, niepokojące szuranie. Morawski rozpoznał ten dźwięk. Wydawał go wleczony przez strażników więzień, tak skatowany, że nie był w stanie iść o własnych siłach.

– Oto wasz gość! – powiedział z ironią w głosie strażnik, kiedy jego dwaj współpracownicy rzucali na pryczę bezwładne ciało nieprzytomnego mężczyzny. – Może jeszcze zdążycie się zaprzyjaźnić. Musicie jednak się spieszyć, bo obaj nie macie na to zbyt wiele czasu!

Chwilę później drzwi zamknęły się za wychodzącymi strażnikami. W drzwiach ponownie zgrzytnął klucz. Nikodem i jego towarzysz zostali sami w cuchnącej, wilgotnej celi.

– Co z nim będzie? – spytał ubrany w dobrze skrojony garnitur młody mężczyzna, nerwowo zaciągając się papierosem.

Na więziennym korytarzu słychać było niesione echem kroki trzech strażników, którzy kilka sekund wcześniej oddalili się spod celi.

Siwy jegomość, mogący z powodzeniem grać w filmach role angielskich dżentelmenów, odsunął się od judasza, przez który przypatrywał się dwóm więźniom.

– Jutro obaj dostaną to, na co zasłużyli, kulka w łeb i nieznaną mogiła. – Jego głos był zimny, pozbawiony jakichkolwiek emocji.

Młodzieniec zaciągnął się kilka razy papierosem. Makowskiemu przypominał w tej chwili mały parowozik, z którego unoszą się chmury dymu.

– Towarzyszu sekretarzu – zaczął nerwowo chłopak – mówiliście przecież, że to jednak nie Nikodem dokonał tej makabrycznej zbrodni.

– Ćśś! – uciszył go starszy mężczyzna. – Mówiłem, że wiele na to wskazuje, ale nie da się wykluczyć, że to jednak on. Poza tym żyjemy w państwie prawa i społeczeństwo musi widzieć, że każdy zwyrodniały morderca poniesie karę, na jaką zasługuje. Dlatego Morawski musi zginąć.

– Ale...

Makowski pokręcił głową, dając swemu rozmówcy do zrozumienia, że sprawa jest zamknięta i nic już nie da się zrobić. W dobrodusznym geście położył mu dłoń na ramieniu i uspokajającym tonem kontynuował:

– Zdaję sobie sprawę, że Morawski był waszym przyjacielem, zrozumcie jednak, że nawet jeżeli byłby waszym bratem, ojcem czy synem, to nie powinniście czuć dla niego żadnej litości. Nie po tym, co

zrobił! Czy to jest jasne?

Młody chłopak przez jakiś czas zwlekał z odpowiedzią. To wszystko nie mieściło się w jego światopoglądzie. Nie tak go kiedyś wychowywano. Odkąd jednak opuścił swoją rodzinną wieś i przeniósł się do stolicy, by robić karierę w Urzędzie Bezpieczeństwa, przestał słuchać rodziców, a zaczął być wierny ideałom wpajanych mu przez władzę ludową.

– Tak, towarzyszu, to dla mnie oczywiste, tylko trochę trudno mi będzie się z tym pogodzić.

Sekretarz klepnął go mocno w plecy.

– Nie główcie się nad tym za bardzo! Macie ode mnie trzy dni wolnego, odpocznijcie trochę i wracajcie do nas. Rodząca się Polska potrzebuje takich obywateli jak wy!

Młody chłopak uśmiechnął się szeroko. W sumie to Morawski popełnił błąd, a on wciąż jest na dobrej drodze i obiecał sobie, że nigdy z niej nie zejdzie.

– Towarzyszu! – krzyknął zaaferowany. – Wystarczy mi dzień wolnego. Do rodziców i tak nie mam zamiaru jechać, tak więc najdalej pojutrze będę gotów wrócić do pracy!

Makowski uśmiechnął się szeroko.

– Jestem z was dumny, towarzyszu Drupski! – powiedział, ściskając spoconą dłoń chłopaka.

21.

Jastrząb cały kipiał ze złości. Nie dość, że z dworku, w którym chwilowo mieszkał, zrobiono jakieś cholerne koszary, to teraz, jakby tych wszystkich upokorzeń było mało, przysłano mu z Warszawy kalekę na wózku i kazano mu się nim zająć. Obiecał sobie, że jak tylko wróci do stolicy, to dowie się, kto za tym wszystkim stoi, i odegra się. Na razie nie mógł nic zrobić. Według nowych rozkazów wytropienie Rysia i jego bandy zeszło na plan dalszy, a priorytetem było odnalezienie jakiegoś przedwojennego komisarza ukrywającego się w okolicznych lasach. Pomóc miał mu w tym facet bez nóg, poruszający się na wózku. Wszystko to zakrawało na jakąś farsę. Na domiar złego dzisiejszego wieczoru miał zaplanowaną akcję, podczas której zamierzał ująć kilku bandytów. Według informacji, jakie zebrał, w sąsiedniej wsi urządzano potańcówkę, gdzie wedle dużego prawdopodobieństwa mieli pojawić się chłopcy z bandy Rysia. Edward postanowił udać się tam wraz z kilkoma żołnierzami stacjonującymi w dworku. Wszystko już było uzgodnione z ich dowódcą, który razem z pozostałą grupą żołnierzy miał okrążyć teren wokół wsi i wyłapywać tych reakcjonistów, którzy salwowałiby się ucieczką do lasu. Teraz Jastrząb zastanawiał się, co ma zrobić z przywiezionym ze stolicy inwalidą. W końcu postanowił, że zabierze go ze sobą. Może pośród uczestników potańcówki uda mu się wypatrzyć poszukiwanego komisarza.

– Macie jakieś zdjęcia tego Wolaka? – spytał beznogiego mężczyznę.

Wiewiór popatrzył na niego spode łba. Czuł, że młody wywiadowca traktuje go jak piąte koło u wozu.

– Zanim zaczniemy naszą współpracę, chciałbym ustalić parę rzeczy. – Przerwał na moment, by znaleźć nieco wygodniejszą pozycję na wózku. Odkąd stracił nogi, zaczął go boleć tyłek. Całe godziny spędzał, siedząc. Nieraz w ogóle tego nie odczuwał, ale bywały dni, gdy nie potrafił myśleć

o niczym innym, jak tylko o tym, że chętnie wstałby chociaż na chwilę i rozprostował kości. – Po pierwsze, niech pan nie myśli, że sam się zgłosiłem do pańskich przełożonych i poprosiłem, żeby mnie przydzielili do młodego, zdolnego oficera, z którym mógłbym prowadzić śledztwo, aby odświeżyć w swej pamięci, jak to onegdaj bywało. Nie, to pańscy przełożeni poprosili mnie o pomoc, a nie odwrotnie. Dlatego proszę nie traktować mnie jak jakiegoś wrzodu na dupie! – Wieczorek znowu niespokojnie poruszył się na wózku. Skąd mu znowu przyszło do głowy skojarzenie z tyłkiem? – Po drugie, nie chcę być nachalny, ale może łatwiej będzie nam się pracowało, jeżeli zacniemy do siebie mówić po imieniu? Może wtedy dostrzeże pan we mnie człowieka, a nie bezużytecznego kalekę na wózku?

Jastrząb popatrzył na niego ze zdziwieniem. Facetowi może i brakowało nóg, ale bystrości oraz przenikliwości umysłu z pewnością nie sposób było mu odmówić.

– Edward – rzekł, wyciągając do Wiewióra rękę.

– Zygmunt – odparł tamten, ściskając dłoń młodego oficera.

Jastrzębski zdziwił się, że Wieczorek ma tak silny uścisk. Szybko jednak uświadomił sobie, że kilka godzin dziennie musi on przy użyciu rąk wpędzać w ruch swój wózek.

– No a teraz poczęstuj mnie papierosem – powiedział Wiewiór, odsłaniając w półśmiechu dziąsła pozbawione zębów, które stracił w czasie pobytu w KL Auschwitz.

Jastrzębski wyjął z kieszeni pudełko swoich ulubionych egipskich i podsunął nowemu koledze.

– Mocne papierosy, mocne, niebezpieczne życie, lubisz to, prawda? – spytał Wieczorek, zaciągając się.

Edward nie potrafił powstrzymać się od ciętej riposty.

– A tobie wciąż się wydaje, że jesteś asem stołecznej policji? Myślisz, że każdego zdołasz prześwietlić po pięciu minutach znajomości?

Wiewiór roześmiał się gwałtownie, chwilę później dopadł go atak kaszlu. Dla Jastrzębskiego nie był to przyjemny widok. Beznogi facet na wózku krztuszający się tak mocno, że jego niewielkich rozmiarów ciało niemal całe podskakiwało, wstrząsane powracającymi atakami kaszlu.

– O kurwa! – powiedział Wiewiór, parszając śliną. – Dawno tak się nie

uśmiełem! Ale nie masz racji, wcale nie wydaje mi się, że wciąż jestem asem stołecznej policji. – Przerwał na moment, żeby wytrzeć usta rękawem nowej marynarki, którą otrzymał od swoich ubeckich zleceniodawców. – Po pierwsze, nie ma już policji! Zastąpiono ją jej nieco upośledzoną siostrą, Milicją Obywatelską. Po drugie, nie ma już Zygmunta Wieczorka, przed którym drżeli ze strachu przedwojenni przestępcy. Teraz zastąpił go jego upośledzony brat, którego masz przed sobą!

Wiewiór zaciągnął się głęboko papierosem i zaśmiał głucho. Śmiech jego był jednak pozbawiony jakiejkolwiek wesołości.

– Rozczulasz się nad sobą. – Jastrząb podniósł z biurka popielniczkę i podsunął ją Wiewiórowi, który strząsnął do niej rosnący słupek popiołu. – Masz jakieś zdjęcie Wolaka?

Wieczorek zaciągnął się raz jeszcze egipskim, po czym zdusił niedopałek w trzymanej przez Edwarda popielniczce. Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął pogniecioną fotografię i podał ją oficerowi.

– Tak Janek wyglądał przed wojną.

Edward przez chwilę przyglądał się zdjęciu. Przedstawiało ono dwóch mężczyzn. Jeden wysoki, dobrze zbudowany, z twarzą typową dla kogoś, kto częściej przebywa w knajpie niż w kościele, trzymał rękę na ramieniu niższego o głowę, drobnego faceta, w którym Jastrząb rozpoznał Zygmunta Wieczorka. Obaj mężczyźni szeroko uśmiechali się do obiektywu. Na pierwszy rzut oka widać było, że łączy ich przyjaźń, którą musiało scementować niejedno wspólne przeżycie.

– Psiakrew! – zaklął pod nosem Jastrzębski. – On tu jest!

– Skąd ta pewność? – spytał sceptycznie Wieczorek.

Jastrzębski oddał mu fotografię.

– Kilka dni temu go spotkałem. Siedzieliśmy przy jednym stoliku, rozmawialiśmy. Już wtedy wydał mi się podejrzany. Byłem jednak sam, a gość nie wyglądał na kogoś, kto da się tak łatwo podejść. Od razu było widać, że to jakiś przedwojenny chojrak. Czułem, że jeżeli tylko spróbowałbym go aresztować, to jeden z nas musiałby pożegnać się tego wieczoru z życiem. – Jastrząb zamilkł, a gdy ponownie się odezwał, jego głos brzmiał inaczej, jakby ubek stracił dawną pewność siebie. – I coś mi wówczas mówiło, że tym, który ujdzie z życiem, wcale nie będę ja.

Wiewiór z uwagą słuchał słów Jastrzębskiego. Na jego twarzy pojawił się uśmiech. Niby wszystko pasowało, nie był jednak pewien, czy

spotkany przez Edwarda mężczyzna był Janem Wolakiem.

– Zdjęcie, które ci pokazałem, zrobiono dziesięć lat temu – powiedział.
– Od tamtej pory Janek z pewnością bardzo się zmienił. Spójrz na mnie, ja jestem najlepszym dowodem na to, jak przez dekadę może się zmienić człowiek.

Jastrzębski nawet się nie uśmiechnął. Pokręcił poważnie głową.

– W tym wypadku nie ma mowy o pomyłce. W karczmie z pewnością spotkałem Jana Wolaka!

Wiewiór nie miał innego wyjścia, jak uwierzyć, że Jastrzębski się nie myli. Sam nie był pewien, czy od razu rozpoznałby swego przedwojennego partnera, którego ostatni raz widział w czterdziestym czwartym podczas apelu na placu obozowym w Oświęcimiu.

– Powiedz mi – zaczął, uważnie przypatrując się twarzy młodego oficera – dlaczego wtedy go nie aresztowałeś? Nie mówię, że musiałeś to robić w środku, mogłeś przecież udać, że wychodzisz, odjechać parę metrów, a potem wrócić pieszo i zaczekać, aż Janek wyjdzie z knajpy i wówczas go zatrzymać. Przecież nie jesteś tak tępy, by samemu czegoś takiego nie wymyślić?

Jastrzębski zignorował przytyk.

– Myślałem o tym – zaczął rzeczowym tonem – ale pomyślałem, że jeśli zostawię go na wolności, to on natychmiast zaalarmuje swojego dowódcę w lesie o obecności w okolicy oficera, który przyjechał, żeby go schwytać. Chciałem przekazać Rysiowi wyraźny sygnał, że jestem tu i nie odjadę, dopóki któryś z nas nie umrze.

Wiewiór ponownie zaniósł się śmiechem. Jastrzębski odwrócił wzrok, miał już dość widoku tego obleśnego, krztuszącego się i parsającego kaleki.

– Gadasz, jakbyś się naczytał opowieści o Buffalo Billu! Co ty myślisz, że tu jest jakiś cholerny Dziki Zachód? A ty to niby dobry szeryf, który przybył do małego miasteczka, żeby rozprawić się z terroryzującą okolicę bandą!

Nie dość, że obleśny, to jeszcze zgryźliwy! Jastrzębski już był na sto procent pewien, że zabierze ze sobą Wieczorka na dzisiejszą akcję. Sam będzie pchał go na wózku i nie oszczędzi mu żadnego dołka na drodze! A niech sukinsyn nawet wypadnie z wózka i obije sobie tę parszywą, zapłutą mordę!

– Nie czytam zachodniej literatury – powiedział, siląc się na spokój. – Odpocznij nieco, gdyż czeka nas dzisiaj długa noc. Kto wie, może nawet będziesz miał okazję zobaczyć, jak szeryf rozprawi się z kilkoma bandytami.

Siedzący na wózku Wiewiór spoważniał. Być może jeszcze przedwczoraj myślał o tym, by odebrać sobie życie, teraz jednak nabrał ochoty na dalsze egzystowanie na tym łez padole. Tym bardziej że istniało duże prawdopodobieństwo, że już niebawem spotka się z człowiekiem, który był jego jedynym prawdziwym przyjacielem. Dlatego nie uśmiechało mu się zginąć od jakiejś zabłąkanej kuli podczas obławy przeprowadzanej przez Jastrzębskiego.

22.

Nigdy nie lubił potańcówek. Zawsze czuł się na nich źle. Siadał zwykle gdzieś w kącie i nad kieliszkiem czegoś mocniejszego rozmyślał, jak przełamać swoją wrodzoną nieśmiałość do płci pięknej. Zazdrościł kolegom, którzy potrafili tańczyć bez wypicia wcześniej kilku głębszych. On tak nie umiał. Na trzeźwo plątały mu się nogi, a kiedy już alkoholem wprowadził się w odpowiedni nastrój, to miał problemy z precyzyjnym wyrażeniem swoich myśli, gdyż zaczynał plątać mu się język. Siedział więc w kącie i złowieszczo spoglądał na wszystkich bawiących się. Zwykle w takich chwilach miał nadzieję, że kiedyś spotka dziewczynę podobną do niego. Taką, która ponad taniec będzie przedkładała wspólną rozmowę przy kawiarnianym stoliku. Niestety, upływający czas kazał mu porzucić te jakże płonne nadzieje. Przez całe dotychczasowe życie nie udało mu się spotkać swojej Gretchen. A dzisiaj zły los, okrutne fatum, ponownie sprawił, że znalazł się na zabawie tanecznej. Jednak jego obecna sytuacja bardzo różniła się od tej sprzed kilkunastu lat, kiedy to był młody. Dziś już nie musiał przełamywać alkoholem swoich oporów przed zatańczeniem. Wiedział, że już nigdy więcej nie zatańczy. I nie zmieni tego żadna, choćby najpiękniejsza z pięknych, z warkoczem, o którego dotykaniu przez całe życie marzył. Nie, i już!

Z wściekłością spojrział na kraciasty koc, który przykrywał kikuty tego, co pozostało z jego nóg. Zaciśnął zęby. Z desek, na których tańczono, unosiły się tumany kurzu. W przerwach, kiedy orkiestra przestawała grać, chłopcy wiadrami polewali deski, jednak nie na długo to wystarczało. Po trzech, czterech utworach wszystko było już suche i kurz ponownie dawał o sobie znać.

A może moje kalectwo jest karą od Boga za to, że nigdy nie wykorzystywałem nóg tak, jak trzeba – zastanawiał się Wiewiór, patrząc z zazdrością na tańczących. Po chwili ze zrezygnowaniem sięgnął po

stojącą na stoliku szklanę. Upił z niej łyk ciepłej i za słodkiej lemoniady. Od pół godziny przyglądał się wszystkim obecnym na tańcach, ale do tej pory nigdzie nie zauważył osoby, którą chciałby tu spotkać. W sumie nie było się czemu dziwić, gdyż średnia wieku, którą on swoją obecnością mocno zawyżał, oscylowała w granicach osiemnastu–dwudziestu lat. Dlatego „dziadków” takich jak Wolak próżno było tutaj szukać.

Razem z nim przy stoliku siedziało dwóch ubranych po cywilnemu żołnierzy, którzy tak jak on w milczeniu wszystko obserwowali i pili ohydłą lemoniadę. Trochę szkoda mu było tych chłopaków, bo już na pierwszy rzut oka można było zauważyć, że nogi same rwą im się do tańca, a szklanka wypełniona lemoniadą z pewnością nie jest tym, na co mieli ochotę.

– Pohulalibyście, co? – spytał, przekrzykując głośną muzykę.

Obaj żołnierze jednocześnie pokiwali głowami.

– To było nie wstępować do wojska ludowego! – Żołnierze popatrzyli na Wiewióra zdezorientowani. Byli pewni, że jest on kimś ważnym, skoro przywieziono go służbowym samochodem ze stolicy i zakwaterowano we dworze razem z Jastrzębskim i ich dowódcą. Tym bardziej dziwne i nielogiczne wydawało im się to, co teraz wygadywał. Uznali, że najbezpieczniej będzie się do tego nie ustosunkowywać. Dlatego postanowili milczeć. Wiewiór tymczasem przyglądał się ich twarzom, w których bezbłędnie odczytał wiejskie korzenie, i perorował dalej: – Wasi ojcowie byli w wojsku?

Żołnierze przez chwilę się zastanawiali, po czym obaj jak na komendę pokiwali głowami.

– To się im chwali, bo służyli ojczyźnie – rzekł Zyga. – A wiecie, dlaczego o was tego samego nie można powiedzieć?

Żołnierze milczeli. W końcu jeden z nich nie wytrzymał wbitego weń przewiercającego spojrzenia inwalidy i nieśmiało się odezwał:

– My też służyliśmy ojczyźnie, podobnie jak nasze ojce...

– Sowieciom służyte, a nie ojczyźnie! – wycharczał ze złością przez zaciśnięte zęby Wieczorek. – Wasi ojcowie wstydzą się za was! Lepiej wam było zostać na ojcowiznie i ziemię uprawiać, bardziej byście się przysłużyli krajowi!

Żołnierze kompletnie nie wiedzieli, jak mają się zachować. Na początku myśleli, że cała ta rozmowa to swoista prowokacja ze strony inwalidy,

teraz uznali, że facet musiał za dużo wypić i gada od rzeczy.

Wiewiór patrzył na nich i powoli zaczynał cieszyć się, że nie związał się z żadną kobietą. Bał się, że gdyby jakaś urodziła mu syna, to nie potrafiłby go ustrzec przed ideologicznymi wypaczeniami, jakim ulegli ci dwaj siedzący z nim chłopcy. Pokiwał smutno głową, sięgnął po szklanekę z lemoniadą, upił łyk i poczuł ucisk na pęcherz. Cholera jasna! – zaklął w myślach zły na siebie, że nie wysikał się przed wyjazdem.

– Który zawiezie mnie w krzaki? – spytał, próbując nadać swojemu głosowi zwykły, pewny siebie ton, mimo że zrobiło mu się głupio, iż jeszcze przed chwilą obu żołnierzy ostro strofował, a teraz bez ich pomocy nie potrafi się odlać.

– Ja. – Jeden z żołnierzy się podniósł.

Ziemia była porośnięta gęstą, wysoką trawą, po której ciężko obracały się koła wózka. Silny, sprawny chłopak, który pewnie większość swojej młodości spędził na fizycznych pracach w polu, nie miał z tym jednak żadnych problemów. Dojechali do pierwszych, rzadko rosnących drzew.

– Podjedź pod tamto drzewo. – Wiewiór wskazał jedną z brzoź. – Dobra – rzekł, kiedy żołnierz spełnił jego prośbę. – Dalej już sobie sam poradzę.

Żołnierz odwrócił się plecami do inwalidy, nie chcąc go krępować.

Wieczorek tymczasem przeklinał w duchu swoje kalectwo, które nawet z tak prozaicznych czynności jak sikanie uczyniło coś, przy czym musiał się nie lada nagimnastykować.

– Zgadzam się z tym, co pan przed chwilą mówił – usłyszał nagle za plecami głos żołnierza.

– Niby z czym się zgadzasz? – spytał Wiewiór, nie przerywając sikania.

– No – zaczął nieśmiało młody chłopak – że służymy nie ojczyźnie, tylko Sowietom.

– To dlaczego, do ciężkiej cholery, nie zrzucisz munduru i nie wystąpisz z wojska? – rzekł, zapinając guziki rozporka.

– Bo dzięki mojemu żołdowi ojciec i matka mają co włożyć do garnka. Oboje są już starzy i schorowani, nie mieli siły pracować na gospodarce i musieli ją oddać państwu. Ja nie miałem wówczas jeszcze osiemnastu lat, by móc wszystko przejąć, a moi starsi bracia zginęli na wojnie. – Zawahał się i po chwili dodał tonem usprawiedliwienia: – Nie miałem wyboru, musiałem.

– Nie wracajmy już do tego – rzekł Wiewiór, któremu żal się zrobiło chłopaka. – A teraz nie stój jak ten słup, tylko zawieź mnie z powrotem na tę cholerną potańcówkę! Kto wie, może uda nam się wykombinować od miejscowych trochę bimbru.

– Mnie nie wolno – powiedział wystraszony żołnierz. – Jestem na służbie.

Wiewiór machnął z rezygnacją ręką.

– Ale ja się chętnie napiję!

Kiedy wrócili, zastali przy swoim stoliku Jastrzębskiego, który przyprowadził jakąś uroczą młodą dziewczynę o ciemnych włosach splecionych w warkocz, jaki prześladował Wiewióra w jego młodzieńczych fantazjach erotycznych.

– A oto mój stryjasek! – krzyknął Jastrzęb, kiedy tylko zauważył jadącego w ich stronę Wieczorka. – Panno Basiu, mam zaszczyt przedstawić człowieka, który dla dobra naszej ojczyzny nie zawahał się rzucić z butelką benzyny na niemiecki czołg. Wprawdzie przez ten wyczyn stracił obie nogi, ale uratował wielu kolegów z oddziału.

Wiewiór patrzył na niego, niewiele z tego wszystkiego rozumiejąc. Domyślił się jedynie, że ma przed dziewczyną udawać krewnego Edwarda. Pocałował wyciągniętą w jego stronę delikatną dziewczęcą dłoń i uśmiechając się, powiedział:

– Zygmunt. Proszę mi wybaczyć, że nie wstaję.

Dziewczyna uśmiechnęła się delikatnie. Była naprawdę piękna. Jej mlecznobiałe policzki aż się prosiły, by składać na nich pocałunki. Po kilku tańcach z Jastrzębskim miała przyspieszony oddech i teraz pod białą bluzeczką z lnu przy każdym oddechu falowały jej piersi, od których Wiewiór siłą musiał oderwać wzrok.

– To ja już pójdę – powiedziała trochę zawstydzona. Przeniosła wzrok na Jastrzębskiego. – Może później jeszcze się spotkamy.

– Mam taką nadzieję – rzekł i z kurtuazją nachylił się, by delikatnie musnąć ustami jej dłoń.

Wiewiór patrzył z podziwem na Edwarda. Zawsze zazdrościł tego typu facetom. Jego kontakty z płcią przeciwną przebiegały zupełnie inaczej. W sumie to kontakty te były minimalne i ograniczały się do ukradkowych spojrzeń nieśmiało rzucanych na obiekty westchnień.

– Czegoś ty jej naopowiadał? – spytał Zygmunt, z wyrzutem patrząc na młodego oficera.

Jastrząb odsłonił w uśmiechu rząd idealnie równych i białych zębów.

– Nic, stryju! Niemal samą prawdę. Dziewczyna jest nieco zagubiona, zwierzyła mi się, że właśnie pokłóciła się ze swoim chłopakiem i teraz dręczą ją wyrzuty sumienia. A ja pomogłem jej się z tymi wyrzutami uporać!

– Podły sukinsyn z ciebie! – rzekł Wiewiór, nic sobie nie robiąc z tego, że ich rozmowie przysłuchuje się dwóch żołnierzy.

– Myśl o mnie, co chcesz, ale musisz przyznać, że z panny Basi niczego sobie dzierlatka. – Jastrzębski sięgnął po stojącą na stole szklanę z lemoniadą. – Tfu! Jak wy możecie to pić?

– Zabroniłeś żołnierzom napojów wysokowych, to trujemy się tym świństwem! – powiedział z wyrzutem Wieczorek.

– A wracając do naszej słodkiej panienki. – Jastrząb z wyrazem niesmaku na twarzy odstawił lemoniadę na stół. – Zwierzyła mi się, że jej ukochany braciszek został aresztowany przez UB i przetrzymują go w Warszawie. Trochę pociągnąłem ją za język i okazało się, że jest tak mocno zżyta ze swoim, oczywiście niewinnym, braciszkiem, że zrobiłaby wszystko, żeby jeszcze kiedyś ujrzeć go na wolności. Cóż, może uda mi się ten fakt jakoś wykorzystać.

Wiewiór nie wytrzymał.

– Nie chcesz chyba uwieść tej dziewczyny, obiecując jej w zamian wolność brata?!

Jastrzębski spochmurniał. Nachylił się w stronę Wiewióra i przez zaciśnięte zęby wycedził:

– Do tego, by uwieść taką dziewoję, wcale nie potrzebuję uciekać się do żadnych podstępów czy szantaży! Gdybym chciał, to miałbym ją jeszcze dzisiaj!

Na chwilę przy stoliku zapanowała niezręczna cisza.

– Widziałeś go? – spytał Jastrząb, kiedy obaj już nieco ochłonęli.

– Nie – odparł Wiewiór – ale znam go na tyle, żeby wiedzieć, że to ostatnie miejsce, do którego by zawitał.

Jastrzębski pokiwał głową. Spojrzał na zegarek. Dochodziła północ.

– Dobra – odezwał się – zatańczę jeszcze z panną Basią i zwijamy się. Bandytów też raczej tu dzisiaj nie uświadczymy. Za pół godziny spotykamy się wszyscy przy gaziku!

– Tak jest! – wyrwało się jednemu z żołnierzy, którego Jastrząb momentalnie zmierzył wściekłym spojrzeniem.

23.

We wsi wrzało. Wszyscy chłopcy wyszli na drogę, by wysłuchać nowego zarządzenia dotyczącego ilości plonów oraz zwierząt, które muszą co roku oddać państwu. To, co usłyszeli z ust ogłaszającego to Mariana Klepki, kiedyś ich sąsiada, a teraz urzędnika na usługach władzy ludowej, wcale im się nie podobało. Władze ogłosiły podwyższenie dotychczasowego kontyngentu. Zewsząd dobiegały złorzeczenia na nowe zarządzenie.

– Niedługo nie będziemy mieli co do garnka włożyć, tak nas państwo chce wydoić!

– We wojnę dawaliśmy Niemcom, teraz komunistom!

– Z chłopami nikt nigdy się nie liczył!

– Tylko jak bida przyciśnie, to zawsze najpierw rękę do chłopca się wyciąga!

Stojący na drewnianej skrzynce po jabłkach ustawionej pośrodku wsi Marian Klepka uśmiechał się głupio i bezradnie rozkładał ręce.

– Uspokójcie się, proszę! Wasze złorzeczenia i tak nic nie zmienią! – Klepka próbował przekrzyczeć zgiełk.

Z tłumu wysunął się jeden z chłopów. Rosły, chudy jak patyk, z łapskami wielkimi niczym bochny chleba. Stanął naprzeciw Mariana Klepki i kiedy zapanowała cisza, zaczął mówić:

– Ty, Marian, strasznie mądry się teraz stałeś! Już zapomniałeś, jak to jest pracować na roli od świtu do zmierzchu? Jak ciężko wydzierać ziemi jej plony?

Klepka spojrział z góry na chłopca. Pogładził swoje sumiaste wąsy, które zapuścił, kiedy zostawił wieś i przeniósł się do miasta.

– Dobrze wiesz, że ciężka praca nie jest dla mnie niczym nowym, dlatego nie rozumiem, jakie możesz mieć do mnie pretensje!

– A takie – chłop podniósł palec, jakby chciał pogrozić swojemu rozmówcy – że odkąd nas opuściłeś, to w ogóle przestał cię interesować nasz los!

– Sami mnie wybraliście na swojego przedstawiciela! – usprawiedliwił się Klepka.

– Teraz tego żałujemy! – krzyknął coraz bardziej rozeźlony chłop. – Miałeś dbać o nasze interesy, a tymczasem pojawiaasz się tutaj, żeby nam oznajmić, że jeszcze więcej plonów i inwentarza mamy oddać państwu!

Wśród chłopów odezwały się pomruki aprobaty dla słów przemawiającego w ich imieniu żyłastego mężczyzny. Marian Klepka poczekał, aż wrzawa nieco przycichnie, i zaczął mówić:

– Każdy, komu nie podobają się nowe zarządzenia władzy, ma prawo się od nich odwołać na piśmie. Wystarczy krótka notka i podpis. – Przenikliwym wzrokiem spojrzął na stojącego przed nim chłopca. – Jak rozumiem, ty, Bartosz, jesteś pierwszym, który chce takie pisemko, ze swoim imieniem i nazwiskiem, złożyć na moje ręce?

Wśród zgromadzonych zapanowała konsternacja. Nikt nie wierzył, że takie pisemne odwołanie coś zmieni. Co najwyżej podpisani pod takowym dokumentem staliby się wrogami władzy ludowej, z którymi szybko rozprawiłaby się Milicja Obywatelska, a Urząd Bezpieczeństwa skutecznie wybiłby im z głowy pomysł, żeby jeszcze kiedykolwiek nie zgadzać się z dyrektywami państwa w sprawach dotyczących polityki rolnej.

Bartosz momentalnie stracił cały swój rezon. Obejrzał się za siebie. Nikt nie patrzył mu w oczy. Wszyscy mieli spojrzenia utkwione w ziemi.

– Nie – zaczął pokornym tonem – ja oczywiście się podporządkuję. Chciałem tylko powiedzieć, że ciężko mi będzie, ale zrobię wszystko, by władza była zadowolona.

Marian Klepka uśmiechnął się zwycięsko. Wiedział, że tylko strachem można chłopów utrzymać w ryzach.

– No – powiedział, z zadowoleniem podkreślając węża – jeżeli nikt już nie ma pytań, to pozwolicie, że pojedę dalej. Mam dzisiaj jeszcze do odwiedzenia dwie wsie, tak więc nie myślcie, że tylko wy będziecie musieli zacisnąć pasa.

– Hola, hola! – odezwał się nagle jakiś głos dobiegający zza pleców Mariana Klepki. – Zanim pan odjedzie, chciałbym zadać jedno pytanie.

Urzędnik się odwrócił. Za nim stało trzech mężczyzn. Dwóch z nich zupełnie nie kojarzył. Natomiast trzeciego, tego, który się odezwał, znał i wcale go to nie uspokajało. Spotkanie z Rysiem nie wróżyło bowiem nic dobrego.

– Słucham? – Spróbował się uśmiechnąć, ale wyszło mu to dosyć blado.

Ryś podszedł do Mariana Klepki. Zatrzymał się tuż przed nim, zadął głowę i pełnym pogardy głosem spytał:

– Powiedz mi, kto pozwala na to, żeby ziemia nosiła takich jak ty?

– Ja tylko wykonuję polecenia przełożonych... – zaczął gorączkowo tłumaczyć się Klepka.

– A ja nie mam żadnych przełożonych i mogę robić, co mi się żywnie podoba! – powiedział wolno Ryś.

Andrzej kiwnął głową na stojących z nim mężczyzn.

– Zdejmijcie go z tej skrzyni!

Obaj partyzanci odczuli wykonali polecenie. Stali teraz, trzymając wierzgającego Mariana Klepkę, i czekali na dalsze wytyczne swojego dowódcy.

– Ściągnijcie mu spodnie i gacie!

Klepka zaczął szarpać się jeszcze mocniej. Ryś podszedł do niego i wymierzył mu silny cios w brzuch. Urzędnikowi momentalnie zabrakło powietrza, zgiął się wpół, nie upadł na ziemię tylko dlatego, że podtrzymywali go partyzanci.

– A teraz – odezwał się Andrzej, kiedy już Marian Klepka miał opuszczone do kostek spodnie i majtki – połóżcie go na tej skrzyni! Dupą w moją stronę!

Zgromadzeni na drodze chłopcy w milczeniu obserwowali całą tę scenę. Kobiety zakrywały rękoma oczy stojącym przy nich dziećmi.

Andrzej powoli odpinał szeroki wojskowy pas. Złożył go na pół, odwrócił się w stronę zgromadzonych za nim ludzi.

– Kto z was chce zacząć? – spytał, wyciągając ku nim pas.

Odpowiedziało mu milczenie. Mieszkańcy wioski odwracali wzrok od bystrego spojrzenia Rysia. Wstydzili się swojego strachu. Każdy z nich miał ogromną ochotę chwycić za pas i wymierzyć sprawiedliwość Marianowi Klepce, który był dla nich symbolem uciemnienia

i bezlitosnego wykorzystywania pracy ich rąk. Chcieli to zrobić, ale się bali. Byli w innej sytuacji niż Ryś. On narozrabia i ponownie ukryje się w lesie, oni natomiast zostaną tutaj, narażeni na represje ze strony władzy.

– Dobrze – rzekł zrezygnowany Andrzej. – W takim razie ja będę waszym ramieniem sprawiedliwości.

Chwilę później ciszę przeciął świst pasa i krzyk Mariana Klepki. Krzyk, który kojarzył się stojącym i patrzącym na to wszystko chłopom z kwiczeniem zarzynanego prosiaka. Nie czuli jednak litości. Niektórzy nawet wypychali swoje dzieci przed siebie, aby dokładnie przyjrzały się całej tej scenie i zapamiętały ją do końca życia. Kobietom się to nie podobało, chciały oszczędzić dzieciakom widoku urzędniczego gołego tyłka, na którym teraz pojawiały się czerwone pręgi. Mężczyźni jednak wiedzieli, co robią. To miała być dla ich dzieci, zwłaszcza synów, lekcja pogładowa, pokazująca, co może przytrafić się ludziom, którzy zapominają o swoich korzeniach, ludziom szukającym łatwego chleba i szybkiego awansu społecznego.

Klepka wciąż wył, a kolejne razy spadały na jego tłuste dupsko, na którym z pewnością przez najbliższe dni nie będzie mógł usiąść.

– Dość! – powiedział sam do siebie zdyszany Andrzej. – Wciągaj spodnie i spieprzaj stąd!

Urzędnik podniósł się z klęczek. Szybko się ubrał. Tyłek bolał go niemiłosiernie, ale było coś jeszcze. Coś, co zostało zranione o wiele mocniej. Coś, co z całą pewnością nie zagoi się tak szybko jak obity zadek. Tym czymś była duma. Marian Klepka został przed chwilą upokorzony na oczach mieszkańców wsi. Wiedział, że wieść o tym, co się tutaj wydarzyło, szybko obiegnie pozostałe wioski. Już sobie wyobrażał te wszystkie skrywane uśmiechy, kiedy będzie przemawiał do mieszkańców, obwieszczając nowe zarządzenia władzy. Te kilkanaście uderzeń pasem na goły tyłek było czymś dużo gorszym niż śmierć. Marian Klepka spojrział na człowieka, który w kilka minut pozbawił go tego, co budował przez większość życia, ponieważ Marian Klepka stracił dzisiaj szacunek dla samego siebie. Nie czuł się mężczyzną, bo prawdziwy mężczyzna nigdy nie dopuściłby do tak wielkiego upokorzenia.

– Lepiej byłoby, gdybyś mnie zabił – wyszeptał, patrząc z wściekłością na Rysia.

Andrzej się uśmiechnął. Czuł ulgę. Nawet nie zdawał sobie sprawy, ile

w ostatnim czasie nagromadziło się w nim złości i frustracji. Problemy w oddziale, problemy z Baską, wszystko to negatywnie się na nim odbijało. Idąc dzisiaj do wioski, miał zamiar ostatecznie rozmówić się ze swoją ukochaną. Chciał, aby zdecydowała, czy w dalszym ciągu się spotykają, czy definitywnie kończą ten rozdział w swoim życiu. Tak lub nie. Żadnych półśrodków czy dawania sobie czasu na próbę. Przez całą drogę kipiał od emocji. Toteż ucieszył się, kiedy więc zobaczył Mariana Klepkę. Początkowo nawet nie planował tego wszystkiego, co się tutaj wydarzyło. Nie wiedział nawet, skąd do głowy przyszedł mu ten pomysł z pasem i biciem po tyłku urzędnika. W każdym razie nie żałował tego. Teraz czuł się o niebo lepiej niż kilkanaście minut wcześniej. Pozbył się całej złej energii, która się w nim do tej pory zbierała. Był tak zadowolony, że przez moment miał ochotę wyściskać stojącego przed nim Mariana Klepkę.

– Twoja śmierć nikomu nie przyniosłaby korzyści – powiedział, uśmiechając się pod nosem.

Klepka musiał ratować resztki swojego honoru. Nie mógł ot tak po prostu odwrócić się i odejść.

– Twoje dni są już policzone – odparł tak, żeby słyszał go nie tylko Andrzej, ale i stojący za nim mieszkańcy wioski. – Jeszcze pożałujesz, że mnie dzisiaj nie zabiłeś!

Ryś wzruszył ramionami. Zauważył, że jeden z jego ludzi wyciąga zza paska pistolet i pytająco zerka w jego stronę. Andrzej pokręcił głową.

– Nie jesteś pierwszą osobą, która obiecuje mi śmierć – rzekł zimno. – Przed tobą grozili mi już prawdziwi mężczyźni, a nie tacy, którzy na oczach wszystkich pozwalają spuścić sobie lanie na goły tyłek!

Marian Klepka cały zatrzęsł się w bezsilnej złości. W końcu jednak odwrócił się i wolnym krokiem pomaszerował w stronę jednego z płotów, przy którym stał jego rower. Chwycił kierownicę i już miał zadrzeć nogę, kiedy uświadomił sobie, że przez najbliższe dni nic z tego. Jego tyłek, który przypominał teraz świeży tatar, źle by zareagował na zetknięcie z twardym siodełkiem, obciążonym jedynie starym, pocerowanym beretem.

24.

Zygmunt Wieczorek okłamał sekretarza PPR, Bolesława Makowskiego. Wcale nie było tak, że jedynie Jan Wolak znał wszystkie szczegóły dotyczące zabójstw dokonanych przed 1939 rokiem. Wiewiór, nie dość, że wszelkie informacje o zamordowanych kobietach miał wyryte w pamięci, to jeszcze miał coś, co z całą pewnością mogłoby okazać się niezwykle cennym materiałem dla kogoś prowadzącego śledztwo w sprawie zamordowanej Wiery Makowskiej. Nikt jednak nie wiedział, że w rękach inwalidy znajduje się zeszyt, w którym spisane są szczegóły dokonanych zbrodni, dodatkowo zilustrowane odbitkami zdjęć zrobionych na miejscu popełnienia przestępstwa. Poza tym Wiewiór z nikim nie chciał się dzielić tym jedynym w swoim rodzaju albumem, który z nabożną czcią oglądał każdego wieczoru od kilku lat.

Dawno już minęła północ, a Zygmunt Wieczorek siedział przy biurku i w świetle lampki przypatrywał się nieżyjącym kobietom, uwiecznionym na czarno-białych zdjęciach. Znał je wszystkie bardzo dobrze. Pamiętał barwę ich głosu, zapach perfum, nawet dotyk dłoni, które podawały mu na przywitanie, kiedy odwiedzał je w ich mieszkaniach, w tych dobrych przedwojennych latach, gdy wszystko jeszcze było w porządku. Każda z nich była kochanką Wolaka i dobrą znajomą Wieczorka.

Teraz wszystkie już nie żyły. Wiewiór pamiętał, jak pierwszy raz poczuł beznadziejną pustkę i bezsens swojego życia, kiedy dowiedział się, że jego przyjaciel – Wolak – ma romans z kobietą, w której on sam od dłuższego czasu się podkochiwał. Uznał, że życie jest niesprawiedliwe. Był zły na przyjaciela tylko za to, że ten nie miał nigdy problemów z uwodzeniem kobiet, podczas gdy on sam spalał się wewnątrz na samą myśl o tym, by do którejkolwiek podejść i rozpocząć niezobowiązującą rozmowę.

Drugi raz uczucia pustki i beznadziei doznał, kiedy razem z Wolakiem przyglądał się zwłokom bestialsko zamordowanej pierwszej ofiary seryjnego zabójcy. Obaj przysięgli sobie wówczas, że nie spoczną, dopóki nie odnajdą sprawcy tego mordu. Wybuch wojny i pobyt w Auschwitz przerwały poszukiwania, a kalectwo Zygmunta odebrało mu zapal do podejmowania jakichkolwiek działań. Przez pewien czas po zakończeniu wojny żył nawet w przekonaniu, że seryjny zabójca zginął w trwającej bez mała sześć lat wojennej zawierusze. Okazało się jednak, że śmierć poniosła większa część dobrych znajomych komisarza Wiewióra, ludzi uczciwych i wartościowych, a to bydłę wciąż cieszyło się nie tylko wolnością, ale i życiem. Wieczorek stracił wówczas resztki wiary, którą wpoili mu jego nieżyjący już rodzice.

Pochylony nad zdjęciami zamordowanych kobiet przeniósł się w inną rzeczywistość, w której wszystko miało swój cel i sens. Przyglądając się zdjęciom, bezgłośnie wypowiadał imię każdej z kobiet. Opuszkami palców gładził wyblakły, chropowaty papier fotograficzny.

W pewnej chwili usłyszał kroki na korytarzu. Skrzywił się z niesmakiem, szybko zamknął zeszyt i schował go do szuflady biurka. Pochylił się nad leżącym na blacie najnowszym numerem „Robotnika” i z udawaną ciekawością zaczął przeglądać gazetę.

– Można? – spytał stojący w drzwiach Jastrzębski.

Wiewiór wzruszył ramionami.

– Głupie pytanie – powiedział.

Jastrząb wszedł do pokoju. Usiadł na brzegu łóżka, na którym leżała skotłowana pościel.

– Ładny dworek, prawda? – zagaił Edward, żeby przerwać ciszę panującą w pokoju.

– Za ładny dla takich typów jak my dwaj – odparł Wieczorek.

Jastrzębski się uśmiechnął.

– Wiesz, kto wcześniej w nim mieszkał?

Wiewiór wzruszył ramionami. Było mu to obojętne.

– Dwór ten należał do mającej szlacheckie korzenie rodziny Bralewskich – kontynuował niezrażony mrukliwością inwalidy wywiadowca. – Z tego, co zdążyłem się dowiedzieć, właściciel majątku, niejaki Franciszek Bralewski, to człowiek o wyjątkowo słabej osobowości

i chwiejnej psychice. Nawet nie próbował walczyć o utrzymanie dworu, państwo przejęło go od niego bez żadnych problemów. – Na moment przerwał, zapalił papierosa i wydmuchując dym, mówił dalej: – Nie ma się co dziwić, że tak łatwo stracił dorobek życia przodków, skoro nie udało mu się nawet upilnować żony, która pod jego nosem spotykała się z twoim dawnym znajomym.

Wiewiór podniósł wzrok znad gazety. Odwrócił się w stronę Jastrzębskiego.

– Widzę, że w końcu udało mi się ciebie zainteresować – ucieszył się Jastrzębski. – Wyobraź sobie, że Jadwiga Bralewska, matka dwóch córek i żona potomka szlacheckiej rodziny, romansowała z komisarzem Janem Wolakiem, którego przodkowie nie mają takich korzeni jak familia Bralewskich.

– Jesteś pewien?

– Czego? – Jastrzęb nie do końca rozumiał pytanie inwalidy. – Drzewa genealogicznego Wolaka czy tego, że miał romans z Bralewską?

– Tego drugiego!

Jastrzębski zaśmiał się krótko. Wstał, podszedł do biurka, strząsnął do popielniczki popiół z papierosa i nie siadając już na skotłowane łóżko, którego pościel wydawała mu się przesiąknięta zapachem ciała kaleki, został przy biurku.

– Nie wiedziałem, że tak bardzo interesuje cię życie innych. Podobno ci, którzy lubią zaglądać do cudzych sypialni, w ogóle nie mają własnego życia prywatnego... – Jastrzębski ugryzł się w język. Było jednak za późno. Może i był gruboskórny, ale nie chciał, żeby jego ostatnie słowa zaboląły Wieczorka, któremu życie i tak już nie szczędziło cierpień i upokorzeń. Przez ułamek sekundy zastanawiał się, jak wygląda życie erotyczne Wiewióra. W końcu jest jeszcze mężczyzną w sile wieku, który ma swoje potrzeby. Na prostytutki raczej nie było go stać, a jego aparycja i sposób bycia nie wskazywały na to, by kobiety oglądały się za nim na ulicy.

– Interesuję się tym – zaczął spokojnie inwalida, tak jakby ostatnia uwaga Jastrzębia wcale go nie dotyczyła – wyłącznie dlatego, że może to mieć znaczenie dla naszych poszukiwań Jana Wolaka.

– Rozumiem. – Edward kiwnął głową, dając do zrozumienia, że słowa Wieczorka przyjmuje bez żadnych zastrzeżeń. Ostatni raz zaciągnął się

papierosem i zgasił niedopałek w wypełnionej po brzegi popielniczce. – Informacje o romansie Wolaka uzyskałem od pracującego w stajni koniuszego. Opowiedział mi wiele pikantnych szczegółów, zaklinał jednak, bym nikomu nie mówił, że wiem o tym wszystkim od niego.

– Pytałeś go o Wolaka? Gdzie można go teraz znaleźć?

– Facet, kiedy poczęstowałem go papierosem i koniakiem z piwnic Bralewskiego, bardzo chętnie mówił o swoim panu i pani, ale na temat grasujących po tutejszych lasach partyzantów nie powiedział ani słowa.

– Boi się?

Jastrzębski wzruszył ramionami.

– Raczej nie, w jego przypadku musi chodzić o pewne zasady... nie wiem, jak to nazwać...

Wiewiór westchnął ciężko.

– Może honor, który nie pozwala tym ludziom współpracować z Urzędem Bezpieczeństwa? – zasugerował Jastrzębskiemu. – Sam znam wielu takich, co to woleliby zginąć, niż splamić się kolaboracją z komunistami.

– W każdym razie gość nie chciał się przede mną otworzyć – wycedził Jastrzębski, któremu nie w smak była ostatnia uwaga Wieczorka. – Wprawdzie mógłbym go zaraz zabrać na posterunek i próbować siłą wydusić potrzebne informacje, ale może jest tak, jak mówisz, i nic nie udałoby się wskórać. Dlatego...

– Dlatego – przerwał mu Wiewiór – przyszedłeś do swojego beznogiego kolegi, żeby prosić go o pomoc, mam rację?

– Nie do końca – zaprzeczył Jastrzębski. – Bo kolegami to my raczej nie jesteśmy i pewnie nie będziemy, ale co do tego drugiego to masz rację. Chciałbym, żebyś pogadał z koniuszym.

– Oczywiście, wielki Urząd Bezpieczeństwa, przed którym drżą obywatele naszej umiłowanej ojczyzny – zaczął patetycznym tonem Wiewiór – po raz kolejny musi prosić o pomoc kalekę pozbawionego nóg! I powiedz mi, jak w tym kraju ma być dobrze?

Jastrzębski zignorował ostatnie pytanie Wieczorka.

– Koniuszy czeka na dole, przed drzwiami wejściowymi!

Wiewiór sięgnął po leżące na biurku pudełko gabinetowych i zapałki.

- Za chwilę zejde. Na korytarzu jest ktoś, kto mi pomoże?
- Jeden z tych żołnierzy, którzy towarzyszyli nam na potańcówce – odparł Edward. – Chyba cię polubił, bo to już kolejny raz, jak zgłasza się do służby w dworze. Daj mi później znać, jeśli dowiesz się czegoś ciekawego!
- Zaczekaj! – krzyknął Wiewiór do wychodzącego oficera.
- Tak?
- Będę potrzebował koniaku.
- Słucham???
- Mam taką swoją starą technikę przesłuchań, polegającą na uprzednim zmiękczeniu przesłuchiwanego alkoholem, a później wydobyciu z niego wszystkich istotnych informacji.
- Jastrzębski się uśmiechnął. Nie do końca wierzył w to, co mówił kaleka.
- To po co od razu koniak dla takiego chamskiego gardła? Każę przynieść butelkę samogonu, też wywoła podobny skutek!
- Problem w tym – Wiewiór uśmiechnął się chytrze – że niestety, aby nie wzbudzać podejrzeń przesłuchiwanego, również będę musiał wypić z nim kilka kieliszków. Dlatego wolałbym koniak, o którym wcześniej wspominałeś.
- Mam tylko nadzieję, że butelka koniaku, którą ci dam, okaże się warta zdobytych informacji!
- O to możesz być spokojny – powiedział Wiewiór tonem świadczącym o pewności siebie, choć w głębi duszy nie był do końca przekonany, czy uda mu się na tyle zdobyć zaufanie koniuszego, by ten zdradził fakty, które przemilczał w rozmowie z Jastrzębskim. Jednak perspektywa wieczoru spędzonego przy kieliszku dobrego alkoholu sprawiała, że Wieczorek był skłonny obiecać oficerowi UB nawet to, że jeśli będzie trzeba, to sam pojedzie do lasu, by nad ranem wrócić z poszukiwanym przez nich komisarzem Wolakiem.
- W takim razie czekam na twój raport z przesłuchania koniuszego – powiedział Jastrzębski, opuszczając pokój Wiewióra.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, inwalida odczekał kilka sekund, upewniając się, że Jastrzębski odszedł, po czym otworzył szufladę biurka i wyjął z niej zeszyt. Przez sekundę przyglądał mu się z nabożną czcią, po czym uniósł się kilka centymetrów w swoim wózku i schował zeszyt pod

stary koc, na którym siedział. W jedyne miejsce, gdzie skarb Zygmunta Wieczorka był bezpieczny.

25.

Dziewczyna zwinnym ruchem wsunęła swe nagie, mokre jeszcze po kąpieli ciało w halkę. Ostrożnie chwyciła w obie ręce poobijaną miskę wypełnioną po brzegi wodą i powoli przeszła przez pokój, kierując się w stronę wyjścia. Przed samymi drzwiami zakłęta pod nosem. Miała nadzieję, że matka będzie w kuchni i je otworzy. Tymczasem musiała delikatnie postawić miednicę na podłodze, a potem nacisnąć klamkę. Już szykowała się do zrealizowania tego planu, kiedy klamka delikatnie się poruszyła, a drzwi otworzyły. Dzięki Bogu! – pomyślała Basia. Chwilę później nie była jednak tak zadowolona, w progu ujrzała bowiem Andrzeja. Przez krótki czas mierzyli się wzrokiem.

– Daj, pomogę ci – odezwał się w końcu chłopak, próbując wziąć od Basi miskę z wodą.

– Nie trzeba! – zachnęła się dziewczyna, przeciskając się w stronę podwórza.

Andrzej odsunął się na bok. Patrzył za idącą w stronę płotu Basią. W promieniach słońca halka, którą miała na sobie, prześwitywała na tyle, że chłopak widział niemal wszystkie krągłości ciała. Baśka pochyliła się, chlustając wodą z miski na płot. Niechcący połała sobie przy tym przód halki. Syknęła ze złością. Odwróciła się i szybkim krokiem ruszyła w stronę chałupy. Andrzej wciąż stał w progu. W dalszym ciągu nie mógł od dziewczyny oderwać wzroku. Zwłaszcza teraz, kiedy mokry materiał halki przylgnął do jej piersi, uwidaczniając przy tym bardzo wyraźnie ich kształty. Dziewczyna podążyła wzrokiem za spojrzeniem partyzanta.

– I co się tak gapisz, jakbyś w życiu cycków nie widział?! – krzyknęła, wymijając go w progu.

Pustą miednicę postawiła w kuchni pod stołem. Nie odwracając się za siebie, przeszła do drugiej izby. Zamknęła drzwi. Usiadła na łóżku. Za

chwilę usłyszała delikatne pukanie we framugę.

– Mogę wejść? – Zza drzwi dobiegł przytłumiony głos Andrzeja.

Basia się zawahała. Nie miała ochoty na tę rozmowę, wiedziała jednak, że wcześniej czy później będzie musiała ją odbyć. Postanowiła tego nie odwlekać.

– Wejdz!

Drzwi uchyliły się powoli. Basia patrzyła na nieśmiało wkraczającego do środka mężczyznę, przed którym drżał ze strachu niejeden pracownik Urzędu Bezpieczeństwa. W tej chwili wyglądał on wręcz komicznie. Stał przed nią niczym dziecko, które coś zbroiło i teraz czeka, aż matka je ukarze. Kiedyś być może zrobiłoby się jej go żal. Podniosłaby się, przytuliła go, pogłaskała po gęstych czarnych włosach. Teraz jednak siedziała, rozkoszując się jego niepewnością i nieporadnością. Zastanawiała się, czy uczucie, którym do niedawna darzyła Andrzeja, na pewno było miłością. Patrząc na niego dzisiaj, w pełni zdawała sobie sprawę, że potrafił tylko brać, nie dając niczego w zamian. A jedyne, co mógł jej obiecać, to niepewny los kobiety należącej do wyklętego przez społeczeństwo bandyty. Zostając z nim, nigdy nie zaznałaby szczęścia i spokoju. To przez znajomość z Rysiem zabrano jej brata. Nie chciała sobie nawet wyobrazić, co by się mogło stać, gdyby miała z Andrzejem dziecko. Pewnie nawet przez chwilę nie byłaby o nie spokojna. Nie, przy tym mężczyźnie nie czułaby się bezpiecznie. Gdziekolwiek się pojawiał, towarzyszyły mu śmierć, płacz i przekleństwa ludzi.

Basia podniosła się z łóżka. Podeszła do krzesła, na którego oparciu wisi rozpinany blezer matki. Włożyła go na siebie, gdyż od przemoczonej halki zaczynało robić jej się zimno.

Spojrzała na stojącego w milczeniu chłopaka. Miała go już dość. Postanowiła jak najszybciej pozbyć się go nie tylko z tego pokoju, ale i ze swojego życia.

– Dowiedziałeś się czegoś nowego o Jurku? – spytała zimno, patrząc mu w oczy.

Andrzej pokręcił głową.

– Na razie w ogóle nie możemy się do niego dostać. Moi ludzie próbują się dowiedzieć, kiedy będzie miał proces i o co go oskarżą.

– Tego się spodziewałam! – krzyknęła Basia. – Pomóc mu dostać się do więzienia umiałeś, ale wyciągnąć go stamtąd to już nie potrafisz!

Ryś nie umiał ukryć zdumienia. Nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

– Baśka! Co ty wygadujesz? Myślisz, że chciałem, żeby to wszystko tak się skończyło?

– Nie wiem! – Wzruszyła ramionami. – Wiem natomiast, że nie chcę cię już więcej widzieć! Słyszysz? – Podeszła do Andrzeja i popatrzyła mu w oczy. – Masz raz na zawsze zniknąć z mojego życia! Zrozumiałeś?!

Andrzej nie był zabobonny ani zanadto wierzący. Obserwując jednak zachowanie dziewczyny, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że wstąpiło w nią jakieś лихо, które sprawia, że nie zachowuje się ona normalnie.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, żeby Jurek cały i zdrowy wrócił do domu – powiedział, starając się, by jego głos brzmiał jak najspokojniej. Przychodziło mu to jednak z dużym trudem.

– Nie musisz już nic robić! – krzyknęła dziewczyna. – Sama go stamtąd wyciągnę!

Andrzej się uśmiechnął. Nie sądził, że Baśka jest tak naiwna, aby uwierzyć, że uda jej się przekonać UB do wypuszczenia Jurka.

– Co?! – Dziewczyna zauważyła kpiący uśmiech błędzący na twarzy partyzanta. – Nie wierzysz mi?

– Nie – odparł poważnie Andrzej. – W to akurat nigdy ci nie uwierzę. Dużo łatwiej jest mi natomiast uwierzyć, że na zawsze chcesz mnie usunąć ze swojego życia.

– To dobrze – rzekła z uśmiechem. – Chociaż do tego jednego nie będę musiała cię dłużej przekonywać. A teraz, jeśli nie masz mi już nic więcej do powiedzenia, idź sobie, bo chciałabym się przebrać.

Andrzej milczał. W sumie miał jej do powiedzenia jeszcze bardzo dużo, wiedział jednak, że dziewczyna teraz nie oczekuje od niego już żadnych wyjaśnień. Jedyne, co mógłby jej ofiarować, to wolność Jurka, a to na razie było poza jego zasięgiem.

Spojrzał na nią, tak jakby chciał upoić się jej widokiem i na zawsze zatrzymać go pod powiekami. Zdawał sobie sprawę, że nieprędko nadarzy się okazja do ponownego spotkania.

– Do widzenia, Basiu – powiedział w końcu, odwracając się w stronę drzwi.

– Żegnaj! – usłyszał za sobą w momencie, gdy przestępował próg

domu, w którym jeszcze do niedawna był miłym i pożądanym gościem. Cóż, łaska pańska na pstrym koniu jeździ – pomyślał.

W głębi duszy czuł jednak smutek, którego z pewnością nie ukoją najbliższe dni, tygodnie ani miesiące.

Wracał do lasu.

26.

Jedyną zaletą inwalidztwa Wiewióra było to, że nawet po spożyciu dużej ilości alkoholu nie plątały mu się nogi. Tego samego nie dało się powiedzieć o koniuszym, który wstając od stolika, zatoczył się mocno i gdyby nie barierka przy tarasie, z pewnością upadłby na wybrukowany trotuar przed posesją.

– Pardon! – powiedział pijany Romuald, czkając przeciągle.

Wiewiór się uśmiechnął. Spojrzał na pustą butelkę po koniaku. Sam w jej opróżnieniu miał niewielki udział, ponieważ bardziej, niż się tego spodziewał, zaciekały go informacje koniuszego. Początkowo mężczyzna nie chciał się otworzyć, ale w końcu po kilku kolejkach i smutnych wspomnieniach weterana, który na wojnie stracił obie nogi, zaczął mówić. Przyznał, że Wolak miał krótki, acz płomienny romans z Jadwigą Bralewską. Ponadto wyjawiał Wieczorkowi nowy warszawski adres państwa Bralewskich. Nie wiedział natomiast, albo nie chciał powiedzieć, nic na temat aktualnego miejsca ukrycia Jana Wolaka.

– Zyga! – rozdarł się koniuszy, stojący teraz przy barierce, której z całej siły się przytrzymał. – A może powinienem pomóc ci w dostaniu się do twojego pokoju, co?!

Wiewiór pokręcił energicznie głową.

– Dam sobie radę – powiedział szybko, zanim tamtemu przyszło do głowy, żeby swój pomysł zacząć wcielać w życie. – A tobie radzę dzisiaj zdrzemnąć się w stajni, gdyż ze służbówki może przegonić cię kucharka. Wiesz, jakie są kobiety.

Koniuszy otworzył usta, by coś powiedzieć, ale wydobyło się z nich jedynie przeciągłe czknięcie.

– Masz rację, Zygmucie! Baby mają pokrętny sposób myślenia, którego

mężczyźni nijak nie rozumieją!

Koniuszy puścił barierkę i zrobił krok naprzód, by pokonać trzy schodki prowadzące z niewysokiego podestu. Zadanie to jednak go przerosło i zwałił się na ziemię. Przez chwilę leżał bezwładnie, po czym zaczął się podnosić. Dźwignięcie się do pionu okazało się jednak zadaniem zbyt trudnym. W końcu zrezygnowany, na czworakach, pokręcił głową i powoli ruszył w stronę stajni, gdzie miał spędzić dzisiejszą noc. Wiewiór nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Aż do dzisiaj nie zdawał sobie sprawy, że ktoś tak bardzo może przesiąknąć tym, czym się na co dzień zajmuje. Poruszający się na czworakach koniuszy, sam o tym nie wiedząc, upodobił się do zwierząt, którymi na co dzień się zajmował.

Po chwili uwagę Wiewióra przykuła ciemna sylwetka, która nagle wyłoniła się z mroku i zmierzała teraz w jego stronę. Komisarz sięgnął po papierosa. Zapalił. Zbliżająca się postać była już na tyle wyraźna, że bez problemu rozpoznał w niej dziewczynę, z którą Jastrzębski zapoznał go w czasie niedawnej potańcówki.

– Dobry wieczór – powiedział, starając się nadać swojemu głosowi jak najbardziej przyjazne brzmienie.

– Dobry wieczór – odpowiedziała pośpiesznie dziewczyna i wskazując głową na znikającego w mroku koniuszego, spytała: – Co mu się stało?

Wiewiór odchrząknął. Zaciągnął się papierosem i wypuszczając z ust chmurę dymu, odparł z całą powagą:

– To bardzo biedny człowiek. Zbyt długo przebywał w otoczeniu koni i niestety nabawił się końskiej choroby.

– Końskiej choroby? – powtórzyła ze zdziwieniem dziewczyna.

Wiewiór wolno pokiwał głową.

– To niezwykle rzadkie schorzenie i dlatego być może panienka jeszcze o nim nie słyszała. Polega ono na tym, że zainfekowany upodabnia się do zwierząt, z którymi spędza wiele czasu.

Basia pokiwała ze zrozumieniem głową, patrząc jeszcze przez jakiś czas na koniuszego, który na czworakach zmierzał w stronę stajni.

– Biedny człowiek – powiedziała w końcu.

Wieczorek tylko pokiwał głową, dając dziewczynie do zrozumienia, że również współczuje tamtemu mężczyźnie.

– Czy pan Edward jest w domu? – spytała, gdy koniuszy już całkowicie

został wchłonięty przez mrok zapadającej nocy.

– W domu – odpowiedział Wieczorek, oblizując się przy tym dosyć lubieżnie. – A czy to trochę nie za późno na wizytę u samotnego mężczyzny?

– Ta wizyta ma charakter czysto służbowy, więc pora dnia czy nocy nie odgrywa tu żadnej roli! – odparła Basia lekko podenerwowana uwagą inwalidy.

Wiewiór zaciągnął się raz jeszcze papierosem, po czym pstryknął niedopałek w rozpościerającą się przed nim ciemność.

– Też miałem się udać do porucznika Jastrzębskiego na służbowe spotkanie – powiedział, taksując wzrokiem stojącą przed nim dziewczynę, która w świetle wiszącej nad nią lampy wyglądała wręcz zjawiskowo. – Jednak wydaje mi się, że moje służbowe sprawy są trochę mniej ważne od tych, z którymi ty do niego przychodzisz. Dlatego idź, proszę, pierwsza, a ja poczekam, rozkoszując się ciepłem dzisiejszej nocy. Kto wie, może napiszę jakiś miłosny wiersz?

Prędzej donos! – pomyślała Basia, z obrzydzeniem patrząc na śliniącego się kalekę. Wyminęła go bez słowa i weszła do dworu będącego jeszcze niedawno w posiadaniu rodziny Bralewskich. Wtedy prosta dziewczyna mieszkająca w pobliskiej wiosce mogła jedynie pomarzyć, że kiedyś dane jej będzie przekroczyć próg tego domu. Teraz szła pewnie, z podniesioną głową, starając się jak najmniej rozglądać na boki. Nie chciała wyjść na kmiotkę, której po raz pierwszy przyszło znaleźć się w otoczeniu innym niż wiejskie obejście. Zatrzymała się przy żołnierzu pełniącym na korytarzu wartę.

– Ja do porucznika Jastrzębskiego – powiedziała trochę nazbyt cicho, za co zaraz zganiła się w myślach.

– Umówiona?

Basia pokręciła głową.

– Nazwisko!

Dziewczyna się zawahała. Miała teraz ostatnią szansę, żeby stąd wyjść. Nikt z jej rodziny z pewnością nie pochwalaby tego, na co się zdecydowała. Honor był dla nich najważniejszy i nie pozwalał im prosić o pomoc urzędników znienawidzonego systemu. Co jednak było robić, kiedy wszelkie inne sposoby na ocalenie Jurka zawiodły? Musiała prosić o pomoc tego oficera. Nie było innego wyjścia.

– Proszę podać swoje nazwisko! – Głos wartownika wyrwał ją z rozmyślań.

– Brodzka, Barbara Brodzka – odparła cicho jak ktoś, kto wciąż nie jest do końca przekonany o słuszności swego postępowania.

– Proszę tu chwilę poczekać, spytam, czy porucznik panią przyjmie – powiedział żołnierz i zniknął za drzwiami prowadzącymi do pokoju Jastrzębskiego.

Basia oparła się o ścianę. Przymknęła oczy i nasłuchiwała odgłosów dobiegających zza drzwi. W myślach odmawiała modlitwę, której nauczyła ją w dzieciństwie babcia – *Pod Twoją obronę uciekamy się...*

Na początku, gdy żołnierz oznajmił mu, że przyszła do niego Barbara Brodzka, nie mógł skojarzyć, o kogo chodzi. Dopiero w chwili kiedy dziewczyna nieśmiało przestępowała próg pokoju, przypomniał sobie potańcówkę i poznaną tam miejscową piękność. Jego twarz momentalnie rozjaśnił szeroki, szczery uśmiech. Jeżeli podczas pierwszego spotkania dziewczyna wyglądała nader korzystnie, to teraz bez zbędnej przesady można było twierdzić, że wygląda olśniewająco. Długie, gęste i ciemne włosy, podobnie jak poprzednio, zaplotła w warkocz. Jednak tym razem u panny Brodzkiej już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć dużo odważniejszy makijaż. Usta dziewczyny wręcz lśniły czerwienią, sprawiając, że Jastrząb miał ochotę już, teraz, natychmiast, bez wdawania się w zbędne kurtuazyjne rozmowy, przyłgnąć do nich swymi wargami, by je całować długo i namiętnie. Z całą pewnością nie powodowało nim jakieś wyższe uczucie, którym mógłby darzyć tę biedną wiejską dziewczynę. To w ogóle nie wchodziło w grę. W sercu oficera Urzędu Bezpieczeństwa nie było miejsca na tego typu historie. Dziewczyna mogła być dla niego jedynie kaprysem, zachcianką, którą Edward pragnąłby jak najprędzej zaspokoić, niczym więcej.

– Witam cię serdecznie w moich skromnych progach – powiedział, podchodząc do dziewczyny. Chwycił jej rękę, nachylił się i delikatnie cmoknął w dłoń. Podnosząc głowę, zauważył, że Basia lekko się zarumieniła. Jeszcze dziś będziesz moja – pomyślał, ciesząc się, że ten zapowiadający się na nudny i długi wieczór może skończyć się całkiem przyjemnie. Podszedł do krzesła, z którego zdjął pudło z ubraniami. –

Siadaj, proszę, jeszcze nie zdążyłem tutaj zadomowić się na dobre. Nawet nie rozpakowałem przywiezionych z Warszawy rzeczy.

– Dziękuję – odezwała się cicho dziewczyna, zajmując wskazane jej miejsce.

Jaka skromna – pomyślał, przyglądając się jej zgrabnym i umięśnionym łydkom pod cienkimi pończochami. Musiał przyznać, że kobiety, z którymi miał do czynienia w stolicy, znacznie różniły się od tej, która teraz przed nim siedziała. Tamte wydawały się dużo drobniejsze i delikatniejsze od Basi, której dorodne piersi ukryte pod ledwo opinającą je białą bluzeczką falowały przy każdym oddechu. Jastrząb nie potrafił oderwać od nich oczu. Dziewczyna siedziała ze wzrokiem wbitym w podłogę, a on z jakąś bezwstydną lubieżnością przyglądał się jej ciału, z którego miał ochotę jak najprędzej ściągnąć te wszystkie fatalaszki. Szerokie biodra dziewczyny i silne uda obiecywały rozkosz, jakiej jeszcze nie zaznał z żadną z tych zmanierowanych, wychudzonych i wyperfumowanych warszawskich kobiet. Miał ich już dość. Marzyła mu się świeżość, witalność i rzeźkość. To wszystko mogła mu zaoferować panna Brodzka. Należało tylko dowiedzieć się, czego dziewczyna od niego chce, bo z pewnością nie zjawiała się tu zupełnie bezinteresownie. Później trzeba jej obiecać spełnienie prośby, oczywiście nie za darmo, gdyż żyjemy w takich czasach, że za darmo można jedynie dostać wieloletni wyrok. A czym taka piękna młoda dziewczyna może zapłacić oficerowi UB za przysługę? Cóż, jakoś się dogadamy – pomyślał Jastrzębski, z trudem odrywając wzrok od biustu panny Brodzkiej.

Podszedł do stojącej pod ścianą szafki. Otworzył ją. Chwilę przyglądał się rzędom butelek wypełnionych różnymi trunkami. W końcu wyjął jedną z nich oraz dwa kryształowe kieliszki.

– Widzę, że jesteś nieco skrupowana – powiedział, stawiając na stole przed dziewczyną butelkę i kieliszki – zupełnie jednak niepotrzebnie, gdyż twoja niespodziewana wizyta sprawiła mi wielką radość. Wieczorami siedzę tutaj sam, pozbawiony jakichkolwiek rozrywek, więc towarzystwo młodej, sympatycznej osoby jest dla mnie przyjemną odskocznią od codziennej rutyny i nudy.

Basia podniosła wzrok na Jastrzębskiego. Chciała się upewnić, czy oficer przypadkiem sobie z niej nie żartuje. Z jego twarzy nie wyczytała jednak oznak kpiny. Ucieszyło ją to, wciąż jednak czuła się tutaj bardzo nieswojo. Po pierwsze, onieśmiało ją samo miejsce, w którym się

znajdowała. Podejrzewała, że pokój ten był kiedyś sypialnią państwa Bralewskich. Wnioskowała tak po znajdującym się na wprost stołu wielkim łożu, na którym swobodnie mogłyby spać co najmniej trzy dorosłe osoby. Po drugie, onieśmielająco działała na nią także obecność młodego, przystojnego oficera, którego wzrok czuła na sobie bezustannie.

– Bardzo pan dla mnie miły – zaczęła niepewnie – ale przyszedłem tutaj, żeby prosić o pomoc.

– Ciii! – Edward delikatnie przyłożył swój palec do ust dziewczyny. – Przede wszystkim proszę nie zapominać, że mam na imię Edward. Po drugie, wolałbym sobie w dalszym ciągu wyobrażać, że przyszedłem tutaj odwiedzić mnie zupełnie bezinteresownie albo... – urwał na chwilę – ...z czystej sympatii do mnie.

Basia ponownie uciekła wzrokiem, próbując skoncentrować się na czymś, co pozwoliłoby jej zebrać myśli co chwilę rozpraszane słowami młodego mężczyzny.

Jastrząb tymczasem podniósł karafkę z jakimś kolorowym alkoholem i napełnił nim dwa kryształowe kieliszki.

– Proponuję, żebyśmy napili się za spotkanie – rzekł, podając dziewczynie kieliszek.

Basia upiła łyk alkoholu. Przyzwyczajona do intensywnego smaku pędzonego przez ojca samogonu była zaskoczona aromatem oraz słodyczą pitego teraz trunku, którego przyjemne ciepło czuła w żołądku.

– To dereniówka – powiedział Edward, widząc, że nalewka przypadła dziewczynie do gustu. Od razu również napełnił oba kieliszki kolejną porcją trunku.

– Bardzo smaczna – odezwała się Basia – i taka inna od alkoholu, z którym do tej pory miałam styczność.

Edward nie miał zamiaru ostrzegać dziewczyny, że nalewka, chociaż słodka i przyjemna w smaku, równie mocno uderza do głowy jak zwykły alkohol. Miał nadzieję, że dereniówka towarzysząca ziemianom podczas polowań okaże się teraz jego sprzymierzeńcem w trakcie polowania na piękną pannę Brodzką. Usiadł na krześle obok niej. Popatrzył w jej brązowe oczy, których spojrzenie przypominało teraz wzrok pięknej, lecz spłoszonej sarny. Delikatnie, tak by jej nie wystraszyć, położył dłoń na kolanie dziewczyny. Poczł, jak przez jej ciało przebiega dreszcz, nie straciła jednak jego dłoni.

– A teraz powiedz mi, jakiej pomocy ode mnie oczekujesz – powiedział cichym głosem, którego śmiało mógł mu pozazdrościć niejeden amant filmowy.

– Chodzi mi o mojego brata Jurka – zaczęła nieśmiało.

Patrzył na nią uważnie, a jego dłoń posuwała się tymczasem coraz wyżej po udzie panny Brodzkiej.

– Parę dni temu został przewieziony do aresztu w Warszawie i od tamtej pory nie mamy od niego żadnych wiadomości.

Edward gwałtownie odsunął się od dziewczyny. Basia jeszcze przez kilka sekund czuła na swoim udzie ciepło jego dłoni.

– Z tego, co pamiętam, twój brat należał do bandy poszukiwanego przeze mnie Rysia! – odezwał się gniewnym tonem.

Basia spuściła głowę. Przez dłuższy czas wpatrywała się tępo w podłogę. Kiedy ponownie przemówiła, jej głos momentami się załamywał:

– Każdy z nas popełnia błędy. Jestem pewna, że gdyby Jurek odzyskał wolność, to stałby się przykładowym obywatelem Polski Ludowej.

Jastrzębski zaśmiał się głośno.

– Aż tak dobrze znasz swojego brata?

Basia pokiwała głową.

– Kochasz go?

Dziewczyna ponownie przytaknęła.

Edward mimowolnie oblizał usta. Czuł narastające podniecenie. Nic nie sprawiało mu takiej przyjemności jak możliwość dominacji nad innymi. Zwłaszcza nad kobietami. Nie, żeby kiedykolwiek miał problemy w relacjach damsko-męskich, ale zwykłe zabiegi sprowadzające się do tego, by kobietę zaciągnąć do łóżka, już mu nie wystarczały. Musiał czuć władzę. Zupełnie pozbawiona woli niewiasta, której zachowanie całkowicie pozostawało pod jego kontrolą – tego pożądał. Teraz miał właśnie przed sobą taką wystraszoną, gotową na spełnienie każdej jego fantazji dziewczynę.

– Zrobiłabyś wszystko, aby znowu ujrzeć ukochanego braciszka? – spytał nieco szyderczym tonem, którego Basia na szczęście nie wychwytiła.

Dziewczyna podniosła wzrok. Spojrzała na stojącego przed nią młodego mężczyznę. W jej oczach nie było dumy, wyniosłości czy innych uczuć, których Jastrząb tak bardzo nienawidził u spotykanych przez siebie ludzi. Był tylko strach, pod którym gdzieś głęboko ukrywała się nadzieja.

– Zrobię, co zechcesz! – krzyknęła, po czym padła na kolana i mocno objęła nogi ubeka.

Uśmiechnął się. Położył dłoń na ciemnych włosach dziewczyny. Przez chwilę głaskał je delikatnie, ciesząc się, że los, na który jeszcze niedawno narzekał, zesłał go na tę prowincję.

27.

Nikodem powoli zaczynał godzić się ze swoim przeznaczeniem. Zdawał sobie sprawę, że jego los jest przesądzony i nie uda mu się uniknąć śmierci. Proces, jaki mu wytoczą, będzie jedynie farsą niemającą nic wspólnego ze sprawiedliwością. Matka zawsze mu powtarzała, że kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie. Śmiał się zwykle ze słów starszej kobiety, która większość życia spędziła na kolanach przed ołtarzem z ukrzyżowanym Chrystusem w centrum. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się, o co matka może prosić faceta, który mimo bardzo wpływowych znajomych dał się niespełna dwa tysiące lat temu przybić do krzyża. Morawski był pewien, że będąc na miejscu Jezusa z Nazaretu, nie dopuściłby do tego, by najpierw uczestniczyć w pokazowym procesie, a potem dać się zaprowadzić na Golgotę i tam wyzionąć ducha.

Stalinowska Polska, dla której jeszcze do niedawna pracował, była niczym nieufna i nienasycona bestia potrzebująca coraz więcej ofiar. Do tej pory w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Niemal bezmyślnie wykonywał swoją pracę, polegającą na tropieniu i łapaniu „wrogów systemu”. Tych poddawano brutalnemu przesłuchaniu, w wyniku którego byli w stanie przyznać się nawet do udziału w spisku na życie samego generalissimusa Józefa Stalina. Później następował proces i zapadał wyrok. Najczęściej była to kara śmierci. Kula w łeb i nieznane miejsce pochówku.

Jego twarz wykrzywił trudny do zinterpretowania grymas.

– Miałaś rację, mamó – wycedził. – Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie.

– Co mówisz? – spytał leżący na sąsiedniej pryczy poobijany przez UB mężczyzna.

Nikodem popatrzył na niego tępym wzrokiem. Życie jest pełne paradoksów – pomyślał, przyglądając się współwięźniowi. Przez ostatnie

lata tropiłem takich jak ten tutaj, a teraz dzielę z nim końcówkę mego życia i tę nędzną, śmierdzącą odchodami przestrzeń!

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia cztery – odparł krótko zmaltretowany mężczyzna.

– Niewiele mniej ode mnie. – Morawski uśmiechnął się, wyciągając dłoń w stronę towarzysza z celi. – Nikodem!

Mężczyzna podniósł się z pryczy. Jego twarz na moment wykrzywił paroksyzm bólu. Uścisnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń.

– Jurek.

– W innych okolicznościach powiedziałbym, że miło mi ciebie poznać, teraz jednak daruję sobie zbędną kurtuazję.

Jurek popatrzył podejrzliwie na Morawskiego. Facet od początku nie budził w nim zaufania. Podejrzewał, że jest szpiclem na usługach Urzędu Bezpieczeństwa.

Nikodem pochwycił nieufne spojrzenie współwięźnia. Pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Masz rację, że mi nie ufasz – powiedział wolno. – Na zaufanie takich jak ty, ludzi z lasu, pracuje się bardzo długo i bardzo ciężko.

– Skąd wiesz, że należałem do leśnych, a nie wsadzili mnie tutaj za zwykły rabunek? – Jurek utkwiał spojrzenie w spokojnej, prawie nieprzeniknionej twarzy Morawskiego.

– Takich jak ty rozpoznam wszędzie. – Nikodem na chwilę zawiesił głos. – Zanim mnie tu wsadzili, zajmowałem się poszukiwaniem reakcjonistów, wrogów ludu, leśnych bandytów czy jak ich tam jeszcze nazywał system, któremu wiernie służyłem! – Morawski nie przestawał obserwować, jakie wrażenie robią wypowiedane słowa na jego towarzyszu więziennej niedoli. – I muszę przyznać, że w tym, co robiłem, byłem bezkonkurencyjny! Mało kto mógł się ze mną równać.

Jurek przez jakiś czas milczał. W celi słychać było jego głośny, świszczący oddech, kiedy łąpał i wypuszczał powietrze nosem złamanym podczas przesłuchania.

– To co robisz w tej celi razem ze mną?

Morawski wzruszył ramionami.

– Okazało się, że władza, której służyłem, także popełnia błędy.

Jurek roześmiał się głośno. Zaraz jednak pożałował tego spontanicznego wybuchu śmiechu, albowiem przy każdym głębszym oddechu odczuwał ból spowodowany połamanymi lub stłuczonymi żebrami.

– I żeby to zrozumieć, musiałeś znaleźć się aż tutaj?!

Nikodem splunął na betonową podłogę celi.

– Tak – odrzekł wolno. – Dopiero teraz zrozumiałam, że państwo, któremu służę, gotowe jest mnie niesłusznie oskarżyć i skazać na śmierć. Jesteś usatysfakcjonowany moją odpowiedzią?! Pewnie czujesz się lepszy ode mnie, dlatego że ty od początku poznałeś się na Polsce, która narodziła się po wojnie!

Jurek Brodzki pokręcił głową.

– Po pierwsze, wcale nie czuję się lepszy od ciebie, a po drugie, kraj, który odrodził się po wojnie, nie ma nic wspólnego z Polską sprzed września trzydziestego dziewiątego.

Nikodem chciał coś odpowiedzieć, ale nie zdążył, gdyż obaj mężczyźni usłyszeli nagle dźwięk przekręcanego w drzwiach klucza. Następnie skrzypnęła odsuwana żelazna zasuwka. Więźniowie zerwali się z prycz, szybko poprawili leżące na nich zawieszane sienniki i stanęli na baczność.

Drzwi się uchyliły. Do celi wszedł strażnik o wyglądzie troglodyty. Z obrzydzeniem wciągnął nosem zatechłe powietrze i patrząc z pogardą na więźniów, powiedział:

– Obywatel Morawski Nikodem wzywany na przesłuchanie! Pójdziesz za mną!

– Tak jest! – krzyknął Nikodem, zastanawiając się, po co jeszcze zabierają go na przesłuchanie, skoro w jego sprawie zapadł już wyrok śmierci.

Bez zbędnych pytań wszedł z celi i wolno ruszył za prowadzącym go długim korytarzem klawiszem.

28.

Andrzej przyłożył do oczu lornetkę. Długo czekał, aż wzrok przebije się przez panujące wokół ciemności. Jego sprzymierzeńcem okazały się rozsypane po niebie gwiazdy i świecący w górze księżyc. Soczewki lornetki przybliżały na tyle dobrze, że wyraźnie można było przez nie dostrzec sylwetkę Basi, która stała na ganku dworu i rozmawiała z siedzącym na wózku inwalidą. Po chwili dziewczyna zniknęła w środku byłej posiadłości Bralewskich. Andrzej wiedział, kto teraz zajmuje dworek.

Domyślał się także, do kogo przysłała jego dziewczyna. A raczej była dziewczyna, poprawił się w myślach. Odłożył lornetkę i położył się w wysokiej trawie. Leżąc na plecach, wpatrywał się w niebo. Obraz gwiazd i księżyc stawał się z każdą chwilą coraz mniej wyraźny. Rozmazywał się. Ryś przypominał sobie dzień, w którym gestapo zamordowało jego rodzinę. Pamiętał, że pomimo przepełniającego go smutku nie zdołał wówczas uronić ani jednej łzy. Dzisiaj było inaczej. Łzy zalewały mu oczy. Szloch powoli wstrząsał całym ciałem. Sięgnął do kieszeni. Jego dotychczasowe życie legło w gruzach. Wszystko, w co wierzył i za co walczył, przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie. Dziewczyna, którą kochał, odwróciła się od niego i udała po pomoc do oficera będącego na usługach systemu, z którym walczył. Wyjął rękę z kieszeni. W dłoni trzymał pistolet. Mocno zacisnął palce na jego kolbie. Przypomniało mu się, jak dotykał grubego warkocza Basi, odsłaniał szyję dziewczyny i składał na niej pocałunki, wdychając jednocześnie zapach jej ciała.

– Boże, wybacz mi – szepnął i przyłożył lufę pistoletu do skroni.

Poczuł, jak zimny metal chłodzi mu skórę. Od zakończenia tego wszystkiego dzielił go tylko jeden ruch. Pociągnięcie palcem za spust.

Przez lata robił to wielokrotnie. Jeszcze jedno nieudane życie, które zakończy – pomyślał i zorientował się, że nie czuje żalu. Może jedynie ulgę, że to wszystko zaraz się skończy, a on wreszcie spotka się z najbliższymi.

Jego rozmyślania przerwał zakłócający panującą wokół ciszę dźwięk trzaskającej pod czyimś butem gałęzi. Zadziałał instynktownie. Bezszelestnie przewrócił się z pleców na brzuch, rękawem marynarki otarł oczy i wpatrując się w ciemność, wyczekiwał. W następnej sekundzie ujrzał zwalistą sylwetkę człowieka skradającego się w jego stronę. Ryś trzymał go na muszce, zastanawiając się, co ma robić. Wiedział, że najgorszym wyjściem z sytuacji byłoby strzelenie do intruza. Huk wystrzału ściągnąłby żołnierzy kwaterujących we dworze. Miał nadzieję, że tajemniczy osobnik, w którym domyślał się jakiegoś konfidenta będącego na usługach ubecji, nie zauważy go. Wysoka trawa, w której leżał, dawała mu pewne iluzoryczne schronienie. Gdyby jednak został dostrzeżony, postanowił ogłuszyć niespodziewanego gościa. Patrząc jednak na jego majaczącą w cieniu posturę, zdawał sobie sprawę, że nie będzie to łatwe zadanie. Po stronie Andrzeja było zaskoczenie, które chociaż na początku dawało mu pewną przewagę. Złapał za lufę pistoletu, tak żeby jego kolbę wykorzystać do uderzenia zbliżającego się intruza.

W tym samym momencie dotarła do niego absurdalność całej sytuacji. Jeszcze przed paroma sekundami zdecydowany był użyć własnej broni przeciwko sobie. Teraz spięty i gotowy do szybkiego ataku niczym dzikie przyczajone zwierzę zapomniał, że chciał się zabić. W ułamku sekundy zdał sobie sprawę, co od tej pory będzie celem jego życia. Uśmiechnął się pod nosem, a uśmiech ten nie wróżył nic dobrego, zwłaszcza tym, którym w tej właśnie chwili poprzysiągł śmierć. Pierwszą ofiarą na drodze jego nowego życia będzie wyłaniający się z ciemności człowiek. Chociaż on zasługiwał na łaskę. Bo właśnie to dzięki niemu Andrzej narodził się na nowo. On sprawił, że zdecydowany na samobójstwo mężczyzna nie pociągnął za spust. Zrzucił z siebie skórę dawnego partyzanta i przeobraził się w kogoś zgoła innego – mściciela, który od tej pory będzie się postrach wśród ubeckich pacholków Rosji!

Zbliżający się w jego stronę olbrzym zatrzymał się. Zauważył mnie? – zaniepokoił się Ryś, któremu taki obrót sprawy niweczył cały plan. Oceniał, że dzieląca ich odległość jest jeszcze zbyt duża, by wyskoczyć z kryjóWKi i próbować obezwładnić konfidenta. Zaatakowany miałby za dużo czasu na

obronę lub ucieczkę. Element zaskoczenia, który miał być atutem Andrzeja, nie odegrałby żadnego znaczenia. Gorączkowo zastanawiał się, co robić. Wtem uśmiech rozjaśnił jego twarz. Stojący kilka metrów przed nim mężczyzna wyciągnął coś z kieszeni, po czym wykonał ruch ręką w stronę ust. Nie, to niemożliwe, co za idiota! – pomyślał partyzant i jeszcze szerzej się uśmiechnął, wiedział bowiem, co się za chwilę wydarzy.

Leśną ciemność na kilka sekund rozjaśnił błysk światła. Zwalisty mężczyzna próbował ukryć w dłoniach pełgający płomyk zapalniczki, gdy przypalał sobie papierosa, robił to jednak na tyle niedbale, że czający się w ciemnościach Andrzej zdążył dostrzec twarz intruza. A więc to ty, stary, uratowałeś mi życie – pomyślał, chowając po cichu pistolet do kieszeni marynarki.

– Psst! Janek! – zawołał szeptem w stronę palącego papierosa mężczyzny.

Tamten spojrział w stronę, z której dochodził głos.

– Kto tam? – spytał również szeptem.

– Andrzej!

Wolak zaciągnął się jeszcze raz papierosem, którego żarzący się ognek ukrył w dłoni, po czym kucnął i dokładnie zgasił niedopałek. Wydmuchał dym i podszedł do Rysia.

– Co ty tu robisz? – spytał, nie kryjąc zdziwienia.

Andrzej się zawahał. Nie wiedział, co odpowiedzieć staremu komisarzowi.

– W sumie o to samo mógłbym spytać ciebie – odparł po chwili namysłu.

Komisarz się uśmiechnął.

– Można? – spytał, wskazując na leżącą koło Rysia lornetkę.

– Jasne!

Wolak położył się w trawie. Sięgnął po lornetkę.

– Swoją drogą – zaczął Andrzej, przypatrując się Wolakowi – jak na tyle lat życia w lesie wciąż nie nauczyłeś się poruszać po nim bezszelestnie.

Starszy mężczyzna wzruszył ramionami.

– Być może masz rację. Zawsze dużo łatwiej przychodziło mi zniknąć w dużym mieście. Warszawa nie miała przede mną żadnych tajemnic.

– Masz już dość? – Andrzej uważnie patrzył na twarz komisarza, którą światło księżyca czyniło jeszcze bledszą i bardziej ponurą. – Tęsknisz za życiem w stolicy?

Wolak skrzywił się z niesmakiem.

– Za czym mam tęsknić? Moje ukochane miasto w czterdziestym czwartym zrównali z ziemią Niemcy... – Komisarz się zamyślił. – Później zburzoną stolicę posiadli i zniewolili Sowieci. Za czym więc mam tęsknić, skoro cała Polska stała się niewolnicą czerwonych! A garstka takich jak my nie da rady jej wyzwolić!

Andrzej pokiwał głową.

– Masz rację, to wszystko nie ma sensu. Przegraliśmy.

Komisarz wzruszył ramionami. Leżący obok niego chłopak był o ćwierć wieku młodszy. Całe życie dopiero przed nim, tymczasem stary komisarz najlepsze lata miał już dawno za sobą. Miłość, młodość – to wszystko odeszło. Miejsca, które kojarzyły mu się z dawnym dobrym życiem, już nie istniały. Wszystkie zostały zniszczone przez wojnę. Nic po nich nie zostało, a wspomnienia w pamięci przedwojennego wywiadowcy również powoli się zacierały. Po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku dni poczuł się stary i bezużyteczny. Nic już nie łączyło go z dawnym życiem. Wszystko zostało zburzone, zawłaszczone lub zabite. Nie było już nikogo. Kobiety, które kiedyś kochał, znajdował w bestialski sposób zamordowane, a na ich plecach jakiś nieuchwytny sadysta wyrzynał krwawe serce z pierwszą literą jego nazwiska. Miejsca, w których przebywał, zostały zniszczone. Przyjaciele, choć miał ich niewielu, także nie żyli albo zaginęli.

– Przegraliśmy – powtórzył po Andrzeju i przyłożył do oczu trzymaną w rękach lornetkę.

Lornetka przybliżała na tyle dobrze, że komisarz wyraźnie rozróżniał poszczególne kształty, którym się przyglądał. Dworek Bralewskich mimo późnej pory tętnił życiem. Niemal w każdym z okien świeciło się światło. Komisarz wszystkiemu uważnie się przyglądał. Robił to raczej z nudów i chęci uspokojenia się niż nadziei, że zobaczy coś godnego uwagi. Przez moment wydawało mu się, że w jednym z okien dostrzegł sylwetki kobiety i mężczyzny oddających się dość intymnej zabawie we dwoje. Trwało to

jednak bardzo krótko i równie dobrze mogło być jedynie przywidzeniem lub projekcją zmęczonego umysłu. Wolak opuścił lornetkę. Chciał przyjrzeć się otoczeniu dworku. Szybko omiół wzrokiem ganek, na którym dostrzegł wózek inwalidzki z jakimś siedzącym nań beznogim mężczyzną. Prześlizgnął się po nim wzrokiem i z dużo większą uwagą zaczął się przyglądać zabudowaniom gospodarczym, w których teraz zakwaterowano żołnierzy KBW. Nic jednak nie zdołał tam zobaczyć, dlatego z powrotem zaczął przypatrywać się oknom dworku, zastanawiając się, czy para, którą dostrzegł w oknie, pojawi się tam ponownie.

– Zdążyłeś zobaczyć coś interesującego, zanim się pojawiłem? – spytał Andrzeja.

– Niewiele. Kilku żołnierzy idących do wychodka lub wychodzących na papierosa i tego śmiesznego kalekę na ganku. – Ryś nie chciał opowiadać Wolakowi o wizycie swojej ukochanej w dworku, który teraz przeistoczył się w siedlisko ubecji.

– Śmiesznego kalekę? – spytał Wolak, ponownie nakierowując lornetkę na ganek dworku.

Przez kilka sekund intensywnie wpatrywał się w siedzącego na wózku mężczyznę. Czuł, jak serce zaczyna mu bić coraz prędeej. Nie wierzył w to, co widział.

– Nie, to niemożliwe! – wyszeptał, mocniej przyciskając do oczu lornetkę.

– Co niemożliwe? – zaniepokoił się Andrzej, który obawiał się, że stary komisarz dostrzegł jego narzeczoną Basię Brodzką.

Wolak opuścił lornetkę. Potarł oczy, do których napłynęły mu łzy, bo z takim natężeniem wpatrywał się w półmrok powiększony jeszcze przez szkła lornetki. Minęły cztery lata, odkąd po raz ostatni na placu apelowym obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu widział swojego przedwojennego partnera i przyjaciela, Zygmunta Wieczorka. W pierwszej chwili nie był pewien, czy siedzący na wózku kaleka to Wiewiór. Po prostu jakaś część jego umysłu wypierała to, że ktoś taki jak Wieczorek może być współpracownikiem UB. I to współpracownikiem dość wysoko postawionym, o czym świadczyła troska, z jaką jeden z żołnierzy KBW wprowadził do dworku wózek z niepełnosprawnym mężczyzną.

– Nic – odparł po chwili Wolak. – Coś mi się przywidziało. Wracamy?

Ryś patrzył badawczo na twarz starego komisarza, próbując z niej

wyczytać, co tamten chce przed nim ukryć. W końcu wziął od niego lornetkę, schował ją do plecaka i podnosząc się z ziemi, rzekł zrezygnowanym głosem:

– Wracamy.

29.

Państwa Bralewskich po wyeksmitowaniu z rodzinnej posiadłości zakwaterowano w mieszkaniu jednej z warszawskich kamienic na Pradze, która nie podzieliła losu większości budynków zburzonych w czasie powstania lub tuż po jego zakończeniu. Samo zabranie przez ludową władzę dworku w Komorowie nie było jednak końcem upokorzeń, jakie czekały tę rodzinę o szlacheckich korzeniach. Bralewscy zostali dokwaterowani do mieszkania zajmowanego przez sześciuosobową rodzinę majstra Walczaka. W innych okolicznościach sytuacja ta mogłaby wydawać się nawet zabawna. Władza ludowa próbowała udowodnić, że nie ma różnicy między rodziną o chłoporobotniczym pochodzeniu a rodziną, której przodkowie brali udział w sejmach elekcyjnych i wybierali władców Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Niestety, władza się myliła. Przepaść pomiędzy Bralewskimi a Walczakami była ogromna. Dotyczyła niemal każdej dziedziny życia codziennego.

Kiedy pewnego razu Franciszek Bralewski przez roztargnienie zostawił na stole kuchennym jedną z najcenniejszych pamiątek swego rodu, paryskie wydanie *Pana Tadeusza* z 1834 roku, godzinę później już go nie znalazł. Nestor rodu wpadł w panikę. Książka, z którą ostatnimi czasy prawie się nie rozstawał, zniknęła i nigdzie nie mógł jej znaleźć. O jej przywłaszczenie zaczął podejrzewać Walczaków, z którymi dzielili kuchnię. Całe mieszkanie składało się bowiem z trzech pokoi oraz kuchni. Walczakowie mieli przez władze przyznane dwa pokoje, natomiast Bralewscy, których rodzina była mniej liczna i nie miała małych dzieci, gnieździł się w jednym pomieszczeniu. Kuchnia natomiast była wspólna, co kojarzyło się Franciszkowi ze statusem Wolnego Miasta Gdańsk, które przed wojną nie należało ani do Polaków, ani do Niemców. Wychodek z kolei znajdował się na korytarzu i korzystali z niego bez mała wszyscy mieszkańcy pierwszego piętra budynku. Wściekły Franciszek, nie mogąc

nigdzie znaleźć książki, którą z Francji przemycił do Królestwa Polskiego jego pradziadek hrabia Antoni Bralewski, postanowił zapukać do Walczaków. Nie po to jego rodzina strzegła przez te wszystkie lata wydanego w 1834 roku w Paryżu dzieła, by teraz jakiś kmiot ot tak zabrał je z kuchennego stołu. Drzwi uchyliły się i stanęła w nich pani Walczakowa. Brudnoszara halka była jedyną częścią garderoby tej matrony o figurze godnej pędzla samego mistrza Rubensa. Na rękę trzymała kilkumiesięczne niemowlę, a u jej nóg i rąk uczepiona była trójka starszych dzieciaków. Wszyscy z zaciekawieniem wpatrywali się w pana Franciszka, który na widok Walczakowej zaniemówił. Skojarzyła mu się ona bowiem z kwoką otoczoną pisklakami.

– Męża nie ma – powiedziała o nic niepytana, jakby wszystkie wizyty u nich w mieszkaniu dotyczyły jedynie Stanisława Walczaka.

Bralewski zdał sobie sprawę, że trochę za długo taksuje wzrokiem Walczakową, w której głowie może w końcu narodzić się myśl, że spodobała się staremu ziemianinowi.

– Ja nie do męża – rzekł szybko i zaraz zdał sobie sprawę z dwuznaczności swoich słów.

Walczakowa uśmiechnęła się, odsłaniając przy tym braki w uzębieniu, spowodowane pewnie skorbutem oraz ciągłym rodzeniem i karmieniem dzieci w czasach, kiedy racje żywnościowe były nader skąpe.

– Dzieci, idźcie do swojego pokoju! – krzyknęła piskliwie. – A pana zapraszam do środka.

Bralewski rad nierad przestąpił próg. Był tak zdeterminowany, by odnaleźć zaginiony epos Adama Mickiewicza, że nie martwił się nawet tym, iż majster Walczak może wcześniej niż zwykle wrócić do domu i zastać swoją połowicę rozmawiającą z lokatorem, którego na siłę dokwaterowała mu władza. Majster zwykle nie pojawiał się przed zmrokiem, ale kiedy już przyszedł, słyszała go cała kamienica. Słynął nie tylko z umiłowania do mocnych trunków, ale i z ciężkiej ręki. Awantur w mieszkaniu Walczaków nie dało się zagłuszyć nawet koncertami Władysława Szpilmana, które nadawało wieczorami Polskie Radio. Młodsza córka pana Franciszka śmiała się często, że fortepianowe koncerty Szpilmana świetnie współgrają z odgłosami karczemnych awantur odbywających się za ścianą. Bralewski komentował to jako zwykły dysonans wynikający z wrzucenia ziemiaństwa i chamstwa do jednego worka. Teraz jednak musiał na chwilę zapomnieć o płynącej

w jego żyłach błękitnej krwi i porozmawiać z Walczakową.

– Nie spodziewałam się, że taki pan kiedyś nas odwiedzi. – Walczakowa zamknęła drzwi, za którymi zniknęła trójka jej dzieciaków, i wciąż trzymając na ręku niemowlaka, zaczęła zrzucać brudne ubrania z krzesła stojącego przy dawno niesprzętym stole. – Proszę, niech pan spocznie.

Bralewski szybko pokręcił głową.

– Nie, dziękuję. Ja tylko na chwilę. Właściwie to szukam *Pana Tadeusza*, czy przypadkiem nie zawieruszył się może u państwa?

Walczakowa prychnęła, wydawszy wargi.

– Drogi panie! Państwa to są na mapie, my ze Staszkiem prości ludzie jesteśmy! A to, żeby mnie posądzać o takie rzeczy, to już jest naprawdę nie do pomyślenia! – zakończyła z oburzeniem.

– Jakie rzeczy? – Bralewski był kompletnie skołowany – Pytałem tylko, czy nie ma u pani mojego *Pana Tadeusza*, którego z Paryża przywiózł mój praprzodek...

– Dość tego! – krzyknęła coraz bardziej podenerwowana Walczakowa. – Ja jestem porządna kobieta i jak nie ma w mieszkaniu mojego chłopca, to żadnych obcych mężczyzn nie przyjmuję! Przybłędów Tadeuszów z Paryża czy Bóg wie skąd jeszcze! Za kogo mnie pan ma?! A teraz proszę mi stąd wyjść, bo wezwę milicję!!!

Bralewski w pierwszym odruchu otworzył usta, chcąc wytłumaczyć sąsiadce, o co mu chodzi, słysząc jednak odgłosy dochodzące z korytarza, szybko zrezygnował. Po chropawym wykonaniu *Międzynarodówki* przez majstra Walczaka zorientował się, że gospodarz mieszkania, w którym on akurat przebywa, zbliża się i jest pod naprawdę dobrą datą. Dlatego tylko z rezygnacją machnął ręką i szybko wycofał się do swojego pokoju.

Znalazłszy się w swojej części lokum, jedynie na chwilę poczuł się bezpieczniej. Bał się, że podjudzony przez żonę Walczak nie da mu spokoju i zamiast na swej małżonce, dzisiejszego wieczoru wyżyje się na nim. Zdał sobie sprawę, że z pokoju, w którym się schronił, nie ma żadnej drogi ucieczki. Odczekał chwilę i gdy upewnił się, że Walczak zniknął za drzwiami swojego mieszkania, szybko wyskoczył z pokoju, przebiegł przez kuchnię i wypadł na korytarz. Miał zamiar jak najprędzej opuścić kamienicę i wtopić się w spacerujący po chodniku tłum. Jednak biegnąc korytarzem, poczuł, jak upomniała się o niego fizjologia. Prędko dopadł

odrapanych drzwi toalety, modląc się w duchu, żeby w środku nikogo nie było, i nacisnął klamkę. Miał szczęście. Była pusta. Zamknął za sobą drzwi na haczyk, błyskawicznie opuścił spodnie i nawet nie sprawdzając, czy deska klozetowa jest czysta, usiadł. W tym samym momencie zrozumiał, że z ładunkiem, jakiego się właśnie pozbywał, nie dobiegłby do ulicy. W poczuciu błogiej ulgi przymknął oczy, zapominając na chwilę o kłopotach dzisiejszego dnia. W tej chwili jego głowę zaprzętała tylko jednak myśl. Czy znajdzie tutaj coś, czym będzie mógł się podetrzeć. Na papier toaletowy nie miał co liczyć. W myślach modlił się o kawałek gazety lub cokolwiek innego, co mógłby teraz wykorzystać.

Paradoksalnie, mimo że Franciszek Bralewski bardziej skłaniał się ku agnostycyzmowi niż wierze, tym razem został przez Boga wysłuchany. Kiedy otworzył oczy i zaczął rozglądać się po ciasnym i śmierdzącym pomieszczeniu, dostrzegł na podłodze pod umywalką coś, czym mógłby się podetrzeć. Zauważył zresztą, że ktoś przed nim musiał to już wykorzystywać w tym właśnie celu. Zamiast ulgi Bralewski poczuł ogromną, na wskroś przenikającą go wściekłość. Z jednej strony powinien się cieszyć, bo w końcu udało mu się odnaleźć zaginiony egzemplarz *Pana Tadeusza*, z drugiej zaś pan Franciszek ubolewał nad tym, że cała pierwsza księga epepei narodowej została wykorzystana w inny sposób przez kogoś z robotniczych mieszkańców kamienicy. Bralewski z namaszczeniem schował za pazuchę wydaną w Paryżu w 1834 roku książkę, nie wycierając tyłka, zapiął spodnie i wściekły wyszedł z toalety. Wyobrażał sobie, że jego pradziadek musi przewracać się w grobie.

Pan Franciszek postanowił, że jego noga więcej nie postanie w tej ohydnej kamienicy, gdzie w tak krótkim czasie doznał tylu upokorzeń. Nie wiedział jeszcze, jak o swojej decyzji poinformuje żonę i córki, które aktualnie były w pracy, postanowił jednak na razie nie zawracać sobie tym głowy. Gdybym chociaż wiedział, gdzie one pracują – przemknęło mu przez myśl. Mamrocząc pod nosem wersy pierwszej księgi *Pana Tadeusza*, szedł ulicami Warszawy, nie zdając sobie sprawy, że mijający go ludzie dziwnie mu się przyglądają, a niektórzy z nich z obrzydzeniem odwracają się za potarganym, siwym panem wydzielającym mało przyjemny zapach. Z pewnością nikt z tych przechodniów nie domyśliłby się w nim przedwojennego posiadacza ziemskiego. Prędzej podejrzewaliby, że jest to ktoś, komu jakimś cudem udało się zbiec z domu wariatów.

30.

Miłość jest niczym wolność, która istnieje tylko teoretycznie. Jest ideą, o którą ludzie bezskutecznie od tysięcy lat walczą, bezlitośnie się zabijając. Miłość żyje jedynie na kartach powieści i czasem zamknięta jest w tomikach wierszy. A wszystko to, co dostajemy w naszym życiu, jest nędzną podróbką...

...dlatego to, w co do tej pory wierzyłem, nie ma już racji bytu – myślał Andrzej, idąc wolno w stronę starej leśniczówki. W lesie panowały zupełne ciemności, jemu jednak w najmniejszym stopniu to nie przeszkadzało. Las znał lepiej niż własne ciało.

Tamtego wieczoru, kiedy przez lornetkę obserwował Baškę idącą do dworku Bralewskich, zrozumiał, że bezpowrotnie utracił ukochaną. Kilka minut później stary komisarz Jan Wolak uświadomił mu, że nie uda im się również odzyskać utraconej ojczyzny, o którą przez tyle lat walczył, najpierw z Niemcami, a teraz z Sowietami...

...wszystko na nic! – Ryś przedarł się przez gęste zarośla i znalazł na polanie, na której stała leśniczówka. Kilka metrów od niej płonęło niewielkie ognisko. Wokół niego zebrał się cały jego oddział, składający się aktualnie z dwudziestu czterech ludzi. Wszyscy w napięciu czekali na dzisiejsze zebranie zwołane przez ich dowódcę, który przed chwilą jak zwykle bezszelestnie wyłonił się spośród drzew.

Podszedł do ogniska. Powoli powiódł wzrokiem po wszystkich zebranych. Ciekawe, ilu się zdecyduje? – zastanowił się, po czym splunął w ogień i mocnym, pewnym głosem zaczął przemawiać do swoich ludzi:

– Żołnierze niepodległej Polski! Każda walka ma swój kres! Zwykle uwieńczony on jest klęską lub zwycięstwem. Nasza walka na razie pozostaje nierozstrzygnięta! – Siedzący wokół ogniska partyzanci w zamyśleniu kiwali głowami na znak, że zgadzają się ze słowami

dowódcy. – Nadszedł jednak czas, by trwającą już dziewiąty rok batalię zakończyć.

Ryś przerwał, aby zobaczyć, jak partyzanci zareagują na jego ostatnie zdanie. Większość w dalszym ciągu siedziała spokojnie, tylko kilku z nich obruszyło się na kwestię dotyczącą zaprzestania walki. Jednym z nich był Bohun, który podniósł się gwałtownie i patrząc w oczy dowódcy, zapytał:

– Czy to znaczy, że nasz oddział zostaje rozwiązany?!

– Tak – odparł Andrzej. – Od chwili obecnej nasz oddział przestaje istnieć. Broń należy zdać, każdy otrzyma pieniądze na początek nowego życia. Podam wam kontakt do mieszkającego w Warszawie fałszerza, u którego będziecie mogli wyrobić sobie dokumenty na nowe nazwisko i wyjechać. Najlepiej na Ziemię Odzyskane, tam teraz pełno nowych przybyszów z różnych stron Polski, tak więc nikt nie powinien na was zwrócić uwagi.

Zrezygowany Bohun usiadł na ziemi. Wciąż jeszcze nie wierzył w to, co przed chwilą usłyszał. Teraz z kolei głos zabrał wysoki, żylasty mężczyzna, który sływał wśród partyzantów z ogromnej siły fizycznej. W jego głosie dawało się wyczuć wzburzenie.

– Po tylu latach walki, ukrywania się w lesie mamy zostawić to wszystko i wejść wśród ludzi, by tam zacząć nowe życie?! Przecież to niemożliwe! My umiemy tylko walczyć!

Ryś milczał. Czekał, kto jeszcze zabierze głos, aby wyrazić swoje niezadowolenie.

– Zgadzam się z Żyłką – odezwał się chłopak, którego twarzy nie dało się ujrzeć, gdyż przysłaniała ją gęsta ciemna broda i opadające na czoło włosy. Widać było jedynie brązowe ruchliwe oczy. Swojemu wyglądowi zawdzięczał pseudonim „Kudłaty”. – Ja najchętniej bym się stąd nie ruszał. Nie wyobrażam sobie życia bez walki.

– A ja – zaczął jedyny w grupie partyzant, który umiał chłopakom wieczory przy ognisku grać na harmonijce ustnej – oprócz grania na organkach i moim zdobycznym szmajserze nie potrafię nic innego.

Ognisko powoli się dopalało, nikt jednak nie poruszył się i nie dorzucił do niego drewna. Ryś czekał. Tak jak się spodziewał, odezwali się ci, na których zawsze mógł liczyć. Ci, którzy stanowili trzon jego oddziału i podczas walki nigdy nie było po nich widać strachu. Powoli w myślach zaczął odliczać od dziesięciu wstecz. Miał nadzieję, że się nie myli. Głos

powinien zabrać jeszcze jeden z członków partyzanckiej grupy. Był już przy „dwóch”, kiedy ciszę przerwał basowy głos najstarszego z oddziału, nazywanego Ojcem.

– Wszystkie te słowa nabrzmiały oburzeniem powinienem wypowiedzieć ja, a nie wy. Tymczasem, jak widzicie, do tej pory z pokorą milczałem, cierpliwie wysłuchując tego, co każdy z was ma do powiedzenia. Teraz jednak pragnę wam oznajmić, że czy mi się to podoba, czy nie, to przyjmuję rozkaz dowódcy, mimo że mnie w wieku pięćdziesięciu lat będzie o wiele trudniej niż wam młodym rozpocząć nowe życie. – Wolak zamilkł na chwilę. – Ale szczerze mówiąc, mam już dość tej leśnej tułaczki i spróbuję wrócić do życia w mieście. Jeszcze nie wiem którym, ale z pewnością nie w mojej ukochanej Warszawie, gdzie moja twarz znana jest większości ubeckich szpicli.

Ryś smutno pokiwał głową. Wszyscy zgromadzeni na polanie mężczyźni w milczeniu wpatrywali się w dogasające ognisko.

– Nie sądzę, żeby los pozwolił nam jeszcze kiedyś spotkać się razem w takim gronie – zaczął lekko drżącym głosem Andrzej – dlatego chciałbym teraz wam wszystkim podziękować za ten wspólnie spędzony czas, który połączył nas w braterstwie krwi, ale był także najprawdziwszą i często bolesną lekcją patriotyzmu. Gdziekolwiek się znajdziecie, pamiętajcie, że „jeszcze Polska nie zginęła, póki my żyjemy!”

Po tych słowach Andrzej podszedł do każdego ze swoich podkomendnych, by jeszcze raz podziękować i się pożegnać.

– Broń proszę zdać u mnie za godzinę w leśniczówce – powiedział, kiedy już wszystkich wyściskał i życzył powodzenia w nowym, cywilnym życiu. – A teraz odmaszerować!

Partyzanci wśród cichego gwaru rozmów zaczęli rozchodzić się po polanie, zbierali się w małe grupki i żywo dyskutowali o tym, gdzie się udadzą i jak wyobrażają sobie życie w cywilu. Dla zdecydowanej większości z nich słowa dowódcy o rozwiązaniu oddziału były wybawieniem, gdyż od dłuższego czasu partyzanckie życie ich uwierało, ale nie chcieli łamać przysięgi i samowolnie wracać do cywila.

Przy ognisku zostało tylko pięciu mężczyzn. Ryś, Bohun, Żyłka, Szopen i Kudłaty.

– A ty co zamierzasz? – spytał Bohun, patrząc na dowódcę.

Andrzej zwlekał z odpowiedzią. Wciąż jeszcze się wahał. Nie był

pewien, czy decyzja, którą podjął kilka dni temu, obserwując swoją narzeczoną, jest słuszna. Może też powinien wyrobić sobie nowe dokumenty i wyjechać na Ziemię Odzyskane? Różne myśli chodziły mu po głowie.

– A ja wiedziałem, że tak się stanie – odezwał się z wyrzutem w głosie Kudłaty.

– Niby jak? – spytał Żyłka bez większego entuzjazmu.

– A tak, że dowódca nas zostawi dla tej Basi, co to za nią lata, jakby mu kto pieprzu pod ogon nasypał!

Andrzej spiorunował Kudłatego wzrokiem. Ten jednak uśmiechając się kącikiem ust, bezczelnie patrzył mu w oczy.

– Gównu wiecie! – rzekł w końcu Ryś. – Pamiętacie, co wam zawsze powtarzałem?

– To, że w życiu liczy się tylko męska przyjaźń? – spytał ironicznie Bohun.

Ryś przytaknął. Patrzący na niego Szopen się roześmiał.

– Chcesz nam teraz powiedzieć, że kłamałeś?

Ryś wolno pokręcił głową.

– Nie, chcę wam to teraz udowodnić.

Ton jego głosu brzmiał tak, że siedzących przy dopalającym się ognisku mężczyzn przeszedł dreszcz.

– Czy jesteście gotowi dalej służyć pod moimi rozkazami?

Czterej mężczyźni wstali.

– Aż do śmierci! – powiedzieli jednym głosem.

Ryś odetchnął. Teraz już był zupełnie przekonany o słuszności swojej decyzji.

– Dobrze. Pamiętajcie, że od tej chwili nie będziecie podlegali nikomu oprócz mnie i wszystkie nasze działania muszą przebiegać w zupełnej tajemnicy. Nikt nie może o niczym wiedzieć. – Przy ostatnich słowach znacząco spojrzął w stronę pozostałych mężczyzn, którzy jeszcze przed chwilą należeli do jego oddziału.

– To znaczy, że od teraz nie wykonujemy rozkazów naczelnego dowództwa? – spytał Żyłka.

– Zgadza się – potwierdził Andrzej.

– Ale w dalszym ciągu będziemy walczyć z czerwonymi? – zaniepokoił się Bohun, nieświadomie podnosząc dłoń do policzka, by podrapać się po dawno już zagojonej bliźnie. Andrzej zauważył, że jego podkomendny robi tak zawsze, ilekroć się denerwuje.

– Tak, będziemy z nimi walczyć – Ryś popatrzył gdzieś w dal, jakby szukał tam odpowiednich słów. Tyle że teraz nasza walka nie będzie miała żadnych ograniczeń. Będziemy bezlitośni, komuniści muszą poczuć, czym jest prawdziwy strach!

– Kiedy zaczynamy? – spytał Żyłka, który z trudem ukrywał entuzjazm.

– Jutro wyjeżdżamy do stolicy – zakomenderował Ryś. – Tam czeka nas pierwsza akcja

31.

Późnym popołudniem pani Bralewska wraz ze starszą córką wróciły do mieszkania. Kiedy się tam znalazły, zdziwiły się z dwóch powodów. Po pierwsze, nie zastały głowy rodziny, czyli pana Franciszka, który od przymusowej przeprowadzki do stolicy nie zwykł zapuszczać się dalej niż do mieszczącej się na korytarzu toalety. Po drugie, w mieszkaniu zastały Hankę, która leżała na wersalce i czytała powieść Tadeusza Dołęgi-Mostowicza *Bracia Dalcz i S-ka*. Dziewczyna tylko na chwilę podniosła wzrok znad książki i mruknęła coś niewyraźnie do wchodzących kobiet, po czym znowu zagłębiła się w lekturze.

– Gdzie tata? – spytała Natalka.

Hanka wzruszyła tylko ramionami, dając siostrze do zrozumienia, że niewiele ją interesuje, gdzie przebywa ojciec.

Natalka zatrzęsła się z bezsilnej złości. Jadwiga szybko do niej podeszła i kładąc rękę na jej ramieniu spokojnym tonem spytała młodszą córkę:

– Dawno wróciłaś do domu?

Hanka parsknęła śmiechem. Odłożyła książkę i popatrzyła matce w oczy.

– Tę norę nazywasz domem?! Jeśli tak, to my jesteśmy szczurami. – Dziewczyna zamilkła, obserwując, jaką reakcję u obu kobiet wywołają jej słowa.

Matka wciąż stała spokojnie, z jej twarzy można było wyczytać, że pogodziła się już ze swoim losem i nie ma zamiaru walczyć. Jedynym celem było teraz przetrwanie nawet w tak obskurnych warunkach, jakie oferowała im władza ludowa.

Natomiast Natalka kipiała ze złości na młodszą siostrę. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego matka tak jej pobłaża. Dlaczego Hanka nie musi

pracować, podczas gdy one harują od rana do wieczora w fabryce naczyń emaliowanych wśród smrodu farb i hałasów maszyn?! Ta cholerna gówniara miała jedynie siedzieć w domu i pilnować ojca, który ostatnimi czasy nieco zdziwaczał! Tymczasem, o nic się nie martwiąc, Hanka znikła na całe dnie, pozostawiając ojca bez nadzoru. Dziś miarka się przebrała.

– Mów, gówniario, o której wróciłaś i czy ojca już wtedy nie było! – wykrzyknęła Natałka, pochylając się nad młodszą siostrą.

– Uspokójcie się, córeczki. – Jadwiga próbowała rozładować napiętą atmosferę.

– Wróciłam po piętnastej, ale ojca już tutaj nie zastałam – powiedziała obojętnie Hanka i zaraz sięgnęła po leżącą na łóżku powieść Mostowicza.

– Idę go szukać! – krzyknęła Natałka, wybiegając z pokoju.

– Zaczekaj! – zawołała za nią Jadwiga, ale w odpowiedzi usłyszała tylko stukot butów córki dobiegający z klatki schodowej. Zmęczona kobieta przeniosła wzrok na młodszą córkę. – A ty nie idziesz go szukać?

Hanka opuściła książkę. Popatrzyła na matkę.

– Nie idę i dobrze wiesz dlaczego! – odparła lodowato.

Bralewska odwróciła się od niej. W oczach miała łzy. Domyślała się, o co córce chodzi. Nie był to jednak dobry czas, żeby z nią o tym rozmawiać. Zresztą powinna zrobić to dużo wcześniej.

– Pójdę do Walczaków – rzekła, kierując się w stronę drzwi. – Może oni coś wiedzą.

32.

Od chwili kiedy w gazecie przeczytał o tym, że organom ścigania udało się schwytać seryjnego mordercę kobiet, wszystko zaczęło wymykać mu się spod kontroli. Dziennikarze odgrzebali historie morderstw sprzed wojny, kiedy to w Warszawie odkryto ciała kilku kobiet, na których plecach morderca zostawiał krwawe serce. Wszystkie wzmianki prasowe były utrzymane w jednym tonie. Komuniści chcieli za wszelką cenę pokazać, że funkcjonariusze UB i Milicji Obywatelskiej są dużo skuteczniejsi niż przedwojenne służby mające chronić Polaków przed wszelkiego rodzaju dewiantami.

...nic nie zwróci życia ofiarom seryjnego zabójcy, jednak pozostałe mieszkanki stolicy mogą spać spokojnie, nie martwiąc się, że zagraża im niebezpieczeństwo. Warto tutaj przypomnieć, że przed wybuchem wojny tropieniem schwytanego przez MO mordercy zajmował się jeden z najwybitniejszych warszawskich wywiadowców Jan W. Na pytanie, dlaczego sanacyjnemu komisarzowi nie udało się schwytać zabójcy kobiet, czytelnicy muszą odpowiedzieć sobie sami. Jedno natomiast jest pewne: wszelkiej maści zwyrodnialcy zagrażający innym obywatelom żyjącym w Polsce Ludowej, nie mogą czuć się tak pewnie i swobodnie, jak to miało miejsce w II RP.

Jutro w Sądzie Rejonowym miasta W-wy o godzinie 13 ma się rozpocząć ostatnia rozprawa, podczas której sędziowie wydadzą wyrok na oskarżonego o bestialskie morderstwa kobiet – Nikodema M.

S. Staroń

Mężczyzna zmiął gazetę i cisnął ją w głąb spowitego mrokiem wieczoru podwórza kamienicy. Dzisiaj nie mógł sobie pozwolić, żeby emocje wzięły górę nad zimnym, spokojnym działaniem. Naciągnął głębiej na czoło

daszek kaszkietu i stojąc w bramie kamienicy, cierpliwie czekał. Nerwowo przełykał ślinę za każdym razem, gdy ze znajdującej się naprzeciwko kamienicy ktoś wychodził. Postanowił, że dzisiaj poczeka dłużej niż zwykle, liczył, że szczęście w końcu się do niego uśmiechnie.

Po półgodzinie jego cierpliwość została nagrodzona. Z bramy po drugiej stronie ulicy szybko wybiegła młoda kobieta. Na chwilę przystanąła na chodniku, jakby nie była zdecydowana, w którą stronę ma iść. W końcu energicznie ruszyła w lewo. Mężczyzna opuścił swoją kryjówkę i podążył za nią. Szła naprawdę szybko, rozglądając się na boki. Jej wzrok kilka razy prześliznął się po idącym przeciwną stroną chodnika mężczyźnie w nasuniętym głęboko na czoło kaszkiecie. Nie wykazała nim jednak żadnego zainteresowania.

Po kilkunastu minutach forsownego marszu mężczyzna odetchnął z ulgą. Już był pewien, że to nastąpi dzisiaj. Śledzona przez niego kobieta zbliżała się właśnie do parku i wcale nie zamierzała go ominąć. Pomimo ciemności śmiało zagłębiła się pomiędzy prawie nieoświetlone alejki. Co jakiś czas zwalniała, przypatrując się siedzącym na ławkach osobnikom, których lepiej było unikać. Najwidoczniej nie zdawała sobie sprawy z zagrożenia, jakie dla kobiety niesło samotne przebywanie po zmroku w pełnym różnego elementu parku. Co ona wyczynia? – zastanawiał się mężczyzna w kaszkiecie, który teraz nieco zmniejszył dzielącą go od dziewczyny odległość. Nagle zobaczył grupę wyrostków, do których szybkim krokiem zbliżała się śledzona kobieta. Zaklął w myślach, wiedząc już, co za chwilę nastąpi. Przez myśl przemknęło mu nawet, żeby podbiec do dziewczyny, złapać za ramię i zmusić, by skręciła w którąś z bocznych alejek. Byle dalej od wulgarnie zachowujących się chuliganów. Wszyscy rozsądni obywatele unikali po zmroku takich miejsc jak to, zdając sobie sprawę z grożącego im tu niebezpieczeństwa. Ciemna strona miasta właśnie podnosiła swoje ponure, groźne oblicze. Mężczyzna przyspieszył. Chciał być jak najbliżej kobiety w momencie, kiedy dojdzie ona do stojącej pośrodku alejki grupy wyrostków. Wyciągnął z kieszeni nóż, który trzymał teraz ukryty w rękawie marynarki. Jego uszu dobiegały już pojedyncze słowa stojących przed nim mężczyzn.

– Hej, laleczko! Nie strach tak po nocy samej chodzić?

Dziewczyna zatrzymała się przed pięcioma niewiele starszymi od niej chłopakami. To dziwne, ale aż do tej pory w ogóle się nie bała. Dopiero teraz, kiedy popatrzyła na tę piątkę tarasujących jej drogę podpitych

chuliganów, zrozumiała, że wchodząc do parku, popełniła błąd. Było jednak za późno.

– Szukam kogoś – powiedziała drżącym głosem.

– Może mnie? – spytał jeden z zawałidrogów.

Dziewczyna spojrzała na niego. Miał nie więcej niż dziewiętnaście lat, a na sobie za duże ubranie, które wisiało na nim niczym na strachu na wróble. Rude przetłuszczone włosy opadały mu na czoło, tak że chłopak musiał co chwilę potrząsać głową, żeby odrzucić je z oczu. Całą jego twarz znaczyły czerwone, rozognione krosty, przypominające małe wulkany rozmieszczone na jakiejś dziwnej chropowatej planecie. Przyjrzała się pozostałym. Żaden z nich nie wyglądał na kogoś, komu można by zaufać. Nagle przestała się ich bać. Strach w jej sercu zastąpiło współczucie. Zrobiło jej się żal tych chłopaków, których dzieciństwo zabrała wojna. Apokalipsa, która połknęła ich, gdy byli kilkuletnimi dziećmi, a wypluła jako nieprzygotowanych do normalnego życia nastolatków, przez kilka lat obcujących jedynie ze strachem, śmiercią i przemocą.

– Nie boję się was – powiedziała dziewczyna i tym razem w jej głosie nie dało wyczuć się drżenia.

Pryszczaty rudzielec roześmiał się głośno.

– Słyszeliście? Księżniczka się nas nie boi!

Pozostała czwórka również się roześmiała. Jeden z nich podszedł do dziewczyny. Brudną ręką zaczął gładzić ją po włosach.

– To dobrze, że się nas nie boisz – wyszeptał, nachylając się tak blisko, że dziewczyna czuła, jak pojedyncze kropelki śliny lądują na jej policzku.

– Uwierz, ślicznotko, że nie chcemy cię skrzywdzić.

– O tak! – podchwycił ochoczo rudzielec. – Nie zrobimy ci krzywdy, my – zawiesił na chwilę głos, puszczając oko do kolegów – sprawimy ci przyjemność!

Grupa wyrostków ponownie wybuchnęła śmiechem. Cała piątka otoczyła teraz dziewczynę, krążąc wokół niej i powoli coraz bardziej zaciskając pierścień. Czuła, że powoli zaczyna brakować jej powietrza. Ich oddechy przesycone były wonią alkoholu i zepsutego, gnijącego mięsa. Czuła, że za moment zemdleje. Nie stało się tak jednak.

Stojący do tej pory nieco z boku i przyglądający się wszystkiemu mężczyzna w kaszkiecie postanowił działać. Uznał, że najwyższy czas, by

uratować dziewczynę przed grożącym jej niebezpieczeństwem.

– Przepraszam – powiedział głośno, stając tuż obok otaczających ofiarę wyrostków – czy przed chwilą któryś z was mówił coś o przyjemności, jakiej ma zaznać ta dziewczyna?

Chuligani patrzyli ze zdziwieniem na tajemniczą postać w kaszkiecie. Nie rozumieli, czego ten gość może od nich chcieć. Nikt będący przy zdrowych zmysłach nie stawałby sam przeciwko pięciu gotowym na wszystko i podpitym chuliganom.

– Koleś, mów do nas po ludzku, bo za cholere nie można się połapać, o co ci chodzi! – odezwał się jeden z wyrostków.

– A najlepiej to szanuj zdrowie i spieprzaj stąd, bo pomyślimy, że jesteś jakimś podglądaczem, co to lubi patrzeć, jak inni zabawiają się z dziewczyną!

Tajemniczy właściciel kaszkietu nie przestraszył się i nie miał zamiaru nigdzie odchodzić.

– Wszystko rozumiem, tylko wcale nie jestem pewien, że ta pani ma ochotę na wasze towarzystwo.

– To moja siostra – odezwał się jeden z wyrostków, sepleniąc mocno. Przyglądający mu się mężczyzna zauważył, że chłopak nie ma górnej jedyńki. – Sama mnie prosiła, żebym poznał ją z moimi kolegami.

Mężczyzna pokiwał wolno głową. Już wcześniej, przyglądając się z oddali całej grupie, zastanawiał się, jak to wszystko rozegrać. Zdecydował, że zrobi to starym, niejednokrotnie wypróbowanym sposobem. Najważniejsze w takich sytuacjach, kiedy przeciwnik ma liczebną przewagę, jest bezbłędne wytypowanie osobnika cieszącego się w grupie największym autorytetem. Należało znaleźć takiego swoistego przewodnika stada. Nie było to wcale łatwe, gdyż przywódcą grupy nie zawsze był ktoś wyglądający na najsilniejszego i największego. Prawdę mówiąc, takie osiłki rzadko bywały kimś innym niż tylko chłopcami zdolnymi do mordobicia. Innych zdolności im brakowało, a myślenie nie było ich mocną stroną. Wśród piątki, którą teraz poddawał analizie, na uwagę zasługiwał rudzielec. Chłopak po prostu od zawsze miał ciężej niż jego rówieśnicy. Po pierwsze dlatego, że rzadko kto chciałby mieć rudowłosego kolegę, po drugie jego pokryta krostami twarz również nie przysparzała mu przyjaciół, a do tego dochodził jeszcze niewielki wzrost i mikra postura. To właśnie z powodu tych trzech czynników rudzielec

wydawał się najważniejszy w całej tej grupie. Pewnie przez całe życie musiał udowadniać innym, że mimo swego wyglądu zasługuje na przyjaźń i szacunek. A jak ktoś taki mógł zdobyć szacunek bandy chuliganów? Nic prostszego, wystarczyło, że w każdym napadzie wyróżniał się okrucieństwem. Sprawiał, że koledzy uważali go za kogoś nieobliczalnego, kto za nic ma życie innych i swoje. Taki ktoś wzbudza strach nawet u większych i silniejszych w bandzie. Dlatego kogoś takiego należy unieszkodliwić pierwszego. Kiedy bowiem odetnie się chuliganów od mózgu, nie wiedzą, co dalej robić, i stają się nieszkodliwi. Do tej roli rudzielec pasował idealnie. Dlatego został wytypowany przez mężczyznę w kaszkiecie.

– Jak chcecie – pojednawczo rzekł przybysz. – Wolałbym jednak usłyszeć to od niej... Jeżeli potwierdzi waszą wersję, to pójdę swoją drogą, nie wtrącając się w wasze sprawy.

– A jeżeli nie, to co?! – spytał zaczepnie rudzielec.

– To to! – odpowiedział mężczyzna, wyjmując z rękawa marynarki jakiś długi ostry przedmiot, który wbił prosto w oko rudowłosego chłopaka.

Bandzior zawył z bólu i trzymając się za krwawiący oczodół, upadł na kolana. Jego towarzysze patrzyli na niego z przerażeniem. Zupełnie zapomnieli o stojącej przy nich dziewczynie, która jeszcze nie do końca rozumiała, co się przed chwilą wydarzyło.

Mężczyzna w kaszkiecie nie tracił czasu. Zdawał sobie sprawę, że za chwilę minie zaskoczenie spowodowane niespodziewanym i brutalnym atakiem, dlatego podbiegł do kolejnego z wyrostków. Tym razem wybrał największego. Chłopak, widząc zbliżającego się oprawcę z zakrwawionym narzędziem w ręku, odruchowo zasłonił oczy, jakby tam spodziewał się ataku. Ten jednak nastąpił w zgoła innym miejscu. Silny kopniak w krocze powalił na ziemię kolejnego z chuliganów. Zostało już tylko trzech. W dalszym ciągu należało działać zdecydowanie, nie tracąc cennych sekund na zbyt długie zastanawianie się nad taktyką czy gadanie mające zastraszyć przeciwnika.

Dziewczyna patrzyła z przerażeniem, ale i z ulgą, jak jej tajemniczy wybawca doskakuje do kolejnego z opryszków, który zaczął niezdarnie się cofać, z przerażeniem mamrocząc pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa. Pechowiec nie zauważył leżącego za nim kosza na śmieci, który notabene kilkanaście minut wcześniej wraz kolegami przewrócił, i potknął się teraz

o niego, upadając na plecy.

– Nie! Nie! – krzyczał z przerażeniem do pochylającego się nad nim mężczyzny, który szybkim ruchem wbił mu w oko trzymany w ręku szpikulec.

Noc ponownie wypełnił krzyk bólu i przerażenia. Chwilę później w parku dał się słyszeć jeszcze jeden odgłos. Stukot butów, których podbite gwoździami podeszwy szybko uderzały o brukowane alejki. Trzech bandziorów leżało na ziemi, a ich dwaj koledzy bez skrupułów salwowali się ucieczką.

Dziewczyna zasłoniła usta. Odwróciła wzrok od dwóch krwawiących chuliganów. Wiedziała, że dostali to, na co zasłużyli, a jednak było jej ich trochę żal. Nie potrafiła zrozumieć swoich uczuć.

– Nic ci nie zrobili? – cichym, przyjemnym głosem spytał jej tajemniczy wybawca.

– Nie – odrzekła niepewnie – ale teraz martwię się o nich.

Mężczyzna uśmiechnął się ciepło.

– Zupełnie niepotrzebnie. Nic im nie będzie, a dzisiejszą naukę zapamiętają do końca życia.

Podszedł do niej wolnym krokiem. Zatrzymał się obok, chwilę przyglądał jej twarzy, jakby się nad czymś zastanawiał, jednak będąca pod wrażeniem wypadków sprzed chwili dziewczyna nie zwróciła na to uwagi.

– A teraz – rzekł, biorąc ją delikatnie pod ramię – pozwól, że odprowadzę cię do domu. Jak się przed chwilą przekonałaś, noc nie jest najlepszą porą do samotnych wędrówek.

– Ale ja nie mogę – zaproponowała dziewczyna. – Szukam kogoś i nie mogę bez tej osoby wrócić do domu.

Tajemniczy mężczyzna na chwilę zdjął kaszkiet. Podrapał się po głowie, na powrót włożył czapkę, po czym westchnął z rezygnacją i rzekł:

– W takim razie pozwól chociaż, żebym ci w tych poszukiwaniach towarzyszył. Tak będzie dla ciebie bezpieczniej.

Dziewczyna uśmiechnęła się promiennie.

– Jeżeli to dla pana nie problem, będę bardzo wdzięczna.

Nieznajomy odwzajemnił uśmiech.

– Ruszajmy więc na poszukiwania! – powiedział i poprowadził

dziewczyne w głąb parku.

33.

Edward Jastrzębski zdecydował, że nie będzie brał kierowcy i sam poprowadzi auto do Warszawy. Miał ku temu dwa powody. Pierwszym z nich był samochód, którym mieli odbyć podróż. Nie był nim niewygodny jeep pozostawiony po wojnie przez wojska alianckie, ale komfortowy przedwojenny sedan chevrolet master. Cacko, które żołnierze odnaleźli w stodole, przykryte słomą. Według znalezionych przy nim dokumentów samochód pochodził z 1937 roku. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie używano go od wczesnych lat czterdziestych. Nie wiadomo, czy Niemcy naprawdę go przeoczyli, czy też Franciszek Bralewski sowicie zapłacił komu trzeba, by ten pojazd nie znalazł. Wojskowy mechanik nie miał zbyt wiele roboty przy tym produkowanym z zachodnich części samochodzie. Po przeczyszczeniu świec auto zapaliło od razu. Miarowa praca sześciocylindrowego silnika o mocy osiemdziesięciu pięciu koni mechanicznych była muzyką dla stojących wokół mężczyzn, którzy z zaafierowaniem przyglądali się luksusowej maszynie. Aby pojazd był gotowy do drogi, należało jeszcze tylko podpompować opony i dla lepszego efektu umyć zakurzoną karoserię. Chętnych do tego ostatniego zadania było wielu. Każdy z żołnierzy marzył o tym, by jak najdłużej przebywać w pobliżu tego cuda przedwojennej motoryzacji. Chłopcy mieli już dość widoku topornych wojskowych gazików i pokrytych plandeką ciężarówek. Teraz pragnęli nasycić oczy widokiem czegoś dużo ładniejszego. I tym czymś był właśnie chevrolet master.

Drugim powodem rezygnacji Jastrzębskiego z kierowcy był jeden z pasażerów, którego należało jak najszybciej dostarczyć do warszawskiej siedziby Urzędu Bezpieczeństwa. Człowiek ten był żywą legendą i bardzo intrygował młodego oficera UB, dlatego ten chciał jak najwięcej się o nim dowiedzieć. A taką możliwość dawała podróż do stolicy, podczas której Jastrzęb mógł swobodnie przysłuchiwać się rozmowie dwóch

doświadczonych oficerów śledczych – Jana Wolaka i Zygmunta Wieczorka.

W ten oto sposób Edward Jastrzębski jedną przemyślaną decyzją zapewnił sobie dwie przyjemności, a może raczej wypadałoby powiedzieć korzyści. Pierwszą z nich było prowadzenie samochodu, na jaki przed wojną stać było ziemiaństwo pokroju rodziny Bralewskich, a drugą pełna inwigilacja dwóch mężczyzn, którym Jastrząb zupełnie nie ufał.

Wczoraj wieczorem inwalida powiedział Jastrzębskiemu, że ma dla niego ważną informację. Minę miał przy tym trochę nietęgą. Zdawał sobie sprawę, że wraz z odnalezieniem Wolaka on sam zejdzie na dalszy plan. Z drugiej strony jednak niezmiernie cieszył się z tego, że udało mu się odnaleźć przedwojennego przyjaciela.

– Odnalazłem Janka – zakomunikował zwięźle, siedząc na wózku i jak zwykle puszczając dym z gabinetowych, których nie żałował sobie ze względu na to, że dostarczała mu ich władza.

– Jak? Gdzie? – spytał Jastrząb, do którego w pełni jeszcze nie dotarło, co przed chwilą usłyszał.

Wiewiór zaciągnął się głęboko i zaczął mówić:

– Koniuszy przekazał mi rano wiadomość, że jakiś mężczyzna chce się ze mną koniecznie spotkać. Początkowo myślałem, że może to być ktoś mający jakieś interesujące nas informacje. Tak czy owak, postanowiłem stawić się we wskazanym miejscu.

– Sam poszedłeś?

Wieczorek zdusił niedopałek w przepelnionej popielniczce. W całym jego pokoju panował straszny zaduch. Smród dymu tytoniowego mieszał się tutaj z kurzem i zapachem niemytego ciała potraktowanego za to zbyt dużą ilością wody kolońskiej. Młodemu oficerowi zrobiło się niedobrze. Podszedł do okna i otworzył je szeroko. Skąd w tym kalece taka niechęć do higieny? – zastanawiał się.

– Poszedłeś? – zdziwił się Wiewiór, wymownie spoglądając na przykryte kraciastym kocem kikuty. – Chyba o czymś zapominasz.

W pokoju na moment zapadła niezręczna cisza. Jastrząb stał w oknie, delektując się świeżym powietrzem. Miał dość tego cholernego kaleki. Z Warszawy przesłano mu akta Wieczorka, z których dowiedział się, że przed wojną razem z Wolakiem tworzyli duet najlepszych śledczych w II RP. Ale do kurwy nędzy, to było przed wojną! Teraz ten poruszający się

na wózku śmierdziel nie znaczy już tyle, co kiedyś – myślał gorączkowo. Zaraz jednak naszła go refleksja, że za kilka, kilkanaście lat jakiś młody, zdolny funkcjonariusz MO może to samo pomyśleć o nim.

– Przepraszam za przejęzyczenie – rzekł, odwracając się od okna w stronę inwalidy i smrodu panującego w jego norze. – Nie chciałem cię urazić.

Wiewiór machnął lekceważąco ręką.

– Nieważne. Na spotkanie zawiózł mnie koniuszy, z którym w ostatnich dniach połączyła mnie swoista więź.

– I miłość do koniaku, którego zapasy znajdujące się w tutejszych piwnicach zdecydowanie stopniały. – Jastrzębski nie umiał się powstrzymać przed wypowiedzeniem tej uwagi.

– Cóż, zdobywanie informacji kosztuje, a wspomniany koniak nie należał do żadnego z nas. Jego właściciel siłą został wydalony z tej posiadłości i wyprowadzając się stąd, nie zdążył opróżnić swoich piwniczek. Dlatego twoje pretensje uważam za bezpodstawne. Ja ci nie wypominam, że każdego wieczoru odwiedza cię w twoim pokoju pewna czarnowłosa piękność, której brat został aresztowany i oskarżony o przynależność do leśnej bandy niejakiego Rysia.

Edward pojednawczo się uśmiechnął. Musiał przyznać, że w słownych potyczkach z Wiewiorem nie miał żadnych szans. Nóg mu brakowało, ale intelektem przerastał niejednego zdrowego mężczyznę. Młody oficer UB uważał, że właśnie takich ludzi brakuje w PRL-owskich organach ścigania. Za dużo jest oderwanych od pług kmiotów, którym wydaje się, że wszelkie zeznania można od podejrzanych wyciągnąć wyłącznie przemocą. Za dużo się bije, a za mało myśli. Jastrzębski nie był głupi, żeby z kimkolwiek dzielić się swoimi przemyśleniami. Zdawał sobie sprawę, jakie mogłyby być tego konsekwencje.

– Zostawmy na razie pannę Barbarę Brodzką i wróćmy do komisarza Wolaka.

– Byłego komisarza – zaznaczył Wieczorek – który przekazał mi pewną cenną informację. Otóż Janek twierdzi, że poszukiwany przez ciebie partyzancki dowódca Ryś rozwiązał swój oddział i opuścił te tereny.

Jastrzębski zaklął głośno. Wiadomość ta go zaskoczyła. Widać było, że nie jest mu ona na rękę.

– Niedobrze! Jeżeli to prawda, będziemy mieli nie lada kłopot!

– Kłopot? – zdziwił się Wieczorek. – Myślałem, że chodzi tylko o to, żeby grasujące tu oddziały przestały wreszcie nękać pobliskie posterunki oraz pojedynczych funkcjonariuszy. A teraz, skoro grupa sama się rozwiązała, tak właśnie będzie.

– Jesteś zbyt naiwny i... – Jastrzębski przez chwilę się zastanawiał, jak ubrać w słowa to, co chciał przekazać – ...praworządny. Z ciebie Zygmunt jest taki uczciwy gracz przestrzegający reguł. To było dobre, ale w tamtych, przedwojennych czasach. Teraz, żeby wygrać, należy postępować inaczej. Moim zadaniem jest fizyczne wyeliminowanie Rysia i wszystkich podlegających mu ludzi. I to zadanie nadal muszę wykonać, bez względu na to, czy jego oddział istnieje, czy został rozwiązany. Jeżeli stało się tak, jak twierdzi Wolak, to będzie mi o wiele trudniej wyłapać ich wszystkich. Kiedy działali w grupie, stanowili łatwiejszy cel.

Wiewiór zamilkł. Kiedy się odezwał, w jego głosie dawało się wyczuć pewne wahanie.

– Czyli twoim zadaniem jest zabicie każdego partyzanta z oddziału Rysia?

– Każdego bandyty z grupy Rysia – poprawił go oficer UB.

Inwalida zignorował uwagę swego rozmówcy. Uważał, że wszystko jest jedynie kwestią nazewnictwa i zależy od punktu widzenia.

– Tak więc Janka też musisz zabić?

Jastrzęb był zły na siebie za to, że po raz kolejny dał się zapędzić w kozi róg.

– Nie! – zaprzeczył gwałtownie. – Jeżeli chodzi o twojego przyjaciela, to dostałem rozkaz, że jemu nie może włos spaść z głowy! Wolak jest zbyt ważny dla ludzi znajdujących się w tym kraju na samym szczycie władzy! Oni... – Urwał, w porę się opamiętawszy.

– ...potrzebują jego pomocy – dokończył za niego Wiewiór.

– Czy... przedstawiłeś Wolakowi, jaką propozycję partia ma dla niego? Wieczorek skinął głową.

W pokoju ponownie zapadło milczenie. Jastrzębski bał się odpowiedzi, jaką mógł usłyszeć na kolejne pytanie, ale musiał je zadać.

– Zgodził się?

Inwalida ponownie skinął głową.

Jastrząb głośno wypuścił powietrze. Czuł, jak uchodzi z niego napięcie. Jan Wolak się odnalazł. Jedna część zadania została wykonana.

– Gdzie jest teraz?

– Tego nie mogę powiedzieć – rzekł stanowczo Wieczorek. – Mam mu przekazać informację, kiedy i jak wyruszymy do stolicy.

Jastrzębski się zastanowił. Najchętniej wyjechałby od razu. Był to jednak zły pomysł, gdyż zrobiło się już ciemno, a podróż w takich warunkach nie należała do najbezpieczniejszych. Być może oddział Rysia przestał istnieć, ale było jeszcze wiele innych band, dla których jadący nocą samochód był aż nadto łakomym kąskiem.

– Przekaż mu, że wyruszymy jutro po śniadaniu. Niech pojawi się u nas o ósmej. Pojedziemy we trzech.

Wiewiór ze zdziwieniem uniósł brew.

– Nie weźmiemy nikogo do obstawy?

– Najwyżej tego twojego żołnierza, który zawsze ci pomaga. Przekaż komisarzowi, że limuzyna wraz z kierowcą będzie czekała od samego rana!

– Limuzyna?

Jastrzębski się uśmiechnął.

– Chyba nie zaprzeczysz, że najlepszy przedwojenny duet śledczych zasługuje na coś lepszego niż poobijany przez aliantów willys? Pojedziemy chevroletem Bralewskiego! No co, nie cieszysz się?

Wieczorek wzruszył ramionami.

– Dla mnie to żadna atrakcja. Ja przywykłem do swojego chevroleta – powiedział, wyciągając z pudełka ostatniego papierosa.

Chevrolet master miał na tyle duży bagażnik, że wózek Wiewióra zmieścił się w nim bez trudu. Żołnierz, który ostatnimi dniami pomagał inwalidzie, zamknął klapę i otarł perlący się na czole pot. Zdjął przewieszoną przez plecy pepeszę i sprawdził, czy zamek nie chodzi zbyt ciężko. Wprawdzie wieczorem czyścił broń, ale bał się, że być może coś przeoczył.

– Myślisz, że to będzie potrzebne? – spytał Wiewiór, wystawiając głowę przez uchyloną szybę tylnych drzwi.

Żołnierz wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że nie.

Do samochodu różnym krokiem podszedł Jastrzębski.

– Schowaj to, młody! Wiem, że nic tak nie cieszy jak seria z pepeszy, ale z tym cackiem trzeba uważać!

Żołnierz poczerwieniał. Nic jednak nie odpowiedział, tylko zabezpieczył pistolet maszynowy i z powrotem przewiesił go przez ramię.

Jastrzęb skinął głową do stojącego przy aucie Wolaka, który właśnie kończył palić papierosa.

– Znowu się spotykamy – powiedział.

Wolak wzruszył ramionami. Zaciągnął się ostatni raz i pstryknął niedopałek w stronę ubitej polnej drogi, którą za chwilę mieli pojechać.

– Jedziemy? – spytał, podchodząc do tylnych drzwi sedana.

Jastrzęb kiwnął głową. Miał nadzieję, że stary komisarz podczas drogi okaże się bardziej rozmowny.

– Proszę wsiadać – rzekł, otwierając tylne drzwi od strony kierowcy. – A ty, młody, na co czekasz?! Mam ci wysłać specjalne zaproszenie?!

Żołnierz pospiesznie zajął miejsce na przednim siedzeniu.

Edward przekręcił kluczyk w stacyjce. Silnik zaskoczył od razu. Ubek wrzucił pierwszy z czterech biegów i powoli ruszył. Przez kilka minut rozkoszował się prowadzeniem, nie myśląc o niczym związanym z pracą. Przypomniawszy sobie natomiast, jak bardzo przed wojną fascynował się samochodowymi rajdami Polski. Wtedy każdy chłopak chciał być kimś takim jak Aleksander Mazurek, któremu na dwa lata przed wybuchem wojny udało się w czasie całego czerwcowego rajdu zająć pierwsze miejsce. Jastrzębski miał wówczas zaledwie czternaście lat, ale jak większość rówieśników marzył, żeby kiedyś zasiąść za kierownicą chevroleta, takiego, jakim Mazurek zwyciężył w rajdzie Polski. Dzisiaj jego młodzieńcze marzenie się spełniło. Oto siedział za kierownicą takiego samego samochodu, jakim wygrywano przedwojenne rajdy. Ale czy czuł się dzięki temu choć trochę szczęśliwszy?

Spojrzał w lusterko wsteczne. Jechał na tyle prędko, że na suchej polnej drodze zostawiali za sobą tuman kurzu. Musiał przyznać, że komfort był zdecydowanie większy niż w wojskowym gaziku, którym dotarł na to wiejskie zadupie.

Siedzący obok niego żołnierz milczał. Na kolanach trzymał pepeszę.

Jastrzębski z zadowoleniem zauważył, że nie był on tak zastrachany jak szeregowy, który go wiozł z Warszawy. Nagle przyszła mu do głowy myśl, która sprawiła, że zrobiło mu się gorąco. W całym tym cholernym podekscytowaniu dzisiejszą podróżą zapomniał zrewidować Wolaka. Z niepokojem ponownie zerknął w lusterko. Tym razem unoszące się na drodze tumany kurzu w ogóle go nie interesowały. Na szosie nie było żadnego ruchu, dlatego mógł sobie pozwolić na uważne studiowanie twarzy komisarza, który rozparty na tylnym siedzeniu drzemał. Jastrzęb zaśmiał się w duchu ze swoich obaw.

– I czego mi się pan tak przygląda? – odezwał się nagle Wolak, przypatrując się Jastrzębskiemu spod w półprzymkniętych powiek.

Jastrzębia zamurowało. Był pewien, że stary cierpi na jedną z przypadłości, które powodują, że źle znosi podróż samochodem i najchętniej całą drogę przesypia. Tymczasem Wolak nawet na chwilę nie tracił czujności. Naprawdę niezły musiał być z niego przed wojną policjant – pomyślał z podziwem młody oficer UB.

– Zastanawiam się, co teraz czujecie – powiedział, zerkając to na drogę, to w lusterko wsteczne, w którym odbijały się zmęczone niebieskie oczy głęboko osadzone w pooranej bruzdami twarzy Jana Wolaka.

Komisarz nie odpowiedział od razu. Patrzył beznamiętnie na pewnie prowadzącego Edwarda. Samochód miał na tyle dobre zawieszenie, że nierówności drogi nie dawały im się we znaki. Miękkie siedzenia z białej skóry sprawiały, że pasażerowie czuli się tak dobrze, jakby siedzieli w fotelach w przedwojennym westybulu Hotelu Europejskiego.

– Radość – odpowiedział w końcu Wolak.

– Radość? – Jastrzębski był szczerze zdziwiony.

– Trudno uwierzyć?

Kierowca żywo zaprzeczył.

– Chyba nie cieszy się z tego, że oddaliście się w moje ręce i teraz jedziecie do głównej siedziby Urzędu Bezpieczeństwa w Warszawie?!

Wolak się uśmiechnął. Siedzący obok niego Wieczorek z zainteresowaniem przyglądał się przyjacielowi, czekając na jego odpowiedź.

– Młody pan jest i wierzy w to, że fortuna zawsze będzie panu sprzyjała. To błąd. Teraz uważa się pan za zwycięzcę. Partyzancki oddział,

na który pan polował, sam się rozwiązał, mężczyzna, którego poszukiwanie zlecili pańscy mocodawcy, siedzi w tym mknącym do nich aucie. Żyć nie umierać! – Komisarz zapatrzył się na moment na mijany pędem las. – A kto wie, czy właśnie w tej chwili owa fortuna nie odwraca się do pana plecami?! Może za zakrętem wpadniemy w partyzancką zasadzkę i wszyscy zginiemy? Może za chwilę z kieszeni wyjmę mój ukochany rewolwer i wpakuję panu w potylicę kulkę? Kaliber siedem sześćdziesiąt dwa wydrążyłby w panu dziurę niczym robak w jabłku.

W samochodzie zapadła niezręczna cisza.

Młody żołnierz ciągle otarł pot z czoła. Zupełnie nie wiedział, jak ma się zachować.

Jastrzębski mocniej zacisnął dłonie na kierownicy.

Wiewiór ziewnął przeciągle i spytał:

– Podejrzewam, że w samochodzie nie wolno nam palić, co?

– Pal, tylko uchyl szybę! – odpowiedział Jastrząb, który również poczuł ochotę na papierosa, a nie chciał zatrzymywać się na wymuszony postój na drodze zewsząd otoczonej lasem. Bał się tego, co powiedział Wolak. Do tej pory szczęście mu sprzyjało. Co jednak, jeśli naprawdę fortuna się od niego odwróciła?

– Czuję radość – kontynuował przerwany wątek komisarz – ponieważ udało mi się spotkać przyjaciela, a myślałem, że już nie żyje.

Wiewiór odsłonił w uśmiechu resztki pozółkłych od nikotyny zębów.

– Kiepski ze mnie kompan do górskich wędrówek, ale setę pod galarete zawsze możemy razem wypić i powspominać przy tym stare czasy!

Wolak doceniał to, że mimo kalectwa Zygmunta nie opuścił humor.

– Radość sprawia mi także to, że raz jeszcze uda mi się ujrzeć moje ukochane miasto, a byłem już prawie pewien, że moja noga więcej tam nie postanie.

W samochodzie zrobiło się siwo od dymu. Palili wszyscy oprócz żołnierza, który mokrą od potu dłonią ścisnął drewnianą kolbę pepesy.

Jastrzębski pokręcił korbką i do końca opuścił szybę w drzwiach. Wyrzucił niedopałek, oblizał spieczona usta i powiedział:

– Tyle radości! I pomyśleć, że wszystko to zawdzięczacie władzy ludowej, na którą leśne bandy podnoszą rękę!

W samochodzie zapanowało milczenie. Nikomu nie chciało się skomentować słów Jastrzębskiego.

Żołnierz pocił się intensywnie. Napięta atmosfera w aucie działała na niego coraz gorzej. Marzył jedynie o tym, żeby bez żadnych przygód udało im się dojechać do stolicy.

34.

Niedziela była dniem świętym. Zwłaszcza w rodzinach robotniczych. Nie chodziło tu bynajmniej o sprawy związane z wiarą i wizytą w kościele. W komunistycznej rzeczywistości nie było przecież Boga. Jego miejsce zajął starszy pan z wąsem, dobrotliwie spoglądający z wszechobecných portretów. Kiedyś widywało się na ścianach Matkę Boską, dzisiaj jej miejsce zajął Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili. To jednak nie miało zbyt wielkiego znaczenia dla Stanisława Walczaka. Dużo ważniejsze dla niego było to, że w każdą niedzielę mógł dłużej pospać. Nie musiał zrywać się z łóżka o piątej rano i półprzytomny szykować się do pracy na budowie. Walczak nienawidził swojej roboty. Jedyne, co w niej lubił, to dzień wypłaty. Na ten jednak trzeba było czekać długi miesiąc. W dupie miał także farmazony typu „cały naród buduje swoją stolicę”. Gdyby nie pensja, nie kiwnąłby palcem, żeby chociaż jedną cegłę położyć na gruzach zniszczonej Warszawy. Dla niego to miasto było brzydkie. Szare, pełne gruzów z wystającymi niczym kikuty prętami zbrojeniowymi. W ogóle wszystko, co go otaczało, mu się nie podobało. Żona po urodzeniu czwórki dzieci zbrzydła i roztyła się tak, że na trzeźwo nie mógł na nią patrzeć. Rozwrzeszczane bachory kazał jej zamykać w osobnym pokoju. Jednak i to niewiele pomagało, bo darły się niemiłosiernie i słychać je było na całym piętrze. Sytuację pogorszyło wprowadzenie się tych cholernych paniczyków, Bralewskich. Działali mu na nerwy. Zwłaszcza ten stary dziwak, chodzący z książką pod pachą i mamrocący pod nosem jakieś wiersze czy inne zaklęcia. Musiał przyznać, że rozbawiła go historia o tym, jak jego sześćioletni Waluś, idąc do kibla za potrzebą, złapał z kuchennego stołu leżącą tam książkę i kiedy już zrobił, co trzeba, podtarł się nią. Wreszcie jakiś pożytek z tych książek. Trzeba być jaśnie panem hrabią, żeby tylko chodzić z nimi pod pachą lub wgapiać się w nie. Walczak niejednokrotnie słyszał, że można oślepnąć od bimbru. Osobiście jednak

nie znał nikogo, komu coś takiego się przytrafiło. Znał natomiast (oczywiście tylko ze słyszenia) kilka osób, którym wzrok popsuł się od czytania. Dlatego dużo bardziej bał się książek niż bimbru. I plakaty mówiące o tym, że „bimber jest przyczyną ślepoty”, w ogóle do niego nie przemawiały.

Walczak ocknął się o szóstej trzydzieści. Otworzył oczy, spojrzął w bok. Zobaczył leżącą tam i pochrapującą przez w półotwarte usta kobietę, której piętnaście lat temu ślubował miłość, wierność i uczciwość małżeńską. Zrobiło mu się niedobrze. Miał problemy z odtworzeniem w pamięci wszystkich wydarzeń wczorajszego wieczoru. Cieszył się jednak, że obudził się we własnym łóżku, gdyż z tym bywało różnie. Starał się nie wykonywać zbyt gwałtownych ruchów. Wczoraj była sobota, dlatego wlał w siebie więcej niż w dzień powszedni. Teraz jednak alkohol przestawał działać i organizm powoli zaczął odczuwać wszelkie związane z tym nieprzyjemne dolegliwości. Na szczęście Stachu wiedział, jak je uśmierzyć. A jako że dzisiaj była właśnie niedziela, mógł sobie pozwolić na zażycie zdecydowanie większej niż zwykle dawki lekarstwa. Najpierw jednak musiał udać się do kibla, by opróżnić pęcherz. Podniósł się z łóżka i momentalnie zakręciło mu się w głowie.

– O kurwa – wychrypiał, a przekleństwo to ledwo przeszło mu przez wysuszone gardło. W ustach czuł metaliczny posmak pitej wczoraj podłej jakości berbeluchy. Ból głowy spotęgowany był także mnóstwem wypalonych papierosów, które wczoraj zastępowały mu zakąskę. – O kurwa – powtórzył i tym razem zabrzmiało to o wiele bardziej przekonująco. Trzymając się ściany, wyszedł na korytarz. Był w majtkach, które kiedyś zapewne miały kolor biały, teraz jednak przyszarzały nieco, a w jednym miejscu pojawiła się żółta plama. Podkoszulek był idealnym uzupełnieniem dolnej części bielizny, tyle że żółte plamy na nim znajdowały się pod pachami.

Mężczyzna czuł coraz mocniejszy nacisk na pęcherz. Choć kosztowało go to dużo wysiłku, zmusił się do szybszego marszu. Złapał za klamkę toalety i z zaskoczeniem stwierdził, że drzwi są zamknięte od środka. Szarpnął mocno kilka razy.

– Wyłaź! – krzyknął, nie wiedząc, kto znajduje się za drzwiami.

Ćmienie głowy narastało. Powinien przyklinować, zanim tu przyszedł. Nie wiedział jednak, że sprawy przybiorą taki obrót. Jak ma być zadowolony, skoro nawet w niedzielę od samego rana wszystko

sprzysięgło się przeciw niemu?! Czuł, jak jego pompa przestaje wytrzymywać i pojedyncze krople moczą majtki.

Z wściekłością kopnął w drzwi. Zaraz jednak zaklął po raz trzeci dzisiejszego dnia. Zapomniał, że wyszedł z mieszkania na bosą stopę i kopiąc z całej siły, chyba złamał sobie duży palec u stopy. Tym razem „kurwa”, która padła z jego ust, była głośna, bardziej soczysta, z wyraźnie zaznaczoną głoską „r” i mistrzowsko przeciągniętą samogłoską „a”.

Na moment zapomniał o bólu głowy. Podskakując na jednej nodze, trzymał się za puchnący palec. W duchu obiecał sobie, że ktokolwiek ukrywa się w toalecie, srogo zapłaci za jego krzywdę.

Najgorsze jednak nastąpiło z chwilą, kiedy usłyszał dochodzący zza drzwi szum spuszczonej wody. W umyśle skacowanego Walczaka pojawiło się skojarzenie z uwolnieniem nadmiaru płynu. Mózg przesłał sygnał dalej i puściły wszelkie tamy. Walczak nie musiał już korzystać z kibla. Wiedział jednak, że w tych majtkach nie pochodzi ani dzień dłużej.

Przeklinając pecha, który go dzisiaj prześladował, usłyszał, jak ktoś majstruje przy haczyku. Drzwi skrzypnęły na dawno nieoliwionych zawiasach i w progu stanęła szczupła ciemnowłosa dziewczyna. W ustach trzymała wypalonego do połowy papierosa i śmiało patrzyła na grubego, owłosionego i śmierdzącego mężczyznę. Cholerny troglodyta – pomyślała, zaciągając się głęboko.

– I czego tak szarpał za klamkę? Złościł się, złościł i z tych nerwów popuścił! – Dziewczyna z niesmakiem odwróciła wzrok od Walczaka, który stał jak skamieniały.

Nienawidził tej małej kurewki. Jej zachowanie od początku wzbudzało jego podejrzenia. Wydawało mu się, że gówniara świadomie go prowokuje, chodząc w samej halce po ich wspólnej kuchni. Kiedy się jej ukradkiem przyglądał, był pewien, że nie ma nic pod spodem. Wyobrażał sobie, że wkłada jej tam rękę, a ona poddaje się jego pieszczotom, jęcząc cicho tym swoim głosikiem, lekko chropawym od palonych ukradkiem papierosów. Początkowo wstydził się swoich lubieżnych myśli, później jednak sprawiały mu przyjemność, jakiej od dawna nie odczuwał. Kładąc się nieraz po pijanemu na swoją żonę, wyobrażał sobie, że robi to z tą małą od Bralewskich.

Gówniara minęła go i kręcąc tyłeczkiem, odeszła w głąb korytarza. Walczak poczuł, że ma wzwód. Przez chwilę się zastanawiał, w końcu

wszedł do toalety i zamknął za sobą drzwi na haczyk. Przymknął oczy, pod powiekami zatrzymał obraz młodej Bralewskiej. Była niedziela. Nigdzie nie musiał się spieszyć. Nie pozwoli, żeby cokolwiek popsuło mu dzisiejszy dzień. Za chwilę wypije poranną, prostowniczą szklanekę bimbrowa, a teraz odda się innym rodzajom rozkoszy.

Kilka sekund później usłyszał kroki na korytarzu. W jego wytrzebionym przez alkohol umyśle zrodziła się myśl, że oto panna Bralewska wraca do toalety, by odbyć tam z nim potajemną schadzke, w trakcie której on jako starszy, doświadczony w kontaktach cielesnych mężczyzna mógłby nauczyć ją paru rzeczy. Uśmiechnął się pod wąsem. Spojrzał w zabrudzone lustro wiszące nad umywalką. Szybko jednak odwrócił wzrok, postanawiając bardziej polegać na wyobrażeniu o swojej urodzie niżli na tym, co ukazał mu ten brudny i wyszczerbiony kawałek szkła.

– Chodź do tatusia, gołąbeczko – powiedział, podnosząc haczyk, otwierając drzwi i wychodząc na korytarz. – Tatuś nauczy cię kilku sztuczek!

Raptem zamilkł. Stał osłupiały na środku korytarza, przyglądając się dwóm mało przyjemnym mężczyznom w czarnych płaszczach, którzy właśnie dochodzili do drzwi mieszkania zajmowanego przez Walczaków i Bralewskich.

Tajniacy o twarzach ponurych jak deszczowy poranek listopadowy obrzucili wzrokiem krępego faceta ubranego jedynie w slipki. Mokra slipki, w których wyraźnie znać było wzwód. Tajniak o ospowatej cerze spytał:

– Kim jesteś, tatuśku?

Walczakowi minął pierwszy szok. Zrozumiał, że ma do czynienia z jakimiś ważnymi i wiele mogącymi ludźmi. Postanowił być przykładnym obywatelem Polski Ludowej. Raźnym krokiem ruszył w stronę dwóch mężczyzn.

– Nazywam się Stanisław Walczak i mieszkam w tej kamienicy. W czym mogę pomóc? – spytał, wyciągając w ich stronę dłoń.

Tajniacy tylko spojrzeli na nią z obrzydzeniem. Patrząc na jej właściciela, mieli cichą nadzieję, że nie będą musieli go zabierać ze sobą. Jazda jednym samochodem z kimś wydzielającym tak intensywną woń była dla nich nie do wyobrażenia.

– Szukamy mieszkania obywateli Bralewskich!

Walczak opuścił wyciągniętą rękę. Na twarz przywołał uśmiech konfidenta i przymilnym głosem powiedział:

– Pozwólcie, że zaprowadzę, tak się składa, że tę podejrzaną rodzinę dokwaterowano do mojego mieszkania. Czułem, że wcześniej czy później coś przeskrobia!

Już po paru sekundach Walczak otwierał drzwi i przepuszczał w nich tajniaków.

– To tutaj. – Stach z dumą wyprężył owłosioną pierś, zatrzymując się przed drzwiami prowadzącymi do części mieszkania zajmowanej przez Bralewskich.

Ospowaty mruknął coś tylko pod nosem i nie pukając, nacisnął klamkę. Powodowany ciekawością Walczak także próbował wejść do środka, lecz mężczyźni zatrzęsnęli przed nim drzwi.

W niewielkim pokoju było duszno i ciemno. Jeden z agentów UB podszedł do okna i gwałtownym ruchem rozsunał ciężkie zasłony. Pomieszczenie momentalnie wypełniło się światłem. Mężczyźni zobaczyli, że w pokoju oprócz stołu, kilku krzeseł i starej szafy znajduje się podwójne łóżko i dwa rozłożone na podłodze materace. Na łóżku spała kobieta w średnim wieku, natomiast materace były wolne. Przy stole nad szklanką z herbatą siedziała młoda ciemnowłosa dziewczyna o ładnej pociągłej twarzy, z której spoglądały na świat intensywnie brązowe oczy.

– Słucham panów? – odezwała się lekko chropawym głosem.

– Szukamy obywatelki Jadwigi Bralewskiej.

Dziewczyna wstała od stołu.

– To moja mama – powiedziała opanowanym głosem. – Miała dość ciężką noc. Zaraz ją obudzę.

Hanka podeszła do łóżka. Nachyliła się nad leżącą matką i delikatnie zaczęła potrząsać ją za ramię. W ogóle nie przejmowała się tym, że podczas tej czynności jej i tak już kusa halka podwinęła się jeszcze wyżej, odsłaniając większą część zgrabnych, choć może nieco zbyt białych nóg.

Nie umknęło to uwadze obu tajniaków, którzy zastanawiali się, czy dziewczyna zachowuje się w ten sposób zupełnie przypadkowo, czy też świadomie ich prowokuje.

– Mamo! Obudź się!

Leżąc na łóżku kobieta otworzyła oczy i zaraz je zmrużyła. Nie spodziewała się, że w pokoju jest tak jasno. Czując jednak, że coś jest nie tak, odgoniła resztki snu i spojrzała na córkę.

– Wrócił? – spytała półsennie.

Hanka pokręciła głową.

– Nie, ale przyszli jacyś panowie i chcą z tobą porozmawiać.

Kobieta dopiero teraz rozejrzała się po mieszkaniu. Mężczyźni, których zobaczyła w drzwiach, nie wzbudzili jej sympatii. Poza tym przeczuwała, że stało się coś złego. Odruchowo poprawiła dłonią potargane przez noc włosy, po czym obciągnęła koszulę nocną, która w jej mniemaniu zbyt mocno odsłaniała klatkę piersiową. W tych sprawach Hanka była przeciwieństwem swojej matki. Ona bowiem nie wstydziła się swojego ciała. Mimo młodego wieku świetnie zdawała sobie sprawę, że może być ono kartą przetargową w kontaktach z mężczyznami. Nie żeby od razu nim kupczyć, ale wykorzystać swoją kobiecość w taki sposób, by poczucie moralności i szacunku do samej siebie zanadto nie ucierpiało.

– Obywatelka Jadwiga Bralewska? – spytał ospowaty.

– Tak – potwierdziła kobieta, a do jej serca i umysłu powoli zaczął wdzierać się nieokreślony lęk.

– Jesteśmy z Urzędu Bezpieczeństwa – oznajmił mężczyzna. – Jak rozumiem, ta młoda dziewczyna to wasza córka?

– Tak.

Towarzysz ospowatego zaczął chodzić po pokoju, zaglądając do poustawianych pod ścianami pudeł, w których Bralewscy przywieźli ze sobą najważniejsze dla nich rzeczy. Były to różnego rodzaju pamiątki rodzinne. Najwięcej miejsca zajmowały książki, ale były także srebrne sztuce, porcelanowa zastawa, mnóstwo fotografii, jakieś ubrania, trochę owiniętych w szary papier niewiele wartych landszaftów. Cenniejsze rzeczy ulokowali u znajomych mających większe mieszkania.

Ospowaty wyjął notes. Chwilę go kartkował.

– Z naszych informacji wynika, że powinny tu przebywać jeszcze dwie osoby – powiedział, podnosząc wzrok znad kartek notatnika.

– To prawda – przytaknęła skwapliwie Jadwiga. – Brakuje mojego męża oraz starszej córki Natalii.

– No właśnie – podjął tajniak – jest niedziela, wcześniej rano... Czyżby

szanowny małżonek udał się do kościółka na mszę?

Kobieta pokręciła głową. Milczała.

Hanka usiadła na łóżku koło matki. Założyła nogę na nogę. Kusa halka odsłoniła kolejne centymetry nader apetycznie wyglądającego uda dziewczyny.

Tajniak przełknął ślinę. Zerknął w swój notes, w którym wyczytał, że młodsza z panien Bralewskich ma na imię Hanna i niedawno skończyła osiemnaście lat. Toż to jeszcze dziecko – zganił się w myślach, przypominając sobie, że jego siostrzenica jest w podobnym wieku. Starał się patrzeć na starszą z Bralewskich, jednak jego wzrok co chwilę ześlizgiwał się z matki na córkę. Mężczyzna nie mógł się skoncentrować. Zaczął sobie wyobrażać Hanię Bralewską ubraną w czerwoną bieliznę i czarne podwiązki. Widział siebie, jak na czworakach podchodzi do niej i zębami ściąga z jej alabastrowych ud koronkowe podwiązki. Oblizwał spierzchnięte usta.

– ...starsza córka wybiegła z mieszkania, żeby go poszukać, i do tej pory ani jedno, ani drugie nie wróciło.

Ospowaty zdał sobie sprawę, że nie słuchał tego, co mówi starsza z kobiet. Siłą oderwał wzrok od nastolatki. Zerknął na swego towarzysza. Upewnił się, że tamten wciąż jest pochłonięty przeglądaniem pudeł ze szpargałami Bralewskich. Nie chciał w oczach kolegi stać się obiektem niewybrednych żartów, że jakaś podfruwajka zawróciła mu w głowie.

– Zgłaszaliście zaginięcie córki?

Jadwiga zaprzeczyła.

– Dobrze, proszę więc tego nie robić, my się tym zajmiemy.

– To znaczy, że...

– To znaczy, że – przerwał ostro ospowaty – waszej córce nic nie grozi i przez jakiś czas będzie musiała u nas zostać!

Jadwiga zaczęła cicho łkać. Doświadczenia ostatnich dni odbiły się na niej mocniej, niż do tej pory myślała. Starła się nie pokazywać, ile ją to wszystko kosztowało, dziś jednak nie wytrzymała. Pękły tamy smutku i popłynęły niczym niepowstrzymywane łzy. Nie przynosiły one jednak żadnej ulgi.

Hanka przez chwilę obejmowała płaczącą matkę, później wstała i podeszła do ospowatego. Była drobna. Krucha. Jeszcze nie kobieca.

Dziewczęca. Świeża, podniecająco pachnąca. I stała tak blisko. Mógł wyciągnąć rękę i przytulić ją do siebie. Poczuć zapach jej włosów. Ustami musnąć niewielkie zagłębienie za zgrabnym uchem. Bał się tego, co za chwilę może się wydarzyć. Kątem oka dostrzegł wyraźnie zarysowane pod cienką halką sterczące brodawki jędrnych, młodych piersi.

– Kiedy ja albo matka mogłybyśmy zobaczyć się z Natalką?

– W najbliższym czasie będzie to niemożliwe – powiedział, z trudem panując nad głosem. – Gdy tylko coś się zmieni, wyślemy pisemne powiadomienie.

– A mój mąż? – spytała Jadwiga, wciąż jeszcze łkając.

– Co wasz mąż?! – rzucił szorstko tajniak.

– Czy on też przebywa u was?

Ospowaty wahał się przez chwilę. W końcu zdecydował się powiedzieć prawdę. W sprawie Bralewskiego nie musieli kłamać.

– O nim nam nic nie wiadomo!

Jadwiga zaniósła się głośnym szlochem.

– Proszę pamiętać – ospowaty odsunął się dwa kroki od Hanki – że siostrze panienki nic nie grozi. Przetrzymamy ją jakiś czas u nas i wypuścimy. Jak szybko to nastąpi, zależy tylko od waszego zachowania.

– Co mamy robić?

Ospowaty spojrzał na swojego towarzysza, który akurat z jednego z pudeł wyciągnął aparat fotograficzny marki Sidax.

– Nic – odparł ospowaty, beznamiętnie przyglądając się, jak kolega chowa aparat do przepastnej kieszeni swego płaszcza. – Chodzi właśnie o to, że macie nic nie robić. Jak najmniej hałasu wokół tej sprawy, a dziewczyna cała i zdrowa do was wróci, rozumiano?!

Obie kobiety przytaknęły.

Tajniacy uśmiechnęli się w poczuciu dobrze wykonanej pracy. Była niedziela, kilka minut po siódmej. Cały dzień jeszcze przed nimi. Zdążą odpocząć.

– W takim razie żegnamy! – Ospowaty ostatni raz zerknął na dziewczynę, która nie raczyła go zaszczyścić spojrzeniem.

Po tych słowach obaj smutni panowie zniknęli za drzwiami mieszkania.

Jadwiga Bralewska nie przestawała łkać.

Hanka wyciągnęła spod poduszki pudełko papierosów. Wyłuskała jednego i zapaliła. Już nie musiała przed nikim się kryć. Ojciec postradał zmysły i gdzieś zniknął, starsza siostra zatrzymana przez UB, matka na skraju załamania nerwowego. Odpowiedzialność za rodzinę spoczęła teraz na niej. Wydmuchując dym, podeszła do okna i otworzyła je szeroko, by choć trochę przewietrzyć pokój i panującą w nim atmosferę.

35.

Sędzia Fijałkowski spojrział w lustro. Nie miał z tym żadnych problemów. Moralność, skrupuły, wyrzuty sumienia, to wszystko dla niego nie istniało. Czasem tylko, w długą bezsenność, kiedy opróżniał kolejny kieliszek koniaku, zastanawiał się, dokąd doszedł. Nieżyjący już ojciec zrobił wszystko, żeby syn ukończył prestiżową prawniczą uczelnię. Wierzył, że będzie zmieniał świat na lepsze. Naprawiał popełnione przez innych błędy. Mylił się. Bronisław Fijałkowski był kimś, kto już jakiś czas temu przestał wierzyć w sprawiedliwość. Powinien wówczas zrzucić sędziowską togę i włożyć cokolwiek, nawet kombinezon fabrycznego robotnika. Jednak nie zrobił tego. Za mocno przyzwyczyił się do życia w luksusie, którego nie potrafił się wyrzec. Goląc się przed wielkim lustrem w wyłożonej glazurą łazience z wanną i umywalką, zapomniał, jak w młodości za potrzebą musiał biec do drewnianego wychodka znajdującego się za stodołą. Najgorzej było w nocy. Zwłaszcza zimą. Nigdy nie zapomniał towarzyszącego mu strachu, kiedy w ciemną bezgwiezdną noc musiał przejść całe podwórko. Pod butami skrzypiał śnieg. Mroźne powietrze wdierało się pod cienką, spraną pidżamę, znoszoną już przez starszych braci. Rozbijała wyobraźnia ożywiała każdy cień na podwórku, nadając mu najbardziej przerażające kształty. Siedząc w wychodku, czuł zimne powietrze dostające się do środka przez szpary w deskach. Gdzieś w oddali ujadał pies, a on obiecywał sobie, że zrobi wszystko, by wyrwać się z tej wiejskiej biedy. Marzył o lepszym, wygodniejszym życiu, jakie znał z kart powieści, którymi zatruwał swój młodzieńczy umysł. Jakoś udało mu się przekonać ojca, by zainwestował w niego pieniądze, których w wielodzietnej rodzinie zawsze brakowało.

– Obiecuję, że będziesz ze mnie dumny. – Jeszcze dziś pamiętał, jak wypowiadał te słowa, patrząc ojcu w oczy. Było to zaraz po sianokosach, pamiętnego lata 1914 roku. Nastoletni Broniek był gotów na wszystko, byle

tylko ojciec zgodził się opłacić mu stancję w mieście i zapisać go do szkoły, która dopiero po 1918 roku stała się powszechna.

– Przyrzeknij, że nigdy nie będę musiał się za ciebie wstydzić – wyszeptał stary Fijałkowski, który zabity w 1920 roku przez bolszewików nie doczekał momentu, kiedy jego najmłodszy syn z wiejskiego chłopaka awansował na sędziego. Najpierw w powiecie, a potem w województwie, by po 1945 roku zostać głównym sędzią miasta stołecznego Warszawy.

– Przysięgam, tato! – powiedział może trochę za szybko młody podrostek o płowej czuprynie. – Przysięgam!... – powtórzył teraz, po trzydziestu czterech latach, łysiejący mężczyzna o niezdrowej szarej cerze, patrząc sobie w oczy. – Przysięgam, tato!

Nagle z dłoni sędziego Fijałkowskiego wypadła brzytwa, uderzając głośno o porcelanową umywalkę. Mężczyzna jednak tego nawet nie zauważył. Był gdzie indziej. Myślami raz jeszcze powrócił do przeszłości. Przypomniawszy sobie dzień, w którym jako czternastolatek opuszczał rodzinną wioskę. Matka długo tuliła go do siebie, nie kryjąc przy tym łez. On także ją ścisnął, całując mokry, szorstki i jak zawsze zaczerwieniony policzek. Ojciec starał się nie okazywać żadnych uczuć. Wyciągnął w stronę syna wielką dłoń i uściskał mocno jego prawicę.

– Pamiętaj, że bez względu na sytuację masz robić tak, żebyś mógł zawsze śmiało spojrzeć sobie w oczy.

– Dobrze, tato – odparł nastolatek, uciekając wzrokiem gdzieś w bok, aby spojrzeć na przebiegającego drogę kundla.

Przez kolejnych sześć lat rodzice oraz rodzeństwo pracowali ciężko na roli, żeby odłożyć jak najwięcej pieniędzy, które potem wysyłali do miasta dla Bronka. Nikt ani razu się nie poskarżył. Wszyscy byli dumni, że w rodzinie Fijałkowskich jest ktoś, kto kształci się na prawnika.

Sędzia Fijałkowski otworzył oczy.

Dziś miał wydać dwa wyroki śmierci. Wszystko już zostało uzgodnione. Cały proces był jedynie farsą urządzaną dla prasy i nielicznej publiczności, którą miano wpuścić na salę sądową. Jeden wyrok był mało istotny i dotyczył jakiegoś bandyty z bandy głośnego już nawet w stolicy Rysia. Druga sprawa przyciągała zainteresowanie opinii publicznej i dziennikarze ostatnimi dniami szeroko się o niej rozpisywali, gdyż dotyczyła bestialskiego morderstwa Wiery Sonikówny, żony sekretarza partii. Na oskarżonym ciążyły jeszcze podejrzenia o dokonanie podobnych

morderstw na kobietach przed wybuchem wojny. Wszystko to jednak wydawało się Fijałkowskiemu nieco dziwne, gdyż Morawski miał obecnie dwadzieścia osiem lat, tak więc w momencie dokonywania wcześniejszych zabójstw musiał być osiemnastolatkiem. Sędziemu nie chciało się w to wszystko wierzyć, ale zdawał sobie sprawę, że on jest tylko od wydawania wyroków, a nie od zastanawiania się nad nimi.

– Jestem częścią wymiaru sprawiedliwości – powiedział głucho i gwałtownie odwrócił wzrok od lustra.

Po raz pierwszy w życiu nie potrafił spojrzeć sobie w oczy.

– Przepraszam, tato... – wyszeptał, sięgając po pokrytą pianą do golenia brzytwę.

36.

Stefan Staroń zdusił niedopałek papierosa w przepelnionej popielniczce stojącej na korytarzu sądu. Z tylnej kieszeni spodni wyciągnął grzebyk i przeczesał nim włosy. Robił to już dzisiaj wielokrotnie, nie umiał jednak w inny sposób odreagować napięcia, jakie mu towarzyszyło od rana.

W sali sądowej byli już prawie wszyscy. Przed kilkoma minutami w eskorcie milicjantów wprowadzono pierwszego z oskarżonych, Jerzego Brodzkiego. W osobnym pokoju, pilnowany przez kilku mundurowych, oczekiwał na swoją kolej główny aktor dzisiejszego przedstawienia – Nikodem Morawski. Wszystko było gotowe, aby rozpocząć. Wciąż jednak czekano na sędziego mającego poprowadzić dzisiejszą rozprawę. Korzystając z opóźnienia, Staroń wyszedł na papierosa. Denerwował się. Dzisiejsza relacja miała być pierwszym w jego dziennikarskiej karierze poważnym artykułem, który albo otworzy mu drzwi do dalszej kariery, albo definitywnie je zamknie. Naczelný dał mu szansę i prosił, aby się postarał. Kiedy młody dziennikarz obiecał, że sumiennie zda relację z rozprawy, jego przełożony, krzywiąc się z niesmakiem, ordynarnie przekazał mu, co myśli o jego propozycji...

– Masz pisać tak, żeby mi, kurwa, gazety nie zamknęli! – krzyczał, chodząc w kółko po małym, zadymionym pokoju. – Podobno jesteś najbardziej elokwentny ze wszystkich praktykantów, tak więc zrób użytek z tych swoich zdolności i skleć coś, co się spodoba władzy, ale też prosty obywatel podczas czytania musi pokiwać głową nad słusznością i wagą twoich słów. Ludzie mają nienawidzić tych leśnych bandytów!

– A Morawski? Przecież on jeszcze do niedawna był pupilkim władzy? – spytał Staroń, coraz mniej wierząc w to, że dziennikarstwo to nie zawód, lecz powołanie.

Naczelný się zamyślił.

– Morawski popełnił błąd... poza tym to morderca i kara śmierci jak najbardziej mu się należy!

Stefan nie wytrzymał. Roześmiał się głośno.

– Nie wierzę – powiedział, wciąż się śmiejąc.

– W co nie wierzysz?! – Stary redaktor robił się coraz czerwieńszy na twarzy.

– Może zamiast iść na salę sądową, zostanę tutaj i od razu napiszę ten cholerny artykuł?! – powiedział Staroń, kiedy minął mu atak śmiechu. – Skoro już wszyscy wydali wyrok na Morawskiego, to po co rozprawa? Dla ludzi, żeby mieli iluzję poczucia sprawiedliwości?

Naczelnny zatrzymał się przy biurku. Oparł się pięściami o jego blat i starał się pohamować swój gniew.

– Też kiedyś byłem młody i pełen wzniosłych ideałów. Wydawało mi się, że dzięki temu, co napiszę, mogę zmieniać świat i wiesz, co mi z tego wszystkiego zostało?

Staroń wolno pokręcił głową.

– Garstka popiołów po spalonych w ogniu lat młodszych ideałach! – Naczelnny sięgnął po stojącą na biurku szklankę z zimną już kawą. Upił łyk. – Najgorsze, że z tych popiołów nic już nie powstanie! Jedyne, co mogę zrobić, to próbować ustrzec takich młodych jak ty przed popełnieniem tych samych błędów. Dlatego proszę cię, nie spierdól tego!

Staroń wzruszył ramionami. Mruknął coś pod nosem i wyszedł z pokoju. Postanowił, że do sądu uda się pieszo. Musiał łyknąć świeżego powietrza. Przemyśleć kilka rzeczy. Zastanowić się. Podjąć decyzję. Miał przed sobą całe życie. Jak się ono potoczy, zależało w tej chwili od tego jednego artykułu, który miał dzisiaj wyjść spod jego pióra. Zaprzedać duszę komunistycznemu diabłu i mieć wszystkiego w bród? Tylko po to, żeby za kilka lat stać się zgorzkniałym gryzpiórkiem, który nigdy nie napisał nic prawdziwego?

Staroń wiedział jedno. Żeby odpowiedzieć sobie na te pytania, musiałby iść znacznie dalej niż do sądu.

37.

Szeregowy Zębala jak zwykle w stresowych sytuacjach miał rozwolnienie. Teraz też ledwo zdążył dobiec do latryny. Z każdej kompanii jeden żołnierz został oddelegowany do plutonu egzekucyjnego. Nikt nie chciał się zgodzić. W końcu on się zdecydował. Przekonał go litr wódki, kilogram kiełbasy i dwa dni przepustki. Teraz powoli zaczynał tego żałować. Początkowo myślał, że strzeli gdzieś obok skazanego, nie przyznając się, że chybił. Dowiedział się jednak, że w każdej egzekucji bierze udział oficer, który obserwuje pluton egzekucyjny. Podobno kiedyś ukarano tygodniowym karcerem żołnierza próbującego oszukać przy salwie egzekucyjnej.

Nagle Zębala usłyszał, jak ktoś podchodzi do drzwi jego kabiny. Z przerażeniem zauważył, że z pośpiechu nie zdążył zamknąć ich na haczyk.

– Zajęte! – krzyknął, podnosząc się z wyciętej w drewnianej ławce dziury, by złapać za klamkę.

Nie zdążył.

Ktoś gwałtownie szarpnął drzwi i otworzył je na oścież. W progu pojawiła się sylwetka mężczyzny, który bez mała wypełnił sobą całą framugę drzwi.

– Przecież mówiłem, że zajęte! – Zębala był i wściekły, i skrępowany wtargnięciem obcego żołnierza.

– Słyszałem, nie krzycz – powiedział intruz, po czym wyciągnął trzymaną za plecami gazurkę i uderzył nią w głowę siedzącego na klozecie szeregowca Zębali.

Zaatakowany mężczyzna odruchowo zasłonił głowę rękoma. Ciosy były jednak na tyle silne, że po dwóch kolejnych uderzeniach jego kości rąk zostały zmiażdżone. Głowa ponownie była nieosłonięta. Z ust ofiary

wydobył się krzyk. Sekundę później w powietrzu ponownie mignęła metalowa rurka. Kiedy upadła, w latrynie panowała już zupełna cisza. Ostatnią rzeczą, jaką zarejestrował wzrok zabitego, by później tę informację przekazać do mózgu, było to, że napastnik nie miał na sobie munduru. Kim był i jak dostał się na teren koszar? Na te pytania Zębała miał już nigdy nie poznać odpowiedzi.

Napastnik tymczasem szybko zdjął mundur z zabitego żołnierza i włożył na siebie. Jeżeli chodzi o długość, pasował idealnie, gdyż obaj mężczyźni byli niemalże tego samego wzrostu. Zabity żołnierz był nieco tęższy, dlatego wojskowy uniform w niektórych miejscach trochę wisiał na nowym właścicielu. Nie rzucało się to jednak za bardzo w oczy i raczej nikt nie powinien zwrócić na ten szczegół uwagi. Napastnik schylił się po leżącą koło deski klozetowej czapkę i nacisnął ją głęboko na oczy. Sięgnął do kieszonki na piersi wojskowej bluzy i wyciągnął stamtąd książeczkę wojskową. Otworzył, przeczytał imię i nazwisko, po czym przyjrzał się zamieszczonemu tam niewielkiemu zdjęciu. Uznał, że uwieczniony tam chłopak wygląda jak tysiące innych młodych żołnierzy. Okrągła, ogolona na jeża głowa, twarz bez żadnego wyrazu. Tak wygląda Wojsko Polskie – pomyślał i nasunął czapkę jeszcze głębiej na czoło. To dawało mu pewność, że nikt nie będzie podejrzewał, iż nie ma do czynienia z prawdziwym Waldemarem Zębałą.

Spojrzał na zegarek. Odkąd zakradł się na teren koszar od strony leżących na uboczu latryn, minęło niewiele ponad kwadrans. Przez chwilę zastanawiał się, co zrobić z ciałem. Nie mógł go tu zostawić, gdyż ktoś, kto by je znalazł, wszcząłby alarm. A to skomplikowałoby i tak jego trudną sytuację. Przyjrzał się martwemu Zębali. Facet był dosyć duży i ciężki. Nie zdołałby niepostrzeżenie wynieść go z latryny i schować w rosnących nieopodal krzakach. Obawiał się, że natknie się na innych żołnierzy. Mógł zrobić tylko jedno. Włożył ręce w dziurę kloaczną i złapał od spodu za jedną z desek. Szarpnął mocno. Po chwili poczuł, jak trzymające ją gwoździe puszczają. Wyrwał w ten sposób trzy deski, poszerzając znacznie otwór prowadzący do dołu z odchodami. Od wysiłku i panującego smrodu zaczynało robić mu się niedobrze. Wiedział, że musi jak najprędzej wyjść na świeże powietrze. Złapał martwego mężczyznę pod pachy i podciągnął na drewnianą ławkę. Bezwładne ciało ważyło jakby dwa razy więcej. Mężczyzna zaczął coraz szybciej łapać oddech. W końcu udało mu się nakierować ciało głową zwróconą ku kloace. Teraz wystarczyło podnieść spoczywające na podłodze nogi martwego. To

sprawiłoby, że szeregowy Zębala poleciałby prosto w znajdujące się poniżej żołnierskie gówny. Napastnik złapał Zębale za nogi i podniósł je, po czym zepchnął zwłoki w dół. Głośny plusk, jaki się rozległ chwilę później, mógłby świadczyć, że ktoś miał naprawdę dużą potrzebę, z którą się uporał. Mężczyzna patrzył, jak w szambie znikają owinięte w onuce stopy szeregowego Zębali. Następnie umocował deski, które kilka chwil wcześniej wyjął.

Kiedy wszystko było już na swoim miejscu, człowiek mający od tej chwili przedstawiać się jako Waldemar Zębala, wyszedł z wojskowej latryny

38.

Sekretarz PPR-u strzepnął niewidoczny pyłek z popielatego garnituru. Spojrzał na zegarek. Wskazówki na cyferblacie pokazywały 13.36. Ponad pół godziny temu miał się rozpocząć proces. Gdzie, do cholery, podziwia się ten Fijałkowski?!

Siedzący w sali ludzie powoli zaczynali się niecierpliwić. Tylko na twarzy skutego kajdankami Jerzego Brodzkiego malował się spokój. Makowski wstał z miejsca i skierował się w stronę wyjścia. Stojący przy drzwiach milicjanci mieli twarze bez wyrazu. Sekretarz z niezadowoleniem zauważył, że jeden z nich ma niedopięty pod szyją guzik munduru. Już chciał mu zwrócić uwagę, kiedy się zorientował, że nic by to nie dało, gdyż mundur był za ciasny na zbyt otyłego mężczyznę. Zapięcie guzika mogłoby skończyć się uduszeniem funkcjonariusza. Mruknął coś pod nosem, dając upust rozdrażnieniu, i wyszedł na korytarz. Spotkał tam jedynie jakiegoś wymoczkowatego dziennikarza, który paląc nerwowo papierosa, chodził po kilka kroków raz w jedną, raz w drugą stronę. Mamrotał przy tym niewyraźnie pod nosem. Sekretarz pomyślał, że znajduje się nie w budynku sądu, lecz w szpitalu dla psychicznie chorych. Minął dziennikarza, który nawet na niego nie spojrzał, i ruszył w stronę sekretariatu. Musiał zadzwonić. Po pierwsze, sprawdzić, czy Broniek wyjechał już z domu. Później dowiedzieć się w centrali, czy nie było zgłoszeń o jakichś wypadkach. Może temu idiocie coś się stało?! To by nieco skomplikowało sprawę. Należałoby wówczas przełożyć rozprawę na inny dzień. Po drugie, mogłaby zajść potrzeba znalezienia innego sędziego, a to nastęrczyłoby dodatkowych trudności. Fijałkowski był człowiekiem, na którym zawsze mogli polegać. Już dawno zaprzedał duszę partii robotniczej i władzy ludowej. Podpisywał się pod wyrokami, jakich żaden inny sędzia by nie zatwierdził. Fijałkowski był do tej pory człowiekiem niezastąpionym. Jednak dzisiejsze wypadki pokazały, że nadszedł czas, by

poszukać kogoś na jego miejsce. Dużym błędem było to, że do tej pory nie mieli kogoś, na kim mogliby bezgranicznie polegać i kto zastąpiłby Bronka w takich sytuacjach jak dzisiejsza. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Już dzisiaj zacznij przeglądać akta sędziów i postara się wybrać takiego, który chętnie zaprzeda im duszę. Teraz jednak należało uporać się z problemem, jaki wyniknął z nieobecności Fijałkowskiego.

Tok rozważań sekretarza przerwało pojawienie się w drugim końcu korytarza otyłej postaci zmierzającej w jego kierunku. Makowski przyspieszył.

– Gdzieś ty się, kurwa, podziewał?! – krzyknął, kiedy zrównał się z zasapanym mężczyzną.

– Ciii! Bo jeszcze ktoś nas usłyszy – odezwał się tamten, a sekretarz momentalnie wyczuł w jego oddechu mocny zapach alkoholu. – I co sobie wówczas pomyśli? Mąż Wiery Sonikówny krzyczy na sędziego, gdy ten za chwilę ma wydać wyrok na człowieka, który zamordował mu piękną żonę?

Makowski nerwowo obrzucił wzrokiem korytarz. Wciąż było na nim pusto. Jedynie mamroczący dziennikarz przestał chodzić i stał, przypatrując się im z daleka. Nim jednak sekretarz się nie przejął. Chłopak nie wyglądał na rozgarniętego. Poza tym naczelny gazety, dla której wymoczek pracował, nigdy nie dopuściłby do opublikowania czegoś, co mogłoby skompromitować władzę. Naczelny także kilka lat temu zaprzedał duszę temu samemu diabłu co Fijałkowski.

– Upił się?

Sekretarz patrzył z wściekłością na sapiącego mężczyznę. Dopiero teraz dotarło do niego, że nie pierwszy raz czuje od Fijałkowskiego alkohol. Nigdy jednak ten zapach nie był tak intensywny. Zwykle sędzia ukrywał go pod wonią wody kolońskiej, którą obficie się spryskiwał. Nigdy też nie pojawił się w sądzie w takim stanie, że ktoś mógłby się zorientować, iż jest pijany. Makowski pokiwał z politowaniem głową. Już podjął decyzję. Dzisiejsza sprawa będzie ostatnią z tak istotnych, którą zlecają temu moczymordzie. Facet stawał się coraz mniej pewny. Coś niedobrego się z nim działo. A może wszyscy pomyliliśmy się w ocenie jego osoby? Może on jednak nie jest tak wyzuty z uczuć i pozbawiony moralności, jak nam się to do tej pory wydawało? Może obudziło się w nim uśpione sumienie i teraz daje o sobie znać? Na razie próbuje pewnie to wszystko zalać gorzałą, co jednak będzie, kiedy zorientuje się, że nie uda mu się utopić wyrzutów sumienia? Makowski podjął w tym momencie kolejną

ważną decyzję. Sędziego Fijałkowskiego trzeba będzie się jak najszybciej pozbyć. Nie można czekać, aż facet pęknie i zacznie komuś opowiadać o wyrokach niezawisłego sądu, jakie dane było mu wydawać w powojennej karierze. Największe niebezpieczeństwo polegało na tym, że Fijałkowski miał dostęp do różnych ważnych akt dotyczących wielu kontrowersyjnych spraw. Makowski nie chciał myśleć o tym, co by się stało, gdyby Bronisław je wykradł i przekazał na Zachód. Trzeba będzie wykorzystał jego nadmierną skłonność do alkoholu i spowodować jakiś nieszczęśliwy śmiertelny wypadek. Albo wystawić go do odstrzału reakcjonistom. Wtedy prasa mogłaby się rozpisywać o bandytyzmie byłych żołnierzy spod znaku Andersa, którzy nie cofną się nawet przed podniesieniem swej zbrodniczej ręki na przedstawicieli niezawisłych sądów w Polsce Ludowej. Teraz jednak należało działać.

– Chodź za mną! – powiedział, odwracając się do niego plecami.

Makowski skierował się w stronę znajdującej się w końcu korytarza toalety. Fijałkowski, wciąż sapiąc, podreptał za nim.

– Wsadzaj łeb pod kran! – rozkazał sędziemu, odkręcając kurek z zimną wodą.

Pijany mężczyzna się zawahał. Chciał coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Schylił się nad brudną umywalką i włożył głowę pod strumień zimnej wody. Trwał tak przez kilkanaście sekund, czując, jak powoli wraca mu całkowita jasność umysłu. Przymknął oczy i pod zamkniętymi powiekami ponownie pojawiła się twarz jego ojca, a wśród szumu płynącej wody wyraźnie słyszał jego słowa: „Nie zawieźdź mnie synu!”. Fijałkowski otworzył oczy. Wszystko zniknęło. Wyjął głowę spod kranu. Wziął od Makowskiego brudny ręcznik i wytarł nim włosy. Popatrzył w lustro. Wyglądał tragicznie. Potargany, obwisłe policzki, szara, niezdrowa cera, coraz większy drugi podbródek i przekrwione oczy wilkołaka. Co ja ze sobą zrobiłem? – pomyślał, wyjmując z kieszeni mały grzebyk. Przeczesał nim mokre włosy i odwrócił się w stronę stojącego za nim mężczyzny.

– Słuchaj, Bolek – zaczął, patrząc na sekretarza, który prezentował się znacznie lepiej od niego. Szczupła, wysportowana sylwetka, pociągła, gładka twarz, dobrze skrojony garnitur, starannie dobrany krawat i spinki do koszuli, wszystko to sprawiało, że Makowski nie tylko dobrze wyglądał, ale i budził u innych respekt połączone z szacunkiem. – Chcę się z tego wszystkiego wycofać.

Makowski wolno pokiwał głową. Odwiesił brudny i przemoczony ręcznik na haczyk. Z lekkim niesmakiem popatrzył na swoje wypielegnowane dłonie, które miały właśnie kontakt ze śmierdzącą szmatą aspirującą do miana ręcznika. Podszedł do kranu, odkręcił go i opłukał dłonie. Strząsnął z nich wodę i nie wycierając, czekał, aż wyschną.

– Rozumiem – powiedział spokojnie. – I w ogóle nie będę ci tego utrudniał. Po tym, co do tej pory dla nas zrobiłeś, należy ci się odpoczynek i oczywiście jakieś solidne zabezpieczenie finansowe w postaci okazałej emerytury.

Sędzia odetchnął z wyraźną ulgą. Nie spodziewał się, że wszystko pójdzie tak łatwo. Bał się, że Makowski wybuchnie gniewem i nie pozwoli mu tak szybko zakończyć współpracy.

– Dziękuję, Bolek!

Makowski uśmiechnął się dobrodusznie.

– Zanim jednak się rozstaniemy, czeka cię jeszcze dzisiejsza rozprawa.

Fijałkowski zbliżył się do sekretarza, zionąc mu alkoholem w twarz. Makowski siłą powstrzymywał się, by nie dać dwóch kroków w tył. Nie chciał niepotrzebnie denerwować pijanego sędziego. Jeszcze go potrzebował.

– Obiecuj mi – zaczął sędzia – że to ostatnia sprawa, w jakiej będę musiał wydać wyrok!

Sekretarz rozchylił usta w uśmiechu. To akurat mógł obiecać. Co więcej, przyrzekł sobie, że postara się tę obietnicę jak najprędzej spełnić.

39.

Kapral Matysiak spojrział na zaczerwienione od alkoholu gęby sześciu żołnierzy. Nie, w sumie to pięciu. Jeden wyglądał na zupełnie trzeźwego. Dochodziła piąta po południu. Wszystko się przeciągało. Pierwsza rozprawa miała się rozpocząć o trzynastej i nie powinna trwać dłużej niż godzinę. Po półgodzinnej przerwie na drugiej rozprawie miano sądzić Morawskiego, o którym rozpisywały się wszystkie gazety i bez przerwy mówiono w radiowych wiadomościach. W tej chwili powinni pakować więźniów do samochodu i jechać w miejsce egzekucji. Tymczasem siedzieli na pace starej ciężarówce, coraz bardziej niecierpliwie czekając na przybycie strażników z dwoma więźniami. Gdyby wszystko przebiegało zgodnie z planem, kapral najpóźniej o dziewiętnastej rozpoczęłby dwudniową przepustkę. Najwidoczniej jednak coś poszło nie tak i sprawy nieco się pokomplikowały. Szeregowi żołnierze mieli pozwolenie na wypicie dwóch setek wódki. Nie więcej. Dwie setki jednak były ze wszech miar wskazane. Miały dodać kurażu i sprawić, by mężczyźni, niewiele myśląc, pociągnęli za spust, w ogóle nie zastanawiając się nad słusznością wykonywanej egzekucji. Dzisiejsza rozważka nie była dla Matysiaka pierwszą. Żołnierze lubili z nim jeździć, ponieważ kapral, który sam nie wylewał za kołnierz, przymykał oko na dodatkową porcję alkoholu wypitą przez żołnierzy przed egzekucją. Dziś było podobnie. W żyłach szeregowców krążyła w tej chwili krew rozcieńczona już trzema setkami wódki. Najgorsze jednak było to, że przedłużająca się rozprawa sprawiała, iż żołnierze mieli ochotę na kolejną szklaneczkę.

– Obywatelu kapralu – odezwał się jeden z nich do Matysiaka, którego oblicze stawało się coraz bardziej nachmurzone. Wynikało to z prostego faktu, że również miał ochotę wprowadzić do swego organizmu jakieś procenty. – Jeszcze po setuni i możemy czekać na skazanych nawet do wieczora!

Akurat – pomyślał Matysiak – za pół godziny będziecie domagali się następnej, a później jeszcze jednej i tak do upadłego. Kapral znał tę zależność z własnego, wcale niemałego doświadczenia w kontaktach z alkoholem. Matysiak jak już zaczął, to podnosił szklanę dopóty, dopóki ona go nie przewróciła. Ale nigdy nie udawało się to jednej czy dwóm, które na początek wypijał dla kurazu, i wcale nie przeszkadzało mu to w sumiennym wypełnianiu obowiązków. Wręcz przeciwnie, na lekkim rauszu stawał się jeszcze lepszym żołnierzem. Matysiak nie zdawał sobie z tego sprawy, ale już podjął decyzję. Spojrzał surowo na swoich podkomendnych.

– Który pił najmniej?!

Wstał jeden z nich. Ten z niezaczerwienioną twarzą.

– Melduję, obywatelu kapralu, że ja nie piłem dziś w ogóle!

– Siadajcie, siadajcie. – Matysiak machnął ręką, patrząc na żołnierza, który wypiął pierś, tak jakby myślał, że kapral przypnie mu do niej medal za pełną poświęcenia abstynencję. Młody widocznie nie znał Matysiaka, który nie ufał niepijącym żołnierzom. – Może mi jeszcze powiecie, że donosicie na swoich kolegów?!

Żołnierz nie wiedział, czy kapral żartuje, czy mówi poważnie.

– Yyy... posłusznie melduję, że...

– Dobrze, już dobrze! – Matysiak przyglądał się szeregowcowi. Większość żołnierzy kojarzył chociaż z widzenia, tego jednak za cholere nie mógł sobie przypomnieć. – Jak się nazywacie?

– Szeregowy Waldemar Zębala!

Matysiak czuł się, jakby lada chwila miała mu eksplodować głowa. Od ponad godziny siedzieli pod brezentem ciężarówki, a teraz ten gamoń, zamiast normalnie odpowiadać na zadawane pytania, wydzierał się, jakby byli na kompanii. Kapral czuł, że musi się jak najszybciej napić. Jedna setka ukoi ćmienię głowy i rozjaśni umysł.

– Potraficie prowadzić ciężarówkę?

– Potrafię, obywatelu kapralu! Podczas wojny często zmuszano mnie do siadania za kierownicą niemieckich blitzów.

– Dobrze, dzisiaj także będziecie kierowcą – rzekł Matysiak, wręczając Zębali kluczyki od ciężarówki. – A my wypijemy jeszcze po jednym pod tę dzisiejszą egzekucję.

Twarze pięciu żołnierzy rozpromienił szeroki uśmiech, jakby spłynęła na nich pełnia życiowego szczęścia.

– Zdrowie skazanych! – wymknęło się jednemu z nich, który najwidoczniej miał słabszą głowę od swoich kompanów.

– Idioto, im już zdrowie do niczego nie będzie potrzebne! – uświadomił mu mentorskim tonem inny z szeregowców.

Uśmiech pojawił się także na twarzy Waldemara Zębali, jednak przyczyn jego radości należałoby szukać gdzieś indziej – nie w prostych żołnierskich uciechach

40.

Idąc korytarzem, już po odczytaniu wyroku skazującego go na śmierć przez rozstrzelanie, zastanawiał się, kto za tym wszystkim stoi. Patrzył w oczy mijanych dawnych kolegów, którzy teraz się od niego odwrócili. Był najlepszy z nich. Szybko piął się po szczeblach partyjnej kariery i kiedy był już naprawdę wysoko, spadł. A raczej ktoś go zepchnął. Tylko komu zależało na tym, żeby go w tak drastyczny i nieodwracalny sposób wyeliminować?

Przychodziło mu na myśl jedno nazwisko, należące do osoby bardzo wysoko postawionej w partyjnej wierchuszce. Osoby, przed którą drżeli bez mała wszyscy w komunistycznej Polsce.

Nikodem Morawski zrozumiał, że pewności co do swoich podejrzeń nigdy nie zdobędzie. Utwierdził się w tym przekonaniu w momencie, kiedy zobaczył stojącą przed budynkiem sądu ciężarówkę, na której pakę wsadzono jego i Jurka Brodzkiego. Miał nadzieję, że po rozprawie zawiozą ich jeszcze na jakiś czas do aresztu, a tymczasem okazało się, że wszystko było przygotowane do bezzwłocznego wykonania egzekucji. W sumie w ogóle go to nie zdziwiło. Znał metody UB i wiedział, że jest to często stosowana przez nich praktyka. Sfingowany proces, szybki wyrok, krótka przejażdżka rozklekotaną ciężarówką. Leśna polana z wykopanym dołem. Śpiew ptaków, szum drzew. Opaska na oczach. Ostatni papieros. A później seria z pepeszy i koniec. Pustka. Nic.

Uśmiechnął się do idącego obok Jurka.

– Nie jesteś na mnie zły? – spytał.

– Zły? O co?

– O to, że w ostatnich chwilach życia będę twoim jedynym towarzyszem.

Brodzki wspiał się z trudem na platformę ciężarówka. Przeszedł na jej koniec i usiadł na twardej drewnianej ławce. Miejsce obok niego zajął Nikodem. Pilnowało ich pięciu uzbrojonych w pistolety maszynowe żołnierzy. Brodzki przyjrzał się ich twarzom. Wszyscy wyglądali na młodszych od niego. Pewnie w czasie wojny nie zdążyli nawet walczyć z okupantem. Za to teraz mieli okazję wykazać się i do woli zabijać wrogów państwa. Reakcjonistów, takich jak on. Ludzi, których komunistyczna propaganda przedstawiała w jak najgorszym świetle, nazywając współpracownikami gestapo, kolaborantami, zdrajcami ojczyzny. Brodzki nie czuł żalu do tych chłopaków. Takim jak oni bardzo łatwo było namieszać w głowach. Odnosił wrażenie, że w tej chwili to oni są bardziej przerażeni niż on. Od razu było widać, że próbowali sobie dodać odwagi alkoholem. W chwili, gdy kierowca uruchomił dieslowski silnik i z lekkim szarpnięciem ciężarówka ruszyła do przodu, wszyscy zdali sobie sprawę, że zmierzają ku temu, co nieuchronne. Krwi, która dziś pobrudzi ich ręce i sumienia, nie zmyje nawet morze alkoholu.

– Nie jestem na ciebie zły – powiedział Brodzki, starając się, by jego słowa były słyszane wśród ryku silnika. – Ale masz rację, dziwne to wszystko.

– Co cię dziwi?

– To, że pewnie zakopią nas w jednym dole. Do tej pory staliśmy po przeciwnych stronach barykady, a teraz skończymy w ten sam sposób.

– „Wszystko jako sen znikło. Tylko czarna bryła ziemi niekształtnej leży – rozjemcza mogiła”.

– Co?

– Przypomniał mi się taki jeden wiersz Mickiewicza. Przed wojną w gimnazjum nauczyciel polskiego odpytywał z niego całą klasę. Strasznie źli byliśmy wtedy na niego, że kazał nam się go uczyć na pamięć. Długi był jak cholera! – Morawski zamyślił się na chwilę. – Podobno w czasie zaborów znalazł się na liście utworów zakazanych przez władze carskie i każdemu, kto odważyłby się publicznie go odczytywać, groziła kara.

– O czym jest ten wiersz? – spytał Brodzki, przekrzykując ryk silnika.

– Nie uwierzysz – Morawski uśmiechnął się ironicznie – opowiada o walce Polaków z Moskalami.

Brodzki pokiwał głową. Od panującego wokół hałasu i zapachu spalin zaczynała boleć go głowa. Nie miało to jednak żadnego znaczenia,

ponieważ niebawem nie będzie odczuwał już żadnych dolegliwości.

– Czyli jego tematyka jest wciąż aktualna.

– Tak – zgodził się Nikodem, który w tym momencie był wdzięczny staremu przedwojnemu profesorowi, że kazał mu nauczyć się na pamięć całej *Reduty Ordona*. – Adam Mickiewicz to jednak wybitny poeta.

– Poeta i patriota – dodał Brodzki.

Nikodem milczał. Myślał o tym, że rodzinna miejscowość jednego z największych polskich wieszczów nie leży już na terytorium Polski Ludowej, tylko po dwudziestoletnim powrocie do Rzeczypospolitej ponownie znalazła się pod jarzmem Rosji, której żołnierzy opisywał Mickiewicz w swoim utworze. Czy przegrał? W każdym razie do końca stał po właściwej stronie, nie tak jak ja – pomyślał z goryczą Morawski.

– Gówno to wszystko warte! – powiedział i splunął na drewnianą podłogę.

Miał jednak pecha, gdyż plwocina wylądowała na czubku buta jednego z siedzących naprzeciwko żołnierzy. Podpity szeregowiec spojrzął wściekle na Morawskiego. Podniósł się ze swojego miejsca i stając nad więźniem, uderzył go kolbą karabinu w twarz. Chwilę później Nikodem poczuł w ustach metaliczny posmak krwi. Przejechał językiem po zębach. Jeden ledwo się trzymał. Kurwa – zaklął w myślach i wypluł na podłogę ząb.

– Odbiło ci?! – krzyknął. – Nie wiesz, kim jestem?!

Cuchnący wódką szeregowiec usiadł z powrotem na swoim miejscu. Musieli wjechać na jakieś leśne wertepy, gdyż samochodem coraz mocniej trzęsło. A on nie czuł się na tyle pewnie, by ustać. Alkohol przyjemnie szumiał mu w głowie. Przez moment zastanawiał się, czyby nie przejechać serią po więźniach. Co za różnica, kiedy ich rozwalą? A jadący w szoferce kapral Matysiak to równy chłop, więc pewnie nie wyciągnąłby z tego żadnych konsekwencji.

– Wiem, kim jesteś – wycedził przez zaciśnięte zęby szeregowiec, patrząc przy tym wrogo na Morawskiego. – Jesteś śmieciem!

Nikodem przełknął przemieszaną z krwią ślinę. Ma rację – przyznał w duchu – to ja na chwilę zapomniałem, że nie mam już nad nimi władzy. Nie jestem młodym, budzącym postrach w innych oficerem UB. Jestem wiezionym na wysypisko śmieciem. Niczym więcej.

Kierujący ciężarówką żołnierz zerknął w lusterko wsteczne. Poczekał, aż nieco opadnie kurz. Pusto. Nikt za nimi nie jechał. Leśny trakt ciągnął się już ponad dwa kilometry. Mocniej nacisnął pedał gazu. Samochód podskoczył na kolejnym wyboju. Siedzący obok kapral Matysiak zaklął głośno, ponieważ akurat w tym momencie podnosił do ust piersiówkę, z której uronił kilka kropel cennego płynu.

– Zwolnijcie trochę, szeregowy! Też chciałbym to wszystko mieć już za sobą, ale bez takich nerwowych ruchów. Ta ciężarówka przebyła cały szlak bojowy od Lenino do Berlina. Przyznacie więc, że trochę głupio by było, gdyby akurat dzisiaj zakończyła swój żywot.

Zębala kiwnął głową. Nie chciało mu się odpowiadać. Poza tym kapral był już pod tak dobrą datą, że wcale nie zwrócił na to uwagi. Przez całą drogę co chwilę pociągał z piersiówki, która wydawała się nie mieć dna.

Jechali wąską nieutwardzoną drogą przez gęsty las. Szeregowy zdjął nogę z gazu, bynajmniej nie dlatego, że prosił go o to przełożony, lecz z tej prostej przyczyny, że zbliżali się do dość ostrego zakrętu. Delikatnie nacisnął pedał hamulca. Wskazówka szybkościomierza zaczęła opadać. Była na dwudziestce, gdy ciężarówka weszła w zakręt. Wychodząc z niego, Zębala ponownie przyspieszył. Nagle jednak zaczął hamować.

– Czemu zwalniasz?! – krzyknął kapral, próbując wytrząsnąć ostatnie krople z trzymanej nad ustami manierki.

– Jakiś człowiek na drodze przed nami – powiedział kierowca, przysuwając twarz ku szybie, by lepiej widzieć.

Matysiak odrzucił niezakręconą piersiówkę na siedzenie. Rękawem munduru otarł usta. Podobnie jak kierowca przybliżył twarz do szyby. Wzrok jednak miał nieco zamglony i obraz mu się rozmazywał.

– Może to leśni – rzucił niepewnie.

Samochód toczył się teraz z prędkością nieprzekraczającą dwadzieścia kilometrów na godzinę.

– Nie sądzę – odparł Zębala. – Mają na sobie mundury Wojska Polskiego.

– Nasi! – ucieszył się Matysiak.

– Wydaje mi się, że tak, obywatelu kapralu! Jakie rozkazy?

– Zatrzymasz się i spytasz, czego chcą!

– Tak jest! – krzyknął szeregowy i przyspieszył do trzydziestu na godzinę.

Na środku drogi stał żołnierz i machał w stronę ciężarówki. Obok niego, na poboczu po prawej stronie, był zaparkowany willys z podniesioną maską. W środku siedziało dwóch żołnierzy leniwie palących papierosy. Matysiak uśmiechnął się pod nosem. Albo zabrakło im paliwa, albo zajeżdżili samochód i teraz mają problem. Odkręcił szybę.

– Kapral Matysiak! – krzyknął, kiedy ciężarówka zatrzymała się przy stojącym na poboczu żołnierzu. – Co się stało?

– Kapral Ryśkowski! – krzyknął nieznajomy, salutując. – To alianckie gówno się rozkraczyło na środku drogi i szeregowy Florczak próbuje naprawić, ale coś mi się zdaje, że ma o tym takie samo pojęcie jak Piłsudski o demokracji ludowej!

Matysiak roześmiał się głośno. Spotkany na drodze kapral przypadł mu do gustu. Lubił takich bezpośrednich i prostych w obyciu żołnierzy. Z doświadczenia wiedział, że tacy ludzie są niezastąpionymi kompanami do gorzały, a kiedy znajdą się na linii ognia, wśród strzałów i wybuchów, to nie skrewią jak pierwszy lepszy chłopaczyna ze wsi, którego siłą wcielono do Ludowego Wojska Polskiego. Matysiak ubolewał nad tym, że nie ma czasu, gdyż chętnie lepiej poznałby się z napotkanym na drodze żołnierzem.

– Niestety, nie damy rady pomóc, bo nie ma wśród nas mechanika – oznajmił Matysiak – ale za jakąś godzinę będziemy tędy wracali, to możemy was podwieźć do miasta, a gazik weźmiemy na hol.

W tej chwili zza podniesionej maski zepsutego samochodu wyłoniła się czarna twarz Florczaka. Matysiak zauważył na jego policzku szpetną bliznę biegnąca od ust do ucha.

– Już dawno uporałbym się z tą usterką, ale brakuje mi kluczy, nie macie przypadkiem skrzynki z narzędziami? Przydałby się francuz!

– Francuz to by nam się przydał w trzydziestym dziewiątym! – Matysiak roześmiał się, po czym spojrział pytająco na swojego kierowcę.

– Wydaje mi się, że widziałem skrzynkę z tyłu na pace.

Kapral westchnął ciężko. Sięgnął ręką do klamki.

– Ja pójdę, obywatelu kapralu! – uprzedził go Zębala, błyskawicznie

otwierając drzwi. – Pozwólcie za mną! – odezwał się do mechanika, kiedy już zeskoczył z szoferki na ziemię.

Po co on go ze sobą ciągnie? – przemknęło Matysiakowi przez głowę. Zaraz jednak przestał się nad tym zastanawiać, gdyż stanął przed dużo poważniejszym problemem. Spotkany na drodze kapral Ryśkowski, który jeszcze kilka chwil wcześniej wydawał mu się skądinąd sympatycznym człowiekiem, jednym szarpnięciem otworzył drzwi od strony pasażera i mierzył teraz do niego z pistoletu.

– Siedz grzecznie, to może ocalisz życie – powiedział lodowatym tonem.

Matysiaka zmroziło. Nigdy do tej pory nie widział, żeby jakikolwiek człowiek w tak krótkim czasie przeszedł taką przemianę. W ułamku sekundy ulotnił się sympatyczny kapral Ryśkowski, z którym można było wypić wiadro księżycówki i z ułańską fantazją strzelać do leśnych bandytów. Teraz stał przed nim zimny, wyrachowany zabójca, gotowy w każdej chwili pociągnąć za spust. Matysiak zrozumiał, że dał się wyprowadzić w pole. Stracił czujność. Teraz było już za późno, żeby naprawić błąd. Należało za wszelką cenę ocalić życie, a później wymyślić jakąś wiarygodną historię o tym, jak w podstępny sposób zostali napadnięci na leśnym trakcie przez przeważające siły wroga.

– Nie będzie żadnych kłopotów – rzekł lekko drżącym głosem i wolno położył dłonie na kierownicy, tak żeby celujący do niego z przedwojennego visa mężczyzna je widział.

Od momentu kiedy ciężarówka zaczęła zwalniać, a później całkowicie zatrzymała się na drodze, Morawski czuł, jak jego czoło oblewa zimny pot. A więc to już – pomyślał. Serce w piersi waliło mu jak skrzydła wielkiego ptaka o pręty zbyt ciasnej klatki. Próbował przypomnieć sobie słowa modlitw, których w dzieciństwie uczyła go babcia. Wszystkie mu się jednak poplątały i zlały w jedną. Eskortujący ich żołnierze siedzieli spokojnie. Nie dzielali niepokoju więźniów. Pepesze niczym uspihone psy warowały na ich kolanach, w każdej chwili gotowe z głośnym jazgotem pokąsać ołowiem wroga.

Po chwili ujrzeli głowę szeregowego Zębali. Towarzyszył mu jakiś

drugi, nieznany im żołnierz. Morawski przyjrzał mu się z ciekawością. Nagle zamarł. W pierwszej chwili pomyślał, że mu się przywidziało. Mocniej wyteżył wzrok i całą uwagę skupił na czapce towarzyszącego szoferowi wojaka. Nie, nie wydawało mu się. Tylko czemu ci idioci tego nie widzą? Przecież siedzą znacznie bliżej i bez problemu powinni zauważyć, że orzełek na czapce towarzyszącego Zębali żołnierza ma na głowie koronę.

– Czemu stoimy? – spytał żołnierz z eskorty.

– Popsuł im się samochód. – Zębala wskazał ruchem głowy towarzyszącego mu mężczyznę. – Chcą pożyczyć od nas parę narzędzi!

Brodzki, słysząc głos Zębali, spojrział w jego kierunku. Skąd on się tutaj wziął? – zastanawiał się, przypatrując wskakującemu na platformę szeregowcowi, w którym rozpoznał swojego leśnego kompana – Szopena. Wcześniej widział tylko pięciu mężczyzn z eskorty i ich kaprała, kierowcy nie mógł się przyjrzeć, gdyż ten siedział już w szoferce. Pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Gdzie ta skrzynka? – spytał towarzyszący Zębali wojskowy mechanik.

Eskortujący żołnierze rozejrzeli się zdezorientowani. Dwóch odłożyło na bok pistolety maszynowe i schyliło się, żeby zobaczyć, czy skrzynka nie leży przypadkiem pod ławką.

Zębala kątem oka zerknął na Florczaka, który sięgnął ręką do tyłu i wyciągnął wciśnięty za pasek na plecach pistolet.

– Biorę tych po prawej – szepnął, również wyjmując pistolet.

To, co nastąpiło chwilę później, niewiele miało wspólnego z walką. Pijani żołnierze byli tak zaskoczeni, że nie zdążyli w żaden sposób zareagować. Najpierw zginęli trzej siedzący na ławce. Napastnicy spokojnie mierzyli, oddając po dwa strzały. Jeden w okolice serca, drugi w głowę. Morawski przyglądał się temu z przerażeniem. Huk następujących po sobie wystrzałów rozsadzał bębunki w uszach. Wokół unosił się zapach prochu. Padający mężczyźni nie zdążyli wydać z siebie żadnego jęku. Śmierć przyszła nagle. Nie byli na nią przygotowani. Nikodem obserwował, jak dwaj szeregowcy, którzy schylili się, by pod ławką szukać skrzynki z narzędziami, wstają teraz powoli z podniesionymi nad głowę rękoma. Nie mogli wydobyć z siebie nawet słowa. Chcieli prosić o litość, ale z ich ust nie wyszedł żaden artykułowany dźwięk.

– Którego wybierasz? – spytał Zębale właściciel czapki z orzełkiem w koronie.

– Biorę tego, który właśnie złał się w spodnie!

Morawski przyjrzał się szeregowcom. Rzeczywiście, u jednego z nich pojawiła się na spodniach ciemna, wciąż powiększająca się plama.

– Nie zabijajcie! – Żołnierz o mocniejszych nerwach i silniejszym pęcherzu uklęknął przed mierzącymi do niego mężczyznami. W tym czasie jego towarzysz jęczał cicho, w każdym swoim słowie przywołując mamę.

– Oszczędźcie nas! Jesteśmy Polakami! Tak samo jak wy!

Wspólnik Zębali się skrzywił. Szpetna blizna na jego policzku wydała się w tym momencie jeszcze straszniejsza.

– Kim jesteście? – spytał z niedowierzaniem.

– P-P-Polakami – wykrztusił w końcu klęczący.

– No nie, do Polaków nie będę strzelał! – wciąż ściskając w dłoni pistolet, podszedł do szeregowców. Chwycił jednego z nich za guzik munduru i szarpnął mocno. Przyjrzał się pod światło trzymanemu między palcami guzikowi. Jego mało przyjemną twarz ponownie wykrzywił grymas niezadowolenia.

– Co to jest?! – ryknął, podsuwając guzik przed oczy klęczącego mężczyzny.

– Orzełek – wyszeptał tamten bez przekonania.

– A kto mu, kurwa, zdjął koronę?!

Szeregowiec wzruszył ramionami. Bał się odezwać. Chciał żyć.

– Przepraszam... – wyszeptał, łkając.

Florczak upuścił guzik na podłogę.

– Nieprawdziwy guzik, nieprawdziwy Polak – powiedział.

Zrównał się z Zębale. Wymierzył do żołnierza, z którym przed chwilą rozmawiał. Pociągnął za spust. Huknął strzał. Trafiony mężczyzna zachwiał się na kolanach i przewrócił. Zanim upadł, drugi pocisk trafił go w czoło.

– Masz kluczyki? – spytał Zębala, patrząc na żołnierza w mokrych spodniach.

Ten zdołał tylko pokiwać głową.

– Wyjmij je i rozkuj więźnia o czarnych włosach!

Szeregowy trzęsącymi się dłońmi wyjął kluczyki. Podeszedł do Brodzkiego. Chwilę trwało, zanim udało mu się trafić kluczem w zamek od kajdanków. Przy trzecim podejściu mu się powiodło. Więzień był wolny.

– Dasz radę zeskoczyć z budy? – spytał mężczyzna z blizną.

– Nic mi nie jest, tylko gębę mi trochę obili – odparł Brodzki, rozmasowując nadgarstki. – Co z nim zamierzacie zrobić? – spytał, wskazując na Morawskiego.

Szopen wzruszył ramionami.

– Andrzej zdecyduje! Idź do niego! Stoi przy szoferce, pilnuje tego kaprała, co miał was rozwalić.

Jurek zeskoczył z ciężarówki. Na poboczu drogi zobaczył gazik. Obok niego z gotowymi do strzału pepeszami stali przebrani w wojskowe mundury Żyłka i Kudłaty. Przypatrywali się leśnej drodze, na której w każdej chwili mógł pojawić się ktoś niepożądany. Uśmiechnęli się, widząc, że odbity przez nich więzień jest w dobrej kondycji i sam może się poruszać.

– Jak ci w tym sanatorium było? – spytał Kudłaty.

– Lepiej z wami w lesie! – odparł Jurek.

Przy szoferce stał Andrzej. Cały czas trzymał na muszce kaprała Matysiaka.

– Dobrze cię widzieć – przywitał Jurka. – Siostra się o ciebie zamartwiała.

Brodzki wyczuł, że coś jest nie tak. Ryś nigdy nie mówił w ten sposób o Basi. Coś się musiało wydarzyć. Podeszedł do Andrzeja, złapał go za szyję i delikatnie przyciągnął do siebie.

– Dziękuję – wyszeptał.

Ryś szybko wyswobodził się z objęć przyjaciela. Nawet na moment nie spuścił wzroku z coraz obficiej pocącego się Matysiaka.

– Zrobiłbyś to samo dla mnie – odparł krótko.

Jurek nic nie odpowiedział. Chciał wierzyć, że jego przyjaciel ma rację.

– Co chcesz zrobić z Morawskim?

– Najchętniej bym go zastrzelił tu i teraz – wycedził Ryś. – Jednak w tej chwili Morawski jest zbyt cenny. Zabijając go, wyświadczyłbym

czerwonym przysługę. Na razie zabierzemy go ze sobą, a co dalej, zobaczymy.

Brodzki nieświadomie odetchnął. Żołnierzy z eskorty nie było mu żal, chociaż wcale nie musieli zginąć. Mogli ich oszczędzić. Oddział do tej pory nie działał w tak bezwzględny sposób. Musiało stać się coś, o czym jeszcze nie wiedział. W tej chwili zdał sobie sprawę, że Andrzej zabrał ze sobą na akcję tylko czterech chłopaków. Gdzie reszta?

Dalsze rozmyślenia przerwał huk wystrzału. Potem drugi. Zaraz po nich z platformy ciężarówki wypadł na ziemię skuty kajdankami Nikodem, a po nim zeskoczył Bohun, który wcześniej udawał mechanika Florczaka. Brodzki zrozumiał, że przed chwilą zginął ostatni z eskortujących go żołnierzy.

Zrozumiał to także Matysiak. Z przerażeniem spojrzał na Rysia. Wiedział, że teraz nadeszła kolej na niego.

– Wsiadaj! – krzyknął do niego Ryś.

Kapral posłusznie wyskoczył z szoferki. Stał przed Andrzejem. Podniósł ręce nad głowę i czekał.

– Macie radio?

Matysiak zaprzeczył.

– Jak miałeś skontaktować się z dowództwem po egzekucji?

– Radio jest w koszarach – zaczął kapral. Miał nadzieję, że jak wszystko powie, to uda mu się ująć z życiem. – Po powrocie miałem przekazać drogą radiową meldunek, że wszystko się powiodło.

– Daleko mieliście ich jeszcze wieźć?

– Niecały kilometr stąd jest polanka z wykopanym dołem i tam... – Matysiak urwał. Spojrzał na przysłuchujących się wszystkiemu Brodzkiego i Morawskiego – ...i tam mieliśmy wykonać rozkaz przełożonych.

Andrzej pokiwał głową, jakby w pełni rozumiał zapijaczzonego kaprala o nader wydatnym brzuchu, w którym wątroba musiała już rozrosnąć się do rozmiarów okazałego kalafiora.

– Czyli droga z miejsca egzekucji do koszar zajęłaby wam półtorej godziny?

– Jakby szeregowy Zębala przycisnął gaz... – zaczął Matysiak i nagle zdał sobie sprawę z gafy, jaką popełnił.

Ryś z politowaniem pokręcił głową. Przeraziła go świadomość, że w komunistycznym wojsku służą podobni do Matysiaka ludzie, których myślenie nigdy nie było najmocniejszą stroną. Od zawsze jednak byli oni przyzwyczajeni do ślepego wykonywania rozkazów.

– Chłopaki! – krzyknął. – Mamy około godziny, zanim w Warszawie zorientują się, że więźniowie zostali odbici. Wskakiwać do gazika, za chwilę odjeżdżamy!

– Unieruchomić ciężarówkę? – spytał Bohun.

Ryś przytaknął.

Matysiak oblizwał wysuszone usta. Zastanawiał się, czy gdy już ci bandyci odjadą, uda mu się jeszcze co nieco wytrząsnąć z porzuconej na siedzeniu w szoferce manierki.

– A jeżeli chodzi o ciebie – Ryś podrapał się łufą pistoletu po głowie – to mam jeszcze jedną prośbę.

– Tak?

– Obiecasz mi, że jak odjedziemy, to zostaniesz tutaj...

Kapral ochoczo skinął głową. Zrozumiał, że i tym razem szczęście będzie mu sprzyjało. Raz jeszcze wyjdzie cało z opresji, w której pięciu jego podkomendnych straciło życie. A jemu znowu się udało. I kto jest górą? Niezatapialny kapral Matysiak!

– ...nie ruszysz się stąd...

– Tak jest! – krzyknął, nie mogąc się powstrzymać.

Ryś pokręcił z dezaprobatą głową.

– Nie lubię, jak mi się przerywa...

– Przepraszam – odezwał się Matysiak, znowu wchodząc w zdanie Andrzejowi.

– Wiesz co, nie do końca jestem przekonany, że nie odejdziesz stąd, by zaalarmować swoich przełożonych o ucieczce.

– Przysięgam, że nie odejdę stąd nawet na krok!

Ryś cmoknął. Odwrócił się w stronę gazika, w którym gnieździli się jego ludzie i odbici więźniowie. Nie spieszył się. Mieli jeszcze godzinę z okładem. Wiedział jednak, że nie ma co przedłużać swojej obecności na tej leśnej drodze.

– Potrzebuję jakichś gwarancji, że na pewno się stąd nie ruszysz.

– Jakich?

Partyzant gwałtownie wyprostował rękę, w której trzymał pistolet. Wycelował, a potem nacisnął spust.

Gdy tylko przebrzmiał huk wystrzału, dało się słyszeć krzyk trzymającego się za roztrzaskane pociskiem kolano kaprała Matysiaka, który upadł na ziemię i wił się z bólu.

Siedzący na tylnym siedzeniu gazika Brodzki nie wierzył w to, co widział. Według niego całe to krwawe przedstawienie było niepotrzebne. Wystarczyło, żeby odjechali. Zanim ktokolwiek zacząłby ich szukać, oni byliby już daleko. Przyglądając się Andrzejowi, dostrzegał w jego oczach jakieś połączone z okrucieństwem szaleństwo. Nie potrafił sobie tego wytłumaczyć. Jednego był pewien. Nie chciałby, żeby ten człowiek poślubił jego siostrę. To nie był ten sam Andrzej.

– Jedźmy już! – krzyknął z samochodu.

Ryś podniósł na niego wzrok. Jurek wyczytał z tego spojrzenia, że popełnił błąd. Nie on tu rozkazuje. Przywódca jest tylko jeden i stoi teraz z odbezpieczonym pistoletem nad krwawiącym kapralem, próbującym się od niego odczołgać.

– Przekaż tym z Warszawy, że spotkaliście po drodze Rysia, zapamiętasz?

– Tak! – powiedział przez zaciśnięte zęby kapral.

– Rysia! – powtórzył partyzant i wycelował pistolet w drugie kolano rannego.

Brodzki zamknął oczy. Huk wystrzału wydawał się teraz cichszy niż poprzednio. A może było to spowodowane tym, że byli na niego przygotowani? Jurek zrozumiał, że gdyby chwilę wcześniej nie poganiał swojego dowódcy, to obyłoby się bez drugiego strzału, który miał mu pokazać, kto tu rządzi.

– Teraz mam gwarancję, że na pewno się stąd nie ruszysz – powiedział Andrzej, chowając pistolet do kabury. – I że do końca życia mnie nie zapomnisz.

Matysiak przez mgłę bólu widział, jak jego oprawca wskakuje do gazika na siedzenie obok kierowcy. Zdążył jeszcze usłyszeć warkot silnika oraz poczuć pęd powietrza wywołany przejeżdżającym tuż obok samochodem. Potem zemdlał.

Nie jestem niezatapialny, to była ostatnia myśl, która towarzyszyła kapralowi Matysiakowi, zanim stracił przytomność.

41.

Warszawa się podnosiła. Wciąż jednak wiele brakowało jej do dawnej świetności i przejeżdżający ulicami stolicy komisarz Wolak szczerze wątpił, by to miasto jeszcze kiedykolwiek zasłużyło na miano Paryża Północy. Samochód, którym się poruszali, budził zainteresowanie przechodniów, przyzwyczajonych do zaprzęzonych w konie wozów oraz wojskowych pojazdów. Chevrolet master był tutaj rarytasem. Przypominał o dawnych czasach sprzed wojny. Teraźniejszość była dla warszawiaków niezagojoną raną, która co jakiś czas się otwiera, by nigdy nie dać o sobie zapomnieć. Dlatego wspomnieniami uciekali w przeszłość, tylko z braku innej możliwości żyjąc w teraźniejszości. Stąd mogła ich wygonić jedynie śmierć. Paradoksalnie jednak oni chcieli żyć. Dziewczęta stroiły się w kolorowe sukienki, mężczyźni uśmiechali się do nich, zapraszali je do kina, potem do cukierni, a kiedy odprowadzali je do domu, kradli całusa gdzieś w bramie pod czujnym okiem dozorczy zamiatającego podwórze. Pragnęli żyć. Kochać. Zbyt wiele wycierpieli przez ostatnie lata. Nie mieli już sił walczyć, dlatego wielu z nich pogodziło się z nowym okupantem spod znaku sierpa i młota.

Mieszkanie, w którym sekretarz partii przyjął Wolaka, Wieczorka oraz towarzyszącego im Jastrzębskiego, było dość przestronne i urządzone bez zbytniego przepychu. Znajdowały się w nim jedynie najpotrzebniejsze meble. Całość przypominała niewielką salę konferencyjną. Do takich też celów służyła Bolesławowi Makowskiemu.

Sekretarz ucisnął dłonie przybyłych gości, po czym wskazał im krzesła stojące przy prostokątnym stole. Począł, aż wszyscy zajmą swoje miejsca, i wtedy usiadł u szczytu stołu, zaznaczając tym samym, kto w tej sali jest najważniejszy.

– Jak wam wiadomo... – zaczął, wodząc wzrokiem za sekretarką

rozstawiając na stole szklanki z kawą. Dziewczyna miała nie więcej niż dwadzieścia lat. Blond włosy splecione w opadający na plecy warkocz, spódniczka do kolan, ciemny żakiet, biała bluzeczka pod spodem. Mocno umalowane na czerwono usta. I okazałe piersi, falujące z każdym oddechem tak niebezpiecznie mocno, iż można było odnieść wrażenie, że za chwilę rozerwą krępującą je koszulkę i w całej swej okazałości ukażą się czterem siedzącym przy stole mężczyznom. Makowski, jak na człowieka, który przed kilkoma dniami w tragicznych okolicznościach stracił żonę, nie sprawiał wrażenia pogrążonego w żałobie męża. Kiedy sekretarka pochylała się nad nim, stawiając szklankę z parującą kawą, nawet na chwilę nie odwrócił spojrzenia od jej głębokiego dekoltu. – Sprawy nieco się skomplikowały – dokończył swoją poprzednią myśl, kiedy sekretarka zaczęła iść wolnym, rozkołysanym krokiem w stronę drzwi. W tej chwili dla zgromadzonych w sali mężczyzn nie liczyło się to, co ta dziewczyna ma w głowie. Dużo bardziej interesowało ich to, co ukrywa pod żakiem.

– Czy mogę jeszcze coś dla was zrobić, towarzyszu sekretarzu? – spytała słodkim głosem, zatrzymując się przy drzwiach.

Makowski odchrząknął. Machnął ręką, dając dziewczynie do zrozumienia, że już nie jest potrzebna.

– Później, panno Weroniko, teraz jestem zajęty.

Blondynka dygnęła lekko niczym uczennica gimnazjum przed dyrektorem i opuściła salę konferencyjną.

Wiewiór uśmiechnął się lubieżnie. Wyobraził sobie, co na miejscu Makowskiego wyprawiałby z taką dziewczyną na stole, przy którym siedzieli.

Pierwszy ocknął się Wolak.

– Co miał pan na myśli, mówiąc, że sprawy nieco się skomplikowały?

Makowski wahał się jeszcze przez moment. Niby już podjął decyzję, ale wciąż nie był pewien, czy może tych dwóch przedwojennych komisarzy wtajemniczać w informacje dotyczące wypadków z ostatnich dni. W końcu postanowił im zaufać. Nie ryzykował zbyt wiele. Teraz i tak ich życie leży w jego rękach.

– Nikodem Morawski i Jerzy Brodzki są na wolności. Udało im się zbiec, kiedy byli więzieni w miejsce egzekucji.

Wiewiór parsknął śmiechem. Makowski zgromił go spojrzeniem. Nic

jednak nie mógł zrobić. Nie miał nad inwalidą żadnej władzy. Nie dało się go zastraszyć, nic też już nie można było mu odebrać. Ten brak kontroli nad Wieczorkiem sprawiał, że Makowski pałał do niego jeszcze większą niechęcią.

– Jak to uciekli? – zdziwił się Jastrzębski. – Przecież w gazetach można było przeczytać, że obaj nie żyją i taki sam los spotka wszystkich, którzy ośmielą się podnieść rękę na władzę ludową...

– Wiem, co napisano w gazetach! – przerwał mu ze złością sekretarz. – Sam zresztą podyktowałem mojej sekretarce artykuł, który ona później wysłała do prasy! Wcześniej czy później obaj bandyci i tak zginą, dlatego to, co zostało wydrukowane, niekoniecznie mija się z prawdą.

Wiewiór pokręcił z politowaniem głową. Sięgnął po stojącą na stole cukiernicę i szczerze posłodził sobie kawę.

– Oczywiście chodzi o to, żeby wspomniani przez pana bandyci zostali jak najszybciej schwytani, a informacje, jakie tutaj usłyszeliśmy, pozostały w tym pokoju?

Makowski pokiwał głową.

Wiewiór zaczął głośno mieszać łyżeczką kawę.

– Nie ściągnął nas pan jednak po to, byśmy przyczynili się do schwytania uciekinierów, jaka jest więc nasza rola?

Sekretarz poczekał, aż inwalida skończy mieszać kawę. Wiewiór spojrzał na niego, po czym wyciągnął łyżeczkę ze szklanki i z namaszczeniem dokładnie ją oblizał, a potem odłożył na mały spodeczek.

– Waszym zadaniem będzie odnalezienie człowieka, który na dzień przed rozprawą sądową Nikodema Morawskiego zamordował kolejną kobietę. – Makowski podniósł się z krzesła. Podeszedł do stojącej pod ścianą pancernejszy kasy i wyjął z niej tekturową aktówkę, którą położył na stole przed Wolakiem. – W środku są zdjęcia zamordowanej. Proszę się z nimi zapoznać. Moi ludzie, którzy byli na miejscu zbrodni, są oczywiście do waszej dyspozycji. W każdej chwili możecie z nimi porozmawiać. Chciałbym jednak, żeby w śledztwie pomagał wam mój człowiek.

Wolak spojrzał pytająco na sekretarza.

– Kto?

– Edward Jastrzębski, którego już zdążyliście poznać.

Dwaj przedwojenni komisarze pokiwali głowami. Dobrze rozumieli, że

zadaniem Jastrzębia wcale nie miała być pomoc, lecz kontrolowanie ich postępów w śledztwie i pilnowanie, aby nie zrobili czegoś, co godziłoby we władzę ludową. Musieli jednak na to przystać.

Wolak upił łyk kawy. Miał ochotę na papierosa, ale nie był pewien, czy może sobie na to pozwolić. Pokój był starannie wywietrzony, a na stole nie zauważył żadnej popielniczki.

– Mam pytanie – powiedział, odstawiając szklankę na spodek.

– Słucham? – Makowski położył ręce na stół, przyglądając się mankietom swojej koszuli i zdobiącym je spinkom.

– Kto i na jakiej podstawie powziął przypuszczenie, że to Morawski zamordował pańską żonę?

– Wynikało to z prowadzonego przez śledczych dochodzenia, poza tym wszystko na to wskazywało! – Makowski zmiotł dłonią ze stołu jakieś niewidoczne dla innych okruchy. Widać było, że zaczyna się denerwować.

– Znalaziono go w hotelowym pokoju obok Wiery, w ręku trzymał narzędzie, którym ją zamordowano. Podczas przesłuchań uparcie twierdził, że nic nie pamięta.

– A więc do niczego się nie przyznał?

– Niczemu też nie zaprzeczył!

– Jakie przesłanki miał sąd, żeby w tak szybkim czasie skazać go na śmierć?

Makowski głęboko zaczerpnął powietrza. Inwalidy nie znosił, to fakt, ale jego przedwojenny partner też całkiem dobrze sobie radził z wyprawieniem go z równowagi.

– Nie mam zamiaru rozmawiać z wami o niepodważalności wyroków wydanych przez sądy w Polsce Ludowej, jest to bowiem sprawa bezdyskusyjna! Jeżeli nie macie innych pytań, to możemy na razie zarządzić krótką przerwę na przejrzanie znajdujących się w teczce fotografii. Myślę, że wówczas nasuną się wam kolejne wątpliwości, które spróbujemy w miarę naszych możliwości wyjaśnić.

Proponowana przez sekretarza przerwa nie była głupim pomysłem, tym bardziej że Wolakowi coraz bardziej chciało się palić, a nie sądził, by wymuskany, pachnący i preferujący zdrowy tryb życia sekretarz pozwolił im na to w środku.

– Jeszcze tylko jedno pytanie – powiedział, patrząc uważnie na

sekretarza.

– Tak? – Makowski wyraźnie się niecierpliwił.

– Czy pan w to wszystko wierzy?

– W co? – spytał sekretarz, choć w głębi duszy domyślał się, o co chodzi komisarzowi. Zadaniem pytaniem chciał zyskać na czasie. Z nieznanych przyczyn odwlec moment odpowiedzi.

– Czy wierzy pan, że to Morawski zamordował pana żonę?

W pomieszczeniu zapanowała cisza, w której słychać było jedynie, jak sekretarz nerwowo bębni palcami w blat stołu. Trzy pary oczu wpatrywały się w niego, czekając na odpowiedź.

– Dwadzieścia minut przerwy – rzekł, podnosząc się z krzesła. – Proszę obejrzeć zdjęcia, one na pewno zmuszą was do zadawania bardziej konstruktywnych pytań.

Wolak i Jastrzębski również wstali.

– Ty, z tego, co zdążyłem zauważyć, chciałbyś na osobności zamienić kilka słów ze swoim przełożonym? – zwrócił się Wolak do zdziwionego Jastrzębia.

– Nie rozumiem.

– Towarzysz sekretarz z pewnością jest ciekawy, jak minęła nam podróż, dlatego chętnie wysłucha twojej relacji, a my w tym czasie zapalimy i obejrzymy zdjęcia.

Jastrzębski stał zdezorientowany. Komisarz się uśmiechnął. Podszedł do wózka z siedzącym nań Wieczorkiem.

– Dotrzymaj towarzystwa sekretarzowi, a my niebawem wrócimy!

W Jastrzębskim się zagotowało. Opanował się jednak i przywołując na twarz uśmiech, powiedział:

– Lubicie to robić we dwóch, co?

Wolak właśnie chciał coś powiedzieć, ale uprzedził go Wiewiór, który już trzymał w ustach nieodpalonego papierosa.

– A ty się jeszcze nie nauczyłeś w parze z kimś? Ciągłe jesteś na etapie ręki pod kołdrą?

Tym razem nawet przysłuchujący się temu Makowski nie wytrzymał i parsknął śmiechem. Pomyślał, że jeżeli ci dwaj tworzą tak zgrany duet również podczas pracy dochodzeniowo-śledczej, to nic dziwnego, że przed

wojną prasa nazywała ich „najlepszymi tropicielami stolicy”.

– Co o tym wszystkim myślisz? – spytał Wiewiór, kiedy wraz z Wolakiem znaleźli się na korytarzu.

Komisarz otworzył szeroko okno, przy którym się zatrzymali. Przyjął od swojego przyjaciela papierosa, podał mu ogień.

– Uważam, że Makowski coś ukrywa, wbrew sprawianemu wrażeniu nie mówi nam całej prawdy – rzekł ściszym głosem.

– Skąd takie przypuszczenie?

Wolak zaciągnął się papierosem. Rozejrzał dookoła. Na korytarzu kręcili się jacyś ludzie, ale nie zwracali na nich uwagi. Wolaka prawie nie zauważali, nieco dłużej ich spojrzenie zatrzymywało się na inwalidzie. Nikt jednak nie stał na tyle blisko, by móc słyszeć, o czym rozmawiają.

– Widziałeś, w jaki sposób Makowski patrzył na tę swoją sekretarkę?

Wiewiór się uśmiechnął.

– Wyglądał tak, jakby natychmiast miał ochotę ją przelecieć, przeszkadzała mu w tym tylko nasza obecność.

– No właśnie, też odniosłem wrażenie, że dosyć szybko otrząsnął się po stracie żony. Może to tylko przecucie, ale jak pamiętasz, rzadko kiedy mnie ono myliło. Facet nie wierzy, że Morawski stoi za morderstwem, a mimo to doprowadza do jego osądzenia i skazania na karę śmierci. Dlaczego?

– Nie zapominaj, że Morawskiego znaleziono w pokoju hotelowym z zamordowaną Sonikówną, poza tym jest wielu świadków, którzy zeznali, że w noc poprzedzającą morderstwo oboje bardzo dobrze bawili się w restauracji hotelowej. Jak sam wiesz, istnieje coś takiego jak męska duma, która tutaj została zraniona. Trzeba być kompletnym idiotą, by myśleć, że młody, przystojny Morawski zamknięty w pokoju z piękną Wierą tylko pił z nią szampana! Makowskiemu doprawiono rogi i wykorzystał nadarzącą się okazję, żeby zemścić się na kochanku swojej żony. Zrobił to z zimną krwią. Przy okazji upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Pozbył się nie tylko mężczyzny, który przeleciał mu żonę, ale całemu społeczeństwu pokazał, że w ludowym systemie władzy

morderca nie zdoła się ukryć przed wymiarem sprawiedliwości. Nie przewidział jedynie, że Morawskiemu uda się uciec, co sprawiło, że jeszcze bardziej się udupił!

Wolak spokojnie przysłuchiwał się koledze. Palił i patrzył przez wychodzące na podwórze okno. Widział tam grupkę dzieci grających w klasy. Na chwilę zapomniał o całym bagażu wojny i partyzantki. Poczł się, jakby tego w ogóle nie było. Jakby z 1939 przeskoczył do 1948 roku. Przez chwilę ponownie stał się komisarzem, który ze swoim partnerem prowadzi śledztwo dotyczące seryjnego zabójcy kobiet.

– Mimo wszystko – zaczął, powoli wracając do rzeczywistości – cieszę się, że jestem tu z tobą.

Wiewiór zmarszczył czoło. Nie rozumiał, o co chodzi przyjacielowi.

– Co?!

– Jeszcze przed paroma dniami wydawało mi się, że nigdy więcej nie ujrę mojego ukochanego miasta, a tego, że będę jeszcze miał kiedykolwiek okazję prowadzić dochodzenie, i to razem z tobą, w ogóle nie brałem pod uwagę. Życie jest jednak pełne niespodzianek.

Wiewiór prychnął, po czym wyrzucił przez otwarte okno tłącego się papierosa.

– Może jeszcze powiesz, że za kilka dni odrosną mi nogi?!

Wolak popatrzył na niego. Zaciągnął się po raz ostatni i zdusił niedopałek w popielniczce stojącej obok wózka inwalidy.

– Dlaczego śmiesz? – spytał z wyrzutem. – Mogłeś tu skiepować.

– Dlaczego śmiesz? – przedrzeźniał go Wieczorek. – Najbardziej w tym mieście naśmiecili hitlerowcy, a ty się czepiasz o jednego wyrzuconego przez okno peta! Zastanów się nad sobą! Może ten pobyt w lesie nie za bardzo ci się przysłużył?!

Wolak zdjął z parapetu szarą teczkę. Otworzył ją i wyjął z niej zdjęcia. Przez chwilę przyglądał im się w milczeniu. Jeśli ktoś przypatrywałby się przez te kilkanaście sekund twarzy starego komisarza, dostrzegłby na niej całą gamę malujących się emocji. Zaskoczenie tym, kogo zobaczył na fotografiach, przerażenie wywołane okrucieństwem oprawcy, współczucie dla rodziny ofiary, którą dobrze znał, oraz bezsilna wściekłość na to, że nie potrafił zapobiec kolejnej bestialskiej zbrodni. Wszystko to odmalowało się na zmęczonej twarzy starego komisarza.

– On powrócił – wyszeptał, pokazując Wiewiórowi zdjęcia. – Przez cały ten czas miałem nadzieję, że nie przeżył wojny! Kurwa mać! Tylu niewinnych, dobrych ludzi zostało wywiezionych do obozów zagłady, rozstrzelanych, zasypanych gruzami bombardowanych domów, zabitych w czasie powstania, a takie bydlę przeżyło!

– Rozumiem twoją wściekłość. – Wiewiór bez emocji przyglądał się zdjęciom. – Ja też codziennie sobie zadaję pytanie, dlaczego to spotkało akurat mnie. Dlaczego nie kogoś innego?! Każdej nocy prześladowuje mnie ten sam sen, jak spaceruję po plaży nad brzegiem morza, beztrąsko schylam się po leżące w piasku muszelki. Później zamienia się on w koszmar, w którym wciąż jeszcze jestem na plaży, wokół szumi morze, a ja siedzę na tym swoim cholernym wózku i nie mogę przejechać ani w jedną, ani w drugą stronę, bo koła ugrzęzły w piasku. Nie mam siły, żeby ruszyć z miejsca. Nad ranem budzę się cały spocony i wtedy uświadamiam sobie, że koszmar się nie skończył!

– Znałem tę dziewczynę – powiedział Wolak.

– Domyślam się. – Wiewiór sięgnął po kolejnego papierosa, poczęstował także swojego partnera. – Nie wiem jedynie, co cię z nią łączyło.

Wolak intensywnie się nad czymś zastanawiał. Zaciągał się mocno papierosem, jakby dym miał pomóc mu w odpowiedzi na dręczące go pytanie.

– On się pomylił – powiedział w końcu.

– Kto się pomylił?

– Morderca. Przed chwilą powiedziałaś, że nie dziwi cię, że znam tę dziewczynę, ale nie wiesz, co mnie z nią łączy. Wykluczyłeś zatem, że mogła być moją kochanką, prawda?

Wiewiór pokiwał wolno głową.

– Morderca natomiast pomylił ją z kimś innym.

– Z kim?

Wolak zerknął na zegarek i zrobił coś, co zaskoczyło przyglądającego mu się Wiewióra. Podszedł do okna i wyrzucił przez nie niedopalonego nawet do połowy papierosa.

– Wracamy do Makowskiego! Potrzebuję adresu zamordowanej! Musimy ostrzec jej siostrę!

42.

Są pewne rodzaje brudu, których nie da się zmyć nawet najdłuższą kąpielą – pomyślała Barbara Brodzka, siedząc w dużej, napełnionej ciepłą wodą balii. W mieszkaniu nikogo nie było. Ojciec siedział w karczmie, topiąc tam smutki i powoli godząc się ze stratą swego ukochanego syna, Jerzego. Odkąd przyszło do nich pisemne zawiadomienie o wykonaniu wyroku śmierci na Jurku i tym mordercy kobiet, którego sądzono razem z nim na zamkniętej rozprawie, stary Brodzki kompletnie się załamał.

Helena Brodzka wiadomość o stracie starszego syna przyjęła z zaskakującym spokojem. Nikomu się z tego nie zwierzała, ale odkąd Juruś zadał się z Rysiem i wstąpił do partyzantki, jej serce drżało o niego każdego dnia. W końcu postanowiła jego los powierzyć Bogu, w myśl zasady: „nie moja, ale Twoja wola niech się stanie”. Od tego momentu żyło jej się znacznie łatwiej. Wiedziała, że cokolwiek by się z jej synem miało wydarzyć, ona i tak nie ma na to żadnego wpływu. Wiadomość o jego śmierci przyjęła ze spokojem. Jednak od tamtej pory jeszcze więcej czasu spędzała na modlitwach. Teraz również poszła pod kapliczkę, by wraz z innymi kobietami odśpiewać tam litanie loretańską.

Marek natomiast wydorósł. Złożyło się na to kilka przykrych dla niego doświadczeń z ostatnich dni. Najpierw opuszczenie wsi przez Hanę Bralewską, w której od dzieciństwa się podkochiwał, później śmierć brata, będącego dla niego zawsze wzorem do naśladowania. Młody Brodzki zrozumiał, że jest teraz odpowiedzialny za rodzinę. Ojciec stawał się coraz starszy, dodatkowo osłabiła go zarówno psychicznie, jak i fizycznie wiadomość o egzekucji Jurka oraz to, że nie mógł zdobyć informacji o miejscu jego pochówku. Bezskutecznie próbował czegokolwiek dowiedzieć się od komendanta Wacława Hrabskiego, który uparcie powtarzał, że nawet jemu nie chcą zdradzić, gdzie pochowano Jerzego. Od kiedy rodzina Bralewskich musiała opuścić swoją posiadłość, a zajęło ją

wojsko i UB, Marek najął się tam do pracy. Pomagał przy oporządzeniu zwierząt i innych czynnościach gospodarskich. Zaprzyjaźnił się nawet z koniuszym, co nie bardzo podobało się pani Brodzkiej, która uważała Romualda Zycha za człowieka zbyt często zaglądnącego do kieliszka. Nowa praca Marka, mimo że dobrze płatna, nie znalazła również uznania w oczach jego ojca. Nie podobało mu się, że jego młodszy syn „jest na usługach czerwonych”. Chłopak nie zrażał się tym wszystkim i cieszył się z nowego zajęcia, które nie tylko pozwalało mu zarobić, ale przede wszystkim sprawiało, że każdego dnia mógł doglądać, co się dzieje w dawnej posiadłości Bralewskich. A przecież obiecał to swojej ukochanej Hance. Wierzył, że gdy tylko dziewczyna się dowie, jak bardzo wziął sobie jej prośbę do serca, to nie ominię go zasłużona nagroda. Kto wie, może nawet uda mu się skraść pocałunek? Takie myśli dodawały Markowi sił i sprawiały, że smutek spowodowany śmiercią brata schodził na dalszy plan. Martwił się, że zamiast rozpaczać po Jurku, rozmyśla o pewnej trochę rozpieszczonej dziewczynie, której kiedyś po kryjomu przynosił papierosy.

Basia zanurzyła się głębiej. Woda pieniała się od mydła. Okna w izbie były zasunięte grubymi zasłonami. Na stole paliło się kilka świeczek. Pod kuchnią płonął ogień, na którym wcześniej dziewczyna podgrzała wodę do kąpieli. Przymknęła powieki. Było jej przyjemnie. Czuła ciepło, bezpieczeństwo i coś jeszcze, czego nie potrafiła nazwać. Wiadomość o śmierci brata przyjęła z ogromnym smutkiem i jednocześnie z wściekłością. Złość była spowodowana tym, że poczuła się oszukana przez tego młodego oficera UB, który okłamał ją, mówiąc, że ocali Jurka. Ze złością poradziła sobie dosyć szybko. Dużo ciężiej było jej ze smutkiem, który miał źródło w przeświadczeniu, że w obecnej sytuacji dalsze nocne wizyty w pokoju Jastrzębskiego nie będą niczym usprawiedliwione. A w tej chwili Basia nie potrafiła sobie wyobrazić, że już nigdy nie spotka się z wysokim, smukłym blondynem o niebieskich oczach, w których cała tonęła.

Dziewczyna poczuła, jak robi jej się jeszcze cieplej. Sięgnęła po mydło, które upadło na dno balii. Przez jakiś czas go szukała. Dłonie ślizgały się po piersiach, lekko musnęły sutki, które od razu odpowiedziały na dotyk, twardniejąc. Basia się zawstydziała. Otworzyła oczy. W izbie panował półmrok. Przez chwilę się nie poruszała. Nasłuchiwała dochodzących z zewnątrz odgłosów. Nie spodziewała się powrotu żadnego z domowników wcześniej niż przed zmrokiem. Pierwsza pewnie przyjdzie

matka, później Marek. Przez jakiś czas będą czekać na ojca, w końcu bez niego zasiądą do wieczerzy, a później, nocą, Marek wyjdzie do karczmy, by stamtąd przyprowadzić zamroczonego alkoholem Michała Brodzkiego. Basia miała więc co najmniej dwie godziny dla siebie. Z podwórka nie dobiegał żaden niepokojący odgłos. Dziewczyna ponownie przymknęła oczy. Jej dłoń, tym razem już nieco śmieiej, powędrowała w stronę piersi. Palce znów dotknęły stwardniałych sutków. Pocierała je, przypominając sobie, jak robił to Edward. W pewnym momencie poczuła przebiegający jej ciało dreszcz podniecenia. Na przedramionach pojawiła się gęsia skórka. Dziewczyna cicho jęknęła. Przestraszyła się samej siebie. Otworzyła oczy. Spojrzała w stronę drzwi, chcąc się upewnić, że zamknęła je na haczyk. W tym samym momencie jej wzrok padł na wiszący nad framugą drewniany krucyfiks. Przeżegnała się szybko.

– Wybacz mi, Jezu – wyszeptała ze wstydem.

Zamknęła oczy. Wyrzuty sumienia zniknęły. Twarz Chrystusa była teraz niewyraźnym wspomnieniem wiszącego na krzyżu mężczyzny, któremu później zapali świeczkę, następnie klęknie i w pokorze wyszepta modlitwę.

Włożyła dłoń pod wodę. Palce szybko odnalazły ciepłe miejsce, które każdą swoją częścią prosiło o dotyk. Delikatnie potarła miejsce, które przed kilkoma dniami całował Jastrzębski. Pod zamkniętymi powiekami pojawił się obraz młodego oficera Urzędu Bezpieczeństwa, który odkrył przed nią świat cielesnych rozkoszy, jakich wcześniej nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Oddając mu się, odrzuciła cały wstyd, do tej pory towarzyszący jej w intymnych kontaktach.

Odruchowo oblizła usta. Jej oddech stał się przyspieszony. Zanurzony w wodzie palec coraz szybciej pocierał miejsce, na którym usta Jastrzębskiego odciskały swe gorące pocałunki. Dziewczyna jęknęła, najpierw cicho, potem trochę głośniej. Włożyła palec do środka. Wyobraziła sobie, że jest z nią Jastrzębski. Wyprostowała i szeroko rozsunęła nogi. Nie panowała nad swoim ciałem. Przygryzła mocno wargi, by powstrzymać rodzący się w niej krzyk. Otworzyła oczy. Wyobraziła sobie, co mógłby pomyśleć ktoś, kto by ją teraz zobaczył. Siedziała w balii z szeroko rozrzuconymi nogami, stopami prawie dotykając drewnianej podłogi. Mokre od potu włosy oblepiały jej czoło. Tylko jedno słowo cisnęło jej się na usta: ladacznica. W pełni do niej dotarło, że mogłaby siedzieć w wodzie nie wiadomo jak długo jeszcze, a pewnego rodzaju

brudu i tak nie udałoby jej się zmyć. Tym brudem była hańba, którą się okryła.

Wyjęła rękę z wody. Zrozumiała, że wcale nie musi żyć tak, jak jej matka, pragnąca przez całe życie uchronić siebie i swoją rodzinę od hańby. Dziewczyna pojęła, że to, przed czym wpajano jej strach, wcale nie jest takie straszne. Da się z tym żyć. I to nawet całkiem przyjemnie.

Odwróciła wzrok w stronę drzwi. Tym razem bez strachu spojrzała na wiszący nad framugą drewniany krzyż, który w ciągu ostatnich lat wielokrotnie całowała i przed którym modliła się, prosząc o spełnienie różnych próśb. Ostatnio żarliwie modliła się wraz z matką o ocalenie Jurka. Nic z tego nie wyszło. Drewniany Chrystus był głuchy. Albo nie chciał ich wysłuchać. Basia ostrożnie wstała. Po jej nagim ciele spływały krople wody. Pobieżnie wytarła się szorstkim ręcznikiem, sięgnęła po wiszącą na oparciu krzesła halkę i włożyła ją na siebie. Kąpiel od zawsze była dla niej bardzo przyjemna, a dzisiaj przekonała się, że może stać się jeszcze przyjemniejsza.

Każda rozkosz ma jednak swoją cenę. Teraz należało wiaderkiem wynieść wodę na podwórze i wylać ją pod płotem. Potem dokładnie wytrzeć podłogę, na którą dzisiaj wyjątkowo mocno nachlapała. Schować balię, rozwiesić ręczniki i zabrać się do przygotowywania wieczery. Basia z westchnieniem pomyślała o tym, jak dobrze byłoby zamieszkać wraz z Jastrzębskim w dworku Bralewskich. Miałyby tam do dyspozycji wannę, z której mogłyby korzystać codziennie, i nie byłoby to tak pracochłonne i niewygodne jak kąpiel w balii. Nabrała właśnie pierwsze wiaderko wody, kiedy usłyszała, jak ktoś szarpnął za klamkę drzwi wejściowych. Po chwili rozległo się głośne, natarczywe pukanie.

– Kto tam?

– Otwieraj! – usłyszała dobiegający z zewnątrz głos Andrzeja.

Czego on tu jeszcze chce? – zastanowiła się dziewczyna. Sięgnęła po haczyk i otworzyła drzwi. Wtedy uświadomiła sobie, że podobnie jak podczas ich ostatniego spotkania, ma na sobie tylko halkę, która przykleiła się do mokrego ciała i w wielu miejscach prześwitywała, ukazując fragmenty jędrnego ciała. Wstyd jednak opuścił ją bezpowrotnie.

Andrzej przepuścił w progu mężczyznę, który stał za nim. Po chwili obaj byli już w kuchennej izbie.

– Zobacz, kogo ci przyprowadziłem – rzekł partyzant, bez skrępowania

przyglądając się skąpo odzianej dziewczynie.

Basia dopiero teraz przyjrzała się mężczyźnie, który towarzyszył Rysiowi. Miał nasunięty głęboko na czoło kapelusz, dlatego nie poznała go od razu. Poza tym nie spodziewała się...

– Jurek! – krzyknęła, rzucając się bratu na szyję.

Nie wierzyła, że to prawda. Nie chciała zastanawiać się nad tym, jak to wszystko możliwe. Słowo, które pojawiło się w jej umyśle, powracało z coraz większą siłą niczym dźwięk zbliżającego się dzwoneczka. Cud, cud, cud!

Andrzej usiadł przy kuchennym stole. Beznamiętnie patrzył na Basię i jej brata. Widział ich radość, zdawał sobie sprawę, że to on jest jej sprawcą, a jednak nie czuł nic. Zupełna pustka. Jego serce ponownie stało się puste jak w dniu, kiedy zobaczył ciała swoich najbliższych rozstrzelanych przez hitlerowców. Po jakimś czasie rodzinie Brodzkich udało się w to zranione, skrwawione serce na nowo tchnąć życie. Andrzej raz jeszcze uwierzył w sens otaczającego świata. Pokochał i chciał żyć. Później został odrzucony. Zdradzony. Jego serce na zawsze zamknęło swoje podwoje.

– Na czułości przyjdzie jeszcze czas! – powiedział oschle, po czym zwrócił się bezpośrednio do Jurka: – Zostaw nas samych!

Brodzki otworzył usta, jakby chciał powiedzieć, że to on jest tutaj gospodarzem, ale powstrzymał się i patrząc czule na siostrę, rzekł:

– Poszukam jakichś ubrań na zmianę, myślę, że Marka ciuchy będą na mnie pasować. – Nachylił się w stronę Basi, jakby chciał pocałować ją w policzek, i wyszeptał jej do ucha: – Bądź dla niego wyrozumiała.

Dziewczyna lekko skinęła głową.

Jurek zniknął za drzwiami prowadzącymi do drugiej izby.

– Obiecałem, że przyprowadzę go żywego – odezwał się Andrzej, kiedy zostali tylko we dwoje – i dotrzymałem słowa. Dlaczego nie zaczekałaś?

– Z czym?

– Nie udawaj, że nie wiesz, o co mi chodzi!

Basia wzruszyła ramionami. Nie sądziła, żeby Andrzej mógł się czegokolwiek domyślać. Do Jastrzębskiego chodziła wieczorami i każdy, kto ją tam widział, myślał, że przychodzi po pracującego we dworze Marka. Kiedy wychodziła od Edwarda, była późna noc i oprócz siedzącego

na ganku inwalidy dziewczyna nigdy nikogo nie spotkała.

– Niczego nie udaję – odparła, patrząc śmiało w oczy Rysia.

Chłopak poderwał się gwałtownie od stołu. W dwóch susach znalazł się przy zaskoczonej dziewczynie. Złapał ją mocno za ręce i przyciągnął do siebie.

– Spałaś z nim?! – spytał, ciężko oddychając.

– Z kim?!

– Nie udawaj, że nie wiesz, o kogo chodzi! – Andrzej mocniej ścisnął dziewczynę, przyciągając ją jeszcze bliżej do siebie, tak że ich ciała się dotykały. – Spytam jeszcze raz: Spałaś z tym oficerem z Warszawy?

Basia, pomimo towarzyszącego jej strachu, poczuła, że Andrzej ma erekcję. Przyłgnęła do niego jeszcze mocniej. Nie miała wątpliwości, przez cienką halkę dotykało ją coś twardego i z pewnością nie był to schowany w kieszeni partyzanta pistolet.

– Podnieca cię to? – spytała, patrząc w oczy byłemu narzeczonemu.

– Co?!

Basia poruszyła biodrami, ocierając się o wypchniętą erekcją spodnie Rysia. Poczuła, jak trzymające ją dłonie zaciskają się jeszcze mocniej.

– Jeśli cię to podnieca – Basia wolno wypowiadała każde słowo, przylegając jeszcze mocniej do mężczyzny – to wiedz, że już nigdy tego ode mnie nie dostaniesz. A za odbicie Jurka możesz liczyć na to, że zawsze w listopadzie będziesz miał na grobie zapaloną świeczkę! Nic więcej!

Ryś nie wierzył własnym uszom. Puścił dłonie dziewczyny. Spojrzał jej w oczy i zaraz tego pożałował, gdyż liczył chociaż na odrobinę wdzięczności, a zobaczył w nich jedynie bezdenną pogardę.

– Ryzykowałem życie, żeby uwolnić twojego brata – powiedział cicho. – Przychodząc tu, łudziłem się, że może jeszcze uda nam się jakoś to wszystko odbudować.

Basia spojrzała na niego wyzywająco.

– Niewiele zbudowaliśmy, to i odbudowywać nie ma czego!

Andrzej zacisnął pięści. Czuł, jak wzbiera w nim gniew.

– Przestań! – wycedził przez zaciśnięte zęby.

Było jednak za późno. Dziewczyna na dobre się rozkręciła i z jej ust popłynął niczym niepowstrzymany potok słów.

– Nie myśl, że moja decyzja jest pochopna! Wszystko sobie dokładnie przemyślałam! Co ja miałabym przy tobie za życie? W ciągłym strachu, ukryciu! Każdego dnia bałabym się, że cię zabiją, a ja zostanę sama, w dodatku jako wdowa po wrogu władzy ludowej! Myślisz, że ktoś by mi wówczas pomógł? – przerwała, aby zaczerpnąć powietrza. – Ja potrzebuję kogoś, kto zapewni mi bezpieczne, wygodne i dostatnie życie. Muszę wyrwać się z tej wsi. Nie chcę skończyć jak moja matka, śpiewając z innymi kobietami litanię pod kapliczką! Chcę zamieszkać w domu z elektrycznością, bieżącą wodą, radiem. Ty nigdy mi tego nie zapewnisz! Zostając z tobą, musiałabym się ciągle ukrywać, przenosić z miejsca na miejsce, w obawie, że ktoś na nas doniósł i w nocy do drzwi załomoce UB! Andrzej, zostając z tobą, zmarnowałabym sobie życie...

Basia urwała w pół zdania. Bynajmniej nie dlatego, że skończyła swoją tyradę. Do zamilknięcia zmusiło ją coś innego. Słuchający jej partyzant wyciągnął pistolet, z którego teraz do niej mierzył. Dziewczyna poczuła, jak zimna lufa dotyka jej czoła.

– Prosiłem, żebyś przestała – odezwał się szeptem. – Obawiałem się właśnie tego, że powiesz o jedno zdanie za dużo!

– Andrzej – załkała. – Proszę, nie...

– Milcz! – przerwał jej.

Dziewczyna posłusznie zamilkła. Andrzej przyglądał jej się w skupieniu. Wszystko bezpowrotnie się skończyło. Partyzantka, miłość. Zastanawiał się, co zostało. Nie miał pojęcia.

– Powinienem cię zabić! – powiedział zimno.

– Nie! – wrzasnęła dziewczyna.

Do kuchni wpadł zaalarmowany krzykiem Jurek. Kiedy zobaczył, co się dzieje, pobladł, nie stracił jednak zimnej krwi i opanowanym głosem powiedział:

– Andrzej, proszę, nie rób jej krzywdy.

Ryś opuścił pistolet.

– Idź do brata – rzekł, popychając dziewczynę w stronę Jurka. – Powiedz mu, jak rozkładałaś nogi przed oficerem Urzędu Bezpieczeństwa, jak kupczyłaś własnym ciałem, żeby go uwolniono z więzienia! Idź!

Dziewczyna, zanosząc się płaczem, wpadła w wyciągnięte ramiona brata, który zdążył jeszcze spojrzeć jej w oczy i zrozumiał, że Andrzej nie

kłamie.

– Nic tu po mnie – odezwał się Ryś. Wzrok miał utkwiony w zalaną wodą podłogę. – Czekać na ciebie?

– Nie musisz – rzekł Brodzki. – Już się spakowałem i mogę od razu iść.
Ryś kiwnął głową.

– Będę w sieni – powiedział i zostawił rodzeństwo samo w kuchni.

– Basiu – rzekł Jurek, lekko odsuwając od siebie siostrę – przekaz rodzicom, że nie mogłem dłużej zostać, ucałuj ich i powiedz, że bardzo ich kocham. Jak tylko wszystko przycichnie, przekażę wam jakąś wiadomość.

Pocałował dziewczynę w policzek i zarzucając sobie na plecy worek z zapasowymi ubraniami, opuścił rodzinny dom.

Basia, wciąż łkając, odprowadziła go wzrokiem.

Kiedy już zniknęli jej z pola widzenia, szorstkim ręcznikiem wytarła zapłakaną twarz i zabrała się do wylewania wody z balii. Gdy wynosiła na podwórko kolejne wiaderko, powróciła refleksja, że hańba, jaką się okryła, będzie towarzyszyła jej już do końca życia i nie uda się jej zmyć, gdyż jest tym rodzajem brudu, którego nie usunie żadna kąpiel.

43.

Wolakowi od początku nie spodobał się typ, który otworzył mu drzwi. Facet był duży, brudny, przetłuszczzone włosy miał zaczesane do tyłu. Z kącika ust zwisał mu papieros, którego nie wyjmował nawet wtedy, gdy mówił. Przekrwione oczy i lekko fioletowy nos zdradzały umiłowanie do mocnych trunków. Komisarz przez całe zawodowe życie często miał do czynienia z takimi mężczyznami, którzy w domu silną ręką lubili pokazywać, kto tu rządzi. Udawali twardzieli, a w rzeczywistości byli nędznymi tchórzami i w razie jakiejś większej chryi pierwsi brali nogi za pas.

– Mam informację, że w tym mieszkaniu przebywają tymczasowo państwo Bralewscy. – Wolak przyszedł sam. Wiewiór i Jastrzębski zostali w samochodzie zaparkowanym przed kamienicą. Makowski zgodził się na przesłuchanie Jadwigi i Hanki pod warunkiem, że komisarz nie ujawni informacji o zamordowaniu Nataliki. Czekala go więc trudna rozmowa i chciałby ją jak najszybciej mieć za sobą. Tarasujący wejście do mieszkania śmierzący mężczyzna wcale mu tego nie ułatwiał.

– A coś pan za jeden?! – spytał opryskliwie typ, który świetnie nadawałby się do pokazywania dzieciom w szkole, jak wyglądał zamieszkujący jaskinie człowiek pierwotny.

– Jestem starym znajomym rodziny Bralewskich – zaczął spokojnie Wolak, czując, że za chwilę straci cierpliwość. – Przypadkiem dowiedziałem się, że przeniesiono ich do stolicy, i korzystając ze sposobności, chciałbym się z nimi zobaczyć.

– Nie wierzę w przypadki. – Jaskiniowiec niczym strażnik stał w progu, tarasując swym cielskim wejście do mieszkania.

Wolak westchnął. Od początku zdawał sobie sprawę, że z ludźmi tego pokroju niewiele załatwi się po dobroci. Tacy czują respekt wyłącznie

przed silniejszymi. Jeżeli pokażesz im, że się boisz, to przegrałeś.

– Wpuścisz mnie do środka?

Jaskiniowiec wolno pokręcił głową.

– Jak chcesz – powiedział komisarz i cofnął się.

Na twarzy Walczaka pojawił się uśmiech triumfu, zaraz jednak zmienił się w wyraz zaskoczenia, momentalnie ustępujący grymasowi bólu. A wszystko to przez komisarza Wolaka, który dając krok w tył, zrobił sobie miejsce, by z całej siły kopnąć majstra Stacha w kolano. Komisarz pochylił się nad kucającym mężczyzną. Lekko pociągnął nosem i skrzywił. Do bukietu zapachów, jakie już wydzielał Walczak, dołączył jeszcze jeden. Zapach strachu.

– W kieszeni mam kastet – powiedział komisarz do jęczącego z bólu mężczyzny. – Zanimbyś się podniósł, zdążyłbym z twojej twarzy zrobić tatar. Chcesz się przekonać, czy mówię prawdę?

– Nie! – zaprzeczył szybko Walczak.

– Czy Bralewscy są w mieszkaniu?

– Hrabiego nie ma, jest tylko stara i ta młoda kurewka!

Wolak zacisnął palce w pięść, po czym szybko uderzył w twarz Walczaka. Mężczyzna oderwał ręce od kolana i chwycił się za nos, z którego chlusnęła krew.

– To za starą i kurewkę – powiedział Wolak, omijając leżącego Walczaka.

Wszedł do zagraconej kuchni. Miał do wyboru troje drzwi. Skierował się w stronę tych z prawej strony. Bez pukania nacisnął klamkę i wszedł do pokoju. Na wprost niego stało łóżko, na którym przykryta kocem leżała Jadwiga. Przy stojącym na środku okrągłym stole siedziała Hanka. Paliła papierosa i pochylała się nad jakąś książką. Kiedy drzwi się otworzyły, gwałtownie podniosła głowę i rzuciła wściekłe spojrzenie na wchodzącego Wolaka. Ujrawszy go, dziewczyna na chwilę straciła pewność siebie. Szybko jednak odzyskała dawny rezon. Wyraz jej twarzy nie wróżył ciepłego przyjęcia. Komisarz wcale się tym nie zrażał. Podczas swojej pracy niejednokrotnie spotykał się z dużo gorszym powitaniem. Cicho zamknął za sobą drzwi. Leżąca na łóżku kobieta się nie poruszyła. Wolak podszedł do stołu. Odsunął krzesło i usiadł. Rozejrzył się dookoła, chcąc ocenić, jak władza ludowa potraktowała przedwojenną ziemiańską rodzinę.

Ocena nie wypadła dobrze. Mieszkanie nie było zbyt wielkie, a każdą jego część zajmowały różnego rodzaju przedmioty, wśród których przeważały nierozpakowane pudła.

Komisarz westchnął. Zdjął z głowy kapelusz. Przez chwilę obracał go w dłoniach, w końcu położył na wolnym fragmencie stołu.

– Po co przyszedłeś?! – Hanka odłożyła czytaną książkę prosto na kapelusz komisarza, przygniatając go.

Mężczyzna udał, że tego nie dostrzega. Zaczerpnął głęboko powietrza.

– Przypadkiem znalazłem się w Warszawie i pomyślałem, że was odwiedzę. Byłem ciekaw, co u was słychać.

Dziewczyna odwróciła się, by sprawdzić, czy jej matka w dalszym ciągu śpi.

– Przypadkiem??? – odezwała się szeptem. – Nie sądzisz, że za dużo w tym twoim życiu przypadków?

– Wiesz co? – Wolak także mówił ściszym głosem. – Ten gburowaty facet, do którego was dokwaterowano, powiedział mi dzisiaj coś podobnego. Może to też przypadek?

Hanka się uśmiechnęła. Zgasiła papierosa w stojącej na stole puszcze po wołownie, pochodzącej z paczek przysyłanych ze Stanów Zjednoczonych.

– Masz na myśli Stacha Walczaka? Prymitywny typ, wydaje mu się, że któregoś pięknego dnia znajdzie mnie u siebie w łóżku z rozłożonymi nogami.

Wolak zrozumiał teraz, dlaczego jaskiniowiec nazwał Hankę kurewką. Z pewnością w jego chorej psychice dziewczyna jawiła mu się jako zepsuta nimfetka, szukająca z nim kontaktu cielesnego. Komisarz pożałował, że kilka chwil wcześniej nie założył jednak kastetu.

– Jak wam się tu żyje?

Hanka parsknęła.

– Naprawdę nie stać cię na mądrzejsze pytania? Rozejrzyj się dookoła i sam oceń, jak nam się tu żyje. Jeżeli w swojej pracy także wykazywałeś się taką umiejętnością dedukcji, to aż dziw, że tak długo się w niej utrzymałeś! – Dziewczyna przerwała na moment dla zaczerpnięcia tchu i opanowania narastającego wzburzenia. – Jak mam z tobą rozmawiać, jeżeli ty od zawsze mnie okłamujesz?

Wolak milczał. Nie potrafił, nie chciał i nie mógł odpowiedzieć na to

pytanie.

– Nie wierzę, że znalazłeś się u nas przypadkiem. Myślisz, że jestem taka jak matka, że uwierzę w każde twoje słowo? Ją możesz próbować oszukiwać, zresztą w przeszłości już ci się to udawało! Ze mną jednak nie pójdzie ci tak łatwo!

Komisarz wyciągnął z kieszeni pudełko papierosów. Wyjął jednego i już miał je schować z powrotem, kiedy nagle rozmyślił się i podsunął fajki siedzącej naprzeciwko dziewczynie. Hanka, zanim wyłuskała z pudełka papierosa, wahała się przez chwilę.

– Dobrze – rzekł Wolak, kiedy już oboje wydmuchiwali pierwsze kłęby dymu – porozmawiajmy więc szczerze. Co chciałabyś wiedzieć?

Dziewczyna bezradnie wzruszyła ramionami. Miała wiele pytań, nie potrafiła jednak zadać żadnego z nich. Dużo łatwiej było jej atakować siedzącego przy stole mężczyznę, niż podjąć z nim konstruktywną dyskusję. W tego typu rozmowach zawsze chowała się za fasadą hardości i nieustępliwości. Teraz mur, który wokół siebie stworzyła, pękł i czuła się bezradna.

– Chciałabym, żebyś mi to wszystko w jakiś logiczny sposób wyjaśnił.

Wolak zaciągnął się papierosem. Zerknął na wciąż śpiącą Jadwigę. Z jednej strony pragnął, żeby się już obudziła i przerwała trwającą dyskusję, z drugiej jednak wiedział, że nadarza się niepowtarzalna okazja, żeby on i Hanka powiedzieli sobie to wszystko, co już od dawna wisiało w powietrzu. Jeżeli nie uda im się zrobić tego teraz, to kolejna szansa może się już nie pojawić.

– Ile powiedziała ci matka? – spytał Hanki.

– Niewiele, więcej się domyślam, niż wiem od niej.

Wolak pokiwał głową.

– Opowiedziała ci o naszym romansie?

– Nie, opowiedział mi o tym koniuszy. – Hanka zamyśliła się na chwilę.
– Krótco przed naszym przyjazdem tutaj. Kiedy o tym usłyszałam, nie chciałam w to wszystko uwierzyć. Wmawiałam sobie, że ten idiota zmyślał. Nie dawało mi to jednak spokoju, dużo się zastanawiałam i pewnego wieczoru zaczęłam sobie wszystko składać w całość. Zrozumiałam wtedy, że Romuald mówił prawdę i nie uda mi się dłużej łudzić, iż są to jedynie złośliwe urojenia za dużo pijącego stajennego.

– Jemu zawsze podobała się twoja matka – odezwał się komisarz. – Nie potrafił zrozumieć, dlaczego taka piękna kobieta jak ona spotyka się potajemnie z mężczyzną mojego pokroju. Musisz wiedzieć, że koniuszy dawniej był zupełnie innym człowiekiem. Źle ulokowane uczucia doprowadziły go do ruiny. W latach dwudziestych był dobrze zapowiadającym się dżokejem. Mimo że pochodził z robotniczej rodziny, udało mu się dość wysoko zajść. Twoją matkę poznał na jednym z wyścigów na Służewcu. Podeszła do niego i powiedziała, że postawiła sporą sumę na jego wygraną w następnej gonitwie. Przez chwilę rozmawiali, był nią oczarowany. Nie miała zamiaru zawrócić w głowie młodemu dżokejowi, tym bardziej że była już mężatką...

– W romansie z tobą jakoś jej to nie przeszkadzało! – przerwała uszczypliwie Hanka.

– To trochę inna historia – spokojnie odparł komisarz i wrócił do przerwane go wątku. – Wasz późniejszy koniuszy obiecał sobie, że zrobi wszystko, by wygrać gonitwę. Niestety na trzecim okrążeniu doszło do wypadku. Pochodzący z Anglii folblut, na którym jechał Romuald, złamał nogę, a jeździec spadł i strzaskał sobie obojczyk. Twoja matka czuła się winna temu, co się wydarzyło. Kilkakrotnie odwiedziła pechowego dżokeja w szpitalu. Dowiedziała się wówczas, że uraz doznany podczas wyścigu nie pozwoli mu już powrócić do rywalizacji sportowej na tak wysokim poziomie. Nie mogła wybaczyć sobie tego, co się stało. Wciąż się zastanawiała, jak zadośćuczynić Romualdowi. I wtedy zrobiła coś, czego nigdy robić nie powinna.

Wolak przerwał na chwilę. Hanka wyczekująco na niego patrzyła. Wielu rzeczy z tej historii mogła się już domyślać. Wszystko jednak było dla niej ogromnie interesujące, gdyż oto z opowiadania komisarza wyłaniał się obraz matki, jakiej do tej pory nie znała. Z niepokojem zerknęła na łóżko. Jadwiga wciąż twardo spała. Przeżycia ostatnich dni, kiedy to zniknęli jej starsza córka oraz mąż, dały jej nieźle w kość. Wyczerpany organizm odreagowywał, odsypiając stres i napięcie. Prowadzona w pomieszczeniu cicha rozmowa nie mogła obudzić kobiety będącej jedną z głównych bohaterek opowiadanej historii.

– Tylko mi nie mów, że z nim też się przespąła? – Hanka spróbowała pytaniem ponaglić milczącego Wolaka.

Mężczyzna spiorunował dziewczynę wzrokiem.

– Twoja matka to porządna kobieta – wyszeptał z naganą w głosie. – To

prawda, że popełniła w młodości kilka błędów, ale kto z nas jest od nich wolny.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Uznała, że lepiej nie dyskutować i pozwolić komisarzowi mówić we własnym tempie.

– Jadwiga w dalszym ciągu nie podejrzewała, że przystojny dżokej jest w niej po uszy zakochany – kontynuował Wolak. – Za każdym razem, kiedy tylko była przejazdem w stolicy, odwiedzała Romualda najpierw w szpitalu, a później w niewielkim mieszkaniu, które wynajmował. Niestety, chłopakowi kończyły się oszczędności i nie miał z czego się utrzymywać. Stało przed nim widmo powrotu w rodzinne strony, gdzie musiałby podobnie jak jego brat i ojciec zatrudnić się w fabryce. Ze swoich trosk i obaw zwierzył się twojej matce. To właśnie wtedy popełniła błąd, o którym wcześniej wspomniałem. Zamiast pozwolić nieszczęśnikowi wyjechać i sprawić, by zapomniał o miłości do zamężnej kobiety, twoja matka wspaniałomyślnie zaproponowała Romualdowi posadę koniuszego w dworze.

Hanka słuchała z zapartym tchem. Ta kobieta z opowieści komisarza nie mogła być jej matką. Jej pogmatwane losy dużo bardziej przypominały perypetie bohaterki z powieści Dołęgi-Mostowicza lub Heleny Mniszkówny. Dziewczyna miała nadzieję, że i ją czekają w życiu podobne przygody. Do tej pory uważała, że tego typu historie zdarzają się jedynie na kartach czytanych przez nią książek.

– Nie muszę ci chyba mówić, że chłopak z radością przyjął propozycję twojej matki. W kilka dni uporał się z załatwieniem wszystkich spraw trzymających go w stolicy, i spakowawszy jedną niedużą walizkę, opuścił Warszawę. Przez kolejne miesiące był najszcześliwszym człowiekiem na ziemi. Każdego dnia mógł widywać kobietę, w której był zadurzony, a ponadto znowu spędzał czas w towarzystwie swoich ukochanych zwierząt: koni. Jego szczęście spotęgowało się jeszcze bardziej w chwili, kiedy udało mu się namówić Jadwigę do pobierania u niego nauki jazdy konnej. Dzięki temu mógł zbliżyć się do niej jeszcze bardziej. Lekcje te nie trwały jednak zbyt długo, ponieważ okazało się, że Jadwiga jest w ciąży. Ze względów bezpieczeństwa musiała zrezygnować z dalszej nauki.

– Oczywiście masz na myśli pierwszą ciążę mamy?

Wolak przytaknął.

– Tak, mam na myśli jej pierwszą ciążę...

– Z której urodziła się Natałka – przerwała mu dziewczyna – córka Franciszka Bralewskiego, czyli moja przyrodnia siostra?

Wolak poczuł suchość w ustach, do której znacznie przyczyniły się wypalone papierosy i wypowiedziane słowa.

– Masz coś do picia? – spytał.

Dziewczyna przesunęła w jego stronę stojącą na stole szklanę z niedopitą herbatą. Komisarz upił niewielki łyk. Skrzywił się.

– Nie słodzisz?

– Wiem, że cukier krzepi, ale jakby to powiedzieć – zrobiła pauzę, udając, że szuka odpowiednich słów – nasza stopa życiowa nieco się obniżyła i z wielu rzeczy, których obecnie nam brakuje, cukier jest akurat tym, za czym najmniej tęsknimy.

Komisarz odstawił szklanę. Sięgnął po papierosa, lecz po chwili uznał, że nie jest to jednak najlepszy pomysł.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Hanka się zawahała.

– Co wydarzyło się pomiędzy moją matką a Romualdem?

– W sumie to już nic – odparł Wolak, głęboko wzdychając. – Jadwiga urodziła pierwszą córkę, której poświęcała cały swój czas, i biedny koniuszy został odsunięty na boczny tor.

– To znaczy, że później – zaczęła niepewnie Hanka – do niczego między nimi już nie doszło?

Wolak pokręcił głową.

– Wydaje mi się, że nie, ale najlepiej ją o to spytaj.

Dziewczyna się zamyśliła. Sięgnęła po leżące na stole papierosy Wolaka. Zapaliła, zaciągnęła się kilka razy i patrząc na komisarza przez chmurę dymu, spytała:

– W takim razie Romuald nie jest moim ojcem?

– Nie – zdecydowanie zaprzeczył Wolak. – Pamiętaj, że twoim ojcem nie jest ten, kto dał ci życie, ale ten, kto się tobą przez te wszystkie lata zajmował, czyli...

– ...Franciszek Bralewski, któremu przeprowadzka do stolicy na tyle zaszkodziła, że zostawił nas wszystkich i zniknął gdzieś bez śladu – wtrąciła z ironią Hanka.

– Nie wyrażaj się tak o nim – próbował zganić dziewczynę Wolak. – Zawsze dbał o to, by ci niczego nie brakowało. Opiekował się tobą, kiedy prawdziwy ojciec w ogóle o tobie nie myślał.

– Matka powiedziała mi, że on o niczym nie wiedział, czy to prawda? Wolak przytaknął.

– Jak myślisz, czy jakby wiedział, że nie jestem jego córką, to również tak dobrze by mnie traktował?

– To dobry człowiek, niestety czasy, w jakich przyszło mu żyć, nie sprzyjają takim wrażliwcom jak on. Dziś trzeba być gruboskórnym, pozbawionym skrupułów i bezpardonowym drapieżnikiem każdego dnia walczącym o swoje. W naszych czasach ludzie pokroju Franciszka są skazani na zagładę.

– Nie bądź śmieszny! Tak się nad nim litujesz, a wiele lat wcześniej nie miałeś żadnych oporów przed uwiedzeniem mu żony!

Komisarz ze smutkiem pokiwał głową.

– Mówiłem ci już, że to wszystko nie jest takie, jakie ci się wydaje.

– To oświeć mnie! Opowiedz mi o swoim romansie z moją matką... – Hanka nagle przerwała. Z przerażeniem popatrzyła na siedzącego naprzeciwko mężczyznę. On podniósł głowę i także się jej przypatrywał. Trwali tak przez kilkanaście sekund, aż w końcu dziewczyna wydusiła z siebie jeszcze bardziej niż zwykle ochrypłym głosem: – To ty?

Wolak, pomimo suchości w ustach sięgnął po papierosa.

– To było latem dwudziestego dziewiątego – zaczął mówić, kiedy już odpalił papierosa. – Byłem młodym, początkującym wywiadowcą. Śledztwo, które akurat prowadziłem, przywiodło mnie w rejony posiadłości ziemskiej Franciszka Bralewskiego. Musiałem przez kilka dni pozostać w okolicach Komorowa. Twoja matka, dowiedziawszy się o tym, popełniła kolejny błąd i zaproponowała mi, żebym przenocował u nich we dworze. Chętnie przystałem na tę propozycję. W ciągu dnia jeździłem po okolicy, prowadząc dochodzenie w sprawie ukrywających się zbiegów, których złapanie było dosyć istotne dla ówczesnego aparatu władzy, wieczory natomiast spędzałem z twoją matką i jej malutką córeczką w letniej altanie.

– Świadomie zawróciłeś w głowie mężatce z małym dzieckiem? – spytała z nienawiścią w głosie Hanka.

– Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby uwieść twoją matkę! – zaprzeczył Wolak. – Prawda, że była piękną kobietą, ale wbrew temu, co możesz o mnie myśleć, miałem wewnętrzne opory przed flirtowaniem z matką nieco ponad rocznego dziecka. Wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, co wydarzyło się tego pamiętnego lata, i patrząc na to z perspektywy minionego czasu, wydaje mi się, że twoja matka bardzo źle zniosła swoją ciążę i okres tuż po narodzinach dziecka. Często żaliła mi się, że jest zmęczona, apatyczna. Ona, podobnie jak ty, zawsze dużo czytała, u niej była to próba ucieczki od problemów codzienności. Szczególnie ceniła kryminały Antoniego Marczyńskiego. Wyobraź więc sobie, jak wielką radość sprawiały jej prowadzone ze mną do późna rozmowy na temat tajników policyjnego śledztwa. Musiałem jej wszystko ze szczegółami opowiadać. Lubiła słuchać o tym i o złapanych przeze mnie przestępcach, najbardziej interesowało ją to, w jaki sposób trafiłem na ich ślad.

Hanka ziewnęła ostentacyjnie.

– W całej tej historii wzrusza mnie twoja niewinność i uczciwość zamiarów. Wynika z tego, że to nie ty wykorzystałaś biedną sfrustrowaną kobietę, tylko ona sama zaciągnęła cię do łóżka!

– Wiesz co? – Wolak z wściekłością zgasił niedopałek papierosa. – Jak mi nie wierzysz, to obudź swoją matkę i sama ją o wszystko wypytaj. Tego, co zdarzyło się wówczas między nami, chcieliśmy oboje. – Przerwał na chwilę. Sięgnął po szklanekę z herbatą. Upił kolejny niewielki łyk zbyt gorzkiego i za mocnego jak na jego gust naparu. – Następnego dnia jeden z okolicznych chłopów przybył do dworu z informacją o kryjówce poszukiwanych przeze mnie zbiegów. Dwie godziny później udało mi się ich schwytać. Śledztwo było zakończone. Podziękowałem Bralewskiemu za gościnę i wyjechałem. Z twoją matką nie widziałem się przez kolejnych siedemnaście lat, aż do zimy czterdziestego piątego, kiedy to zacząłem swoją partyzancką przygodę.

– Tylko tę jedną jedyną noc spędziliście razem? – spytała z niedowierzaniem Hanka.

Wolak w milczeniu przytaknął.

– Koniuszy całą tę historię przedstawił mi w zupełnie innym świetle. – Hanka się zawahała. – Teraz już nie wiem, który z was mówi prawdę. Wciąż jednak nie odpowiedziałeś mi na pytanie, czy to ty jesteś moim ojcem.

W pokoju zapanowała cisza. Komisarz wpatrywał się w dziewczynę, której nawet na sekundę nie drgnęła powieka. W sumie nie trzeba było już nic mówić. Oboje dobrze znali odpowiedź.

– Córciu – niezręczną ciszę przerwał głos Jadwigi, która od jakiegoś czasu już nie spała i przysłuchiwała się prowadzonej w pokoju rozmowie – wybaczone, że mówię ci o tym dopiero teraz, ale nie było wcześniej okazji. Zresztą, kiedy jest dobry czas, żeby o czymś takim powiedzieć? – Zawiesiła głos, jakby oczekiwała odpowiedzi. Po chwili jednak dodała: – Janek jest twoim ojcem.

Hanka wypuściła głośno powietrze. Czuła pustkę, ale i ulgę. Cieszyła się, że to nie fajtłapowaty Franciszek Bralewski jest jej ojcem, gdyż pogardzała nim, odkąd weszła w okres dojrzewania. Siedzący naprzeciwko mężczyzna o posturze niedźwiedzia, złamanym nosie, poranej bruzdami twarzy oraz zmęczonym wzroku faceta, który ma za sobą już niejedną bezsenność, lepiej nadawał się do tej roli. Chociaż do tej pory nie wywiązywał się ze swoich ojcowskich obowiązków.

– No to jak mam się teraz do ciebie zwracać? – spytała ochryple, śmiało patrząc w oczy nieulekłemu przedwojnemu pogromcy stołecznych przestępców, który teraz wydawał się nieco zmieszany.

44.

Przez uchyloną szybę czarnego chevroleta zaparkowanego przy jednej z kamienic wyleciał żarzący się niedopałek papierosa. Z bramy błyskawicznie wybiegł mniej więcej piętnastoletni wyrostek i szybko podniósł peta leżącego przy tylnych drzwiach samochodu. Uciekając z powrotem w stronę dającej mu schronienie ciemnej bramy, zaciągał się niewypalonym do końca papierosem, po którego zaraz wyciągnęły się chude ręce innych chłopców.

– Felek, nie bądź taki, daj popalić! – zawołał jeden z nich, niewysoki piegowaty blondynek.

Nazwany Felkiem, wysoki, patykowaty piętnastolatek spojrzał z wyższością na pozostałych.

– Kto wam broni podbiec następnym razem do samochodu i podnieść pojarę z ziemi?

Chłopcy spuścili głowy. Żaden nie miał tyle odwagi i sprytu co Felek. Bali się, że siedzący w aucie mężczyzna wyjdzie i ich pogoni. Byli pewni, że takim automobilem jeździ nie byle kto. Poza tym nie każdego stać było na gabinetowe, których niedopalone resztki z regularną częstotliwością były wyrzucane przez uchyloną szybę. Właściciel wozu najpewniej był kimś współpracującym z milicją, a to oznaczało, że nie warto było dać się złapać dla kilku sztachnięć lepszym papierosem. Chłopcy pogodzili się z myślą, że będą musieli poczekać, aż ich ojcowie położą się spać, i dopiero wtedy spróbują podprowadzić im własnoręcznie skręconego papierosa z podłej jakości machorki.

Felek ostatni raz zaciągnął się petem, który był już tak krótki, że parzył go w usta. Rzucił niedopałek na ziemię i przydeptał butem z mocno zdartą zelówką.

Wszyscy uważnie przyglądali się zaparkowanej nieopodal limuzynie. W

nudzie dnia powszedniego i tak nie mieli ciekawszego zajęcia. Nagle od strony kierowcy otworzyły się drzwi i ze środka wyszedł wysoki blondyn. Obserwujący go chłopcy odruchowo cofnęli się w głąb bramy. Nie chcieli mieć do czynienia z tym mężczyzną, po którym od razu było widać, że nie patyczkowałby się z takimi szczeniakami jak oni. Okazało się, że półmrok sieni był jedynie iluzorycznym schronieniem. Blondyn, patrząc w ich stronę, krzyknął:

– Który chce zarobić parę groszy?

Chłopcy wciąż stali zdezorientowani, zastanawiając się, czy już zacząć uciekać w stronę podwórka, czy jeszcze chwilę poczekać na dalszy bieg wydarzeń. Pierwszy z odrętwienia wyrwał się jak zwykle Felek.

– Chłopaki, jakby coś się ze mną stało, zapamiętajcie numer wozu i lećcie do starego Małeckiego, on będzie wiedział, co robić.

Młodszy towarzysz piętnastolatka skwapliwie przytaknęli, a on z zadowoleniem zauważył, że ich podziw dla niego wzrósł jeszcze bardziej. Puścił do nich oko i pogwizdując pod nosem, wolnym krokiem poszedł w stronę chevroleta.

– Słucham pana? – powiedział, stając na wprost przewyższającego go o głowę blondyna.

Ten jednak zamiast odpowiedzieć, okrążył samochód i otworzył drzwi bagażnika, wyciągając stamtąd składany wózek.

– Dobrze znasz okolicę?

– Królu złoty, lepiej nie mogłeś trafić, znam tu każdy zakamarek – odezwał się z nieskrywaną dumą chłopak. – W powstaniu biegałem tutaj jako łącznik!

– To dobrze – rzekł blondyn, podjeżdżając wózkiem pod tylne drzwi, przy których Felek kilka chwil wcześniej podnosił niedopałek. – Mój kolega strasznie się nudzi i chciałby się trochę przewietrzyć. Ja, niestety, muszę tu zostać, więc nie będę mógł mu dotrzymać towarzystwa, ale ty pewnie masz dość siły, by popchać wózek z inwalidą wojennym, który stracił obie nogi w powstaniu, ponieważ jakiś gówniarz będący wówczas łącznikiem nie dobiegł na czas z meldunkiem!

Felek cofnął się o krok w obawie, że górujący nad nim mężczyzna będzie chciał go zaraz uderzyć. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Blondyn otworzył drzwi samochodu i pomógł siedzącemu tam mężczyźnie zająć miejsce na rozłożonym wózku.

– Czego straszysz dzieciaka?! – ofuknął blondyna ciemnowłosego kaleka.
– Jak ci na imię?

– Felek – odpowiedział chłopak.

– Feluś – zaczął z uśmiechem inwalida – powozisz trochę po swojej dzielnicy starego weterana wojennego?

Twarz wyrostka rozpromienił szeroki uśmiech. Kaleka, w przeciwieństwie do wysokiego blondyna, od razu przypadł mu do gustu. Szczególnie mile połączyła go próżność chłopaka nazwanej okolicy jego dzielnicą.

– Gdzie sobie wiesz, królu złoty?

Inwalida odwrócił się w stronę blondyna.

– Nie czekajcie na mnie, spotkamy się wieczorem u Makowskiego!

Franek spostrzegł, że blondyn nie za bardzo jest zadowolony z decyzji swojego kolegi. Pokręcił tylko głową i nic się nie odzywając, wsiadł za kierownicę samochodu.

– To gdzie jedziemy? – spytał ponownie chłopak.

– Zawieź mnie tam, gdzie jest najmniej bezpiecznie – odparł inwalida po krótkim namyśle.

– Znaczą tam, gdzie w ryj za darmo można dostać? – upewnił się z szelmowskim uśmiechem Franek.

– Właśnie tam! – przytaknął beznogi mężczyzna, po czym z uwagą przyjrzał się stojącemu przy wózku chłopakowi i konfidencjonalnym tonem spytał: – A może ty nie znasz takich miejsc, co?

Chłopak zrobił urażoną minę i starając się, by jego głos brzmiał jak najbardziej męsko, rzekł:

– U mnie na dzielnicy znam wszystkie miejsca!

Czterdzieści minut później do chevroleta podszedł Jan Wolak. Otworzył przednie drzwi od strony pasażera i wsiadł do środka.

– Gdzie Zygmun?

Jastrzębski ze wzrokiem utkwionym ponad kierownicą odpowiedział znużonym głosem, w którym dało się wyczuć nutkę pretensji.

– Tak długo cię nie było, że odrosły mu nogi i poszedł przespacerować się po okolicy.

Stary komisarz nawet się nie uśmiechnął.

– Zabawny się zrobiłeś – mruknął.

– A ty niesłowny! Mówiłeś, że najdalej za pół godziny będziesz z powrotem, a nie było cię – Jastrząb demonstracyjnie zerknął na zegarek – dwie godziny z okładem!

– Przepraszam, ale musiałem porozmawiać z córką.

Jastrzębski odwrócił głowę w stronę siedzącego obok Wolaka.

– Z kim?!

Komisarz zaczerpnął głęboko powietrza.

– Pod koniec lat dwudziestych miałem romans z Jadwigą Bralewską, wprawdzie to, do czego wówczas między nami doszło, było jednorazowym incydem i po powrocie do stolicy dość szybko o tym zapomniałem, okazało się, że był to incydent dość brzemienisty w skutki. Jadwiga zaszła w ciążę.

– Skąd pewność, że z tobą, a nie z mężem? – wtrącił Edward.

– Bralewska po urodzeniu pierwszej córki cierpiała na swoisty rodzaj melancholii, objawiającej się spadkiem nastroju. Za swój stan obwiniała ciążę i dlatego całkowicie zrezygnowała z kontaktów cielesnych, na czym mocno ucierpiał jej małżonek.

– Nic dziwnego, że facet na stare lata zbzikował – odezwał się współczująco młody oficer.

– Nie żałuj go tak, Bralewski zdrowo sobie używał ze służbą. Nie przepuścił żadnej sprzątacze, kucharce czy nawet koleżankom odwiedzającym jego markotną żonę. Ona oczywiście o wszystkim wiedziała, ale nic nie mogła zrobić. Zamykając przed mężem drzwi do własnej alkowy, dawała nieme przyzwolenie na to, by ujścia dla swej chuci szukał gdzie indziej.

Jastrząb ze zdumieniem pokręcił głową.

– Zepsute to ziemiaństwo, nic dziwnego, że nadszedł jego kres.

– Nie bardziej zepsute – zaperzył się komisarz – niż ludzie będący dzisiaj u szczytu władzy. Zajrzyj im do sypialni, a sam się przekonasz, że mało kto z nich jest taki, za jakiego stara się publicznie uchodzić!

Jastrzębski już otwierał usta, żeby powiedzieć coś w obronie ludzi, którzy byli jego przełożonymi, jednak zrezygnował, zdając sobie sprawę, że i tak nie uda mu się przekonać starego komisarza.

– Jak to się w takim razie stało, że pomimo takiej niechęci do kontaktów cielesnych uległa właśnie tobie?

Wolak wzruszył ramionami i odpowiedział zgodnie z prawdą.

– Nie wiem. Jakiś czas po moim wyjeździe zorientowała się, że jest w ciąży. Nie muszę ci już teraz tłumaczyć, skąd wzięło się u niej przekonanie, że to właśnie ja jestem ojcem dziecka?

Jastrzęb przytaknął.

– Kiedy dowiedziałeś się, że masz córkę?

Wolak westchnął ciężko, a patrzący na niego młody mężczyzna zrozumiał, jak wiele smutku, żalu, jakiegoś niespełnienia oraz krzywdy nosi w sobie stary komisarz.

– Jadwiga powiedziała mi o tym w ubiegłym roku. Hanka miała już wtedy skończone siedemnaście lat. – Wolak umilkł, po chwili zaczął mówić dalej, jego głos jednak brzmiał inaczej. To nie był ten sam co zawsze mocny ton wydobywający się gdzieś z głębi tego potężnego mężczyzny. – Przypuszczalnie gdybym w czterdziestym piątym został w Warszawie, zamiast rozpoczynać partyzanckie życie, nigdy nie dowiedziałbym się, że mam córkę.

W samochodzie ponownie nastała cisza. Jastrzębski nie wiedział, co ma powiedzieć. W swoim młodym życiu wiele już doświadczył i rzadko kiedy się bał. Teraz jednak odczuwał strach. Obawiał się, że siedzący obok komisarz zacznie płakać. Nie znał go zbyt długo, ale darzył szacunkiem, ponieważ Wolak był jednym z niewielu prawdziwych mężczyzn, jakich udało mu się do tej pory napotkać na swej drodze. Stary komisarz odchrząknął głośno i dużo pewniejszym głosem kontynuował swoją historię:

– Los sprawił, że oddział, do którego trafiłem, stacjonował w pobliżu dworku Bralewskich. Kilkakrotnie udało mi się spotkać i porozmawiać z Jadwigą. Cieszyłem się z tych rozmów, ponieważ były one pomostem pomiędzy moim teraźniejszym a dawnym życiem. Przypominały mi o latach młodości, kiedy to stawiałem pierwsze samodzielne kroki w pracy śledczej. – Wolak popatrzył szklistym wzrokiem na siedzącego za kierownicą Jastrzębskiego. – Kiedy poznałem Jadwigę byłem mniej więcej

w twoim wieku.

Jastrząb ze zrozumieniem pokiwał głową.

– A dziewczyna, kiedy dowiedziała się, że jesteś jej ojcem?

– Dzisiaj – odparł Wolak.

Jastrzębski całkowicie zapomniał o tym, że jeszcze przed kilkoma minutami złościł się na starego komisarza, bo tak długo nie wracał do samochodu. Teraz był dla niego pełen podziwu, że z taką godnością znosi koleje losu. Jeszcze przed kilkoma laty jeden z najlepszych śledczych stolicy, później oskarżony o kolaborację z wrogiem, a teraz pracujący dla ludzi, którzy wyklęli go, wyrzucając poza margines społeczeństwa. Ile człowiek może znieść? Jakie ciosy muszą na niego spaść, by go przygnieść?

– Jedziemy? – przerwał ciszę Jastrzębski.

Wolak pokręcił głową.

– A Wiewiór?

– Powiedział, żebyśmy na niego nie czekali. Mamy wieczorem spotkać się u Makowskiego.

Komisarz zastanawiał się przez chwilę, po czym sięgnął do klamki i otworzył drzwi samochodu.

– W takim razie do wieczora – powiedział, wychodząc z chevroleta. – Chcę teraz pobyć trochę sam, muszę w spokoju przemyśleć kilka spraw.

– Pamiętaj, że w razie jakiegokolwiek kontroli przez milicję lub naszych funkcjonariuszy masz powołać się na mnie lub kazać dzwonić bezpośrednio do Makowskiego. Nie wdawaj się z nimi w żadne dyskusje!

Komisarz uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie martw się, obiecuję, że będę grzeczny.

Jastrząb patrzył na odchodzącego wolnym krokiem Jana Wolaka. Dopiero kiedy mężczyzna zniknął za rogiem najbliższego skrzyżowania, uświadomił sobie, że oto stracił kontakt z dwoma śledczymi, których miał nie odstępować nawet na krok.

45.

W chwili gdy Mieczysław Słodoń ujrzał kalekę na wózku pchanym przez jakiegoś gówniarza, uwierzył, że wreszcie uśmiecha się do niego szczęście. Przez ostatnie dni zbyt często prześladował go pech. Zaczęło się kilka dni temu, kiedy razem z kumplami zaczepili w parku tę czarnulkę. Wszystko szło po ich myśli, dopóki nie pojawił się jej tajemniczy obrońca. To, co się później wydarzyło, miało już na zawsze pozostać w pamięci Mietka i jego kolegów. Rudy, bo tak nazywali go kompani, zawsze uważał, że świat jest parszywy i nieprzyjazny dla takich jak on. Po stracie oka tylko utwierdził się w swojej opinii i stał się jeszcze bardziej posępny i wrogo nastawiony do otaczającej go rzeczywistości. Koledzy nie byli mu już tak przychylni jak przed starciem z facetem w kaszkiecie. Zaczęli między sobą przebąkiwać, że Rudy przynosi pecha. Powoli, niezauważalnie odsuwali się od niego. Mietek czuł, że znowu musi zawalczyć o szacunek i przywództwo w grupie. Na razie sytuacja mu nie sprzyjała. Po parku częściej niż zwykle kręcili się milicjanci, wypytyjąc takich jak on o czarnowłosą dziewczynę. Mietek za każdym razem kłamał, że nikogo o podanym rysopisie nie widział. Pytany o to, co mu się stało w oko, odpowiadał, że on i jego kompani zostali zaatakowani przez jakiegoś przechodnia, którego prosili o podanie godziny. Milicjanci pytali, czy chcą wnieść oskarżenie, oni jednak grzecznie odpowiadali, że ta sprawa może poczekać, gdyż, jak widzą, władza ma na razie inne rzeczy do załatwienia. Funkcjonariusze nie drażyli tematu, w głębi duszy nie wierzyli w ani jedno słowo wyrostków, których można by przyskrzynić za sam wygląd. Cieszyli się, że wreszcie znalazł się ktoś, kto wyręczył ich w wymierzeniu sprawiedliwości takim typom spod ciemnej gwiazdy. Po wymienieniu niezobowiązujących fałszywych uśmiechów milicjanci salutowali i odchodzili, żeby dalej poszukiwać zaginionej dziewczyny.

Rudy nie był głupi i wiedział, że stało się coś złego. Zdawał sobie

sprawę, że gdyby on albo jego koledzy wyjawili prawdę o wieczorze, podczas którego spotkali poszukiwaną dziewczynę, to najbliższe kilka miesięcy spędziliby za kratami. W porównaniu z taką perspektywą przyglądanie się otoczeniu nawet jednym okiem wypadało zdecydowanie lepiej.

Od dwóch dni patrole milicji pojawiały się w parku coraz rzadziej, a to oznaczało, że albo odnaleziono zaginioną i wszystko dobrze się skończyło, albo zrezygnowano z jej szukania. Rudy nie wierzył w szczęśliwe zakończenia, więc podejrzewał, że cała ta śmierdząca sprawa, w którą przypadkowo był zamieszany, nie znalazła jeszcze finału. Na razie jednak miał inne plany. Musiał odbudować w swojej grupie utracony status przywódcy. Pokazać pozostałym, że to, co się wydarzyło kilka dni temu, było jedynie nieszczęśliwym incydentem. Nadjeżdżający kaleka był dla niego darem niebios. Ze strony kogoś takiego nie musiał się niczego obawiać. Poznaczoną rozognionymi krostami twarz Mietka rozjaśnił promienny uśmiech, w którym odsłonił nierówne i żółte od nikotyny zęby. Ten nie robi mi krzywdy – pomyślał i podniósł się ławki. Jego towarzysze przyglądali mu się bez większego zainteresowania. Gwiazda Rudego nie świeciła już tym samym mocnym blaskiem co kiedyś.

Pchający wózek młokos, zauważywszy stojącego na środku alejki Mietka, zatrzymał się i zaczął coś szeptać do inwalidy. Ten przez chwilę słuchał w skupieniu, po czym dłonią, w której trzymał papierosa, wskazał przed siebie niczym kapitan statku wyznaczający dalszy kierunek. Chłopak z dezaprobatą pokręcił głową, ale zastosował się do polecenia beznogiego mężczyzny.

Rudy przełknął ślinę. Nagle poczuł, że popełnił błąd. Coś było nie tak. Nie mógł się jednak wycofać. Wolał stracić kolejne oko, niż wyjść na kogoś, kto boi się kaleki na wózku. Poczuł, że robi mu się gorąco. Każda krostka na twarzy wydawała mu się teraz rozgrzaną do czerwoności diodą.

– Co tak stoisz, Jurandzie? – odezwał się Wiewiór, z rozbawieniem patrząc na tarasującego mu drogę jednookiego chuligana. – Czekasz na kogoś?

Mietek gorączkowo się zastanawiał, kim do cholery jest Jurand. Nie wiedział, czy kaleka go obraził, czy nie. Obejrzał się na swoich towarzyszy. Z ich min wyczytał, że mają z Jurandem podobny problem.

– Na ciebie czekam, ale powiedz mi, gdzie zgubiłeś nogi – odezwał się w końcu.

Siedzący na ławce chuligani roześmiali się głośno. Słyszając ten wybuch śmiechu, Mietek od razu poczuł się raźniej. A może przeczucie mnie myliło – przemknęło mu przez myśl. Przecież ten beznogi typ nie może okazać się groźny.

Wiewiórowi nie drgnęła nawet powieka. Zaciągnął się papierosem, po czym niedopałkiem pstryknął w stojącego naprzeciwko rudowłosego Juranda.

Grupa wyrostków przestała się śmiać. Mietek odruchowo spojrzął pod nogi, gdzie upadł papieros.

– Nie wstydz się – usłyszał spokojny głos inwalidy. – Podnieś. Jest jeszcze co popalić!

– Ty skurwysynie! – Rudy zacisnął pięści i ruszył w stronę Wiewióra. Szybko się jednak zatrzymał, widząc wycelowaną w siebie, wystającą spod kraciatedego koca lufę pistoletu.

– Jak słusznie zauważyłeś – głos Wiewióra był pozbawiony jakichkolwiek emocji – nie mam nóg, tak więc nie miałbym żadnych szans, żeby cię gonić, ale uwierz mi, że ty pomimo swojej młodości i posiadania obu kończyn nie zdołałbyś uciec przed kulą! Rozumiemy się?

Rudy wolno pokiwał głową. Czuł, jak po czole spływa mu ciężka kropla potu. Bał się jednak podnieść rękę, by ją obetrzeć.

– Widzisz, Feluś – tym razem inwalida zwrócił się do stojącego za nim chłopaka, którego blada twarz zdradzała, że jeszcze nigdy w życiu nie doświadczył tylu emocji co dzisiaj – współczesna młodzież jest bardzo niewychowana i wścibska. Ja na przykład mam na tyle ogłady i kultury, że nie śmiałem zapytać tego młodzieńca o twarzy, jakby wybuchł mu w nią granat, co się stało z jego okiem. A on robi mi bezczelne uwagi na temat mojego kalectwa!

Felek, nie wiedząc, jak ma się zachować, tylko pokiwał głową. Oczami wyobraźni widział, jakie miny będą mieli jego koledzy, gdy im o wszystkim opowie. Cieszył się, że dzięki dzisiejszej przygodzie przez kilka dni znowu będzie w centrum zainteresowania wszystkich chłopaków z podwórka.

– Ty zostajesz – odezwał się Wiewiór, wskazując lufą na Rudego – a reszta może spierdalać, ale już!

Towarzysze Mietka szybko poderwali się z ławki i żwawo, bez oglądania za siebie, oddalili się. Mieli już dość. Rudy jednak przynosił

pecha. Postanowili, że więcej się z nim nie spotkają. Najpierw ten niefart z dziewczyną, a teraz z gościem bez nóg! Nie wierzyli, że to wszystko było wyłącznie dziełem przypadku.

Pryszczaty chłopak był kompletnie zrezygnowany. Wiedział, że przegrał. Wszystko miało wyglądać zupełnie inaczej, a tymczasem kaleka okazał się sprytniejszy od młodego, sprawnego mężczyzny. Rudy po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że otaczający go świat naprawdę jest parszywy.

– Usiądź na ławce – rozkazał inwalida.

Pryszczaty ze zrezygnowaniem wykonał polecenie.

Wieczorek wyciągnął z kieszeni marynarki portfel. Kilka monet podał stojącemu za nim chłopcu.

– Feluś, idź kupić sobie lemoniadę czy co tam uważasz i wróć po mnie za kilka minut, a my w tym czasie utniemy sobie miłą pogawędkę.

Nastolatek wziął pieniądze, chuchnął na nie i schował do kieszeni pocerowanych spodni. Chwilę później już go nie było.

Wiewiór podjechał wózkiem bliżej ławki, na której siedział osowiały chuligan.

– Nie muszę ci chyba przypominać, że pod tym kocykiem wciąż trzymam wycelowany w ciebie pistolet?

Rudy pokiwał głową.

Wiewiór przyglądał mu się chwilę. Chłopak wyglądał na kompletnie rozbitego. Nie powinien sprawiać problemów.

– Zapalimy? – Wieczorek podsunął w jego stronę pudełko z papierosami. Młodzieniec drżącą ręką wyłuskał jednego i włożył do ust.

Ktoś przechodzący obok nich mógłby pomyśleć, że dwóch zaprzyjaźnionych mężczyzn siedzi w parku, uprzyjemniając sobie czas rozmową. Młodszy z pewnością pchał wózek, na którym siedział bliski mu przyjaciel. Prawda była jak zwykle zupełnie inna.

– Chłopak, który mnie tu przyprowadził – zaczął ściszym głosem Wieczorek – powiedział, że po parku kręciło się ostatnio sporo milicjantów. Spotkałeś ich?

Mietek uznał, że jeśli chce bez szwanku wyjść z tej opresji, to nie powinien nic ukrywać przed swoim rozmówcą.

– Rozmawiali ze mną i z innymi chłopakami – odpowiedział szybko.
– Czego chcieli?
– Szukali dziewczyny.
– Jakiej dziewczyny?
– Kilka dni temu, było już dosyć późno, przechodziła tędy taka młoda...
Zdziwiło nas, że sama, w takim miejscu.

Chłopak przerwał swoją szarpaną, chaotyczną wypowiedź. Wieczorek był przyzwyczajony do tego typu rozmów. Pamiętał je jeszcze z przedwojennych czasów. Musiał przyznać, że od tamtych przesłuchań niewiele się zmieniło. Od razu poznał po sposobie mówienia, że chłopak ma informacje mogące ruszyć z miejsca śledztwo. Teraz jedynie należało umiejętnie je z niego wydobyć. Nie spłoszyć chłopaka. Nie dać mu odczuć, że robi coś wbrew swojemu chuligańskiemu kodeksowi, w który wierzył równie mocno jak zapewne jego babka w Biblię.

– Pewnie ładna była ta dziewczyna, co?

W oczach chłopaka na moment pojawił się błysk. Dłonią odruchowo przecesał rude i przetłuszczone włosy, które pewnie nie pamiętały już dotyku grzebienia ani tego, czym jest szare mydło. Mietek wyprostował lekko przygarbione plecy, jakby dziewczyna, o której opowiadał, przechodziła właśnie obok niego.

– Piękniejszej dawno nie widziałem – odparł żywo. – Wie pan, teraz na ulicy trudno o młodą, urodną dziewczynę, a ta miała wszystko, czego potrzeba chłopakowi w moim wieku...

Wieczorek splunął na chodnik gęstą, żółtą śliną.

– I pomyślałeś pewnie, że śmiało możesz po nią wyciągnąć swoje brudne łapska?! – Komisarz zdawał sobie sprawę, że nie powinien tego mówić, jednak nie potrafił się powstrzymać. W czasach gdy on był w wieku tego krostowatego gówniarza, nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby zaczepiać samotnie spacerującą dziewczynę.

– Nie chcieliśmy jej zrobić nic złego – zaczął tłumaczyć się Mietek – ot, tak dla draki ją zagadaliśmy. Niech mi pan wierzy, że nic złego z naszej strony by jej się nie przytrafiło! My potrafimy uszanować, kiedy dziewczyna mówi „nie”.

Wieczorek z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Czyli porozmawialiście sobie z nią, pozartowaliście i pozwoliliście jej

odejść?

Chłopak podrapał się po policzku. Komisarz, mimo że nie był estetą ani kimś zanadto wrażliwym, z niesmakiem zauważył, że młodzieniec rozdrapał jedną z krost, która teraz lekko krwawiła. Rudy przyjrzał się swoim paznokciom, na których zostały czerwone ślady, i bez zastanowienia wytarł je o spodnie. Była to dla niego czynność tak normalna, że z pewnością wykonywał ją już niejednokrotnie.

– To nie do końca tak, że pozwoliliśmy jej odejść.

– Mów jaśniej! – krzyknął rozeźlony Wiewiór, któremu od przebywania w towarzystwie krostowatego zaczynało robić się już niedobrze. Popatrzył na jego brudny opatrunek założony na oko i wyobraził sobie, jak w przyszłości chłopak grzebie paluchem w pustym, zabliźnionym oczodole. – Co się stało z dziewczyną?!

Po tym pytaniu Wiewiór zamarł w bezruchu. Rudy, jakby czytał w myślach komisarza, podniósł rękę i prawą dłonią dotknął szarego opatrunku na oku. Wieczorek mimowolnie skrzywił się, otworzył usta, żeby powstrzymać chłopaka, ten jednak odezwał się pierwszy.

– Odeszła z nim.

– Z kim?!

Chłopak wciąż delikatnie dotykał obandażowanego oka.

– Z mężczyzną, który mi to zrobił. Pojawił się nagle, tak jakby cały czas szedł za dziewczyną. Chcieliśmy go przegonić, w końcu nas było pięciu, a on jeden. Facet jednak się nie wystraszył. Wbił mi jakiś ostry szpikulec w oko, to samo zrobił Mańkowi, Grzeli zgruchotał kolano, pozostałym udało się uciec.

– Czyli był on ostatnim człowiekiem, którego mogła tamtego wieczoru spotkać dziewczyna?

Rudy pokiwał głową.

Wieczorek zaczerpnął głęboki haust powietrza. Był prawie pewien, że chłopak i jego kompani spotkali tamtego wieczoru mordercę, którego on i Wolak poszukują od dziesięciu lat.

– Potrafisz go opisać? – spytał z nadzieją w głosie.

Rudy przez jakiś czas dość intensywnie myślał, rozdrapując przy tym kolejne krosty na twarzy, po czym odparł:

– Nie.

Wiewiór zaklął pod nosem. Nie poddawał się jednak.

– Coś na pewno zapamiętałeś. Wzrost? Budowa ciała? Sposób chodzenia? Mówienia? Ubiór?

– Na głowie miał kraciasty kaszkiet, który zasłaniał mu pół twarzy. Poza tym było ciemno i żaden z nas nie zdążył nic szczególnego zauważyć. – Chłopak spojrzał przenikliwie na siedzącego w wózku inwalidę. – Myślisz pan, że po tym, co ten typ nam zrobił, nie próbowaliśmy go znaleźć? Każdy z nas wszędzie o niego wypytywał!

– I co?

Rudy bezradnie wzruszył ramionami.

– Kamień w wodę. Nikt go tu wcześniej nie widział.

– Słuchaj – Wieczorek nachylił się w stronę chłopaka – uwierz, że ja tego gościa znajdę. Muszę jednak znać więcej szczegółów. To, co mi do tej pory powiedziałeś, nie wystarczy! Więc jeżeli chcesz, żeby facet dostał to, na co zasługuje, wysił się i przypomnij sobie coś więcej!

Rudy zaczął jeszcze intensywniej drapać się po twarzy. Wiewiór z niepokojem obserwował systematycznie powtarzającą się drogę, jaką pokonywała ręka chłopaka od twarzy do spodni, w które ją wycierał. Nie odzywał się. Czekał. Miał ochotę na papierosa, nie chciał jednak rozpraszać chłopaka, któremu, jak już zdążył zaobserwować, myślenie przychodziło z dość dużą trudnością.

– Palec! – krzyknął rudy, patrząc rozpromieniony na Wieczorka.

– Co palec?! – spytał poirytowany komisarz.

– Facetowi brakowało małego palca! Teraz sobie przypominam! Zauważyłem to, gdy podnosił rękę, w której trzymał szpikulec. Zastanawiałem się wtedy, czemu tak dziwnie go trzyma. Później o tym zapomniałem, za mocno mnie bolało i wszędzie była krew!

Wiewiór poczekał, aż podekscytowany chłopak się uspokoi. Informacja o defekcie mordercy była bezcenna. Pytanie tylko, czy wyrostkowi się to nie przywidziało. W końcu wszystko działało się dość szybko i w dodatku było już po zmroku. Z doświadczenia komisarz wiedział, że ofiary przemocy niejednokrotnie zapamiętywały jakiś szczegół dotyczący sprawcy, który często przypominał im się dopiero długo po nieszczęśliwym zdarzeniu.

– Jesteś pewien, że brakowało mu małego palca przy prawej dłoni?

Mietek skwapliwie pokiwał głową.

Wieczorek poczęstował go kolejnym papierosem. Chłopak zasługiwał na nagrodę.

– Złapie go pan? – spytał z nadzieją w głosie.

Tak, do kurwy nędzy – pomyślał Wiewiór, wydmuchując dym, już odpalam swój wózek i ruszam w pościg za silnym, zdrowym facetem, który bez problemu poradził sobie z pięcioma chuliganami naraz. Nie wypowiedział jednak swoich myśli na głos. Zmarszczył czoło i rzekł zgodnie z prawdą:

– Zrobię, co w mojej mocy. Musisz mi jednak jeszcze powiedzieć, jakiego wzrostu i jakiej budowy ciała był ten facet.

Mietek zmarkotniał. Perspektywa, że ponownie będzie musiał wysilić swój nadwerżony już dzisiaj intelekt, nie napawała go optymizmem. Zaciągnął się głęboko papierosem i rozejrzał, jakby gdzieś wokół szukał natchnienia. Wtem jego twarz rozjaśnił uśmiech, przypominający ten, jaki pojawia się na twarzy dziecka, które zauważa sprzedawcę waty cukrowej.

– Wyglądał dokładnie jak ten idący w naszą stronę facet! – krzyknął uradowany chłopak, pokazując palcem na zbliżającego się ku nim mężczyznę. – Też był taki wielki i mocny, tyle że nie nosił takiego śmiesznego kapelusza, ale kraciatą czapkę aż na czoło!

Wieczorek obejrzał się za siebie. Kiedy zobaczył zmierzającego ku nim osobnika, roześmiał się głośno.

– Z czego tak się zaśmiewasz, cholerny kaleko?! – spytał Wolak, podchodząc do przyjaciela. – Na tym wózku radzisz sobie jeszcze lepiej, niż jakbyś miał obie nogi. Zanim cię tu znalazłem, nachodziłem się tak, że kulasy nie chcą mnie już nosić!

Wolak usiadł na ławce, żeby odpocząć. Z zainteresowaniem przyjrzał się siedzącemu na niej chłopakowi.

– A tobie, Jurand, co się w buźkę stało? – spytał ze szczerym zdumieniem w głosie.

Rudy nie miał już siły, by odpowiedzieć. Sięgnął ręką do twarzy i podrapał się w policzek. Obiecał sobie, że gdy tylko wróci do domu, uda się do mieszkającego w tej samej kamienicy pana Brzozowskiego, który przed wojną pracował jako nauczyciel w gimnazjum, i spyta go, kim jest ten cholerny Jurand!

46.

Obawy Edwarda Jastrzębskiego okazały się płonne. O dziewiętnastej w gabinecie Bolesława Makowskiego pojawili się obaj komisarze. Ponury, zwalisty Jan Wolak pchał przed sobą wózek z siedzącym na nim drobnym, ciemnowłosym inwalidą. Obaj wydzielali intensywną woń będącą pozostałością wypalonych papierosów. Makowski ucieszył się, że nie będzie musiał siedzieć w ich bezpośrednim sąsiedztwie. Mimo że żył w czasach, kiedy paliła znaczna część społeczeństwa i proceder ten nie był nijak piętnowany czy ograniczany, nie znosił tego nałogu. W swoim życiu zapalił papierosa jedynie kilka razy. Był dumny, że jego skóra i ubrania nie są przesiąknięte tym skądinąd nieprzyjemnym zapachem. Sekretarz obrzucił obu mężczyzn spojrzeniem, któremu chciał nadać w miarę przyjemny wyraz, po czym wskazał na krzesła stojące w drugim końcu stołu.

– Siadajcie, obywatela.

– Dziękuję, ale ja już siedzę – odparł Wiewiór, nie siląc się przy tym ani na jakieś miłsze spojrzenie, ani na łagodniejszą barwę głosu.

Jego towarzysz w milczeniu odsunął krzesło i usiadł. Od razu zaczął też bębnić palcami o blat. Sekretarz był wyczulony na tego typu zachowanie. Jak długo jeszcze będę musiał ich znosić? – pomyślał, zaciskając zęby. Z jego twarzy w tej chwili całkowicie zniknęły już pozory uprzejmości. Pierwszy dzień śledztwa, prowadzonego przez tych dwóch przedwojennych asów, mocno nadwerżył nerwy Bolesława Makowskiego. Punktem zapalnym stała się informacja od Jastrzębskiego, że pozwolił Wieczorkowi i Wolakowi na samodzielne poruszanie się po mieście.

– Ty też siadaj! – Sekretarz spojrzał srogo na stojącego w progu Jastrzębskiego. – Jak się udał spacer po Warszawie? – zwrócił się do

Wolaka i Wieczorka, kiedy Jastrząb zajął już swoje miejsce.

– Spacer – odezwał się Wiewiór, wyjmując z kieszeni marynarki stary pozaginany notes – był bardzo owocny. Myślę, że jeszcze dwa, góra trzy takie spacery i uda się schwytać poszukiwanego przez nas człowieka.

Makowski zrobił zdziwioną minę.

– Słucham, proszę mówić.

Wolak wciąż milczał. Bębnił jedynie palcami o stół, wzrok miał utkwiony w jednym punkcie. Ten, kto go znał, wiedział, że stary komisarz zastanawia się nad rozwiązaniem jakiegoś dręczącego go problemu. Jednak osoby postronne, takie jak Makowski, które o naturze Jana Wolaka wiedziały mało albo zgoła nic, obserwując jego zachowanie, mogły wyciągnąć tylko jeden, najprostszy wniosek. Dla nich komisarz wyglądał w tej chwili na człowieka znudzonego i mającego wszystko głęboko tam, gdzie słońce nie dochodzi. To mogło irytować.

Wieczorek opowiedział Makowskiemu o tym, czego się dowiedzieli od spotkanego w parku rudego Mietka. Sekretarz był zdumiony, że dwóm ubranym po cywilnemu facetom, w dodatku niemającym żadnych uprawnień, udało się zebrać więcej informacji niż całej rzeszy przeczesujących miejsce zbrodni milicjantów.

Na koniec swojej relacji Wiewiór wyjawiał także kilka istotnych dla śledztwa informacji z rozmowy przeprowadzonej przez Wolaka z Hanką Bralewską. Nie wdawał się jednak w szczegóły dotyczące rodzinnych spraw komisarza.

– Jak zamierzacie wykorzystać te informacje? – spytał Makowski, patrząc na Wolaka, jakby liczył, że teraz to on mu odpowie. W głębi duszy zastanawiał się, jaki był sens sprowadzania tutaj tego milczącego mężczyzny. Może sam kaleka poradziłby sobie z dochodzeniem?

Wolak nawet nie raczył zauważyć, że sekretarz chciałby usłyszeć jego opinię na temat dalszego sposobu prowadzenia śledztwa.

– Naszym kolejnym celem – podjął Wieczorek, który w ogóle nie zwrócił uwagi na wymowne gesty Bolesława Makowskiego – będzie upewnienie się, czy facet z parku jest tym samym gościem, który zamordował pańską żonę.

Makowski wyraźnie się ożywił. Nie umknęło to uwadze zarówno Wieczorka, jak i Jastrzębskiego, który wiedząc, że nie może zabrać głosu w trakcie spotkania, uważnie się przysłuchiwał i obserwował obecnych

w pomieszczeniu mężczyzn. Młody oficer zastanawiał się, czy schwytanie mordercy Wiery Sonikówny jest dla sekretarza istotne tylko z powodu miłości, jaką darzył swoją żonę, czy istnieją jeszcze jakieś inne, dużo ważniejsze przyczyny? Co ty kombinujesz, szczwany lisie? – pomyślał Jastrząb. Na razie godził się na przyjęcie w tym śledztwie roli chłopca do bicia, ale obiecał sobie, że nie zawaha się wykorzystać zdobytych informacji, by odegrać się na Makowskim za wszystkie dotychczasowe upokorzenia.

– W jaki sposób chcecie się tego dowiedzieć? – Tym razem sekretarz nawet nie spojrzął w stronę wciąż zamyślonego Wolaka.

– Wydaje mi się, że potrzebne nam informacje znajdziemy w hotelu, w którym doszło do morderstwa. Udamy się tam, by jeszcze raz przesłuchać kilku pracowników z obsługi, którzy mieli dyżur owej feralnej nocy.

– Jak już wcześniej powiedziałem, czynności te zostały wykonane bezpośrednio po odkryciu morderstwa, a wszystkie raporty z przesłuchań są oczywiście do waszej dyspozycji.

Wiewiór się uśmiechnął.

– Nie chcę być wulgarny, ani tym bardziej wyjść w pana oczach na chama, ale raporty, o których pan mówi, nadają się najwyżej do tego, żeby podtrzeć sobie nimi dupę.

Wolak, który przez cały czas wydawał się nieobecny, parsknął śmiechem.

Sekretarz poczerwieniał na twarzy. W myślach przypomniał sobie daty koronacji władców z dynastii Piastów, to go zawsze uspokajało. Doszedł do Władysława Łokietka i poczuł, jak sływa na niego opanowanie.

– Skądże – zaczął pełnym słodczy głosem – nie uchodźcie w moich oczach za chama, chciałem jedynie raz jeszcze przypomnieć, że możecie liczyć na naszą pomoc w śledztwie. Jeżeli jednak nie chcecie skorzystać z naszych raportów, rozumiem to i szanuję. Dla mnie najważniejsze jest schwytanie mordercy.

– Nic tak nie cieszy, jak szczerza współpraca władzy ludowej z ludźmi reprezentującymi nieco inny punkt widzenia na pewne sprawy. – Wiewiór również starał się nadać swojemu głosowi słodki ton, nie bardzo mu to jednak wychodziło, ponieważ barwę jego głosu ukształtowały tysiące wypalonych papierosów i morze alkoholu, które przepłynęło przez jego

gardło.

Sekretarz w żaden sposób nie odniósł się do słów inwalidy.

– Z tego, co komisarz Wieczorek opowiedział mi o zbrodniach popełnionych przed wojną, wynika, że ginęły wówczas kobiety mające, że się tak wyrażę, bezpośredni związek z obywatelem Janem Wolakiem. – Makowski zrobił pauzę, oczekując na potwierdzenie swoich słów.

– Ładnie się pan wyraził – Wiewiór uśmiechnął się ironicznie – ja jednak nazwałbym to trochę inaczej. Zamordowane były kochankami komisarza Jana Wolaka. Na tym polegał ów bezpośredni związek.

– Zatem jaki związek z waszym przyjacielem miały moja żona oraz Natalia Bralewska? – podjął Makowski.

Inwalida ze świstem wypuścił powietrze. Zaczynał się irytować. Prowadzenie całej rozmowy spadło na niego. Zdawał sobie sprawę, że Wolak musiał na coś wpaść i dlatego się nie odzywa, tylko próbuje sobie wszystko ułożyć w logiczną całość, jednak miał już tego dość. Czuł się niczym nauczyciel, który uczniowi nad wyraz słabemu z matematyki próbuje objaśnić praktyczne zastosowanie twierdzenia Pitagorasa.

– Dlatego już na samym początku powzięliśmy przypuszczenie, że ten, kto zamordował Sonikównę, to nie poszukiwany przez nas zabójca. On jedynie wszystko tak upozorował, żeby wyglądało to na zbrodnię, jakich dokonywano przed wrześniem trzydziestego dziewiątego.

Makowski wolno pokiwał głową. Widać było jednak po nim, że nie do końca zgadza się z tym, co powiedział inwalida.

– A Bralewska, kim ona była dla Wolaka?

– W jej przypadku morderca się pomylił. Skądś musiał wiedzieć o romansie Janka z Jadwigą i o tym, że miała ona z nim dziecko. Nie miał jednak pojęcia, która z dziewcząt jest córką komisarza.

– Dlaczego zabił córkę, a nie matkę? Dlaczego nie zabił Jadwigi Bralewskiej, która podobnie jak wcześniejsze ofiary była kochanką Wolaka?

Wiewiór musiał przyznać, że Makowski w końcu zadał jakieś sensowne pytanie. Sam głowił się nad tym od kilku godzin i nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Zabijając Natalkę, morderca zrywał z dotychczasowym schematem działania. Dlaczego postąpił w ten sposób? Czy w ogóle w przypadku seryjnych zabójców można mówić

o jakiegokolwiek logice?

– Mamy pewną hipotezę, która wyjaśniłaby nam zabójstwo córki pani Bralewskiej, a nie jej samej – zaczął niepewnie Wieczorek. – Musimy jednak wszystko dokładnie sprawdzić.

– Rozumiem – zgodził się sekretarz. – Chciałbym jednak, żebyście podzielili się ze mną swoimi przypuszczeniami.

Wieczorek spojrzał na Wolaka. Komisarz, wciąż pogrążony w myślach, niedostrzegalnie skinął głową. Wiewiór odchrząknął i zaczął mówić.

– Jadwiga Bralewska do tej pory mogła nie zginąć, bo morderca nie wiedział o jej romansie z Wolakiem. To pierwsza hipoteza. Należy pamiętać, że spotykali się oni jedynie przez kilka dni pobytu komisarza w Komorowie.

Makowski pokręcił głową, dając do zrozumienia, że ta hipoteza w ogóle do niego nie trafia.

– Przyznaję, że ma kilka słabych punktów – kontynuował Wieczorek – jednak całkowicie jej nie odrzucamy.

– Jeżeli morderca nie miał pojęcia o romansie Wolaka i Bralewskiej – wtrącił się Makowski – to skąd wiedział o ich córce?

– Gratuluję przenikliwości umysłu – po raz kolejny głos inwalidy nie był pozbawiony ironii. – To wielka szkoda, że taki talent jak pan marnuje się na stanowisku sekretarza partii!

Jastrzębski szybkim ruchem ręki sięgnął po leżące na stole kartki z protokołów przesłuchań. Nie zrobił tego bynajmniej dlatego, że nagle zapalał chęcią przeczytania, co jest na nich napisane, wykorzystał je w zgoła innym celu. Musiał jak najprędzej zakryć przed wzrokiem Makowskiego swoją twarz, na której pojawił się wyraz rozbawienia wywołany słowami Wieczorka. Młody oficer nigdy jeszcze nie widział, by ktoś w tak odważny sposób kpił sobie z jednego z najwyższych przedstawicieli władzy ludowej.

– Wracając jednak do tematu – podjął Wiewiór – nie wykluczamy całkowicie tej hipotezy, ponieważ śmierć Jadwigi Bralewskiej nie byłaby dziś dla Janka takim ciosem jak kilka czy kilkanaście lat wcześniej. Morderca doskonale wiedział, że zada komisarzowi dużo więcej bólu, zabijając jego córkę. Dlatego być może oszczędził kobietę, z którą wiele lat temu Janek miał przelotny romans, a uderzył w młodą Bralewską. Tyle że albo pomylił siostry, albo nie wiedział, która jest córką Wolaka.

Wieczorek sięgnął po stojącą na stole szklanę z herbatą. Nie wyciągając z niej łyżeczki, upił kilka łyków, siorbiąc przy tym głośno.

Makowski milczał. Nie zabierał głosu, bojąc się tym samym narazić na kolejne kpiny kaleki, który na razie był bezkarny. Sekretarz poprzysiągł sobie jednak, że w chwili kiedy Wieczorek nie będzie mu już do niczego potrzebny, odegra się na nim. Kompletnie jednak nie miał pomysłu w jaki sposób. Facet przecież i tak już wszystko stracił. Nie było niczego, czym można by go zastraszyć.

– Jest jednak jeszcze inna ewentualność, którą bierzemy pod uwagę. Być może morderca od dawna wiedział o romansie Jadwigi i Janka, ale nie zamordował jej, ponieważ darzył ją uczuciem. Gdyby ten trop okazał się prawdziwy, to wszystko by wskazywało no to, że poszukiwanym przez nas zabójcą jest...

– ...koniuszy Romuald! – dokończył za Wiewióra Makowski.

Inwalida z uśmiechem na twarzy klasnął kilka razy w dłoń.

– Brawo! Po raz kolejny udowadnia pan, że nie myliłem się co do przenikliwości pańskiego umysłu. Wydaje mi się jednak, że to byłoby zbyt proste. – Wieczorek pokręcił głową, jakby chciał samego siebie przekonać, że się myli. – Koniuszy to bardziej ofiara niż przestępca. Podczas mojego pobytu w majątku Bralewskich miałem okazję z nim kilkakrotnie rozmawiać i nie wydał mi się człowiekiem na tyle rozgarniętym, by zaplanować, a później dokonać zbrodni, o jakie go teraz podejrzewamy.

– Niemniej trzeba będzie go sprawdzić – po raz pierwszy głos zabrał Wolak. – Dlatego wspólnie zdecydowaliśmy, że Zygmunt uda się na kilka dni na wieś, by jeszcze raz dokładnie wszystko zbadać. Oczywiście będzie mu tam potrzebna nieoceniona pomoc naszego młodego adepta sztuki dochodzeniowo-śledczej Edwarda Jastrzębskiego.

Wyraz twarzy sekretarza Makowskiego wskazywał na to, że jest bardzo zdumiony. Trudno było osądzić, czy owo zdumienie wywołał fakt, że Wolak zdecydował się w końcu odezwać, czy też miało ono swoje źródło w słowach komisarza.

– A jaką rolę przewidzieliście w tym wszystkim dla siebie?

Trzy pary oczu wpatrywały się z zaciekawieniem w Wolaka. Wiewiór zastanawiał się, co takiego wymyślił jego przyjaciel, że zmienił plany i nie chce towarzyszyć mu w wyprawie do Komorowa, tak jak to wcześniej wspólnie omówili...

– A ja – zaczął Wolak z tajemniczym uśmiechem na twarzy – pooddycham trochę miejskim powietrzem.

– Wolałbym, żebyście wyrazali się nieco jaśniej. – Makowski włożył dużo wysiłku, by jego głos brzmiał stanowczo. Nie przyniosło to jednak zamierzonego efektu, gdyż komisarz Wolak uśmiechnął się kpiąco i rzekł:

– Towarzyszu sekretarzu, a ja bym wolał, żeby dla dobra śledztwa nie wtrącał się pan w nie zanadto. Jeżeli koniuszy rzeczywiście jest mordercą, to Zygmunt razem z Edwardem nie powinni mieć większych problemów z zatrzymaniem go i dostarczeniem do stolicy. Jeżeli jednak się mylimy, to z korzyścią dla nas wszystkich będzie, gdy zostaną na miejscu i trochę tu powęszę. Zwłaszcza że zabójca pańskiej żony może w dalszym ciągu przebywać gdzieś blisko... – Wolak przerwał nagle swoją wypowiedź, zajrzał głęboko w oczy Makowskiemu i dokończył: – ...blisko pana, towarzyszu sekretarzu!

W ciszy, jaka zapanowała w pomieszczeniu, wyraźnie dało się usłyszeć, jak Bolesław Makowski głośno przelyka ślinę.

– W sumie to wiecie lepiej, jak skutecznie poprowadzić to śledztwo. – W głosie sekretarza pobrzmiwała rezygnacja.

Jastrzębski nigdy wcześniej nie słyszał u niego takiego tonu. W przemówieniach radiowych ten głos brzmiał zdecydowanie inaczej. Pewny siebie, władczy i nieznoszący sprzeciwu.

– Zgadza się, towarzyszu – podchwycił ochoczo Wiewiór. – Jeżeli chodzi o prowadzenie śledztwa, to mój przyjaciel nie ma sobie równych!

Makowski odwrócił wzrok w stronę inwalidy. Jego oczy ciskały gromy. Nagle wpadł mu do głowy pewien pomysł.

– Dlaczego żaden z was nie pomyślał, żeby zadzwonić do dworku i spytać, czy w ciągu ostatnich dni koniuszy opuszczał miejsce zamieszkania?

Wieczorek cmoknął głośno i z dezaprobatą pokręcił głową.

– Jednak pana przecenilem – rzekł z udawanym smutkiem. – Może i nie wyglądamy na bystrych, ale zatelefonowanie do majątku Bralewskich było jedną z pierwszych czynności, jakie podjęliśmy. Nie informowaliśmy pana o tym, ponieważ uznaliśmy to za oczywiste.

– Czego się dowiedzieliście?

– Niczego, co by nas przekonało o winie czy też niewinności

koniuszego. Zarządca dworu poinformował nas, że Romuald pojawił się dopiero dzisiaj rano. Przez ostatnie trzy dni nikt go we dworze nie widział, jego obowiązki wypełniał w zastępstwie jakiś młody chłopak ze wsi, bodajże brat tego partyzanta z oddziału Rysia.

– A więc to musi być on!

– Niekoniecznie. – W głosie Wiewióra nie było nawet cienia entuzjazmu, który towarzyszył Makowskiemu. – Znając upodobanie koniuszego do nadużywania trunków, podejrzewam, że przez ostatnie kilka dni mógł przebywać w jakimś ustronnym, znanym tylko sobie miejscu i rozkoszować się podprowadzonym z piwniczki Bralewskich koniakiem.

Makowski pokiwał głową. Chcąc nie chcąc, musiał zgodzić się z rozumowaniem komisarzy.

– Kiedy planujecie wyjazd na wieś?

Głos zabrał Wolak, który pod koniec spotkania wyraźnie się uaktywnił i zdecydowanie przejął inicjatywę w podejmowaniu decyzji.

– Myślę, że jutro rano Zygmunt i Edward powinni wyjechać. Dziś wieczorem będą mi jeszcze potrzebni tu, na miejscu.

Trzej mężczyźni po raz kolejny z ciekawością spojrzeli na Wolaka.

– Chciałbym was zabrać na wystawną kolację – komisarz zwrócił się do Jastrzębskiego i Wieczorka, po czym przeniósł wzrok na sekretarza – której koszt, mam nadzieję, pokryje pana resort.

Makowski pokręcił z oburzeniem głową.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

Wiewiór już się szykował do kolejnej ciętej riposty dotyczącej intelektu pierwszego sekretarza, jednak Wolak gestem ręki nakazał mu milczenie.

– Dziś wieczorem nasz trzyosobowy zespół śledczy odwiedzi restaurację, w której ostatni raz widziano żywą pana żonę. Mamy zamiar poznać jak najwięcej szczegółów z owego feralnego wieczoru, dlatego musimy wcielić się w rolę nieco ekscentrycznych, ale przede wszystkim nad wyraz bogatych i szczodrych klientów restauracji. Tak więc dla dobra śledztwa powinien pan wyasygnować dla nas odpowiednią sumę.

Twarz pierwszego sekretarza była o wiele bledsza niż w chwili, gdy dowiedział się o śmierci żony. Wypowiedziane szeptem słowa ledwie dotarły do uszu zgromadzonych w pokoju mężczyzn.

– Oczywiście rozumiem. Dla dobra śledztwa.

47.

Restauracja przy Hotelu Europejskim powoli zapełniała się gośćmi. Trzej mężczyźni, z których jeden poruszał się na wózku inwalidzkim, z trudem znaleźli wolny stolik bez napisu „rezerwacja”. Szef kelnerów od razu podszedł do nich, zostawiając do przejrzenia karty dań. Fachowym wzrokiem otaksował gości, próbując umiejscowić ich w odpowiednim przedziale finansowym. Od tego, jak wysoko oceni ich zdolności finansowe, zależy bowiem to, kogo przyśle do dalszej obsługi. Jeżeli przełożony kelnerów stwierdzał, że zasobność portfela danego klienta jest dość duża, do stolika przydzielał swoich najlepszych podwładnych, którzy nie tylko byli uprzejmi i nadzwyczaj kulturalni, ale też dzięki którym działaniom bogaci goście zamawiali najdroższe dania nawet wówczas, gdy początkowo nie mieli na nie ochoty. Korzyści wynikające z takiego proceduru odnosili wszyscy, oczywiście oprócz klienta. Najwięcej zarabiała sama restauracja, następny w kolejce był właśnie szef kelnerów, który dzięki swojemu talentowi docenianemu przez właścicieli restauracji otrzymywał stały procent od codziennego utargu. Przełożony natomiast wypłacał dolę swoim podwładnym. Według tylko sobie znanych wzorów wyliczał, ile któremu się należy. Najmniej oczywiście zarabiali młodzi, początkujący kelnerzy, gdyż z reguły obsługiwali stoliki mniej zamożnych gości, których trudno było namówić do zamówienia drogich dań. Tacy nieszczęśnicy nie mogli liczyć nawet na napiwki. Ich zarobki ograniczały się jedynie do stałej niewysokiej pensji, z trudem wystarczającej na opłacenie czynszu. Ponadto początkujący kelner bezustannie chodził zmęczony i niewyspany, gdyż to właśnie na jego barki spadało wykonywanie najcięższej pracy. Przełożony nie miał dla nich litości. Doceniając zasługi starszych kelnerów, pozwalał im po zamknięciu restauracji iść do domu, natomiast młodzi musieli sprzątać stoliki, zmywać naczynia, zamiatać podłogę. Zaradni młodzi chłopcy potrafili wszakże

uprzyjemnić sobie tę niewdzięczną pracę. W pozostawionych na stolikach kieliszkach i karafkach znajdowali niedopity alkohol, którym szybko i dyskretnie się raczyli. Pochłonięty podliczaniem utargu przełożony dopiero pod koniec sprzątanía zwracał baczniejszą uwagę na młodych kelnerów. Wówczas jednak często było już za późno. Młodzi mężczyźni biegali od stolika do stolika, przezuwając pozostawione przez gości kotlety, zrazy, sałatki, a wszystko to zapijali resztkami różnych alkoholi. Dopiero nad ranem, po powrocie do wynajmowanej czynszówki, zdawali sobie sprawę z popełnionego błędu. Zwykle też zamiast w łóżku resztę nocy spędzali na kłęczkach w toalecie, obejmując muszlę klozetową. Przed południem wymizerowani i bladzi znowu pojawiali się w pracy i przez kolejnych kilka godzin sumiennie obsługiwali wskazane im przez starszego stoliki. Do ust nie brali nic poza mocną herbatą dopijaną z pozostawionych przez klientów szklanek. Zwykle wieczorem odzyskiwali nadwątlone siły. Powracał również apetyt. Dlatego z utęsknieniem oczekiwali momentu zamknięcia lokalu, by móc najeść i napić się do syta. Niepomni na błędy dietetyczne popełnione poprzedniej nocy, połykane naprędce kotlety, zrazy, pieczenie, sałatki ponownie zapijali wódką czystą na przemian z wiśniówką. Rzadko kiedy któremuś z młodych kelnerów udawało wyrwać się z tego zakłętego kręgu i zostać przydzielonym przez przełożonego do obsługiwania jakichś znamienitszych gości, a tym samym móc od razu po zakończeniu pracy udać się do wynajmowanego mieszkania.

Szef kelnerów raz jeszcze niechętnym wzrokiem obrzucił trzech mężczyzn. W swoim rankingu umieścił ich na jednym z najniższych miejsc. Faceci wydawali się groszem nie śmierdzieć. Jeżeli w dalszym ciągu będziemy tu wpuszczać wszystkich jak leci z ulicy – pomyślał z niezadowoleniem ubrany w nienagannie wyprasowany smoking kelner – to ten lokal już niedługo przestanie mieć cokolwiek wspólnego ze swoją nazwą. Twarz automatycznie rozciągnęła mu się w przymilnym uśmiechu i kłaniając się lekko, rzekł:

– Proszę zapoznać się z kartą dań, za chwilę przyślę kelnera, żeby odebrał od panów zamówienie.

Szef kelnerów już się odwracał, by zrobić rozeznanie wśród innych gości, kiedy poczuł, że ktoś go szarpie za rękaw.

– Panie – usłyszał chropawy głos trzymającego go za część garderoby inwalidy – zabierz pan z łaski swojej to krzesło, bo jak pan widzisz, ja już

mam na czym siedzieć!

Kelner z trudem powstrzymał się, żeby siłą nie wyrwać z dłoni kaleki trzymanego przezeń rękawa. Zamiast tego skłonił się uprzejmie, poczekał, aż niepełnosprawny mężczyzna go puści, i zabrał od stolika krzesło.

– Nieprzyjemny typ – odezwał się Wiewiór, kiedy dźwigający krzesło kelner oddalił się nieco. – Oby żarcie tutaj okazało się chociaż tak dobre, jak mówią.

– Nie martw się – rzekł Wolak, zabierając się do przeglądania karty dań – zamówimy coś ekstra, w końcu stawia towarzysz pierwszy sekretarz!

Jastrzębski udał, że jest tak pochłonięty studiowaniem menu, iż nie słyszy słów starego komisarza.

Wiewiór natomiast roześmiał się głośno, po czym zaniósł się tak okropnym kaszlem, że oczy bez mała wszystkich klientów Europejskiej zwróciły się w jego stronę.

Zdegustowany zachowaniem Wieczorka Edward, chcąc mu ulżyć, zaczął klepać go otwartą dłonią po plecach. Atak kaszlu jednak nie mijał. Młody oficer począł w swoje uderzenia wkładać coraz więcej siły.

– Przestań mnie tak walić! – krzyknął na cały głos Wieczorek. – Chcesz, żebym spierdolił się z tego wózka?!

Jastrzębski poczerwieniał. Pragnął swoim zachowaniem sprawić, by Wiewiór przestał kasłać i tym samym zwracać uwagę wszystkich na ich stół, a tymczasem jego działanie przyniosło całkiem odwrotny skutek. Ponownie znaleźli się w centrum zainteresowania.

Wolak wydawał się niczego nie zauważać. Podobnie jak podczas spotkania u Makowskiego sprawiał wrażenie nieobecnego.

Tymczasem Wiewiór przestał kasłać i z otwartymi ze zdumienia ustami przypatrywał się kelnerowi wolno sunącemu w stronę zajmowanego przez nich stołu.

– Ja pierdolę – rzekł inwalida, z niedowierzaniem przecierając oczy. – Toż to prawdziwy wampir!

Siedzący z Wieczorkiem mężczyźni spojrzeli w stronę nadchodzącego kelnera. Oni także znaleźli w jego wyglądzie dużo podobieństw do bohatera ludowych legend i podań. Przede wszystkim chłopak był niesamowicie wysoki i chudy. Błyszczące kruczoczarne włosy miał gładko zaczesane do tyłu. Nie wiadomo, czy efekt nabłyszczania uzyskał,

nacierając je brylantyną, czy też zawdzięczał go temu, iż nie zapewniał im regularnego kontaktu z wodą i szarym mydłem. Głęboko osadzone, przekrwione oczy otaczały sine obwódki, znamionujące zmęczenie i brak snu. Całości dopełniała blada cera, przypominająca tę, którą szczyciły się arystokratki na dworze Ludwika XVI. Siedzący przy stoliku mężczyźni z zaafowaniem patrzyli na kelnera wampira, który lekko się garbiąc, stanął nad Wiewiorem.

– Witam bardzo serdecznie – odezwał się grubym głosem. – Mam na imię Roman i dzisiejszego wieczoru będę panom usługiwał. Czy zdecydowali się już panowie na któreś z dań?

Wolak spojrział pytająco na Zygmunta.

– Może na początek jakaś przystawka na zimno?

Roman przekrwionym wzrokiem spojrział na mężczyzn, próbując po ich wyglądzie ocenić, jakie mogą mieć upodobania kulinarne.

– W takim razie proponuję śledzia pod pierzynką – powiedział, dość głośno przełykając ślinę.

– Świetnie! – ucieszył się Wiewiór. – A co szanowny pan radziłby do tegoż śledzika, żeby jeszcze bardziej zaostrzyć nasze apetyty?

– Ma pan na myśli napitek?

Wieczorek ochoczo przytaknął, rozpoznając w bladym kelnerze bratnią duszę.

– Jak to zwykł mawiać przed wojną generał Wieniawa-Długoszowski, nie od dziś wiadomo, że czysta wódka munduru i honoru nie plami, dlatego proponuję karafkę najczystszonego destylatu o pięćdziesięcioprocentowej mocy godnej panów gardeł.

Wieczorek z radości aż klasnął w ręce.

– Młody człowieku, mówisz, jakbyś czytał w moich myślach! – wykrzyknął tak, że oczy wszystkich gości ponownie zwróciły się w jego stronę. – Biegnijże więc po tę karafkę!

Kelner wampir już się odwracał, kiedy usłyszał za sobą głos inwalidy.

– Przynieś pan z łaski swojej jeden kieliszek więcej!

Stojący na zapleczu ober przyglądał się z wściekłością zamieszaniu, jakie robił wokół siebie inwalida. Z takimi klientami zawsze było najwięcej kłopotów. Nie dość, że często zdarzało się, iż brakuje im w portfelu pieniędzy, by w całości opłacić rachunek, to jeszcze swym grubiaństwem przeszkadzali innym gościom. Tymczasem nie było wyjścia i należało cierpliwie znosić fanaberie tego przekłętą kaleki. Strach było go wyrzucić, gdyż zaraz mógł się na sali znaleźć jakiś typ pokroju tego dziennikarzyni Staronia, który chętnie obsmarowałby w gazecie restaurację Europejską, pisząc o tym, jak traktuje się tam niepełnosprawnych. W dodatku z tego kaleki z nabrzmiałą mordą opoja od razu zrobiono by bohatera wojennego, który w walce za ojczyznę stracił obie nogi, a teraz nie chcą go obsłużyć w Europejskiej. Nie dość, że utarg i tak był o wiele mniejszy niż przed wojną, to po takim artykule spadłby jeszcze bardziej. Nie było rady, należało w miarę grzecznie obsłużyć kalekę i jego podejrzanych towarzyszy. Szef kelnerów przez chwilę nawet pożałował, że nie wysłał do ich stolika kogoś bystrzejszego niż Roman, ale zaraz porzucił tę myśl, gdyż zauważył, że młody kelner przypadł do gustu beznogiemu. Dobrze, że jeszcze go nie zwolniłem – pomyślał z zadowoleniem i z politowaniem przyglądał się, jak błądy chłopak trzęsącymi się rękoma układa na dużej srebrnej tacy talerz ze śledziem, karafkę, kieliszki...

– Zaraz, zaraz! – krzyknął ober. – Możesz mi wyjaśnić, po jaką cholere bierzesz cztery kieliszki, skoro przy stoliku siedzi trzech gości?!

– Tak sobie zażyczył pan na wózkę – odpowiedział chłopak, a ton jego głosu był pełen szacunku i brzmiał, jakby mówił: „Tak sobie zażyczył pan na włościach”.

Ober mocniej ścisnął trzymaną w dłoni ścierkę i już ją podnosił, by uderzyć podwładnego, kiedy kątem oka dostrzegł jakieś zamieszanie na sali.

– Ożeż kurwa!

Błądy wampir podążył za wzrokiem przełożonego. To, co zobaczył, wywołało na jego twarzy szeroki uśmiech. Tuż przed podestem dla orkiestry na swoim wózkę jeździł raz w jedną raz w drugą stronę inwalida. Stojący przy mikrofonie młody chłopak, zachęcany przez Wiewióra, śpiewał znany przebój Eugeniusza Bodo *Baby*. Siedzący wokół goście nie wiedzieli, jak się zachować. Pora była jeszcze tak wczesna, że prawie nikt nie zdążył na tyle się rozochocić, by towarzyszyć inwalidzie na parkiecie.

– Idź tam czym prędzej i zrób wszystko, co tylko będzie w twojej mocy, żeby ściągnąć go z parkietu! – wysyczał przez zaciśnięte zęby ober.

Roman stał się jeszcze bledszy niż zwykle. W tym momencie skóra na jego twarzy wydawała się przezroczysta.

– Panie starszy, ale jak?

– Nie interesuje mnie, jak to zrobisz! Jeżeli ci się to nie uda, to jutro możesz sobie szukać nowej pracy!

Zrezygnowany chłopak wziął tacę i opuścił zaplecze. Powoli lawirując pomiędzy gośćmi, siedł w stronę stolika, który na jego nieszczęście przypadł mu dzisiejszego wieczoru w udziale.

– Co ci strzeliło do łba?! – Wolak nie krył wściekłości. – Odkąd tu weszliśmy, cały czas zwracasz na nas uwagę wszystkich dookoła. Myślisz, że w ten sposób uda nam się czegokolwiek dowiedzieć?!

Wieczorek, wciąż dysząc po wózkowych tańcach, mrugnął na kelnera, by rozlał do kieliszków wódkę, którą postawił na stole. Nie miał zielonego pojęcia, skąd w jego głowie pojawił się ten absurdalny pomysł o tańcu, którego wstydził się jeszcze w czasach, kiedy był sprawny fizycznie. Może chciał się odegrać na Janku za to, że ten nie jest z nim do końca szczery i nie informuje go o swoich planach? Podświadomie czuł żal do swojego przyjaciela. W dawnych, przedwojennych czasach niczego przed sobą nie ukrywali. W trakcie śledztwa dzielili się każdym, nawet najgłupszym pomysłem. A teraz Zygmunt czuł, że Wolak nie mówi mu całej prawdy o powodach, dla których chce pozostać w stolicy. Miał jedynie nadzieję, że zachowanie Janka chociaż w części wynika z faktu, że teraz nie pracują tylko we dwóch, lecz towarzyszy im nieodłączny Jastrzębski, przy którym nie zawsze mogą swobodnie rozmawiać.

– Wybacz, proszę, ale sam nie wiem, co we mnie wstąpiło. Znasz przecież moją awersję do tańczenia. – Wiewiór chwycił za cienką stopkę kieliszek z alkoholem. Spojrzał na stojącego nad nim kelnera, który teraz wydawał mu się jeszcze bledszy niż przy pierwszym spotkaniu. – Jak ci na imię, garson?

– Roman, proszę pana.

Wiewiór z uznaniem pokiwał głową.

– Zaczne imię – rzekł, po czym zwrócił się w stronę swoich towarzyszy:
– Znacie jakichś Romanów?

Jastrzębski i Wolak pokręcili głowami.

– A ja, Romciu – Wiewiór zwrócił się do bladego chłopaka – pamiętam, jak siostrzyczka mojego świętej pamięci ojca zawsze się z nim kłóciła o to, kto ma rację, Dmowski czy Piłsudski? Ojciec jakby jej na złość całe mieszkanie obwiesił portretami marszałka, ona natomiast ze swojego mieszkania zrobiła izbę pamięci Romana Dmowskiego! Całe życie musiałem wysłuchiwać ich niekończących się sporów! Nawet w Wigilię, kiedy łamali się opłatkiem, nie obywało się bez wymiany zdań na temat tych dwóch osobistości. – Wiewiór w zamyśleniu spojrział w głąb trzymanego kieliszka. Przez chwilę obserwującemu go kelnerowi wydawało się, że inwalida dostrzegł coś na dnie. Może patrzyła nań stamtąd twarz twórcy Narodowej Demokracji, a może dojrzał swojego ojca wieszającego kolejny landszaft z marszałkiem? Nagle Wiewiór otrząsnął się z zamyślenia. Bystro popatrzył na kelnera. – Co tak stoisz, Romciu? Siadaj z nami! Przecież nie bez kozery kazałem przynieść cztery kieliszki!

Roman po raz kolejny głośno przełknął ślinę. Jego wyraźnie zarysowana grdyka poruszyła się w górę i w dół. Widać było, że chłopak toczy ze sobą wewnętrzną walkę. Takich osobników Zygmunt Wieczorek wyczuwał momentalnie. Bezbłędnie potrafił wyłowić ich z tłumu kelnerów, taksówkarzy, robotników, urzędników oraz innych mężczyzn pracujących dla dobra Polski Ludowej. Przychodziło mu to o tyle łatwiej, że sam również nie wylewał za kołnierz. U obywatela Zygmunta Wieczorka nie zmieniła tego ani wojna, ani utrata nóg. Z pewnym zdziwieniem stwierdził nawet, że teraz może wypić jeszcze więcej niż kiedyś. Początkowo go to martwiło, gdyż nie wiedział, skąd weźmie pieniądze, za które będzie dostarczać swojemu organizmowi artykuły niezbędne do normalnego funkcjonowania. W przypadku Wiewióra były to oczywiście wyroby zapewniane przez polski przemysł monopolowy, chociaż kaleki komisarz nie gardził także dobrze spędzoną księżycówką.

Kelner Roman był człowiekiem ulepionym z tej samej gliny co Wieczorek. Pretekst do napicia się potrafił znaleźć w każdej sytuacji. Tak było i teraz. Raz jeszcze przełknął ślinę. Spojrział w stronę zaplecza, skąd przyglądał mu się ober, i niepewnym głosem spytał:

– Czy dobrze zrozumiałem, że szanowny pan winszuje sobie, bym usiadł i napił się z nim?

– Brawo, Romciu! – krzyknął Wiewiór. – Świetnie odczytałeś moje intencje!

Kelner właściwie już podjął decyzję. Teraz jedynie przed samym sobą próbował się wytłumaczyć, że siada do stolika nie po to, by wraz z klientami konsumować alkohol, ale robi to tylko dlatego, żeby obsługiwany przez niego inwalida nie awanturował się, ściągając tym samym na siebie uwagę innych gości. Roman upewnił się, że przełożony wciąż go obserwuje, po czym w teatralnym geście bezradnie rozłożył ręce.

– Trudno, jeżeli naprawdę panu na tym zależy, to jednego mogę wypić – powiedział i zabierając wolne krzesło od sąsiedniego stolika, usiadł obok Wieczorka.

Edward Jastrzębski z przerażeniem obserwował, jak zawartość karafki znika w zastraszającym tempie w gardłach Wieczorka oraz Romana, który pomimo deklaracji, że nie powinien z nimi siedzieć, bo szef „wyrzuci go na zbity pysk”, oraz zapewnieniom przy każdym kolejnym kieliszku, że „to już ostatni”, wciąż nie podnosił się z krzesła.

Wieczorek, przyglądając się swojemu nowo poznanemu towarzyszowi, z zadowoleniem stwierdził, że jego twarz nabrała wreszcie odpowiednich rumieńców.

– Fajny z ciebie chłopak, Romciu! – powiedział, klepiąc kelnera mocno w plecy. – Spójrz, jak szybko uporaliliśmy się z tą wódeczką! Teraz dobrze byłoby zjeść coś konkretnego, bo na tego śledzia już nie mogę patrzeć!

– Panie Zygmuncie! Yyyk! – wypowiedane przez kelnera zdania co chwila przerywała czkawka, której nabawił się, pijąc zbyt zachłannie. – Zaraz polecę do kuchni i przyniosę dla panów coś... yyyk! ...ekstra.

Chłopak dopił napełniony przez Wiewióra kieliszek i poderwał się z krzesła. Szybkim krokiem pomaszerował w stronę zaplecza, gdzie czekał na niego wściekły szef.

– Co ty najlepszego wyprawiasz?! – spytał ober.

Roman czknął potężnie, po czym odparł:

– Wykonuję jedynie pańskie polecenia, yyyk!

– Czy ja kazałem ci z nimi pić?!

Chłopak, który miał już trochę w czubie, spojrział odważnie na swego przełożonego i odparł:

– Kazał mi pan tak zająć się panem Zygmuntem, żeby już nie rozrabiał, a kiedy on poprosił mnie, bym zasiadł z nimi i skosztował wódeczki, bałem się odmówić, żeby przypadkiem znowu czegoś... yyyk! ...nie nawywijał.

Przełożonemu nie chciało się prowadzić dalszej rozmowy z chłopakiem.

– Pamiętaj – zaczął ober, grożąc palcem młodemu – jeżeli ten kaleka coś jeszcze narozrabia, to ty będziesz za to odpowiedzialny!

– Rozumiem i obiecuję, że już... yyyk! ...do końca wieczoru będę go pilnował!

– Siebie też pilnuj! – wycedził przełożony.

– Rozumie się! A teraz pozwoli pan, że... yyk! ...pójdę do kuchni po jedzenie. – Roman urwał na chwilę. Jego oczy w tej chwili nie były już tak przekrwione jak wcześniej. Teraz stały się wodniste, a spojrzenie było rozmyte, jakby zatopione w alkoholowej iluzji świata. – Kiedy odchodziłem od stolika, kaleka mówił, że jest głodny, i kazał mi się spieszyć! Boję się, żeby znowu nie zaczął się awanturować!

– Co zamówili? – spytał z zainteresowaniem ober.

– Yyyk!... pieczoną jagnięcinę – odparł szybko kelner i już chciał iść w stronę kuchni, jednak zatrzymało go kolejne pytanie przełożonego.

– Stać ich?

Tego pytania Roman obawiał się najbardziej, gdyż nie znał na nie odpowiedzi, a sam był poniekąd winien tego, że do rachunku inwalidy i towarzyszących mu mężczyzn zostanie dopisana dość pokaźna suma za jedno z droższych dań głównych serwowanych w Europejskiej. Nic jednak nie mógł poradzić na to, że sam miał ochotę na spróbowanie potrawy, która uchodziła tutaj za najsmaczniejszą.

– Wydaje mi się, że tak – odparł wymijająco.

– Lepiej dla ciebie, żeby mieli z czego zapłacić – Roman już dawno nie widział, żeby ober był aż tak wściekły – bo jeżeli nie, to za ich rachunek potrącę z twojej pensji

Dla podkreślenia wagi swoich słów starszy mężczyzna zamachnął się trzymaną w rękę ścierką i uderzył nią w głowę kelnera. Chłopak wystraszył się, że na jednym ciosie się nie skończy. Jego przełożony znany

był z ciężkiej ręki i tego, że lubił znęcać się nad młodymi kelnerami. Roman zamknął oczy, czekając na kolejne uderzenie. Zamiast niego usłyszał jednak przerywane ciężkim sapaniem słowa:

– Co tak stoisz?! Idź po tę pieczeń, bo kaleka znowu zacznie szaleć!

Chłopakowi wyjątkowo nie trzeba było tego polecenia dwa razy powtarzać. Błyskawicznie zniknął za drzwiami prowadzącymi do kuchni. Po drodze z ulgą stwierdził, że męcząca go czkawka zniknęła bez śladu. Jednak mamusia miała rację – pomyślał, uśmiechając się pod nosem na wspomnienie swojej rodzicielki – czkawkę trzeba wystraszyć!

Jagnięcina była naprawdę przednia. W panierce ze świeżych ziół, podana z ziemniakami gotowanymi w szafranie, podlana sosem rozmarynowo-miodowym smakowała wyśmienicie.

Roman tym razem już nie musiał być nawet zachęcany przez Wiewióra do tego, by zamówić cztery porcje. Tłumaczył to sobie tym, że nie chciał, aby goście pomyśleli, że ich zachęca do konsumpcji, a sam nie je. Młody kelner przejął także pieczę nad kolejną postawioną na stole karafką. Z dużą częstotliwością napełniał kieliszki, nie zrażając się tym, że jego towarzysze nie nadążają z toastami. Za każdym razem mówił, że należy to do jego obowiązków, a przecież bądź co bądź jest w pracy. W połowie drugiej karafki przestał już zanadto kontrolować, co się wokół niego dzieje. W pewnym momencie, widząc przechodzącego między stolikami swojego przełożonego, krzyknął do niego:

– Panie starszy! Pozwól pan do nas z łaski swojej!

Kiedy czerwony ze złości i sapiący niczym rozwścieczony byk ober stanął przy ich stoliku, będący pod dobrą datą Romcio wręczył mu przepelnioną popielniczkę, prosząc o jej opróżnienie. Wieczorek, widząc to, roześmiał się głośno i wsuwając w dłoń młodego kelnera zwinięty banknot, szepnął mu coś do ucha. Roman pokiwał z aprobatą głową, po czym wstał i zwinięty w rulonik banknot włożył w przednią kieszeń marynarki swego szefa, mówiąc do niego tak, by wszyscy słyszeli:

– Dziękuję za miłą obsługę!

Ober zgromił wzrokiem kelnera, któremu w tej chwili wydawało się, że jest właścicielem nie tylko tej restauracji, ale i panem całego świata!

– Siadaj, Romciu. – Wiewiór widząc, że lada chwila może dojść do niezłej draki, pociągnął chłopaka za rękaw. – Napijemy się jeszcze po jednym i pogadamy jak starzy kumple, co?

Kelner, który niemal bezwładnie opadł na krzesło, kiwnął głową. Wolak wstał od stolika.

– Idę rozejrzeć się trochę po sali – rzekł, nachylając się w stronę Zygmunta, a do Jastrzębskiego szepnął: – Miej ich na oku!

– O czym... yyk!... chcesz porozmawiać, Zyga? – spytał Roman, którego znowu męczyła czkawka.

Jastrzębski z dezaprobatą patrzył na to wszystko. W głowie mu się nie mieściło, żeby wywiadowca pił wódkę z kelnerem i pozwalał mu na zwracanie się do siebie po imieniu. Młody oficer miał coraz większe wątpliwości co do słuszności powierzenia śledztwa tym dwóm typom. Do Wolaka czuł na początku coś w rodzaju szacunku, było to jednak spowodowane legendą, która otaczała tego przedwojennego komisarza. Teraz rozpierchły się resztki tej swoistej estymy. Stary komisarz powoli stawał się w oczach Jastrzębia poruszającym się po omacku detektywem. Natomiast jego kumpel zasługiwał na miano beznogiego Bachusa, za którym w roztańczonym korowodzie mogli podążać osobnicy podobni do tego bladego kelnera. Edwardowi robiło się od tego wszystkiego niedobrze. Wypił dzisiaj tylko dwa kieliszki. Zauważył, że niewiele więcej wlał w siebie siedzący naprzeciwko Wolak. Oni dwaj zachowywali trzeźwość, nie dało się tego jednak powiedzieć o inwalidzie, który gdyby nie to, że poruszał się na wózku, to miałby problem z zachowaniem równowagi. Jastrzębski uśmiechnął się na myśl, że dla tego opoja kalectwo jest jednak pewnym błogosławieństwem. Z nudów przyglądał im się i przysłuchiwał pijackiej rozmowie, jaką prowadzili. W pewnym jednak momencie spoważniał i mocniej wytężył ucho, gdyż dyskusja, która początkowo wydawała się jedynie bełkotem dwóch mocno podpitych mężczyzn, stała się dla młodego oficera interesująca.

– Ciężki los kelnera, co, Romciu?

Chłopak z powagą pokiwał głową.

– Oj ciężki, Zygmus! Gdyby chociaż tacy klienci jak ty częściej odwiedzali tę spelunę, toby słoneczko dla biednego Romana czasem wychodziło!

– Dlaczego spelunę?! – obruszył się Wieczór. – Słyszałem, że

przychodzą tu zadbane i bogate kobiety, które nie zawsze chcą się afiszować z tym, czyimi żonami są na co dzień.

– To drugi raz, gdy dla biednego Romusia wychodzi słońko – rzekł kelner, lekko już bełkocząc. – Pierwszy raz to twoja wizyta, drugi, kiedy mogę sobie na ładne kobitki popatrzeć.

Chłopak rozejrzał się po sali. Jego nieco już rozmazane spojrzenie zatrzymało się przy stoliku zajmowanym przez jakieś dwie dość leciwe matrony. Roman mrugał, jakby od tego zależała ostrość jego spojrzenia. W końcu pokręcił głową. Uznał, że urodzie obserwowanych chwilę wcześniej kobiet nie można nic zarzucić. Przeniósł spojrzenie na inwalidę. Ponownie zaczął mrugać. Siedzących przed nim inwalidów było trzech. Zdawał sobie sprawę, że tylko jeden jest prawdziwy, problem polegał na tym, że nie wiedział który.

– Co ci jest? – spytali go wszyscy trzej jednocześnie.

– Chodźmy zatańczyć! – krzyknął desperacko coraz bledszy chłopak, wciąż mrugając.

Wieczorek skrzywił się z niesmakiem.

– To ty taki jesteś! – krzyknął, odjeżdżając wózkiem nieco do tyłu. – Od razu powinienem się domyślić! Błada cera, rozmazany wzrok, wychudzona sylwetka...

– Zygmun! Co ty mówisz?! – zaperzył się kelner, do którego świadomości zaczęło docierać, o co podejrzewa go inwalida. – Chciałem, żebyśmy zatańczyli z tamtymi lalkami.

Wiewiór podążył wzrokiem we wskazanym przez Romana kierunku. Kiedy zobaczył owe „lalki”, omal nie parsknął śmiechem. Powstrzymał się, by nie urazić pijanego towarzysza, wiedział bowiem, że osoby będące w takim stanie upojenia łatwo wpadają w różnego rodzaju skrajnie odmienne stany emocjonalne. Fakt był jednak taki, że siedzące kilka stolików dalej matrony ani trochę nie zasługiwały na okazywany im przez kelnera zachwyty. Wieczorek po raz kolejny w życiu przekonał się, że alkohol lepiej niż jakiegokolwiek kosmetyki potrafi dodać urody kobietom.

– Widzę, że lubisz ładne kobiety!

Roman obliznął usta i z zapalem pokiwał głową. Wiewiór sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. Wyjął z niej kilka zdjęć. Przez chwilę je przeglądał, po czym podając jedno z nich swojemu rozmówcy, spytał:

– A co powiesz o takiej gwiazdeczce?

Chłopak nie przyglądał się fotografii zbyt długo.

– Ładna – powiedział szybko i oddał zdjęcie Wieczorkowi.

Inwalida wziął je do ręki. Popatrzył na uwiecznioną na nim piękną twarz Wiery Sonikówny, która prowokująco uśmiechała się do obiektywu. Zdjęcie to wraz z kilkoma innymi dostał od Makowskiego. Spodobało mu się ono tak bardzo, że postanowił go sekretarzowi nie oddawać. Do tej pory pogrążony w rozpacz wdowiec jeszcze się o tę piękną fotografię nie upomniał. To też dość mocno zastanawiało Wieczorka. Ciągłe zadawał sobie pytanie: jakim małżeństwem byli Makowski i Wiera? Dlaczego piękna kobieta wyszła za faceta, który mógłby być jej ojcem? Czy w grę wchodziło tylko stanowisko piastowane przez jej małżonka? Dlaczego Sonikówna szukała przygód w Europejskiej? Kto mógł chcieć jej śmierci? Czemu morderca upozorował jej zabójstwo na takie, jakich dokonywano przed wojną? Czy kiedykolwiek jemu i Wolakowi uda się rozwiązać tę zagadkową zbrodnię? Na ile szczerzy i otwarci będą wobec nich partyjni notable, którzy bez wątpienia są w jakiś sposób w to wszystko zamieszani?

Schował zdjęcie z piękną Wierą do kieszeni na piersi. Po lewej stronie. Przy sercu, w którym miłość od dawna już nie mieszkała. Spojrzał na kelnera. Wydał mu się dużo trzeźwiejszy niż przed kilkunastoma sekundami. Czyżby zdjęcie tak na niego podziałało?

– Nalej jeszcze, Romciu, bo coś markotny się robisz.

Chłopak bez słowa sięgnął po karafkę. Napełnił kieliszki. Wiewiór podniósł kieliszek, spojrzeniem ponaglił do tego samego Edwarda. Romana nie musiał ponaglać.

– Wypijmy za piękne kobiety – rzekł uroczyście. – I za miłość, może jeszcze kiedyś zapuka w spróchniałe drzwi naszych serc!

Jastrzębski popatrzył ze zdumieniem na inwalidę. Nie podejrzewał go o taką liryczną ckliwość. Roman natomiast popatrzył jedynie na dno swojego kieliszka. On nikogo o nic nie podejrzewał. Chciał się jedynie napić, przespać kaca i żeby oberzanadto się go nie czepiał.

– Wybaczcie – zaczął Wiewiór, kiedy już odstawił pusty kieliszek – że przy tak wzniosłym toaście nie wstałem, ale musicie zrozumieć, że byłoby to dla mnie dużo trudniejsze niż umówienie się na randkę choćby z samą Tolą Mankiewiczówną.

Jastrzębski zdziwił się, dlaczego Wieczorek pomyślał akurat o tej już

wyblakłej przedwojennej aktorce, przecież teraz było dużo więcej młodych i ładniejszych. Zaraz jednak uświadomił sobie, że mężczyźni tacy jak Wiewiór czy Wolak tylko fizycznie są zakotwiczeni we współczesnej powojennej rzeczywistości. Mentalnie wciąż są przypisani do świata, który pamiętnego września trzydziestego dziewiątego przepadł raz na zawsze. W tamtym świecie gwiazdy takie jak Tola Mankiewiczówna nadal świecą swoim blaskiem, a przyznający się do szwajcarskiego obywatelstwa Eugeniusz Bodo śpiewa o tym, że „umówił się z nią na dziewiątą”.

Roman nie do końca wiedział, kim jest wspomniana przez inwalidę kobieta. Prawdę mówiąc, nawet go to nie interesowało. Z westchnieniem wyrażającym towarzyszący mu każdego ranka ból istnienia sięgnął po karafkę. Musiał się napić. Utopić niekreślone poczucie lęku, które w nim zagościło, kiedy kaleka pokazał mu zdjęcie z blond pięknnością. Bardzo dokładnie pamiętał tamten wieczór, kiedy ujrzał ją siedzącą samotnie przy barze. Pamiętał też wszystko, czego później był świadkiem. Od kilku nocy wracało to w snach. Najgorsze, że nie mógł owych snów, preradzających się nad ranem w lepkie od potu koszmary, w żaden sposób odegnać. Alkohol przynosił jedynie tymczasową ulgę. Dawał możliwość bezmyślnego zaśnięcia na trzy, cztery godziny, a potem wszystko zaczynało się od początku.

Blady kelner podniósł kieliszek. Nie czekając na pozostałych, wypił. Rękawem koszuli wytarł usta, na których zostało kilka kropel alkoholu.

– Widziałem ją – powiedział, patrząc na Wiewióra.

Inwalida się uśmiechnął. Pomyślał, że chłopak naprawdę powinien już przystopować z piciem.

– Kogo? Tolę Mankiewiczównę?

Jastrzębski parsknął śmiechem. Kelner nawet nie spojrzał w jego stronę.

– Tę dziewczynę ze zdjęcia – rzekł poważnie. – Widziałem ją tego wieczoru, kiedy została zamordowana.

Wieczorek poczuł, jak cały wypity alkohol uchodzi z niego, nie zostawiając po sobie śladu. Odruchowo sięgnął po leżące na blacie papierosy. Siedzący naprzeciwko chłopak nie wyglądał na kogoś, kto próbowałby ich okłamać. Był zbyt przejęty tym, co mówił. Poza tym komisarz miał przeczucie, że blady kelner chce im powiedzieć dużo więcej, że chce wyrzucić z siebie coś niedającego mu spokoju. Wyglądało na to, że wieczór nie okaże się całkiem bezowocny.

Zupełnie inne zdanie na temat dzisiejszego wieczoru miał Jan Wolak. Zdążył porozmawiać już z kilkoma pracownikami restauracji, ale na niewiele mu się to zdało. Każdy z jego rozmówców był tak zabiegany, że zasłaniając się brakiem czasu, udzielał komisarzowi zdawkowych odpowiedzi na zadawane przez niego pytania. Wolak ze zrezygnowaniem schował do kieszeni notes, w którym nic nie zdążył zapisać, i ciężkim krokiem ruszył do swojego stolika. Postanowił, że zapłaci rachunek i jak najprędzej wróci do służbowego mieszkania. Robiło się coraz później, a jutro czekał go pracowity dzień. To samo zresztą dotyczyło Zygmunta, który nic sobie z tego nie robiąc, bawił się w najlepsze. Janek na tyle znał swojego przyjaciela, że nie miał mu tego za złe. Wiewiór miał taki fart, że zawsze udawało mu się trafić na trop prowadzący do rozwiązania śledztwa, nad którym pracowali. Wolak musiał chodzić, węszyć, wypytywać wszystkich o wszystko, a tymczasem Zygmunt z rękoma w kieszeni i papierosem w kąciку ust nie wykonywał nawet połowy tej żmudnej śledczej roboty, a i tak znajdował kolejny element układanki. Stary komisarz miał nadzieję, że nic się w tej kwestii nie zmieniło, albowiem ponad wszystko potrzebowali teraz jakiegoś tropu. Dlatego nie ma co dłużej marnować czasu i energii w Europejskiej, tylko trzeba wrócić do pokoju, złapać trochę snu, a rano ze zdwojoną siłą zabrać się do pracy – pomyślał, idąc w stronę zajmowanego wcześniej stolika. Spodziewał się, że zastanie przy nim mocno podpite i rozbawione towarzystwo. Tymczasem to, co zobaczył, wprawiło go w osłupienie. Pośrodku siedział Roman i żywo coś opowiadał pochylonym nad nim Jastrzębskiemu oraz Wieczorkowi, który pospiesznie wszystko zapisywał w rozłożonym na blacie stolika notatniku. Janek zajął swoje miejsce. Jego towarzysze ledwo raczyli na niego spojrzeć, odnotowując tylko fakt, że wrócił. Zaczął przysłuchiwać się prowadzonej przy stole rozmowie, która coraz bardziej przypominała przesłuchanie.

– ...blondynkę i faceta, z którym siedziała, obsługiwał tego wieczoru mój kolega. Od rana nie czuł się zbyt dobrze, ale jakoś dawał sobie radę. Gdzieś tak około północy powiedział, że dłużej nie wytrzyma. Miał jakieś rewolucje żołądkowe. Musiał się czymś zatruć. Stary wysłał go do domu, a mnie kazał go zastąpić.

– Zauważyłeś coś szczególnego w zachowaniu dziewczyny

i towarzyszącego jej mężczyzny? – spytał Wieczorek, podnosząc głowę znad notatnika.

Romek zastanowił się chwilę. Teraz, kiedy zaczął o tym wszystkim mówić, z każdym wypowiedzianym zdaniem czuł się coraz lepiej. Tak jakby swoim słuchaczom oddawał przygniatający go od kilku dni ciężar.

– Jedynie to, że jedzenie, które zamawiali, zostawiali prawie nietknięte, a wypili przy tym dość dużo alkoholu. Z początku dziwiło mnie, że mimo późnej pory i sporej konsumpcji oni wciąż są w miarę trzeźwi. – Roman pamiętał, że owego wieczoru wciąż czekał, kiedy młodzi ludzie wyglądający na takich, co raczej nie mają problemów z pieniędzmi, upiją się na tyle, żeby mógł im doliczyć do rachunku dania i napoje, o które nie prosili.

– Może dużo tańczyli? – spytał Wolak.

– Słucham? – Kelner spojrzał na komisarza, jakby w ogóle nie zauważył jego powrotu do stolika.

– Nie upili się – rzekł cierpliwie Wolak – bo na przykład sporo tańczyli.

– A tak, rzeczywiście – przytaknął Roman. – Prawie nie schodzili z parkietu. Wolne czy szybkie melodie, nie robiło im to różnicy. Kleili się do siebie, a reszta świata nie istniała...

– Miłość – wtrącił Wiewiór – to stan znacznie gorszy od upojenia alkoholowego, bo trwa znacznie dłużej i pozostawia po sobie coś paskudniejszego od zwykłego kaca.

– Chyba że mówimy o miłości szczęśliwej – zripostował Wolak.

– Akurat ty w tej materii nie powinieneś zabierać głosu – odparł Wieczorek.

– Panowie! – syknął Jastrzębski, chcąc uciszyć obu komisarzy. – Mówcie dalej.

– Wyglądali na bardzo szczęśliwych – podjął opowieść Roman. – Ze strzępków rozmów, jakie między sobą prowadzili, wywnioskowałem, że planują gdzieś razem uciec...

Tym razem nie wytrzymał Jastrzęb i mimo że przed momentem zganił swoich starszych towarzyszy, to teraz sam przerwał kelnerowi.

– Czyli on nie chciał jej zabić?

Roman prychnął kpiąco.

– Był wpatrzony w nią jak w jakieś bóstwo, nie wierzę, że mógł jej zrobić jakąkolwiek krzywdę.

– Ale nie mamy pewności, co wydarzyło się w pokoju, kiedy zostali sami – upierał się Jastrzębski.

Kelner wzruszył ramionami. Wymownie popatrzył na pustą karafkę. Nikt jednak nie kwapił się, żeby zamówić kolejną.

– On na pewno jej nie zabił – powiedział.

– Skąd ta pewność?! – wciąż naciskał Jastrzęb.

– Bo... – zaczął niepewnie Roman. – Bo byłem w ich pokoju na chwilę przedtem, zanim to wszystko się wydarzyło.

– Proszę mówić dalej – ponaglił kelnera Wolak.

Chłopak przełknął ślinę. Błagalnym wzrokiem popatrzył na Wieczorka, mając nadzieję, że u niego znajdzie zrozumienie.

– Zaszło mi w gardle – wyszeptał.

Jastrzębski uprzedził inwalidę i szybkim ruchem napełnił wodą stojącą przy nakryciu kelnera szklankę.

– Proszę – powiedział tonem ucinającym dalszą dyskusję dotyczącą picia.

Chłopak niechętnie podniósł szklankę, ledwo zwilżył usta i odstawił naczynie na stół.

– Później, jak skończysz opowiadać – rzekł Wiewiór, chcąc uspokoić kelnera – pójdziesz po kolejną karafkę i przy okazji poprosisz o przygotowanie dla nas rachunku. Oczywiście nie muszę wspominać, że należy ci się od nas sowity napiwek za to, że tak dzielnie dotrzymywałeś nam dzisiaj towarzystwa.

Chłopak się rozpromienił. Słowa inwalidy podziałały na niego dopingująco. Niczym zmęczony maratończyk nagle odzyskał siły i z nowym zapałem podjął dalszy ciąg.

– Byłem u nich w pokoju dwa razy. Najpierw przyniosłem im zamówionego szampana i spytałem, czy jeszcze czegoś będą potrzebowali. Odpowiedzieli, że mają już wszystko, co trzeba, i nie chcą, żeby im ktoś przeszkadzał. Postąłem przez chwilę w progę, licząc, że będą tak szczerzy jak wy i pomyślą o jakiejś drobnej nagrodzie dla mnie, oni jednak byli tak pochłonięci sobą, że w ogóle mnie już nie zauważali. Cóż miałem rozbić? Wyszedłem, ale postanowiłem sobie, że później jeszcze do

nich zajrzą. Spytam, czy czegoś im trzeba. Może wtedy, kiedy już się sobą nasycą, staną się bardziej wyrozumiali dla biednego kelnera.

Wolak, słuchając Romana, doszedł do wniosku, że nie jest on wcale taki głupi i oferowaty, za jakiego chce w oczach innych uchodzić. Chłopak z całą pewnością potrafił o siebie zadbać. Niektóre jego deficyty rekompensował mu nadzwyczaj mocno rozwinięty instynkt przetrwania. Należał do tego typu ludzi, którzy nigdy wobec innych nie są do końca szczerzy, a wszystko, co robią, służy wyłącznie temu, żeby sami odnieśli jakąś korzyść. Byli to ludzie hieny. W warunkach ekstremalnych wszystkie złe cechy ujawniały się w nich ze zdwojoną siłą. Przebywając w KL Auschwitz, Wolak niejednokrotnie miał do czynienia z tego typu istotami, które za kromkę chleba były w stanie donieść na współwięźnia. Zastanawiał się, czy dla niego, Jana Wolaka, życie również ma tak ogromną wartość, że byłby w stanie dopuścić się największych nikczemności, aby tylko je ocalić. Na szczęście udało mu się zachować nie tylko życie, które w tamtych warunkach wydawało się wartością drugorzędną, ale i człowieczeństwo, na które nie było ceny.

– Gdy drugi raz wszedłem do ich pokoju, oboje spali. Wszędzie wokół leżały ich porozrzucane ubrania. Już chciałem się wycofać, ale pomyślałem, że trochę posprzątam ten bałagan. – Wolak w głosie chłopaka wyczuł, że próbuje on coś ukryć. Zrozumiał, że jego intencje były zupełnie inne. – Wśród ubrań znalazłem torebkę kobiety. Chciałem ją powiesić na oparciu krzesła i wtedy usłyszałem dochodzący z korytarza odgłos kroków. Nie przejąłem się tym za bardzo, gdyż do obsługi tej pary byłem oddelegowany w zastępstwie kolegi. Nie spodziewałem się więc, żeby ktokolwiek mógł wejść do pokoju. Jednak na wszelki wypadek schowałem się za kotarę. W pomieszczeniu paliła się tylko nocna lampka, więc nawet jeśli ktoś by wszedł, to i tak pozostałbym dla niego niewidoczny. Chwilę później gałka w drzwiach się przekręciła. Schowany za kotarę nie widziałem, kto wszedł do środka. Osobnik ów poruszał się bardzo cicho. Na początku myślałem, że to któryś z hotelowych gości pomylił pokoje i zaraz stąd wyjdzie. Jednak człowiek ten wcale nie zamierzał opuścić pomieszczenia. Pomyślałem więc, że może to złodziej, który korzystając z okazji, będzie chciał okraść śpiącą parę. Postanowiłem, że go wypłoszę. Po cichu wyjrzałem zza zasłony. To, co zobaczyłem, przekonało mnie, że nie mam do czynienia ze złodziejem.

Roman umilkł. Jego wzrok błędził po stole, by w końcu zatrzymać się

na kryształowym naczyniu, które wciąż niestety pozostawało puste. Spocone dłonie splótł pod stołem i pragnąc czym prędzej skończyć, powrócił do przerwanej opowieści.

– Mężczyzna pochylał się nad śpiącymi w łóżku. W rękę trzymał zakrwawiony szpikulec do lodu. Byłem wtedy pewien, że leżący obok niej kochanek też został zabity, ponieważ nie wyobrażałem sobie, że ktoś może tak mocno spać. Ogromnie się zdziwiłem, kiedy następnego dnia powiedziano mi, że on żyje i jest aresztowany w związku z zamordowaniem tej pięknej kobiety.

– Morderca go uśpił – wyjaśnił Jastrzębski. – Użył chloroformu.

– Schowałem się z powrotem za zasłonę – kontynuował kelner. – Cały czas się bałem, że morderca odkryje moją kryjówkę. Modliłem się jak jeszcze nigdy w życiu, żeby Bóg mnie ocalił. Obiecałem, że stanę się lepszym człowiekiem...

Wolak, słysząc te słowa, uśmiechnął się pod nosem.

– ...nie wiem, ile czasu minęło, ale w końcu morderca wyszedł. Oczekałem jeszcze kilka minut i opuściłem kryjówkę. Leżąca na łóżku kobieta wyglądała okropnie, wokół niej było mnóstwo krwi. Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Kiedy w końcu mi się to udało, przyśniła mi się ta kobieta, ale nie wyglądała tak, jak na tym zdjęciu, które mi dzisiaj pokazałeś. W moim śnie leży na łóżku, skąpana w krwi i kiedy już dochodzę do drzwi, by wyjść na korytarz, ona podnosi się i woła mnie po imieniu. Uciekam, lecz ona biegnie za mną! Ten sen wraca do mnie każdej nocy!

– Opowiadałeś już o tym komuś? – spytał Wieczorek.

Roman pokręcił głową.

– A milicji? – spytał Jastrzęb. – Przesłuchiwali cię?

– Tak, ale nic im nie powiedziałem, bałem się.

Jastrzębski w pełni zdał sobie teraz sprawę z tego, dlaczego Wiewiór i Wolak tak bardzo lekceważyli raporty z przesłuchań.

Wolak rozumiał strach towarzyszący świadkowi morderstwa. Był on tak silny, że paraliżował umysł, doprowadzając do tego, że świadek mordu, bojąc się o własne życie, nie zdradzał, że coś wie. Musiał jednak zadać pytanie, na które odpowiedź mogła znajdować się w zakamarkach naznaczonej traumą psychiki kelnera.

– Widziałeś twarz tego człowieka?

Wokół klienci Europejskiej powoli zaczęli czuć się dużo swobodniej. Na parkiecie tańczyło już kilka wtulonych w siebie par. Kobiety wystukiwały obcasami rytm w takt przedwojennego przeboju Aleksandra Żabczyńskiego *Nie kochać w taką noc to grzech*. Mężczyźni, wykorzystując sprzyjające okoliczności, przyciągali je jeszcze bliżej ku sobie. Ustami delikatnie muskali ich czoło, badając, na ile jeszcze mogą sobie pozwolić. Tylko przy jednym stoliku panowało pełne napięcia oczekiwanie.

– Widziałem – odpowiedział Roman.

– Potrafisz go opisać?

Kelner pokręcił głową.

– Nie ma takiej potrzeby.

– O czym ty mówisz, człowieku?! – krzyknął oburzony Edward.

Roman nawet na niego nie spojrział.

– Nie ma potrzeby, żebym go opisywał, ponieważ mam jego zdjęcie – rzekł, patrząc na Wieczorka i Wolaka.

Obaj mężczyźni ze zdumieniem obserwowali, jak kelner podnosi się z krzesła i z tylnej kieszeni spodni wyjmując portfel. Wciąż stojąc na lekko chwiejnych nogach, szukał czegoś w pugilaresie, po czym wyciągnął zeń zmięty, złożony na czworo kawałek papieru i podał go Zygmunтови.

Wiewiór ostrożnie rozłożył kartkę, która okazała się wycinkiem z gazety „Głos Ludu”. Na nieco już pomiętym papierze widać było fotografię przedstawiającą grupę ubranych w garnitury mężczyzn biorących udział w ceremonii pogrzebowej. Na pierwszym planie fotografii uwiecznionych zostało pięciu osobników. Wieczorek rozpoznawał tylko jednego z nich – stojącego najbliżej trumny Bolesława Makowskiego. Spojrzał na zamieszczony pod zdjęciem tytuł artykułu *Sternicy partii nad trumną pięknej Wiery* i pobieżnie przeczytał krótki tekst autorstwa S. Staronia. Nie znalazł w nim nic, co by go zainteresowało. Tekst był ogólnym dziennikarskim bełkotem opisującym smutek towarzysza sekretarza autor wyrażał również nadzieję, że sprawca tej makabrycznej zbrodni otrzyma zasłużony wyrok.

– Który to? – spytał Jastrzębski, pochylając się nad Wieczorkiem, tak by lepiej widzieć zdjęcie.

– Ten. – Roman wskazał na mężczyznę stojącego po prawej stronie Makowskiego.

– O kurwa! – Jastrzębski nie potrafił znaleźć lepszych słów, które w pełni opisałyby wrażenie, jakie zrobiła na nim ta informacja.

– Kto to? – spytał Wieczorek.

Jastrzęb wrócił na swoje miejsce.

– To Wincenty Stasiak, powiernik i przyjaciel pierwszego sekretarza. – Młody oficer zamilkł. Powiódł wzrokiem po zgromadzonych przy stoliku i dużo cichszym niż poprzednio głosem dokończył: – Stasiakowi w naszym kraju podlega Urząd Bezpieczeństwa. To od niego otrzymałem nominację na oficera.

Roman ze strachem spojrział na Jastrzębskiego. Przeczuwał, że wdepnął w niezłe gówno i ciągnący się za nim smród może okazać się dużo gorszy niż dręczące go dotychczas nocne koszmary.

Orkiestra zaczęła grać kolejny przebój Żabczyńskiego, pochodzący z filmu *Panienka z poste restante – Miłość to cały świat*. Żaden jednak z czterech siedzących przy stoliku mężczyzn nie myślał w tej chwili o sprawach tak błahych jak miłość. Dla Romana bladego niczym świeżo wykrochmalone prześcieradło nawet kwestia pustej karafki zeszła na dalszy plan.

48.

Sen tej nocy bardzo długo nie przychodził do Jana Wolaka. Zbyt wiele wrażeń, jakich dostarczyły mu przeżycia ostatnich kilkunastu godzin, sprawiło, że komisarz leżał na łóżku ze wzrokiem utkwionym w sufit i rozmyślał. Odkąd opuścił las i przyjechał do stolicy, jego życie nabrało tempa. I nic nie wskazywało no to, by w tej kwestii miało się coś zmienić. Aby pozamykać wszystkie wątki śledztwa, które były nierozzerwalnie związane z jego życiem osobistym, musiał przez kilka najbliższych dni w dalszym ciągu żyć na wysokich obrotach. Jeżeli to, co powiedział im kelner, okazałoby się prawdą, to mają nie lada problem. Wincenty Stasiak był człowiekiem, który w Polsce Ludowej nie musiał się nikogo obawiać. Pozornie mogło się wydawać, że to nie on rządzi krajem, ale liczyli się z nim wszyscy z partyjnej wierchuszki. Nikt nie chciał zadrzeć z kimś, kto władał Urzędem Bezpieczeństwa. Partyjni koledzy porównywali Stasiaka do Feliksa Dzierżyńskiego, on udawał, że nie słyszy, gdy mówią o nim w ten sposób, jednak w głębi duszy bardzo mu to schlebiało.

Wolak był za stary i zbyt wiele przeszedł, żeby bać się kogokolwiek. W jego oczy śmierć zaglądała już niejednokrotnie i oprócz beznamiennej pustki nic tam nie znalazła. Dzisiaj jednak coś się zmieniło. Do tej pory żył w przeświadczeniu, że jest sam, bez żadnej bliskiej osoby. Okazało się, że po rozmowie z Hanką zapragnął nadrobić stracony czas. Chciał lepiej poznać tę dziewczynę, z którą łączyły go więzy krwi. Ale czy Hanka potrzebuje go jako ojca? Nie wiedział nawet, czy potrafiłby się w takiej roli odnaleźć. Czy jeszcze zdołałby okazać jej ciepłe uczucia? Komisarz przymknął oczy. Próbował wyobrazić sobie, jak spędza czas z córką. Długo i intensywnie przywoływał jakikolwiek obraz, na którym zobaczyłby siebie i Hankę, ale mu się to nie udawało. Za każdym razem pojawiał się tylko on sam, w płaszczu, kapeluszu, idący szybko parkową aleją. Na chwilę przytrzymał ten obraz pod powiekami. Śledził jakąś

dziewczyne. Z tyłu była bardzo podobna do Hanki. Kluczył pomiędzy parkowymi drzewami, tak żeby go nie zauważyła. Na chwilę stracił ją z oczu. Przyspieszył. Wiatr rozwiewał mu poły niezapiętego płaszcza. Wyglądał dość komicznie. Wielki, niezgrabny statek z rozpostartymi żaglami. Skręcił w jedną z bocznych alejek. Była pusta. Zawrócił. Pobiegł w przeciwną stronę. W oddali zamajaczyły jakieś sylwetki stojące w świetle latarni. Zaczął jeszcze szybciej biec. Grupka osób rosła w jego oczach. Był już przy nich, lecz nie zwrócili na niego uwagi. Krzyknął do nich, czy nie przechodziła tędy dziewczyna. Wtedy jeden z mężczyzn odwrócił się w jego stronę. Wolak zobaczył, że chłopak ma całą twarz zakrwawioną. Mokre od krwi i potu rude włosy oblepiały mu czoło. Lecz nie to było najgorsze. Rudy nie miał oczu. Z miejsca, w którym powinny się one znajdować, wystawały dwie czarne ebonitowe gałki szpikulców do kruszenia lodu. Okaleczony chłopak uśmiechnął się i wskazując ręką w głąb alejki, powiedział: „Tam pobiegła!”. Wolak skinieniem głowy podziękował mu i ruszył we wskazanym kierunku. Chwilę później usłyszał za sobą dziwny hałas, który kojarzył mu się z tętentem końskich kopyt. Wciąż biegnąc, odwrócił się. Nie pomylił się. Parkową alejką galopował w jego stronę koń z jeźdźcem na grzbiecie. Wolak odsunął się na bok. Po chwili wierzchowiec zatrzymał się przy nim. Komisarz ze zdziwieniem spostrzegł, że jeździec ubrany jest w strój dżokeja. Z wysokości końskiego grzbietu przyglądał mu się uważnie, a potem powiedział: „Szukam mojej córki! Nie widziałeś jej tutaj?”. Komisarz wskazał ręką w kierunku, w którym sam biegł. Dżokej w geście podziękowania dotknął dłonią daszka swojej czapki i ponaglił rumaka. Wolak z przerażeniem zauważył, że to, co w pierwszej chwili wziął za trzymaną przez dżokeja szpicrutę, okazało się długim, ostrym szpikulcem. Nabrał powietrza w płuca i ruszył w pogoń za dżokejem. Za zakrętem dostrzegł, że koń wraz z jeźdźcem opuszczają alejkę i znikają wśród drzew i krzewów. Komisarz przyspieszył, by nie stracić ich z oczu. Wbiegł pomiędzy rzadko rosnące drzewa. Zwolnił. Wokół zapadał już zmierzch. Rozejrzał się. W końcu udało mu się na tyle wyteńczyć wzrok, żeby ujrzeć majaczący w oddali koński zad. Po raz kolejny zmusił zmęczone mięśnie do wysiłku i zaczął biec. Z każdym przebiegniętym metrem las stawał się gęstszy. Po jakimś czasie biegł na oślep. Musiał zwolnić, gdyż gałęzie coraz boleśniej uderzały go w twarz. Kiedy już się miał zatrzymać i zrezygnować z dalszej pogoni, dostrzegł przed sobą jakąś jasną lunę. Podnosząc nogi, które wydawały mu się coraz cięższe, ruszył w tamtą stronę. Po kilkunastu

metrach znalazł się na polanie, pośrodku której płonęło ognisko. Zmęczony, z trudem łapał oddech. Kręciło mu się w głowie. Przed oczami miał mroczki. Bał się, że zaraz straci przytomność. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że skądś zna to miejsce. Przymknął oczy. Starał się wyrównać oddech. Policzył do dziesięciu i otworzył je. Krajobraz się zmienił. Ognisko wciąż płonęło, ale wokół niego siedzieli mężczyźni, wśród których Wolak bez trudu rozpoznał swoich towarzyszy z oddziału Rysia. Komisarz podszedł do Andrzeja i spytał go, czy nie przejeżdżał tędy mężczyzna na koniu. Dowódca miał bardziej niż zwykle zaciętą twarz, na której malował się smutek przemieszany z okrucieństwem. W jego wyglądzie było coś, co mocno zaniepokoiło komisarza. Przyjrzał mu się uważniej. Po chwili zbladł. Do grubego wojskowego pasa, który nosił partyzant, przyczepione były ludzkie skalpy. „Komuniści zabrali mi Basię!” – powiedział beznamiętnym głosem Ryś. Wolak, nic nie rozumiejąc, pokręcił głową. Nagle od strony drzew doszło ich głośnie rzenie konia. Komisarz, nie zwlekając, pobiegł w tamtą stronę. Kiedy wpadł między drzewa, przestał cokolwiek widzieć. Wokół panowała nieprzenikniona ciemność. Musiał zdać się jedynie na zmysł słuchu. Stał w miejscu i nasłuchiwał. Po kilkunastu sekundach zaczął już rozróżniać poszczególne dźwięki, wśród których dominowały ciche jęki. Po omacku poszedł w stronę, z której dochodził hałas. Po chwili do jęków dołączyły kolejne odgłosy. Jednym z nich było czyjeś łkanie. Komisarz sięgnął do kieszeni po pistolet. Jednak znalazł w niej tylko twardą kartę złożoną na kilka części. Rozłożył ją szybko. Przyjrzał jej się w mdłym świetle księżycy i rozpoznał jadłospis z restauracji Europejska. Już miał go z powrotem schować do kieszeni, kiedy jakiś szczegół przykuł jego uwagę. Na karcie napisano coś czerwoną szminką. Wolak wyteżył wzrok. Po chwili udało mu się odczytać zdanie: *Wampir nie powiedział wszystkiego...* dalsza część napisu była zbyt zamazana, by udało się ją odczytać. Postanowił zająć się tym później. Złożył kartę na czworo i schował do kieszeni. Nie wiedział, co go czeka za drzewami i z czym przyjdzie mu się tam zmierzyć. Był zły, że nie ma pistoletu. Schylił się, żeby namacać na ziemi jakąś grubszą gałąź, którą mógłby wykorzystać do ewentualnej obrony. Po chwili udało mu się coś chwycić. Podniósł to i zaraz potem z krzykiem przerażenia rzucił daleko przed siebie. W tej samej chwili zza drzew po prawej stronie dobiegł go dźwięk, jakby ktoś się przedzierał w jego kierunku. W napięciu czekał, co lub kto wynurzy się z ciemności. Na szczęście osoby, która chwilę później ukazała się jego oczom, nie

musiał się obawiać. Był to jego przyjaciel Zygmunt. Wolaka zdziwiło tylko to, że Wiewiór nie porusza się na wózku, jedynie w dość tragicomiczny sposób pełźnie. Inwalida spojrzał w jego stronę i spytał: „No co tak się na mnie gapisz?! Nie widziałeś moich nóg? Powinny gdzieś tu leżeć!”. Już chciał odpowiedzieć, że właśnie przed chwilą jedną z kończyn Wieczorka podniósł i z przerażeniem odrzucił kilka metrów dalej, ale w tej samej chwili dobiegający z przodu szloch przeszedł w głośne wycie. Bez zastanowienia pędem ruszył w stronę hałasu. Przeszedł się przez gałęzie i po chwili znalazł się ponownie na oświetlonej światłem latarni gazowej parkowej alejce. Na jej środku klęczał zanoszący się głośnym płaczem mężczyzna w stroju dżokeja. Parskający cicho koń stał obok niego. Wolak podszedł bliżej. Wtedy zauważył, że ścigany przez niego jeździec klęczy schylony nad leżącym na ziemi ciałem młodej dziewczyny, w której komisarz rozpoznał zamordowaną Natalkę. Płaczący usłyszał kroki zbliżającego się komisarza. Odwrócił się w jego stronę. Wyraz twarzy oraz to, co powiedział, uświadomiły Wolakowi, że ten człowiek nie mógł zabić starszej panny Brodzkiej. „Moja córeczka, moja kochana córeczka” – powtarzał zrozpaczony dżokej. Wolak chciał podejść bliżej i spróbować pocieszyć załamanego ojca, ale podniósł się nagle z klęczek. Janek zauważył, że mężczyzna trzyma w ręku pistolet. Sekundę później ręka z bronią podniosła się ku niebu, przywodząc Wolakowi na myśl wyciągnięty ku Bogu w geście pogroźki palec. Dżokej nacisnął spust i z pistoletu wystrzeliła w niebo raca, rozświetlając panującą wokół ciemność. „Tam jest! Goń go, bo zabije także twoją córkę!” – krzyknął mężczyzna, pokazując palcem w stronę ocieniających park drzew. Komisarz podążył wzrokiem we wskazanym kierunku. Przy ławce na wózku inwalidzkim siedział mężczyzna, który uważnie mu się przypatrywał. Pierwszą myślą Wolaka było to, że widzi przed sobą swojego kalekiego przyjaciela. Zaraz jednak przekonał się, że to niemożliwe, gdyż siedzący na wózku osobnik wstał raptownie i głośno się śmiejąc, zaczął uciekać w stronę drzew, by chwilę później całkowicie wśród nich zniknąć. W uszach dżokeja i komisarza przez kilka sekund wibrował jeszcze śmiech tajemniczego mężczyzny. Wolak ruszył w kierunku miejsca, gdzie jeszcze przed chwilą przebywał tajemniczy jegomość. Wiedział jednak, że jego pościg na nic się zda. Wózek, który stał obok ławki, do złudzenia przypominał ten, na którym poruszał się Wieczorek. Komisarz podszedł bliżej. Schylił się. Podniósł coś z ziemi. Była to kraciasta czapka, którą zgubił morderca.

Wolak otworzył oczy. Było mu zimno. Nie zdążył jeszcze otrząsnąć się z resztek koszmarnego snu. Każdy jego szczegół wyraźnie tkwił mu w pamięci. Wstał z łóżka i się przeciągnął. Odgłos wydany przez jego kości w panującej wokół ciszy wydał się nader głośny. Podszedł do okna. Przez chwilę wdychał chłodne, rześkie powietrze, potem zamknął okno. Sprawdził godzinę. Zegarek wskazywał drugą trzydzieści. Do świtu pozostało jeszcze dużo czasu. Wolak jednak nie miał zamiaru kłaść się do łóżka. Nalał do szklanki wody, po czym włożył do niej grzałkę. Rozłożył na stole notes i zaczął w nim gorączkowo zapisywać pomysły, jakie podsunął mu senny koszmar. Był na siebie wściekły, że przeoczył kilka aż nazbyt oczywistych faktów. Już wiedział, czym musi zająć się z samego rana. Do zakończenia śledztwa było jeszcze daleko, ale od teraz nie będzie poruszał się po omacku.

49.

Wanda Milewska w swoim życiu zauważała ostatnio wiele dysonansów. Za każdym razem, kiedy przydarzało jej się coś, z czego mogła się cieszyć, towarzyszyła temu również jakaś niewielka skaza, rysa psującą obraz całości. Tak było z różnymi rzeczami dotyczącymi każdej sfery jej życia. A może po prostu Wandzia z racji tego, że kilka lat temu w Katyniu straciła męża, oficera Wojska Polskiego, stawała się wraz z upływem czasu osobą, którą coraz bardziej irytowały nawet drobiazgi? Nie wiadomo. W każdym razie starała się z tą swoją przypadłością walczyć. Nie zawsze jej to jednak wychodziło. Podobnie było w tej chwili, kiedy wyjmowała z pudełka ulubioną płytę z przebojami Hanki Ordonówny wydaną jeszcze przed wojną przez wytwórnię Syrena. Dotykała płyty z namaszczeniem godnym rzeczy świętych czy przedmiotów kultu. Podeszła do stolika, na którym leżał jej najnowszy nabytek, kosztujący niemałą sumę. W zakupie pomógł jej sąsiad Waław Hrabski, pragnący w jakiś sposób odwdziżyć się za pomoc w wykonywaniu drobnych codziennych czynności, takich jak prasowanie czy cerowanie. Wandzia chętnie się tym zajmowała, gdyż i tak całe popołudnia miała wolne i się nudziła. Kobieta zwierzyła się kiedyś komendantowi, że dużo przyjemniej by się jej pracowało w domu, gdyby mogła słuchać muzyki. Pokazała mu swoją kolekcję płyt i opowiedziała, jak wielkie problemy napotkała z zakupieniem gramofonu. Hrabski obiecał, że postara się coś z tym zrobić. Po kilku dniach oznajmił, że udało mu się dotrzeć do pewnej osoby, która ma do sprzedania prawie nowy sprzęt muzyczny. Wandzia obawiała się początkowo, czy właściciel gramofonu nie jest jakimś oszustem, jakich wszędzie teraz pełno. Hrabski uspokoił ją, że człowiek ten z pewnością nie odważyłby się oszukać komendanta posterunku UB. Ponadto obiecał, że postara się co nieco urwać z wywindowanej ceny, jaką zażyczył sobie handlarz. Wandzia wprost oniemiała z radości. Tego popołudnia była tak podekscytowana, że

na chwilę się zapomniała i podbiegła do komendanta Hrabskiego, po czym ucałowała go w policzek. Zdumiony mężczyzna zaczerwienił się, a następnie szybko wycofał z mieszkania, obiecując, że jak tylko będzie coś wiedział, to zaraz da znać. Wanda jeszcze długo po wyjściu swojego gościa przeglądała kolekcję płyt, nucąc pod nosem przedwojenne szlagiery.

Teraz, trzymając pod pachą czarny krążek, stała nad urządzeniem, które udało jej się zakupić dzięki pomocy sąsiada. Był to wyprodukowany w 1946 roku gramofon. Dziś miała włączyć go po raz pierwszy. Marszałek zaintrygowany tym, co robi jego pani, obserwował ją, machając lekko ogonem. Wandzia otworzyła gramofon, umieściła w środku czarny krążek. Przyglądała się z radością urządzeniu, w którym jak we wszystkim, co ją spotykało, odkąd zabito jej męża, znalazła pewną skazę. Była nią mała tabliczka przykręcona do przedniej ścianki sprzętu grającego. Napisano na niej nazwę zakładu, w którym wyprodukowano gramofon. Wandzia długo przypatrywała się drukowanym literom: ZISPO. Bezbłędnie potrafiła odczytać utworzony przez nie skrót: *Zakłady imienia Stalina Poznań*. Z pewnością nikt poza nią nie zwracał uwagi na tego typu szczegóły. Jej jednak one bardzo utrudniały życie. Uważała, że bezcześnie przedwojenną płytę z piosenkami swojej ulubionej artystki, wkładając ją w urządzenie zrobione w zakładzie noszącym nazwę pochodzącą od samego diabła. Nie potrafiła jednak oprzeć się pokusie. Od wielu już tygodni, kiedy to popsuł jej się stary sprzęt grający, nie miała okazji posłuchać swojej ukochanej Ordonki. Poza tym dziś zapowiedział się z wizytą Wacław Hrabski. Powiedział, że musi się upewnić, czy handlarz go nie oszukał, mówiąc, że gramofon działa, jak należy. Wanda nastawiła płytę. Chwilę później pokój wypełniły dźwięki niezapomnianego przeboju z filmu *Szpieg w masce*. Kobieta, śpiewając po cichu, zaczęła tańczyć. Zdumiony Marszałek biegał wokół swojej pani i wesoło poszczekiwał. Nagle przez tę kakofonię dźwięków przedarło się głośne pukanie do drzwi. Pies pobiegł do przedpokoju i zaczął ujadać na znajdującego się po drugiej stronie intruza. Wanda podążyła za nim. W tle Hanka Ordonówna wciąż śpiewała, że „miłość ci wszystko wybaczy”.

– Już otwieram! – krzyknęła kobieta, przekręcając zamek w drzwiach.

To, co ujrzała, kiedy tylko drzwi się uchyliły, zaskoczyło ją tak bardzo, że musiała wziąć kilka głębokich wdechów, żeby się uspokoić. W progu stał Wacław Hrabski i trzymał w ręku przesłaniający mu twarz bukiet

kwiatów. Marszałek całą tę sytuację skomentował głośnym ujadaniem, co zawsze wprawiało Wandę w zakłopotanie, a w Hrabskim wyzwalało ogromne pokłady złości na tego niewielkich rozmiarów czworonoga.

– Przyszedłem zobaczyć, jak działa gramofon – zaczął Hrabski, przeciskając się wąskim korytarzem w stronę pokoju – ale z tego, co słyszę, wszystko z nim w porządku.

Wanda zamknęła za gościem drzwi i weszła do pokoju, w którym z wielkim naręczem kwiatów czekał na nią komendant.

– Pani Wando – zaczął uroczyście Hrabski – w dowód mojej wdzięczności za pomoc, jaką mi pani od jakiegoś czasu okazuje, chciałbym wręczyć pani ten skromny bukiet.

Kobieta czuła, jak się rumieni. W marcu tego roku skończyła czterdzieści lat, pogrążona w smutku po stracie męża zapomniała, że może się jeszcze podobać. W jednej chwili przypomniała sobie, jak to jest być kobietą, o której wdzięki zabiega mężczyzna. Zrobiło jej się tak przyjemnie, że nie potrafiłaby opisać tego słowami. Ta jedna chwila stała się dla niej nagrodą za wszystkie lata smutku i wyrzeczeń, kiedy żyła w żałobie. Poczuła, jak przyjemne, acz niepokojące ciepło rozlewa się jej w okolicach podbrzusza. W głowie pojawiło się również kilka myśli, których zaraz się zawstydziała i które natychmiast przegoniła. Jedynym śladem, jaki po sobie zostawiły, były jeszcze bardziej zaczerwienione policzki kobiety. Nieśmiało podniosła wzrok na Hrabskiego. Z ulgą stwierdziła, że on, podobnie jak ona, jest nieco skrępowany całą tą sytuacją. Oliwy do ognia dolewała Hanka Ordonówna, która właśnie zaczęła śpiewać *Szczęście raz się uśmiecha*.

W tej chwili dla Wandy świat się kręcił w szalonym tempie, niczym czarna płyta gramofonowa w urządzeniu wyprodukowanym w Zakładach imienia Stalina w Poznaniu. I nie byłaby sobą, gdyby w całej tej, skądinąd przyjemnej, sytuacji nie odnalazła jakiejś skazy. Nie musiała się nawet za bardzo wysilać. Wystarczyło, że przypomniała sobie o swoim nieżyjącym od ośmiu lat mężu, do którego w zupełnie nieświadomy sposób porównała stojącego przed nią mężczyznę. Cała radość w jednej chwili gdzieś się ulotniła. Wanda pomyślała, że nie chce być jak ta płyta obracająca się w komunistycznym gramofonie. Ona musi pamiętać, że jest żoną polskiego oficera zamordowanego przez NKWD w Katyniu. W żadnym wypadku nie może godzić się na konformizm oferowany jej przez współczesny świat. Już i tak zanadto spoufalila się z komendantem, a on

przecież wysługuje się tym, którzy w katyńskim lesie wymordowali elitę polskiej armii.

– Panie Wacławie – odezwała się drżącym głosem – to bardzo miło z pana strony, ale nie mogę przyjąć tych kwiatów.

W pokoju zapanowała cisza, w której słychać było jedynie głos Hanki Ordonówny, która jakby na przekór myślom i słowom Wandy śpiewała:

*Przez całe życie człowiek stale o kimś marzy
I za kimś tęskni i przyzywa go na głos.
I nagle spotkasz go i czytasz z jego twarzy
To właśnie ja, twe przeznaczenie i twój los.
Odważnie podejdź wtedy – rzuć mu się w ramiona,
Nie pozwól odejść – niebo, ziemię nawet rusz,
Bo jak odejdzie, toś straciła, toś zgubiona
I nie naprawisz tego nigdy w życiu już.*

Hrabski pobladł. Odruchowo, w geście bezradności opuścił rękę z bukietem. Przez moment jak ryba łapał ustami powietrze, po czym się odezwał:

– Pani Wandziu, ja wszystko sobie dokładnie przemyślałem i proszę zrozumieć, że mnie też nie było łatwo zebrać się i przyjść do pani, by powiedzieć to, co chcę i przed czym nie uda się pani mnie powstrzymać. Proszę mnie najpierw wysłuchać, a dopiero potem zdecydować, czy pozwoli mi pani zostać na herbatę, czy też natychmiast każe opuścić swoje mieszkanie.

Kobieta skinęła głową. Podeszła do gramofonu. Ściszyła muzykę. Marszałek, który nie za bardzo wiedział, jak się zachować, obserwował na razie uważnie Hrabskiego, czekając tylko na sygnał do ataku.

– Może wygodniej będzie, jak pan usiądzie – zaproponowała Wanda, wskazując fotel.

Hrabski pokręcił głową. Wolną ręką otarł perlący mu się na czole pot. Dla kurażu wypił przed wyjściem literatkę wódki i teraz czuł, jak alkohol zaczyna z niego parować.

– Wiem, że nie jestem taki jak pani mąż. – Wacław uważnie patrzył w oczy kobiety. Słowa, które sobie przygotował w domu, teraz z wielkim trudem przechodziły mu przez ściśnięte gardło. – Nie chcę też pani okłamywać, że kiedykolwiek taki się stanę. Znamy się nie od dziś i wiemy

już trochę o sobie. Każde z nas ma pewien bagaż doświadczeń. Coś straciliśmy, co innego zyskaliśmy, a życie nieubłagane mija i nim się obejrzymy, także będziemy musieli opuścić ten, jak to mawiała moja babka, „padół łez”...

Komendant z zadowoleniem zauważył, że przez twarz kobiety przemknął ledwie zauważalny cień uśmiechu.

– ...kto wie, może wówczas, leżąc na łożu śmierci, pożałujemy, że wbrew jakiegokolwiek logice nie spróbowaliśmy, nie odważyliśmy się, aby tę część życia, która jeszcze została nam po wojnie, zagospodarować jakoś inaczej. Aby znaleźć w niej miejsce dla drugiej osoby i nie rozpamiętywać jedynie tego, co było, tylko z podniesionym czołem spojrzeć przed siebie i żyć pełnią szczęścia! Może właśnie dzisiejszy dzień jest tym, w którym powinniśmy się zdecydować, co dalej. Czy zostawić w naszym życiu wszystko tak, jak było do tej pory, czy spróbować czegoś nowego? – Hrabski przerwał na chwilę. Oddychał szybko, łapczywie łapał powietrze. Widać było po nim, że wypowiedziane przed chwilą słowa dużo go kosztowały. – Ja jestem gotów spróbować, a pani?

Wanda czuła w głowie pustkę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zanim mężczyzna zaczął mówić, była zdecydowana wyprosić go z mieszkania, teraz się wahała. Z tym, co powiedział, w dużej mierze się zgadzała. Nie można całe życie egzystować na wielkim cmentarzu pamięci, ale z drugiej strony bała się angażować w coś nowego. Przez jej głowę przebiegały dziesiątki różnych myśli.

Hrabski w napięciu obserwował ją uważnie. On zrobił swoje. Choć kosztowało go to wiele wysiłku, powiedział to, co miał do powiedzenia. Teraz była kolej na Wandę, to ona musi podjąć decyzję. Milewska się uśmiechnęła. Przyszło jej na myśl, że jednak wszyscy mężczyźni są tacy sami. Gdy tylko mogą, to uchylają się od podejmowania ważnych życiowych decyzji. Czekają, aż kobieta zrobi to za nich. Oni najwyżej kupią kwiaty, pierścionek, klękną, poproszą o rękę, a ty głupia masz w ich mniemaniu powiedzieć tylko „tak” lub „nie”. Dwa słowa, które zaważą na losach dwóch osób – twoim i jego. Tylko tyle, przecież oni już zrobili wszystko, co było w ich mocy. Najgorsze jest to, że później są święcie przekonani, iż sami stali się siłą sprawczą wydarzeń, jakie nastąpiły w ich życiu. Wanda uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Obserwujący ją Marszałek zaczął lekko machać ogonem. Znał swoją panią i wiedział, że coś wprowadziło ją w dobry humor. Mógł więc liczyć, że

weźmie go później na kolana, długo będzie przemawiać łagodnie i cicho, głaszcząc go, a on ukojony tymi pieszczotami w końcu usnie. Należało tylko pozbyć się tego człowieka, który już kolejny raz do niej przyszedł, nic nie robiąc sobie z tego, że Marszałek niejednokrotnie dawał mu do zrozumienia, iż nie jest tu mile widziany. Biedny pies przeczuwał, że ten spocony typ miętoszający w wielkich łapach wiecheć kwiatów stanowi dla niego konkurencję. Dlatego postanowił działać. Chciał udowodnić nie tylko to, że ponad wszystko kocha swoją panią, ale i to, że zasługuje na noszone przez siebie imię. Nie zważając na dzielącą jego oraz komendanta różnicę masy i wzrostu, rzucił się z rozdziawionym pyskiem w stronę nóg mężczyzny. Okrzyk zdziwienia połączony z dość ordynarnymi przekleństwami, jakie się później rozległy w mieszkaniu, utwierdziły Marszałka, że zaatakował skutecznie. Nie przewidział jednak, że mężczyzna będzie się bronił. Komendant, mocno potrząsając nogą, odrzucił go aż na przeciwległą ścianę. Pies rozpląszczył się na niej, tracąc ochotę do dalszej walki. Zresztą w tej chwili wtrąciła się jego pani. Podeszła do niego i powiedziała coś, czego się nie spodziewał i nijak nie potrafił zrozumieć:

– Coś ty najlepszego narobił? Nie wolno w ten sposób traktować gości! Niedobry piesek!

Potem wzięła go na ręce, zniosła do kuchni i wychodząc, zamknęła za sobą drzwi. Marszałek nie protestował. Zrozumiał, że tym razem przegrał. Powłókł się pod stół, by tam spokojnie obmyślić taktykę dalszej walki z mężczyzną, który próbuje zająć jego miejsce.

Wanda tymczasem wróciła do pokoju. Hrabski zdążył już usiąść w fotelu, kwiaty położył na stole i prawą ręką podwijał delikatnie poszarpaną przez psa nogawkę. Spojrzał na swoją nogę i momentalnie się skrzywił. Wstydził się, ale od dzieciństwa nie znosił widoku krwi. Nie zmieniły tego ani doświadczenia wojny, ani późniejsza praca na posterunku. Noga nie wyglądała dobrze. Złorzeczył w myślach cholernemu kundlowi, który go tak urządził. Jego matka zawsze powtarzała, że takie Ciapki są najgorsze, niby nieduże, ale zadziorne i trudno ustrzec się przed ich ugryzieniami, bo nie wiadomo kiedy doskoczą do nogi i wpiją się w nią małymi, ostrymi zębami. Hrabski rzadko kiedy zgadzał się ze swoją rodzicielką, jednak w tej kwestii musiał przyznać jej rację. Sytuacja była nad wyraz niezręczna. Czuł ogromną złość na to parszywe bydlę nazywane Marszałkiem i najchętniej wszedłby do kuchni i kilkoma porządymi

kopniakami oduczył psa tego typu zachowań. Nie mógł sobie jednak na to pozwolić, gdyż nie chciał w oczach pani Wandy wyjść na niepotrafiącego poskromić uczuć sadystę. Dlatego, kiedy spytała go, jak noga, uśmiechnął się przez zaciśnięte zęby i odparł:

– Wyjdę z tego. Gorzej z sercem.

Wanda w pierwszej chwili nie zrozumiała, o co mu chodzi.

– Słucham?

Komendant syknął cicho. Chciał, żeby kobieta widziała, jak mocno w tej chwili cierpi. Wstydział się swojego zachowania, ale uznał, że najlepiej będzie wzbudzić w niej litość, dzięki której łatwiej ją zmiękczy i tym samym przekona, by spróbowała z nim wspólnego życia.

– Noga się zagoi – powiedział. – Natomiast serce, które zraniłaby pani swoją odmowną odpowiedzią, nie zagoiłoby się już nigdy.

Kobieta spłoszyła. Chcąc zmienić temat, zaczęła się przyglądać krwawiącej łydce komendanta.

– Niech pan lepiej pokaże tę nogę – rzekła, klękając przy fotelu – a sercem zajmiemy się później.

Drobnej postury Wanda Milewska, w przeciwieństwie do zwalistego komendanta, nie czuła takiego lęku przed widokiem krwi. W czterdziestym czwartym podczas powstania służyła jako sanitariuszka i opatrywanie o wiele poważniejszych ran było dla niej chlebem powszednim.

– Trzeba to przemyć – powiedziała spokojnie. – Zaraz przyniosę spirytus...

Wstała. Na chwilę zniknęła w kuchni, by zaraz wrócić z małą buteleczką i kawałkiem gazy.

– Może trochę szczypać – ostrzegła, a Hrabski, usłyszawszy te słowa, odruchowo zacisnął zęby. Starał się nie myśleć o tym, co w tej chwili robi jego sąsiadka. Swoją umysł zajął czym innym. Zastanawiał się nad dalszym rozwojem wydarzeń. W sumie dzięki temu zapchlönemu kundlowi doszło do nieoczekiwanego zbliżenia pomiędzy nim i panią Wandą. Kto wie, być może jeszcze wszystko dobrze się ułoży i kobieta zgodzi się na jego propozycję. Hrabski przyrzekł sobie, że gdyby tak się stało, to od znajomego rzeźnika załatwiałby dla Marszałka co tydzień najlepsze skrawki wieprzowiny. W końcu to dzięki niepohamowanej furii tego zwierzęcia siedzi teraz w fotelu, a pani Wandzia z czułą troską zajmuje się

jego ranną nogą.

Komendant przymknął oczy. Rozmarzył się. Wyobraził sobie, że jest dzielnym średniowiecznym rycerzem, który w starciu z groźnym smokiem odniósł ciężkie rany. Wierna dama jego serca opiekuje się nim, przemywając mu je krystalicznie czystą wodą z pobliskiego jeziora. W niedalekiej perspektywie czeka go jeszcze ślub z ukochaną, który ma być uwieńczeniem ich obopólnej miłości. Nagle jednak smok, którego truchło leżało u jego nóg, jakimś cudem podniósł łeb i resztką sił otworzył paszczę. Wydobył się z niej jęzor ognia i boleśnie poparzył nogi dzielnego rycerza Hrabskiego...

– Aaa! – wrzasnął siedzący w fotelu komendant. – Piecze! Pali!

Głos, który chwilę później usłyszał, uświadomił mu, gdzie się znajduje i kim jest. Ze wstydem otworzył oczy.

– Ostrzegałam, że przez chwilę będzie szczypało – przeproszającym tonem powiedziała Wanda. – Musiałam przemyć miejsce ugryzienia, żeby nie wdało się zakażenie. Proszę się nie martwić, rana jest mniejsza, niż mogło to się początkowo wydawać. – Uśmiechnęła się. Wciąż klęcząc, podniosła wzrok na cierpiące oblicze komendanta, a potem powiedziała coś, czego chyba do końca nie przemyślała. Było już jednak za późno, bo słowo niczym wróbel, kiedy wyleci, to już go nie zatrzymasz. – Głowa do góry! Do wesela się zagoi!

Ich spojrzenia się skrzyżowały, W tej chwili oboje pomyśleli o tym samym. Na wyprodukowanym w Zakładach imienia Stalina gramofonie cicho obracała się płyta. Hanka Ordonówna śpiewała, że *musisz sercem zrozumieć dziś treść moich słów*. Pierwszy odezwał się Hrabski.

– Pani Wandziu kochana, ja właśnie w sprawie wesela dziś do pani zaszedłem.

Speszona Milewska podniosła się pospiesznie z klęczek.

– Pójdę zrobić herbatę – rzekła prędko, jakby udając, że nie słyszała wcześniejszych słów mężczyzny. – Proszę się nie ruszać. Przyniosę także bandaż, żeby obwiązać panu łydkę.

Będąc już w kuchni, oparła się rękoma o stół, przymknęła oczy i myślała nad tym wszystkim, co usłyszała dzisiaj z ust sąsiada. Bała się przyznać do tego przed samą sobą, ale jego wizyta sprawiła, że po tylu latach poczuła się wreszcie komuś potrzebna. Zrozumiała, że ona w przeciwieństwie do wielu kobiet, które znała, nie jest stworzona do życia

w samotności. Inne, wiedząc taki los, były szczęśliwe. Ona także tego próbowała. Dziś jednak zrozumiała, że przez ostatnie kilka lat oszukiwała samą siebie. Poczula, jak coś liże ją po obutej w domowy kapeć stopie. Otworzyła oczy. Zobaczyła stojącego u jej nóg Marszałka. Pies niepewnie na nią spojrzął. Starał się wyczuć nastrój swojej pani. Wanda się uśmiechnęła. Schyliła się i wzięła psa na ręce. Przez chwilę go głaskała, a potem pocałowała delikatnie w mały kudłaty łeppek i szepnęła do ucha:

– Dziękuję.

Marszałek merdał radośnie ogonem. Cieszył się, że wszystko wraca do normy i jego pani znowu jest szczęśliwa. Nie wiedział, że już niedługo będzie zmuszony dzielić się jej miłością z człowiekiem, którego znienacka dzisiaj zaatakował.

Wanda zabrała potrzebne rzeczy i wyszła z kuchni. Siedzący w fotelu komendant uśmiechnął się do niej. Kobieta odwzajemniła uśmiech.

– Najpierw opatrzę ranę, a potem napijemy się herbaty.

Hrabski całkowicie zapomniał o wszelkich niedogodnościach związanych z pogryzieniem przez psa. W głębi serca był mu nawet wdzięczny za to, że w ten sposób został potraktowany. Wyglądało na to, że wszystko układa się po jego myśli. Herbatka, może jakieś ciastko, a potem... oczyma wyobraźni zobaczył, jak wtula się w panią Wandzię, kołysząc się wraz z nią w rytm piosenek Hanki Ordonówny. W jego marzenia po raz kolejny brutalnie wdarła się rzeczywistość. Głośne łomotanie do drzwi poderwało z kolan Wandzię, która właśnie skończyła bandażować nogę komendanta.

– Już idę! – krzyknęła.

Hrabski, ciekaw, kto może nachodzić jego sąsiadkę, podniósł się z fotela i poczłapał w stronę korytarza. To, kogo tam zobaczył, zupełnie go zaskoczyło. W progu stał jego zastępca, Czesław Kowalik. Przez jedną krótką chwilę w głowie komendanta pojawiła się myśl, że być może ta szuja ma romans z Wandą i właśnie przyszedł do niej na schadzkę. Hrabski się wyprostował. Spojrzął groźnie na mężczyznę, w którym upatrywał konkurenta, i już otwierał usta, żeby w ostrych słowach spytać go, czemu w godzinach służby przebywa poza posterunkiem, jednak Kowalik okazał się szybszy. To, co powiedział, na moment wytrąciło Hrabskiego z równowagi.

– Obywatelu komendancie, wszędzie was szukałem! Musimy

natychmiast jechać na posterunek!

– Co się stało? – przerwał mu Wacław, zastanawiając się, który z życzliwych sąsiadów powiedział Kowalikowi, gdzie można go znaleźć.

– Przed niespełną godziną przyjechał do nas ten młody oficer z Warszawy...

– Jastrzębski?

– Tak jest, obywatelu komendancie! I razem z kaleką robią awanturę, że mamy burdel w papierach, a o tym, co się dzieje w terenie, to nawet nie chcą mówić! Kiedy pytali o was, to zgodnie z prawdą odpowiedziałem, że macie dzisiaj wolne popołudnie, a oni mi na to, że mam jechać i jak najszybciej wrócić z wami na posterunek!

– Dajcie mi pięć minut, Kowalik!

Zastępca popatrzył na komendanta, po czym przeniósł wzrok na stojącą za nim kobietę i ze zrozumieniem uśmiechnął się, mówiąc:

– Poczekam na dole w gaziku!

– Dziękuję za wszystko, pani Wandziu – odezwał się nieco zbyt podniosłym tonem Hrabski, kiedy jego zastępca, czyniąc wiele hałasu, zbiegał po drewnianych schodach. – Niestety, dzisiaj nie uda mi się z panią wypić herbaty, a proszę mi wierzyć, że o niczym innym nie marzę. Mam jednak nadzieję, że w najbliższym czasie to nadrobimy.

– Proszę wpadać, jak tylko będzie miał pan czas. – Głos Wandy był cichy, łamiący się, bała się, że za chwilę uwięźnie jej w gardle. – Szklanka gorącej herbaty zawsze się u mnie znajdzie.

Hrabski się uklonił. Szarmancko chwycił dłoń kobiety, ucałował ją, a potem oddalił się korytarzem. Dzisiejszy dzień zaliczał do udanych. Pomyślał, że humoru nie zepsuje mu nawet wizyta pyszałkowatego oficera ze stolicy. Z uśmiechem na twarzy wsiadł do stojącego na ulicy gazika. Chwilę później samochód i jego pasażerowie zniknęli w tumanach kurzu.

Tak jak się tego spodziewał, obaj mężczyźni bez najmniejszych oznak skrupowania rozgościli się w jego gabinecie i przeglądali wszelkie dostępne akta, jakie wpadły im w ręce. Jakby tego było mało, kaleka musiał znaleźć w jego biurku butelkę z alkoholem, którym teraz się raczył.

Kiedy Hrabski wszedł do środka, podnieśli na niego wzrok. Kaleka w milczeniu palił i z kpiącym uśmiechem przyglądał się komendantowi, który czuł się nad wyraz niezręcznie w swoim gabinecie.

– Co tak stoicie? – odezwał się Jastrzębski. – Siadajcie!

Hrabski bez słowa zajął miejsce na co dzień przeznaczone dla przesłuchiwanym przez niego osób. W tej chwili zrozumiał, jak muszą czuć się ci, którzy siadają po drugiej stronie biurka.

W pokoju panowało milczenie. Wiewiór beznamyślnie palił, wydychając dym w stronę otwartego okna, co i tak nie zmniejszało panującej w pokoju duchoty. Powietrze wydawało się tak gęste, że można było je kroić. Waclaw, nie bacząc na to, że jego strój może wydać się nieregulaminowy, odpiął kolejny guzik przy kołnierzyku koszuli. Poczłł suchość w ustach.

Jastrzębski zaczął wolno chodzić po pokoju. W końcu zatrzymał się przed komendantem. Przez chwilę obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. W końcu jednak komendant uciekł spojrzeniem w bok. Zaraz tego pożałował, gdyż jego wzrok spoczął na stojącej na biurku butelce z alkoholem. Nasiliło się wrażenie suchości w gardle.

– Co wam się stało w nogę? – spytał Jastrzęb, z zainteresowaniem przypatrując się poszarpanej nogawce komendanta, spod której wystawały fragmenty bandaża.

Hrabski odchrząknął i lekko ochryłym głosem wydukał:

– To wina Marszałka, rzucił się na mnie i... – Komendant zamilkł. Zdał sobie sprawę, jak idiotycznie brzmią jego tłumaczenia. Przez głowę przeszła mu myśl, że być może wszyscy, którzy zajmują to miejsce dla przesłuchiwanym, bredzą bez ładu i składu. Mina patrzącego na niego Jastrzębskiego mówiła sama za siebie. Waclaw swoją nieskładną i pozbawioną sensu wypowiedzią upewnił go tylko, że ma do czynienia z głupkowatym komendantem małego wiejskiego posterunku.

– Mówcie dalej, Hrabski – zachęcał Jastrzęb – to bardzo ciekawe. Jak sobie przypominam, podczas naszego pierwszego spotkania mieliście na sobie koszulę, jaką nosili przedwojenni polscy oficerowie, a teraz dla odmiany twierdzicie, że zaatakował was sam marszałek! – Jastrzębski przerwał. Popatrzył z góry na skulonego komendanta i widząc, że ten nie ma nic na swoją obronę, kontynuował: – Z tego, co mi wiadomo, marszałek Józef Piłsudski został uroczyście pochowany w tysiąc

dziewięćset trzydziestym piątym roku! Jak więc mógł się na was rzucić?! A może wy za dużo czasu spędzacie na opróżnianiu butelek, takich jak ta?! – Wskazał ręką na stojący na biurku alkohol. – Nie muszę wam mówić, że od teraz jest to dowód w sprawie, którą chyba będziemy musieli przeciwko wam wszcząć!

Hrabski podniósł blade, wystraszone oblicze na wpatrującego się w niego oficera UB.

– Marszałek to pies – wychrypiał i ponownie zdał sobie sprawę z absurdalności wypowiedzianych słów. Zweryfikował też swoje wcześniejsze przeświadczenie o tym, że nic nie zdoła zepsuć mu reszty dzisiejszego dnia.

– Ja również nie mam najlepszego zdania o Piłsudskim, ale nazwanie go psem nie wydaje mi się odpowiednie – powiedział spokojnie Jastrzębski. – Zostawmy już temat waszej nogi, to wyjaśnicie nam później! Teraz mamy do was dużo istotniejsze pytania.

Hrabski wyprostował się na krześle. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze nie wszystko stracone, że oto nadszedł moment, kiedy może okazać się na tyle pomocny, że jego wcześniejsze przewiny pójdą w zapomnienie.

– W czym mogę pomóc? – spytał służalczo.

– Interesuje nas wszystko, co wiecie o Romualdzie Zychu – rzekł Jastrzębski.

Na twarzy komendanta pojawiło się zdziwienie. Był pewien, że będą go pytać o partyzantów. Nie spodziewał się, że śledczy ze stolicy zainteresują się skromną osobą koniuszego.

– Romuald to drobny pijaczyna – zaczął Hrabski i od razu pochwycił wymowne spojrzenie Jastrzębskiego, które najpierw spoczęło na nim, a później przeniosło się na stojącą na biurku butelkę. Zrozumiał, że i jego młody oficer uważa za takiego właśnie pijaczynę. Zrobiło mu się trochę głupio, w duchu musiał jednak przyznać, że gdyby teraz zaproponowano mu setkę stojącego na blacie samogonu, przyjąłby ją z wdzięcznością. – Przed wojną był dobrze zapowiadającym się dżokejem, miał jednak jakiś wypadek i pani Jadwiga Bralewska zaproponowała mu pracę koniuszego we dworze.

– Czy mieli romans? – spytał milcząco do tej pory Wiewiór.

– Nic mi na ten temat nie wiadomo – odparł Hrabski. – Chociaż ludzie gadali, że koniuszy podkochuje się w hrabiance, jak ją tu wszyscy

nazywali.

Wiewiór pokiwał głową. Zapisał coś w notesie, a potem zadał kolejne pytanie. Widać było, że tę część rozmowy młody oficer zostawił swojemu starszemu towarzyszowi.

– Powiedział pan wcześniej, że koniuszy nie wylewa za kołnierz. Czy to jego umiłowanie do trunków nie powodowało, że zaniedbywał swoją pracę albo że ktoś skarżył się na jego zachowanie po pijanemu?

– Z tego, co wiem, Romuald pił zwykle po wykonaniu wszystkich obowiązków. Nie podchodził do koni, gdy był po alkoholu. Twierdził, że one tego nie lubią.

– Czy były na niego jakieś skargi? – powtórzył pytanie Wieczorek.

Hrabski długo się nad czymś zastanawiał. Obaj przesłuchujący go mężczyźni cierpliwie czekali, nie chcąc mu przeszkadzać. W końcu komendant zaczął mówić.

– Jeszcze przed wojną – zaczął Hrabski, wydobywając z zakamarków pamięci wydarzenie, o którym prawie już zapomniał – pracowałem na tutejszym posterunku w stopniu przodownika, pamiętam, jak przyszedł wtedy do nas Franciszek Bralewski, by poskarżyć się na Romualda.

– O co dokładnie chodziło?

– Bralewski twierdził, że Zych próbuje go otruć. Opowiedział nam, że widział, jak koniuszy dosypuje czegoś do nalewek, które pan Franciszek zwykł po południu pijać.

– Sprawdziliście to?

– Oczywiście! Na drugi dzień wezwaliśmy do siebie koniuszego i dokładnie o wszystko wypytaliśmy. Pamiętam, że osobiście go przesłuchiwałem.

– Co powiedział?

– Najpierw kręcił, że nie wie, o co chodzi, ale jak go trochę przycisnąłem, to wszystko wyśpiewał – rzekł z dumą w głosie Hrabski, któremu w tej chwili wydawało się, że już przed wojną jako przodownik na wiejskim posterunku był dobrze zapowiadającym się funkcjonariuszem, co w szarej stalinowskiej rzeczywistości zaowocowało tym, że powierzono mu pełnienie zaszczytnej funkcji komendanta. – Przyznał, że nie dosypywał niczego do nalewek, a jedynie dolewał do nich trochę kompotu.

– Kompotu? Po co? – zdziwił się Wiewiór, który jeżeli chodzi

o alkohol, w ogóle nie przepadał za nalewkami, a już w szczególności takimi rozcieńczonymi kompotem.

– Wynikało to właśnie z owego zgubnego zamiłowania Romualda do alkoholu. Szybko popadł w nałóg po nieszczęśliwym wypadku, który przekreślił jego karierę dżokeja. Koniuszki podkradał alkohol z barku hrabiego, a nie chcąc, żeby ten się zorientował, dolewał do upitych nalewek kompotu, do koniaku herbaty, a do siwuchy wody. Według relacji Romualda cały alkohol z barku Bralewskiego miał moc o połowę niższą, niż to się hrabiemu wydawało.

– Uwierzył mu pan?

Hrabski z dumą pokiwał głową.

– Nie miałem powodów, żeby podejrzewać go o kłamstwo. Postanowiłem to jednak sprawdzić. W tym celu przeprowadziłem mały eksperyment. Miałem przyniesioną przez Bralewskiego butelkę nalewki, do której Romuald rzekomo dosypywał trucizny. Wyjąłem ją i powiedziałem, że jeżeli jest tak, jak mówił, i niczego poza kompotem do niej nie dolewał, to niech teraz wypije pół szklaneczki.

– I co? – spytał Wiewiór, któremu podobał się pomysł Hrabskiego. Był bardzo prosty, ale na pewno skuteczny. Jeżeli facet nie miał nic na sumieniu, to powinien bez problemu wypić trochę tej rozcieńczonej nalewki. Jeśli jednak wiedział, że w środku znajduje się trucizna, to zacząłby tak się wymigiwać, że śmiało można by zamknąć go w celi, a butelkę wraz z zawartością oddać do laboratorium, żeby chemicy sprawdzili jej skład.

– Wypił bez żadnego problemu. Nie pozostawało mi nic innego, jak pouczyć go, żeby nie podkradał już alkoholu z barku pracodawcy, a potem puściłem go wolno. Najśmieszniejsze jest to, że wychodząc, spytał, czy może zabrać ze sobą butelkę z nalewką.

– Pozwolił mu pan?

– A skąd – obruszył się komendant. – Przecież to był dowód rzeczowy!

Wiewiór nie chciał się dopytywać, co z owym „dowodem” uczynił później Hrabski. Mógł się tego jedynie domyślić i gdy patrzył na lekko zaczerwieniony bynajmniej nie od kataru nos komendanta, coś mu mówiło, że jego domysły są słuszne. Inwalida zapisał kilka słów w notatniku, po czym podniósł wzrok na Hrabskiego, który odzyskał już trochę pewności siebie, i spytał:

– Czy nie wiadomo panu, gdzie przez ostatnie trzy dni przebywał Romuald Zych?

– Pewnie we dworku – odparł Hrabski.

Wieczorek pokiwał głową. Uznał, że na razie nie uzyska od Hrabskiego żadnych dodatkowych informacji. Teraz należało pojechać do dawnej posiadłości Bralewskich, być może tam uda im się spotkać Romualda Zycha, któremu komisarz pragnął zadać kilka pytań. Hrabski powiedział, że ludzie mówili o romansie koniuszego i Bralewskiej, a według informacji Wolaka nie było takiego romansu. To, co mówili okoliczni mieszkańcy, można więc było uznać za złośliwe plotki. W swojej wieloletniej pracy wywiadowczej Wieczorek niejednokrotnie się przekonał, że plotek nie należy bagatelizować. Trzeba poświęcić im trochę czasu, by odcedzić prawdę od kłamstwa. Musieli jak najprędzej znaleźć i przesłuchać koniuszego. Intuicja podpowiadała Wiewiórowi, że jego zeznania rzucają nowe światło na prowadzone śledztwo.

– Dziękuję, panie komendancie – rzekł Wiewiór, chowając notes do kieszeni. – Nie będziemy już dłużej zabierać panu cennego czasu, chyba że oficer Jastrzębski z Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego chciałby jeszcze o coś spytać.

Hrabski pobladł. Rozmowa z inwalidą była dla niego mniej stresująca. Młody oficer napawał go lękiem, który zupełnie paraliżował umysł i ciało komendanta, przez co wychodził na niedouczonego prowincjonalnego głupka.

Strach, jaki odmalował się na twarzy pocziwego komendanta, nie umknął uwadze Edwarda, który uśmiechnął się lodowato i spytał:

– Jak, obywatelu Hrabski, radzicie sobie z bandą?

Wacław zbladł jeszcze mocniej. Zimny pot oblał mu czoło. Powróciła suchość w ustach. Serce niczym młot waliło mu w piersi. Dopiero po chwili do jego wystraszonej świadomości dotarło, że się przesłyszał. Że zamiast słowa „banda”, którego użył Jastrzębski, on usłyszał „Wanda”. W porę ugryzł się w język i nie powiedział tego, co cisnęło mu się na usta, gdyż znowu zostałyby opacznie zrozumiane.

– Melduję, że z bandami mamy na razie spokój. Według jeszcze niepotwierdzonych informacji możemy przypuszczać, że ścigana przez nas grupa Rysia rozwiązała się i przestała istnieć!

Jastrzębski mocno uderzył otwartą dłońią w blat biurka. Siła uderzenia

sprawiła, że stojąca na nim butelka podskoczyła.

– Czyli znowu daliście dupy, Hrabski! – krzyknął wściekle Jastrząb. – Waszym zadaniem było wytropienie bandytów i schwywanie ich żywych lub martwych! Jeżeli nie potrafiliście tego zrobić, kiedy działali w grupie, to wydaje wam się, że teraz, gdy się rozproszyli, będzie to łatwiejsze?!

– Melduję, że uważam... – zaczął Hrabski, lecz nie zdążył dokończyć.

– Gównu mnie obchodzi, co uważacie! – ryknął Jastrzębski. – Pytanie, które wam zadałem, było w swej naturze retoryczne! Poczytałem trochę o was, Hrabski, i nie jestem zadowolony z tego, co mi o was powiedział jeden z waszych współpracowników!

Jastrzębski podniósł leżącą na biurku szarą aktówkę. Otworzył i w milczeniu zaczął ją przeglądać, złowroźnie kiwając głową.

– Widzicie Hrabski – odezwał się chwilę później, przenikliwie patrząc w oczy komendanta – wam się wydaje, że siedzicie sobie tutaj na tym zadupiu jak u Pana Boga za piecem, a my w Warszawie nic o was nie wiemy. Gównu prawda! Wiemy o was wszystko! Mam tu czarno na białym napisane, co robiliście w ciągu ostatnich tygodni. I wiecie co? – Jastrzębski umilkł. Hrabski jednak tym razem okazał się na tyle czujny, że zrozumiał, iż to pytanie także jest, jak to wcześniej ujął Jastrzębski, w swej naturze retoryczne. – Nie podoba mi się to wszystko! Czytam tutaj na przykład, że podczas przesłuchiwania jednego z bandytów Rysia, Jerzego Brodzkiego, proponowaliście mu wspólne picie alkoholu! A więc tak chcieliście wytropić bandytów?! Pijąc z nimi wódkę?!

Hrabski milczał. Nie wierzył w to, co słyszał. W głowie mu się nie mieściło, że ludzie są w stanie aż tak się zeszmacić, żeby posunąć się do donosicielstwa.

– W Warszawie zdecydowano, że dostaniecie jeszcze jedną szansę, Hrabski – kontynuował Jastrzębski. – Możecie udowodnić swoją przydatność i pomóc wytropić poszukiwanych przez nas bandytów...

Wacław z nadzieją podniósł głowę i wsłuchiwał się w słowa oficera MBP.

– ...jednak musicie także ponieść konsekwencje niesubordynacji i dlatego zostajecie pozbawieni funkcji komendanta posterunku! Czy wszystko jest dla was jasne?!

Hrabski podniósł się z krzesła. Stał na baczność przed Jastrzębskim.

– Wszystko zrozumiałem! Chciałbym jeszcze o coś spytać, jeśli można.

– Śmiało, pytajcie!

Hrabski nabrał powietrza w płuca, po czym jednym tchem wyrzucił z siebie:

– Kto zajmie moje miejsce?

Jastrzębski zastanawiał się chwilę. W końcu zdecydował, że nie ma potrzeby dłużej trzymać Hrabskiego w niepewności. Ponownie zajrzał do trzymanej w rękę teczki. Przerzucił w niej kilka kartek, po czym z jednej z nich odczytał imię i nazwisko nowego komendanta.

– Waszym następcą zostanie obywatel Czesław Kowalik!

Hrabski ze świstem wypuścił nagromadzone w płucach powietrze. Domyślał się, że judaszem jest jego zastępca, teraz jednak miał już całkowitą pewność.

– Macie jeszcze jakieś pytania, Hrabski?!

Wacław przecząco pokręcił głową.

– W takim razie – powiedział Jastrzębski – idźcie się zameldować nowemu komendantowi.

– Tak jest! – krzyknął Hrabski i raz jeszcze uświadomił sobie, jak bardzo się mylił, myśląc, że nic nie zdoła dzisiaj popsuć mu humoru.

50.

Mieczysław Słodoń miał poczucie *déjà vu*. Oczywiście nie wiedział, że na stan, który obecnie przeżywa, istnieje tego typu określenie. Stał w parkowej alejce i nerwowo palił papierosa. Wielki facet, który okazał się znajomym kaleki, powiedział mu wczoraj, że jeszcze nie jest za późno i może odkupić swoje winy. Tego typu gadka w ogóle nie przekonywała Rudego. Kiwał tylko głową, udając skruszonego, a w rzeczywistości czekał, aż duży gość o zmęczonej twarzy boksera skończy połajankę i da mu spokój. Mietek w takich sytuacjach był zaprawiony. Już jako uczeń, kiedy tylko coś nabroił, a zdarzało mu się to dość często, w identyczny sposób ze spuszczoną głową i skruszoną miną stał przed nauczycielką, udając, że żałuje swego postępowania. To, co do niego wówczas mówiono, wpadało jednym uchem, a drugim wypadało. Taką samą metodę zastosował wobec kazania, które wygłosił mu przedwojenny komisarz. Słowa wypowiedziane przez Wolaka w ogóle go nie interesowały. W pewnym momencie jednak podniósł wzrok i z uwagą zaczął słuchać tego, co miał do powiedzenia stary komisarz. Jeżeli Rudego w ogóle nie interesowała kwestia odkupienia win, to jego ciekawość obudziła inna sprawa. Mianowicie to, co wypełniało mu serce od chwili, gdy kilka dni temu spotkał tajemniczego mężczyznę w kraciastym kaszkiecie. Zemsta. I właśnie pomoc w dokonaniu zemsty oferował mu ten zwalisty typ. Mietek z zainteresowaniem wysłuchiwał dalszego wywodu komisarza.

– Czy jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, będę mógł wykluczyć temu facetowi oko? – spytał, gdy uznał, że Wolak skończył swoją część wypowiedzi.

Komisarz pokręcił głową, co już nieco zasmuciło jego ognistowłosego rozmówcę.

– Widzę, Mieciu, że hołdujesz starotestamentowej zasadzie oko za oko,

zab za zab.

– Nie hoduję żadnych zasad z testamentu! – obruszył się rudy, podejrzewając, że Wolak znowu chce go obrazić.

Komisarz uznał, że stratą czasu byłoby tłumaczenie Mietkowi, o co mu chodził. Ograniczył się więc do niezbędnych wyjaśnień.

– Mówiąc, że pomagając mi, będziesz miał szansę zemścić się na tym mężczyźnie, miałem na myśli to, że przy twoim udziale uda mi się go schwytać i doprowadzić do skazania na wieloletnie więzienie. Jak już ci wcześniej wspominałem, nie jestem z milicji i nie musisz martwić się tym, że współpraca ze mną splamiłaby twój jakkolwiek pojmany honor!

Wolak patrzył na stojącego przed nim rudego chłopaka. Po kilku sekundach już zaczął się obawiać, że wypowiedziana przez niego fraza była albo za długa, albo nazbyt skomplikowana, ponieważ rudy Jurand w ogóle jej nie skomentował. Postanowił w jakiś inny sposób przemówić do niego, ale okazało się to zbędne, gdyż chłopak odezwał się pierwszy.

– Zgadzam się. Pomogę panu.

Komisarz w sumie nie brał pod uwagę innej możliwości, ale ucieszył się, że chłopak chce współpracować. Wiedział, że gdy tego typu chuligan współpracuje, bo sam się na to zdecydował, takie połączenie sił przynosi o wiele lepsze efekty.

Umówili się, że Rudy będzie czekał w parku. Przy tej samej ławce co wtedy, gdy doszło do pierwszego spotkania z tajemniczym mężczyzną w kaszkiecie. Mietek nie do końca był zadowolony z zadania wyznaczonego mu przez komisarza. W jego mniemaniu uwłaczało mu ono, ograniczając jego rolę w całym przedsięwzięciu do przyglądania się mającym się rozegrać wypadkom. A on nie chciał beczynnie się wszystkiemu przypatrywać. Pragnął w konfrontacji z mordercą odegrać jakąś znaczącą rolę. Denerwowała go zbytnia pewność siebie starego komisarza, kompletnie ignorującego oferowaną mu przez Mietka pomoc w obezwładnieniu bandyty.

– Po pierwsze, Mieciu – tłumaczył mu cierpliwie Wolak – nie wiadomo, czy facet połknie haczyk i pojawi się w parku. Po drugie, uwierz mi, w swoim życiu miałem już do czynienia z przeciwnikami o wiele groźniejszymi niż ten i poradzę sobie z nim bez niczyjej pomocy.

Mietek ostatnie słowa komisarza odczytał jako przytyk do swojej osoby. Sądził, że Wolak się przechwala, bagatelizując niebezpieczeństwo,

jakie stanowi właściciel kraciastej czapki, który bez problemu rozprawił się z kilkoma młodszymi od siebie mężczyznami, okaleczając ich na całe życie.

– Jak pan uważa – powiedział do komisarza, mając w głębi duszy nadzieję, że sytuacja przybierze taki obrót, iż przedwojenny policjant sam poprosi go o pomoc.

– Pamiętaj – odezwał się Wolak, jakby czytał w myślach chłopaka – ty masz tylko stać i czekać. Jeżeli podejrzany się pojawi, przyjrzyj mu się dokładnie i dasz mi znać, że to na pewno on. Nie może być mowy o pomyłce!

– Przecież mówiłem panu, że facet nie ma małego palca, więc nie możemy pomylić go z kimś innym.

– Miciu, jak myślisz, ilu ludzi w czasie tej parszywej wojny straciło palce, ręce, nogi czy co tam jeszcze? – Komisarz powiedział to tonem, jakim zwraca się nauczyciel do niezbyt rozgarniętego ucznia. – Poza tym w ciemności możemy nawet nie zauważyć, czy gościowi brakuje tego cholernego palucha! Ty masz uważnie mu się przyjrzeć i upewnić się, że to właśnie on! Na tym kończy się twoje zadanie, a więc nie zacznij, broń Boże, myśleć i nie wykombinuj czegoś, rozumiesz?!

Mietek pojął, że dalsza dyskusja z komisarzem nie ma sensu. Poza tym zauważył, że zwalisty rozmówca z każdym wypowiedzianym słowem coraz bardziej się irtował. Ostatnią rzeczą, jakiej Micio pragnął, było całkowite wyprowadzenie swojego rozmówcy z równowagi, ponieważ mogło to się zakończyć niepotrzebnym prztyczkiem w nos.

– W jaki sposób mam panu dać znać, że to ten sam facet, na którego czekamy?

Wolak zastanawiał się przez chwilę.

– W wewnętrznej kieszeni marynarki będziesz miał gazetę. Jeśli zauważysz, że zbliża się nasz gagatek, wyjmiesz ją i włożysz do zewnętrznej kieszeni, tak żeby jej część wystawała i była dla mnie widoczna. Będziesz znajdował się w świetle latarni i nie powinienem mieć problemu, by zauważyć gazetę.

– A pan gdzie będzie stał?

– W miejscu niewidocznym ani dla ciebie, ani dla mordercy – odparł zimno Wolak. – W każdym razie na tyle blisko, aby w każdej chwili dopaść podejrzanego. Zaufaj mi i rób dokładnie to, co do ciebie należy,

a wszystko pójdzie gładko i zgodnie z planem!

Słodoń po raz kolejny obiecał, że zastosuje się do wskazówek udzielonych mu przez komisarza.

Teraz, stojąc samotnie w pustym parku, naszły go wątpliwości. Do jego umysłu zaczął wdzierać się strach. Zaciągnął się papierosem, po czym pstryknął nim w rosnące za ławką drzewa. Pomimo ciepłego wieczoru poczuł przebiegający po plecach dreszcz. Wokół panowała cisza, jedynie gdzieś z oddali co jakiś czas dochodził przytłumiony odgłos z rzadka przejeżdżających samochodów. Mietek po raz pierwszy od bardzo dawna zaczął się bać. I był to ten rodzaj strachu, który z każdą mijającą chwilą narasta. Jeśli ktoś zadałby mu pytanie o źródło owego uczucia, chłopak nie potrafiłby udzielić jednoznacznej odpowiedzi.

Rozejrzał się dookoła, zastanawiając się, gdzie może ukrywać się Wolak. Jego wzrok nie potrafił przebić się przez ciemne drzewa i gęste krzewy rosnące wokół. Nagle w umyśle Słodonia zrodziła się absurdalna myśl, że może komisarz go wystawił. Może niepotrzebnie próbuje wyteńczyć wzrok, by w ciemnościach dostrzec jakiegokolwiek oznaki bytności przedwojennego policjanta, którego wcale tam nie ma? Zadrżał. Podniósł się z ławki. Zaczął chodzić. Cztery kroki w jedną stronę, cztery kroki z powrotem. Na moment to go uspokoiło. Przypomniał mu się kilkudniowy pobyt w areszcie, kiedy to zamknięty w małej celi, podobnie jak w tej chwili, chodził od ściany do ściany. Teraz jednak jego wolności nic nie ograniczało. Nic, oprócz strachu, który powodował prawie takie samo poczucie beznadziei jak zamknięcie w małym pomieszczeniu z kratami w wąskim oknie. Chłopak zatrzymał się raptownie. Nasłuchiwał. Wydawało mu się, że usłyszał stukot czyichś kroków. Wokół jednak wciąż panowała cisza. Próbował przekonać samego siebie, że nie musi niczego się obawiać. Być może morderca w ogóle się dzisiaj nie pojawi. Zaraz jednak uzmysłowił sobie, że gdyby tak się stało, to oznaczałoby, że będzie musiał przyjść tu jeszcze raz albo i więcej, by czekać na pojawienie się mężczyzny w kaszkiecie. Za każdym razem narażony byłby na podobne jak dzisiaj przeżycia, a to źle by wpłynęło na jego już i tak chwiejną psychikę. Naraz przyszła mu do głowy pewna myśl, która wlała w jego serce trochę otuchy. Przecież to nie on jest celem mordercy. Facet chce zabić kogoś innego. Jego już miał sposobność pozbawić życia i tego nie zrobił. Głównym celem mężczyzny w kraciastej czapce jest dziewczyna. No właśnie, dziewczyna – pomyślał Mietek i zaraz zaczął się zastanawiać,

co ona musi czuć, jeżeli w jego umyśle pojawiały się tak czarne scenariusze naznaczone najgorszymi obawami. Przecież to nie on jest przynętą dla mordercy, tylko ona. Drobna, młoda, bezbronna, niemająca najmniejszych szans w starciu z pozbawionym wszelkich zahamowań psychopatą. Słodoń pocieszył się myślą, że inni są w dużo gorszej sytuacji niż on, i od razu poczuł się lepiej. Przestał nerwowo dreptać, usiadł na ławce. Po raz kolejny dzisiejszego wieczoru upewnił się, że w wewnętrznej kieszeni marynarki nadal spoczywa złożona na pół gazeta, po czym najspokojniej w świecie zapalił papierosa i rozkoszował się nim w rześkim nocnym powietrzu.

Wbrew temu, co myślał Mietek, Hanka nie odczuwała strachu. Wręcz przeciwnie, w końcu była szczęśliwa, że może przeżyć przygodę na miarę tych, z jakimi miała do czynienia, gdy czytała we wczesnej młodości książki podróżnicze. Dużo więcej zastrzeżeń do planu Wolaka miała jej matka. Jadwiga bała się, że straci drugą córkę. Dopiero kiedy komisarz zapewnił ją, że Hance nic nie grozi, gdyż nawet na chwilę nie straci jej z oczu i cały czas będzie podążał jej tropem, kobieta się zgodziła. Poza tym widziała, że nie uda jej się powstrzymać córki, która od początku zapałała dużym entuzjazmem do pomysłu Wolaka. Komisarz przezornie zorganizował dla Jadwigi środki nasenno-uspokajające, a potem w zмовie z córką rozpuścili je w herbacie, którą niczego nieświadoma kobieta wypila przed ich wyjściem.

Hanka wolnym krokiem szła parkową alejką. Ze stojących po drodze latarni świeciła jedynie co druga, ponieważ pozostałe rozbili chuligani. Panujący wokół półmrok w ogóle nie przeszkadzał dziewczynie. Jej wzrok powoli przyzwyczajał się do panujących warunków. Rozróżniała wiele widocznych dookoła kształtów, a swoją wyobraźnię trzymała na wodzy, tak by nie podsuwała jej obrazów mogących wywołać panikę.

W parku było cicho i pusto. Hanka była przekonana, że dziś już nic się nie wydarzy. Niedobrze robiło jej się na myśl o powrocie do domu, w którym zastanie przynęcioną śmiercią Natalki matkę i śliniącego się na jej, Hanki, widok obleśnego sąsiada, któremu ostatnio komisarz, a raczej ojciec, poprawiła się w duchu, spuścił całkiem niezłe lanie. Wolą spacerować spowitymi nocą alejami, niż wrócić do domu. Powietrze było

tak przyjemnie rześkie, że poczuła przeogromną ochotę na papierosa. Postanowiła dojść do najbliższej latarni, by w jej świetle poszukać w torebce pudełka z papierosami. Z zadowoleniem zauważyła, że przy latarni stoi również ławka. Przyspieszyła kroku. Chwilę później już siedziała. Otworzyła torebkę i wyjęła z niej belwedery. Niestety, nigdzie nie mogła znaleźć zapalek. Zakłęła pod nosem i rozejrzała się dookoła w nadziei, że zobaczy kogoś, kogo mogłaby poprosić o ogień. Wokół było pusto. Hanka nerwowo obracała w dłoniach nieodpalonego papierosa. Zamknęła torebkę, przewiesiła ją przez ramię i wstała z ławki. Zdecydowała się iść dalej, w końcu musi kogoś spotkać. Gdy tylko ruszyła, kątem oka dostrzegła, że nieco dalej, po lewej stronie, jakaś ciemna sylwetka odrywa się od drzew i wolno podąża jej śladem. Nie chciała się bardziej odwracać i natarczywiej przyglądać, aby tego kogoś nie spłoszyć. W sumie mógł to być ktokolwiek, niekoniecznie człowiek, na którego zastawili tutaj zasadzkę. A może to tylko przywidzenie? Projekcja zmęczonego umysłu? Dlatego uznała, że nie ma najmniejszych powodów do paniki.

Po kilkunastu kolejnych krokach Hanka miała już pewność, że się nie myliła. Uważała siebie za osobę potrafiącą zachować zimną krew w każdej sytuacji. Być może tę cechę odziedziczyła po swoim ojcu, Janie Wolaku, nie wiadomo. W każdym razie dziewczyna, nie zmieniając tempa marszu, wyjęła z kieszeni płaszcza niewielkie, mieszczące się w dłoni lusterko. Nie zatrzymując się, podniosła je na wysokość oczu i przez kilka sekund patrzyła w nie, obserwując to, co się dzieje z tyłu. Już po chwili dostrzegła ciemny kształt śledzącego ją człowieka. Schowała lusterko. Jej dłoń zahaczyła lekko o zimny metalowy przedmiot ciężący jej w kieszeni. Dotyk ten dodał dziewczynie pewności siebie. Poczuła, że wcale nie jest tak bezbronna, jak wydaje się to idącemu za nią człowiekowi. Była niemal pewna, że jest to mężczyzna, którego postanowili dzisiaj schwytać. Nadal nie odczuwała strachu, gdyż wiedziała, że ukryty gdzieś w pobliżu komisarz (słowo „ojciec” wciąż jeszcze z trudem przechodziło jej nawet przez myśl) nie dopuści, by cokolwiek złego jej się stało. Poczuła jednak jeszcze większą chęć na papierosa. Wyteżyła wzrok. Kilkadziesiąt metrów przed nią ktoś stał w świetle latarni. Kiedy tylko trochę się zbliżyła, dostrzegła, że ta osoba pali papierosa. Nie chciała przyspieszać, żeby przypadkiem nie spłoszyć śledzącego ją mężczyzny, który mógłby w jej zachowaniu doszukiwać się jakiegoś podstępu. Miała zamiar poprosić o ogień i pójść dalej. Po przejściu kilkunastu kroków spostrzegła, że

stojący przed nią osobnik uważnie się jej przygląda. Prawą dłoń włożyła do kieszeni płaszcza. Ponownie poczuła kojący dotyk metalu. Nim zdążyła podejść na tyle blisko, żeby mu się przyjrzeć, człowiek ten odwrócił się do niej plecami. O co tu chodzi? Powoli zaczynała się niepokoić. Nie zamierzała jednak zmieniać planów. Było już na to za późno. Przeszła jeszcze kilkanaście metrów, po czym się zatrzymała. Prawą dłoń cały czas trzymała w kieszeni. Od odwróconego tyłem mężczyzny dzieliło ją około dwóch metrów. Za dużo, by tamten zdążył ją zaatakować, zanim wyjęłaby nóż, a za mało, by udało jej się przed nim uciec. Zbyt małą miałyby nad nim przewagę.

– Przepraszam – powiedziała pewnym siebie głosem – czy mógłby pan pożyczyć mi na chwilę zapalki?

Nieznajomy się odwrócił. Hanka w końcu miała okazję dokładnie mu się przyjrzeć. Od razu tego pożałowała. Ochota na papierosa również nagle zniknęła. Pomijając wygląd chłopaka, jego ognistorude włosy, pryszczatą twarz i przysłonięty szarobiałym bandażem oczodół, było w nim jeszcze coś niepokojącego. Hanka na początku nie umiała dokładnie sprecyzować, co to takiego. Dopiero w chwili, gdy chłopak przemówił, podając jej pudełko zapalek, zrozumiała, co z nim jest nie tak. Jego głos przepełniony był strachem, który lada chwila mógł przemienić się w przerażenie. Czoło chłopaka, pomimo panującego wokół chłodu, pokrywały kropelki potu. Dłoń, którą podawał jej pudełko zapalek, była mokra i śliska, niczym wyłowiony z rzeki węgorz. Hanke napawało to obrzydzeniem. Przypaliła papierosa i oddała zapalki. Spojrzała jeszcze na niego poprzez chmurę dymu. Rudy się trząśł.

– Coś ci jest? – spytała. – Jesteś chory?

Chłopak zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy. Jego wzrok powędrował gdzieś daleko, ponad jej ramieniem.

– Proszę cię – głos drżał mu coraz mocniej – idź już!

Hanka pomyślała, że park to ostatnie o tej porze miejsce, gdzie można spotkać kogoś normalnego. Do takich przecież nie zaliczał się ani idący jej śladem morderca, ani tropiący go komisarz Jan Wolak. Prawdę powiedziawszy, ona sama również nie wydawała się osobą w pełni zrównoważoną.

– Uważaj na siebie! – powiedziała, sama nie wiedząc czemu, i różnym krokiem poszła dalej.

Wkroczyła teraz w dużo ciemniejszą i bardziej zarośniętą część parku. Jeżeli tamten facet miał ją zaatakować, to właśnie nadarzała się ku temu najlepsza sposobność. Hanka raz jeszcze zaciągnęła się papierosem, po czym cisnęła go w krzaki, a wolną rękę włożyła do kieszeni. Dłoń automatycznie zacisnęła się na rękojeści noża. Niestety, tym razem dziewczyna nie poczuła towarzyszącej jej uprzednio ulgi. Lęk, który do tej pory tkwił uśpiony w jej umyśle, teraz powoli zaczął się budzić. Chwilę później przeklinała siebie za swoją przenikliwość umysłu. Usłyszała bowiem, że śledzący ją intruz zdecydowanie przyspieszył. Odgłos jego kroków stawał się coraz bliższy i wyraźniejszy. Hanka nie wiedziała, co ma robić. Udawać, że niczego niepokojącego nie dostrzegła, i cierpliwie czekać, aż pojawi się komisarz, by wyratować ją z opresji? Czy może na nic nie zważając, zacząć uciekać? Czuła, że jeszcze moment i wpadnie w panikę. Kątem oka zerknęła najpierw w prawo, a potem w lewo. Miała nadzieję ujrzeć coś, co wlałoby w jej serce chociaż odrobinę otuchy. Gdzie ten cholerny Wolak?! Nieświadomie przyspieszyła. Jej oddech stawał się coraz szybszy. Czuła oblewające ją fale gorąca. Po czole spływały jej grube krople potu. W tej chwili zrozumiała, co musiał czuć spotkany kilka chwil wcześniej rudy chłopak. Pojęła też, że jeżeli komisarz ma ją uratować, to powinien pojawić się w ciągu najbliższych paru sekund. Postanowiła, że policzy w myślach do dziesięciu. Jeśli przez ten czas Wolak się nie pokaże, to w dupie ma całą tę zasadzkę i zaczyna uciekać. Zdążyła doliczyć do sześciu, kiedy najpierw usłyszała odgłos biegnącego za nią napastnika, a po chwili poczuła na swoim ramieniu jego rękę. Chciała wyciągnąć z kieszeni nóż, lecz stojący za nią mężczyzna jej to uniemożliwił. Odwróciła się. Miała jeszcze nadzieję, że gdzieś w pobliżu zobaczy nadbiegającego komisarza. Niestety, były to jedynie pobożne życzenia. Wokół było pusto. W tym momencie dziewczynie wydawało się, że w całym parku jest tylko ona i trzymający ją w silnym uścisku napastnik. Zdążyła jeszcze krzyknąć, a potem wszystko wymknęło się spod kontroli.

Ukryty za drzewami Wolak obserwował podążającego tropem jego córki mężczyznę. Panujący mrok oraz strój intruza utrudniały dokładniejsze przyjrzenie się mu. Długi płaszcz i nasunięty na czoło kapelusz sprawiały, że Wolakowi nie udało się zobaczyć w tajemniczym

osobniku żadnych charakterystycznych cech. Pozostawało mu jedynie czekać na reakcję Mietka. Słodoń miał okazję dokładnie przypatrzeć się mijającemu go mężczyźnie. Nie powinien więc mieć problemów z ewentualnym rozpoznaniem w nim sprawcy swego okaleczenia. Nic takiego jednak nie nastąpiło. Spowity w mrok kształt człowieka w płaszczu minął rudego Mietka i poszedł dalej. Wolak czekał jeszcze przez chwilę w ukryciu. Bacznie przyglądał się Słodoniowi, czekając, aż ten wyciągnie z wewnętrznej kieszeni marynarki gazetę i przełoży ją w umówione miejsce. Jego oczekiwanie okazało się daremne. Facet w płaszczu zdążył już zniknąć za zakrętem alejki. Hanke już wcześniej stracił z oczu. Coś trzeba było robić. Wolak wyskoczył z krzaków i podbiegł do zaskoczonego Mietka.

– To nie ten? – spytał, zatrzymując się przy kiepsko wyglądającym chłopaku.

Rudy pokręcił głową.

– Jesteś pewien?!

– Tak – odezwał się dziwnym głosem chłopak. – Tamten był dużo większy i wyglądał na silniejszego niż ten. Poza tym widziałem dłonie tego faceta i miał wszystkie palce!

Wolak intensywnie zastanawiał się nad tym, co dalej. W końcu zdecydował, że na dzisiaj kończą. Morderca, jeśli miał się pojawić, to już by to zrobił. Miał właśnie poinformować o swoich zamiarach Mietka, kiedy panującą w parku ciszę rozdarł przerażający krzyk.

– Kurwa mać! – zaklął wściekle komisarz, ponieważ rozpoznał głos swojej córki. Rzucił jeszcze tylko przelotne, pełne wyrzutu spojrzenie na Słodonia, którego obwiniał o to, że nie dokonał prawidłowego rozpoznania, i puścił się biegiem w stronę, skąd dobiegł wrzask.

Alejka za zakrętem była pusta. Wolak bez zastanowienia wbiegł w gęste krzaki. Nie zważając, że gałęzie ranią mu twarz, przedzierał się przez zarośla. W końcu udało mu się dotrzeć do drugiej alejki. Przystanął. Rozejrzał się. Na niewiele się to zdało, gdyż wszystko wokół spowijały ciemności. Postanowił zdać się na inny ze swoich zmysłów. Zrozumiał, że musiałyby stać się cud, żeby to się udało, ponieważ jego słuch był mocno przytępiony i z całą pewnością w tych warunkach wzroku mu nie zastąpi. Cud jednak się wydarzył. Kilka sekund później komisarz usłyszał dochodzące z niewielkiej odległości szepty. Wstrzymał oddech

i nasłuchiwał. W końcu udało mu się zlokalizować kierunek, z którego dobiegały go głosy rozmawiających ludzi. Zaczął powoli skradać się w tamtą stronę. Sam wciąż pozostawał dobrze ukryty wśród drzew i krzewów, miał natomiast bardzo dobry widok na parkową alejkę. Po przejściu kilkunastu metrów wreszcie udało mu się dotrzeć do miejsca, z którego mógł zobaczyć, do kogo należą głosy, które teraz stały się na tyle wyraźne, że można było rozróżnić wśród nich pojedyncze wyrazy. Widok, jaki ukazał się jego oczom, zupełnie go zaskoczył. Komisarz schował do kieszeni trzymany w dłoni pistolet. Jego córka była bezpieczna. Siedziała wprawdzie na ławce z tajemniczym mężczyzną, który ją śledził, ale było jasne, że nic jej z jego strony nie grozi. Oboje byli tak pochłonięci rozmową, że nie zauważyli, jak z pobliskich krzaków wynurza się zwalista postać komisarza Jana Wolaka.

– A skąd pan się tu znalazł, panie Franciszku? – spytał przedwojenny policjant, kiedy doszedł już do zajmowanej przez jego córkę ławki.

Bralewski, który okazał się śledzącym Hanke mężczyznę, podniósł zdziwiony wzrok na komisarza.

– O to samo mógłbym zapytać pana – odparł, patrząc mu wyzywająco w oczy.

Wolak westchnął ciężko.

– Proszę mi wybaczyć, ale moje pytanie nie wynika jedynie z czystej kurtuazji, a jest raczej podyktowane prowadzonym przeze mnie śledztwem, dlatego nalegam, żeby pan natychmiast udzielił na nie odpowiedzi! – Głos komisarza był wyzuty z jakichkolwiek emocji. Nie było w nim słychać gniewu, złości czy zniecierpliwienia. To wszystko powodowało jednak, że brzmiał on o wiele groźniej niż wówczas, gdyby te uczucia w nim się wyczuwało.

Bralewski jednak wcale nie wyglądał na wystraszonego.

– Nie wiedziałem, że znowu pracuje pan dla organów ścigania – rzekł tylko z pozoru tonem pełnym podziwu, a w rzeczywistości podszytym ironią. – Przyznam, że to nieco zaskakujące, jeszcze niedawno władze komunistyczne ściagały pana listem gończym, a teraz pracuje pan dla nich. Doprawdy, dziwne to wszystko! Czym, jeśli oczywiście można wiedzieć, pan się zrehabilitował? – Głos Bralewskiego stawał się coraz bardziej nieprzyjemny. – Jakiego świństwa musiał się pan dopuścić, żeby władza ludowa przyjęła pana w swoje szeregi?!

Wolak wyjął z kieszeni pudełko papierosów. Nie częstując ani Hanki, ani Bralewskiego, zapalił. Zaciągnął się głęboko, lecz nie poczuł towarzyszącej temu zwykle przyjemności. Podobne pytania słyszał już w czasie wojny, kiedy to splot różnych wydarzeń sprawił, że musiał prowadzić śledztwo wspólnie z niemieckim oficerem kripo Hansem Schneiderem, który notabene był jego przedwojennym przyjacielem. Wtedy też nie brakowało ludzi uważających go za zdrajcę. Podziemna Armia Krajowa wydała nawet na niego wyrok śmierci. Komisarz ze smutkiem pomyślał, że w jakichkolwiek czasach przyszłoby mu żyć, to chyba już zawsze będzie nosić piętno zdrajcy. Splunął, odchrząknął i patrząc zimno w oczy mężczyzny, któremu wiele lat temu uwiódł żonę, powiedział:

– Nie usłyszałem odpowiedzi na pytanie. Jeżeli nie chce pan rozmawiać ze mną tutaj, to możemy przenieść się do siedziby Urzędu Bezpieczeństwa!

Bralewski mierzył go przez chwilę wzrokiem. Siedząca obok niego Hanka w milczeniu z zaciekawieniem przysłuchiwała się prowadzonej wymianie zdań, próbowała sobie odpowiedzieć na pytanie, który z tych dwóch mężczyzn jest jej bliższy. Wnioski, do jakich doszła, jej nie zadowolily. Ze smutkiem bowiem stwierdziła, iż nie jest w stanie wykrzesać z siebie nawet odrobiny pozytywnych uczuć ani do Bralewskiego, ani do Wolaka. Wystraszyła się, że już nigdy w życiu nie zaufa żadnemu mężczyźnie. Poczula się skrzywdzona przez los. Przeszedł ją dreszcz. Nie wiedziała, czy wywołało go zimno, czy nieprzyjemne myśli galopujące przez jej głowę. Podniosła się z ławki i zaczęła dookoła niej chodzić, próbując w ten sposób nieco się rozgrzać.

Tymczasem Bralewski postanowił nie prowokować komisarza. Zacerpnął powietrza i zaczął mówić spokojnym, trochę monotonnym głosem przypominającym wypowiedź ucznia, który na pamięć wyuczył się jakiegoś opowiadania i teraz relacjonuje je przed srogim obliczem profesora.

– Gdy dowiedziałem się o śmierci mojej starszej córki, nie umiałem sobie znaleźć miejsca. Nie chciałem wracać do naszego nowego lokum, które bardziej przypomina norę niż mieszkanie. Bałem się, że po tym, co się stało, nie potrafię spojrzeć w oczy mojej żonie i młodszej córce. Kiedy przed kilkoma dniami pod ich nieobecność opuszczałem kamienicę, chciałem ze sobą skończyć, miałem dość takiego życia. – Bralewski

zamilkł. Mało przytomnym, szklistym i jakby nieobecnym spojrzeniem powiódł po Wolaku i Hance, którzy obawiali się, że za chwilę mężczyzna zanieśie się wzburzającym w nim szlochem. Na szczęście tak się nie stało, pan Franciszek zmobilizował resztki sił i kontynuował swoją opowieść: – Niestety, jak to często w takich sytuacjach bywa, najzwyczajniej w świecie zabrakło mi odwagi. Snułem się po mieście, a wszystko, co mnie otaczało, wydawało mi się nie życiem, lecz co najwyżej snem wariata. Wieczorami zachodziłem pod naszą kamienicę. Z jakąś dziwną tęsknotą patrzyłem w okna zajmowanego przez moich najbliższych mieszkania, ale nie potrafiłem zebrać się w sobie i wejść do środka. Czekałem tylko, aż zgaśnie w nich światło, i odchodziłem przespać się w schronisku dla bezdomnych. Paradoksalnie przełomem okazała się dla mnie wiadomość o śmierci Natalki.

Hanka spojrzała ze zdziwieniem na człowieka, którego przez większą część swojego życia uważała za tatę. W tej chwili czuła do niego jedynie litość. Nic więcej. On z kolei nie wiedział, że nie jest jej ojcem, i to było najgorsze. Powodowało, że litość oraz współczucie w sercu dziewczyny jeszcze przybierały na sile.

– Zrozumiałem wówczas, że została mi tylko moja ukochana Haneczka i muszę ją ochronić.

– Przed czym? – spytał coraz bardziej zniecierpliwiony Wolak.

Bralewski podniósł na niego wzrok. Komisarz przypomniał sobie, że w swoim życiu niejedną raz widział już w oczach ludzi to, co teraz dostrzegł u Bralewskiego. Był to obłąd. Na razie jeszcze nie szaleństwo, ale z całą pewnością dobrze już rozwinięta choroba psychiczna.

– Jak to przed czym? – spytał pan Franciszek, którego wygląd w bladym świetle księżyca doskonale pasował do wyobrażeń komisarza o stanie jego psychiki. – Przed mordercą! Było dla mnie zupełnie oczywiste, że ten człowiek ponownie uderzy w moją rodzinę! Dlatego właśnie zmieniłem decyzję.

– Jaką decyzję? – spytał komisarz, chcąc ponaglić Bralewskiego, który robił coraz częstsze i dłuższe pauzy w swoich wypowiedziach.

– Postanowiłem, że nie odbiorę sobie życia! Zrozumiałem, że muszę żyć, żeby chronić Haneczkę przed tym złym człowiekiem!

Wolak już się domyślał reszty, chciał jednak mieć zupełną pewność, dlatego musiał cierpliwie wysłuchać do końca historii, jaką zaserwował mu

ten na pół obłąkany mężczyzna z arystokratycznej rodziny, której władza ludowa odebrała nie tylko bogactwo, ale i resztki godności.

– Od tej pory na każdym kroku towarzyszyłem ukochanej córeczce. Ona mnie nie widziała, ale ja nie spuszczałem jej z oczu. Nie chciałem, żeby morderca wiedział, że ją śledzę, dlatego starałem się robić to w jak najmniej przykuwający uwagę sposób.

Komisarz roześmiał się w duchu. Jakkolwiek by na to spojrzeć, zarówno on, jak i ten przedwcześnie posiwiwały wariat wpadli na bardzo podobny pomysł. I jak tu rozstrzygnąć, który z nich jest bardziej szalony?

– I w ten właśnie sposób znalazłem się tutaj – zakończył swoją opowieść Bralewski.

Wolak spojrzał pytająco na Hankę. Chciał się upewnić, że dziewczyna potwierdza wersję Franciszka.

Jego córka delikatnie skinęła głową.

Wolak tknięty nagle pewną myślą przeniósł spojrzenie na Bralewskiego.

– Skąd ma pan pewność, że morderca ponownie uderzy w pańską rodzinę?

– Jak to skąd? – Pan Franciszek przejawiał dziwną tendencję do odpowiadania pytaniem na pytanie. – Przecież ten człowiek wiele lat temu próbował mnie otruć!

Wolak nie wierzył w to, co przed chwilą usłyszał. Jego twarz, do tej pory zupełnie beznamietna, wyrażała teraz bezgraniczne zdumienie.

– Wie pan, kim jest morderca?

Jednak ku rozczarowaniu komisarza Bralewski pokręcił przecząco głową. W sumie nie było się czemu dziwić. To wszystko okazałoby się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe – pomyślał Wolak. Rozwiązania takich spraw nigdy nie przychodzą tak łatwo.

Chwilę później komisarz musiał gruntownie zweryfikować tę opinię.

– Nie wiem, kto jest mordercą, jedynie się domyślam, że może nim być człowiek, z którym przed wojną moja żona miała romans.

Wolak pobladł. Nie miał pewności, czyje nazwisko za chwilę padnie z ust szalonego Franciszka.

– Uważam, że jest nim Romuald Zych, mój koniuszy!

Komisarz wolno wypuścić przytrzymywane w płucach powietrze.

51.

Wszystko coraz bardziej się gmatwało. Pojawiało się więcej pytań niż odpowiedzi. Przekłęte śledztwo, którego nie udało się zamknąć przed wojną, teraz było jeszcze trudniejsze do zakończenia.

Wolak spacerował po odprowadzeniu do domu swojej córki oraz Franciszka Bralewskiego, którego udało mu się w końcu przekonać do tego, żeby wraz z Hanką powrócił do przydzielonego im przez państwo lokum. Nic lepiej nie rozjaśniało umysłu komisarza jak świeże powietrze, jakim mógł się delektować w czasie przechadzki. Po tym, co usłyszał w parku, postanowił jechać na wieś, by dołączyć do Wiewióra. Wydawało mu się, że tam może znaleźć odpowiedzi na dręczące go pytania. Nie do końca jednak podobała mu się perspektywa wyjazdu. Bał się zostawić tutaj córkę bez odpowiedniej opieki, a takiej z pewnością nie zapewniłby jej Franciszek Bralewski. Nie chciał też zabierać dziewczyny ze sobą, ponieważ mogłaby mu ona jedynie przeszkadzać w wykonywanych tam czynnościach. Postanowił, że jeszcze jutro z samego rana porozmawia z córką w cztery oczy, może uda mu się ją przekonać, by podczas jego ewentualnej nieobecności zachowywała się ostrożniej i po zmroku nie opuszczała mieszkania. Dopiero po tej rozmowie podejmie ostateczną decyzję w sprawie wyjazdu.

Ulice wokół były puste. Do tej pory tylko raz minął go przejeżdżający samochód, częściej słychać było stukot podkutych końskich kopyt i terkot kół drynd, na których kozłach w półśnie siedzieli dorożkarze, wioząc w noc swoich zabłąkanych pasażerów. Po chodniku także przechodziło niewielu ludzi. Sytuacja zmieniła się dopiero, gdy komisarz zobaczył majaczący w oddali neon restauracji Europejska. Mimo dość późnej pory przed wejściem do lokalu stała grupka głośno rozmawiających osób, które zapewne czekały na przyjazd mającej zawieźć ich do domu dorożki. Wolakowi przemknęło przez myśl, że może dobrze byłoby wejść do

restauracji i wypić przed snem małą literatkę. Przy okazji porozmawiałby jeszcze z bladym Romanem, od którego ostatnio uzyskali tyle ciekawych informacji. Kiedy doszedł do drzwi Europejskiej, zmienił zamiar. Wpływ na to miał fakt, że wśród głośno rozmawiających osób zobaczył znajomą twarz. Człowiek ten otoczony przez innych wymachiwał pięścią w stronę restauracyjnych drzwi i krzyczał głośno różnego rodzaju inwektywy pod adresem właściciela przybytku, gdzie sam jeszcze nie tak dawno pracował. Błada twarz piniacza żywo kontrastowała z zaczerwienionymi od alkoholu facjatami mężczyzn, którzy z zaciekawieniem mu się przysłuchiwali.

– ...a najgorszy z nich wszystkich jest ober! – podniosłym głosem przemawiał Roman. – Na kolanach go prosiłem, żeby dał mi jeszcze jedną szansę i nie zwalniał z roboty, a on powiedział mi, że dla takich jak ja nie ma u nich miejsca! I miał rację! – krzyknął ku zdziwieniu słuchaczy bezrobotny kelner. – A wiecie dlaczego?!

Otoczający go pokręcili głowami, czekając, czym zaskoczy ich podпиты i rozżalony utratą posady młody człowiek.

– Bo za uczciwy byłem do tej pracy!

Wolak, słysząc te słowa, uśmiechnął się pod nosem. Zauważył, że podobną reakcję wywołały one także u pozostałych słuchaczy, którzy awanturującego się Romana traktowali jako swoistą rozrywkę, umilającą im czas oczekiwania na przyjazd dryndy.

– Tam wszyscy kradną! – kontynuował Roman. – A najwięcej ta szuja ober! Kucharze nie doważali kotletów, kelnerzy rozcieńczają wodą alkohol, na zmywaku pracują kobiety, które nie mają pojęcia, czym jest czystość!

Chłopak przerwał swój wywód. Z kieszeni wyciągnął niewielkich rozmiarów butelkę i pociągnął z niej solidny łyk.

– Przepraszam, ale musiałem się wzmocnić – rzekł, jakby otaczająca go gawiedź oczekiwała od niego jakichkolwiek wyjaśnień, po czym podniósł palce i znowu niczym w natchnieniu zaczął przemawiać: – Ja jeden w tym przybytku kłamstwa byłem uczciwy, dlatego wyrzucono mnie na bruk!

Komisarz spojrział ponad gromadą ludzi stojących wokół bladego Romana. W oddali ujrzał nadjeżdżający samochód. Nie byłoby w tym nic niepokojącego, gdyby nie to, że ów pojazd miał na dachu zamontowany kogut, który teraz zalewał ulicę niebieską poświatą. Wolak miał jeszcze do

załatwienia z byłym kelnerem pewną sprawę. Postanowił działać. Przebił się przez ciżbę ludzi i podszedł do stojącego w środku chłopaka. Ten musiał go rozpoznać, gdyż jego blade oblicze rozjaśnił uśmiech.

– Moje szanowanie! – przywitał chwytającego go pod ramię Wolaka. – A gdzie pan zgubił swojego beznogiego kolegę?

– Czeka na pana! – odparł bez namysłu komisarz. – Proszę ze mną, to zaprowadzę do niego!

Kelner nie potrafił ukryć radości. Perspektywa kolejnego spotkania z Wiewiorem była dla niego jednoznaczna z możliwością kontynuowania upojnej nocy, co pozwoliłoby choć na chwilę zapomnieć o kłopotach związanych z utratą pracy.

– Królu złoty, prowadź mnie do mego przyjaciela! – rozdarł się na całe gardło.

– Chodźmy! – Wolak razem z pijanym mężczyzną przedarł się przez otaczający ich tłum. Kiedy zdążyli ująć kilka metrów, odwrócił się i zobaczył, że przy chodniku zatrzymał się milicyjny samochód. Na szczęście po ich odejściu wielu ludzi również zaczęło się rozchodzić w różne strony i zdezorientowani funkcjonariusze nie potrafili dostrzec poszukiwanego przez nich Romana.

Sprawca całego zamieszania, nieświadom niczego, szedł podtrzymywany w żelaznym uścisku przez komisarza i wciąż jeszcze mamrotał pod nosem przekleństwa pod adresem swojego przełożonego.

Po kilkudziesięciu metrach ciężkiej dla Wolaka wędrówki weszli w końcu w bramę jednej z kamienic. Komisarz oparł pijanego chłopaka o ścianę. Począł, aż mu się uspokoił oddech, po czym spytał:

– Zwolnili cię?

Kelner spojrzał na niego rozmytym wzrokiem pijanego.

– Wyrzucili, ale wciąż jeszcze żyję, nie?!

Wolak wzruszył ramionami. W panujących wokół ciemnościach chłopak nie zdołał dostrzec tego lekceważącego zachowania starego policjanta.

– A dlaczego miałoby być inaczej? – spytał. – Przecież utrata pracy wcale nie musi iść w parze z utratą życia.

Kelner czknął głośno. Nienawidził męczącej go po pijanemu czkawki. Miał na nią tylko jeden wypróbowany sposób. Musiał sukę utopić. Sięgnął

ręką do kieszeni. Wyjął butelkę, ale nie zdążył jej odkręcić, ponieważ stojący naprzeciwko mężczyzna szybkim, zdecydowanym ruchem wyrwał mu ją z dłoni. Roman skrzywił się z niezadowoleniem. Już przed drzwiami restauracji zauważył, że cennego nektaru jest w butelce co najwyżej na dwa, trzy oszczędne łyki, a jeżeli teraz miałyby podzielić się nimi z Wolakiem, to tak mała porcja alkoholu nie zdołałaby na nowo tchnąć w zmęczonego Romcia na tyle sił, by mógł on w miarę normalnie funkcjonować. Chłopak czuł, jak poziom alkoholu w jego organizmie gwałtownie spada. Natychmiast trzeba było go uzupełnić. Najgorsze, że nie wiedział, co knuje ten gbur, który wyrwał mu z ręki butelkę. Roman wyprostował się, nabrał powietrza w płuca. Jego ciało, kiedy tylko straciło oparcie, jakie miało w postaci ściany, zachwiało się na moment. Kelner poświęcił kilka drogocennych sekund na walkę z grawitacją i w końcu mu się udało. Uśmiechnął się szczęśliwy niczym Napoleon pod Austerlitz i hardo patrząc w oczy Wolakowi, rzekł:

– Oddaj pan butelkę, bo jak nie to... – urwał, zastanawiając się, jakich gróźb powinien użyć, aby tak zastraszyć komisarza, żeby ten bez zbędnych dyskusji oddał mu jego własność. Kiedy już wszystko obmyślił i otwierał usta, żeby wypowiedzieć kwestię, jaką ułożył sobie w głowie, zamiast niej z jego ust wydobyło się głośnie czknięcie, które na moment zachwiało nim tak silnie, że ponownie musiał oprzeć się o ścianę. Radosny uśmiech na twarzy bezrobotnego kelnera ustąpił teraz miejsca smutkowi, jaki mógł malować się na zafrasowanym obliczu cesarza Francuzów po skończonej bitwie narodów pod Lipskiem.

– Zaraz dostaniesz swoją butelkę – rzekł przypatrujący mu się komisarz – a nawet dorzucę ci parę złotych, byś mógł sobie co nieco dokupić na rano, ale najpierw musisz mi odpowiedzieć na kilka pytań.

– Pytaj, o co tylko chcesz, królu złoty! – Słowa komisarza przywróciły Romanowi nadzieję.

Oto zesłany na Elbę dyktator ma szansę ponownie odzyskać władzę i w blasku chwały powrócić do Paryża. Nie wie tylko, że wszystko potrwa raptem sto dni i zakończy się klęską pod Waterloo. Wolak odpędził od siebie porównania nawiązujące do najbardziej ulubionej przez niego postaci z historii świata, która niebagatelną rolę odegrała także w historii Polski.

– Dlaczego powiedziałaś, że straciłaś pracę, ale życie udało ci się uchronić? Uważasz, że coś ci zagraża?

Kelner czknał, a odgłos tego czknięcia został spotęgowany przez otaczające ich ściany kamienicznej bramy.

– To, że jeszcze żyję, zawdzięczam swojej głupocie – powiedział i roześmiał się.

Wolak odkręcił trzymaną w rękę butelkę. Kelner spowaźniał. Komisarz przechylił butelkę, jakby chciał wylać całą jej zawartość.

– Co pan robi?! – krzyknął przerażony.

Komisarz zastygł w bezruchu.

– Albo zaczniesz odpowiadać na moje pytania, albo to wyleję i wtedy będziesz musiał chłęptać wodę z ziemi! A później odprowadzę cię na posterunek, gdzie spędzisz noc pełną najgorszych zwidów, kiedy alkohol zacznie cię opuszczać, a nie znajdzie się nikt, żeby poratować cię chociaż kroplą tego, co mogłoby ci wówczas pomóc. Nad ranem pojawię się ja i gdy cały będziesz dygotał, nie za bardzo odróżniając rzeczywistość od snu, zadam ci pytania, na które teraz nie chcesz udzielić mi odpowiedzi!

– Dobra! Będę mówił! – przerwał komisarzowi Roman. Wizja nocy spędzonej w areszcie nie za bardzo przypadła mu do gustu. Doskonale wiedział, czym są poranne lęki, na które jedynym lekarstwem jest setka mocnego samogonu albo ćwiartka monopolówki. Nie chciał przez to przechodzić, trzęsąc się na więziennych dechach.

– Czemu obawiasz się o swoje życie?

– Zaraz po waszym wyjściu z Europejskiej podeszło do mnie dwóch smutnych facetów, którzy siedzieli w drugim końcu sali i musieli przez cały czas nas obserwować, wyciągnęli legitymacje i zabrali mnie na zaplecze.

Wolak słuchał z uwagą. Rzeczywiście przypomniał sobie, że widział tego wieczoru dwóch tajniaków siedzących przy jednym ze stolików. Nie przejął się jednak ich obecnością, ponieważ był pewien, że nie znaleźli się tam z powodu jego i Wiewióra. Oni przecież mieli już swojego tajniaka, którym był Jastrzębski. Po co więc mieliby być obserwowani jeszcze przez innych ubeków? Nagle komisarz zdał sobie sprawę z tego, na co powinien był wpaść już dużo wcześniej. Jastrzębski był funkcjonariuszem, który miał bezustannie ich obserwować i patrzeć im na ręce, ale raporty, jakie składał, oddawał Makowskiemu. Natomiast tamci dwaj musieli pracować dla kogoś innego. Nie trzeba było być geniuszem, żeby domyślić się, że ich pracodawcą był nie kto inny jak Wincenty Stasiak, któremu bardzo nie

na rękę było śledztwo prowadzone przez dwóch przedwojennych policjantów. Śledztwo w sprawie morderstwa, w które on sam był zamieszany. Wyeliminowanie ich nie wchodziło w grę, ponieważ wówczas Makowski, który najwidoczniej prowadził ze Stasiakiem jakąś tajemniczą grę, przypuszczalnie zaczęłyby podejrzewać, że szef Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego ma coś do ukrycia. A sekretarz partii nie należał do ludzi, którzy łatwo odpuszczają. Wolak dopiero teraz zdał sobie sprawę, w jak wielkie gówno wdepnął. Żałował, że dał się na to wszystko namówić. Mógł jechać na Ziemię Odzyskane i tam spróbować rozpocząć nowe życie. Teraz było już na to za późno.

– O co cię pytali?

Kelner, którego twarz była już kredowobiała i niemalże rozświetlała panujące wokół ciemności, odpowiedział słabym głosem:

– Chcieli wiedzieć, o czym z wami rozmawiałem.

– Powiedziałeś im? – zaniepokoił się Wolak.

– Gdybym to zrobił, tobym w tej chwili przed panem nie stał – odparł prawie zupełnie trzeźwo. – Powiedziałem, że życie zawdzięczam własnej głupocie, ale co innego miałem na myśli. Gdy tylko mnie zabrali na zaplecze, zrozumiałem, że będę miał nie lada kłopoty. A z doświadczenia wiem, że w takich wypadkach najlepiej nie mówić całej prawdy. Dlatego przed tymi dwoma udawałem idiotę, który dba jedynie o pełny żołądek i kieliszek. Powiedziałem im, że pytaliście mnie o to, jacy goście przychodzą do restauracji, ale niewiele się ode mnie dowiedzieliście. Z początku chyba nie bardzo mi wierzyli, ale gdy zawołali mojego przełożonego, który potwierdził, że jestem leniwym moczymordą z zadatkami na idiotę, wtedy dali mi spokój. Dlatego życie ocaliłem dzięki temu, że inni mają mnie za większego przygłupa, niż naprawdę jestem.

Wolak, przysłuchując się blademu Romanowi, utwierdził się w swojej początkowej ocenie. Nie pomylił się, uważając, że należy on do grupy tych ludzi, którzy dadzą sobie radę w każdych okolicznościach. Tymczasem kelner jakby dla uwierzytelnienia domysłów starego komisarza powiedział:

– Tak więc życie udało mi się ocalić, ale robotę, i to wcale niezgorszą, straciłem. Zaraz po wyjściu obu tajniaków ober w krótkich żołnierskich słowach kazał mi opuścić restaurację. Dzisiaj, dodawszy sobie uprzednio odwagi kilkoma kieliszeczkami, przyszedłem do niego prosić, żeby przyjął mnie z powrotem, ale cham nie chciał mnie nawet wysłuchać i od razu

wyrzucił na ulicę, gdzie szczęśliwym zbiegiem okoliczności udało mi się spotkać pana, królu złoty! I mam nadzieję, że chociaż częściowo zrekompensuje mi pan straty, jakie poniosłem przez naszą wspólną znajomość.

– Słucham??? – spytał zdziwiony komisarz.

– Niech pan nie udaje, gdyby nie znajomość z panem i z kaleką, nie przesłuchiwaliby mnie ci dwaj tajniacy, a stary nie wyrzuciłby mnie z roboty. Dlatego uważam, że jesteście mi panowie winni małą zapomogę na początek, zanim uda mi się znaleźć jakieś nowe zajęcie!

– Dobrze, już dobrze! – Komisarz machnął ręką. – Jeżeli ponownie okażesz się tak pomocny jak ostatnio, to możesz liczyć na niewielką sumkę.

– Królu złoty! – krzyknął uradowany Roman, w którego na nowo zaczęło wstępować życie. – Od początku wiedziałem, że jesteś człowiekiem nie tylko poczciwym, ale i wrażliwym na krzywdę takich biedaków jak ja!

Wolak rozejrzał się dookoła. Nie chciał, aby okazało się, że ktoś przysłuchuje się ich rozmowie. Jego wzrok na tyle przyzwyczał się już do ciemności, że udało mu się rozróżnić otaczające ich kształty i niczego podejrzanego wśród nich nie zauważył. Należało jednak już kończyć tę rozmowę, ponieważ wcześniej czy później zbyt głośne zachowanie podpitego kelnera ściągnie na nich czyjąś uwagę.

– Posłuchaj mnie teraz uważnie – powiedział szeptem do stojącego przed nim chłopaka. – Musisz raz jeszcze przypomnieć sobie tamten wieczór, kiedy wszedłeś do pokoju i ukryłeś się za zasłoną...

Komisarz z zadowoleniem spostrzegł, że twarz kelnera tężeje, co świadczyło o jego pełnej koncentracji. Roman był bowiem zwierzęciem o bardzo silnie rozwiniętym instynkcie samozachowawczym i zdawał sobie sprawę, że od tego, czy jego odpowiedź zadowoli starego komisarza, będzie zależeć wysokość kwoty, jaką ten mu ofiaruje.

– ...czy po wyjściu z pokoju mordercy podszedłeś do łóżka, na którym leżała zamordowana?

– Po co?

– Żeby upewnić się, że naprawdę nie żyje.

– Nie musiałem, ta kobieta miała wbity w klatkę piersiową szpikulec do

lodu.

Wolak zamilkł. Znowu coś tu się nie zgadzało. Odtworzył w pamięci zrobione na miejscu zbrodni zdjęcia, które pokazał mu Bolesław Makowski. Jedno z nich wciąż miał w kieszeni. Wyjął je. Przyświecił zapalniczką i przez chwilę bacznie mu się przyglądał. Już wiedział, co jest nie tak.

– Chcesz mi powiedzieć, że zamordowana leżała na plecach?

Kelner kiwnął głową.

Komisarz podsunął mu pod nos trzymane w dłoni zdjęcie.

– Spójrz na to! – powiedział, oświetlając fotografię płomieniem zapalniczki.

– O kurwa! – zaklął Roman, przypatrując się zdjęciu, na którym wyraźnie było widać wycięte na plecach krwawe serce z wpisaną w nie literą „W”. – Co to jest?!

– Podpis, jaki poszukiwany przeze mnie morderca zostawia na ciele zamordowanych kobiet – odparł Wolak. – Ale skoro Wiera leżała na plecach, kiedy wyszedłeś ze swojej kryjówki, to nie mogłeś go widzieć.

Roman oddał policjantowi zdjęcie.

– Muszę panu o czymś powiedzieć – rzekł ledwie słyszalnym głosem. – Gdy wychodziłem z pokoju, ta dziewczyna nie miała czegoś takiego na plecach.

– Co?! O czym ty mówisz?!

Roman odetchnął głęboko. Było za późno, żeby się wycofać. Musiał powiedzieć całą prawdę. W sumie przed tym człowiekiem nie miał się czego obawiać. Być może nawet jego szczerość zostanie doceniona i nagrodzona.

– Kiedy morderca wyszedł z pokoju, odczekałem jeszcze kilka minut, po czym opuściłem kryjówkę. Początkowo chciałem jak najszybciej uciec z tego przeklętego miejsca, bo bałem się, że ktoś wejdzie i wtedy uzna, że to ja zabiłem. Jednak przechodząc koło łóżka, zauważyłem, że spod ciała kobiety wystaje pasek od jej torebki, którą przygniotła. Pokusa okazała się silniejsza. Szybko odsunąłem dziewczynę na bok, przekręcając tym samym jej ciało na brzuch i otworzyłem torebkę. Z portfela wyjąłem dwieście złotych, które zabrałem, uznając je za rekompensatę za ten pełen mocnych wrażeń wieczór, i dopiero wtedy wymknąłem się na korytarz.

Komisarza wcale nie zdziwiło zachowanie kelnera, przypomniał mu bohatera jednej z nowel Stefana Żeromskiego, w której śmiertelnie rannego powstańca okrada pozbawiony jakichkolwiek skrupułów chłop szakał.

– Jesteś pewien, że na plecach dziewczyny nie było żadnych ran? – upewnił się komisarz.

– Na sto procent – odparł z pełnym przekonaniem kelner szakał.

Wolak oparł się ciężko o ścianę. Wiedział już, że z samego rana, nie bacząc na nic, będzie musiał pojechać na wieś, aby niezwłocznie odnaleźć swój dawny oddział, którym dowodził Ryś i przesłuchać odbitego przez partyzanta Nikodema Morawskiego. Musiał się dowiedzieć, kto jeszcze był w hotelowym pokoju, zanim wtargnęła tam milicja. Kto i w jakim celu na plecach zamordowanej Wiery Sonikówny wyrysował krwawe serce z wpisanym w nie inicjałem jego nazwiska?

Andrzej słyszał o V Wileńskiej Brygadzie AK dowodzonej przez osławionego majora Zygmunta Szendzielarza. Jego marzeniem było stworzenie podobnej organizacji działającej na terenach centralnej Polski. Zdawał sobie sprawę, że w obecnej sytuacji, kiedy komuniści umacniają swoją władzę, trudno będzie utworzyć chociaż niewielki oddział. Swoją poprzednią grupę rozwiązał, gdyż nie wszystkim ufał, a poza tym dochodziły go słuchy, że coraz więcej chłopaków ma już dość wojowania, chcą założyć rodziny i spróbować jakoś żyć w powojennej rzeczywistości. Krótko mówiąc, coraz mniej partyzantów wierzyło w to, że wybuchnie nowy międzynarodowy konflikt, w którym udałoby się pokonać komunistów okupujących Polskę i inne kraje Europy Środkowej. Andrzej też już w to nie wierzył. Jego celem stało się teraz zabicie jak najwięcej czerwonych, których całym sercem nienawidził. Na te potrzeby wystarczała mu jego niewielka, okrojona teraz do pięciu ludzi grupa. Takiej grupie dużo łatwiej przemieszczać się oraz zorganizować zaprowiantowanie. Nowa lotna brygada Rysia już zdobywała sławę. Komuniści słyszeli o brawurowym odbiciu skazanych na karę śmierci więźniów, które Ryś zorganizował, i bali się, żeby podobne akcje się nie powtórzyły. Dlatego zaangażowali ogromne siły żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego oraz wielu szpicli, których zadaniem było wytropienie Rysia i jego ludzi. Andrzej dobrze zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę i bynajmniej nie czuł z powodu całej tej nagonki strachu. Dla niego życie przestało mieć jakąkolwiek wartość, dlatego nie bał się śmierci. Wiedział, że żywy nie odda się w ręce wroga. Postanowił, że w sytuacji bez wyjścia ostatnią kulę zostawi dla siebie albo będąc otoczony przez wrogów, rozerwie się granatem, zabierając ze sobą na tamten świat jak najwięcej czerwonego ścierwa. Podobnie myśleli jego ludzie. Wspólnie tworzyli grupę, która już niebawem mogła zyskać dużo

większy rozgłos niż lotna Brygada Śmierci dowodzona przez Łupaszkę, a Andrzej miał szansę stać się wrogiem numer jeden w komunistycznej Polsce.

Pierścień komunistycznej oblawy zacieśniał się, zwłaszcza od dnia, kiedy odbili Jurka i tego drugiego, którego na razie z braku lepszego pomysłu ciągnęli ze sobą. Od jakiegoś czasu odpoczywali w pobliżu swojego dawnego obozowiska. Do starej leśniczówki, w której spędzili poprzedni rok, mieli nie więcej niż cztery kilometry. Rysia w jakiś niewytłumaczalny sposób ciągnęło do miejsc, które dobrze znał i które przypominały mu o czasach, gdy miał przy swym boku dziewczynę bliską jego sercu. Wspomnienie Basi wciąż było bolesną zadrą w sercu młodego partyzanta. Nie potrafił sobie w żaden logiczny sposób wytłumaczyć tego, że zdradziła go z oficerem Urzędu Bezpieczeństwa. Każdej nocy, zanim zasnął, długo męczyły go koszmary, w których pod zamkniętymi powiekami widział Basię w ramionach Edwarda Jastrzębskiego. Budził się nad ranem cały mokry i zmęczony dużo bardziej niż przed zaśnięciem. Przebudzenie nie oznaczało wcale, że koszmar się skończył. Rysia przez resztę dnia prześladowały senne wizje, przed oczami wciąż miał obraz Basi Brodzkiej i jej komunistycznego kochanka. Wszystko to sprawiało, że z jeszcze większą bezwzględnością zwalczał przedstawicieli władzy ludowej. Był głuchy na jakiegokolwiek prośby i wołania o litość. W twarzy każdego mordowanego komunisty widział tak mocno znienawidzone oblicze Jastrzębskiego. Krąg oblawy zaczął zaciskać się wokół Rysia i jego bandy. On jednak nic sobie z tego nie robił. Śmierć i tak była mu pisana. Czasami wręcz ją prowokował, zachowywał się tak, jakby sam pchał się w jej łapy. Ona jednak wciąż go omijała. Partyzant czuł ciągły głód zabijania. Towarzyszący mu ludzie z każdym dniem bali się go coraz bardziej. Nie mogli go jednak zostawić, ponieważ na każdym z nich ciążył wyrok śmierci, a ich twarze aż nadto dobrze były znane komunistycznym siepaczom. Za ich głowy wyznaczono wysokie nagrody pieniężne i nie brakowało takich, którzy chętnie zgarnęliby te pieniądze w zamian za wydanie kogokolwiek z grupy Rysia. Ludzie z okolicznych wiosek także powoli się od nich odwracali. Nie widzieli już w nich dawnych partyzantów, lecz zaczęli o nich myśleć jak o zwykłych bandytach. Poza tym dość już mieli ciągłych strzelanin, napadów, a potem uciążliwych przesłuchań przez milicję i UB. Chłopi pragnęli zająć się w końcu tym, do czego zostali stworzeni i co robili ich przodkowie, czyli uprawianiem ziemi, a do tego potrzebowali spokoju, który każdorazowo burzyło im

pojawienie się gdzieś w pobliżu bandy Rysia.

Andrzej oczywiście zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę. Niechęć wieśniaków była zbyt widoczna, żeby jej nie dostrzegał. Niejednokrotnie się zdarzało, że długo musiał szukać wśród chłopów kogoś, kto by mu sprzedał jakikolwiek prowiant. W końcu przestał zachowywać wobec nich te pozory uprzejmości i siłą zabierał wszelkie potrzebne artykuły. Nienawiść mieszkańców wsi do dawnego partyzanta rosła z każdym dniem.

Egzystował jak w malignie. Ryzykując życie, każdego dnia szedł na skraj lasu, by przez lornetkę obserwować dom, w którym mieszkała Baśka. Nawet nie zauważył, kiedy to zachowanie stało się dla niego codziennym rytuałem. Zatracił się w tym rozpamiętywaniu przeszłości tak mocno, że przestał zachowywać środki bezpieczeństwa i kilka razy podszedł nawet pod sam dom dziewczyny. Wprawdzie zrobił to w środku nocy, kiedy oprócz kilku psów wszyscy spali kamiennym snem, mógł go jednak zobaczyć ktoś, kto na przykład wstał za potrzebą do wychodka. Ryś ryzykował życie nie tylko swoje, ale i ludzi, za których był odpowiedzialny jako dowódca. W jego oddziale jedyną osobą zachowującą trzeźwość umysłu był Jurek Brodzki, który dostrzegał, co się dzieje, i zdawał sobie sprawę, że grozi im coraz większe niebezpieczeństwo. Próbował przekonać dowódcę i pozostałych, by opuścili te tereny i zmienili miejsce obozowania. Nikt jednak nie chciał go słuchać. Wynikało to również z faktu, że ci młodzi chłopcy nie tylko byli ślepo wpatrzeni w imponującego im odwagą i brawurą Rysia, ale także z tego, że niektórzy mieli w pobliskich wsiach dziewczyny, które nocami odwiedzali. Jurek, obserwując to wszystko, kręcił tylko głową, czekając, kiedy nastąpi nieuchronny koniec. Andrzej, widząc, że on najrzadziej opuszcza teren obozu, uczynił go odpowiedzialnym za pilnowanie więźnia. W taki oto sposób Jurek Brodzki i Nikodem Morawski spędzali w swoim towarzystwie dużo czasu, co przyczyniło się do tego, że zadzierzgnęła się pomiędzy nimi jakaś swoista więź, którą trudno było nazwać. Nie była to przecież ani przyjaźń, ani nawet koleżeństwo, bo jeden był więźniem, a drugi strażnikiem. W każdym razie obaj rozumieli się bardzo dobrze i czas upływał im na paleniu papierosów i opowiadaniu historii ze swojego życia. Brodzki nie musiał za bardzo wysilać się przy pilnowaniu Morawskiego, ponieważ ten w ogóle nie miał zamiaru uciekać. Znalazł się bowiem w takiej sytuacji, że paradoksalnie najbezpieczniejszym dla niego miejscem był właśnie obóz partyzantów, w którym go przetrzymywano.

Gdyby trafił w ręce milicji, od razu wykonano by na nim zaległy wyrok śmierci. Jednak i dalsze przebywanie w oddziale „szalonego Rysia”, jak zwykł dowódcę grupy nazywać Morawski, stawało się coraz mniej bezpieczne. Więzień zauważył, że Andrzej z każdym kolejnym dniem odnosi się do niego coraz bardziej opryskliwie, zaczął więc podejrzewać, że partyzant nie do końca ma pomysł, co dalej z nim zrobić. Nikodem poprosił Jurka, by ten w sposobnej chwili podpytał dowódcę, co zamierza w jego sprawie. Brodzki posłuchał prośby towarzysza z więziennej celi, a to, czego się dowiedział, nie napawało zbyt wielkim optymizmem. Ryś w rozmowie z nim oświadczył, że nie ma potrzeby dłużej trzymać tego darmozjada i trzeba będzie go rozwalić. Brodzki próbował przekonywać Andrzeja, żeby zmienił decyzję, ale nie przyniosło to żadnego skutku. Pociuszające było jedynie, że Andrzej nic nie wspominał o terminie egzekucji, tak więc można było jedynie mieć nadzieję, że nie nastąpi ona zbyt szybko. Jerzy w owych dniach przeżywał wewnętrzny konflikt spowodowany tym, że musi być posłuszny swemu dowódcy, ale zdawał sobie sprawę, że nie jest on już tym samym człowiekiem co kiedyś i jego decyzje także nie zawsze są trafne i sprawiedliwe. Rozum podpowiadał mu, że powinien wypowiedzieć posłuszeństwo Rysiowi i opuścić jego oddział, serce jednak mówiło mu coś innego. Przecież obaj z Andrzejem byli dla siebie jak bracia i nie kto inny właśnie odbił go z rąk komunistów, którzy wieźli go na egzekucję. Takich rzeczy nie powinno się zapominać. Ale czy Andrzej to wszystko robił w imię ich przyjaźni? Czy może chciał tylko coś udowodnić dziewczynie, którą kochał, a która teraz się od niego odwróciła?

Jurek nie umiał znaleźć odpowiedzi na te pytania. Któregoś wieczoru podzielił się dręczącymi go dylematami z Nikodemem. Rozmawiali prawie do rana. W końcu Morawskiemu udało się uciszyć w Brodzkim wyrzuty sumienia powodowane lojalnością wobec dowódcy i namówić go do wspólnej ucieczki, której plan opracowali jeszcze tej nocy. Obaj doszli do wniosku, że są za młodzi, żeby umierać, a jedyne, co ich tutaj czeka, to właśnie śmierć. Postanowili udać się na Pomorze, gdzie w ostatnich miesiącach napływało dużo ludzi próbujących rozpocząć nowe życie. Urząd Bezpieczeństwa nie działał w tamtych stronach tak sprawnie jak tutaj i w tym właśnie obaj upatrywali swojej szansy. Ważkim argumentem dla Jurka okazała się informacja, że Nikodem zakopał w podwarszawskim lesie kosztowności, o których pochodzeniu nie za bardzo chciał mówić, twierdząc tylko, że zawsze traktował je jako swoje zabezpieczenie w razie

takiej właśnie sytuacji, w której obecnie się znalazł. Brodzki nie zadawał dodatkowych pytań, widząc, że i tak nie uzyska na nie odpowiedzi. Złoto Morawskiego miało im posłużyć do opłacenia szwedzkich marynarzy zawijających do portu w Świnoujściu, by z ich pomocą przedostać się do któregoś z krajów skandynawskich.

O tym wszystkim nie miał zielonego pojęcia Ryś, dla którego w tych dniach jedynym celem było zabicie tego, kto sprawił, że jego życie straciło wszelki sens. Andrzej poprzysiągł sobie, że nie opuści tych terenów, dopóki nie zostawi tu truchła oficera UB, Edwarda Jastrzębskiego. Dlatego też wiadomość przekazana mu pewnego ciepłego popołudnia przez spacerującego po lesie chłopca niezmiernie go ucieszyła. Z ust dwunastolatka dowiedział się, że we dworze Bralewskich znowu pojawił się tak znienawidzony przez niego młody oficer UB, który uwiódł mu narzeczoną. Andrzej pomyślał, że sam Bóg nagradza jego cierpliwość i sprawia, że Jastrzębski poniekąd wpada w jego ręce. Oto nadchodzi czas ostatecznej rozgrywki – pomyślał z zadowoleniem Ryś. Należało jeszcze obmyślić plan działania. Przecież nie uda mu się z garstką ludzi wdrzeć do dobrze strzeżonego dworu, zastrzelić oficera i uciec. Andrzej zdawał sobie sprawę, że czeka go teraz czas wytężonej pracy. Cieszył się, bo nareszcie jego życie zaczęło wracać na odpowiednie tory. Kto wie, może Baśka, kiedy dowie się, że ten komunistyczny zdrajca jest martwy, wróci do mnie i uda nam się wszystko odbudować? – pomyślał.

53.

Wolak zatrzymał się przy wiejskiej nieutwardzonej drodze z obu stron otoczonej gęstym lasem. Kilkanaście metrów przed nim stała stara kapliczka pobudowana w miejsce drewnianego krzyża, który został tutaj postawiony w 1873 roku dla upamiętnienia poległych powstańców styczniowych. Stary krzyż spróchniał, dlatego mieszkańcy okolicznych wsi opłacili murarzy, którzy w jego miejsce wznieśli dużo trwalszą kapliczkę z figurą Matki Boskiej. Stary komisarz zaciągnął się papierosem i patrząc na gęste lasy, wyobrażał sobie, jak w 1863 roku małe grupki słabo uzbrojonych powstańców atakowały zniemacka dużo liczniejsze i lepiej wyposażone oddziały carskich żołnierzy.

Przyglądając się przydrożnej kapliczce, którą w tej chwili otaczała grupka wiejskich kobiet śpiewających litanie loretańską, był pewien, że i teraz jego ojczyźnie uda się zerwać kajdany, jakie założył jej Stalin.

Komisarz przyjechał właśnie z Warszawy i zmierzał w stronę dworku Bralewskich, na chwilę tylko zatrzymał się w cieniu drzew, by spokojnie wypalić papierosa i posłuchać śpiewu modlitw. Patrząc na skupione wokół kapliczki kobiety, przypominał sobie dzieciństwo, kiedy to matka wraz z babką zabierały go na popołudniowe majówki pod podobną do tej kapliczkę. Dzieciak jednak, tak jak jego rówieśnicy, nie przejawiał większego zainteresowania modlitwą, dlatego biegał wokół razem ze swoimi umorusanymi kolegami i starającymi się ładnie wyglądać koleżankami, które mimo że całe stopy miały brudne, to uchodziły w oczach chłopaków za najwytworniejsze księżniczki. Tamten sielski czas odszedł bezpowrotnie, niekiedy tylko powracał do starego komisarza we wspomnieniach. W takich chwilach przypominał mu się jeden z krótkich wierszy, jakich w młodości nauczył go ojciec, zanim poszedł na wielką wojnę w 1914, by już nigdy z niej nie powrócić:

*Polaty się łzy me czyste, rześiste
Na me dzieciństwo sielskie, anielskie,
Na moją młodość górną i durną,
Na mój wiek męski, wiek klęski;
Polaty się łzy me czyste, rześiste...*

Zamiłowanie do twórczości romantycznych wieszczów było typowe dla pokolenia Jana Wolaka, dlatego z tym większym strachem patrzył na to, co dzieje się w literaturze po zapoczątkowanej przez prezydenta Bolesława Bieruta „rewolucji kulturalnej”. Cała ta pseudotwórczość w ogóle do niego nie przemawiała. Cieszył się, iż jest człowiekiem na tyle ukształtowanym, że władzy nie uda się zrobić mu wody z mózgu.

Obcasem zdeptał rzucony na ziemię niedopałek i wolnym krokiem ruszył w stronę wiejskich zabudowań. Kiedy mijał kapliczkę, uniósł kapelusz i lekko się uklonił. Wbrew pozorom nie kłaniał się siedzącym tam kobietom, spomiędzy których kilka znał, ale wykonany przez niego gest przeznaczony był dla tej, dla której spośród wszystkich polskich pól i lasów płynęła w maju głośna pieśń:

*Chwalcie łąki umajone
góry, doliny zielone
chwalcie cieniste gaiki
źródła i kręte strumyki...*

Wolak uświadomił sobie, że ten świat się nie zmienia. On trwa wiecznie, bez względu na to, w jakiej sytuacji politycznej znajduje się Polska. Po zimie nadchodzi wiosna, po niej lato, potem zima i żaden dyktator nie może tego zmienić. Nikt też nie jest w stanie zamknąć ust zgromadzonym przy kapliczce kobietom. Nie ma również takiej siły, która potrafiłaby wyrwać z serca komisarza noszone tam strofy wielkich poetów.

54.

Starszy sierżant Krzysztof Warchlewski miał już serdecznie dość panoszenia się we dworze tego paniczyka z Warszawy. Od chwili, kiedy przyjechał tu wraz z poruszającym się na wózku kaleką, sierżant bezustannie musiał się powstrzymywać, żeby nie wybuchnąć i nie powiedzieć czegoś, co pogorszyłoby i tak już kiepskie relacje pomiędzy nim a Jastrzębskim. Warchlewski nie mógł znieść, że oficer ze stolicy za wszelką cenę chce wydobyć od niego informacje dotyczące postępów w tropieniu bandy Rysia. Pytany o cokolwiek w tej sprawie zasłaniał się tajemnicą wojskową, twierdząc, że bezpośredni przełożeni zabronili mu z kimkolwiek na ten temat rozmawiać. Jastrzęb próbował go nastraszyć konsekwencjami, jakie może ponieść za to, że nie chce współpracować z przedstawicielem Urzędu Bezpieczeństwa. Sierżant odpowiadał wówczas, że nie podlega UB, a może wykonywać rozkazy tylko swoich generałów.

Kłótnie pomiędzy nimi miały także źródło we wzajemnej niechęci, jaką się darzyli. Warchlewski był prostym, niewykształconym żołnierzem, który wszystko zawdzięczał swojej ciężkiej pracy i wiernej służbie w 1 Dywizji Piechoty imienia Tadeusza Kościuszki, która później przekształciła się w Armię Berlinga. To właśnie dzięki odwadze i ślepemu wykonywaniu rozkazów ten chłopak z wielodzietnej wiejskiej rodziny został starszym sierżantem, któremu ze względu na zasługi przydzielono zaszczytną funkcję dowodzenia małym oddziałem żołnierzy Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego stacjonującego w dworku należącym wcześniej do przedstawicieli burżuazyjnej Polski.

Warchlewski, chociaż nie był zbyt bystry, w lot pojął, że nadarza mu się okazja do kolejnego awansu. Być może nawet na chorążego. Wystarczyło tylko udowodnić swoim przełożonym, że wybranie go do obsadzenia tego dworu było absolutnie słuszną decyzją. A żeby to zrobić, należało schwytać

Rysia i służących pod jego dowództwem bandytów. Niestety, do tej pory ten szczwany reakcjonista wymykał się z obław i zasadzek organizowanych przez sierżanta, więc wizja awansu znacznie się oddalała. A teraz, jakby na złość, z Warszawy ponownie przyjechał ten wymuskany typ, który wciąż wypytywał go o postępy w tropieniu bandyty. Warchlewski był niemalże pewien, że Jastrzębski chce wydobyć od niego jak najwięcej informacji po to, żeby samemu schwytać Rysia i wyłącznie sobie przypisać wynikające z tego faktu zasługi. Za każdym razem, kiedy mijał się na korytarzu lub podwórzu z chodzącym rozkołysanym krokiem wysokim blondynem, jakim był oficer UB, to sierżanta krew zalewała. Często łapał się na tym, że marzy, by Jastrzębski dał się sprowokować i rozpoczął z nim bójkę. Miałby wtedy okazję pokazać mu, co on, były kościuszkowiec spod Lenino, robi z takimi ładnymi chłopczykami. Niestety, jak na złość Jastrzębski w rozmowach z nim zachowywał zimną krew, nie dając ponieść się żadnym emocjom. Uważał Warchlewskiego za chama o zbyt dużych aspiracjach, który patrząc na kadre oficerską w powojennym Wojsku Polskim, ma szansę pójść wyżej.

Sierżant stał właśnie na ganku i lekko mrużąc oczy, obserwował jadącego przez środek podwórka kalekę, kiedy podszedł do niego jeden z szeregowców, prowadząc ze sobą jakiegoś cywila.

– Obywatelu sierżancie! – Szeregowy stanął na baczność przed Warchlewskim. – Ten człowiek koniecznie chce się z wami widzieć!

Sierżant przyjrzał się przyprowadzonemu przez żołnierza mężczyźnie. Nic szczególnego go nie wyróżniało. Niewysoki, krępy, z lekko zaczerwienioną twarzą i rysującym się drugim podbródkiem, znamionującymi zamiłowanie do dobrego jedzenia suto podlewanego czymś mocniejszym, wzmagającym trawienie. Do tego wszystkiego sumiaste wąsy, które miały dodawać mu powagi, a czyniły z niego nieudaną imitację sarmackich przodków z czasów Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Małe, rozbiegane oczka wpatrywały się usłużnie we władczą sylwetkę sierżanta Warchlewskiego.

– Czemu chcieliście się ze mną widzieć, obywatelu?

– Nazywam się Marian Klepka, jestem odpowiedzialny za dopilnowanie, by okoliczni wieśniacy dostarczyli odpowiedni kontyngent produktów żywnościowych – przedstawił się mężczyzna i spoglądając znacząco na szeregowca, spytał: – Czy moglibyśmy porozmawiać na osobności?

Sierżant się uśmiechnął. Teraz dokładnie przypomniał sobie tego człowieka. Był on już u niego kilka dni temu, złożył wówczas zeznanie, w którym oskarżył przywódcę bandyckiej grupy Rysia o czynną napaść, podczas której reakcjonista naruszył jego godność osobistą, okładając go pasem po gołym tyłku na oczach okolicznej ludności. Warchlewski był ciekaw, co tym razem sprowadza do niego tego nieszczęśnika.

– Możecie odmaszerować! – powiedział do żołnierza.

Szeregowy posłusznie oddalił się w stronę bramy wjazdowej.

– Mówcie więc, z czym przychodzicie – rzekł Warchlewski, kiedy zostali sami.

Marian Klepka otarł wierzchem dłoni spocone czoło. Niespokojnie spojrzął na inwalidę rozmawiającego z wracającym od studni Markiem Brodzkim, który podczas nieobecności koniuszego wykonywał jego obowiązki.

– Przychodzę do was, obywatelu sierżancie – zaczął konfidencjonalnie urzędnik – ponieważ mam informacje, które mogą was zainteresować.

Warchlewski beknął głośno. Chwilę potem twarz jego rozmówcy owionął zapach podsmażonej wraz z cebulą kielbasy, która zdominowała dzisiejszy obiad sierżanta. Mężczyzna jednak, zamiast się skrzywić z niesmakiem i odsunąć nieco w tył, oblizął z apetytem wargi. Sam również przepadał za takim prostym, niewyszukanym jadłem, którego podstawową część stanowi tłusta wiejska kielbasa.

– Mówcie śmiało! – ponaglił Klepkę sierżant.

Klepka podszedł jeszcze bliżej do swego rozmówcy. Wyczulony nos sierżanta momentalnie zwietrzył zapach alkoholu dochodzący z ust rozmówcy.

– Wracam właśnie z karczmy – rzekł mężczyzna jakby na potwierdzenie przypuszczeń sierżanta Warchlewskiego. – Jadam tam zwykle obiad, a potem razem z moim starozakonnym przyjacielem wychyłam kieliszek lub dwa dla lepszego samopoczucia...

– Obywatelu Klepka! Jeżeli myślicie, że interesują mnie wasze kulinarne zwyczaje, to pragnę oznajmić, że się mylicie! Tak więc mówcie od razu, z czym przychodzicie, albo zabierajcie dupę w troki i wracajcie do swoich obowiązków, bo państwo nie płaci wam chyba za to, żebyście w służbowym czasie pili gorzałę z Żydem, a potem przychodzili uciąć sobie pogawędkę ze mną, mam rację czy nie?!

Klepka wyprostował się gwałtownie, po czym cofnął dwa kroki i stojąc przed sierżantem na baczność, przemówił rzeczowym, żołnierskim tonem:

– Macie rację, obywatelu sierzancie! Wysłuchajcie mnie jednak do końca, a zrozumiecie, że nawet przez sekundę nie marnowałem służbowego czasu na głupoty!

Warchlewski spojrział na zegarek, który w styczniu 1945 roku wygrał w karty od jednego z czerwonoarmistów. Wskazówki pokazywały, że jest kwadrans po drugiej. Sierżant westchnął ciężko. Zamierzał uciąć sobie poobiednią drzemkę, dlatego nie był rad z wizyty Mariana Klepki. Jeżeli okaże się, że czas, jaki mu poświęcił, jest stracony, to będzie musiał sobie to w jakiś sposób na nim powetować.

– Otóż, jak już wcześniej wspomniałem – kontynuował Klepka niezrażony okazywanym mu zniecierpliwieniem – przy każdej nadarzającej się okazji mam zwyczaj wypijać z karczmarzem kieliszeczek koszernej wódeczki, za którą oczywiście ja płacę. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że robię to jedynie dla przyjemności. Co to, to nie! Ktoś inny może sobie pomyśleć, że głupi jestem, stawiając Żydowi alkohol, ale ja wiem, że mi się to opłaca. Kto jak nie karczmarz ma najwięcej informacji na temat mieszkających w okolicy mężczyzn, he? Kto jest powiernikiem zawsze cierpliwie wszystkich wysłuchującym, no?

Warchlewski ziewnął przeciągle.

– Bez wątpienia macie rację, ale zapominacie, że równie dużo może wiedzieć jeszcze fryzjer albo ksiądz.

Klepka uśmiechnął się chytrze.

– Wcale nie zapominam, z nimi też zdarza mi się napić i co nieco dowiedzieć. Wprawdzie najmniej gadatliwy z nich wszystkich jest ksiądz dobrodziej, ale i z nim woda rozmowna czyni cuda...

– Do sedna! – krzyknął sierżant tak głośno, że znajdujący się na środku podwórza Wiewiór i Marek Brodzki równocześnie odwrócili się w jego kierunku.

– Żyd zdradził mi, że był u niego jeden z bandytów Rysia i wypytywał, jak często do karczmy zagląda wojsko lub milicja.

Warchlewski nagle przestał się nudzić i zaczął z większym zainteresowaniem przysłuchiwać się słowom Klepki.

– Karczmarz zgodnie z prawdą odpowiedział, że wojsko stołuje się we

dworze i w ogóle nie przychodzi do karczmy, podobnie zresztą jak funkcjonariusze milicji. Wówczas bandyta zapytał, kiedy Żyd będzie miał na obiad schabowe i młodą kapustę, bo on i jego przyjaciele mają na coś takiego wielką chętkę. Karczmarz rzekł, że kiedy tylko by chcieli, to on im to przygotowuje. Wystarczy jedynie dzień wcześniej dać znać. Bandyta odparł mu, że w takim razie przyjdzie wraz z kolegami jutro. Cwany Żyd spytał, dla ilu osób ma szykować jedzenia, a tamten odparł, że dla sześciu chłopów.

Klepka zamilkł. Sierżant wciąż jeszcze był pod wrażeniem tego, co przed chwilą usłyszał. Nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Jeżeli to wszystko okaże się prawdą, to być może już jutro dostanie w swoje ręce „Rysia”, a wraz z jego schwytaniem awans ma pewny. Należało sprawnie zaplanować obławę, tak żeby żaden z bandytów się nie wymknął. Spojrzał czujnie na stojącego przed nim mężczyznę.

– Komuś jeszcze o tym mówiłeś?!

Klepka pokręcił głową.

Sierżant cieszył się, że tylko on słyszał tę informację i teraz chciał zrobić wszystko, by nie dotarła ona do uszu Jastrzębskiego, który z pewnością pragnąłby zaraz przejąć dowodzenie nad akcją i sobie przypisać cały sukces.

– Nie mówcie już o tym nikomu więcej, a obiecuję, że jeżeli tylko schwytamy tego groźnego bandytę, to nie ominie was nagroda.

– Jeżeli mógłbym mieć pewną prośbę – zaczął nieśmiało Klepka.

Sierżant spojrzał na niego. Teraz już najchętniej by się go pozbył, gdyż chciał jak najprędzej udać się do swego pokoju, żeby razem z zaufanym pomocnikiem ułożyć plan działania. Nie mógł jednak zrazić go do siebie, bo wtedy, kto wie, Klepka być może udałby się do kogo innego, żeby mu przekazać te rewelacje. Może poszedłby do Jastrzębskiego? Albo tego idioty Hrabskiego lub Kowalika. Warchlewski już nie bardzo wiedział, który z nich jest teraz komendantem posterunku.

– Mówcie, jaką macie prośbę – rzekł sierżant, starając się nadać swojemu głosowi w miarę przyjemne brzmienie.

Marian Klepka cały oblał się rumieńcem. Wziął głęboki oddech, po czym nie patrząc sierżantowi w oczy, powiedział:

– Jeżeli udałoby się tego bandytę Rysia schwytać żywcem, to chciałbym, żeby mi sierżant pozwolił zemścić się na nim za moją krzywdę.

– Zemścić? Jak?

– Chciałbym go tak pasem po gołej dupie, najlepiej jeszcze, żeby wszyscy widzieli, że Marian Klepka nigdy czegoś takiego nie daruje!

– Oczywiście – odparł zdumiony tą prośbą sierżant, który w tej chwili byłby w stanie obiecać Marianowi Klepce wszystko, byle tylko dał mu już spokój i poszedł sobie, nikomu nic nie mówiąc. – Postaram się spełnić waszą prośbę, obywatelu!

Marian Klepka z radością uścisnął dłoń sierżanta.

– Pozwolicie teraz – Warchlewski powstrzymał grymas obrzydzenia wywołany ściskaniem oślizgłej od potu ręki Mariana Klepki – że się z wami pożegnam, ponieważ, jak się pewnie domyślicie, czeka mnie dużo pracy.

– Rozumiem, rozumiem... – powtarzał zadowolony z siebie Klepka.

55.

Romuald Zych spał twardym pijackim snem. Leżał w stajni w towarzystwie ukochanych koni. Nieraz zastanawiał się nad swoim życiem i szybko dochodził do wniosku, że szczęście nigdy mu nie sprzyjało. Był dobrze zapowiadającym się dżokejem i wtedy zobaczył kobietę, w której bez pamięci się zakochał. Chcąc jej zaimponować, próbował wygrać gonitwę, co doprowadziło go do wypadku i w konsekwencji jego kariera definitywnie się skończyła. Był wówczas jeszcze bardzo młody i mógł zacząć się realizować w innych dziedzinach, on jednak wierny podszeptom serca rzucił wszystko i wyjechał na wieś, by być przy ukochanej. Przez kolejne lata karmił swoją miłość jedynie ochłapami z pańskiego stołu. Wierny niczym pies czekał, aż pani litościwie się do niego uśmiechnie. W każdej chwili gotów uniżenie służyć, niczego nie żądając w zamian. Przez te wszystkie lata zmuszony był patrzeć, jak prawowity mąż kobiety jego serca przytula ją, obejmuje, całuje. Widząc to, za każdym razem przeżywał niewypowiedziane męki, które czasem porównywał do tego, co przechodził Prometeusz, kiedy każdego dnia sęp wydziobywał mu wątrobę. Rano podnosił ciężką od męczących snów głowę i z nową nadzieją, że uda mu się zasłużyć na uśmiech lub dobre słowo swojej pani, wychodził ze stajni, by zająć się codziennymi obowiązkami. Tak postępował przez wiele lat. W czasie okupacji, kiedy większość służby opuściła Bralewskich, on został i służył im jeszcze wierniej niż dotychczas. Na swoje barki wziął obowiązki tych, którzy odeszli z dworu. Przez ostatnie dwa lata wojny za swoją ciężką pracę nie pobierał wynagrodzenia. Jego jedyną zapłatą była miska zupy, trochę chleba i bliskość ukochanej kobiety. Ta miłość dodawała mu sił każdego dnia. Budził się i wiedział, że nagrodą za trud i znój będzie możliwość przebywania w pobliżu Jadwigi. Kiedy tylko ją widział, wszystko nabierało sensu. Nie wiedział jednak, że ta miłość jest przeklęta. Ona

powoli wysysała z niego życie. Obiecując rozkosz, dawała jedynie udramatyzowaną wersję dnia codziennego. Łudząc pięknem cielesności, karmiła iluzją wijącego się nagiego ciała, kiedy zmęczony całodzienną pracą kładł się na pachnące latem siano, a pod ciężkimi powiekami wyświetlał kolejne akty, których główną bohaterką była Jadwiga. Zmęczony, niespełniony, człowiek widmo, którego wątroba coraz częściej była kąsana przez wściekłego sępa zamkniętego w pięćdziesięcioprocentowym roztworze księżycówki. Ta miłość powoli go zabijała. Uczyniła go wyklętym, zepchnęła na margines, gdzie nie było już uczuć innych niż smutek, żal i melancholia. Wszystko to, co po jakimś czasie każe przyłożyć do skroni zimną lufę pistoletu albo przez belkę stropową podtrzymującą dach stajni przerzucić gruby powróż, na którym ciało zakołysze się w swoim ostatnim tańcu. Bo tak naprawdę tylko śmierć nigdy nie zawiedzie, nie zdradzi. Na nią zawsze można liczyć. Romuald zdał sobie z tego sprawę kilka dni po opuszczeniu przez Bralewskich dworu. Na początku jeszcze się łudził, że ta, której przez tyle lat tak wiernie służył i poświęcił wszystko, co miał, odwiedzi go, skreśli kilka słów i wyśle do niego, by każdego wieczoru mógł się w nie wczytywać. Mijały dni, a on nie miał od Jadwigi żadnej informacji. Wtedy zrozumiał, że to, co wydawało mu się miłością, było jedynie żerującym w jego sercu pasożytem, którego w porę się nie pozbył. A teraz było już na to za późno. Pasożyt rozrósł się niczym rak i jedyne, co można było zrobić, to unicestwić samego siebie. Koniuszy wiedział jednak, że w ten sposób nie zabije tego, co kiedyś uważał za miłość. Kiedy on już nie będzie żył, ona znajdzie sobie lokum w sercu innego nieszczęśnika, by zniszczyć mu życie. Takie oblicze miłości poznał Romuald Zych. Słyszał, że istnieją inne jej oblicza, jemu jednak trafiła się miłość wyklęta.

Romuald niespokojnie poruszył się przez sen. Jadwiga zamknięta pod jego powiekami uśmiechnęła się. Wyciągnęła w jego stronę delikatną, drobną dłoń. On natychmiast podbiegł. Przyklęknął przed nią. Nieśmiało podniósł wzrok i spojrzał na boginię. Ta lekko skinęła głową, a on złożył na jej alabastrowej skórze delikatny pocałunek. Jego nozdrza chłonęły jej zapach. Umysł podpowiadał mu, że nie jest godzien, że nie zasłużył, żeby brukać jej piękno swymi pocałunkami. Nie potrafił się jednak oprzeć. Czuł, że wystarczy tylko jedno słowo i będzie gotów spełnić jej każdą, nawet najbardziej wstydliwą fantazję. Poczował, jak druga ręka Jadwigi dotyka jego głowy, najpierw ją głaszcząc, by potem przyciągnąć do siebie. Romuald dotknął nosem aksamitnej bluzki, jaką miała na sobie kobieta. Swoimi nieco niezgrabnymi, nienawykłymi do tego palcami, zaczął

w pośpiechu rozpinać małe guziki. Kiedy już się z nimi uporał, spostrzegł, że Jadwiga nie ma na sobie stanika. Jej jędrne piersi znajdowały się teraz na wysokości jego oczu. Spojrzał na stwardniałe sutki i wysunawszy język, zaczął je wolno lizać, by po chwili zamknąć całe w spragnionych ustach. Stojąca nad nim kobieta jęknęła cicho i jeszcze mocniej przycisnęła jego głowę do swoich piersi. Był szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu. Zrozumiał, że warto było czekać, niestety chwilę później usłyszał głos człowieka, który już kiedyś stanął pomiędzy Jadwigą a nim. Nienawidził go. Cały czar momentalnie się ulotnił. Podniecenie odfrunęło niczym spłoszony nagle ptak.

– Cieszę się, że w końcu udało mi się pana znaleźć. – Tubalny głos mężczyzny dudnił mu w głowie jak wielki, brzęczący bąk zamknięty w słoiku po konfiturach. – Myślałem, że ulotnił się pan stąd już na zawsze.

Koniuszy ostrożnie podniósł ciężkie powieki, które do tej pory chroniły go przed wpadającymi do stajni ostrymi promieniami słońca. Przez jego twarz przebiegł grymas bólu. Zrozumiał, że to, czego przed chwilą doświadczył, było jedynie snem. Zaklął pod nosem, a jego prawa dłoń zanurkowała w sianie, by po chwili wyłowić stamtąd niedopitą butelkę podłej jakości samogonu śmierzącego karbidem. Wyćwiczonym ruchem odkręcił butelkę, przyłożył do ust i przez chwilę pił łapczywie. Przyglądający mu się Wolak i Wieczorek widzieli, jak grdyka koniuszego porusza się z góry na dół niczym szybkobieżna winda w Hotelu Europejskim. Zych tymczasem poczuł, jak powoli wraca do życia. Wiedział, że za dwie, najdalej trzy minuty przestaną mu drżeć dłonie, a co najważniejsze, potrafił już odróżnić jawę od snu. I tych dwóch typów, którzy pojawili się w stajni, niestety musiał zaliczyć do świata rzeczywistego. Spojrzał na nich w mało życzliwy sposób. Gdy przestało go piec w przełyku, patrząc na inwalidę, spytał:

– A ty widzę przyjechałeś tu na swoim wiernym rumaku, co?

Wieczorek się uśmiechnął. W innych okolicznościach bez wątpienia odpowiedziałby jakąś ciętą ripostą, ale teraz, przypatrując się koniuszemu, postanowił, że nie będzie kopał leżącego. Szkoda mu było tego człowieka, ponieważ dobrze wiedział, jak musi się on w tej chwili czuć. Sam przecież nie tak dawno przechodził przez to samo i dlatego dobrze rozumiał ludzi, którzy z różnych życiowych przyczyn znaleźli się na krawędzi. Do takich właśnie zaliczył koniuszego Romualda, który wciąż jeszcze wahał się, czy przekroczyć granicę między życiem a śmiercią, nie wiedząc, czy po drugiej

stronie odnajdzie upragniony spokój.

– Kiedyś, w sumie to nawet nie tak dawno – zaczął Wiewiór – myślałem, że moje dalsze życie nie ma już sensu, i wiesz co? Jechałem na swoim, jak to ująłeś, rumaku, żeby ze sobą skończyć, a wtedy ktoś lub coś na mojej drodze postawiło ludzi, którym nigdy bym nie podał ręki. Oni sprawili, że udało mi się odnaleźć mojego przedwojennego przyjaciela, z którym dane jest mi prowadzić śledztwo. Od tamtej pory każdego wieczoru dziękuję Bogu, że nie pozwolił mi ze sobą skończyć.

Koniuszy spojrzął spode łba na kalekę. Dość długo zastanawiał się nad wypowiedzianymi przez niego słowami. W końcu ciężko podniósł się z siana, otrząpął ubranie, palcami przeczesał potargane włosy i przekrwionymi oczami wpatrywał się w milczącego Wieczorka.

– Być może – zaczął chropawym głosem – i ja kiedyś będę miał szansę podziękować Bogu, na razie nie mam mu nic miłego do powiedzenia. A wy, skoro tacy z was komisarze, powiedzcie lepiej od razu, jaki macie do mnie interes, a nie zabierajcie się do tego jak prawiczek do starej kurwy!

Wiewiór cmoknął z zadowoleniem. Ucieszył się, że Romuald odzyskuje nieco pewność siebie i zamiast odgrywać przed nimi rolę opuszczonego kochanka, który swoje smutki topi w morzu alkoholu, staje się prostym, nieokrzesanym chamelem.

– Rad jestem, Romualdzie, z twojego rychłego zmartwychwstania, bo nie dość, że zerwałeś się z tego siana, jakbyśmy cię tam nakryli z jakąś młodą służącą, to w dodatku przemówiłeś do nas zrozumiałym językiem! – Wiewiór odwrócił się w stronę stojącego obok Wolaka. – Janek, wyjaśnij mu, po co przyszliśmy, bo ja znowu mogę go czymś urazić.

– Proszę odpowiedzieć nam na kilka pytań – rzekł Wolak, wyciągając z kieszeni notes i długopis. – Po pierwsze, gdzie pan przebywał przez ostatnie kilka dni, kiedy nie było pana we dworze?

Obaj śledczy uważnie wpatrywali się w nieogoloną i wymiętą jak stary banknot twarz Romualda Zycha.

– Z odpowiedzią na to pytanie – zaczął koniuszy, pocierając szczeniasty policzek – może być pewien problem...

– Dlaczego?

Zych spojrzął z rozbawieniem na obu wpatrujących się w niego mężczyzn.

– Dlatego że sam tego za dobrze nie wiem. Przez ostatnie dni byłem zalany w pestkę, w związku z czym niewiele pamiętam!

Wolak zamknął notes. Nie trzeba było wykazywać się nazbyt lotnym umysłem, żeby spostrzec, że stary komisarz wręcz gotuje się ze złości. Zmęczony po podróży z Warszawy nie zdążył nawet się przebrać i odświeżyć, przeczytał tylko raporty sporządzone przez Wiewióra i Jastrzębskiego, kiedy od noszącego koniom wodę Marka Brodzkiego Wieczorek się dowiedział, że koniuszy pojawił się w stajni. Nie zwlekając ani chwili, obaj przedwojenni policjanci przybyli we wskazane miejsce, żeby delikwenta przesłuchać. A tu jak na złość okazuje się, że Zych jest pijany i w dodatku nie bardzo chce współpracować. Tego wszystkiego było za dużo dla Wolaka, który wciąż nie mógł przestać myśleć o pozostawionej w stolicy córce i grożącym jej niebezpieczeństwie. Patrząc na koniuszego, pozbył się resztek podejrzeń co do tego, że to on może stać za serią morderstw. Wciąż jednak był w posiadaniu kilku istotnych dla śledztwa informacji.

– Słuchaj, bydlaku! – Wolak złapał Romualda za kłapy cuchnącej marynarki i przyciągnął do siebie tak blisko, że obaj mężczyźni niemalże stykali się nosami. – Gównu mnie interesują twoje osobiste problemy, gdyż sam nie mogę uwolnić się od swoich! Ale obiecuję ci, że jeżeli nie zaczniesz grzecznie odpowiadać na pytania, to kłopoty, jakie miałeś do tej pory, w porównaniu z tymi, które ja ci zafunduję, wydadzą się dziecinną igraszką! Rozumiesz?!

Wykrzykując ostatnie słowa, komisarz mocno odepchnął od siebie koniuszego, który plecami uderzył o drewnianą ścianę boksu dla koni. W stajni dało się słyszeć niespokojne rżenie rumaków i jęk bólu, jaki wydał z siebie Romuald.

– Jeździsz jeszcze konno?! – spytał Wolak wciąż postępującego mężczyznę, który zamiast odpowiedzieć, kiwnął tylko głową.

Komisarz spojrzał na spokojnie przyglądającego się wszystkiemu Wiewióra.

– Widzisz – odezwał się dużo spokojniejszym tonem – to jednak masz za co dziękować Bogu. Bo na przykład mój przyjaciel Zygmunt nigdy już nie doświadczy przyjemności, jaką daje konna przejażdżka.

Romuald wciąż nie za bardzo wiedział, do czego zmierza ten wielki, siwy policjant, który schylił się teraz po leżący na ziemi notes. Podniósł go

i schował do wewnętrznej kieszeni marynarki, po czym z umocowanej tam kabury wyciągnął pistolet. Głuchy dźwięk odbezpieczanej broni zabrzmiał wyjątkowo głośno w panującej w stajni ciszy.

– Zaraz zadam ci kolejne pytania – mówił spokojnie Wolak, mierząc z broni do bladego ze strachu koniuszego, a temu nagle zaczęło bardzo zależeć na życiu, którego tak miał dość. – Masz na nie odpowiadać, rozumiesz?

Koniuszy skinął głową i to był błąd.

W stajni rozległ się huk wystrzału. Chwilę później zarżały głośno wszystkie znajdujące się wewnątrz konie. Do tej kakofonii dźwięków dołączył krzyk trzymającego się za przestreloną dłoń koniuszego.

– Miałeś odpowiadać, a nie kiwać łbem! – powiedział Wolak, kiedy w stajni zapanowała względna cisza. – Rozumiesz?!

Tym razem koniuszy się nie pomylił i zgodnie z instrukcją komisarza odpowiedział, krzywiąc się przy tym z bólu.

– Rozumiem.

– Cieszę się – rzekł Wolak. Nie był dumny ze swojego zachowania, ale wiedział, że musi w jakiś sposób zmusić do współpracy tego pijaczynę, do którego można było trafić jedynie przemocą. – Jeżeli się pomylisz albo uznam, że zbyt długo się zastanawiasz nad odpowiedzią, to następna kulka strzaska ci kolano, a wtedy za szybko nie uda ci się wsiąść na grzbiet któregoś z tych pięknych rumaków! Gdzie spędziłeś ostatnie trzy dni?!

– W środku lasu znajduje się mała opuszczona drewniana chatka, w której kiedyś mieszkali pracujący przy wyrębie lasu drwale. Tam się zadekowałem i piłem! – błyskawicznie odpowiedział Zych, który w zadziwiająco szybkim tempie zdołał wytrzeźwieć.

– Czy ktoś to może potwierdzić?

– Stary Brodzki. Michał zaglądał do mnie wieczorami, kiedy Żyd nie chciał mu już dawać wódki na krechę. Wtedy przychodził do mnie i razem piliśmy karbidówkę. Stary załamał się, od kiedy UB aresztowało mu starszego syna, co to w bandzie u Rysia służył...

– Dobrze! – przerwał mu Wolak. – Sprawdźmy to. Dlaczego przed wojną chciałeś otruć swojego pracodawcę Franciszka Bralewskiego?

– To nieprawda! Nigdy nie chciałem go otruć, to on pragnął za wszelką

cenę doprowadzić do tego, żeby mnie wpakowano za kratki!

– Skąd takie przypuszczenie?

– Bralewski był zazdrosny. Podejrzewał, że mam romans z jego żoną.

– A miałeś? – Wolak nie potrafił się powstrzymać od tego pytania. Odpowiedź na nie z pewnością nie była mu potrzebna do prowadzonego śledztwa. Nie umknęło to także uwadze Wieczorka, który wymownie spojrzął w stronę przyjaciela.

– To nie był romans – zaperzył się koniuszy. – Ja kochałem Jadwigę!

– Nie do końca odpowiedziałeś mi na zadane pytanie – rzekł komisarz. – Rozumiem jednak, że jest to dla ciebie dość niewygodny temat, dlatego dam ci już z tym spokój. Wróćmy jednak do sprawy rzekomego trucia Bralewskiego. Skąd w ogóle wzięły się u niego tego typu podejrzania? Przed wojną przesłuchiwał cię w tej sprawie Wacław Hrabski, który powiedział nam, że Bralewski oskarżył cię, że dolewasz mu trucizny do nalewek, które on później pije. O co w tym wszystkim chodziło?!

– To prawda – rzekł skruszony Romuald. – Dolewałem mu czegoś do butelek z alkoholem, ale to nie była trucizna, tylko środki nasenne.

Teraz stało się dla Wolaka i Wiewióra jasne, czemu wiele lat temu młody koniuszy tak chętnie poddał się próbie wymyślonej przez przodownika Hrabskiego i wypił nalewkę, o której wiedział, że go nie zatruje, a co najwyżej tylko uśpi.

– W jakim celu chciałeś uśpić swojego pracodawcę?

Zych milczał, patrząc wyzywająco na Wolaka. W stajni zapanowała pełna napięcia cisza, którą przerwał wybuch śmiechu Zygmunta Wieczorka.

– Daj mu spokój, Janek! – rzekł, trzęsąc się ze śmiechu. – Nie domyślasz się, po co to robił? Przecież to oczywiste, że jak uśpił Bralewskiego, to bez obawy, że mu ktoś przeszkodzi, mógł iść do jego sypialni i przelecieć mu żonę! Mam rację?

Koniuszy tym razem nie zastosował się do rozkazu Wolaka i zamiast odpowiedzieć, skinął jedynie głową. Uszło mu to jednak na sucho.

– Czyj to był pomysł? – spytał Wolak, który wciąż nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

– Wymyśliłem to wspólnie z Jadwigą – odparł Zych.

– Wiele razy udało wam się uśpić Bralewskiego? Jak długo to wszystko

trwało?

Zanim koniuszy zdążył odpowiedzieć, znowu wtrącił się siedzący na wózku z ironicznym uśmiechem Wieczorek.

– Nie lepiej, żebyś od razu go spytał, ile razy przeleciał żonę swojego pracodawcy?

Wolak całkowicie zignorował słowa przyjaciela i z napięciem czekał na odpowiedź koniuszego.

– Zaczęło się krótko po zatrudnieniu mnie do pracy przy koniach – wolno cedząc słowa, mówił koniuszy. – A skończyło zaraz po tym, jak pan Franciszek doniósł na mnie policji. Jadwiga nie chciała wówczas ryzykować, bała się, że mąż już coś podejrzewa. Nie chciała, żeby to wszystko się wydało.

W stajni zapadła przedłużająca się cisza.

– Ma pan jeszcze jakieś pytania? – odezwał się w końcu Romuald.

Wolak schował trzymany w ręku pistolet.

– Mam – rzekł po dłuższym namyśle. – Nie zastanawiałeś się nigdy nad tym, czy nie jesteś ojcem którejś z córek Jadwigi?

Po wyrazie twarzy koniuszego widać było, że to pytanie całkowicie go zaskoczyło. Przez chwilę zwlekał z odpowiedzią, po czym odparł:

– Nie, nigdy się nad tym nie zastanawiałem...

Wolak wolno wypuścił powietrze.

– ...aż do dzisiaj nie brałem pod uwagę takiej możliwości – dokończył Romuald Zych.

Wolak skinął głową, dając znać, że rozmowę uważa za skończoną, i szybkim krokiem opuścił stajnię. W ślad za nim podążył na wózku Wieczorek. W głowie starego komisarza kotłowały się różne myśli i pytania. Wbrew pozorom to dotyczące tożsamości mordercy zeszło na dalszy plan. Teraz Wolaka przede wszystkim interesowało, kto tak naprawdę jest ojcem Hanki.

Jastrzębski wezwał do siebie na naradę nowego komendanta posterunku UB, Czesława Kowalika, któremu kazał przyjechać razem z Hrabskim. Chciał z nimi omówić kilka spraw dotyczących walki z bandą Rysia. Jastrzębski zdawał sobie sprawę, że powinien zacieśnić swoją współpracę z sierżantem Warchlewskim, jednak nie potrafił się przełamać. Ten prymitywny wojskowy tak bardzo działał mu na nerwy, że oficer ledwo znosił jego obecność. Na szczęście dzisiejszego popołudnia nie musiał oglądać facjaty tak nielubianego sierżanta, który przed niespełną godziną wraz ze swoimi żołnierzami w wielkim pośpiechu opuścił dwór. Jastrząb nie pytał, dokąd im tak spieszo, gdyż i tak otrzymałby jakąś wymijającą odpowiedź. Wolał się nie upokarzać przed tym prymitywnym żołdakiem.

Stał teraz w oknie i obserwował kolejnych dwóch mężczyzn, których również miał już serdecznie dość. A może to ze mną coś jest nie tak? – przemknęło mu przez myśl, kiedy przyglądał się, jak były komisarz Jan Wolak szybkim krokiem przemierza podwórze, a za nim, popychając koła wózka, stara się nadążyć jego beznogi przyjaciel. Jastrząb uśmiechnął się krzywo. Miał już po dziurki w nosie zadania, które zlecił mu Makowski. Gubił się w tym, o wiele bardziej wolałby wykonywać jakieś mniej skomplikowane rozkazy. Teraz nawet nie wiedział, przed kim odpowiada, ponieważ sekretarz zabronił mu składać raporty bezpośrednio przełożonemu, Wincentemu Stasiakowi. W dodatku przed kilkoma dniami dowiedzieli się, że szef MBP może być zamieszany w zamordowanie żony sekretarza partii. To wszystko sprawiało, że Jastrzębski czuł się w tej chwili mocno zagubiony. Poruszał się jak dziecko we mgle. Ci dwaj przedwojenni policjanci nie ryzykowali tyle co on. Do tej pory Jastrząb był dobrze zapowiadającym się młodym oficerem, szybko pnącym się po szczeblach kariery. A teraz, w jednej chwili, przez jakiś nieopatrzny ruch mógł się z tej drabiny spierdolić na sam dół. Natomiast tamci dwaj nie

mogli już niżej upaść. Jeden jeszcze do niedawna jedzenia szukał po śmietnikach i cuchnął tak strasznie, że ludzie omijali go szerokim łukiem, a drugi jako wyklęty przez socjalistyczne państwo reakcjonista musiał ukrywać się w lesie. A teraz? Jastrzębski, patrząc na nich, sam w to wszystko nie wierzył. Obaj elegancko ubrani, wymyjni, pachnący, najedzeni do syta, i wszystko to zawdzięczali władzy ludowej, którą jeszcze kilkanaście dni temu opluwali i na którą podnosili rękę. A on, wierny sługa i syn Polski Ludowej, nie jest w tej chwili pewien swego jutra! I gdzie tu jest ta cholerna sprawiedliwość, o której wszyscy dookoła mówią?!

Nagle przeraził się nie na żarty. Dotarło do niego, że oto znalazł się w wyjątkowo trudnej sytuacji i może skończyć podobnie jak Nikodem Morawski. Tamten przecież też dobrze się zapowiadał, wiernie służył partyjnym aparatczykom i nagle z kogoś, kto jeszcze nie tak dawno był stawiany wszystkim młodym ludziom za przykład, stał się wrogiem numer jeden. Kimś, kogo w pokazowym procesie skazano na śmierć, tyle że później okłamano opinię publiczną, nie przekazując informacji o ucieczce Morawskiego. Jastrzębski na swoje nieszczęście był we wszystko wtajemniczony, a to oznaczało, że jeżeli tylko uda mu się schwytać Morawskiego i oddać go władzy ludowej, to nie ma co liczyć na nagrodę. Władza bowiem będzie chciała jak najprędzej pozbyć się świadków swoich potknięć, a czymś takim właśnie była ucieczka Nikodema. Jastrzęb zacisnął pięści i uderzył nimi w drewnianą framugę okna. Raz, drugi i jeszcze jeden. Tylko rozciął skórę na kostkach, skąd teraz wypływała strużka krwi. Ale to nie odwróciło myśli od nieuchronności czekającego go losu. Stojąc w tym oknie i patrząc na podwórze, po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak mocno uwikłany jest w rozgrywkę pomiędzy przedstawicielami partyjnej wierchuszki. Zrozumiał, że jest tylko pionkiem, który ważne figury przestawiają z miejsca na miejsce aż do momentu, w którym komuś uda się ten pionek zbić. Żeby uratować swoją dupę, musi sprzymierzyć się z innymi pionami, które znajdują się na tej wielkiej szachownicy. Tylko komu można zaufać? Kto będzie miał na tyle odwagi albo determinacji, żeby podjąć grę, w której będzie trzeba przeciwstawić się znacznie mocniejszym figurom?

Jednego był pewien – nadszedł czas, by w końcu podjąć działania na własną rękę. Teraz jego sytuacja przypominała położenie Odyseusza, który w pewnym momencie swojej morskiej wędrówki znalazł się między Scyllą a Charybdą, kiedy to niebezpieczeństwo zagrażało mu z dwóch stron.

Sytuacja Jastrzębskiego była podobna. Na jego życie czyhały dwa nie mitologiczne, lecz komunistyczne potwory, z jednej strony szef MBP – Wincenty Stasiak, a z drugiej sekretarz partii – Bolesław Makowski. Obaj wyjątkowo groźni. Otwarty konflikt, do którego mogłoby pomiędzy nimi dojść, był jedyną nadzieją na ich pokonanie. Jastrząb dobrze wiedział, że informacje, jakie przekazał mu kilka dni temu kelner z Europejskiej, są bezcenne, gdyż mogą mu uratować życie. Jednak nieumiejętnie wykorzystane mogły go życia pozbawić. Rozgrywka, w której wziął udział, wkraczała w decydującą fazę.

Dalsze rozmyślania młodego oficera przerwało pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknął, zerkając na zegarek. Było jeszcze za wcześnie na wizytę Hrabskiego i Kowalika. Oficer z ciekawością spojrział na uchylone drzwi, w których pojawiła się drobna sylwetka skromnie ubranej dziewczyny.

– To ty. – W głosie oficera wyraźnie słychać było rozczarowanie. – Jak się tu dostałaś?! Cały czas przez okno obserwuję podwórze, a ciebie nie widziałem.

Kobieta zamknęła ze sobą drzwi. Stała przed Jastrzębskim i patrząc mu śmiało w oczy, powiedziała:

– Weszłam tylnym wejściem, wprowadził mnie mój brat.

Jastrzębski pobladł.

– Ten bandyta od Rysia?!

Dziewczyna się uśmiechnęła. Była zaskoczona tak nieprzyjazną reakcją ubeka.

– Oprócz Jurka mam jeszcze jednego brata. Młodszy Marek pracuje we dworze, pomaga koniuszemu. To od niego się dowiedziałam, że znowu pojawiłeś się w okolicy, i poprosiłam, żeby mnie do ciebie przyprowadził. Nie masz mu chyba tego za złe?

Jastrzębski machnął lekceważąco ręką. W tej chwili interesowało go co innego.

– Posłuchaj – rzekł, patrząc uważnie w oczy Basi – czy idąc do mojego pokoju, spotkałaś po drodze jakichś żołnierzy?

Dziewczyna pokręciła głową.

Edward rozejrzał się po pokoju. Szybkim krokiem podszedł do krzesła, na którego oparciu wisiał jego pas z kaburą i znajdującą się w środku

tetetką.

– Na zewnątrz też nie było żadnych żołnierzy? – spytał jeszcze raz, zapinając pas.

– Nie – odparła dziewczyna, nie rozumiejąc dziwnego zachowania Edwarda. – Czy coś się stało?

Jastrząb podszedł do okna. Na dworze nic się nie zmieniło. Wolak z Wieczorkiem wciąż rozmawiali, stojąc przy studni, z której wyciągnęli wiadro z wodą, żeby się nią chociaż trochę ochłodzić w to gorące majowe popołudnie.

– Nie – odparł, stojąc tyłem do dziewczyny. – Jeszcze nic się nic stało.

Basia podeszła do niego. Objęła go od tyłu i mocno się przytuliła.

– Tęskniłam – szepnęła.

Przez chwilę nic się nie działo. Stali tak, przypominając parę zakochanych w sobie młodych ludzi. Przez głowę Jastrzębskiego przebiegały dziesiątki różnych myśli. Coś jest nie tak. Dlaczego sierżant Warchlewski, nie uprzedzając go o niczym, zabrał wszystkich żołnierzy i w upalne popołudnie gdzieś wyruszył? Czyżby dostał informację na temat miejsca pobytu Rysia i jego bandy? To wydawało się prawdopodobne. W takim razie ten nędzny kutasina nie chciał dzielić się z Jastrzębiem sukcesem wynikającym ze schwytania reakcjonisty i dlatego potajemnie niczym szczur opuścił miejsce zakwaterowania. Jastrzębski zmełł w ustach wulgarne przekleństwo. Odwrócił się i brutalnie odepchnął dziewczynę.

– Gdzie jest twój brat?! – spytał, patrząc na nią wściekle.

– Przecież mówiłam ci, że wprowadził mnie tutaj, a potem pewnie poszedł do stajni – odparła przestraszona Basia.

– Nie o niego pytam! – Jastrzębski złapał dziewczynę za przeguby rąk i ścisnął mocno. – Chodzi mi o tego drugiego, z bandy twojego narzeczonego!

Basia pobladła. Nagle przestała odczuwać ból, jaki zadawał jej Jastrzębski, ściskając przeguby rąk. W to miejsce pojawił się nowy, dużo gorszy rodzaj bólu.

– Od kiedy wiesz? – spytała, zadzierając głowę i patrząc zaczepnie w oczy ubeka.

– O czym?

– O tym, że byłam dziewczyną Andrzeja.

Jastrzębski puścił Basię. Odsunął się od niej i patrząc wzrokiem, w którym pogarda mieszała się z litością, powiedział:

– Wiedziałem o tym od samego początku. Myślisz, że dlaczego się z tobą te kilka razy przespałem? Dla twojej urody? – Edward zamilkł i z satysfakcją obserwował, jak dziewczynie zaczynają drgać usta, a chwilę potem całym jej ciałem wstrząsa szloch. – Chciałem wyciągnąć z ciebie informacje na temat poszukiwanego przeze mnie bandyty! Nic więcej! Nie było w tym żadnych uczuć! Przynajmniej z mojej strony!

– Ty skurwysynie! – krzyknęła dziewczyna, cały czas płacząc. – Oby spotkała cię za to wszystko zasłużona kara!

Jastrzębski się roześmiał.

– Wiesz co, kara już mnie spotkała, ale ku twojemu niezadowoleniu muszę przyznać, że chyba wiem, jak wybrnąć z tego gówna, w które wpadłem. Tak więc nie zięci się to, czego mi życzysz! A teraz, jeżeli nie masz mi już nic do powiedzenia, zabierz stąd łaskawie swoją dupę i nie przychodź tu więcej, bo następnym razem każę cię i tego twojego braciszka wybatożyć!

Basia doskoczyła do Jastrzębskiego. Gotowała się ze złości. Zrozumiała, że została przez niego bezlitośnie wykorzystana. Podjęła kilka błędnych decyzji i nic już nie mogło ich cofnąć. Odrzuciła prawdziwą, szczerą miłość, jaką darzył ją Andrzej, na rzecz kłamstwa i ułudy oferowanej przez tego cynicznego oficera UB. Dziewczyna czuła, że cały jej dotychczasowy świat zawalił się niczym kiepsko ustawiony domek z kart. Nie mogła nic zrobić, żeby to naprawić. Wyciągnęła w stronę stojącego mężczyzny rękę i rzuciła się na niego. Chciała wydrapać mu oczy, rozorać paznokciami twarz, chciała, żeby chociaż w niewielkiej części poczuł ból, jaki w tej chwili rozsadał ją od środka. Nie udało się jej. Jastrząb złapał ją mocno i w żelaznym uścisku trzymał kilka centymetrów od swojego ciała. Basia zadrżała. Coś niedobrego działo się z jej ciałem. Umysł podpowiadał co innego, ciało w żaden sposób nie chciało go posłuchać. Edward, trzymając ją mocno, przyciągnął jeszcze bliżej siebie. Dziewczyna jęknęła cicho. Wcale nie była jednak pewna, czy owo jęknięcie spowodował ból, jaki zadawał jej mężczyzna, czy też miało ono zupełnie inne źródło. Na policzku poczuła ciepły, przyspieszony oddech trzymającego ją mocno oficera. Przyłgnęła do niego ciałem i przytulając się, wyszeptwała:

– Przepraszam.

Jastrzębski ze zdziwieniem spojrział na wtuloną w niego dziewczynę. Wiele lat temu dziadek mu opowiadał, że psychika kobiet wciąż jest zagadką dla wszelkiej maści badaczy ludzkich umysłów. Młody chłopak nie brał wówczas słów swojego przodka na poważnie. Dziś jednak zdecydowanie zweryfikował tamtą opinię i gdyby nie to, że dziadek został rozstrzelany podczas wojny w jednej z łapanek, to z pewnością pojechałby do niego i przyznał mu rację. Edward chciał właśnie coś odpowiedzieć dziewczynie, kiedy jego uszu doszedł jakiś hałas dobiegający z korytarza. Ktoś nadchodził. Jedną ręką puścił dziewczynę i spojrział na zegarek. Dochodziła piętnasta. Całkiem możliwe, że właśnie zbliżali się Hrabski z Kowalikiem. I bardzo dobrze, będzie mógł się wreszcie pozbyć tej nie do końca zrównoważonej dziewczyny i zająć sprawami, w których chodziło o jego przyszłość.

Drzwi gabinetu się otworzyły. Jastrzębski odepchnął od siebie Basię, żeby móc przywitać komendanta milicji i towarzyszącego mu Wacława Hrabskiego. Usta wykrzywił w jednym ze służbowych uśmiechów, spojrział na wchodzących gości i zamarł. Żaden z nich nie był tym, kogo się spodziewał. Jastrzęb zrozumiał, że przegrał. Wszystkie plany, jakie wcześniej snuł, przestały mieć znaczenie, ponieważ na wielkiej szachownicy jego pionek za chwilę miał zostać strącony. I to wcale nie przez te figury, których się obawiał.

Wiewiór patrzył w milczeniu na młodego człowieka, który celował do niego z pepeszy. Chłopak miał dość długie, gęste włosy, które wymykały się spod wojskowej czapki z przytwierdzonym do niej orzełkiem w koronie. Wciąż jeszcze nie mógł do siebie dojść po tym, co przed kilkoma chwilami się tutaj wydarzyło. Razem z Wolakiem byli tak mocno pochłonięci rozmową, że w ogóle nie zwrócili uwagi na grupkę umundurowanych żołnierzy, którzy powoli zbliżali się w ich kierunku. Zresztą widok żołnierzy był tutaj czymś normalnym. Wieczorek tylko przelotnie na nich spojrzął, natomiast jego rozmówca stał odwrócony do nich plecami, dlatego aż do chwili, kiedy żołnierze podeszli blisko, w ogóle ich nie widział. Teraz Wiewiór miał do siebie pretensje, że nie zwrócił uwagi, iż zbliżający się wyglądem nieco odbiegają od standardów przyjętych przez wojsko Polski Ludowej. Ale przecież nie mógł się spodziewać, że nieliczna grupka partyzantów odważy się wkroczyć na teren, gdzie skoszarowane są jednostki KBW. Inwalida tłumaczył sobie, że nawet jeśli w nadchodzących mężczyznach rozpoznałby leśnych, to i tak niewiele mógłby zrobić. Zanim wyciągnąłby ukryty pod kocem pistolet, tamci skosiliby jego i Janka serią z pepeszy. A teraz istniała chociaż możliwość pertraktacji. Tym bardziej że okazało się, iż Wolak zna dowódcę grupy. Niestety, w trakcie rozmowy, jaka się wywiązała pomiędzy Wolakiem a dowódcą partyzantów, Zygmunt stracił nadzieję, że uda im się ująć z życiem.

– Przefarbowalesz się na czerwono? – spytał Ryś, z nienawiścią patrząc na Wolaka. – Wiesz, że nienawidzę komunistów, ale dużo bardziej nie znoszę zdrajców! Komu teraz służysz?!

Komisarz zdawał sobie sprawę, że cokolwiek by teraz powiedział, to i tak nie zmieni decyzji, którą podjął Andrzej. On już wydał na niego wyrok. Nie było sensu się tłumaczyć.

– W całym swoim dotychczasowym życiu – zaczął mimo wszystko Wolak – ani razu nie zdradziłem ojczyzny.

Na twarzy Rysia pojawił się kpiący uśmiech.

– Jeżeli nie łżesz, to jesteś nad wyraz prawym człowiekiem! I umrzesz jako taki, ponieważ nie będziesz już miał okazji do zdrady! – Andrzej odwrócił się w stronę jednego ze swoich ludzi i rzekł: – Kudłaty, zostaniesz z nimi, żeby ich popilnować. Reszta idzie ze mną!

– Tak jest! – odpowiedział Kudłaty.

Chwilę później na podwórzu, w cieniu zabudowań gospodarczych, zostali tylko trzech mężczyźni. Dwóch więźniów i ich strażnik. Reszta oddziału zniknęła za drzwiami prowadzącymi w głąb głównego budynku.

58.

Marian Klepka pocił się coraz bardziej. Wraz z sierżantem Warchlewskim siedział ukryty w gęstych zaroślach, zza których mieli bardzo dobry widok na drogę prowadzącą do karczmy. Siedzieli tu już drugą godzinę i do tej pory nie pojawił się ten, na kogo czekali. Oznaki niepokoju pojawiły się także na czerwonej twarzy sierżanta. Jego zegarek wskazywał już piętnastą dwadzieścia, a więc pora obiadowa powoli mijała, a bandyta się nie pokazywał.

Leżący dalej żołnierze także powoli zdradzali oznaki poirytowania. Kręcili się niecierpliwie, sierżant wydał całkowity zakaz palenia, żeby nie zdradzić swojej obecności, a do tego wszystkiego doskwierał im upał.

Wszyscy zaczęli już tracić nadzieję i wtedy wydarzyło się coś, co sprawiło, że z czerwonej od gorąca oraz podwyższonego ciśnienia gęby sierżanta Warchlewskiego odpłynęła cała krew. W oddali usłyszeli strzały z pistoletów i broni maszynowej. Już po kilku sekundach zorientowali się, że kanonada ta dobiega od strony dworu, w którym byli skoszarowani. Pierwszy domyślił się wszystkiego Marian Klepka, chwilę później sierżant Warchlewski patrzył wściekłym wzrokiem rozjuszonego byka, bo i on powiązał ze sobą fakty i teraz postanowił znaleźć kozła ofiarnego.

– Okłamałeś mnie! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Działałeś z nimi w zмовie! Miałeś wyprowadzić mnie i wojsko tutaj, żeby oni mogli bez problemów zaatakować znajdujących się tam ludzi, którzy zostali bez żadnej ochrony!

– Przysięgam, że nic o tym wszystkim nie wiedziałem! – Przerażony Klepka złożył ręce jak do modlitwy i uklęknął przed sierżantem, na którego twarz powoli wracała wcześniejsza purpura. – Byłem przekonany, że bandyci pojawią się w karczmie! Powtórzyłem tylko to, co powiedział mi karczmarz!

– Być może on również jest w zмовie z bandytami – rzekł Warchlewski, nie wierząc w to ani przez sekundę, ale w jego głowie pojawił się już pewien plan. Spojrzał na swoich żołnierzy, którzy czekali na rozkazy. Odległość dzieląca ich od dworu była na tyle niewielka, że zdołaliby ją pokonać w mniej niż pół godziny. Może zdążyliby jeszcze wrócić, żeby pomóc walczącemu z bandytami Jastrzębskiemu. Problem jednak w tym, że sierżantowi Warchlewskiemu wcale na tym nie zależało. Oto bowiem nadarzyła się okazja, by raz na zawsze pozbyć się tego wymuskanego oficera, i sierżant postanowił z niej skorzystać. Dlatego zwlekał z wydaniem rozkazu do wymarszu, a potem, zamiast wybrać najkrótszą drogę do dworu, nakazał iść przez pola i las, twierdząc, że w ten sposób uda im się wroga zaskoczyć. Marian Klepka z nałożonymi na dłonie kajdankami kroczył razem z nimi.

59.

Pierwszym widokiem, jaki ukazał się oczom Andrzeja, kiedy otworzył drzwi, były sylwetki dwojga wtulonych w siebie ludzi. Po chwili ich rozpoznał. Basia i ten oficer z Warszawy, którego przyszedł tu zabić. Z wycelowaną w nich pepeszą wszedł do środka. Za nim wkroczyło dwóch jego ludzi – Bohun i Żyłka. Szopen przeszukiwał pozostałe pomieszczenia dworu.

Dziewczyna spojrzała na niego ze strachem. Partyzant pomyślał, że dawniej w jej oczach dostrzegał jedynie oznaki czułości i bezgranicznego uwielbienia. Teraz popsuł to trzymający ją w ramionach ubek. Na szczęście już za chwilę to wszystko się skończy, a on sam niczym ksiądz połączy tę dwójkę zakochanych na zawsze i serią z pepeszy wyprawi na tamten świat.

Jastrząb był zaskoczony. Spojrzał ponad ramieniem dziewczyny. Trzech mężczyzn i każdy z nich trzymał w rękach pistolet maszynowy PPSz-41. Wiedział, że nie zdąży sięgnąć do kabury po broń. Nawet jeśli mu się to udało, to i tak nie zdołałby się obronić. Kule przeszłyby go, zanim zdążyłby odbezpieczyć tetetkę. A więc to już koniec – pomyślał i poczuł jakby żal, że to wszystko przyszło tak nagle. Nie spodziewał się, że ten bandyta go dopadnie, a już na pewno nie brał pod uwagę, że cokolwiek może mu zagrażać tutaj, gdzie skoszarowani zostali żołnierze KBW. Nie przewidział jednak, że ten idiota Warchlewski tak łatwo da się wyprowadzić w pole.

– Podnieś rękę. – W głosie Rysia słychać było oznaki triumfu. Był niczym myśliwy, któremu wreszcie udało się dopaść ściganą od dawna zwierzynę.

Nagle Jastrzębski dostrzegł dla siebie szansę. Trójka bandytów stała w drzwiach, zbита w ciasną grupkę. Jedynie Andrzej miał na tyle

nieograniczoną swobodę ruchów, że mógłby spokojnie oddać strzał. Jastrząb pomyślał, że bandyta nie zrobi tego, dopóki Basia będzie znajdowała się na linii ognia. Dziewczyna była dla niego teraz żywą tarczą. W pierwszej chwili pomyślał, żeby wykorzystać ją jako zakładniczkę i dzięki temu wydostać się na korytarz. Odrzucił jednak ten pomysł. Nie wiedział, ilu bandytów znajduje się jeszcze w budynku i w których pomieszczeniach. Pozostawał mu jeszcze jeden sposób ucieczki. Bardziej spektakularny, ale dużo mniej bezpieczny. Zamiast wykonać polecenie Andrzeja i podnieść ręce, z całej siły pchnął stojącą przy nim dziewczynę w stronę bandyty. Basia wystrzeliła niczym z procy. Zaskoczony Ryś zadziałał instynktownie. Nacisnął spust pepeszy. W pokoju rozległ się głuchy terkot pistoletu maszynowego, którego kule rozorały ciało dziewczyny. Korzystając z zamieszania, Jastrząb rzucił się w stronę okna, do którego stał odwrócony plecami. Schował głowę w ramiona, by ochronić się przed odłamkami szkła, i skoczył.

Andrzej przestał strzelać. Było już jednak za późno. Martwa dziewczyna leżała u jego stóp. Partyzant dopiero teraz zdał sobie sprawę, co się przed chwilą wydarzyło. Klęknął przy ciele Basi. Jego dwaj podkomendni, omijając zastrzeloną kobietę, podbiegli do rozbitego okna. Zdążyli jeszcze zauważyć, jak Jastrzębski podrywa się z ziemi i biegnie w stronę zabudowań gospodarczych, przy których Kudłaty pilnował Wolaka i kaleki.

– Biegnijcie za nim! – usłyszeli głos dowódcy. – Chcę go żywego!

Bohun i Żyłka wyskoczyli na korytarz. Na schodach zadudniły ich kroki. Andrzej pochylił się nad Basią. Czułym gestem odgarnął z jej czoła kosmyk ciemnych włosów. Przez chwilę gładził policzek dziewczyny. Czuł, jak do oczu napływają mu łzy. Dlaczego to wszystko się wydarzyło? – pytał samego siebie. Czemu życie musi być aż tak okrutne? Rozumiał, że to on pociągnął za spust, ale kto tak naprawdę jest winien śmierci Basi? Podniósł wściekły wzrok w stronę okna. Zacisnął dłoń na kolbie pistoletu. Jego ciałem wstrząsnął szloch.

Kiedy Kudłaty usłyszał strzały, spojrział w stronę głównego budynku. Ta chwila wystarczyła Wolakowi, który już od jakiegoś czasu czekał na coś, co odwróci uwagę pilnującego ich partyzanta. Komisarz doskoczył do

mężczyzny i ogłuszył go silnym uderzeniem w potylicę. Partyzant nie zdążył jeszcze upaść na ziemię, gdy usłyszeli brzęk tłuczonej szyby, a z pierwszego piętra dworu wyskoczył na ziemię jakiś człowiek. Wolak zabrał z rąk nieprzytomnego pistolet maszynowy. W podnoszącym się z ziemi mężczyźnie rozpoznał Jastrzębskiego, który biegł teraz w ich kierunku. Po chwili stanął z nimi twarzą w twarz. Komisarz zauważył, że dłonie oficera całe są we krwi. Musiał się poranić odłamkami szkła, kiedy wyskakiwał przez okno – pomyślał, patrząc na niego.

– Ilu ich jest? – spytał Jastrząb.

Wolak milczał. Udał, że nie słyszy pytania.

Jastrzębski spojrzał na trzymaną przez komisarza broń.

– Nie rozumiecie, że w tej chwili jedziemy na tym samym wózku?!

Zamiast odpowiedzi oficer usłyszał rubaszny śmiech Wiewióra.

– Na jakim, kurwa, wózku? – rzucił inwalida. – Bo chyba nie na moim?!

Jastrząb zaklął bezsilnie. Plecami przylgnął do muru obory i poranioną dłonią odpiął pasek od kabury, po czym wyciągnął i odbezpieczył tetetkę.

– Ilu? – spytał jeszcze raz.

Wolak popatrzył na niego, po czym powiedział:

– Sam nie dasz rady. Lepiej ratuj swoją dupę i uciekaj. Nie będę ci w tym przeszkadzał.

Jastrząb pokręcił głową.

– Nie, komisarzu, strzały pewnie słychać było daleko stąd. Lada chwila wróci tu sierżant Warchlewski ze swoimi ludźmi, a wtedy zgotujemy bandytom piekło! Póki co muszę zrobić wszystko, żeby nie opuścili budynku.

Wolak wzruszył ramionami. W tej chwili czuł się niczym bohater antycznej tragedii. Nie mógł opowiedzieć się po żadnej z walczących stron, ponieważ jakiegokolwiek wyboru by dokonał, to i tak skończyłyby się on dla niego tragicznie.

– Rób, co uważasz za słuszne – rzekł.

– A wy, komisarzu?

– Ja razem z Zygmuntem będę miał na wszystko oko – odparł Wolak i zabrzmiało to, jakby on i Wiewiór mieli pilnować młodszych chłopców,

żeby podczas zabawy w wojnę nie zrobili sobie jakiejś krzywdy.

Jastrząb ścisnął mocniej kolbę pistoletu i wyrzął zza rogu budynku. Uczynił to w samą porę, gdyż na ganku pojawiło się właśnie dwóch ludzi z bandy Rysia. Jastrzębski wycelował w wysokiego chudego mężczyznę. Nacisnął spust i sekundę później z satysfakcją zobaczył, jak tyczkowaty bandyta pada. Jego kompan momentalnie zniknął z pola rażenia. Jastrząb nie był pewien, czy udało mu się zastrzelić tamtego reakcjonistę, czy jedynie go zranił. Nie zaprzętał sobie jednak tym głowy. Radował go fakt, że jeszcze przez jakiś czas zdoła zatrzymać bandytów w budynku. Spojrzał na zegarek. Minęło wpół do czwartej. Za kilka minut powinni zjawić się tutaj zaalarmowani odgłosami wystrzałów żołnierze Warchlewskiego. Musi jeszcze trochę wytrzymać. Obejrzał się za siebie, by sprawdzić, co robią Wolak i Wieczorek.

– Kurwa mać! – zaklął pod nosem, patrząc w puste miejsce, w którym jeszcze przed chwilą byli obaj przedwojenni policjanci. – A ci gdzie się podziiali?

Leżący na ziemi nieprzytomny partyzant, którego wcześniej ogłuszył Wolak, z pewnością nie znał odpowiedzi na to pytanie.

– Andrzej! – zdyszany Bohun wbiegł do pokoju na piętrze, gdzie przy ciele Basi siedział Ryś. – Żyłka postrzelony, Kudłaty w rękach tego oficera, co nam uciekł! Za chwilę będzie tu wojsko. Co robimy?

Dowódca spojrział na niego tępym, zamroczonym wzrokiem. Podniósł się z podłogi. Siłą woli powstrzymał się, żeby znowu nie odwrócić wzroku w stronę leżącego u jego stóp ciała.

– Żyłka ciężko ranny? – spytał.

Bohun wzruszył ramionami.

– Nie wiem, leży na ganku. Trudno się do niego dostać, bo gdy tylko wychylę głowę, tamten zaczyna strzelać.

– Gdzie Szopen?

– Myślałem, że jest z tobą.

Andrzej zastanawiał się przez chwilę, po czym ostrożnie podszedł do okna, przez które wyskoczył Jastrzębski.

– Cholera jasna! – zaklął.

Bohun stanął za swoim dowódcą i spoglądał nad jego ramieniem. Widok, jaki ukazał się jego oczom, z początku go rozbawił, trwało to jednak ułamek sekundy, gdyż zaraz powróciła świadomość sytuacji, w jakiej aktualnie się znajdowali. Oto na starych, przedwojennych rowerach, wyprodukowanych najpewniej przez częstochowską fabrykę Wiśniewski i syn, wjeżdżali na plac Czesław Kowalik i Waław Hrabski. Obaj mężczyźni wyglądali co najmniej groteskowo. Tym bardziej że nieco otyły i teraz czerwony z wysiłku Hrabski ledwo nadażał za swoim towarzyszem.

Andrzej odbezpieczył pepeszę i posłał serię w stronę obu rowerzystów. Zdawał sobie sprawę, że raczej nie wyrządzi im krzywdy, chciał jednak trochę ich nastraszyć. Udało mu się to w stu procentach. Kowalik zaczął jeszcze szybciej pedałowac, natomiast Hrabski zeskoczył z roweru i biegiem ruszył w stronę zabudowań gospodarczych.

Nagle obaj stojący w oknie partyzanci poczuli mocny powiew powietrza. Przez chwilę nie mogli pojąć, skąd on się wziął w to duszne, bezwietrzne popołudnie. Po chwili zrozumieli, że został on wywołany na skutek przeciągu. Ktoś musiał szeroko otworzyć drzwi do pokoju, w którym się znajdowali, a oni pochłonięci widokiem z okna nawet tego nie zauważyli. Teraz intruz stał za ich plecami. Zaszedł ich niczym myśliwy zwierzynę podczas polowania.

– Spokojnie chłopaki, to tylko ja – usłyszeli za sobą głos Szopena. – W pozostałych pokojach pusto. Co robimy?

– Zgarniamy Żyłkę, odbijamy Kudłatego i spieprzamy stąd, zanim pojawi się KBW! – zakomenderował Andrzej, w którego wstąpiła nowa energia.

Jeszcze raz ostrożnie wyjrzał przez okno, chcąc się przekonać, jakie pozycje zajęli dwaj przybyli na rowerach ubecy. Niestety, nie udało mu się ich zlokalizować. Trudno – pomyślał – będziemy musieli działać po omacku.

– Rozdzielamy się – powiedział, odwracając się do swoich ludzi. – W pojedynkę mamy większe szanse. Jeżeli w ciągu piętnastu minut – spojrzal na zegarek – czyli do szesnastej, nie uda nam się pokonać przeciwników i odbić naszych, wycofujemy się do lasu. Nie możemy ryzykować spotkania z wojskiem. Zrozumiano?

– Tak jest! – odparli obaj partyzanci.

– W porządku – rzekł Andrzej, patrząc na nich, jakby mieli już nigdy więcej się nie zobaczyć. – Ja wychodzę od frontu, Szopen tylnym wyjściem, a Bohun znajdziesz wyjście przez piwnicę. Spróbujemy podejść ich z trzech stron, wtedy będzie im trudniej się ostrzeliwać. Szopen, zanim pójdziesz na tyły domu, będziesz mnie osłaniał, dopóki nie uda mi się zbiec z ganku!

Młody mężczyzna pokiwał głową. Nikt się nie odzywał.

– Jeżeli nie ma żadnych pytań, to ruszamy!

Kilkanaście sekund później panującą wokół ciszę przerwała seria wystrzałów z pistoletu maszynowego.

Hrabski zauważył, że Kowalikowi trzęsą się dłonie. Schronili się za drewnianą szopą, w którą bandyci posłali teraz serię z pistoletu maszynowego. Wokół nich zaczęły fruwać pojedyncze kłujące odłamki desek. Nie było to nic groźnego, jednak na kimś, kto po raz pierwszy znalazł się pod ostrzałem, robiło dosyć mocne wrażenie. Wacław dobrze znał akta byłego zastępcy i wiedział, że nie brał on czynnego udziału w walce, ponieważ jego służba w armii ograniczała się do intendentury. Kowalik w przeciwieństwie do niego nigdy nie był na pierwszej linii frontu, gdzie kule głośno świszczwały, a wokół padali ranni lub zabici towarzysze. Hrabski zrozumiał, że nie będzie miał zbyt wielkiego pożytku z Kowalika. Z pewną pogardą pomyślał, że nadaje się on jedynie do przesłuchiwania i zastraszania bezbronnych chłopów, którzy w żaden sposób nie mogą mu się przeciwstawić, gdyż reprezentuje władzę.

Odbezpieczył służbową tetetkę i czekał, aż umilkną strzały. Kiedy to nastąpiło, ostrożnie wyjrzał zza rogu szopy. Zdążył zauważyć, jak z ganku wybiega jeden z partyzantów. Strzelił w jego kierunku, jednak niecelnie. Przymierzył raz jeszcze, ale już nie zdążył nacisnąć spustu. Musiał szybko się schować, ponieważ znowu zaterkotał pistolet maszynowy i kolejna seria z pepeszy rozpruła powietrze nad jego głową.

Hrabski czekał. Wiedział, że za chwilę nastąpi cisza. Wtedy znowu się wychyli, ale czasu będzie miał mało. Zdąży oddać jeden, może dwa strzały. Dlatego musi dokładnie wycelować. Na strzelnicy nigdy nie miał

z tym problemów. W ubiegłym roku wygrał nawet nieoficjalne zawody strzeleckie funkcjonariuszy z całego powiatu. Tutaj jednak panowały inne warunki. Przede wszystkim było o wiele mniej czasu na oddanie strzału. Ale w sumie cel był nieco bliżej i miał znacznie większy rozmiar niż tarcza strzelecka, na której wystrzelone przez Hrabskiego kule zawsze bezbłędnie odnajdywały dziewiątkę, dziesiątkę, a w najgorszym wypadku ósemkę.

Zdążył w myślach doliczyć do dziewięciu, kiedy nastąpiła cisza. Postawił wszystko na jedną kartę. Szybko się podniósł. Wiedział, że bandyta, który wybiegł z ganku, zdążył już się schować w jakimś bezpiecznym miejscu i zaraz pewnie go zauważy i zacznie strzelać. On go jednak w tej chwili zupełnie nie interesował. Jego celem był ten, który go osłaniał i wciąż jeszcze stał na ganku. Wymierzył w tamtym kierunku i strzelił. Zrezygnował z oddania drugiego strzału. Wiedział, że nie spudłował. Chowając się za ścianę szopy, usłyszał jęk postrzelonego mężczyzny i głucho uderzenie ciała padającego na deski ganku.

– Ten nie powinien już nam zrobić krzywdy – powiedział, uśmiechając się do bladego ze strachu Kowalika. – Chwilowo został wyeliminowany.

Jastrzębski postanowił wycofać się w stronę dalszych budynków, zza których miałyby widok na całe podwórze. Teraz był najlepszy moment, ponieważ znajdujący się w domu bandyci byli trzymeni w szachu przez Hrabskiego i Kowalika. Wstał z ziemi, odruchowo otrzepał ubrudzone na kolanach spodnie. Kiedy podnosił głowę, ujrzał jakiś przesłaniający mu słońce cień. Była to sylwetka mężczyzny mierzącego do niego z pistoletu maszynowego.

– Powoli, bez żadnych gwałtownych ruchów – usłyszał nad sobą głos najbardziej ostatnio poszukiwanego w tych okolicach bandyty – rzuć na ziemię pistolet i cofnij się dwa kroki!

Edward zrozumiał, że drugi raz nie uda mu się wywinąć śmierci. Spokojnie wykonał polecenie Rysia.

– Przez ciebie Basia nie żyje!

Jastrząb uważnie przyjrzał się stojącemu przed nim mężczyźnie. Facet wyglądał na nie do końca zrównoważonego psychicznie. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, gdyż oficer UB nie łudził się, że przekona go,

by darował mu życie.

– Przecież to ty ją zastrzeliłeś! – powiedział, patrząc w oczy rozmówcy, na którego twarzy pojawił się dziwny, niewróżący nic dobrego grymas.

Sekundę później Jastrząb pożałował swoich słów. Pojedynczy strzał z pepeszy rozorał mu lewe ramię.

– Nigdy więcej nie mów, że to ja ją zastrzeliłem!

Jastrzębski złapał się za zranione miejsce, próbując dłonią zatamować płynącą krew. Nie odzywał się. Stał nieruchomo, czekając na nieuchronny koniec.

Ten jednak nie nastąpił.

Los po raz kolejny tego dnia uśmiechnął się do młodego oficera Urzędu Bezpieczeństwa. Ze znajdującej się za jego plecami szopy wyszedł Jan Wolak. Wolno podszedł w ich kierunku. Był bez broni. Ręce trzymał tak, żeby partyzant miał je cały czas na widoku.

– Nie zabijaj go, Andrzej – odezwał się spokojnym głosem, w którym można było wyczuć lekkie drżenie. – To już nie ma sensu. Wszystko skończone.

Ryś zaśmiał się głośno. Szaleńczo.

– Masz rację, wszystko skończone – powiedział. – Miłość... walka... nic już nie ma!

– Odłóż broń. – Wolak zbliżył się do Andrzeja.

Ryś wciąż mierzył w kierunku stojącego tuż przed nim Jastrzębskiego. Wokół panowała cisza. Ukryci kilkanaście metrów dalej Hrabski i Kowalik nie mogli ich widzieć, gdyż byli oddzieleni ścianą budynku gospodarczego. Bali się też opuścić swoją kryjówkę, ponieważ wtedy naraziliby się na ostrzał znajdujących się w głównym budynku bandytów. Czekali w napięciu na dalszy rozwój wypadków.

– On uwiódł moją Basię – powiedział Andrzej. – Musi za to zapłacić!

– Zostaw go, proszę – spokojnie rzekł Wolak. – Jeżeli go teraz zastrzelisz, oni ci tego nie darują. Będziesz ścigany do końca życia, a kiedy wreszcie cię dopadną, to uczynią z twojej śmierci krwawy spektakl, żeby pokazać innym, jak kończą wrogowie systemu! Masz szansę jeszcze tego wszystkiego uniknąć!

Twarz Rysia się zmieniła. Widać było, że słowa starego komisarza skruszyły w partyzancie jakiś niewidoczny mur otaczający jego umysł

i teraz zastanawia się nad tym, jak postąpić.

– Przecież ja i tak już jestem skończony – powiedział zrezygnowanym głosem. – Straciłem wszystkich, których miałem!

– Ale wciąż jeszcze jesteś na tyle młody, że możesz wszystko zacząć od początku! – wykrzyknął poirytowany Wolak. – Ja już takiej możliwości nie mam! Jestem za stary, żeby zaczynać nowe życie! A uwierz mi, że gdybym tylko mógł, to nie wahałbym się nawet przez chwilę! Rzuciłbym wszystko i nie oglądając się za siebie, uciekł jak najdalej stąd!

Andrzej kątem oka spojrzął na zegarek. Właśnie mijał kwadrans, jaki dał sobie i swoim ludziom na przeprowadzenie tej akcji. Teraz nadszedł czas, żeby się wycofać. Być może Wolak ma rację. Może warto spróbować? Przecież umrzeć zawsze jeszcze zdąży. Cofnął się dwa kroki. Już wiedział, co powinien zrobić. Lufa pepeszy wciąż była wymierzona w Jastrzębskiego, jednak widmo śmierci z każdym czynionym przez Andrzeja krokiem oddalało się od młodego ubeka.

– Żegnaj, Janek – powiedział Andrzej, odwrócił się od obu mężczyzn i szybkim krokiem zaczął iść w stronę stodoły, za którą rozpościerała się gęsta ściana lasu.

– Żegnaj – odrzekł Wolak i z głośnym świstem wypuścił powietrze. Dłonią otarł spocone czoło. Z kieszeni marynarki wyciągnął pudełko papierosów. Zapalił. Jastrzębski schylił się po coś leżącego na ziemi. Komisarz w tej chwili nie miał już siły zaprzętać sobie głowy tym, co robi młody oficer. Z pewnym żalem i rozrzewnieniem patrzył na oddalającego się Rysia, z którym łączyło go wiele dobrych wspomnień. I właśnie wtedy tuż nad głową przedwojennego policjanta padł strzał. Przez ułamek sekundy nic się nie działo. Papieros między palcami komisarza w dalszym ciągu spokojnie się tlił, Andrzej przeszedł jeszcze dwa kroki, po czym wolno odwrócił się w stronę Wolaka i Jastrzębskiego. Jego prawa dłoń zacisnęła się na kolbie pepeszy.

Padł kolejny strzał i wszystko zaczęło przyspieszać. Ryś zachwiał się, z wyrzutem w oczach popatrzył na starego komisarza. Jastrząb ponownie nacisnął spust. Trzecia kula utkwiała w ciele partyzanta, który przewrócił się na ziemię. Wolak odrzucił tłący się niedopałek i biegiem ruszył w stronę postrzelonego.

Kiedy dobiegł, młody partyzant miał jeszcze otwarte oczy i był przytomny. Komisarz nachylił się nad nim. Podtrzymał mu głowę.

Obrzucił wzrokiem rany i zrozumiał, że chłopak lada chwila umrze. Popatrzył na niego czule jak na syna, którego nigdy nie miał. Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle.

– To nic... – usłyszał słaby głos rannego. – Tak nawet będzie lepiej...

Wolak czuł, jak do oczu napływają mu łzy. Nie potrafił ich powstrzymać. Obwinił siebie za to, co się wydarzyło. Gdyby nie spuścił z oczu Jastrzębskiego, toby zauważył, jak ten sięga po leżący na ziemi pistolet i mierzy z niego do Andrzeja. Mógłby wówczas powstrzymać ubekę, który nie miał skrupułów przed strzeleniem partyzantowi w plecy.

– Nie przejmuj się, Janek – głos Andrzej z każdym wypowiedzianym przez niego słowem wyraźnie słabł – ty tutaj zostaniesz, a ja jeszcze dzisiaj spotkam się z moimi rodzicami i z Basią... Może po tamtej stronie nam się lepiej ułoży?...

– Na pewno – odparł Wolak, którego głos w tej chwili wcale nie brzmiał mocniej niż głos umierającego mu na rękach partyzanta. – Basia już tam na ciebie czeka...

Rys się uśmiechnął. Jego dłoń powędrowała w górę w poszukiwaniu ręki komisarza, by po jej odnalezieniu ucisnąć ją słabo w ostatnim geście pożegnania.

– Żegnaj, Janku... Idę do Basi...

Chwilę później ostatnia iskierka życia zgasła w najbardziej poszukiwanym w tych stronach partyzancie.

Wolak załkał bezsilnie.

Kiedy już smutek zaczął powoli ustępować miejsca złości, by szukać winnego śmierci Andrzeja, komisarz odwrócił się w stronę Jastrzębskiego. Nie zdążył jednak nic do niego powiedzieć, ponieważ ten, wskazując ręką gdzieś ponad Wolakiem, rzekł:

– I tak dostałby kulkę! Spójrz tam!

Komisarz popatrzył we wskazanym kierunku. Od strony lasu długą tyralierą maszerowali żołnierze KBW. Gdyby Andrzej nie został zastrzelony przez Edwarda, to z całą pewnością wpadłby prosto w ich ręce. Śmierć była mu dzisiaj pisana – pomyślał ze smutkiem Wolak.

– Nie powinieneś strzelać mu w plecy! – powiedział, podnosząc się z ziemi. – Przecież chwilę wcześniej to on trzymał cię na muszce i tylko dzięki mojej interwencji ocaliłeś życie.

Jastrzębski wzruszył ramionami. Prawdę mówiąc, zdanie starego komisarza w tej kwestii nic go nie obchodziło. W tym momencie najważniejsze były dla niego dwie rzeczy. Po pierwsze to, że żyje i dzięki temu ciągle jeszcze jest w grze. A po drugie, cieszył się, że to na jego konto zostanie zapisana śmierć najbardziej poszukiwanego reakcjonisty. To stawiało go w dużo lepszej sytuacji, niż jeszcze dziś rano się znajdował. Tak niedużo brakowało, żeby to sierżant Warchlewski dopadł Rysia, który jak zapędzone w nagonce zwierzę szedł prosto w jego łapska. Jastrzęb nie czuł wyrzutów sumienia. Nawet przez ułamek sekundy nie żałował, że zabił człowieka, strzelając mu w plecy. W ogóle nie rozpatrywał tego w takich kategoriach.

– Dziękuję za uratowanie życia – powiedział do Wolaka, który właśnie do niego podszedł. – Mam u was dług wdzięczności.

Tym razem to stary komisarz wzruszył ramionami.

– Niewielki dług – powiedział wolno, cedząc każde słowo i patrząc zimno w oczy młodego oficera UB. – Twoje życie jest niewiele warte, to i dług nieduży!

60.

Sierżanta Warchlewskiego rozsadzała wściekłość. Zdawał sobie sprawę, że gdyby nie dał się wywieść w pole i wraz z wojskiem nie opuścił dworu, to on, a nie Jastrzębski, rozprawiłby się z bandą Rysia. Zaraz po przybyciu na miejsce wydarzeń kazał swoim ludziom dokładnie przeszukać dwór, by zlokalizować pozostałych bandytów z grupy Andrzeja. Oprócz dwóch postrzelonych na ganku nie udało im się nikogo więcej znaleźć. Nawet ogłuszony zaraz na początku przez Wolaka Kudłaty, korzystając z zamieszania, zdążył zbiec. Warchlewski wiedział, że oficer z Warszawy wyjdzie teraz na bohatera, a on na nieudacznika, który w dziecinny sposób dał się oszukać.

Sierżant czuł, że musi natychmiast znaleźć ujście dla rozsadzającej go wściekłości. Dzikim, żądnym krwi wzrokiem rozejrzał się wokół. Jego żołnierze dobrze już go poznali i wiedzieli, że w tej chwili jest w podłym nastroju i lepiej nie wchodzić mu w drogę, dlatego każdy starał się go unikać, wynajdując sobie jakieś zajęcia z dala od przełożonego.

Tylko jeden człowiek nie do końca zdawał sobie sprawę ze skali zagrożenia. Był nim przykuty kajdankami do żurawia od studni Marian Klepka. Nie obawiał się już tak gniewu sierżanta, ponieważ znalazł się wśród osób wyższych rangą od Warchlewskiego, czyli Jastrzębskiego czy tego poruszającego się na wózku mężczyzny, który chociaż zawsze był ubrany w nieco niechlujny sposób, to z pewnością musiał być kimś znacznym, bo przecież inaczej nie miałby takiego posłuchu u wszystkich stacjonujących we dworze. Poza tym kilka razy mignął mu także komendant Hrabski, z którym miał okazję niejednokrotnie spożywać skonfiskowany przez milicjantów bimber. Klepka sądził, że największe niebezpieczeństwo już minęło i gdy tylko uporają się z zamieszaniami wynikłym ze strzelaniny, to wreszcie znajdzie się ktoś, kto się nim zajmie. Wtedy będzie mógł na spokojnie wyjaśnić całą sprawę i bez żadnych

kłopotów wrócić do domu.

Niepokoilo go tylko, że ciągle jeszcze pozostawał skuty. Poza tym sytuację komplikował nieco fakt, że zachciało mu się siku. Stojąc przy studziennym żurawiu, coraz mocniej ścisnął nogi, niczym mały chłopczyk łudzający się, że w ten sposób uda mu się powstrzymać narastającą chęć oddania moczu. W końcu zdecydował, że musi coś z tym zrobić. Biegający wokół szeregowi żołnierze ignorowali jego nagabywania. Klepka postanowił więc interweniować u wyższej instancji, którą był przechodzący nieopodal Warchlewski.

– Towarzyszu sierżancie! – krzyknął.

Warchlewski się zatrzymał. Spojrzał na Klepkę takim wzrokiem, jakby dopiero teraz sobie o nim przypomniał, skierował kroki w jego stronę, a na twarzy pojawił się złowieszczy uśmiech, tak dobrze znany wszystkim z jego oddziału. Znamionował on, że sierżantowi udało się w końcu znaleźć kozła ofiarnego, na którym będzie mógł się wyżyć.

– Słucham was, obywatelu Klepka – rzekł nieco nazbyt przymilnie. – Co tak ścisnąć nogi, jakbyście między nimi trzymali wielkie ptaszysko, a nie małego skowronka, który teraz pewnie woła, żeby go wypuścić!

Marian nie doszukał się w głosie ani wyrazie twarzy sierżanta niczego, co mogłoby sygnalizować niebezpieczeństwo, ponieważ w tej chwili myślał już wyłącznie o jak najszybszym załatwieniu potrzeby.

– Świetnie to ujęliście... – zaczął piskliwym głosem.

Nie zdążył jednak dokończyć, gdyż w tym samym momencie, sierżant huknął na niego swoim ćwiczoną na każdym capstrzyku basem:

– Niczego nie ująłem!!! Brzydzi mnie to, co mówicie!! Ja miałbym to coś ująć?! Tfu! Czy was już do końca popierdoliło?! A może w głowie oblużowała się wam jakaś klepka?!

Nieprzygotowany na taki wybuch wściekłości Marian nie wytrzymał. Próbował to jeszcze jakoś zastopować, ale nie mógł. W jednej chwili poczuł ogromną ulgę i rozlewające się w okolicy krocza ciepło. Na razie nie myślał jeszcze o wstydzie. Teraz napłynęła na niego błogość. Nawet wykrzywiona, wrzeszcząca mordą sierżanta nie wydawała się taka groźna.

Warchlewski z niesmakiem spojrzał na wciąż powiększającą się plamę moczu na spodniach Mariana Klepki.

– Płochliwego macie ptaszka – rzekł, z politowaniem kręcąc głową.

Do świadomości skutego kajdankami mężczyzny dopiero teraz dotarł wstyd wynikający z tego, co mu się właśnie przydarzyło. Tym bardziej że wokół studni zebrała się już grupka żołnierzy, którzy wiedząc, że gniew sierżanta ich nie dosięgnie, przyszli zobaczyć, jakie wymyślne sposoby upokorzenia zafunduje swojej ofierze ich przełożony.

A sierżant zachowywał się niczym aktor widzący, że ma już bacznie obserwującą go publikę. Czuł, jak powoli wraca mu spokój. W sumie to nawet mógłby darować temu pechowcowi, który nie wytrzymał ciśnienia i zlał się w gacie, jednak był coś winien swoim żołnierzom oczekującym przedstawienia. Był ich sierżantem. Nie mógł ich zawieść. Dla każdego żołdaka liczy się nie tylko walka, ale i rozrywka. W obydwu tych rzeczach na czoło powinien wysuwać się nie kto inny jak dowódca. Kierując się tą właśnie logiką, Warchlewski wyjął z kieszeni bluzy polowej kluczyki. Podszedł do stojącego przy studni mężczyzny i rozpiął mu kajdanki. Klepka wyraźnie zaskoczony spojrzał na niego i uśmiechnął się z wdzięcznością. Stojący wokół żołnierze wiedzieli, że entuzjazm więźnia jest przedwczesny.

– Szeregowy Matysiak! – krzyknął sierżant do stojącego najbliżej piegowatego chłopaka o szczerym, nieco bezmyślnym spojrzeniu. – Przynieście stojący pod szopą pieniek!

– Tak jest!

Klepka, nic nie rozumiejąc, obserwował Matysiaka, który już po chwili przytaszczył ciężki drewniany kłoc i ustawił go koło studni.

– Kładź się! – rozkazał Warchlewski, wskazując pień.

Klepka, domyślając się dalszego ciągu, pokręcił głową w geście bezradnego protestu, który i tak nie mógł odmienić jego losu.

– Pomóżcie mu i przytrzymajcie go mocno!

Żołnierze ochoczo wykonali rozkaz przełożonego.

Warchlewski powiódł wzrokiem po swoich podkomendnych, po czym powiedział:

– Potrzebuję śmiałka do bardzo trudnego zadania. Czy znajdzie się wśród was taki?!

Młodzi chłopcy, których twarze zdradzały chłoporobotnicze pochodzenie, ochoczo podnieśli ręce.

Sierżant wybrał jednego z nich, który wręcz pękał z dumy, że to właśnie

on okazał się najodpowiedniejszym kandydatem do arcytrudnego zadania.

– Podejdź do niego – Warchlewski wskazał ręką na wijącego się na pieńku Mariana Klepkę – i opuść mu do kolan te zaszczane spodnie!

– Tak jest! – odkrzyknął żołnierz, który momentalnie przestał czuć towarzyszącą mu jeszcze przed paroma sekundami dumę.

Gdy wszystko było gotowe i goły tyłek Mariana Klepki, na którym wciąż jeszcze znać było niezagojone czerwone pręgi, wystawiony został na słońce, a Warchlewski odpiął swój gruby pas. Owinął go sobie wokół dłoni, podwinął rękaw bluzy polowej, splunął i z całej siły się zamachnął. Chwilę później dał się słyszeć plask sygnalizujący, że skóra wojskowego pasa zetknęła się z delikatną i mocno nadwerżoną w ciągu ostatnich dni skórą pośladków Mariana Klepki. Kolejnym uderzeniem towarzyszyły dzikie wrzaski poszkodowanego. Cierpiały jego duma i ciało. On sam obiecał sobie, że nie będzie nawet czekał, aż zagoją mu się rany i jeszcze tego samego dnia opuści te przeklęte strony, aby gdzieś, gdzie nikt go nie zna, rozpocząć nowe życie, w którym nikomu nie będzie się już narażał.

Marian Klepka tego dnia uwierzył w sprawiedliwość. Zawsze szczylił się tym, że w dzieciństwie, pomimo iż był dość niegrzecznym chłopcem, wiele rzeczy uchodziło mu płazem. Dzisiaj zrozumiał, że kara jest nieunikniona. A im później wymierzona, tym staje się surowsza.

61.

Powinien się cieszyć, ale czuł jedynie pustkę. Bez jakichkolwiek emocji przyglądał się z okna spektaklowi, jaki zafundował swoim żołnierzom sierżant Warchlewski. Nagle wszystko stało mu się obojętne. Nie czuł tego, co tak typowe dla zwycięzcy, a nim przecież okazał się w starciu z przywódcą bandy reakcjonistów. Musiał już wyjść z tego pokoju. Na dole czekali na niego ludzie, którym miał przekazać instrukcje, jak dalej postępować. Nie wiedział, po co w ogóle tu przyszedł.

Odwrócił się od okna. W postrzelonym ramieniu, które miał teraz zabandażowane, czuł piekący ból. Później poprosi o jakieś tabletki, które go uśmierzą, ale zażyje je pewnie dopiero tuż przed położeniem się spać. Wcześniej nie będzie chciał się poddać ich otępiającemu działaniu. Musi mieć jasny, niczym niezmacony umysł.

Spojrzał na środek pokoju. Ona wciąż leżała na podłodze, w tym samym miejscu, w kałuży krwi. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że nie wszystko z tego, co jej powiedział, było prawdą. Prawdziwe uczucia zwykł skrywać gdzieś w głębi serca, tak żeby nie były dla wszystkich widoczne. Spowodowane to było strachem, bo nielekający się śmierci Edward Jastrzębski bał się okazywać innym ludziom uczucia. W jego mniemaniu człowiek uczuciowy jest człowiekiem słabym, a za takiego Jastrzęb nigdy nie chciał uchodzić. Dlatego zbudował gruby pancerz, którym odgrodził się od zepchniętych na samo dno serca uczuć.

Spojrzał na dziewczynę. Po chwili miał już dość. Nie pozwolił sobie jednak na oderwanie od niej wzroku. W swoim życiu oglądał już wiele trupów, zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Po tylu latach ich widok nie robił na nim większego wrażenia. Przyszedł tu przed kilkanaście minutami, aby udowodnić sobie, że i tym razem będzie tak samo. Coś jednak sprawiało, że nie mógł spokojnie patrzeć na ciało zastrzelonej dziewczyny. Wciąż nie

potrafił sprecyzować, co to było. Podszedł bliżej. Uklęknął. Prawą dłonią odgarnął z czoła kosmyk jej włosów. Dotknął zimnej już skóry policzka. Spojrzał w dół. Jej bajeczne piersi, które jeszcze niedawno pieścił i całował, były teraz nieruchome. Utkwił w nich tępe spojrzenie, jakby miał nadzieję, że lada chwila poruszą się przy wdechu i wydechu. Jego dłoń powędrowała w ich stronę. Umysł przestał kontrolować ciało. Uwięzione przez tyle lat na samym dnie serca uczucia coraz głośniej dopominały się o wypuszczenie. Na palcach poczuł coś ciepłego i lepkiego. Podniósł dłoń do oczu. Krew.

Krew martwej dziewczyny.

Krew zastrzelonej Basi.

Krew tej, która przyszła dzisiaj do niego, by powiedzieć mu to, co on wstydził się wyrazić i okazać. To przecież dla niego porzuciła narzeczonego i naraziła się ojcu, który nienawidził przedstawicieli nowej władzy.

I to przez niego dzisiaj zginęła.

Wypełniająca go pustka zaczęła ustępować miejsca bezgranicznemu poczuciu zwątpienia i beznadziei. Sprawy, którymi do tej pory zajmował się w życiu, wydały mu się mało ważne i niewarte tego wszystkiego, co dla nich poświęcił. Zrozumiał, że teraz musi zrobić wszystko, żeby śmierć Basi nie poszła na marne. Powinien przestać myśleć wyłącznie o tym, jak w rozgrywce, która stała się jego udziałem, ocalić własne życie, gdyż w ogólnym rozrachunku nie miało ono dla nikogo większej wartości.

Ostatni raz spojrzął na leżącą przed nim dziewczynę, a potem podniósł się i wyszedł z pokoju.

Na podwórzu minął się z wolno krocącym wśród śmiechów i kpin żołnierzy Marianem Klepką. Mężczyzna miał opuszczoną głowę i spojrzenie utkwione w ziemi. Mijając Jastrzębskiego, nawet na niego nie spojrzął. Tak wygląda człowiek przegrany – przemknęło Jastrzębiowi przez myśl. Zaraz jednak uświadomił sobie, że na razie sam także jest jedynie pozornym zwycięzcą. Rozejrzał się w poszukiwaniu Wolaka i Wieczorka. Zobaczył ich w głębi podwórza. Rażnym krokiem ruszył w ich stronę. Wiedział, że stary komisarz ma do niego żal za zastrzelenie Rysia, musiał jednak jakoś sobie z tym poradzić i spróbować wkraść się w łaski Wolaka.

Kiedy zatrzymał się przy nich, obaj mężczyźni umilkli. Jastrząb udał, że

nie zwrócił na to żadnej uwagi.

– Nie udało się złapać żywcem żadnego z partyzantów – rzekł, celowo nie używając słowa bandytów.

Wolak milczał.

Inwalida zaciągnął się papierosem i wypuszczając dym, powiedział:

– Jednego podobno można było mieć żywego.

– Tak – potwierdził poirytowany prowokacją oficer – ale twój kolega okazał się tak dobroduszny, że pozwolił mu odejść!

– A ty strzeliłeś mu w plecy! – nie wytrzymał Wolak.

Na chwilę zapadła złowroga cisza, którą pojednawczym tonem przerwał Wiewiór:

– W każdym razie udało ci się wykonać zadanie i teraz spokojnie możesz udać się do stolicy, by tam dumnie wypiąć pierś do odznaczenia!

– Nie wszystko się udało – rzekł Jastrząb. – Nie mamy żadnego partyzanta, którego moglibyśmy przesłuchać, żeby dowiedzieć się czegoś o naszych uciekinierach.

– Naszych? – zdziwił się Wolak. – Przecież nam nikt nie uciekł!

– Chodzi mi o Morawskiego i Brodzkiego – powiedział nieco ściszone głosem Jastrzębski.

– A po co ci jeszcze oni do szczęścia? – zainteresował się inwalida.

– Jak to po co? Żeby dokończyć śledztwo w sprawie mordercy.

– A jeśli mordercą naprawdę okaże się twój przełożony? – spytał Wiczorek.

Obaj przedwojenni policjanci z uwagą przyglądali się Jastrzębskiemu, który dobrze zdawał sobie sprawę, że od tego, jakiej teraz udzieli odpowiedzi, będzie zależało, czy ci dwaj mu zaufają.

– Pozostanie nam jeszcze sekretarz Makowski, on chyba nie jest w tym umoczony. Przecież zamordowana była jego żoną!

– Uwierz mi, nie takie rzeczy już się zdarzały – rzekł z uśmiechem Wiewiór. – A to, że mąż jest zamieszany w zamordowanie własnej żony, akurat najmniej by mnie zdziwiło!

– Jeśli w dalszym ciągu mamy ze sobą współpracować – zaczął Wolak – musisz nam powiedzieć wszystko, co wiesz o Morawskim.

– Przecież czytaliście jego teczkę – obruszył się Jastrzębski.

Wolak ze zrezygnowaniem wzruszył ramionami.

– Idziemy, Zygmunt, nic tu po nas! Znowu jesteśmy zdani tylko na siebie.

– Idziemy, idziemy! – przedrzeźniał go Wiewiór, wykręcając wózkiem w ciasnej przestrzeni pomiędzy zabudowaniami gospodarczymi a stojącym niczym słup soli Jastrzębskim. – Kiedy się wreszcie nauczysz, że ja już nie chodzę, tylko jeżdżę! I wcale nie wynika to z faktu, że akurat takie panisko się ze mnie zrobiło, tylko...

Dalsze utyskiwania inwalidy przerwał głos Edwarda:

– Zaczekajcie!

Obaj mężczyźni zatrzymali się i odwrócili głowy w jego kierunku.

– Powiem wam wszystko, czego nie ma w aktach Morawskiego, a wy w zamian pomożecie mi dokończyć to śledztwo. Muszę znać prawdę, nawet jeśli miałbym doprowadzić do aresztowania szefa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Chociaż szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, jak mogłoby się to udać, ale spróbować zawsze warto.

Wolak uśmiechnął się niezauważalnie, po czym ruszył z powrotem w kierunku Jastrzębskiego.

– Chodź! – powiedział, mijając Wieczorka.

Inwalida zaklął głośno i ponownie zaczął manewrować wózkiem.

– Nikodem był młodym, szybko awansującym w partyjnej hierarchii urzędnikiem...

– Za co był odpowiedzialny? – spytał Wolak, dając Edwardowi do zrozumienia, że tamte fakty są mu znane.

Jastrzębski się zawahał. Przed oczami ponownie stanął mu obraz Basi. Najpierw takiej, jaką ją zapamiętał z pierwszej wizyty, kiedy kochali się namiętnie i gwałtownie, nie mogąc nasycić swojej żądz. Później uderzył go obraz martwego, zimnego ciała leżącego w kałuży krwi na podłodze tego samego pokoju, w którym kilka dni wcześniej oddawali się czemuś, co wtedy uważał wyłącznie za seks, a dziś za coś więcej. Przypomniał sobie, że przed paroma minutami obiecał coś tej, która z dna jego serca zaczęła wydobywać uśpione uczucia. Nie chciał już kłamać i uciekać. Pragnął stać się kimś innym niż tylko ślepo oddanym psem trzymanym na krótkim łańcuchu przytwierdzonym do czerwonej budy z napisem „władza

ludowa”. Żeby tak się mogło stać, musiał ten łańcuch zerwać. Pomóc w tym mogli mu tylko ci dwaj faceci o zmęczonych obliczach, na których życie bezlitośnie odcisnęło całe swoje dotychczasowe piętno.

– Morawski to człowiek zagadka, niektórzy podejrzewali, że przesyła do Moskwy tajne raporty na temat naszych najwyższych urzędników państwowych. Nigdy go oczywiście na tym nie przyłapano, ale sam fakt, że młody chłopak tak szybko awansował, budził nie tylko zazdrość, lecz także podejrzania.

– Czy komuś zlecono, żeby przeświecił całą tę sprawę?

– Z tego, co wiem, Morawski był pod stałą obserwacją, ale czy ktoś grzebał w jego przeszłości, o tym nic mi nie wiadomo. – Jastrzębski wzruszył ramionami.

– W aktach przeczytałem, że pochodził z rodziny, w której wszyscy mężczyźni działali w antykomunistycznym podziemiu, więc dlaczego nie dziwił nikogo fakt, że on postępował inaczej?

Jastrzęb pokręcił głową.

– Zachowywał się jak typowy przechrzta, z całkowitym zaangażowaniem oddał się służbie nowemu, czerwonemu bożkowi. Nikodem nie miał sobie równych, jeśli chodzi o tropienie wrogów systemu.

Wiewiór badawczo przyjrzał się Edwardowi.

– Dobrze się znaliście? – spytał i już po chwili wiedział, że trafił w czuły punkt.

– Kiedyś byliśmy nawet przyjaciółmi, ale ostatnio nasze drogi zaczęły się rozchodzić.

– Nie mogłeś znieść tego, że twój kolega okazał się lepszy od ciebie?

Kolejne pytanie inwalidy również okazało się strzałem w dziesiątkę. Jastrzęb poczerwieniał na twarzy, jakby wstydził się swojego wcześniejszego zachowania wobec Morawskiego.

– To prawda, jest jednak jeszcze coś, co muszę wam powiedzieć.

– Śmiało – zachęcił go Wolak.

– Kilka tygodni temu mój przełożony, Wincenty Stasiak, zlecił mi poprowadzenie śledztwa w sprawie Nikodema.

– I co? – spytał kpiąco Wiewiór. – To śledztwo ostatecznie zakończyło

twoją przyjaźń z Morawskim, co?

– Nie – zaprzeczył hardo Jastrząb. – Odmówiłem wykonania rozkazu, tłumacząc, że moja dobra znajomość z Nikodemem mogłaby wypaczyć wyniki dochodzenia.

Wiewiór z udawanym podziwem klasnął w dłonie.

– No proszę, jaki piękny gest z twojej strony. A ja już myślałem, że w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego pracują same szumowiny!

Jastrzębski udał, że nie słyszy ironii w głosie inwalidy.

– Chodzi mi o to, że śledztwo pewnie poprowadził ktoś inny, kto nie miał wobec Morawskiego takich skrupułów!

– Jakie były wyniki tego śledztwa?

– Tego właśnie nie wiem. Zaraz po tym, jak odmówiłem Stasiakowi, dostałem przeniesienie tutaj, żeby wytropić bandę Rysia.

– A kolejnym twoim przydziałem była opieka nad dwoma przedwojennymi komisarzami – wtrącił Wolak.

– To nie do końca tak – sprostował Jastrząb. – Sekretarz zwrócił się do Stasiaka z prośbą o przydzielenie mu jakiegoś oficera operacyjnego, który miałby pomóc wam w odnalezieniu mordercy jego żony.

– I znowu wybór padł na ciebie, dlaczego?

Jastrząb wzruszył ramionami.

– To ja ci powiem dlaczego – odezwał się lodowatym tonem Wolak. – Śledztwo w sprawie mordercy i tak spoczywało na naszych barkach, twoim zadaniem było jedynie patrzeć nam na ręce i informować o wszystkich naszych poczynaniach Wincentego Stasiaka. Tylko w ten sposób mogłeś ponownie wkraść się w łaski szefa MBP i odzyskać jego zaufanie! Czy mam rację?!

Jastrzębski w milczeniu pokiwał głową.

Wiewiór wyłuskał z pudełka kolejnego papierosa.

Wolak zaczerpnął głęboko powietrza i spytał:

– Co powiedziałaś Stasiakowi o naszej rozmowie z kelnerem z Europejskiej?

Jastrząb spojrział na niego z oburzeniem.

– Nie myślicie chyba, że powiedziałem mu o świadku, który widział go na miejscu zbrodni?!

– Niby dlaczego nie? – rzekł komisarz, chociaż już znał na to pytanie odpowiedź. Chciał jednak, żeby padła ona z ust Jastrzębskiego.

– Gdybym doniósł o tym Stasiakowi, to kelner, pan, Zygmunt i pewnie ja już byśmy nie żyli. Znam metody swojego szefa i wiem, że nie dopuściłby do tego, żeby po ziemi chodzili świadkowie jego zbrodni.

– Prawda o mordercy Wiery Sonikówny i tak w końcu ujrzy światło dzienne – oświadczył Wolak. – Co wówczas zrobisz?

– Jeżeli stanie się tak, jak mówicie, i Makowski się dowie, kto stoi za zabójstwem jego żony – Jastrząb patrzył spokojnie na Wolaka – to dojdzie do wojny na najwyższych szczeblach władzy w Polsce Ludowej, a wtedy będę musiał opowiedzieć się po którejś ze stron.

– Po której? Stanie pan za swoim szefem czy też za sekretarzem partii Bolesławem Makowskim?

Jastrzębski przez jakiś czas milczał. Wiewiór palił papierosa i obserwował koguta goniącego po podwórzu jedną z kur. Pozornie mogło wydawać się, że cała tocząca się obok niego rozmowa w ogóle go nie interesuje. Jednak ktoś, kto dobrze znał Zygmunta Wieczorka, wiedział, że jest odwrotnie. Z niecierpliwością czekał na to, co odpowie młody oficer UB.

– Jest takie stare polskie porzekadło – odezwał się w końcu Jastrząb. – Gdzie dwóch się bije, tam trzeci korzysta.

Wiewiór nie odrywał wzroku od koguta, któremu wreszcie udało się dogonić kurę. Skoczył teraz i bezlitośnie ją dziobał. Jakie to wszystko ludzkie – pomyślał inwalida.

Wolak z zaciekaniem spojrział na Edwarda.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– W rozgrywce między szefem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego a sekretarzem partii jest jeszcze ktoś trzeci. Ktoś, kogo tamci dwaj na tyle się obawiają, że najchętniej by go zabili, ale pomimo usilnych prób nie bardzo im to wychodzi.

– Kogo masz na myśli?

Wieczorek zupełnie stracił zainteresowanie oglądaniem koguta, który już zdążył sobie wszystko wyjaśnić z kurą i teraz dostojnym krokiem dreptał wraz z nią w stronę kurnika. Ona gdakała głośno, a on, rozglądając się nerwowo na boki, podążał jej śladem.

– Mam na myśli kogoś, kogo powinniśmy jak najprędzej znaleźć, jeżeli chcemy uratować nasze tyłki. I powinniśmy to zrobić, zanim dopadnie go ktoś od Makowskiego lub Stasiaka!

– Kogo znowu mamy szukać?! – zniecierpliwiał się Wiewiór.

– Nikodema Morawskiego – odparł przyciszonym głosem Jastrzębski.

Inwalida spojrział na Wolaka. Ten uśmiechnął się pod nosem, po czym zwracając się do oficera UB, powiedział:

– Sam nie wiem, dlaczego to robię, ale chyba nie mam wyjścia i muszę ci zaufać. – Komisarz w pełni zdawał sobie sprawę, że bez dalszej pomocy Jastrzębia nie dadzą sobie rady w Warszawie, gdzie dzięki towarzystwu oficera UB mogli swobodnie się poruszać i w razie potrzeby zmusić kogo trzeba do współpracy. Ta pomoc jednak kosztowała. Chcąc w dalszym ciągu z niej korzystać, musieli podzielić się z ubekiem informacjami. – Wiemy, gdzie ukrywa się Nikodem Morawski, i możemy cię do niego zaprowadzić, ale jest jeden warunek.

– Jaki? – spytał Edward, wciąż jeszcze nie mogąc uwierzyć w to, co przed momentem usłyszał.

– Morawskiemu towarzyszy jeden z moich przyjaciół, który razem z nim został odbity, kiedy wieziono ich na miejsce egzekucji. Musisz mi obiecać, że nie spadnie mu włos z głowy.

– Mogę tylko obiecać, że z mojej strony nic mu nie grozi. Nie mogę jednak wypowiadać się w imieniu sierżanta Warchlewskiego, którego apetyt na leśnych reakcjonistów wciąż jeszcze jest niezaspokojony. Dlatego byłoby najlepiej dla twojego przyjaciela, gdyby jak najprędzej opuścił te tereny.

– W porządku – rzekł Wolak. – Idziemy?

Wiewiór parsknął głośno z niezadowoleniem.

– Ile razy mam ci powtarzać, że bezpowrotnie straciłem umiejętność chodzenia?! Więc nie pytaj mnie, czy idziemy!

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić – rzekł pojednawczo Wolak. – W porządku?

Wieczorek z nadąsaną miną pokiwał głową. Więcej w tym wszystkim było udawania i przekomarzania, bardzo podobnego do towarzyszących im żartów w kryzysowych momentach podczas prowadzonych przed wojną śledztw. Obaj panowie świetnie się rozumieli i bez problemu wchodzili

w swoje role. Nie zależało im bynajmniej na tym, żeby rozbawić przypatrującego się wszystkiemu Edwarda, robili to, by rozładować towarzyszące im przez ostatnie dni napięcie.

– No to chodźmy! – powiedział Wolak, czym znowu wprowadził Wiewióra w udawaną złość.

W chwili gdy Jastrzębski strzelał do oddalającego się w stronę lasu Andrzeja, Bohun przyglądał się wszystkiemu przez małe okno na strychu. Wszedł na samą górę budynku, ponieważ miał nadzieję, że uda mu się znaleźć coś cennego, co będzie mógł później spieniężyć. Czasu miał niewiele, dlatego jego poszukiwania były gorączkowe, chaotyczne i bardzo pobieżne. Przeglądał właśnie jedno z tekturowych pudeł stojących przy oknie, kiedy padły strzały. Odruchowo podniósł głowę i zobaczył swojego dowódcę i zarazem przyjaciela, który trafiony w plecy padł na ziemię. Widział podbiegającego do niego starego policjanta, z którym spędził wiele nocy przy ognisku, teraz jednak, gdyby znalazł się z nim twarzą w twarz, to bez wahania by go zabił. Uważał, że jest on współodpowiedzialny za śmierć Rysia. W oczach Bohuna Wolak był zdrajcą, któremu należała się kulka w łeb. Do tej pory wydawało mu się, że jego dowódca jest niczym jeden z bohaterów jego ulubionej *Trylogii* i zawsze uda mu się cało wyjść z każdej opresji. Pamiętał zawile losy Kmicica czy niebezpieczeństwa, jakie były udziałem Skrzetuskiego, i mocno wierzył, że podobnie będzie z Rysiem. Mimo że śmierć bez przerwy szła śladem jego dowódcy, to nie wierzył, że kiedyś uda się jej go dogonić.

Teraz, spoglądając przez małe prostokątne okienko, w którym niczym na ekranie minikina oglądał śmierć swojego bohatera, Bohun czuł, że cały jego świat się zawalił. Patrzył na zimną, zniechęconą twarz oficera UB, który trzymając w dłoni pistolet, mówił coś do Wolaka. Obraz przed jego oczami stawał się coraz bardziej zamglony. Przez moment w głowie partyzanta pojawiła się myśl, żeby posłać w ich stronę serię z pepeszy, szybko ją jednak odgonił, zdając sobie sprawę, że w ten sposób nie wyrządziłby tamtym żadnej krzywdy. Poza tym zobaczył, jak Jastrzębski pokazuje coś Wolakowi klęczącemu nad ciałem zastrzelonego

dowódcy. Bohun przygarbił się jeszcze bardziej, tak by mieć lepszy widok przez niewielkie okno. To, co ujrzał, upewniło go, że podjął dobrą decyzję, nie strzelając. Od strony lasu nadciągała szeroka tyraliera grupa żołnierzy z KBW. Zrozumiał, że jest już za późno na ucieczkę. Na dworze był jeszcze komendant posterunku ze swoim zastępcą, a za chwilę dołączą do nich żołnierze. Jeśli chce przeżyć, musi znaleźć sobie jakąś kryjówkę tutaj. Rozejrzał się po zagraconym poddaszu. Miejsce to wydawało się idealne, żeby się ukryć. Pełno w nim było pudeł, starych rupieci, porozwieszanych na sznurach płaszczy, kurtek. Partyzant poczuł się jak Onufry Zagłoba, który musi ukryć się na stryszku przed ścigającym go najciekawszym i chyba nie do końca wykorzystanym przez Sienkiewicza bohaterem, jakim był młody, odważny i gotowy na wszystko Kozak – Bohun, na którego cześć on sam przyjął partyzancki pseudonim.

Zemsta może poczekać – pomyślał, szukając odpowiedniego miejsca na kryjówkę – teraz należy ratować swoje życie. Musi przetrwać ktoś, kto będzie niósł pamięć o współczesnych bohaterach, którzy walczyli za kraj nie mniej dzielnie niż ci stworzeni przez Sienkiewicza.

Kudłaty, któremu również udało się wykaraskać z tarapatów, w jakie wpadła cała grupa legendarnego Rysia, był nieco innego zdania niż Bohun. Od kilku dni miał już dość. Widział, że ich dowódca się zmienił, a w jego postępowaniu coraz trudniej było doszukać się jakiegokolwiek logiki.

Gdy tylko się ocknął po uderzeniu otrzymanym od Wolaka i spod półprzymkniętych powiek zobaczył, że obaj przedwojenni policjanci gdzieś się ulotnili, a został jedynie ten młody ubek, który akurat był do niego odwrócony tyłem i pochłonięty strzelaniem w stronę dworu, Kudłaty postanowił uciec. W duchu obiecał sobie, że jeśli tylko uda mu się ujść z życiem, to już nigdy nie weźmie do rąk broni i nikogo nie skrzywdzi. Zmieni nazwisko, miejsce zamieszkania i rozpocznie nowe życie. We wszystkim, co go spotkało, czuł działanie Boga, który po raz kolejny, tym razem na pewno już po raz ostatni, wyciągnął do niego pomocną dłoń. Postanowił jej nie odtrącać. Nie odwracając się, ruszył pędem w stronę parkanu, który przeskoczył. Znalazłszy się na drodze wiodącej ku wsi, czuł się o wiele bezpieczniej.

Godzinę później siedział na wozie pełnym siana i wraz z przygodnie

spotkanym chłopem jechał w stronę wioski oddalonej od dworu Bralewskich o ponad dziesięć kilometrów. Postanowił, że doczeka tam zmroku, a potem ruszy w dalszą drogę, żeby przed świtem być jak najdalej stąd. Kudłaty z pewnością w niczym nie przypominał bohaterów z kart *Trylogii*, dużo bliżej było mu do biblijnego Piotra. Dla ocalenia własnego życia gotów był w tej chwili wyprzeć się znajomości z Rysiem i pozostałymi chłopakami z oddziału.

63.

Prędzej spodziewałbym się tutaj samego diabła – powiedział Nikodem, patrząc na idącego w jego kierunku Edwarda Jastrzębskiego. Kiedy jego spojrzenie zatrzymało się na twarzy Wiewióra wykrzywionej wściekłością, którą wywołały trudy przedzierania się na wózku przez gęste zarośla, Nikodem nie potrafił powstrzymać uśmiechu. – W niezłym towarzystwie teraz się obracasz.

Jastrzębski odwzajemnił dawnemu koledze mało szczery uśmiech i popatrzył na chylący się ku ruinie szałas, przy którym siedzieli Nikodem i Jerzy.

– A ty, jak widzę, zamieniłeś ekskluzywne lokale na nieco skromniejsze warunki.

Morawski wzruszył ramionami.

– Powiedzmy, że miejski klimat ostatnio mi nie służył, dlatego postanowiłem przenieść się na łono natury. A co ciebie tutaj sprowadza?

Jastrzębski zauważył, że przez cały czas ich rozmowy siedzący obok Morawskiego partyzant przypatruje mu się badawczo, a lufa leżącego na jego kolanach MP 40 skierowana jest w jego stronę.

– Ja i towarzyszący mi panowie mamy do ciebie pewien interes.

Morawski gwizdnął przeciągle, udając zdziwienie.

– Od kiedy to przestajesz z panami, a nie towarzyszami?

Jastrzębia zaczęły już drażnić te żarty. Pragnął przejść do konkretów.

– Sprawa jest naprawdę poważna, dlatego wołałbym, żebyśmy od razu się nią zajęli, a nie tracili czas na niepotrzebną gadkę.

– Masz jak zawsze bezbłędne wyczucie sytuacji – odezwał się wciąż lekko kpiącym tonem Nikodem. – Lada moment wrócą tu partyzanci,

kórtzy raczej nie będą mieli dla ciebie zbyt wiele zrozumienia, a ty chcesz wszystko szybko załatwić i ulotnić się przed ich przybyciem. Widzę, że instynkt samozachowawczy wciąż jeszcze cię nie opuścił!

– Partyzanci nie wrócą – rzekł zimno Wolak.

Brodzki po raz pierwszy oderwał wzrok od Jastrzębskiego i z niedowierzaniem patrzył na starego komisarza.

– O czym ty mówisz, Janek? – spytał.

Wolak westchnął ciężko. Nie wiedział, jak się do tego zabrać. Całą drogę zastanawiał się, jak informacje o tym, co się wydarzyło w posiadłości Bralewskich, przekazać Jurkowi. Nie miał żadnego pomysłu.

– Ocaleli tylko Kudłaty i Bohun – wyrzucił w końcu z siebie. – Jeśli mieliby wrócić, to już by tu byli. Podejrzewam, że postanowili opuścić tę okolicę.

Jurek zbladł. W tej chwili nie docierało jeszcze do niego to, że koledzy nie raczyli nawet przyjść, by poinformować go o nieudanej akcji. Jego umysł próbował poradzić sobie z wiadomością o śmierci Żyłki, Szopena i Rysia.

– To nie wszystko. – Głos Wolaka zaczął lekko drżeć. Brodzki od razu wyczuł, że to, co za moment usłyszy, może być dużo gorsze od informacji o śmierci kolegów z oddziału. – Była tam także twoja siostra.

Jurek zerwał się na równe nogi. Trzymany na kolanach szmajser upadł na ziemię. Nikt na to jednak nie zareagował. Chłopak wpatrywał się w twarz komisarza i kręcił głową. On już wiedział, co za chwilę usłyszy. Jednak jeszcze jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu, że może jego przecucia okażą się nietrafne. Błagalnym wzrokiem patrzył na Wolaka, jakby chciał odczarować rzeczywistość, sprawić, by z ust komisarza nie padły słowa, które sprawią mu ból dużo większy niż ten, jaki dotychczas odczuwał.

– Ona... – zaczął Janek, lecz musiał przerwać dla zaczerpnięcia oddechu, gdyż dalsze słowa uwięzły mu w gardle – ...nie żyje.

Jurek stał przez jakiś czas nieruchomo, w końcu słabym głosem spytał:

– Jak to się stało?

Wolak opowiedział mu o wszystkim. Brodzki słuchał i kręcił z niedowierzaniem głową. Wszystko to wydawało mu się czymś tak nieprawdopodobnym, że nie potrafił w to uwierzyć. Nie mógł zrozumieć,

że miłość, to jedno z najpiękniejszych na świecie uczuć, doprowadziła tych dwoje bardzo bliskich mu ludzi do śmierci. Upatrywał w tym jakiegoś fatum ciężącego nad jego siostrą i dowódcą. Widział, że ostatnio relacje między nimi nieco się popsuły, ale wierzył, że były to jedynie przejściowe zawirowania.

Kiedy Wolak skończył mówić, Brodzki spojrział na Jastrzębskiego. Nie czuł strachu przed tym ubeckim oficerem. Zdawał sobie sprawę, że nie przyszedł on tutaj po to, by go aresztować. Zresztą wyczuwał, że to tamten czuje lęk i zjawił się tu, aby ratować swoje plugawe życie. Jurek mógł sięgnąć po leżący na ziemi pistolet maszynowy i przeciągnąć serią po brzuchu ubeka, ale nie czuł takiej potrzeby. Miał już dość zabijania. W swoim młodym życiu za często był świadkiem, jak ktoś umiera. Chciał z tym skończyć. Zemsta była pustym, niedającym ukojenia słowem.

– Jak ja o tym wszystkim powiem rodzicom? – odezwał się, patrząc bezradnie na zgromadzonych wokół mężczyzn.

Nikt się nie odezwał.

– Po co on mnie ratował? – spytał po chwili samego siebie zrozpaczony chłopak. – Lepiej by było, gdyby mnie wtedy rozstrzelali!

– Zadawałem sobie podobne pytania – odezwał się milczący do tej pory Wiewiór – kiedy straciłem obie nogi. Też wówczas myślałem, że lepiej by dla mnie było, gdybym nie przeżył. Uwierz mi, że czas leczy rany. Nie uzdrawia, bo jeśli by tak było, to kulasy by mi odrosły, ale leczy.

Jurek patrzył na inwalidę, usilnie się nad czymś zastanawiając. Kiedy ponownie się odezwał, w jego głosie słychać było dawną pewność siebie.

– Nie mogę pokazać się we wsi, a koniecznie muszę spotkać się z rodzicami. Ktoś z was musi mi to w jakiś sposób umożliwić.

– Zajmę się tym – rzekł Wolak, wymownie patrząc na Jastrzębskiego. – Najpierw jednak pozwól, że porozmawiamy z twoim więźniem.

Ostatnie słowo komisarz wypowiedział trochę niepewnie, ponieważ Morawski nie był skępowany i widać było, że relacje łączące obu mężczyzn są dalekie od stosunku strażnika do więźnia.

– Wiele razem przeszliśmy – rzekł Brodzki, patrząc w stronę Morawskiego siedzącego na przewróconym pniu – a nic tak nie cementuje znajomości jak wspólne przebywanie w celi śmierci, dlatego śmiało mogę nazwać Nikodema swoim przyjacielem.

Siedzący na pniu mężczyzna skinął z uśmiechem głową.

– Dziękuję, Jurek. Wiesz, że tak samo myślę o tobie!

Jastrzębski już szykował się do jakiejś ironiczno-kpiącej wypowiedzi, ale zimne spojrzenie, które posłał mu Wolak, zamknęło mu usta.

– Jeżeli masz ochotę – zwrócił się do Brodzkiego komisarz – to oczywiście możesz przysłuchiwać się naszej rozmowie. Ostrzegam jednak, że usłyszysz wówczas rzeczy, które mogą okazać się na tyle ważne, że ich znajomość będzie ci ciążyć.

– Rozumiem. – Brodzki wydawał się powoli wracać do siebie. – W tej chwili chciałbym побыć sam na sam. Myślę, że długi spacer po lesie dobrze mi zrobi. Spotkajmy się tutaj po zmroku.

– W porządku – odparł Wolak.

Brodzki schylił się po leżący na ziemi pistolet maszynowy.

– To na wypadek, gdybym spotkał po drodze nieproszonych gości – powiedział i chwilę później zniknął wśród gęsto rosnących drzew.

– Cieszę się, że w końcu udało się panu mnie odnaleźć, komisarzu Wolak! – odezwał się Morawski, po czym podniósł się i z wyciągniętą prawicą podszedł do byłego policjanta.

Zdezorientowany Wolak uścisnął dłoń Nikodema.

– Jak to mówią – Morawski podszedł przywitać się z Wieczorkiem, a na koniec, z lekkim ociąganiem z Jastrzębskim – lepiej późno niż wcale!

– Obawiam się, że nie do końca rozumiem, o co panu chodzi – rzekł komisarz.

– Po prostu wiedziałem, że wcześniej czy później pan mnie odnajdzie – powiedział w nieco zagadkowy sposób Nikodem. – Inaczej nie przesyłałbym panu wiadomości.

– Jakiej wiadomości?

Komisarz zmarszczył brwi. Towarzyszący mu mężczyźni także z coraz większym zainteresowaniem przysłuchiwali się tej dziwnej rozmowie, zastanawiając się, w jakim kierunku ona zmierza.

Morawski cmoknął z niezadowoleniem i z udawaną dezaprobatą

pokręcił głową.

– Panie komisarzu, proszę się trochę wysilić, bo pomyśle, że zawierając panu swoje życie, popełniłem błąd.

Wolak przyglądał się stojącemu przed nim mężczyźnie, którego widział na oczy po raz pierwszy w życiu, i zastanawiał się nad wypowiedzianymi przez niego słowami. Jaką wiadomość przesłał mu ten człowiek w ciągu ostatnich dni? Co ma na myśli, mówiąc, że zawierzył mu swoje życie? O co w tym wszystkim chodzi? Komisarz zdjął kapelusz i przeczesał palcami spocone włosy. Było gorąco, a on powoli miał już wszystkiego dość. Dzisiejszy dzień wystarczająco mocno nadwerężył jego cierpliwość i ostatnią rzeczą, jakiej teraz pragnął, było odpowiadanie na zagadki serwowane mu przez tego bezczelnego typa. To on miał udzielić mu kilku odpowiedzi niezbędnych do zakończenia śledztwa, a tymczasem wszystko dzieje się na odwrót. Komisarz przełknął ślinę. W ustach odczuwał suchość spowodowaną upałem, pragnieniem i mnóstwem wypalonych papierosów. Czuł, jak nagromadzona w żołądku żółć podchodzi mu do gardła i zaczyna palić zgałą, której nie pozbędzie się pewnie przez najbliższych kilka godzin. Dlatego nie mógł odmówić sobie jedynej przyjemności, która mu została, czyli opieprzenia tego pyszałkowatego chłopaczka. Postanowił ulżyć sobie na nim za wszystkie przykre rzeczy, jakie go ostatnio spotkały. Kilka soczystych przekleństw, wplecionych w zdanie, że „od zadawania pytań to jest tutaj on, a nie kto inny”, powinno na początek wystarczyć.

Właśnie chciał to powiedzieć, kiedy go olśniło. Przez kilka sekund stał z rozdziawionymi ustami, bardziej przypominając mało rozgarniętego wiejskiego półgłówka niż niegdysiejszą dumę stołecznej policji.

– To ty! – wyrzucił w końcu z siebie.

Wszyscy patrzyli na niego, próbując cokolwiek odgadnąć z tej enigmatycznej wypowiedzi, jaką ich uraczył.

– Janek! – Nie wytrzymał Wiewiór. – Niech któryś z was zacznie się trochę jaśniej wyrażać, bo inaczej w końcu pojawi się tutaj ten nierozgarnięty sierżant ze swoją równie mało błyskotliwą trzódką chłopców z KBW i wówczas waszą rozmowę będziecie kończyć w mniej komfortowych warunkach!

Wydawało się, że Wolak w ogóle nie przejął się słowami kolegi. Wpatrywał się jeszcze w Nikodema i próbował wszystko ułożyć sobie

w głowie. Czekał, aż kolejne elementy układanki znajdą się na odpowiednim miejscu. Kiedy ponownie zabrał głos, przypominał profesora wyjaśniającego swoim studentom trudne zadanie z fizyki.

– Gdy wyjechaliście z Warszawy, ja jeszcze raz spotkałem się z tym kelnerem z Europejskiej. Dowiedziałem się od niego o jednym istotnym szczególe, który pominął podczas naszej pierwszej rozmowy.

– A mianowicie jakim? – ponaglił Wolaka Wiewiór.

– Takim, że w momencie gdy opuszczał pokój, w którym leżała zamordowana Sonikówna, na jej plecach nie zauważył żadnych okaleczeń.

– Jeżeli to prawda – wtrącił Wieczorek – to nasze niektóre dotychczasowe koncepcje legną w gruzach.

– Mylisz się – przerwał mu Wolak. – Przecież od początku zakładaliśmy, że tego morderstwa nie dokonał poszukiwany przez nas seryjny zabójca.

– Kto w takim razie pozostawił na plecach ofiary krwawe serce? – Jastrzębski spojrzał pytająco na dwóch bardziej od niego doświadczonych śledczych.

Wiewiór milczał. Natomiast Wolak uśmiechnął się triumfująco i palcem wskazał na Nikodema.

– On! To była wiadomość, jaką mi zostawił. Zgadza się, panie Morawski?

– Odgadł pan, komisarzu! – przyznał Nikodem. – Być może wcale się nie pomyliłem co do siły pańskiego intelektu. Pewnie już pan się domyśla, dlaczego to zrobiłem.

Wolak przytaknął.

– Mam pewne przypuszczenia.

– Śmiało, proszę się nimi z nami podzielić – zachęcił Morawski.

– Podejrzewam, że gdy tamtego feralnego dla ciebie dnia obudziłeś się koło martwej Wiery, w pełni zdałeś sobie sprawę, że zostaniesz wrobiony w to morderstwo i nie uda ci się od niego wywinąć. Dlatego postanowiłeś zrobić coś, co sprawiłoby, że nie będzie cię tak łatwo oskarżyć o zabicie żony partyjnego dygnitarza.

Wolak mówił i cały czas obserwował Nikodema, próbując odczytać z jego twarzy, czy te przypuszczenia są słuszne. Na razie wyglądało na to, że się nie myli, postanowił więc kontynuować.

– Nie przewidziałeś tylko tego, że Urząd Bezpieczeństwa, którym kieruje Stasiak, wcale nie będzie zabiegał, aby zebrać tyle dowodów, ile trzeba, żeby cię skazać.

– To fakt, miałem nadzieję, że to wszystko potrwa nieco dłużej. Łudziłem się, że pierwszy sekretarz nie uwierzy tak łatwo, że zabiłem jego żonę. W całym moim naprędcie wymyślonym planie największą rolę odgrywał czas, a właśnie akurat jego mi zabrakło!

– Makowskiego nie ma co posądzać o naiwność – wtrącił Jastrzębski. – On po prostu chciał, aby człowiek odpowiedzialny za śmierć jego ukochanej jak najprędzej został skazany.

– Być może – niechętnie rzekł Nikodem. – Ja jednak upierałbym się przy tym, że dał się zmanipulować, a może nawet bardzo na rękę była mu moja śmierć.

– Dlaczego akurat musiał pan zostawić na plecach ofiary ślad, czy też raczej podpis, jakiego używał nieuchwytny przedwojenny morderca? – zainteresował się Wieczorek.

– Spodziewałem się tego pytania – rzekł Morawski. – Odpowiedź może wydać się nieco banalna, ale proszę sobie wyobrazić, w jakiej sytuacji się wówczas znajdowałem. Obudziłem się koło martwej kobiety, z którą spędziłem całkiem przyjemną noc. Wiedziałem, że jest ona żoną wysokiego rangą urzędnika państwowego, i przede wszystkim zdawałem sobie sprawę, że lada moment kilku funkcjonariuszy wejdzie do pokoju, by mnie aresztować. To, że zostałem wrobiony, nie ulegało żadnej wątpliwości. Nie miałem zbyt wiele czasu na zastanawianie się, musiałem działać. Przed wojną z olbrzymim zainteresowaniem śledziłem wszelkie doniesienia na temat grasujących w Polsce seryjnych zabójców. Szczególnie zapadł mi w pamięć morderca, którego tropem podążała dwójka najlepszych stołecznych śledczych, a którego schwytanie przerwał wybuch wojny. Z dostarczanych mi raportów wiedziałem, że jeden z tych śledczych wciąż jeszcze żyje i jest członkiem reakcyjnej bandy. O losach drugiego – Morawski posłał spojrzenie w kierunku siedzącego na wózku Wieczorka – nic mi nie było wiadomo. Cieszę się jednak, że i panu udało się przetrwać koszmar wojny.

Wieczorek wymownie podciągnął kraciasty koc, tak by każdy mógł zobaczyć ukryte pod nim kikuty.

– Owo przetrwanie – powiedział z przekąsem – miało dosyć wysoką

cenę.

– W każdym razie – kontynuował Morawski – uczepliłem się myśli, że któryś z pracujących w milicji funkcjonariuszy przypomni sobie, jak przed wojną zabijano kobiety w podobny sposób, zostawiając na ich ciele wyróżnione serce z wpisaną w środek literą „W”. Miałem nadzieję, że wówczas pojawi się pomysł, żeby ściągnąć jedyną osobę, która byłaby w stanie schwytać mordercę. – Nikodem zatrzymał wzrok na słuchającym go z uwagą Wolaku. – W panu pokładałem nadzieję. Tylko pan mógłby odkryć prawdę i nie bać się wyciągnąć jej na światło dzienne. Na pracujących w UB czy MO funkcjonariuszy nie mogłem liczyć, gdyż wszyscy oni chodzą na krótkim łańcuchu, którego koniec trzyma Wincenty Stasiak, a jemu nie zależy na prawdzie, tylko na mojej śmierci!

– Wydaje mi się, że nieco przecenił pan moje możliwości – rzekł komisarz. – Chociaż od wielu lat poszukuję tego zabójcy, to wciąż jest on na wolności.

– Do mnie jednak udało się panu dotrzeć – odparł Morawski.

– To nie do końca tak. Pański plan udało się zrealizować w dużej mierze dzięki wielu zbiegom okoliczności.

– To chyba w pracy śledczej jest równie przydatne jak szczęście – przerwał komisarzowi Nikodem. – Dedukcja plasuje się dopiero gdzieś na trzecim miejscu.

– Może ma pan rację – niechętnie przyznał Wolak. – Jednak mylił się pan co do tego, że ktoś z samej góry wpadnie na pomysł, żeby wyciągnąć mnie z lasu i zaangażować w tropienie zabójcy.

– Jak to? – zdziwił się Morawski. – Przecież jest pan tutaj!

– Tylko dzięki mojemu przyjacielowi Zygmunutowi, któremu udało się przekonać pańskich dawnych mocodawców do tego, żeby włączyć mnie do śledztwa.

Nikodem przez chwilę się nie odzywał. Próbował wszystkie informacje poukładać sobie w głowie.

– Czyli jednak mój plan okazał się trafny! – powiedział w końcu. – Wszystkiego oczywiście nie udało mi się przewidzieć, ale główne założenia zostały zrealizowane!

– Jak w takim razie wytłumaczyć to, że ledwo uszedł pan z życiem? Przecież gdyby nie akcja, w czasie której odbito Jurka i przy okazji pana,

to dzisiaj byśmy tutaj ze sobą nie rozmawiali!

– Mówiłem już o tym, nie przewidziałem tego, że wszystko się tak szybko potoczy. Byłem pewien, że wytoczą mi pokazowy proces, który mogłaby śledzić cała Polska i który trwałby kilka tygodni, a tymczasem skazano mnie po jednej rozprawie bez żadnych dowodów!

– Musiał pan nieźle zaleźć im za skórę, skoro tak bardzo chcieli się pana pozbyć – rzekł Wiewiór.

– Bardziej, niż się wam wydaje.

Wieczorek zrobił zdziwioną minę, która zdradzała wielkie zainteresowanie słowami Nikodema. Chciał jeszcze o coś spytać, ale szybszy okazał się jego przyjaciel.

– Nie rozumiem, jaka jest teraz nasza rola w dalszej części wymyślonemu przez pana planu

– Rzecz jasna musiałem wszystko raz jeszcze przemyśleć i nieco zmodyfikować. Jednak pomoc zarówno pana, jak i komisarza Wieczorka jest dla mnie w tej chwili nadal bardzo ważna. Chciałbym, żebyście odnaleźli człowieka odpowiedzialnego za zamordowanie żony pierwszego sekretarza i dowiedli mojej niewinności. Kiedy uda się to zrobić, moim zadaniem będzie skłócenie towarzysza Makowskiego z szefem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, ale do tego już nie będę potrzebował waszej pomocy. Nie muszę chyba nadmieniać, że gdy to wszystko pójdzie po mojej myśli, stanę się na tyle ważną osobą w państwie, że odwdzięczę się wam za okazaną pomoc. Kto wie, może dzięki mnie obaj wróćcie do wykonywania dawnego zawodu?

Wolak uśmiechnął się pod nosem. Nie uszło to uwagi Morawskiego.

– Powiedziałem coś śmiesznego?

– Ależ skąd – odparł komisarz. – Co jednak stanie się z nami, kiedy pański zmodyfikowany plan się nie powiedzie?

– No cóż, lepiej dla nas, żeby wszystko poszło po mojej myśli. Wolę nie rozważać innej możliwości.

Wieczorek niespokojnie poruszył się na wózku, jakby coś zaczęło uwierać go w tyłek.

– Niech mnie pan poprawi, jeżeli się mylę, ale o ile dobrze zrozumiałem, to chce pan przy naszej pomocy zrzucić ze stanowiska dwie najpotężniejsze osoby w państwie i potem przejąć ich kompetencje?

– Zgadza się – przytaknął Morawski.

– Jak pan sobie to wszystko wyobraża?!

– Mam pewne kompromitujące informacje na temat Wincentego Stasiaka; jeżeli ujrzą one światło dzienne, facet będzie skończony. Jeszcze tego samego dnia samolot przewiezie go do Moskwy, a stamtąd prosto na Łubiankę. Makowski także jest w tym wszystkim umoczony. Pewnie straci swoje stanowisko, ale życie uda mu się zachować.

– To dlatego szef MBP tak bardzo chciał się pana pozbyć. – Wiewiór westchnął i zaczął szukać po kieszeniach papierosów.

– Stasiak wiedział, że lada dzień ujawnię pewne dokumenty, z których jasno wynika, że sprzeniewierzył się nie tylko swojej ojczyźnie, ale przede wszystkim towarzyszom ze Związku Radzieckiego. A oni, jak wiadomo, czegoś takiego nie wybaczą.

– Czy Stasiak okazał się imperialistycznym szpiegiem? – spytał Wolak, któremu nie uśmiechało się wydawać w ręce czerwonych oprawców kogoś, kto działa na rzecz obalenia komunizmu.

Morawski jednak rozwiął jego obawy. Roześmiał się głośno i powiedział:

– To nie w jego stylu! On myśli tylko o sobie. Jako minister kierował specjalną grupą pracującą na terenach przyłączonych do Polski po wojnie... – Urwał nagle i spojrzał na Jastrzębskiego. – Edward, a po czyjej ty właściwie jesteś stronie?

Jastrząb nie był przygotowany na to pytanie. Poczował, jak fale gorąca zalewają jego ciało. Poruszył palcami, które były śliskie i mokre niczym skóra węgorza. Otworzył usta i wydukał:

– Wydarzenia ostatnich dni jasno pokazały, że nie ma dla mnie miejsca wśród ludzi Wincentego Stasiaka. Dlatego szukam kogoś, kto chciałby wykorzystać moje doświadczenie pracy w służbach specjalnych i stać się moim nowym mocodawcą.

Morawski badawczo przyglądał się Edwardowi.

– Myślę, że właśnie udało ci się znaleźć kogoś, kto nie tylko chętnie skorzysta z twoich umiejętności, ale z pewnością także je doceni. Chyba nie masz nic przeciwko temu, żebym zaproponował ci współpracę?

– Zaufasz mi? – spytał zdziwiony Jastrząb.

– W tej chwili obaj znajdujemy się w podobnej sytuacji. Dopóki nie

pozbedziemy się Stasiaka, to jesteśmy spaleni. Na szczęście pozostały nam pewne znajomości, które możemy wykorzystać, żeby zrealizować mój plan.

Jastrzębski, słuchając wypowiedzi Nikodema, cały czas bezwiednie kiwał głową, przytakując każdemu jego słowu.

– Wciąż jeszcze nie wyjawiał nam pan, czym Stasiak zajmował się na Ziemiach Odzyskanych – odezwał się Wolak.

– Jak już wcześniej wspomniałem – Morawski powrócił do przerwane go wątku – Stasiak kierował specjalną grupą, która na zachodnich rubieżach naszego nowego państwa poszukiwała ukrywających się niemieckich oficerów. Zadaniem tej specgrupy było wytropienie ich, schwytanie i przewiezienie do Warszawy. Później następował pokazowy proces hitlerowskich zbrodniarzy, dzięki któremu przez jakiś czas opinia publiczna odzyskiwała wiarę w sprawiedliwość i w to, że nowa władza wcale nie jest taka zła, jak się o niej mówi. Niestety, z czasem coraz rzadziej udawało się trafić na trop jakichś ukrywających się pod zmienionym nazwiskiem hitlerowców. Większość z nich już dawno wyjechała do Argentyny, Paragwaju, Brazylii, Boliwii i diabli wiedzą gdzie jeszcze, by tam wieść spokojne, bezpieczne życie. Tutaj pozostali biedacy, których nie stać było na opłacenie takiej kosztownej podróży. Przynajmniej tak nam wszystkim się wydawało.

Morawski przerwał. Spojrzał na słuchaczy, żeby się zorientować, czy jego opowieść ich nie nuży. Kiedy nic takiego nie zauważył, kontynuował:

– Pod koniec tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku ludziom Stasiaka udało się znaleźć dość wysokiego rangą byłego gestapowca, odpowiedzialnego między innymi za czystki dokonane wśród ludności żydowskiej na Węgrzech. Dowieźli go do Stasiaka, który zawsze osobiście przesłuchiwał wszystkich ludzi dostarczonych mu przez specgrupę. Więzień, podobnie jak wielu innych przed nim, został osądzony i skazany na śmierć. Wyrok wykonano w styczniu tego roku. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby nie to, że już na początku lutego cała specgrupa zginęła w zasadzce zorganizowanej przez jedną z leśnych band. Jechali cywilnym pojazdem, wszyscy mieli na sobie zwykłe ubrania oraz dokumenty wskazujące na to, że są grupą muzealnych kustoszy jeżdżących po kraju w poszukiwaniu śladów zrabowanych w czasie wojny dzieł sztuki. Nikt nie miał pojęcia, kim naprawdę są ci ludzie. O ich istnieniu wiedział tylko Wincenty Stasiak. Strzelanina, w której zginęli, wyglądała na starannie

zaplanowaną pułapkę. Ktoś musiał poinformować reakcjonistów o trasie przejazdu specgrupy oraz o innych szczegółach dotyczących ich podróży.

– Skąd takie podejrzenie?

– Byłem na miejscu zasadzki i widziałem wiele śladów, które świadczyły o tym, że nie był to przypadek. Ostrzelano cywilny samochód, który normalnie nie powinien stać się celem zainteresowania leśnych. A nawet jeśli tak by było, to najpierw zatrzymano by pojazd, wylegitymowano jadących nim ludzi, przeszukano i albo zabrano ze sobą, albo puszczono wolno. A tymczasem tak się nie stało. Od razu otworzono ogień, tak jakby strzelający zza drzew bandyci doskonale wiedzieli, kto podróżuje tym samochodem.

– Nadal jednak nie bardzo ogarniam obraz całości – powiedział niewyraźnie Wiewiór, trzymający w ustach nieodpalonego papierosa. – Co to wszystko ma wspólnego ze Stasiakiem i z tobą?

– Dość dobrze znałem jednego z ludzi pracujących w specgrupie. Poznaliśmy się, działając w Ochotniczych Rezerwach Milicji Obywatelskiej, skąd szybko przeniesiono nas wyżej, jako „młodych i dobrze rokujących”. Zwierzył mi się kiedyś przy wódce, że czuje wokół siebie jakiś smród. Kiedy spytałem go, co ma na myśli, nie chciał nic więcej powiedzieć. Kilka dni później dostałem od niego zaszyfrowaną wiadomość ze współrzędnymi miejsca, w którym ukrył dla mnie jakąś paczkę. Prosił, żebym wydobył ją tylko w razie jego ewentualnej śmierci.

– Co było w tej paczce? – spytał Wolak.

– Zeszyt, w którym Zdzisiek zapisywał wszystkie swoje spostrzeżenia dotyczące pracy w specgrupie. Ostatnie zapiski odnosiły się do schwytania hitlerowca, który próbował przekupić ich, by puścili go wolno. Obiecał, że w zamian zdradzi im miejsce ukrycia zrabowanych przez jego przełożonych dzieł sztuki, ukrytych gdzieś na terenach województwa wrocławskiego. Żaden z nich nie brał na poważnie słów hitlerowca, jednak o wszystkim poinformowano Stasiaka, który dwa dni później wraz z więźniem udał się samochodem w miejsce, o którym opowiadał były hitlerowiec. Kiedy wrócili, minister twierdził, że Niemiec go okłamał i nic nie znaleźli. O całej sprawie zapomniano.

– Co w takim razie budziło pańskie podejrzenia?

– Ostatnia notatka Zdziśka, sporządzona dzień przed jego śmiercią!

– Co zawierała?

– Trochę niejasne informacje, w których więcej było mglistych podejrzeń niż popartych dowodami faktów. Zdzisław uważał, że Stasiak chce raz na zawsze pozbyć się całej specgrupy. Wciąż jednak nie miał niczego, co mogłoby to potwierdzić. Napisał, że po powrocie ze Szczecina, dokąd z nowym zadaniem wysłał ich minister, przyjrzy się wszystkiemu dokładnie i wtedy na pewno zdobędzie coś, co by potwierdzało, że szef MBP jest umoczony w niezłym szambie.

– Niestety, nie udało mu się to – skonstatował Jastrzębski.

– Mylisz się, zdobył te dowody – rzekł Nikodem.

– Jak to?

– Śmierć jego i całej grupy w połączeniu z zapiskami, które po sobie zostawił, są najlepszym dowodem na to, że Stasiak jest w to zamieszany.

Wolak cmoknął z niezadowoleniem.

– Wydaje mi się, że to jednak trochę za mało.

– Ja też tak sądziłem, dlatego powęszyłem wokół całej tej sprawy. Od kierowcy Stasiaka wydobyłem informację na temat tego, gdzie jeździli razem z niemieckim więźniem. Pojechałem we wskazane miejsca. Popytałem wśród miejscowych i kilku rzeczy się dowiedziałem.

– Jakich?

– Stasiak kazał zamknąć jeden z kościołów. Spotkało się to z niezadowoleniem ludzi. Pytani przeze mnie funkcjonariusze z tamtejszego posterunku MO twierdzili, że to wszystko w ramach walki z klerem.

Wieczorek wzruszył ramionami.

– Też nie widzę w tym nic podejrzanego.

– A jest wręcz przeciwnie. Tamtejszy proboszcz okazał się niemieckim duchownym, który po zakończeniu wojny nie opuścił swojej parafii, twierdząc, że jest z nią za mocno związany. Władze polskie ze względu na to, że tuż po wyzwoleniu przysłużył się ludności polskiej i niemieckiej w tamtejszych stronach, przekonując ich, że wzajemna niechęć i nienawiść do niczego dobrego nie prowadzą, pozwoliły mu zostać w parafii. Dzięki niemu przez pierwsze tygodnie repatrianci ze Wschodu i dawni mieszkańcy tych ziem żyli obok siebie, nie próbując się wzajemnie wymordować. Później oczywiście jedni na zawsze stamtąd wyjechali, a drudzy wprowadzili się do ich domów.

– Proboszcz jednak pozostał – wtrącił Wolak. – I jak przypuszczam, pomagał ukrywającym się na tych terenach byłym hitlerowcom, wśród których znalazł się ten schwytyany przez specgrupę.

– Zgadza się – potwierdził Morawski. – Jego zadaniem było również strzeżenie czegoś, co w maju czterdziestego piątego zostało ukryte w piwnicach kościoła. A on jak nikt inny nadawał się do tego zadania, ponieważ bardzo dobrze znał rozkład korytarzy biegnących w podziemiach starego kościoła.

– Taki kret i jego królestwo – powiedział z kpiącym uśmiechem Wiewiór.

– Powiedzmy, tyle że do tego królestwa zaczął się dobierać inny król, a mianowicie niepodzielny władca polskiej bezpieki, Wincenty Stasiak, który chcąc samemu wszystkim zawładnąć, wymyślił sposób na pozbycie się niepotrzebnych świadków. Nie przewidział tylko, że ktoś wpadnie na jego trop! – podsumował Morawski nie bez pewnej dumy w głosie.

– Ale kiedy się już o tym dowiedział – rzekł Wolak – wpadł na pomysł kolejnej intrygi, dzięki której mógłby bez budzenia niczyich podejrzeń pozbyć się także pana. Cóż za szatańsko przebiegły człowiek!

– W jaki sposób Stasiak dowiedział się o pańskich podejrzaniach? – wtrącił Wiewiór.

Twarz Morawskiego oblała się delikatnym rumieńcem.

– Głupia sprawa, ale sam wlażłem mu w łapska.

– Jak to?

Nikodem zaczerpnął głęboki haust powietrza.

– Pomyślałem, że jak dam mu do zrozumienia, że wiem o jego nikczemnych planach przywłaszczenia dóbr ukrytych w podziemnych labiryntach, to on sam poda się do dymisji, a ja, ujawniając wszystkie informacje, nie wspomnę o roli, jaką odegrał w całej tej historii.

Wiewiór zaśmiał się głośno.

– Muszę przyznać, że to bardzo honorowe, można by rzec, wręcz rycerskie.

Morawski uśmiechnął się gorzko.

– Tylko że w UB nie uświadczy się nawet jednego rycerza!

– Dlaczego wcześniej nie powiedział pan o swoich podejrzaniach? –

spytał Wieczorek. – Na przykład w czasie procesu? Może wówczas udałoby się panu uniknąć wyroku śmierci?

Morawski roześmiał się głośno, w czym zawtórował mu Jastrzębski.

– A kto by uwierzył człowiekowi podejrzanemu o dokonanie bestialskiego mordu na żonie pierwszego sekretarza?! W całym społeczeństwie nie znalazłaby się ani jedna osoba, która byłaby gotowa mnie wysłuchać! Przedstawiono mnie w takim świetle, że każdy domagał się mojej śmierci!

– Trzeba przyznać, że Stasiak sprytnie sobie to wszystko wymyślił – odezwał się Wolak. – Jedyńą na tyle silną osobą, która mogła zagrazać jego pozycji, był pierwszy sekretarz, ale do niego nie mógł udać się pan po pomoc, ponieważ nie chciałby on słuchać kogoś, kto został oskarżony o zamordowanie jego żony.

Wiewiór przypalił trzymanego w ustach papierosa. Zaciągnął się głęboko. Przez chwilę trzymał dym w płucach i wypuszczając go wolno, powiedział:

– Jeżeli minister MBP zawsze postępuje w podobny sposób, to przyjdzie nam się zmierzyć z nie lada przeciwnikiem.

Wolak pokiwał głową. Przypomniawszy sobie szefa gestapo Franza Molka, z którym los zetknął go w czasie wojny. Wówczas był pewien, że ma do czynienia z najprawdziwszym wcieleniem zła na ziemi. Myślał tak do tej pory. Teraz, usłyszawszy o metodach stosowanych przez Wincentego Stasiaka, musiał swoją opinię nieco zmodyfikować.

– Myślę, że damy radę panu pomóc – odezwał się po chwili z wyczuwalną pewnością siebie. Zawsze uważał, że na miano człowieka odważnego może zasłużyć jedynie ten, kto podejmuje się walki z przeciwnikiem dużo potężniejszym od siebie.

Na twarzy Nikodema pojawił się promienny uśmiech.

– Jest jednak kilka warunków – ostudził go komisarz.

– Słucham.

– Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem i stanie pan na czele MBP, to oprócz nietykalności dla mnie oraz Zygmunta musi pan zagwarantować ją także Jurkowi Brodzkiemu.

– Oczywiście – zgodził się szybko Nikodem. Spojrzał na znajdującego się obok Jastrzębia, zastanawiając się, czy nie wykorzysta on tego kiedyś

przeciwko niemu. Porzucił jednak tę myśl, obiecując sobie zająć się tym w stosownym momencie.

– Zorganizuje pan dla niego nową tożsamość, trochę pieniędzy na start i zapomni o jego przeszłości – wyliczał Wolak.

– Obiecuję, że nie zawiodę pańskich oczekiwań, tym bardziej że nic tak nie łączy ludzi jak wspólne mocne przeżycia, a tych ostatnio razem z Jurkiem miałem aż nadto. Proszę mi powiedzieć, ile czasu może zająć wam wytropienie prawdziwego mordercy Wiery Sonikówny?

Wolak zaczerpnął powietrza. Spojrzał na swoich towarzyszy, po czym powiedział:

– Już wiemy, kto jest mordercą, problem jednak leży gdzie indziej...

– Co?! – przerwał mu zdziwiony Morawski. – Dlaczego mówi pan o tym dopiero teraz?!

– Ponieważ – zaczął spokojnie Wolak – chciałem najpierw wysłuchać wszystkiego, co ma pan nam do powiedzenia.

– No to skoro już pan mnie wysłuchał, to proszę mi łaskawie zdradzić, kto zamordował Wierę Sonikównę!

– Dobrze – rzekł komisarz i zaczął swą opowieść, w której niebagatelną rolę odegrał bladej kelner Roman.

Kiedy skończył, słuchający go z najwyższą uwagą Nikodem przez długi czas nie mógł dojść do siebie.

– Jeszcze dziś musimy pojechać do Warszawy – odezwał się Morawski, kiedy tylko udało mu się trochę ochłonąć. – Edward, załatwisz mi spotkanie z Makowskim?

Jastrzębski się zawahał. Jeżeli chciał się z tego wszystkiego wycofać, to teraz był najodpowiedniejszy moment. Mógł donieść o wszystkim Stasiakowi, dzięki czemu ten miałby podanych na tacy Nikodema i pierwszego sekretarza, którego wreszcie by się pozbył. A Edward za wierną służbę dostałby nagrodę. Albo kulkę w łeb – pomyślał Jastrząb i patrząc prosto w oczy Nikodema, rzekł:

– Zorganizuję wszystko jak trzeba. Umówię was w bezpiecznym miejscu. Zrobię tak, żeby nikt się o tym nie dowiedział. Na miejscu spotkamy się w takim składzie jak w tej chwili plus Makowski.

Morawski uśmiechnął się z satysfakcją. Nareszcie wszystko zaczęło układać się po jego myśli. Plan, który jeszcze kilka tygodni temu wydawał

mu się niemożliwy do zrealizowania, był teraz na ostatniej prostej.

Nikodem sięgnął do kieszeni, z której wyjął kawałek pomiętej kartki i ołówek.

– Zostawię informację dla Jurka, że spotkamy się z nim najdalej pojutrze, i możemy ruszać. Macie jakiś samochód?

Jastrząb uśmiechnął się i z nieskrywaną dumą w głosie powiedział:

– Nie samochód, tylko chevrolet master z trzydziestego siódmego.

Morawski gwizdnął z podziwem.

– W takim razie będziemy w stolicy szybciej, niż myślałem!

64.

Stojący w bramie mężczyzna mocniej otulił się cienkim, spranym płaszczem, będącym prezentem od jedynej kobiety, którą naprawdę kochał. Majowe wieczory wciąż jeszcze były chłodne, a cienki materiał płaszcza, pamiętający czasy przedwojenne, dawał jedynie iluzoryczne poczucie ciepła. Nie pozwalał jednak zapomnieć mu, po co stoi w targanej przeciągami bramie. Spojrzał na zegarek – dochodziła dwudziesta druga. Stoi tutaj w bezruchu już ponad dwie godziny. Cierpliwy niczym przyczajony drapieżnik czekający na ofiarę, która wedle zapewnień mężczyzny miała się dzisiaj pojawić. Nie miał powodów, żeby mu nie wierzyć, ponieważ nigdy jeszcze się nie zdarzyło, żeby tamten go okłamał. Poza tym dowiedział się, że dzisiaj nic mu nie grozi, gdyż ścigający go od lat policjant opuścił stolicę. Byli więc tylko on i dziewczyna.

Podniósł kołnierz płaszcza i czekał. Pamięcią powrócił do chwil, kiedy był szczęśliwy. Do czasów, w których on i jego ukochana dzielili między siebie nie tylko mały pokój w kamienicy czynszowej, ale i każdy dzień, ciesząc się nim jak największym ofiarowanym im przez los darem. Od zawsze bał się kobiet i zarazem ich nienawidził. Wyjątkiem była ona. Matki nie znał. Z tego, co wiedział, była prostytutką, która zajmowała się nim do trzeciego roku życia. Później poznała jakiegoś mężczyznę, który bez pamięci się w niej zakochał, i postanowiła z nim wyjechać ze stolicy, by w innym mieście rozpocząć przykładowe życie. Jediną przeszkodą na drodze do realizacji tego planu byli on i jego dwa lata starsza siostrzyczka. Zakochana prostytutka nie miała żadnych skrupułów, żeby oddać rodzeństwo do przytułku prowadzonego przez siostry zakonne.

Czternaście lat później, kiedy jego siostra osiągnęła pełnoletność, oboje opuścili przytułek. On jako niepełnoletni pozostawał pod jej opieką, a ona przez te wszystkie lata była dla niego całym światem. Nieraz broniła go przed starszymi chłopakami, którzy stroili sobie z niego niewybredne

zarty, ponieważ dostrzegali jego ułomność, gdyż wielu rzeczy nie potrafił zrozumieć i kojarzył fakty znacznie wolniej niż jego rówieśnicy, a nawet i dzieci dużo młodsze.

Pamiętał, jak w okresie dojrzewania odkrył swoją cielesność i przyjemność, jaką daje masturbacja. Od tamtej chwili każdą nadarzącą się okazję wykorzystywał do samogwałtu. Starsi koledzy, wiedząc, że swojej skrywanej namiętności najchętniej oddaje się na poddaszu, gdzie siostry zakonne zwykły suszyć uprane prześcieradła, w które on się wycierał, kiedy już było po wszystkim, postanowili zrobić mu kolejnego psikusa. Pewnego popołudnia wysłedzili go, jak skradał się na strych, szybko pobiegli do przeoryszy, słynącej z surowej dyscypliny i bezwzględного podejścia do uciech cielesnych, i powiadomili ją, że słyszeli, jak ktoś zakrada się na stryszek. Stara zakonnica nie do końca ufała swoim podopiecznym, w końcu jednak postanowiła sprawdzić, czy jej nie okłamują. Ostrzegła, że jeżeli sobie z niej żartują, to nie ominie ich surowa kara. Przeorysza po cichutku zakradła się na poddasze i lawirując pomiędzy rozwieszonymi prześcieradłami, zaczęła skradać się w stronę dziwnych odgłosów dobiegających jej uszu. Jakież było jej zdziwienie, kiedy odsłaniając kolejne z białych płócien, ujrzała zapamiętałe masturbującego się jednego ze swoich podopiecznych. On jednak w ogóle nie dostrzegł jej obecności, ponieważ miał przymknięte oczy i był tak pochłonięty tym, co akurat robił, że obok mogłaby przemaszerować cała armia zakonnica, a on i tak nie zwróciłby na nie uwagi. Dopiero kiedy usłyszał nad sobą mocny głos przeoryszy, powrócił do przykrej rzeczywistości:

– Co robisz, synu?!

W pierwszej chwili pomyślał, że oto po wielu latach powróciła jego matka prostytutka, która przypominała sobie o nim i chce go teraz zabrać do siebie. Uśmiechnął się szeroko, siłą rozpędu wykonał jeszcze ręką kilka posuwisto-zwrotnych ruchów i doznał uczucia błogości. Na palcach poczuł znajome lepkie ciepło. Wytarł dłoń w prześcieradło i wciąż się uśmiechając, otworzył oczy.

– Ty mały, obrzydliwy zbrojeńcu! – usłyszał znowu ten sam głos. Tym razem pozbawiony jakichkolwiek śladów łagodności.

Zrozumiał, że stojąca nad nim kobieta z pewnością nie jest jego matką. Uśmiech niczym zbity szczeniak zniknął z jego twarzy, chowając się w jakimś innym, bezpieczniejszym miejscu. Pochylił głowę i wpatrując się

w podłogę, czekał na dalszą reprimendę.

Przeorysza odwróciła się w stronę chłopców stojących przy wejściu na strych. Na jej twarzy malował się złowrogi uśmiech.

– Zadzwońcie na zbiórkę! – krzyknęła. – Niech wszyscy zbiorą się w korytarzu!

Chłopcy posłusznie zbiegli na dół, żeby wykonać jej polecenie.

– A ty zejdziesz razem ze mną i przemaszerujesz pomiędzy wszystkimi, żeby pokazać im, jaką karę ponoszą ci, którzy oddają się rozpuszcie! Będziesz dla nich ostrzeżeniem, by nie robili tego co ty!

Przez całe dorosłe życie pamiętał wstyd i upokorzenie towarzyszące mu, gdy maszerował z opuszczonymi do kolan spodniami i majtkami na oczach wszystkich podopiecznych przytułku. Było to na szczęście ostatnie upokorzenie, jakiego doznał.

Jakiś czas później banda chłopaków siejących w przytułku postrach przestała mu dokuczać. Zupełnie stracili nim zainteresowanie. Zdawał sobie sprawę, że zawdzięcza to wszystko swojej siostrze, jednak przez długi czas nie potrafił zrozumieć, jak ona tego dokonała.

Pewnej nocy obudził się i poczuł bardzo silne parcie na pęcherz. Czym prędzej zszedł z łóżka i po cichu wyszedł na korytarz, oświetlony bladym światłem jarzeniówek. Przemknął szybko do toalety i kiedy się załatwiał, usłyszał dziwne pojękiwania i sapanie dobiegające z jednej z kabin. Pomyślał, że być może komuś coś się stało i jęczy teraz, cierpiąc tam jakieś męki. Postanowił temu nieszczęśnikowi pomóc. Wysikał się do końca i nie spuszczać wody, wyszedł ze swojej kabiny. Podeszedł do drzwi, zza których dochodziły przytłumione jęki. Rękę położył na gałce i pociągnął. Drzwi w toaletach pozbawione były haczyków, żeby nie można było zamknąć się od środka. Było to jedno z tych beznadziejnych zarządzeń personelu przytułku.

Kiedy otworzył drzwi, stanął twarzą w twarz ze swoją siostrą. Pierwszą jego myślą było: co ona robi w męskiej toalecie? Zaraz jednak pomyślał, że musiało się jej chcieć siku tak mocno jak jemu przed chwilą i z tego wszystkiego pomyliła drzwi. Być może to wyjaśnienie byłoby do przyjęcia, gdyby nie pewien dość istotny szczegół. Otóż dziewczyna nie była w toalecie sama. Był z nią jeden z tych chłopców, którzy zawsze mu dokuczali. Trzymał ją na rękach, a ona obejmowała go swoimi nogami i oboje, sapiąc, wykonywali dziwne szybkie ruchy.

To, że kojarzył fakty trochę wolniej niż inni, nie przeszkodziło mu tamtej nocy zrozumieć jednej z najważniejszych prawd. W życiu nie ma nic za darmo. Zrozumiał, że przestano mu dokuczać nie dlatego, że nagle jego prześladowcy stali się dobrymi, przykładnymi osobnikami. Były na to tylko dwa wytłumaczenia. Albo ktoś ich zastraszył, albo przekupił. W tym wypadku było jasne, że za jego bezpieczeństwo zapłaciła siostra. Waluta, której użyła, była niechlubną spuścizną po córach Koryntu, z których rekrutowała się także ich matka.

Tamtej nocy długo nie mógł zasnąć. Obiecał sobie, że już nigdy nie dopuści, by jego ukochana siostra musiała zamykać się w ciasnej, brudnej ubikacji z tym pryszczatym, niedomytym chłopakiem. Kiedy następnego ranka się obudził, zaszła w nim jakaś nadzwyczajna przemiana. Ze względu na zbyt ubogi zasób słownictwa, nie potrafił jej nazwać. Zrozumiał tylko, że zniknęło uczucie, które towarzyszyło mu, odkąd pamiętał. W ogóle nie czuł strachu. Jedząc śniadanie w stołówce, usiadł przy stoliku, który zwykle zajmowali chłopcy z bandy. Wiedział, że nikt spoza grupy najstarszych i najbardziej zdeprawowanych w przytułku wychowanków nie ma prawa przy nim siadać. Zwykle omijał ten stolik, bojąc się nawet na niego spojrzeć. Dziś zrobił coś, co spowodowało, że wszyscy zwrócili na niego zdziwione spojrzenia, zastanawiając się, co takiego uroiło się w głowie tego nie do końca rozgarniętego chłopaka. Zgromadzeni na śniadaniu wychowankowie z napięciem oczekiwali na rozwój wydarzeń. Za chwilę powinni zjawić się chłopcy z bandy, którzy nie przejmowali się obowiązującym regulaminem i zwykle pozwalali sobie na dłuższy sen, przez co spóźniali się do stołówki. W pomieszczeniu panowała niezwykła cisza. Mało kto przejawiał zainteresowanie tym, co znajdowało się na talerzu. Każdy patrzył na niego. A on jak gdyby nigdy nic spokojnie nabierał dużą aluminiową łyżką kolejne porcje owsianki, które lądowały w jego ustach. W głowie nie układał sobie żadnego planu, nie myślał o tym, co zrobi, kiedy pojawią się właściciele stolika. Tego typu rzeczy nieco go przerastały. On wolał poddawać się biegowi wydarzeń. Być niczym liść niesiony podmuchem. Zdawał sobie sprawę, że próbując zmienić swój los, przeznaczenie, ma takie same szanse jak ów liść próbujący walczyć z wiatrem.

Dlatego, niczym się nie przejmując, całą uwagę koncentrował wyłącznie na wiosłowaniu łyżką, co zresztą czynił w skupieniu godnym wieloletniego galernika. Dlatego nie zaprzestał tej czynności nawet wówczas, kiedy przy stoliku stanęło pięciu wyrostków, przed którymi

każdy w przytułku czuł strach.

– Słuchaj, ofermo! – odezwał się przywódca grupy, nazywany przez wszystkich Śliskim Zenkiem, co zawdzięczał swoim wiecznie przetłuszczonym włosom, które zwykł gładko zaczesywać do tyłu. – Każdy z nas wie, że jesteś tępy, ale nie myśleliśmy, że aż tak bardzo, żeby nie trafić do swojego stolika!

Otoczający Zenka towarzysze się roześmiali, odsłaniając przy tym żółte zęby. Pozostali przypatrywali się, przeczuwając, że przygłup za chwilę dostanie łomot, o którym potem jeszcze długo będą rozprawiać na korytarzach z odłóżką lamperią i przesiąkniętych wszechobecnym zapachem lizolu.

Mężczyzna wciąż miał przed oczami tę scenę rozgrywającą się tyle lat temu. Wiedział, że nie zapomni jej do końca życia, gdyż to właśnie wtedy narodził się po raz drugi. W swojej głowie słyszał głosy stojących nad nim wyrostków.

– Patrzcie! – krzyknął Śliski Zenon. – Nie dość, że głupi, to w dodatku głuchy!

Wydająca posiłki kucharka z ciekawością wyjrzała przez okienko. Swoim ciałem wypełniła całą dostępną dla niej przestrzeń. Znajdująca się w drugim końcu sali młoda zakonnica udawała, że nie widzi niczego niepokojącego. Wolała się nie mieszać do spraw chłopaków, których w głębi duszy uważała za niereformowalnych, co to prędzej czy później podzielią los swoich matek prostytutek oraz ojców kryminalistów.

Śliski się nachylił. Jego oddech śmierdział jak ciało rozkładającego się psa, leżącego już dłuższy czas gdzieś na poboczu drogi w upalne sierpniowe dni.

– To, że przeleciałem twoją siostrę – wyszeptał mu do ucha – wcale jeszcze nie oznacza, że jesteśmy szwagrami i możesz siadać ze mną przy jednym stoliku.

Wtedy coś w nim pękło. Poczuł, jak owsianka, która wypełniała mu usta, traci smak. Wydawało mu się, że gryzie trociny. Próbował połknąć. Nie mógł. Po raz kolejny cała jego uwaga skoncentrowała się na posiłku, a raczej pozbyciu się go z ust, w których zamiast ubywać, stawało się go coraz więcej. Pomoc nadeszła z nieoczekiwanej strony.

Śliski Zenon, widząc, że sytuacja niepotrzebnie się przedłuża, postanowił działać. Zamachnął się i z całej siły uderzył go w plecy.

Rozmiękła w ustach gęsta owsianka z powrotem wylądowała na talerzu.

– O kurwa! – skomentował to jeden z towarzyszy Zenka.

– Coś ty najlepszego narobił?! – ryknął Zenek. – Zapaskudziłeś mój stolik!

Śliski nachylił się, żeby złapać go za ubranie i pociągnąć w swoją stronę. Nie zdążył. Jego przeciwnik wstał gwałtownie od stolika. Był tego samego wzrostu co Śliski. Obaj mogli poszczycić się tym, że są najwyższymi chłopakami w całym przytułku. Zenon był trochę lżejszy od niego i słabiej umięśniony. Nie zmieniało to jednak faktu, że wszyscy bali się Śliskiego, a nie jego. Z niego, pomimo imponującej postury, kpili sobie nawet dużo młodszy i cherlawi wychowankowie. Nikt nie czuł respektu przed głupkiem, którego ulubionym zajęciem było onanizowanie się.

– Ale ty, kurwa, urosłeś – powiedział nieco zdezorientowany Zenek, który jeszcze nigdy nie miał okazji znaleźć się tak blisko niego. W zachowanie chuligana zaczęła wkradać się niepewność.

Najpierw cofnął się o krok. On również dał krok w jego stronę. Śliski zacisnął dłonie w pięści. Byli zbyt blisko siebie. Wiedział, że Zenek nie zdoła wyprowadzić ciosu. Zadziałał zupełnie instynktownie. Odchylił głowę do tyłu, a potem z całej siły uderzył nią w twarz Śliskiego. Głuchy chrzęst łamanej przegrody nosowej poprzedził ryk bólu, który rozległ się w stołówce.

Młoda zakonnica pospiesznie odmówiła jeszcze jedno „Zdrowaś Mario”, po czym podniosła się od stolika i próbując zachować spokój, ruszyła w stronę zamieszania. Musiała ratować swój autorytet wychowawcy. Bała się, ale przecież nie mogła dopuścić do tego, żeby na jej dyżurze doszło do jeszcze większej rozróby. Siostra przełożona już i tak miała wiele zastrzeżeń co do jakości jej pracy.

Stojący obok Śliskiego chłopcy byli zaskoczeni. Ich przywódca klęczał, trzymając się za nos. Nie wiedzieli, co robić. Jeden z nich pochylił się nad Śliskim, chcąc pomóc mu wstać. Chłopak odtrącił go ruchem ręki. Z nienawiścią spojrzął na swojego oprawcę. Ten jednak w ogóle się tym nie przejął.

– Jeszcze raz tkniesz moją siostrę, to obiecuję, że nie skończy się tylko na złamanym nosie! – powiedział, cedząc każde słowo, i aż się zdziwił, ponieważ było to najdłuższe zdanie, jakie udało mu się do tej pory wygłosić.

Śliski zrozumiał, że chłopak nie żartuje. Na pewno chciał wyjść z całej tej sytuacji z twarzą, ale wówczas powinien podnieść się z podłogi i spróbować samodzielnie, bez pomocy swoich towarzyszy, policzyć się z przygłupem. Coś mu jednak podpowiadało, że będzie dla niego dużo lepiej, jeżeli jeszcze przez jakiś czas zostanie na podłodze. W oczach przygłupa zobaczył coś, co go przeraziło. Takie spojrzenie mają ludzie gotowi postawić wszystko na jedną kartę i prędzej zginąć, niż zrezygnować z walki. Śliski delikatnie dotknął nosa i od razu poczuł przeszywający go ból. Jednak dzięki niemu chociaż na chwilę zapomniał o wstydzie i upokorzeniu, jakiego przed chwilą doznał. W myślach poprzysiągł zemstę przygłupowi i jego siostrze.

– Co tu się dzieje? – spytała cichym i drżącym ze strachu głosem młoda zakonnica, spoglądając na krwawiącego Zenona.

– Poślizgnąłem się i przewracając, uderzyłem o taboret – odparł Śliski

Zakonnica kiwnęła głową. W tej chwili przyjęłaby każde, nawet najbardziej irracjonalne wytłumaczenie.

– Wracajcie do jedzenia – starała się, żeby jej głos brzmiał stanowczo. – Za kwadrans rozpoczyna się poranne nabożeństwo, pospieszcie się!

Od tamtej pory jego siostra nie musiała już się o niego martwić. Żaden z wychowanków nie śmiał odważyć się stroić sobie z niego żartów, a Śliski i jego banda trzymali się z daleka. W życiu są tylko dwa skuteczne sposoby na zapewnienie sobie spokoju. Można próbować dogadać się ze swoimi prześladowcami i próbować im zapłacić albo zrobić coś, żeby zaczęli się ciebie bać. On przekonał się, że dużo lepszy jest ten drugi sposób.

Po opuszczeniu przytułku zamieszkali w kamienicy czynszowej, której właścicielem był stary Żyd Benjamin. Osiemnastoletnia sierota musiała wpaść mu w oko, ponieważ był on dla nich nader łaskawy w sprawach comiesięcznych opłat za mieszkanie. Przez kilkanaście pierwszych miesięcy wszystko układało się bardzo dobrze. Jego siostra, która miała ukończony kurs szwalniczy, znalazła zatrudnienie w niewielkim zakładzie krawieckim, jemu udało się dostać pracę w tartaku, do którego codziennie przed świtem musiał dojeżdżać kilka kilometrów. W dalszym ciągu jego priorytetem było chronienie siostry przed różnej maści absztyfikantami, których wielu się wokół niej kręciło. Miał żywo w pamięci to, co zobaczył w toalecie przytułku tamtej nocy. Przynależał sobie, że nie pozwoli, żeby jakikolwiek mężczyzna jeszcze raz skrzywdził jego siostrę. Przyznać

trzeba, że odstraszenie adoratorów dziewczyny wychodziło mu bardzo skutecznie. Pomagała mu w tym jego postura, która dzięki ciężkiej pracy fizycznej stała się jeszcze bardziej atletyczna.

Pewnego dnia w życiu siostry pojawił się nowy absztyfikant. Był on dużo starszy od niej i raczej nie wyglądał na faceta, który przestraszy się gróźb zazdrosnego braciszka, choćby ten swym wyglądem przypominał samego Herkulesa. Wypytał siostrę o wszystko, co było związane z jej nowym obiektem westchnień. To, czego się dowiedział, z jednej strony uspokoiło go, ale z drugiej dało także powody do obaw. Z przeprowadzonej rozmowy zorientował się, że jego najdroższa siostrzyczka jest beznadziejnie zakochana w tym mało przyjemnym facecie, którego on miał okazję kilka razy śledzić, przez co zdążył już nabrać podejrzeń co do jego osoby. Znacznie bardziej niepokojącą informacją było to, że odwiedzający ich gość jest policjantem. Ktoś taki w jego oczach kompletnie nie nadawał się na narzeczonego dla siostry. Postanowił zrobić wszystko, by wyrzucić go nie tylko z ich mieszkania, ale przede wszystkim z serca siostry.

Kilka tygodni później sytuacja rozwiązała się bez jego ingerencji. Późnym wieczorem wrócił z pracy w tartaku i zastał swoją siostrę we łzach. Nie wiedział, co robić, ponieważ jeszcze nigdy nie widział jej tak zrozpaczonej. Oboje byli na tyle zahartowani przez życie, że wydawać się mogło, iż studnia łez, którą każdy człowiek w sobie nosi, w nich całkowicie już wyschła. Stał w progu i przyglądał się, jak cichy płacz co chwilę wstrząsa jedyną osobą, jaka mu na tym świecie pozostała. Czuł się bezradny. Pomyślał, że powinien podejść do niej i ją przytulić, ale nie potrafił. Coś go paraliżowało.

Zdał sobie sprawę, że nie potrafi zmusić się do okazania jej ciepła. Był emocjonalnym kaleką. Nikt nigdy go nie przytulił i teraz on sam również nie potrafił tego uczynić. Kiedy już nie mógł znieść widoku płaczącej siostry, wybiegł z mieszkania. Długo spacerował po coraz bardziej pustoszejących ulicach miasta. Miał nadzieję, że kiedy wróci, jego siostra będzie już spokojna. Tak jak zawsze. Uśmiechnięta i pełna życia. Nawet nie spodziewał się, jak bardzo złudna jest ta jego wiara.

Po powrocie do mieszkania przeżył wstrząs, na który nie był przygotowany. Gdy otworzył drzwi i zaczął nasłuchiwać dobiegających ze środka odgłosów, ucieszył się, ponieważ panowała zupełna cisza. Był pewien, że jego siostra usnęła. Powoli zaczął zdejmować buty, postanowił

nawet zrezygnować z kolacji, żeby stukotem naczyń nie narobić zbędnego hałasu. Idąc po ciemku w stronę swojego łóżka, potknął się o coś leżącego na ziemi. Z trudem złapał równowagę. Zatrzymał się. Pochylił i zaczął macać ręką, żeby sprawdzić, o co się potknął. Jego dłonie natrafiły na wełniany materiał. Powędrowały dalej i poczuły miękką, zimną skórę policzka. Zawsze miał problemy z kojarzeniem faktów, lecz teraz w jednej sekundzie pojął, że na podłodze leży jego siostra. Potrzęsął ją za ramię i zawołał po imieniu. Nie obudziła się. Wstał i podszedł do ściany, przekręcił włącznik światła. Spojrzał w stronę leżącej na podłodze dziewczyny. Teraz zrozumiał, dlaczego nie odpowiadała na jego wołanie. Poczuł, jak serce zaczyna bić mu coraz mocniej. W gardle narastał krzyk. Dziki, zwierzęcy ryk, który chwilę później wypełnił całe mieszkanie. Jego ukochana siostra leżała martwa na podłodze. Wykrwawiła się. Być może gdyby kilka godzin wcześniej podszedł do niej, przytulił, porozmawiał, to w dalszym ciągu by żyła. Nachylił się i przyjrzał dokładnie skrzepniętym śladom krwi wokół nadgarstków. Musiała to zrobić krótko po jego wyjściu. Jej ciało było już chłodne, a znajdująca się obok krew tworzyła zakrzepłą skorupę. Spojrzał na leżącą w pobliżu dłoni dziewczyny brzytwę. Wziął ją do ręki. Pamiętał dzień, kiedy kupił ją na Kercelaku. Gruby handlarz zapewniał go, że w całej stolicy nie znajdzie ostrzejszej brzytwki. W tym pokoju wypełnionym zapachem śmierci ponownie usłyszał jego słowa: „Panie, jakbyś się pan dobrze postarał, to i świniaka byś pan tym zaszlachtował, a później i sprawił niezgorzej! Ostre to, jak niektóre nasze dziewczęta!”. Siostra, ilekroć widziała go przy goleniu, nieudolnie naśladowała głos handlarza.

Podciągnął rękaw grubego wełnianego swetra. W tej chwili świat przestał dla niego istnieć. Chciał być razem z siostrą, a żeby tak się stało, musiał podążyć jej śladem. Raz jeszcze spojrział na jej blade oblicze. Nagle zobaczył coś, co musiał wcześniej przeoczyć. Tuż przy głowie jego siostry leżała niewielka złożona na pół kartka wyrwana z brulionu, jakie nosili kiedyś do szkoły. Sięgnął po nią, rozłożył. Cała była wypełniona równym pismem siostry. Już po chwili czytania zorientował się, że jest to pożegnalny list do niego. Czytał wolno i z trudem. Kiedy dotarł do ostatniej linijki, w której siostra pozdrawiała go i prosiła, żeby zanadto nie rozpaczał po jej śmierci, gdyż „życie musi toczyć się dalej”, w jego oczach pojawiły się łzy. Starannie złożył kartkę i wsunął ją do portfela. Lektura listu wyjaśniła mu powód, dla którego dziewczyna targnęła się na swoje życie.

Powód ten miał imię i nazwisko. Miał też twarz, która już na zawsze wryła mu się w pamięć. Niczym zakłęcie wymówił głośno i wyraźnie dwa słowa, które głuchym echem odbiły się w mieszkaniu:

– Jan Wolak!

A potem mocno zacisnął pięści. Na swoje nieszczęście zapomniał, że w jednej z nich trzyma otwartą i ostrą „jak niektóre nasze dziewczęta” brzytwę. Poczuł przeszywający ból. Głośny krzyk rannego zwierzęcia ponownie wypełnił mieszkanie. Spojrzał na dłoń, z której obficie leciała krew.

Komisarz Jan Wolak, to on zranił uczucia jego siostry, co w efekcie doprowadziło do jej samobójczej śmierci. On także uratował mu życie, gdyż żądza zemsty okazała się silniejsza niż chęć ucieczki z tego świata i połączenia się z ukochaną siostrą.

Krew ze skaleczonej dłoni kapała na podłogę i tam mieszała się z krwią martwej dziewczyny. Ból dochodzący z przeciętych palców dłoni był na tyle silny, że koncentrował się tylko na nim. W tym momencie nie musiał myśleć o leżącej na podłodze siostrze.

O tamtej nocy przypominał sobie każdego ranka, kiedy brał do ręki kupioną przed laty na Kercelaku brzytwę. Nie rozstawał się z nią. To ona otwierała tym wszystkim dziewczynom drogę do innego, lepszego świata, w którym istnieje prawdziwa miłość. Tamtej nocy utracił także mały palec u prawej dłoni. Stało się to wtedy, gdy nieświadomie ścisnął ostrze. Palca nie dało się odratować. Zresztą za bardzo nawet o to nie zabiegał. Ta okaleczona dłoń była dla niego najmniej bolesną pamiątką feralnej nocy. Każdej z dziewcząt obcinał sutki. Była to dla niego rekompensata za utracony palec. Uważał, że brzytwa, która raz popróbowowała krwi dziewczyny uwiedzionej przez komisarza Wolaka, pragnie kapać się w niej przy każdej sposobności.

Dziś miał przeprowadzić na drugą stronę kolejną nieszczęśliwą dziewczynę. Czekał cierpliwie, gładząc ukryty w kieszeni klucz do innego świata. Gruby handlarz pewnie już dawno nie żyje, ale sprzedana przez niego brzytwa wciąż jest ostra jak wtedy, gdy kupował ją od niego młody, niezbyt rozgarnięty chłopak.

Tamtego świata już nie ma. Skończył się pewnej nocy, kiedy brzytwa po raz pierwszy została użyta w innym celu niż golenie.

Umarł, żeby narodzić się na nowo. Tak sobie to wszystko tłumaczył.

Uważnie tropił i zbierał wszelkie informacje dotyczące swojego przeciwnika, Jana Wolaka. Komisarz był człowiekiem, który potrafił tylko krzywdzić. Na szczęście opatrność postawiła na jego drodze kogoś, kto naprawiał popełnione przez niego błędy.

Dalsze rozmyślania mężczyzny przerwało pojawienie się po drugiej stronie ulicy dziewczyny, na którą od dłuższego czasu czekał. Mocniej ścisnął ukrytą w kieszeni rękojeść brzytwy. Lewą dłonią nasunął na czoło kraciasty kaszkiet i wyszedł z bramy. Podążał w bezpiecznej odległości za swoją ofiarą. Po kilku minutach zorientował się, że zmierza ona w stronę parku. Los ponownie się do niego uśmiechnął. Tym razem nie mogło być mowy o pomyłce. Ta dziewczyna z pewnością jest córką Jana Wolaka. Owocem tego, co niektórzy określają miłością, ale on wie, że to chwilowe uniesienie w ogóle nie zasługuje na tę zaszczyną nazwę. Z miłością miało ono to tyle wspólnego co jego eskapady na strych podczas pobytu w przytułku. Też wyobrażał sobie wówczas, że to, co robi, jest dobre, skoro sprawia mu przyjemność. Dopiero przeorysza otworzyła mu oczy, pokazując, jak mocno dał się zwieść złu. Od tamtej pory ani razu nie uległ pokusie grzechu, który stał się dla niego źródłem wstydu i upokorzenia, gdy w opuszczonych do kostek majtkach musiał przemaszerować wśród ustawionych w szereg wychowanków domu dziecka. Teraz on sam stał się narzędziem upokarzającym tych, którzy oddawali się ułudzie miłości, dając się zwieść fałszywemu obliczu tego pięknego uczucia.

Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, to dzisiejszy dzień stanie się ukoronowaniem jego dotychczasowych wysiłków. Przeprowadzi na drugą stronę osobę zrodzoną z chęci zaspokojenia nieczystych popędów. Czasami myślał, że lepiej byłoby dla tych wszystkich nieszczęśników poszukujących czegoś, co w ich mniemaniu było miłością, gdyby wyzbyli się popędu. Prawdziwa miłość przychodzi rzadko i jeśli się pojawia, jest uczuciem pięknym, ale zarazem kruchym i ulotnym, niczym żywot motyla. Taka była jego miłość, którą obdarzył swoją siostrę.

Przyspieszył kroku. Śledząc dziewczynę w parkowych alejkach, musiał zmniejszyć dzielący ich dystans. Czuł narastające podniecenie. Był prawie pewien, że za chwilę nadejdzie moment, na który tak długo czekał. Zabierze Wolakowi córkę, o której istnieniu niedawno się dowiedział.

Po pokonaniu kolejnego zakrętu zatrzymał się gwałtownie. Był pewien, że dziewczyna będzie kilka metrów dalej, a tymczasem prawie na nią wpadł. Wyglądało to tak, jakby specjalnie czekała na niego tuż za

zakrętem. Stał przez kilka sekund zaskoczony. Ona przyglądała mu się spokojnym, beznamiętnym wzrokiem, co sprawiało, że była w tej chwili bardzo podobna do swojego ojca.

– Gdzie pan tak się spieszy? – spytała, stojąc w bezpieczniej odległości. Obie ręce trzymała w kieszeniach płaszcza

Mężczyzna zdążył już ochłonąć z zaskoczenia. Szybko ocenił sytuację, w jakiej się znalazł. Dziewczyna na razie była za daleko, żeby mógł ją zaatakować. Najpierw musi osłabić jej czujność, a potem zaciągnąć w znajdujące się za plecami zarośla. Spojrzał w lewo i prawo. Park wydawał się pusty. Musiał jednak się pospieszyć, gdyż w każdej chwili może pojawić się jakiś przypadkowy przechodzień.

– Gonilem panią – powiedział, starając się nadać swojemu głosowi neutralne brzmienie.

– Zdążyłam zauważyć – odparła dziewczyna. W jej zachowaniu było coś niepokojącego. – Zastanawiam się tylko po co?

– Wydawało mi się, że jest pani osobą, którą znam, i chciałem...

– Nie mógł pan po prostu zawołać?

Mężczyzna zaczął się pocić. O co jej chodzi? Czemu w ogóle nie widać po niej strachu? Może powinien odpuścić?

– Usiądźmy na ławce – powiedział szybko. – Trochę zawirowało mi w głowie od tego wszystkiego.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Często chodzi pan na wieczorne spacerunki do parku?

– Słucham?

– Zapytałam, czy często chodzi pan na samotne wieczorne spacerunki do parku? – powtórzyła spokojnie.

– Nie rozumiem...

– A może lubi pan śledzić młode dziewczyny, co?

– O co pani chodzi?

Zamiast odpowiedzi dziewczyna wyjęła coś z kieszeni i rzuciła w stronę mężczyzny. Tuż koło jego nóg upadła niewielka kartka papieru. Schylił się po nią. Kiedy już trzymał ją w dłoni, zorientował się, że jest to zdjęcie. Z fotografii patrzyła na niego twarz dziewczyny, którą kilka dni temu w tym samym parku przeprowadził na drugą stronę.

– Poznajesz ją? – spytała córka Jana Wolaka. – To moja przyrodnia siostra. Jakiś psychopata zamordował ją przed paroma dniami.

Nie mógł oderwać wzroku od zdjęcia. Gdy w końcu mu się udało i spojrzał na stojącą naprzeciwko dziewczynę, zorientował się, że ta stoi już znacznie bliżej. Nie była to jedyna zmiana, która w niej zaszła. Córka komisarza trzymała w ręku mały pistolecik, którego lufa była teraz wycelowana w jego stronę. Zrozumiał, dlaczego podeszła bliżej. Dziewczyna jeszcze nigdy do nikogo nie strzelała i obawiała się, że może spudłować. Odetchnął cicho, niezauważalnie. Spojrzał na trzymaną przez nią broń. Kule wystrzelone z tego pistoletu miały zbyt mały kaliber, żeby wyrządzić mu krzywdę, o ile oczywiście nie zostanie trafiony w jakiś istotny narząd wewnętrzny.

– Nie znam tej dziewczyny – powiedział obojętnym tonem i jakby niechcący upuścił trzymaną w rękę fotografię.

Kobieta odruchowo spojrzała na upadające na ziemię zdjęcie. Nie trwało to dłużej niż ułamek sekundy, jemu jednak ta chwila nieuwagi wystarczyła. Rzucił się w stronę dziewczyny. Zdążył jeszcze zobaczyć jej zaskoczony wzrok, a potem rozległ się huk wystrzału. Przez chwilę nic się nie działo. Dopadł do niej i przewrócił ją na ziemię. Szarpiąc się z dziewczyną, śmiał się do samego siebie, ciesząc się, że opatrność wciąż nad nim czuwa i nie pozwoliła, żeby ta zrodzona z nieczystego pożądania osoba trafiła w niego nawet z tak bliskiej odległości. Utwierdziło go to, że to, co robi, jest słuszne, a on sam jest narzędziem w rękach Stwórcy. Przycisnął kolanami ręce dziewczyny. Pistolet wypadł jej z dłoni.

Próbowała go zepchnąć, ale był za ciężki. Do jej świadomości powoli docierało, że przegrała. Miotła się jeszcze, jednak już zaczynała tracić siły. Otworzyła usta, żeby spróbować wezwać pomoc. On jednak tylko na to czekał. Kiedy nabierała powietrza, napastnik wepchnął w otwarte usta jakąś śmierdzącą szmatę. Zaczęła się dusić. Spowodowane to jednak było bardziej przerażeniem niż brakiem powietrza. Zobaczyła, że jej oprawca wyjmuje z kieszeni jakiś przedmiot. Po chwili trzymał go mocno w dłoni, którą uniósł nad jej klatkę piersiową. Ujrzała nad sobą ostry szpikulec, który za moment miał przebić jej skórę i wedrzeć się w serce. Nie mogła nic zrobić. Zamknęła oczy. Próbowała przypomnieć sobie słowa jakiejś modlitwy. Nie potrafiła. W myślach zaczęła tylko powtarzać: „O Boże! Mamo!” i tak na przemian z szybkością błyskawicy, niczym jakieś zaklęcie, które byłoby w stanie odmienić jej los.

Czuła na sobie ciężki, przyspieszony niezrozumiałym dla niej podnieceniem oddech zabójcy. Zaciśnęła mocniej powieki. Spróbowała poruszyć rękoma. Nic z tego. Obie były mocno przygniecione do ziemi. Nieruchome, jakby przyśrubowane. Pojęła, czym jest bezradność wobec mającej nadejść śmierci. Pomyślała z rezygnacją, że ma to, na co zasłużyła. Gdyby sama nie pchała się w łapy tego zbira, łudząc się, że da radę pomścić siostrę, to nie leżałaby teraz przygwożdżona do ziemi. Zawsze uważała, że jej żądza przeżywania przygód, jakich doświadczają bohaterowie książek, doprowadzi ją do zguby. Nie sądziła jednak, że nastąpi to tak szybko.

– Przygotuj się na spotkanie z siostrą – usłyszała nad sobą. – Za chwilę cię do niej odeślę. Tam będzie wam lepiej. Powstałaś z nieczystej miłości, dlatego na tym świecie nie dane byłoby ci zaznać innej. Gotowa?

Nie rozumiała, po co ten świr zadaje jej to pytanie. Nie zdążyła jednak w żaden sposób na nie odpowiedzieć. Poczuła, jak coś ciężkiego uderza w jej klatkę piersiową. Po chwili z trudem łapała oddech. Ciężar, który czuła na piersiach był nie do wytrzymania. Zastanawiała ją jedna rzecz, dlaczego tuż przed bólem usłyszała odgłos wystrzału z pistoletu.

Otworzyła oczy. Przed sobą zobaczyła głowę oprawcy z przekrzywionym kaszkietem. Zrozumiała, skąd wzięło się to uczucie ciężkości. Morderca z niewiadomych przyczyn opadł na nią całym ciężarem swojego ciała. Wstrzymała oddech. Wydawało jej się, że facet nie oddycha. O co tu chodzi? – zastanawiała się. Poruszyła się, próbując zrzucić ciężar. Nic z tego. Ręce wciąż miała przygniecione, a w ustach tę cholerną szmatę, od której robiło jej się niedobrze. Wiedziała, że nie może zwymiotować, boby się zadławiła. Zrozumiała, że człowiek jest w stanie naprawdę wiele znieść, byle tylko ocalić życie. Na razie widmo śmierci oddaliło się od niej, wciąż jednak nie była bezpieczna. Zastanawiała się, co dalej. Wtedy usłyszała kroki. Ktoś wolno szedł w jej stronę. Nie widziała kto, ponieważ przygniatający ją mężczyzna zasłaniał widok. Na moment sparaliżował ją strach. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że to, co złego miało ją spotkać, już się stało. Teraz może być tylko lepiej. Po raz kolejny spróbowała językiem wypchnąć z ust znajdującą się tam szmatę. Bezskutecznie.

– Nic ci nie jest? – usłyszała nad sobą znajomy głos i już była pewna, że nic jej nie grozi.

Pokręciła głową, wydając przy tym jakieś nieartykułowane dźwięki.

Chwilę potem sylwetka pochylającego się nad nią mężczyzny przesłoniła odległe światło latarni. Poczowała znajomą woń wody kolońskiej, a dłoń wybawcy delikatnie wyciągnęła z jej ust szmatę.

– Tato... – wykrztusiła – ...skąd się tu wziąłeś?

– Tato? Po tym, co mi ostatnio oznajmiłaś, myślałem, że kto inny jest twoim ojcem.

Hanka przełknęła ślinę. Poczekała, aż Franciszek Bralewski ściągnie leżące na niej ciało psychopaty, i wstała z ziemi.

– Przepraszam za tamto wszystko – powiedziała, wciąż jeszcze mając żywo w pamięci awanturę, jaką zrobiła mężczyźnie, który przez całe życie ją wychowywał. Doszło do tego po tym, gdy dowiedziała się, że to Wolak jest jej biologicznym ojcem. Miała żal do wszystkich, że przez tyle lat nie wyjawiono jej prawdy. Całą swoją frustrację wyładowała na najbardziej niewinnej i w sumie bezbronnej osobie, jaką był pochłonięty ostatnio swoimi zmartwieniami Franciszek Bralewski. – Nie chciałam cię zranić. Ty zawsze byłeś dla mnie dobry. Co z nim?

Bralewski pochylił się nad ciałem mężczyzny. Sprawdził mu puls.

– Nie żyje – stwierdził, patrząc Hance w oczy. – Musiałem trafić go prosto w serce.

Do dziewczyny dopiero teraz dotarło, że Bralewski uratował jej życie. Podbiegła do niego i przytuliła się mocno. Pan Franciszek pogłaskał ją czule po włosach. Przez chwilę wszystko było jak dawniej.

– Musimy powiadomić milicję – powiedział.

Hanka pokiwała głową. Po jej policzku popłynęła łza.

65.

Bolesław Makowski spojrział na stojącego w drzwiach sali konferencyjnej dziennikarza. Miał nadzieję, że mdłym uśmiechem uda mu się ukryć wyraz zniesmaczenia, jaki wywołał w nim wygląd wymoczkowatego chłopaka. Ocierając się o niechlujstwo nonszalancję jego stroju złożył na karb młodości i wielkiego oddania się dziennikarskiej pracy. Po prostu nie zawsze jest czas, żeby zadbać o swój wizerunek.

– Zapraszam, redaktorze Staroń – rzekł sekretarz, rozciągając usta w jeszcze szerszym uśmiechu. – Proszę usiąść przy stole, za chwilę powinni zjawić się pozostali goście.

Stefan zajął wskazane przez sekretarza miejsce. Na dworze panował dzisiaj upał, a on całą drogę z redakcji do biura sekretarza partii pokonał pieszo, co zajęło mu nieco ponad trzydzieści minut. Szedł jednak na tyle energicznym krokiem, że teraz, kiedy już usiadł w dość dusznym pomieszczeniu konferencyjnym, poczuł, jak gęste krople potu występują mu na czoło. Z kieszeni spodni wyciągnął niezbyt czystą i pogniecioną chusteczkę. Otarł nią czoło, po czym zamiast schować ją z powrotem do kieszeni, odłożył na blat, co nie uszło uwagi coraz bardziej zdegustowanego Makowskiego. Sekretarz zaczął się nawet zastanawiać, czy dobrze zrobił, ufając swojemu koledze z lat młodości, który był przełożonym tego redaktorzyny i sam mu go polecił. Podeszedł do wychodzącego na ulicę okna. Przez chwilę stał, przyglądając się ulicznemu ruchowi jednej z bardziej uczęszczanych stołecznych arterii. Wśród przejeżdżających w dole drynd i samochodów ujrzał w oddali majestatycznie sunącego chevroleta, który wyglądał teraz niczym lśniący czarny kruk otoczony stadem małych, nijakich wróbli. Nie miał ochoty na zabawianie rozmową młodego dziennikarza, dlatego stał odwrócony do niego plecami i obserwował, jak przedwojenny automobil parkuje przy chodniku. Drzwi pojazdu otworzyły się i ze środka wyszli pasażerowie

oraz kierowca. Makowski ujrzał smukłą, wysportowaną sylwetkę Jastrzębskiego, który szybkim krokiem obszedł samochód i znalazł się na chodniku. Po nim pojawiła się zwalista postać komisarza Wolaka, ten jednak niewiele robił sobie z tego, że znajduje się na krawędzi ruchliwej jezdni i przejeżdżające samochody muszą go omijać. Zamiast jak najszybciej opuścić niebezpieczne dla siebie miejsce, wolnym, wystudiowanym ruchem nałożył na głowę kapelusz, po czym chroniony przed słonecznymi promieniami jego rondem spojrzął ku górze prosto w okno, w którym stał Makowski. Sekretarza mimowolnie przeszedł dreszcz. Skąd ten stary pies wiedział, że na niego patrzeć? – zastanawiał się. Czyżby prawdą było to, co pisano o nim w przedwojennych gazetach, że ma jakiś tajemniczy szósty zmysł, dzięki któremu z różnych opresji udaje mu się wyjść cało? Stojący w dole komisarz skłonił się lekko i odwrócił wzrok od okna. Teraz uważnie zlustrował okolicę, wypatrując wszystkiego, co mogłoby wzbudzić jego podejrzenia. Jego niepokój mogły wywołać przede wszystkim zaparkowane w pobliżu pojazdy oraz chodzący pozornie bez celu mężczyźni, z których każdy mógł być tajniakiem na usługach wszechmocnego Wincentego Stasiaka. Kiedy upewnił się, że wszystko jest w porządku, zszedł z ulicy. Minał stojącego pod ścianą budynku Jastrzębskiego, który pochłonięty wpatrywaniem się w przechodzących po obu stronach chodnika warszawiaków nawet nie zwrócił na niego uwagi, i zatrzymał się przy drzwiach chevroleta. Otworzył je i wypuścił będącego w środku pasażera, który zasłaniany przez komisarza przeszedł wraz z nim do drzwi budynku. Dopiero w momencie, kiedy obaj zniknęli z ulicy, Jastrzębski podszedł, żeby zamknąć tarasujące pół chodnika drzwi chevroleta.

Makowski cenił profesjonalistów, a takim z pewnością jest Jan Wolak. Sekretarz wiele by dał, żeby mieć go w szeregach swoich ludzi. Nie wiedział, na ile może mu zaufać. Przeszłość komisarza, leśny epizod w reakcyjnej bandzie Rysia, kładła się cieniem na jego życiorysie. W służbie nowej władzy profesjonaliści z pewnością są mile widziani, ale ludzie mający własne zdanie nie byli już tak potrzebni. Wolaka bez wątpienia trudno było rozgryźć. Podobnie tego jego beznogiego przyjaciela, który właśnie z pomocą Jastrzębskiego wysiadł z jednego pojazdu i przesiadał się na drugi. Rycerz i jego giermek – pomyślał o Wieczorku i Wolaku sekretarz. Don Kichot i Sancho Pansa. Odwrócił się od okna. Siedzący przy stole dziennikarz przeglądał notatki w jakimś starym, pomiętym zeszycie. W ustach trzymał pogryziony ołówek. Mokra

od potu chusteczka wciąż leżała na blacie. Mój Boże, z kim ja muszę pracować – pomyślał Makowski, zapominając o tym, że doktryna partyjna całkowicie wyklucza istnienie Boga.

Pierwszy do pomieszczenia wszedł Wolak, za nim wkroczył mężczyzna w długim płaszczu, w którym ze względu na panujący upał musiało mu być gorąco. Na głowie miał głęboko nasunięty kapelusz, co powodowało, że nie dało się dostrzec jego twarzy. Za nimi wszedł zdyszany Jastrzębski, pchając siedzącego na wózku Wiewióra, trzymającego w zębach nieprzypalonego papierosa. Sekretarz domyślił się, że młody oficer UB musiał wnieść po schodach inwalidę razem z jego wózkiem. Może kiedyś ktoś wpadnie na pomysł, żeby w budynkach użyteczności publicznej zastosować jakieś udogodnienia dla inwalidów – pomyślał Makowski, obserwując ciężko oddychającego Edwarda. A może wówczas nie będzie już wojen i tym samym na świecie spadnie liczba inwalidów? Sekretarz szybko odgonił od siebie te do niczego mu nieprzydatne dywagacje i podszedł do swoich gości, by przywitać się z każdym z nich mocnym uściskiem dłoni.

– Mam nadzieję, że podróż minęła bez większych problemów? – spytał.

Wiewiór się roześmiał.

– Pan sobie z nas kpi? Po jaką cholere wysila się pan na te kurtuazyjne pytania? Myślę, że będzie lepiej, jeśli od razu przejdziemy do rzeczy, zamiast pieprzyć po próżnicy!

Pochylony nad notatkami Stefan Staroń spojrział w stronę kaleki. Jeszcze nigdy nie słyszał, żeby ktokolwiek w taki sposób mówił do sekretarza partii. Chciał więc teraz przyjrzeć się śmiałkowi, który odważył się na coś takiego. Sądząc po mocnym tubalnym głosie, wyobrażał sobie, że ma do czynienia z jakimś nieprzeciętnym pod względem fizycznym mężczyzną, podobnym chociażby do Sienkiewiczowskiego Juranda albo wiernego Ligii Ursusa, a tymczasem ujrzał beznogiego, zarosniętego faceta, który bardziej przypominał Quasimodo z kart powieści Wiktora Hugo. Tymczasem Makowski w ogóle nie przejął się sposobem, w jaki zwrócił się do niego Wieczorek. Z rękawa popielatego garnituru strzepnął niewidoczny pyłek i wskazując krzesła, rzekł:

– W takim razie siadajcie, obywatele, i zaczynajmy!

Mężczyźni podeszli do stołu. Rozległo się szuranie odsuwanych krzeseł.

Staroń przyjrzał się dokładnie wszystkim przybyłym gościom. Rozpoznał wśród nich Jastrzębskiego, o którym pisał kiedyś artykuł dotyczący jego nad wyraz dużej skuteczności w tropieniu i wykrywaniu reakcjonistów. Domyślił się, że starszy facet ze złamanym nosem i mięsistą, pomarszczoną twarzą to przedwojenna sława warszawskiej policji komisarz Jan Wolak. „Zbrodnia taka czy owaka – wnet wykryta przez Wolaka!”, przypomniała mu się znana w przedwojennej Warszawie rymowanka. Raz jeszcze przyjrzał się beznogiemu Quasimodo. Nagle coś w jego umyśle zaskoczyło.

– Zaraz, zaraz, pan musi być Zygmuntem Wieczorkiem! – krzyknął rozentuzjzmowany. – Policjantem, który w trzydziestym siódmym zastrzelił tego gwałciciela wyrzuconego z Legii Cudzoziemskiej!

Wiewiór spojrział w stronę młodego, chudego i niedbale ubranego chłopaka trzymającego między palcami obgryziony ołówek. Zdziwił się, że jest jeszcze ktoś, kto nie dość, że pamięta tamtą sprawę sprzed lat, to jeszcze w beznogim wraku człowieka, jakim się stał, rozpoznaje tamtego dumnego, pełnego energii komisarza.

– No cóż – powiedział, trochę się wstydząc rumieńca, który pojawił się na jego zarośniętym policzku – jak pan widzi, jestem najlepszym przykładem na to, że: „Wielka sława to żart, a księżę błazna jest wart”.

– Co? – Jastrzębski zdążył już wyrównać oddech, nie mógł jednak znieść tego, że Wiewiór i Staroń rozmawiają o czymś, czego on do końca nie rozumiał.

– Johann Strauss... – zaczął dziennikarz, spiesząc z wyjaśnieniem, ale przerwał mu Wolak.

– *Baron cygański* – rzekł z rozrzewnieniem stary komisarz, przypominając sobie pewien październikowy wieczór, kiedy wraz z piękną młodą dziewczyną wychodził z opery, będąc wciąż jeszcze pod wrażeniem estetycznych przeżyć, o które nawet siebie nie podejrzewał.

– Jaki znowu baron?! – spytał wściekły Jastrząb.

– Panowie! – odezwał się stanowczym głosem Makowski. – Przejdźmy, proszę, do meritum, inne sprawy mogą poczekać.

Staroń spojrział w kierunku tajemniczego mężczyzny w płaszczu, który pomimo upału nie zdjął nakrycia wierzchniego ani kapelusza. Kim on, u licha, jest? Dziennikarz wiedział, że jego ciekawość wcześniej czy później zostanie zaspokojona, jednak dziwny nieznajomy wciąż przyciągał jego

spojrzenie.

– Przedstawiam wam redaktora Stefana Staronia, zapewniono mnie, że jest on w tej chwili najlepszym i najostrzejszym piórem w tym mieście. – Ton, jakim te słowa zostały wypowiedziane przez sekretarza, nie pozostawiał złudzeń, że on sam nie za bardzo wierzy w ich prawdziwość.

Staroń kiwnął delikatnie głową zebranych w pomieszczeniu mężczyznom. Uśmiechem odpowiedział mu jedynie inwalida. Twarze pozostałych przypominały niewzruszone kamienne maski jakichś groźnych starożytnych bóstw. Dziwak w kapeluszu i płaszczu nawet nie zaszczylił go spojrzeniem.

– Jutro – kontynuował Makowski – cała stolica będzie mogła przeczytać, że poszukiwany od wielu lat seryjny morderca kobiet został wreszcie schwytyany...

– I stało się to oczywiście – Wiewiór bez pardonowo wszedł w słowo pierwszemu sekretarzowi – nie za czasów burżuazyjnej sanacyjnej Polski, tylko za władzy ludowej, która musi naprawiać błędy swojej przedwojennej poprzedniczki!

Sekretarz nie dał się sprowokować. Rozciągnął twarz w uśmiechu, jakiego nie powstydziliby się sam Iosif Dżugaszwili wmawiający swoim poddanym, że życie w Związku Radzieckim jest dużo lepsze niż w jakimkolwiek innym kraju za żelazną kurtyną, i patrząc na siedzących przy stole konferencyjnym mężczyzn, powiedział:

– Oczywiście nie do końca, ale poniekąd macie rację. W końcu mordercy nie schwytał żaden z was, tylko ojciec jednej z ofiar.

Wolak w bezsilnej złości zacisnął usta. Ten cholerny elegancik miał dużo racji. To, co przez tyle lat nie udało się jemu i Wieczorkowi, bez trudu przyszło Bralewskiemu. Jakby tego było mało, to stary hrabia wykorzystał patent Wolaka, w którym Hanka wcieliła się w rolę przynęty. Wszystko odbyło się tak samo jak przed kilkoma dniami, ale tym razem dziewczyna nie wiedziała, że jest asekurowana przez Bralewskiego, który w jednej z wieczornych rozmów zasugerował jej, że psychopata z pewnością jeszcze odwiedzi park, żeby znaleźć kolejną ofiarę. Córka komisarza Wolaka postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce i spróbować samodzielnie schwytać mordercę. Zaopatrzona w damski pistolet małego kalibru, wybrała się na nocną przechadzkę po parku. Tego wieczoru udało się jej stanąć twarzą w twarz z człowiekiem odpowiedzialnym za śmierć jej

siostry. Nie przewidziała, że broń, którą miała, nie wystraszy gotowego na wszystko napastnika. Sytuacja, w jakiej się później znalazła, wydawała się beznadziejna. I w tym właśnie momencie do akcji wkroczył Franciszek Bralewski. Z tego, co mówiła dziewczyna, wynikało, że hrabia strzelił do mordercy w ostatniej chwili. Sekundę, dwie później Hanka już by nie żyła. Gdy Wolak po przyjeździe do stolicy spotkał się z Bralewskim, ten wciąż jeszcze był bardzo roztrzęsiony wydarzeniami ostatnich godzin. Zwierzył się komisarzowi, że jeszcze nigdy do nikogo nie strzelał, a tym bardziej nie miał nikogo na sumieniu. Wolak zrozumiał, że stary nie może sobie poradzić z tym, iż zabił człowieka. Mordercę swojej córki, ale jednak człowieka. Hanka w przeciwieństwie do niego zniosła to wszystko dużo lepiej. Uważała, że dobrze się stało, ponieważ zabójca dostał to, na co zasługiwał. Być może sąd także skazałby go na karę śmierci, ale zanim do tego by doszło, czekałaby ich wszystkich długa rozprawa, w której musieliby wziąć udział.

Kiedy komisarz przemówił, jego głos był lodowaty, zupełnie pozbawiony emocji.

– Nie było nas w Warszawie, ponieważ szukaliśmy jeszcze innej, równie ważnej osoby, którą, jak poinformowałem telefonicznie, udało nam się znaleźć. Myślę, że nasza pomoc w rozwiązaniu tej właśnie sprawy jest dla pana nieoceniona.

Makowski rzucił szybkie spojrzenie na Staronia, który niewiele z tego wszystkiego rozumiał, ale jego dziennikarski nos mówił mu, że temat seryjnego mordercy to jedynie aperitif przed daniem głównym.

– Doceniam to – odezwał się pojednawczo sekretarz – i jeżeli wszystko, co mi przekazaliście w rozmowie telefonicznej, okaże się prawdą, to możecie liczyć na nagrodę...

Wolak uśmiechnął się ironicznie. Pomyślał, że jeżeli tak dalej pójdzie, to niebawem nagrodę obieca mu również sam prezydent Bierut.

– ...mówiliście, że przywieziecie ze sobą owego w tej chwili najbardziej poszukiwanego przez wszelkie służby człowieka.

– Być może w pana oczach jestem starym przedwojennym gliną – zaczął Wolak, patrząc prosto na siedzącego u szczytu stołu sekretarza – ale musi pan wiedzieć, że jeszcze nigdy nie złamałem danego słowa.

Makowski prawie podskoczył z radości. W tej chwili uśmiech zdobiący jego twarz wyrażał satysfakcję, jaką może czuć ktoś, komu udało się

osiągnąć upragniony cel. Znacząco zerknął na tajemniczego człowieka w płaszczu i kapeluszu.

Wolak kiwnął głową. Na ten znak mężczyzna zdjął skrywający jego twarz kapelusz.

– Kim jest ten człowiek?! – krzyknął zaskoczony sekretarz.

– Nazywam się Franciszek Bralewski – rzekł potomek dawnego szlacheckiego rodu, zdejmując z siebie płaszcz. – Jestem zaszczycony, że zechciał mnie towarzyszu sekretarz przyjąć.

– Mieliście mi przywieźć... – Makowski był wściekły, cedził słowa przez zaciśnięte zęby.

Wolak nie wiedział, czy można do końca zaufać dziennikarzowi, dlatego ruchem ręki powstrzymał sekretarza od dalszej przemowy.

– Powiedziałem już wcześniej, że zawsze dotrzymuję słowa – rzekł komisarz. – Proszę się więc o nic nie obawiać. Pomyślałem, że dobrze będzie uporać się najpierw ze sprawą sprzed wojny, a dopiero później przejść do wydarzeń współczesnych.

– Dobrze, niech tak będzie – powiedział z rezygnacją Makowski i zwrócił się do Staronia: – Towarzyszu redaktorze, macie przed sobą człowieka, który ubiegłej nocy zastrzelił w parku poszukiwanego od wielu lat seryjnego mordercę warszawskich kobiet. Proszę pytać go o wszystko, co potrzebne do pańskiego artykułu.

Który na koniec i tak mi ocenzurujecie – pomyślał Staroń, kompletnie nie wierząc w wolność słowa w nowej, powojennej ojczyźnie. Nie dawała mu jednak spokoju inna myśl. Kogo, zamiast Bralewskiego, spodziewał się ujrzeć sekretarz Makowski. Postanowił uzbroić się w cierpliwość i o nic nie pytać. Podejrzewał, że zostanie to niebawem nagrodzone.

– Ogólny zarys artykułu już mam – rzekł, wyjmując z ust obgryziony ołówek. – Są jednak pewne luki, które trzeba wypełnić.

Wiewiór ziewnął przeciągle, ostentacyjnie manifestując znudzenie. Podjechał wózkiem do stojącej pod ścianą szafki. Bez pytania przekręcił znajdujący się w drzwiczkach kluczyk i otworzył. To, co ujrział w środku, sprawiło, że głośno przełknął ślinę, a językiem oblizał suche, popękane usta.

– Tyle dobra, towarzyszu sekretarzu, ukrywacie w tej szafce – powiedział, wyciągając rękę po jedną z wielu znajdujących się w barku

butelek wypełnionych alkoholem – a nam każecie raczyć się wodą sodową. Nieładnie, oj nieładnie!

– Proszę się nie krępować – rzekł, siląc się na uprzejmość Makowski.

– Krępować? – zdziwił się Wiewiór. – Nawet mi to do głowy nie przyszło.

Zanim Staroń zdążył zadać pierwsze z wielu pytań, które miał do Bralewskiego i innych, Wieczorek podjechał do stołu i napełniał szklanki przygotowane na wodę sodową czystym destylatem, który sam prezydent Bierut chwalił, mówiąc, że wódka z czerwoną kartką jest najstaranniej destylowana i najzdrowsza na świecie. Grzech nie pić – pomyślał Wiewiór, zaraz jednak zastanowił się, czy w rządzonym przez komunistów państwie istnieje coś takiego jak grzech. Szybko porzucił swoje rozważania, a całą uwagę skupił na smakowaniu monopolki i przysłuchiwaniu się pytaniom i odpowiedziom, jakie padały w dusznej sali konferencyjnej.

66.

Widziałem go tylko raz w życiu – powiedział Wolak, kiedy już znaleźli się na ulicy.

Wiewiór spojrział na niego pytająco. To samo uczynili Jastrzębski i Bralewski, który teraz nie musiał już kryć twarzy pod rondem kapelusza.

Wolak zatrzymał się przy samochodzie. Zabębnił palcami o dach pojazdu. Przez chwilę się nie odzywał. Mijający ich przechodnie starali się nie spoglądać na czterech mężczyzn tarasujących chodnik. Nikt nie ośmielił się zwrócić im uwagi, każdy obawiał się, że za taką bezczelność mógłby być przez tych stojących przy drzwiach Urzędu Bezpieczeństwa facetów skuty i zabrany do aresztu. Powód na pewno by się znalazł, gdyż obecnemu systemowi bezpieczeństwa nieobca była maksyma naczelnego eksprokuratora ZSRR Andrieja Wyszyńskiego, który zwykł mawiać: „Dajcie mi człowieka, a paragraf się znajdzie”.

– Mordercę widziałem tylko raz – odezwał się ponownie komisarz. – Nie wydaje się wam to nieco dziwne?

– Niby dlaczego? – spytał Bralewski.

– Dlatego że miałem romans z jego siostrą i dość często byłem u nich w mieszkaniu, a jego udało mi się spotkać tylko raz.

Wiewiór wzruszył ramionami, jakby cała ta sprawa w ogóle go nie interesowała.

– Jedziemy?

Wszyscy ponownie spojrzeli na Wolaka, oczekując od niego odpowiedzi. Nie ulegało wątpliwości, że w tym zespole to właśnie on przejął dowodzenie.

– Odwieź pana Franciszka – swoje słowa Wolak skierował do Jastrzębskiego, któremu wcale nie przeszkadzało, że został zdegradowany

do roli szofera. Prowadzenie chevroleta sprawiało mu ogromną przyjemność – a ja z Zygmuntem przewietrzymy się trochę. Spotkamy się w parku.

Jastrząb kiwnął głową i zaprosił Bralewskiego do pojazdu. Potomek starego szlacheckiego rodu zawahał się. Dziwnie się czuł, spoglądając na samochód będący kiedyś jego własnością, a teraz skonfiskowany przez władzę ludową. Naszła go smutna refleksja, że to, czego nie udało się ukraść hitlerowcom, zabrali komuniści. Podszedł do Wolaka i wyciągnął w jego stronę rękę.

– Dziękuję za wszystko – powiedział.

Wolak uściśnął mu prawicę. Przez chwilę obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy. Komisarz zastanawiał się, ile Bralewski wie. Czy Jadwiga powiedziała mu o wszystkim, czy też wolała zaoszczędzić mężowi niepotrzebnych przeżyć, które mogłyby wstrząsnąć jego i tak już nadwątlonym zdrowiem.

– To ja powinienem panu podziękować – rzekł Wolak.

– Nieważne. – Bralewski odwrócił się w stronę samochodu, otworzył jego drzwi i zniknął w środku.

– Za co chciałeś mi dziękować? – spytał Wiewiór, kiedy już ruszyli nierównym trotuarem, na którym koła jego wózka co chwilę wpadały w jakieś nierówności.

– Za to, że uratował życie mojej córki – odpowiedział Wolak, pchając wózek.

– On wie, że jesteś ojcem Hanki?

– Nie mam pojęcia. Jadwiga twierdzi, że odkąd musieli przenieść się do stolicy, to jej mąż zachowuje się inaczej.

– Bo to cholerny dziwak, któremu wydaje się, że ze względu na swoje szlacheckie pochodzenie jest lepszy od wszystkich innych!

– Może i tak. Zastanawia mnie jednak twoja niechęć klasowa. Czyżbyś stawał się wyznawcą nowego chłopsko-robotniczego porządku?

– Chyba musiałyby mi odjąć rozum! – zaperzył się Wiewiór. – Tak jak to się stało z nogami.

– To dobrze, bo już zaczynałem się o ciebie martwić – powiedział Wolak i zamiast dalej iść drogą prowadzącą do parku, skręcił w wąską boczną uliczkę.

– Gdzie mnie prowadzisz?

– Nie ufasz mi? – spytał przekornie Wolak.

– Za dobrze cię znam, żeby ci zaufać – odparł Wieczorek.

Wolak rozglądał się po obskurnych budynkach, których większość nie zdążyła jeszcze podnieść się z wojennych zniszczeń. Miał nadzieję, że kamienica, do której zmierzał, pozostała nietknięta. Złudne było to pragnienie, ale musiał sprawdzić.

Wiewiór zapalił papierosa. Wypuszczając dym, przymknął oczy. Przez moment wydawało mu się, że czas się cofnął. Oto znów jest ciepły majowy dzień, a on jedzie riksą przez wąskie ulice, którymi nie przecisnąłby się żaden większy pojazd.

– To tu!

Głos przyjaciela wyrwał go z rozmyślań. Otworzył oczy. Poruszył się na wózk, który z riksą miał tylko tyle wspólnego, że po dłuższej jeździe jednym i drugim tak samo mocno boli tyłek.

– Janek, nie chcesz mi chyba powiedzieć, że wreszcie, po tylu latach, znalazłeś dla nas dom? – spytał kpiarskim tonem, zastanawiając się, po jaką cholere przyjaciela przywiózł go do tej obskurnej kamienicy, której jakimś cudem udało się uniknąć bombardowania, a później ładunków podkładanych przez niemieckich saperów działających po upadku powstania.

– Tutaj razem z siostrą mieszkał morderca – powiedział Wolak, zadzierając głowę ku oknom na pierwszym piętrze. – Poczekaj chwilę, zaraz wracam!

– Jasne – rzekł bez przekonania Wiewiór. – Przecież nie weźmiesz na plecy kaleki i nie wniesiesz po schodach.

Wolak jednak już go nie słyszał. Po klatce schodowej niosło się echo jego kroków, kiedy wbiegał na górę.

Zygmunt się rozejrzał. W głębi podwórza kilku umorusanych smyków biegało za prowadzoną na kiju fajerką. Inwalida szybko odwrócił wzrok.

– Co za cholerny pech! – wymamrotał pod nosem. – Gdzie spojrzę, tam ktoś biega, chodzi, a tylko mnie pokarało!

Splunął ze złością. Okazało się, że wcale nie wyczerpał swojego zapasu pecha, gdyż tak się niefortunnie złożyło, że nie zauważył dwóch maszerujących (a jakże!) funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej.

Jeden z nich przyglądał się teraz swojemu wypastowanemu na błysk butowi, na którego czubku wylądowała ślina Wieczorka.

Przedwojenny komisarz zaklął cicho. Spojrzał na okolone daszkami granatowych czapek twarze dwóch milicjantów. Nawet gdyby ich wiek zsumować, byli dużo młodszy od niego.

– Dokumenty, obywatelu! – służbowym tonem odezwał się jeden z nich.

Wieczorek uświadomił sobie, że zostawił dowód w samochodzie, którym odjechał Jastrzębski.

– Nie mam – powiedział, zdając sobie sprawę, że jego kłopoty dopiero się zaczynają.

– Tak myślałem – rzekł ten z oplutym butem. – Dokumentów nie macie, stałego miejsca zameldowania pewnie też nie, o pracy nawet nie wspomnę. Przesiadujecie więc całe dni na ulicy i plujecie na władzę ludową!

Wieczorek parsknął śmiechem.

– Pójdziecie z nami! – ryknął stojący nad Wiewiorem milicjant.

Komisarz roześmiał się jeszcze głośniej.

– Z czego rżycie obywatelu?! Może z władzy się śmiejecie?!

– Gdzieżbym śmiał – wychrypiał Zygmunt, próbując się uspokoić.

Milicjanci spojrzeli po sobie. Żaden nie wiedział, co dalej zrobić z inwalidą. Jeśli chcieliby zabrać go ze sobą, musieliby pchać wózek, a to wydawało im się trochę nie na miejscu. Zwykle w tego typu sytuacjach działali w opracowany sposób. Brali delikwenta z ulicy do bramy i tam gumową pałką wymierzali mu kilka razy po grzbiecie, tak żeby raz na zawsze wybić mu z głowy chęć naigrywania się z funkcjonariuszy na służbie. Była to zwykła procedura, jaką stosowali wszyscy ich koledzy. Nikt im jednak nie wyjaśniał, co należy robić, kiedy spotkają na swej drodze osobę poruszającą się na wózku inwalidzkim.

Wiewiór jakby czytał w ich myślach. Wykorzystując konsternację milicjantów, spytał:

– No to jak, panowie, który pierwszy zechce sobie ulżyć na kalece?!

W tej chwili na schodach dało się słyszeć dudnienie kroków. Milicjanci ścisnęli wiszące u ich boku pałki i spojrzeli w zacienione wnętrze klatki schodowej, z której wprost na nich wyszedł nieco już podstarzały, ale wciąż jeszcze budzący respekt masywnie zbudowany mężczyzna o twarzy,

jaką może mieć ktoś, kto w swoim życiu widział już wszystko. Przelotnym spojrzeniem obrzucił obu funkcjonariuszy i niewiele robiąc sobie z ich obecności, odezwał się do Wieczorka.

– Są jednak pewne plusy tego, że nie chodzisz.

Zyga zerknął na niego z zaciekawieniem.

– Jakie?

– Takie, że do podeszwy buta nie przyklei ci się żadne gównno, którego smród mógłby potem jeszcze długo się za tobą ciągnąć!

Wiewiór z powagą pokiwał głową.

– A koła?

– Co koła?!

– No – zaczął trochę niepewnie Wieczorek – jak kołami wjadę w gównno, to ten smród też ciągnie się za mną, mam rację?

Wolak myślał przez chwilę. W końcu pokręcił głową, złapał za tylne rączki wózka i pchnął go w stronę milicjantów, którzy byli tak osłupiali, że bez słowa się rozstąpili, przepuszczając obu przedwojennych komisarzy.

– Koła, Zygmunt, służą do tego, żeby móc nimi rozjechać gównno, jeśli takowe pojawi się na twojej drodze!

67.

W*ielki sukces stołecznych śledczych!*

Johann Scholl przeczytał krzykliwy nagłówek na pierwszej stronie „Dziennika Zachodniego”. W pierwszym odruchu chciał odłożyć gazetę albo od razu przejść do kolumny z ogłoszeniami. Porzucił jednak ten zamiar i zaczął czytać.

Warszawskim śledczym udało się pochwycić mordercę, którego bezskutecznie ścigano już przed wybuchem wojny. To, co okazało się niemożliwe dla policji z czasów sanacyjnych, bez większych problemów wykonali nasi dzielni i błyskotliwi funkcjonariusze aparatu bezpieczeństwa publicznego. Dzięki ich wyteżonej pracy oraz wielu godzinom spędzonym na żmudnym śledztwie każda kobieta w stolicy może już czuć się bezpieczna. Morderca został schwytany i nigdy więcej nie zaatakuje.

Prokurator generalny ubolewa nad tym, że zwyrodniały zabójca nie stanie przed jego obliczem, żeby zostać rozliczonym z każdej swojej zbrodni. Wynika to z faktu, że w trakcie czynności operacyjnych zatrzymany stawiał opór i z posiadanej przez siebie broni palnej groził funkcjonariuszom. Jednak ci dzielni chłopcy nie wystraszyli się i wiedzieli, że w ich rękach spoczywa bezpieczeństwo całego miasta. Rzykując zdrowie oraz życie, postanowili zrobić wszystko, żeby morderca im nie uszedł. W trakcie dramatycznych scen, jakie rozegrały się tamtej nocy, padło wiele strzałów, na szczęście żadna z wystrzelonych przez zabójcę kul nie dosięgła ścigających go funkcjonariuszy. Natomiast dla przestępcy finał jego ucieczki okazał się tragiczny w skutkach. Kiedy nie zareagował on na trzykrotne wezwanie krzyczących za nim milicjantów: „Stój, bo strzelam!”, padły strzały. Jeden z nich okazał się śmiertelny...

Johann odłożył gazetę. Nie chciało mu się dalej czytać o sukcesach

polskiego aparatu bezpieczeństwa, z którym w ostatnich dniach miał aż za dużo do czynienia. Sięgnął po stojący na stole kubek z kawą. Upił spory łyk. Kawa zdążyła już dawno wystygnąć, jemu to jednak nie przeszkadzało. Postawił kubek na gazecie. Właśnie na zdjęciu ilustrującym artykuł, który przed chwilą czytał. Fotografia przedstawiała mało przyjemnie wyglądającego mężczyznę o ponurym spojrzeniu, które utkwił prosto w obiektywie aparatu robiącego mu zdjęcie. Johannowi wydawało się, że mężczyzna ten spogląda teraz bezpośrednio na niego. Nie mógł znieść jego przenikliwych oczu, w których krył się bezmiar okrucieństwa. Johann wiedział, na co gotów jest ten człowiek. Wiedział, bo sam o tym niedawno się przekonał, gdyż uwieczniony na tytułowej stronie „Dziennika Zachodniego” Wincenty Stasiak, którego autor artykułu nazywał „ojcem sukcesu”, jakim było schwytanie mordercy, siedział tu przy tym stole i przeprowadził z Johannem pewną rozmowę, która znacząco odmieniła jego życie.

Scholl był osobą duchowną i w swojej ponadtrzydziestoletniej posłudze kapłańskiej doświadczył wielu rzeczy. Niejednokrotnie musiał mierzyć się ze sprawami, które przekraczały wyobrażenie osób świeckich. Johannowi wydawało się, że już wiele wie na temat panującego na świecie zła i jego działań, dzięki którym potrafiło ono zawładnąć ludźmi. Musiał jednak zweryfikować swoje poglądy. Stało się to w dniu, kiedy po raz pierwszy do drzwi jego plebanii zastukał Wincenty Stasiak. Było w tym człowieku coś, co sprawiało, że duchowny przez cały czas rozmowy z nim modlił się w duchu, żeby Bóg nie opuszczał go teraz, kiedy zło w najczystszej postaci stanęło na jego drodze. Po wyjściu Stasiaka Johann wziął do ręki kropidło i nie żałując wody święconej, skropił całe pomieszczenie. Szef polskiej bezpieki budził w duchownym strach, którego nie pomogła przewyciężyć nawet silna wiara i ciągłe powtarzanie pod nosem słów z Psalmu 23: „Bo choćbym też chodził wśród cienia śmierci, nie będę się bał zła, albowiem Ty jesteś ze mną”. Johann zwyczajnie po ludzku się bał. Zdawał sobie sprawę, że Bóg wystawił go na próbę, a on nie da rady jej przejść, gdyż strach go paraliżuje. Każdej nocy śniło mu się, że oto stoi na Golgocie pod drzewem krzyża, a konający na nim Chrystus spogląda na niego i ledwo poruszając spierzchniętymi ustami, pyta: „A ty, czy byłbyś gotów umrzeć za mnie?”.

Johann Scholl nie znał odpowiedzi na to pytanie. Spojrzał na leżącą na stole gazetę i zamarł. Był pewien, że kubek z kawą postawił tak, iż całkowicie zasłaniał on fotografię znajdującą się na tytułowej stronie

„Dziennika Zachodniego”. Widocznie musiał się pomylić, bo teraz naczynie z kawą stało obok, a Wincenty Stasiak groźnie spoglądał na niego z czarno-białego zdjęcia. Duchowny poderwał się z krzesła. Podszedł do okna i zza firanki zaczął obserwować to, co działo się na ulicy. Nie dostrzegł nic niepokojącego. Odetchnął z ulgą. W myślach zaczął powtarzać modlitwę świętego Bernarda. Po drugiej stronie ulicy dwóch pijaczków raczyło się wspólnie z jednej butelczyny. Tworzyli dość nietypowy duet, ponieważ jeden z nich siedział na wózku inwalidzkim, natomiast jego towarzysz wydawał się przy nim olbrzymem, który musiałby naprawdę dużo w siebie wlać, żeby chociaż lekko się zachwiać. Taki ktoś – pomyślał Scholl – z pewnością nie wystraszyłby się Stasiaka i śmiało mógłby się z nim mierzyć. Duchowny obserwował jeszcze przez jakiś czas dwóch pijaków, po czym odszedł od okna, ubolewając nad tym, że Stwórca poskąpił mu wzrostu, siły i kilku innych przymiotów.

Gdyby Johann Scholl wykazał trochę więcej cierpliwości i jeszcze chwilę pozostał w oknie, mógłby zobaczyć podjeżdżającą pod jego furtkę rozklekotaną ciężarówkę opel blitz, której stan wskazywał na to, że pamięta kampanię wrześniową. Duchowny jednak klęczał już przed wiszącym na krzyżu Zbawicielem i gorliwie modlił się o to, żeby miał dość siły, by podołać boskiemu planowi, jaki miał stać się jego udziałem. Pogrążony w rozmowie z Bogiem nie widział, jak z szoferki ciężarówki zeskakuje ciężko na ulicę człowiek, którego zdjęcie było dzisiaj na okładkach wielu gazet w całej Polsce.

– Miałeś rację – powiedział Wiewiór, podając stojącemu obok Wolakowi butelkę po wódce wypełnioną nazbyt przesłodzonym kompotem z rabarbaru. – Pojawił się. Jak ty to wszystko przewidziałeś?

Wolak zachwiał się lekko, udając pijanego, i spod ronda kapelusza obserwował pospiesznie opuszczającego ciężarówkę Stasiaka, który prawie biegiem dotarł do drzwi plebanii. Przyjrzał się szoferce opla. Była pusta. A więc tak jak się spodziewał, szef MBP przyjechał sam. Nie chciał zbędnych świadków, z którymi później musiałby podzielić się łupem. Pozostawała jeszcze ewentualność, że jacyś pasażerowie siedzą ukryci na pace pod brezentem. Jeśliby tak było, to zaraz powinni się o tym przekonać. Komisarz z doświadczenia wiedział, że jeżeli ktoś tam siedzi,

to wykorzysta nadarzącą się okazję, żeby zeskoczyć na chodnik, rozprostować po długiej, niewygodnej podróży kości i przede wszystkim odetchnąć nieco chłodniejszym powietrzem, gdyż pod brezentem ciężarówki było duszno i gorąco. W ciągu następnych kilku chwil nie wydarzyło się nic, co mogłoby wskazywać, że na pace opła ktoś się ukrywa. Wolak pociągnął z butelki, zastanawiając, co za idiota w tak upalny dzień nalał im do środka przesłodzonego kompotu.

– Należało wypłoszyć myszkę z dziury – powiedział komisarz. – Przez długi czas zastanawiałem się, jak to zrobić, aż w końcu pomyślałem, że jeżeli Stasiak przeczyta w gazecie o tym, że udało się schwytać prawdziwego zabójcę kobiet, domyśli się, że Makowski zacznie podejrzewać, że młody Nikodem Morawski został wrobiony przez Stasiaka w morderstwo i skazany za nie na śmierć.

– Sprytne – rzekł z podziwem w głosie Zygmunt. – To dlatego kazałeś na pierwszej stronie umieścić zdjęcie szefa bezpieki?

Wolak skinął głową.

– Pomyślałem, że przypisanie mu tego sukcesu spowoduje, że zacznie tracić głowę i przyspieszy wszystko, co zaplanował. A że z relacji Nikodema wiedzieliśmy, gdzie oraz po co Stasiak przybędzie, to pozostało nam jedynie zastawić na niego pułapkę.

– I złapać go na gorącym uczynku – dokończył Wiewiór. – Tak aby nie mógł się z tego wszystkiego wywinąć!

– Otóż to – potwierdził Wolak, szukając wzrokiem zaparkowanego w drugim końcu ulicy chevroleta. W aucie siedziało trzech mężczyzn, którzy z nimi przyjechali tu z Warszawy.

Wiewiór poruszył się niespokojnie na wózku. Przebywali tu już jakiś czas i upał zaczynał dawać im się coraz bardziej we znaki. Sytuacji z pewnością nie poprawiało przepłukiwanie gardła słodkim kompotem z rabarbaru. Inwalida wyciągnął z kieszeni pudełko gabinetowych, których całkiem spory zapas udało mu się znowu wycyganić od Makowskiego.

– Nie chciałbym być wścibski – Wiewiór przerwał na chwilę, by przypalić papierosa – ale muszę cię o to spytać.

– Śmiało! – zachęcił go Wolak.

Inwalida wypuścił z ust gęstą chmurę dymu i nie odrywając wzroku od drzwi plebanii, za którymi kilka chwil wcześniej zniknął Wincenty Stasiak, spytał:

– Coś ty czytał w samochodzie przez całą drogę?

Wolak zastanowił się nad odpowiedzią.

– Zapiski psychopaty – odparł w końcu.

– Co?!

Komisarz z dezaprobatą pokręcił głową. Czuł się jak rodzic, który musi wszystko dokładnie tłumaczyć swojemu mało rozgarniętemu dziecku.

– Wczoraj, gdy ty ucinałeś sobie miłą pogawędkę z dwoma milicjantami, ja w tym czasie wszedłem do mieszkania, w którym zameldowany był morderca. Nie wiem, po co to zrobiłem, powiedzmy, że tak kazał mi zawodowy instynkt. Znalazłem tam pewien zapisany brulion, którego lektura, jak słusznie zauważyłeś, umiliła mi podróż tutaj.

– Chcesz powiedzieć, że wpadł ci w ręce pamiętnik tego psychola?!

Wolak przytaknął.

– To może rzucić nowe światło na jego zbrodnie! – wykrzyknął podekscytowany inwalida.

– I uwierz mi, że tak właśnie jest – odparł spokojnie Wolak.

– Janek, opowiedz mi, co tam wyczytałeś – rzekł Wiewiór, odwracając głowę w stronę przyjaciela.

Wolak zmarszczył brwi. Popatrzył na pooraną zmarszczkami mimicznymi twarz Zygmunta, po czym przeniósł wzrok na plebanię i stojącą przy niej ciężarówkę.

– Nie teraz – odparł lodowato. – Wydaje mi się, że naszemu przyjacielowi spieszy się bardziej, niż sądziliśmy.

Wiewiór odwrócił głowę w stronę plebanii, z której wychodził właśnie Wincenty Stasiak, dźwigając dość pokaźnych rozmiarów tekturowe pudełko. Tuż za nim szedł mały, drobny człowieczek w sutannie. Stasiak przepuścił go przodem, wydając mu jakieś krótkie polecenie. Duchowny podbiegł do paki ciężarówki i uchylił brezent. Stasiak wsunął tam trzymane przez siebie pudło. Rozejrzał się dokoła. Na chwilę jego wzrok zatrzymał się na Wolaku i Wieczorku. Komisarz zamarł. Inwalida jednak nie stracił zimnej krwi. Podniósł butelkę i patrząc w stronę znajdujących się w odległości jakichś trzydziestu metrów mężczyzn, krzyknął:

– Wasze zdrowie, ojczulkuwie wielebni!

Stasiak otarł wierzchem dłoni spocone czoło, mruknął coś pod nosem

i ruszył w stronę plebanii. Śmieszny mały człowieczek w sutannie podreptał za nim, przebierając krótkimi krzywymi nóżkami.

Wolak ze świstem wypuścił powietrze. Udało się, Stasiak ich nie rozpoznał.

Wiewiór roześmiał się głośno.

– A tobie co tak wesoło?

– Bo pomyślałem sobie – zaczął inwalida, próbując powstrzymać kolejne wybuchy śmiechu – że gdybym miał mieć takie nogi jak ten księżulo, to wolałbym urodzić się kaleką.

Wolak z dezaprobatą pokręcił głową.

– Poczekamy, aż załadują ciężarówkę, i wkraczamy do akcji – powiedział.

Chociaż był silnym mężczyzną, powoli zaczynał odczuwać trudy dźwigania ciężkich skrzyń wypełnionych nie tylko kosztownościami, ale i czymś znacznie cenniejszym. Cenniejszym, ale nie lżejszym – pomyślał, czując, jak duża kropla potu spada mu z czubka nosa. Załadował kolejną ze skrzyń, tym razem, sądząc po oznaczeniu, była ona wypełniona dokumentami.

Stasiak wiedział, że za to tajne archiwum, w którym znajdowały się cenne dokumenty, będzie mógł na Zachodzie dostać, czego dusza zapagnie. Łącznie z nową tożsamością. Wskoczył na pakę ciężarówki, żeby poustawiać znajdujące się tam rzeczy. Kiedy uporał się ze wszystkim i zabezpieczył sznurem skrzynki, tak żeby nie mogły swobodnie przesuwać się po podłodze, całość nakrył starym wojskowym kocem. Teraz pozostało mu jeszcze tylko jedno brudne zadanie do wykonania. Musiał zastrzelić tego pokracznego księdza, który bał się go niczym samego diabła. Wprawdzie obiecał mu darować życie, ale nie wspominał, że miał na myśli życie wieczne. W sumie to ten stary ksiądz powinien nawet się z tego ucieszyć. Dzięki niemu prędzej stanie przed obliczem swego ukochanego Boga. Stasiak uśmiechnął się do własnych myśli i szybkim krokiem pomaszerował w stronę plebanii. Po drodze zdążył jeszcze zauważyć, że stojący do tej pory po drugiej stronie ulicy dwaj pijacy się ulotnili. Nie zdziwiło go to za bardzo. Pomyślał, że amatorzy mocnych trunków

postanowili schronić się gdzieś przed prażącym niemiłosiernie słońcem albo, co też było wielce prawdopodobne, wyschło im źródło i ruszyli szukać nowego.

Szef polskiej bezpieki był człowiekiem, którego rzadko co wprawiało w zdumienie, niezwykle trudno było go czymkolwiek zaskoczyć. Jednak przestępując próg plebanii, na ułamek sekundy stanął kompletnie dezorientowany. W środku oprócz wystraszonego księdza zobaczył dwóch mężczyzn, których wcześniej uznał za przypadkowych pijaczków. W okamgnieniu zrozumiał swój błąd. Był zły na siebie, że tak łatwo dał się oszukać. Zdążył zauważyć, że wielkolud w kapeluszu mierzy do niego z pistoletu. Inwalida przyglądał mu się bacznie, trzymając jedną z rąk pod kraciastym kocem. Stasiak domyślił się, że kaleka ukrywa tam broń. Krople potu jeszcze obficie wystąpiły mu na czoło. Przełknął ślinę. Pozostawała jeszcze szansa, że ci dwaj są przypadkowymi rabusiami, którzy akurat dzisiaj postanowili okraść plebanie. Nadzieja ta jednak prysła w chwili, gdy jeden z potencjalnych rabusiów się odezwał. Stasiak od razu skojarzył ten głos. Przypomniał sobie, gdzie wcześniej widział tych dwóch typów. Byli to ludzie, których Makowski wbrew jego woli zatrudnił do pomocy w śledztwie mającym wyjaśnić zabójstwo tej jego dużo młodszej żonki, która tak chętnie puściła się z Morawskim. Szef aparatu bezpieczeństwa zrozumiał, że obecność tych dwóch tutaj nie może być przypadkowa.

– Witamy, towarzyszu Stasiak. – Wolak delikatnie poruszył trzymanym przez siebie pistoletem. – Komuś takiemu jak pan nie muszę chyba przypominać, że wystrzelona kula zawsze jest szybsza od człowieka, dlatego proszę tak nie stać w progu, zapraszam do środka. Bez żadnych gwałtownych ruchów.

Stasiak posłuchał. Nie miał zamiaru uciekać. Po pierwsze dlatego, że podczas ewentualnej ucieczki musiałby zostawić zaparkowaną na ulicy ciężarówkę, gdyż zanim zdążyłby ją uruchomić i odjechać, to ten wyglądający na podstarzałego boksera brutal wpakowałby w niego kilka kulek. Po drugie, miał nadzieję, że podczas rozmowy uda mu się przekonać tych dwóch, żeby zaniechali tego, co mieli zamiar zrobić. W końcu przecież cały czas jeszcze był jedną z najpotężniejszych osób w tym kraju.

– Proszę opuścić broń – powiedział opanowanym głosem, wchodząc do środka. Spojrzał na chowającego się za plecami „boksera” księdza. – Czy

mógłbym dostać szklanę wody?

Johann Scholl spojrział na Wolaka. Ten lekko skinął głową. Duchowny zniknął za drzwiami prowadzącymi do innego pomieszczenia.

– Proszę usiąść przy stole. – Słowa te w ustach Wolaka zabrzmiały jak rozkaz.

Stasiak podszedł do stołu. Odsunął krzesło. Usiadł, ręce położył na blacie. Nie chciał niepotrzebnie prowokować byłych policjantów. Postanowił dowiedzieć się, czego od niego chcą. Gdyby mieli zamiar go zabić, już dawno by to zrobili i uciekli. Musiał sprawdzić, co jest ich głównym celem, i dopiero potem unicestwić. Bo w to, że da sobie z nimi radę, nie wątpił. Nieraz już znajdował się w opałach, często dużo gorszych niż te, i zawsze wychodził z nich obronną ręką. Dlatego siedział spokojnie przy stole i czekał na rozwój wypadków.

Skrzypnęły drzwi, w których pojawił się duchowny, niosąc na tacy dzbanek i trzy szklanki. Podszedł do stołu i trzymając się z dala od Stasiaka, postawił tacę i szybko się wycofał.

– Panowie? – Szef MBP podniósł dzbanek i spojrział pytająco w stronę przedwojennych policjantów.

Wieczorek skrzywił usta w grymasie niesmaku i patrząc w oczy Stasiaka, powiedział:

– Nawet gdybyśmy znaleźli się na pustyni i zdychałbym z pragnienia, to nie od każdego przyjąłbym wodę.

Siedzący przy stole mężczyzna napełnił jedną ze szklanek, upił łyk.

– Piękna deklaracja – powiedział, czując, że z wolna odzyskuje spokój, którego początkowo mu brakowało. – Widzę, że honor pan ma, ale nóg już nie. Jeśli mam być szczery, to wybierając pomiędzy honorem a nogami, wybrałbym te drugie.

Wieczorek zacisnął dłoń na kolbie trzymanego pod kocem pistoletu.

– Za honor – powiedział – oddałbym znacznie więcej, ale pan tego i tak nie zrozumie.

– Cieszę się, że mam do czynienia z ludźmi honoru – rzekł Stasiak. – Z tego, co słyszałem, tacy raczej nie strzelają do bezbronnych, prawda?

– Mój kolega ma na drugie imię honor – odezwał się Wolak, siadając na krześle naprzeciwko Stasiaka. – A ja sprawiedliwość.

Szef MBP uśmiechnął się kpiąco. Ostentacyjnie spojrział na wiszący na

ścianie zegar.

– Honor i sprawiedliwość, co za spotkanie, już myślałem, że coś takiego od dawna nie istnieje. Jednak przyglądając się wam obu, widzę, że też za długo nie pociągniecie. Tym bardziej że tryb życia, jaki prowadzicie, nie należy do najbezpieczniejszych. I co wtedy stanie się z honorem i sprawiedliwością? Gdzie będzie można znaleźć te dwie wartości? – Zawiesił na chwilę głos i powiódł wzrokiem po dwóch zmęczonych upałem mężczyznach. – Chyba tylko na cmentarzu – dokończył z przekąsem, po czym spytał: – Czego ode mnie chcecie?

Wolak podniósł leżącą na stole gazetę.

– Czytał pan to?

Stasiak pokiwał głową.

– A więc domyśla się pan, że to nie Nikodem Morawski zamordował Wierę Sonikównę?

Szef bezpieczeństwa publicznego wzruszył ramionami.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Przecież Morawski został skazany na śmierć i wyrok wykonano. Po co to wszystko odkręcać i robić ludziom papkę z mózgu?

Wolak nie dał po sobie poznać, że wie, iż Nikodemowi udało się ujść z życiem. Pokiwał głową, jakby zgadzał się ze słowami Stasiaka.

– Wie pan, że wraz z moim przyjacielem zostałem poproszony o pomoc w prowadzeniu tego śledztwa i dlatego chciałbym poznać prawdę, a pan może mi to ułatwić.

– Więc tego ode mnie chcecie? – Stasiak niezauważalnie odetchnął. – Informacji?

– Chcemy, żeby odpowiedział nam pan na kilka pytań – potwierdził Wolak. – Niczego więcej nie pragniemy.

Wzrok szefa MBP odruchowo powędrował w stronę okna, skąd widział stojącego opla, na którego platformie znajdowała się przepustka do nowego życia.

– Czego mogę oczekiwać w zamian? – spytał. – Puściecie mnie wolno?

– Nie zamierzamy pana zatrzymywać – pospieszył z zapewnieniem Wiewiór

Stasiak zastanawiał się przez chwilę. Popatrzył na inwalidę i rzekł:

– Zaufam wam i mam nadzieję, że mnie nie oszukacie. W końcu sprawiedliwość i honor to wasze drugie imiona. Pytajcie, o co chcecie!

– Uprzedzam, że niektóre z naszych pytań mogą się panu nie spodobać – rzekł Wolak. – Proszę jednak odpowiadać na nie zgodnie z prawdą, ponieważ jeśli tylko będziemy mieli cień podejrzenia, że pan kłamie, to zrywamy naszą umowę.

Stasiak zacisnął pięści. Nie odezwał się jednak. Chciał jak najszybciej mieć już to wszystko za sobą i rozklekotanym oplem blitzem odjechać ku nowemu życiu.

Komisarz Wolak, wciąż trzymając na muszce swojego rozmówcę, przystąpił do przesłuchania.

– Czy rozkazał pan swoim ludziom śledzić Nikodema Morawskiego?

– Pisemnego rozkazu nie wydałem – odparł dość swobodnie Stasiak. – A inwigilacja w naszych służbach nie jest czymś nadzwyczajnym.

– Czyli potwierdza pan, że Morawski był inwigilowany?

– Poniekąd tak.

– Pańscy agenci na bieżąco informowali pana o wynikach swoich obserwacji?

– Nie bardzo rozumiem, po co panu te wszystkie informacje – zniecierpliwił się Stasiak.

Wolak westchnął z udawanym znużeniem.

– Przez lata pracy nauczyłem się, że każde śledztwo należy doprowadzić do końca. Dlatego muszę poznać prawdę. Jeśli nie chce pan dobrowolnie odpowiedzieć na wszystkie moje pytania, to mogę pana do tego zmusić, ale wtedy nie mógłby pan już nigdzie pojechać tą stojącą na chodniku ciężarówką, która, jak widzę, przyciąga pański wzrok. No więc jak będzie? Odpowiada pan czy zaczynamy grać nieco ostrzej?

Stasiak westchnął ciężko.

– Mogę zapalić? – spytał.

Wieczorek rzucił na stół pudełko gabinetowych. Nie chciał, żeby przesłuchiwany grzebał po kieszeniach, w których mógł ukrywać różne niebezpieczne przedmioty. Ubek wyłuskał z pudełka jednego papierosa. Przez chwilę obracał go w palcach, ugniatając tytoń. Wolak obserwował go uważnie. Wiedział, że teraz następuje najważniejszy dla przesłuchania moment. Przerabiał to już wielokrotnie. W głowie przesłuchiwanego

z prędkością błyskawicy przewijały się setki myśli. Stasiak kalkulował, co mu się najbardziej opłaca. Współpraca czy opór. Komisarz go nie pospieszał. W sytuacji, gdyby ubek nie chciał współpracować, musiałby po prostu więcej czasu i energii poświęcić na wydobycie z niego potrzebnych zeznań. Policjant nie lubił tego, ale nie miałby żadnych oporów przed zastosowaniem przemocy wobec siedzącego naprzeciwko typu. Ubek podniósł głowę. Włożył papierosa do ust. Rozejrzał się w poszukiwaniu zapalniczki. Wolak wyjął swoją benzynówkę z kieszeni. Przesunął po blacie w stronę Stasiaka. Ten wziął ją i na chwilę spojrzał komisarzowi w oczy. Wolak wyczytał w tym spojrzeniu całkowitą gotowość na współpracę. Facet chciał jak najszybciej wsiąść do ciężarówki i stąd odjechać. Zrobi wszystko, żeby swój plan jak najszybciej zrealizować. Powoli zaczynało do niego docierać, że staje się osaczoną przez nagonkę zwierzyną. Iluzoryczne szanse ucieczki jeszcze istniały. Należało tylko wyrwać się z tej plebanii, ale żeby to zrobić, musiał szczerze, bez niepotrzebnego kręcenia powiedzieć prawdę.

– Będę mówił – powiedział, zanim przypalił trzymanego w ustach papierosa.

– Nie muszę chyba pana informować, że im wcześniej uzyskamy potrzebne nam informacje, tym szybciej się rozstaniemy?

Stasiak skinął głową.

– Nie ukrywam, że i mnie trochę się spieszy.

Nie wątpię, ty stary ubecki sukinsynie – pomyślał Wolak.

– Powróćmy więc do mojego wcześniejszego pytania – zaczął komisarz. – Jak często agenci informowali pana o wynikach inwigilacji Nikodema Morawskiego?

– Raz na dobę jeden z ludzi koordynujących całą akcją zdawał mi raport z obserwacji.

– Zostały jakieś ślady z tych raportów?

Stasiak pokręcił głową.

– Raporty były ustne, składane przed poranną odprawą w moim gabinecie.

Wolak w sumie nie spodziewał się innej odpowiedzi. Już podczas wojny zdążył zauważyć, że komuniści są w swoich działaniach dużo bardziej przebiegli niż gestapo. Natomiast z tego, co zdołał zaobserwować

po wojnie, wynikało, że komuniści są również dużo bardziej brutalni od gestapowców.

– A czy w razie gdyby wydarzyło się coś nieprzewidzianego, pańscy ludzie mogli się jakoś z panem skontaktować?

– Mieli do dyspozycji kilka numerów telefonów, pod którymi o każdej porze dnia i nocy można było mnie zastać.

Jan Wolak był starym, wytrawnym graczem. Podczas przesłuchania zwykł prowadzić swoistą grę. Jedną z jego ulubionych metod było uśpienie czujności przesłuchiwanego, a potem zaatakowanie znienacka, tak żeby ten nie miał czasu na obmyślenie jakiegokolwiek kłamstwa. Chcąc nie chcąc, musiał niejako siłą rozpędu powiedzieć prawdę.

– Często pana niepokoiли telefonami?

– Moi podwładni tworzą bardzo zdyscyplinowany zespół, który przestrzega ustalonych zasad. – Stasiak wydawał się znudzony pytaniami, które według niego do niczego konkretnego nie prowadziły. Na początku rozmowy miał dużo więcej respektu dla przedwojennego komisarza, o którego wyczynach słyszał jeszcze przed wrześniem trzydziestego dziewiątego. Facet musiał stracić swój wrodzony instynkt – pomyślał. – Dzwonili do mnie tylko wówczas, gdy mieli mi do zakomunikowania coś naprawdę ważnego. W innych wypadkach nie zawracali mi dupy.

– Oczywiście. – Wolak się uśmiechnął. – Też kiedyś, dawno temu, można by rzec, że w innym życiu, miałem zgrany zespół pracujących dla mnie ludzi, z którymi byłem w stanie rozwiązać każdą zagadkę kryminalną.

– Niemal każdą – poprawił go Stasiak, wrzucając wypalonego papierosa do szklanki z wodą.

– Słucham?

– Mówię, że niemal każdą zagadkę udało się rozwiązać pańskiemu zespołowi, ponieważ sprawa seryjnego mordercy kobiet na swój finał musiała czekać aż do czasów, kiedy to ja kieruję aparatem bezpieczeństwa w Polsce – powiedział Stasiak, wskazując leżącą na stole gazetę z jego zdjęciem na stronie tytułowej.

– Chyba nie wierzy pan we wszystko, co piszą ci cholerni dziennikarze? – spytał komisarz z udawanym poirytowaniem w głosie.

– Dlaczego miałbym im nie wierzyć?

– Myślę, że odpowiedź na to pytanie sam pan zna najlepiej. Chciałbym jednak zobaczyć, jak zareaguje pan na jutrzejszy artykuł, który ma się ukazać na pierwszych stronach wszystkich gazet w Polsce.

– Czego będzie dotyczył?

– Morderstwa żony pierwszego sekretarza, Wiery Sonikówny.

Stasiak wyciągnął rękę po stojącą przed nim szklankę. Zaraz jednak cofnął ją, przypominając sobie, że znajdująca się w środku woda nie nadaje się do picia. Ubek zabębnił nerwowo palcami o blat.

– Przedawniona, nudna historia – powiedział, siląc się na spokój. – Ta sprawa nikogo nie zainteresuje. Wszystko zostało już wyjaśnione, po co to jeszcze raz rozgrzebywać?!

– Może i tak – bez przekonania zgodził się Wolak. Spojrzał na stojącego obok Johanna Scholla. Ten jakby czytał w myślach policjanta, odwrócił się i zniknął za drzwiami prowadzącymi do pomieszczenia za ścianą. – Prawdę mówiąc, ten artykuł jeszcze nie do końca został napisany, a ja osobiście przychyliam się do pańskiej opinii, że nie ma potrzeby robić ludziom papki z mózgu. Społeczeństwo nie musi znać całej prawdy...

Przez twarz Stasiaka przebiegł cień uśmiechu.

– ...ja jednak muszę ją poznać! – dokończył z naciskiem Wolak. – Tamtej feralnej nocy otrzymał pan telefon od swoich ludzi. Co panu powiedzieli?!

Uśmiech spłynął z twarzy ubeka. Palce przestały bębnić o blat stołu.

– Do czego pan zmierza?!

– To nie jest odpowiedź na moje pytanie – rzekł Wolak spokojnym głosem, a jego wzrok powędrował w stronę okna i stojącego na chodniku opła. – Myślałem, że się panu spieszy, a tymczasem niepotrzebnie przedłużamy naszą rozmowę...

– Zadzwonili w środku nocy – gwałtownie przerwał komisarzowi Stasiak. Mówił szybko, jakby chciał wyrzucić, wypluć z siebie wszystko i wreszcie opuścić tę przeklętą plebanię. – Powiedzieli, że Morawski bawi się w Europejskiej z żoną Makowskiego. Zrozumiałem, że wreszcie go mam. W pierwszej chwili chciałem dzwonić do sekretarza, żeby go o tym poinformować. Zrezygnowałem jednak z tego pomysłu, ubrałem się i pojechałem do Europejskiej.

– Dlaczego tak bardzo zależało panu na pozbyciu się Morawskiego?

– Zbyt wiele o mnie wiedział. – Stasiak zamilkł na chwilę, po czym stanowczym tonem dodał: – Proszę nie pytać, o jakiego rodzaju informacje chodzi, bo akurat na to pytanie na pewno nie odpowiem!

– Czemu w takim razie nie zawiadomił pan pierwszego sekretarza? Czy on nie rozprawiłby się z mężczyzną, który uwiódł mu żonę?

– Myli się pan, komisarzu, to nie Morawski uwiódł Wierę, tylko ona jego. Sonikówna od dłuższego czasu zdradzała męża. On oczywiście o niektórych jej skokach w bok dobrze wiedział i przymykał na to oko. Nie poinformowałem Bolka o tym, ponieważ wiedziałem, że co najwyżej przez następnych kilka dni nie odzywałby się do Morawskiego, który zerznął mu żonę, i to byłyby wszystkie konsekwencje, jakie by wobec niego wyciągnął. Musiałem wymyślić inny sposób.

Stasiak zamilkł. Nie było już jednak odwrotu. Zabrnął za daleko. Zrozumiał, że nie docenił siedzącego naprzeciwko komisarza. Facet naprawdę ma łeb na karku i w pełni zasługiwał na opinię, jaką cieszył się przed wojną. Ubek pojął, że Wolak wiedział od samego początku, że to on stoi za zamordowaniem Wiery. Po co w takim razie cała ta szopka?

– Zakradłem się do ich pokoju, oboje już spali zmęczeni seksem i odurzeni alkoholem – kontynuował Stasiak. – W tamtej chwili przez moją głowę przebiegły dziesiątki myśli. Stałem nad śpiącym, bezbronnym Morawskim, którego mogłem zabić. Uświadomiłem sobie jednak, że dużo większą krzywdę mu wyrządzą, jeśli go oszczędzę.

– Dlatego zabił pan żonę pierwszego sekretarza, a głównym podejrzanym o dokonanie tego bestialskiego mordu stał się człowiek, który zbyt dużo wiedział o panu i dlatego musiał zostać wyeliminowany w jakiś niebudzący podejrzeń sposób? Z tego, co przeczytałem w raportach, to pańscy ludzie pojawili się nazajutrz z samego rana w hotelu, co też było dla mnie dziwnym zbiegiem okoliczności.

– To prawda – przyznał Stasiak. W jego głosie próżno było doszukiwać się skruchy. – Czy teraz, gdy wszystko już pan wie, mogę iść?

– Zaraz, zaraz. – Tym razem głos zabrał Wiewiór. Udawanie człowieka nie za bardzo rozgarniętego, co w tej chwili czynił, zawsze przychodziło mu z dużą łatwością. Wynikało to zapewne z jego fizjonomii, jakiej nie powstydziliby się żyjący w czasach Mieszka I kmieć, któremu właśnie oznajmiono, że Polska przyjęła chrzest i należy jak najprędzej przestać oddawać cześć dotychczasowym bóstwom. Ogromne zdziwienie

i niezrozumienie malujące się na jego twarzy bardzo dobrze korespondowało z tonem głosu, jakim zaczął mówić. – Wydaje mi się, że nie do końca wszystko zrozumiałem...

Stasiak westchnął głośno.

– ...z tego, co przed chwilą usłyszałem, wynika, że to pan zamordował Wierę Sonikównę, zgadza się?

– Tak – potwierdził ubek. – Ja zabiłem żonę pierwszego sekretarza! Czy teraz już wszystko pan rozumie?!

– Więcej, niż się panu wydaje – odparł Wieczorek.

– To dobrze. – Stasiak zwrócił się do Wolaka: – Czy to już wszystko? Mogę wstać i wyjść?

Komisarz przez chwilę zwlekał z odpowiedzią.

– Jeżeli o mnie chodzi, to nie mam więcej pytań.

Stasiak odetchnął. Nie zdążył jednak wstać z krzesła, bo w tej właśnie chwili otworzyły się drzwi, za którymi wcześniej zniknął Johann Scholl. Teraz w ich progu stał jednak ktoś inny. Był to jak zawsze nienagannie ubrany pierwszy sekretarz – Bolesław Makowski. Nawet teraz, pomimo upału, miał na sobie idealnie skrojony garnitur, koszulę i krawat. W przeciwieństwie do Stasiaka na czole pierwszego sekretarza nie perliła się ani jedna kropla potu. Za jego plecami stał Jastrzębski.

– A ja chętnie z wami porozmawiam, towarzyszu Stasiak – rzekł Makowski, przechodząc w głąb pomieszczenia.

Sekretarz odsunął krzesło i usiadł przy stole. Edward Jastrzębski okrążył stół i stanął za szefem MBP. W rękach trzymał pepeszę, której lufa była teraz wycelowana w szerokie plecy Stasiaka.

Ubek w ułamku sekundy zrozumiał, po co Wolak wypytywał go o wszystko. Spojrzał z wściekłością w jego stronę. Jak mógł dać się tak podejść?! Przyznał się do zamordowania żony pierwszego sekretarza, który stał za drzwiami i wszystkiemu się przysłuchiwał! Gorzej być już nie mogło.

Mylił się. Przekonał go o tym dźwięk, jaki rozległ się tuż za jego plecami. Był to dobrze znany mu odgłos odbezpieczanego pistoletu maszynowego. Przełknął ślinę, wierzchem dłoni otarł mokre czoło.

– Bolek, chyba nie każesz temu chłoptysiowi mnie rozwalić? – spytał.

W jego głosie słychać było lekko wyczuwalne, ale narastające z każdym

słowem drzenie. Makowski milczał.

Wolak podniósł się od stołu. W opuszczonej wzdłuż tułowia ręce wciąż jeszcze trzymał pistolet.

– Miło było poznać – rzekł w stronę Ubeka.

– Masz rację, Janek – odezwał się Wiewiór, wykręcając wózką w stronę drzwi. – Ja też nie mam ochoty się temu przyglądać.

– Panowie! – Stasiak wyraźnie tracił nad sobą panowanie. – A co z naszą umową? Przecież kaleka mówił, że honor to jego drugie imię! Dlaczego nie dotrzymujecie słowa?!

Wieczorek zatrzymał się i nie odwracając w stronę Stasiaka, powiedział:

– Dałem słowo, że nie będę pana zatrzymywał, czyż nie tak?

Ubek skwapliwie pokiwał głową.

– I dotrzymuję swojego słowa – odparł Wiewiór z uśmiechem na ustach. – Nie zatrzymuję pana. Żegnaj, bo już chyba się nie zobaczymy. – Zawahał się na chwilę, po czym nie mogąc się powstrzymać, dodał: – Ciekaw jestem, czy w obecnej sytuacji zamieniłby się pan ze mną i wolał odjechać na wózku, czy zostać tutaj na plebanii? – Wieczorek, nie czekając na odpowiedź, zwrócił się do Wolaka: – Wiesz co, Janek, coraz częściej zaczynam cieszyć się życiem i moje kalectwo wcale mi w tym nie przeszkadza.

– To dobrze, Zygmus – odparł beztrąsko komisarz. – Chodź na zewnątrz, zapalimy, popilnujemy ciężarówki i znajdującego się na niej dobra, a towarzysze niech załatwiają swoje sprawy. Jak dobrze pójdzie, to jutro o wszystkim przeczytamy w gazecie, bo przecież społeczeństwo musi być poinformowane o zmianach zachodzących na najwyższych szczeblach władzy.

– A jak źle pójdzie? – spytał ironicznie Wiewiór.

– To też napiszą o tym w gazetach. – Wolak się zamyślił. – Kto wie, może artykuł jest już gotowy i tylko czeka na druk?

Inwalida się zaśmiał.

– W tym kraju wszystko jest możliwe – powiedział.

– Co ze mną będzie? – spytał Stasiak, kiedy obaj policjanci wyszli na zewnątrz.

Makowski przyglądał się swoim czystym, wypielegnowanym dłoniom.

– Zawiodłem się na tobie – powiedział w końcu. – Cały czas łudziłem się, że Wolak i ten kaleka mylą się co do ciebie. Nawet teraz wciąż nie mogę uwierzyć, że to ty zamordowałeś Wierę. Powiedziałem Wolakowi, że musi mnie przekonać, i niestety to mu się udało.

– Bolek – zaczął Stasiak błagalnym tonem – przecież ty jej nawet nie kochałeś!

Sekretarz machnął lekceważąco ręką.

– To akurat nie ma najmniejszego znaczenia. Liczy się tylko to, że próbowałeś mnie okłamać i nie mogę ci już zaufać.

– Zapomnijmy o tym, co było, i spróbujmy zacząć naszą współpracę jeszcze raz! Przecież nie ma nikogo lepszego na moje stanowisko!

– Masz rację – potwierdził Makowski. – Nie ma nikogo, kto mógłby cię zastąpić...

Stasiak poczuł się jak ktoś, kto w otaczającej go ciemności dostrzega nagle słaby, drgający w oddali płomynek.

– ...dlatego od jutra osobiście przejmę obowiązki szefa Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego – dokończył sekretarz.

Stasiak zbladł. Światło nadziei zgasło. Zrozumiał, że Makowski nie żartuje. Pojął też, że w całej tej rozgrywce sekretarzowi chodziło o to, żeby w swoim ręku skupić władzę ministra bezpieczeństwa i pierwszego sekretarza. Dzięki temu w kraju byłby wszechpotężny. Jedynym człowiekiem, przed którym musiałby odpowiadać, byłby władca Kremla i połowy świata – Józef Stalin.

– W życiu nie ma miejsca dla tych, którzy chcą wystawić swoich przyjaciół – rzekł sentencjonalnie Makowski. – A ty chciałeś mnie wydymać jak pierwszą lepszą gówniarę i tą wyładowaną po brzegi ciężarówką odjechać daleko, zostawiając całą swoją przeszłość. Zapomniałeś o jednym.

– O czym? – spytał Stasiak, coraz bardziej tracąc nadzieję na ocalenie życia.

– Przed przeszłością nie da się uciec. Wszyscy siedzimy w tym po uszy i nierealne jest odkupienie win. Nawet jeśli byś przekazał Brytyjczykom

czy Amerykanom wszystkie poufne informacje plus dokumenty, które wyniosłeś z piwnic tego kościoła!

– Skąd wiesz o dokumentach? – spytał z niedowierzaniem.

Makowski roześmiał się głośno.

– Jesteś głupszy, niż myślałem – odparł wymijająco.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że od początku o wszystkim wiedziałeś? – Nagle go olśniło. Odwrócił się w stronę stojącego za nim Jastrzębskiego. – Od kiedy dla niego pracujesz?

Jastrzęb nie odpowiedział. Beznamiętnym wzrokiem patrzył na byłego mocodawcę i zastanawiał się, czy będzie coś czuł, kiedy Makowski każe mu pociągnąć za spust.

– Edwarda namówiłem do współpracy dopiero przed paroma dniami. Prawie do końca chciał zachować się wobec ciebie lojalnie. Ufał ci. Dopiero gdy powiedziałem mu, co planujesz, postanowił w pełni mi zaufać, prawda, Edwardzie?

Jastrzęb pokiwał głową.

– Tak jest, towarzyszu sekretarzu!

– Mogłeś naprawdę daleko zajść, Wincenty – rzekł z udawanym smutkiem Makowski. – A tymczasem połaśiłeś się na te błyskotki i archiwum, o którego zawartości i tak niewiele wiedziałeś.

– A więc to wszystko było ukartowane? – Stasiak wciąż nie mógł wyjść ze zdumienia.

– Nie przeceniaj nas – odparł sekretarz. – Wszystko nie, ale powiedzmy, że chcieliśmy sprawdzić twoją lojalność. Niestety, zawiodłeś, a wiesz, kto okazał się człowiekiem godnym zaufania?

Stasiak wzruszył ramionami. W tej chwili nic go już nie obchodziło. Przegrał i za moment miał za te kilka swoich nieprzemyślanych decyzji zapłacić najwyższą cenę.

– Otóż pragnę cię poinformować – kontynuował sekretarz niezrażony milczeniem rozmówcy – że prawdziwym Polakiem, w pełni oddanym władzy ludowej, okazał się nie kto inny jak Nikodem Morawski, którego jeszcze niedawno sędzia Fijałkowski, zresztą na moją prośbę, skazał niesłusznie na śmierć za zabójstwo, bo przecież ten biedny chłopak go nie dokonał.

Stasiak z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Na co mogę liczyć?

Makowski wyduł usta. Udał, że się zastanawia.

– Pogrzeb z honorami i niewszczynanie śledztwa w twojej sprawie, dzięki czemu pośmiertnie unikniesz miana zdrajcy. Nic więcej nie mogę ci obiecać. To i tak bardzo dużo. Robię to jedynie przez wzgląd na to, że kiedyś wiele nas łączyło. – Sekretarz zawahał się, po chwili jednak dodał:
– Prawdę powiedziawszy, byłeś mi dużo bliższy niż Wiera.

– Bolek! – krzyknął Stasiak, chcąc podnieść się z krzesła, ale lufa pepeszy, która mocniej wbiła mu się w plecy, osadziła go z powrotem na miejscu. – Nie każ mnie zabijać! Proszę! Obiecuję, że już nigdy cię nie zawiodę!

– Wincenty, przez wzgląd na naszą przyjaźń, proszę, nie rób tego – powiedział zimno pierwszy sekretarz.

– Czego?

– Nie skamlaj o darowanie życia! Nie chcę cię takiego zapamiętać! Proszę, miej jaja do końca!

Stasiak zrozumiał, że już nic nie wskóra.

– W porządku – odezwał się zrezygnowany. – Chciałbym jeszcze zapalić.

Makowski nie znosił dymu tytoniowego, nie mógł jednak odmówić skazańcowi ostatniego życzenia.

– Pal – zgodził się, wskazując na leżące na stole pudełko papierosów, których nie zabrał ze sobą Wiewiór.

Stasiak wyciągnął w ich kierunku drżącą rękę. Zaciągnął się swym ostatnim w życiu papierosem. Smakował mu on jak jeszcze nigdy dotąd. Co chwilę wydmuchiwał gęstą chmurę dymu. W pewnym momencie spostrzegł, jak spowity dymem pierwszy sekretarz kiwa lekko głową, spoglądając gdzieś nad jego ramieniem. A więc to już – pomyślał i raz jeszcze się zaciągnął. W tym samym momencie w niewielkim pomieszczeniu plebanii rozległa się głośna seria z pistoletu maszynowego.

Ukryty za kuchennymi drzwiami Johann Scholl obserwował, jak kule dziurawią ciało Wincentego Stasiaka. Odruchowo zmówił za niego „Wieczny odpoczynek” i poszedł po miskę z wodą. Chciał jak najszybciej zetrzeć ślady krwi, która bryzgnęła na podłogę i stół, brudząc wszystko dookoła, w tym także „Dziennik Zachodni”, z którego tytułowej strony

wciąż spoglądała twarz zastrzelonego przed chwilą mężczyzny.

68.

Chudy chłopak z długimi, patykowatymi nogami, które upodabniały go trochę do pająka, szedł warszawskim chodnikiem, krzycząc na całe gardło:

– Minister Bezpieczeństwa Publicznego zastrzelony przez nieznaną sprawców! Kto teraz obejmie jedno z najważniejszych stanowisk w Polsce?! Wszystkie informacje znajdziecie w „Głosie Robotniczym”! Kupujcie, póki nie wyczerpał się nakład!

Tłum warszawiaków błyskawicznie otoczył chudego wyrostka. Ludzie wysuwały z kieszeni drobniaki, płacąc za gazetę. Każdy chciał jak najszybciej dowiedzieć się, co takiego stało się z okrytym złą sławą szefem MBP – Wincentym Stasiakiem.

Młodociany sprzedawca gazet miał dziś nad wyraz fartowny dzień. Większość jego klientów była tak zaaferowana wydarzeniami, o których chcieli przeczytać, że część nie czekała nawet, aż chudzielec wyda im resztę. Wydierali z jego ręki gazetę i odchodzili na bok, by zaspokoić ciekawość. Chłopak był bardzo rad ze śmierci „Krwawego Wincentego”. Obiecał sobie, że jak już rozsprzeda wszystkie gazety i przeliczy dzisiejszy utarg, to zmówi za duszę zmarłego modlitwę. Kto wie, może dzięki śmierci Stasiaka uda mu się nawet opłacić ostatnią ratę u handlarza starzyzną, który już od kilku miesięcy trzyma specjalnie dla niego stary rower. Jego posiadanie pozwoliłoby usprawnić handel gazetami. Jak jeszcze udałoby się za niewielkie pieniądze dokupić wózek i podpiąć go do roweru, to mógłby zabierać większą liczbę gazet do rozprowadzenia. Chudy wyrostek, mający u rówieśników ksywkę Pająk, rozmarzył się na dobre, dlatego dopiero w ostatniej chwili zwrócił uwagę na krzyki i jakieś zamieszanie w swoim otoczeniu. Gazet było coraz mniej. Stało się jasne, że nie wystarczy ich dla wszystkich, dlatego tłum mocno napierał na Pajaka. Wśród przepychających się ku niemu klientów przodował

niepozorny człowiek o specyficznym, rzec by można, że wręcz odpychającym, wyglądzie. Jakby tego było mało, osobnik ów poruszał się na wózku inwalidzkim i niewiele sobie robiąc z utyskiwań innych oraz rzucanych pod jego adresem przekleństw, parł do przodu niczym taran.

– Ludzie! – krzyczał przy tym dużo głośniej niż sprzedawca gazet. – Trochę szacunku dla inwalidy wojennego! Czy w was już w ogóle uczuć i kultury nie ma?! Nóg mi brak, ale wzrok u mnie jeszcze dobry, to i poczytałbym sobie chętnie! Przepuśćta mnie!

– Ma rację! – poparł inwalidę jeden z mężczyzn w kraciatej marynarce i takiej samej czapce przekrzywionej na bakier. – Chłop walczył za was z Hitlerem, nogi w powstaniu stracił, a wy teraz tak mu się za to wszystko odplacacie?! Wstyd! Tfu!

Skończywszy swoją tyradę, mężczyzna złapał za rączki z tyłu wózka i wraz z inwalidą zaczął przepychać się w stronę gazeciarza.

– Ty, cwany gapa! – krzyknął ktoś z tłumu. – Kalika rozumiem, że bez kolejki kupuje gazetę, ale ty wracaj na koniec i czekaj na swoją kolej!

Mężczyzna w kraciatej marynarce szybko spojrzał hardo w stronę, z której dobiegł głos.

– Jak takiś mądry, to sam mogłeś pomóc pchać wózek, a teraz się nie wtryniaj, bo w takim tłumie różne rzeczy mogą się przytrafić!

– Dwie czy jedna? – spytał Pająk, chcąc załagodzić narastający konflikt.

– Daj jedną – powiedział właściciel kraciatego stroju. – Ja od kolegi poczytam.

Siedzący na wózku inwalida odwrócił się i popatrzył na przeżuwającego dawno już zgasłego peta mężczyznę.

– Od jakiego kolegi?

Cwaniak się uśmiechnął.

– Kupuj gazetę, ojciec, i nie zadawaj głupich pytań.

Inwalida włożył rękę pod koc, którym był przykryty.

– Daj jeden „Głos Robotniczy” – powiedział do gazeciarza, a potem, jakby przez roztargnienie, wyciągnął spod koca rękę, w której trzymał pistolet.

– Ojej – zdziwił się. – Sięgałem po portfel, a tu taka niespodzianka!

Cwaniak w kraciatej marynarce odwrócił się i nic nie mówiąc,

przeszedł szybko przez tłum wściekłych na niego ludzi.

Inwalida schował broń, zapłacił za gazetę i przejechał pomiędzy rozstępującymi się ludźmi. Zatrzymał się po drugiej stronie ulicy, gdzie czekał na niego wysoki, barczysty mężczyzna w nasuniętym na czoło kapeluszu.

– Co tak długo?

– Kolejka była.

Wielkolud splunął na chodnik.

– Teraz po wszystko są kolejki, nawet po głupią gazetę!

Siedzący na wózku Wiewiór rozłożył przed sobą „Głos Robotniczy” i zaczął czytać:

Wczoraj w późnych godzinach popołudniowych na plebanii jednego z kościołów znajdujących się na Ziemiach Odzyskanych odnaleziono zwłoki ministra bezpieczeństwa publicznego Wincentego Stasiaka. Jak udało się ustalić, szef bezpieczeństwa udał się na zachodnie rubieże naszego państwa ze specjalną misją, w którą wtajemniczonych było jedynie kilku najbliższych jego współpracowników. Jeden z nich, Edward Jastrzębski, przekazał nam, że cała sprawa ma ścisły związek z ukrywającymi się w tamtym rejonie najbardziej poszukiwanymi przez Urząd Bezpieczeństwa bandytami, którzy zdobywają tam fałszywe dokumenty tożsamości, by potem bez większych problemów zatrudnić się na jednym z wielu odpływających z gdańskiego portu statków i drogą morską uciec do Szwecji.

Ze słów oficera Jastrzębskiego wynika, że Wincenty Stasiak został zastrzelony przez jednego z bandytów, którzy na plebanii starego kościoła zorganizowali zasadzkę na funkcjonariuszy UB. Zanim na miejscu pojawiło się wojsko, bandyci zdolali zbiec. Obława na nich trwa do tej pory.

W związku z nagłą śmiercią ministra bezpieczeństwa publicznego nasuwa się pytanie, kto teraz zajmie jego miejsce.

Do tej pory nie udało nam się uzyskać żadnych konkretnych odpowiedzi. Pytany o to pierwszy sekretarz, Bolesław Makowski, oznajmił, że jeszcze jest za wcześnie, aby zajmować się obsadzaniem stanowisk po zastrzelonym towarzyszu Stasiaku, którego śmierć jest dla całego naszego kraju olbrzymią stratą...

– Skończ już, Zygmunt, bo nie mogę tego słuchać – syknął Wolak przez zaciśnięte zęby. – Nawet słowem się nie zająknęli o wyładowanym skrzyniami opłu. Pewnie wszystko zagarnęli dla siebie! Kto wypisuje te kłamstwa?!

Wiewiór przebiegł wzrokiem na koniec artykułu, gdzie widniały dwie litery inicjałów: S.S.

– Jak to kto? – powiedział z sarkazmem. – Nasz dobry znajomy Stefan Staroń.

– Dobrze się chłopak zapowiadał, a wygląda na to, że on także zaprzedał duszę czerwonemu diabłu! – skwitował Wolak.

– A my? – spytał przyciszonym głosem Wieczorek. – Co z nami będzie?

Wolak wzruszył ramionami.

– Mamy jeszcze dwa dni na zastanowienie się – odparł wymijająco.

Wiewiór złożył gazetę i wcisnął ją za oparcie wózka.

– Zdajesz sobie sprawę, co się z nami stanie, jeśli odmówimy Makowskiemu?

Przez twarz komisarza Wolaka przemknął cień uśmiechu.

– Zygmuś, bez względu na to, co z nami zrobią, redaktor Staroń i tak co innego do gazety napisze.

Wiewiór zaśmiał się głucho.

– A srał ich pies! – skwitował w charakterystyczny dla siebie sposób. – Idziesz ze mną na wódkę do Europejskiej? Ja stawiam!

– Fiu, fiu! A skąd u ciebie taki przyływ gotówki, że stać cię na wódkę w Europejskiej?

Wiewiór nie odpowiedział od razu. Z kieszeni marynarki wyjął nowe pudełko gabinetowych. Otworzył, podsunął Wolakowi, który poczęstował się jednym. Zapalili.

– Widzisz – zaczął Wieczorek, wypuszczając chmurę dymu – kiedy ty z Jastrzębskim poszedłeś po chevroleta, ja z towarzyszem Makowskim uciałem sobie pogawędkę o trudnej doli kaleki. Wymuskany Bolek tak bardzo nie mógł znieść mojej bliskiej obecności, że dał mi znacznie większą sumę pieniędzy niż ta, o którą go prosiłem. To jak, idziemy upłynnić część tej gotówki?

– Niestety, muszę ci odmówić – odparł Wolak z ciężkim westchnieniem, ponieważ naprawdę miał ochotę na wypicie kilku głębszych, jednak musiał coś jeszcze załatwić. – Umówiłem się z Hanką i Jadwigą.

Wiewiór ze zrozumieniem pokiwał głową.

– W porządku, idź. Mamy jeszcze dwa dni, a później...

– Chyba że zgodzimy się na propozycję Makowskiego – przerwał mu Wolak.

– Sam w to nie wierzysz, Janek – powiedział Wiewiór, po czym wykręcił wózkem i powoli odjechał.

– Dwa dni – wymamrotał pod nosem komisarz, a potem odwrócił się i żwawym krokiem pomaszerował w stronę kamienicy, w której mieszkała jego córka wraz z matką.

69.

Drzwi otworzył mu śmierzący troglodyta, z którym miał już wcześniej do czynienia. Widocznie wziął sobie do serca informację o kastecie, którym komisarz miał go potraktować w razie jakichkolwiek jego uchybień względem dokwaterowanej do jego mieszkania rodziny Bralewskich, gdyż był dzisiaj o wiele bardziej uprzejmy niż ostatnio. Podprowadził Wolaka do pokoju zajmowanego przez nowych lokatorów i siląc się na miły ton, co biorąc pod uwagę jego sznapsbarytonowy głos, było bardzo trudnym zadaniem, powiedział:

– Bardzo przepraszam za moje zachowanie ostatnio, ale nie poznałem pana komisarza. Wojna wszystkich nas zmieniła.

Wolak przyjrzał mu się uważniej. Małe, rozbiegane, przekrwione oczka wpatrywały się w niego, a on za nic nie potrafił umiejscowić ich właściciela wśród osób, z którymi przyszło mu się zetknąć przed wieloma laty.

– Nie ma o czym mówić! – rzekł dobrodusznie, po czym zapukał w drewniane drzwi, z których całymi płatami odchodziła szara farba. Nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Hanka z Jadwigą siedziały przy stole, na jego widok ich twarze rozjaśnił nikły uśmiech. Komisarz podszedł do starszej kobiety i delikatnie pocałował ją w policzek. Zatrzymał się przy Hance. Przez moment się wahał. Nie wiedział, jak dziewczyna może zareagować. Psiakrew – pomyślał w końcu – przecież za dwa dni może już nie być na tym świecie, a ja się zastanawiam, czy wypada pocałować na powitanie własną córkę! Nachylił się nad siedzącą nieruchomo dziewczyną. W chwili, gdy cmoknął ją w policzek, poczuł, jak całe ciało córki dziwnie sztywnieje. Dotarło do niego, że ona podobnie jak on nie do końca radzi sobie z okazywaniem uczuć. Zdjął z głowy kapelusz i położył na stole pomiędzy

dwiema szklankami, z których kobiety piły herbatę.

– Pana Franciszka nie ma? – spytał, siadając na krześle.

Hanka nie odpowiedziała. Udała, że w ogóle nie słyszy pytania. Wstała od stołu, zabrała leżący na blacie kapelusz i odeszła z nim w kąt pokoju, gdzie stał wieszak. Powiesiła na nim nakrycie głowy komisarza, który obserwując, co robi, zastanawiał się, czy nie wyrzuci przez okno jego ulubionego i w sumie jedyne kapelusza.

– Wypijesz z nami herbatę? – spytała tymczasem dziewczyna, po której widać było, że nie do końca potrafi się odnaleźć w zaistniałej sytuacji.

– Bardzo chętnie – odparł Wolak, starając się, żeby wypadło to swobodnie, jednak nawet tak krótkie zdanie brzmiało w jego ustach nieco sztucznie. Pomyślał, że aby jego relacje z córką nabrały naturalności, potrzeba dużo czasu. A on ma jedynie dwa dni.

– Franciszek z samego rana wyjechał na wieś – próbowała ratować sytuację Jadwiga, widząc, że rozmowa nie za bardzo się klei. – Mówił, że miejskie powietrze mu nie służy.

Komisarz obserwował, jak Hanka wkłada grzałkę do szklanki z wodą. Wciąż jeszcze nie docierało do niego, że ma córkę. I to taką dorosłą, kobietą, piękną.

– Jak on sobie radzi z tym wszystkim? – spytał.

– Co masz na myśli? – Dziewczyna wciąż stała odwrócona do niego plecami. Zdejmowała z szafki pudełko z herbatą. – Jak sobie radzi z przymusową przeprowadzką do Warszawy czy jak sobie radzi z tym, że zastrzelił człowieka, który chciał mnie zabić?!

– Haneczko – odezwała się matka, próbując uspokoić narastającą w dziewczynie złość. – Proszę cię...

Dziewczyna odwróciła się gwałtownie. Podeszła do Wolaka.

– Jaki z ciebie ojciec, skoro bardziej interesuje cię, jak całą tę chorą sytuację przeżył obcy człowiek, a nie zapytasz, jak zniosła to twoja córka! – krzyknęła Hanka z wyrzutem w głosie.

– Haneczko... – ponownie zaczęła uspokajać ją Jadwiga.

Tym razem przerwał jej Wolak. Podniósł się z krzesła, szurając nim głośno po podłodze. Stał naprzeciwko córki. Milcząc, patrzyli sobie w oczy. Pierwszy raz w życiu znaleźli się tak blisko siebie. Komisarz spostrzegł, że oczy dziewczyny robią się coraz bardziej szkliste. Bał się, że

za chwilę pojawią się w nich łzy.

– Już dobrze... córeczko – powiedział łamiącym się głosem, zupełnie nieświadom tego, że i on resztkami sił hamuje cisnące się do oczu łzy.

A potem zadziałał instynktownie. Zrobił krok do przodu i mocno przytulił dziewczynę. Hanka przyłgnęła do niego całym ciałem. Poczuł, jak kładzie mu głowę na ramieniu i mówi, łykając łzy oraz powietrze.

– Tak bardzo się bałam, tato... myślałam, że już nigdy więcej cię nie zobaczę, a przecież dopiero dowiedzieliśmy się o swoim istnieniu... To wszystko wydaje mi się takie nierealne, zupełnie jak świat opisywany w książkach...

– Teraz już wszystko będzie dobrze, córeczko – powiedział, głaszcząc jej włosy. – Obiecuję, że nic złego już cię nie spotka...

– Obiecaj mi, że już będziemy razem – poprosiła dziewczyna.

Wolak jeszcze mocniej przytulił córkę. Pomyślał o spotkaniu, na które za dwa dni był umówiony z Makowskim. Zamknął oczy.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, żebyśmy już zawsze byli razem.

Hanka oderwała się od niego. Jej twarz rozjaśniła radość.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę – powiedziała, po czym podeszła do szafki, na której stała szklanka z gotującą się wodą.

Komisarz usiadł na krześle. Hanka postawiła przed nim szklankę z parującą herbatą.

– Wybacz, ale nie mamy cukru – powiedziała, uśmiechając się.

– Nie szkodzi – odparł Wolak, odwzajemniając uśmiech. – Od dzisiaj moje życie jest tak słodkie, że obędę się bez cukru.

Hanka się roześmiała. Komisarz pomyślał, że dziewczyna pomimo traumatycznych przeżyć ostatnich dni i tak zadziwiająco dobrze sobie radzi. Włożył rękę do kieszeni płaszcza. Przez chwilę czegoś tam szukał.

– Psiakrew! – zaklął.

– Co się stało? – spytała Hanka.

– Zapomniałem po drodze kupić papierosy!

– To nic – odezwała się Jadwiga. – Za rogiem jest sklep, Haneczko byłabyś tak miła?...

– Ależ oczywiście, już biegnę – odparła dziewczyna.

Wolak wyjął z portfela banknot i wręczył go córce.

– Weź pudełko belwederów.

Dziewczyna skinęła głową, po czym szybko wybiegła z pokoju.

– To o czym chciałeś ze mną porozmawiać? – spytała Jadwiga, kiedy zostali tylko we dwoje.

– Domyśliłaś się?

– Mój drogi, odkąd tutaj wszedłeś, widzę, że szukasz okazji, żeby porozmawiać ze mną sam na sam, i w końcu wpadłeś na ten pomysł z papierosami. Muszę cię jednak uprzedzić, że sklep, do którego pobiegła Hanka, jest naprawdę niedaleko i lada moment nasza córka wróci.

– Nasza córka? – Wolak wciąż nie mógł w to wszystko uwierzyć. – Brzmi cudownie. Wiesz co, po tym wszystkim, czego doświadczyłem przez ostatnie dziesięć lat, nie wierzyłem, że jeszcze kiedyś spotka mnie w życiu coś dobrego. Boję się, bo to wszystko jest tak piękne jak jakiś sen i nie chciałbym, żeby nad ranem zbudziło mnie z niego łomotanie w drzwi kolbami karabinów. Zbyt wiele razy to wszystko w taki właśnie sposób się kończyło.

Jadwiga w zamyśleniu pokiwała głową. Wyciągnęła rękę w stronę komisarza. Bez wahania ujął jej drobną, szczupłą dłoń. Trwali tak przez chwilę, patrząc sobie w oczy.

– Szczęście to piękny, ale bardzo płochliwy ptak – odezwała się Jadwiga. – Trzeba uważać, żeby go nie wystraszyć, bo wtedy może już nigdy nie powrócić.

– Kto to powiedział? – spytał komisarz, z którego charakteru pracy wynikało, że lubił zbierać i przechowywać gdzieś na dnię pamięci różnego rodzaju informacje, nawet te, które pozornie mogły wydawać się zupełnie nieprzydatne.

– Nie wiem – odparła Jadzia. – Może przede mną nikt tego wcześniej nie powiedział? Może właśnie w tej chwili, kiedy mam cię tak blisko, wpadłam na to, bo się po prostu boję, że znowu mogę cię na wiele lat utracić?...

Wolak z przerażeniem pomyślał o czekającym go za dwa dni spotkaniu z Makowskim. Jadwiga ma rację, szczęście to bardzo płochliwy ptak.

– Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że... – zaczął głosem, który wiązał mu w gardle, tak że niemal przed każdym słowem musiał odchrząkiwać.

– Tak, Janku – przerwała mu kobieta, mocniej ściskając jego dłoń. W jej oczach pojawiły się łzy. – To właśnie chciałam ci powiedzieć... Przez te wszystkie lata byłam bardzo nieszczęśliwa... Jediną moją radością były Natałka i Hanka, która pomimo trudnego charakteru zawsze przypominała mi o tych kilku ulotnych chwilach szczęścia spędzonych z tobą... Reszta to szarość i smutek... Natałka, pomimo że miała dużo bardziej uległy charakter, bezustannie przypominała mi o tym, jak bardzo chciałam ciebie odnaleźć w innym mężczyźnie, ale nigdy mi się to nie udało...

Wolak zmarszczył brwi. W tej chwili oddałby wiele za to, by zapalić. Zdawał sobie sprawę, że na dnie wewnętrznej kieszeni ma wymięte pudełko papierosów, ale nie mógł z niego skorzystać, gdyż w ten sposób zdemaskowałyby się przed mogącą w każdej chwili powrócić córką. Nie dawały mu spokoju ostatnie słowa Jadwigi. Co miała na myśli, mówiąc, że chciała odnaleźć go w ramionach innego mężczyzny? Przecież ojcem Natałki jest Bralewski!

Nagle go olśniło.

– Nie zrozum mnie źle – zaczął wolno, ostrożnie, niczym sanitariusz próbujący zbliżyć się do nieobliczalnego pacjenta – ale muszę zadać to pytanie. Kto jest ojcem Natałki?

W pokoju zapadła cisza. Jadwiga milczała. Zza drzwi dochodziło miarowe rżenie radia. Można było jednak rozróżnić tylko pojedyncze słowa, wśród których niczym mantra powtarzane były: „pierwszy sekretarz”, „Związek Radziecki”, „partia”.

– Ojcem Natałki jest Romuald – wyrzuciła z siebie jednym tchem Jadwiga. – Wybacz, Janku... – dokończyła, łkając.

Wolak bezsilnie pokręcił głową.

– To ty mi wybac, że zostawiłem cię z tym wszystkim, ale... – W ostatniej chwili ugryzł się w język.

– To nie twoja wina, może gdybyś od początku wiedział, to wszystko potoczyłoby się inaczej.

– Kiedy kilka dni temu rozmawiałem z Romualdem, nic nie wskazywało na to, by wiedział, że jest ojcem Natałki. – Wolak próbował wszystko, czego się przed chwilą dowiedział, poukładać, żeby potem na spokojnie móc wyciągnąć wnioski.

– Bo nigdy mu o tym nie powiedziałam – wyznała Jadwiga.

– A twój mąż?

– Franciszek? – Kobieta zamyśliła się na chwilę. – Między nami od początku się nie układało. Byliśmy ze sobą, bo nasi rodzice wymarzyli sobie kiedyś, że tak będzie najlepiej dla dwóch rodów. Nasze małżeństwo było swoistą unią, która połączyła dwa duże majątki ziemskie. W akcie tym nie było miłości, a jedynie czysta kalkulacja. Według zapewnień mojej mamy miłość miała przyjść z czasem... I przyszła, tylko że... tylko że miała twoją twarz!

Wolak przełknął ślinę. Uświadomił sobie właśnie cały dramat, jaki przez te wszystkie lata był udziałem siedzącej przed nim nieszczęśliwej kobiety. Miłość potrafi dać człowiekowi wszystko, co najlepsze, potrafi też jednak okaleczyć na całe życie. Ma dwa oblicza i wszystko zależy od tego, które z nich zechce w danej chwili pokazać. Jadwiga tylko przez krótki czas mogła oglądać promienną, przeznaczoną dla nielicznych twarz miłości. Później miłość odwróciła się do niej plecami i odeszła mamić swym blaskiem innych nieszczęśników.

– Twój mąż wiedział?

Jadwiga przytaknęła.

– Przez długi czas nie mogliśmy mieć dzieci, Franciszek uważał, że to moja wina. Wszystko zmieniło się, gdy namówiłam go, żebyśmy przebadali się u jednego z najlepszych specjalistów zajmujących się leczeniem bezpłodności.

– Zgodził się? – zdziwił się komisarz.

– Tylko połowicznie, to znaczy łaskawie wyraził zgodę, żebym to ja poddała się badaniu. Lekarz stwierdził, że ze mną wszystko w porządku, tak więc problem był po jego stronie. On oczywiście zupełnie nie uznawał takiej diagnozy. Powiedział, że nigdy nie pozwoli na to, żeby badał go jakiś szarlatan. W każdym razie dalej próbowaliśmy robić wszystko, żebym zaszła w ciążę. Cała rodzina oczekiwała od nas potomków. Po pewnym czasie nawet Franciszek pogodził się z tym, że jest bezpłodny. Nie chciał jednak, żeby fakt ten wyszedł poza naszą sypialnię. Wtedy zresztą prawie już mnie nie odwiedzał w sypialni, bycie bezpłodnym dawało mu nowe możliwości, z których zresztą korzystał. Mógł bez żadnych ograniczeń sypiać z naszą służbą, nie martwiąc się o to, że któraś z uwiedzionych dziewcząt zajdzie w ciążę, a później zażąda przed sądem uznania ojcostwa. – Jadwiga uśmiechnęła się smutno. – Wychodził

z założenia, że dopóki nie ma dowodu, w tym wypadku dziecka, to nie można go oskarżyć o zdradę.

– Jak zareagował na wiadomość, że jesteś w ciąży?

Jadwiga wytarła spływającą jej po policzku łzę.

– Wpadł w szal, najpierw zaczął mnie wyzywać od najgorszych... a potem bić. Nie zwracał uwagi na to, gdzie uderza. Bił, dopóki się nie uspokoił, później wyszedł z pokoju. Przez następnych kilka dni mnie unikał. Wszystkim dookoła powiedziałam, że poturbowałam się, spadając z konia podczas jednej z codziennych przejażdżek. Uwierzyli, ponieważ nikt by nawet nie przypuszczał, że zostałam pobita przez męża.

– A Romuald?

– Chciał, żebym z nim uciekła, nie zgodziłam się na to. Nie mogłam, ponieważ go nie kochałam. Nalegałam, żeby opuścił nasz dwór i gdzie indziej rozpoczął nowe życie, ale on nie chciał. Wolał być świadkiem moich codziennych upokorzeń. Wydaje mi się, że znosił to wszystko dużo ciężiej niż ja.

– Kiedy powiedziałaś Bralewskiemu, kto jest ojcem twoich córek?

– Musiałam to zrobić w czasie ciąży. Groził, że jak mu nie powiem, to mnie tak pobije, że nie przeżyję ani ja, ani dziecko.

Wolak układał sobie w głowie wszystkie te informacje, z których powoli tworzył się obraz całości. Wciąż jednak brakowało mu jeszcze kilku elementów. Tym jednak się nie przejmował, ponieważ już wiedział, gdzie może je znaleźć.

– Czyli twój mąż od początku wiedział, że ja jestem ojcem Hanki, a Romuald Natałki? – upewnił się komisarz.

Jadwiga przytaknęła, po czym dodała:

– Janek, on się zmienił. W ostatnich latach bardzo złagodniał, zawsze był dobry dla moich córek. Nigdy nie dał im odczuć, że są dla niego kimś obcym. Franek dużo ostatnio przeszedł, on sam w tej chwili potrzebuje pomocy. Nie radzi sobie z nową sytuacją, z tym, że straciliśmy cały majątek. To naprawdę biedny, nieszczęśliwy człowiek... Ja już dawno mu wszystko wybaczyłam.

– Wiesz co – zaczął komisarz, nie starając się nawet ukryć w głosie szyderstwa – po tym wszystkim, czego się dzisiaj o nim dowiedziałem, to w ogóle nie jest mi go szkoda. Nie ma we mnie nawet krzty współczucia

dla tego... – zamilkł na moment, szukając odpowiedniego określenia – ...
oprawcy!

Wolak poderwał się gwałtownie od stołu. W tym samym momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich zdyszana, ale uśmiechnięta Hanka. Obrzuciła spojrzeniem rodziców. Widząc łzy w oczach matki oraz malujące się na twarzy ojca wzburzenie, dziewczyna nieco zmarkotniała.

– Co się stało? – spytała z udawaną beztroską. – Nawet na chwilę nie można was zostawić samych?

Komisarz zmusił się do uśmiechu. Podeszedł do Hanki. Przytulił ją mocno i wyszeptał:

– Zajmij się mamą, ja muszę jeszcze coś załatwić.

Dziewczyna spojrzała na niego uważnie.

– Obiecuj, że wrócisz – powiedziała. – Nie chcę cię teraz stracić. Zwłaszcza że niedawno cię odzyskałam.

– Wrócę – odparł komisarz. – Obiecuję, że wrócę, córeczko.

Wziął od dziewczyny paczkę belwederów i wyszedł z pokoju. Zbiegając ze schodów, zauważył, że pudełko z papierosami jest napoczęte. Uśmiechnął się pod nosem. Będę musiał oduczyć ją palenia – pomyślał. – Tylko czy zdążę? Przypominał sobie o wyznaczonym za dwa dni spotkaniu z pierwszym sekretarzem.

Marek Brodzki wyglądał jak młodsza kopia swojego brata Jurka. Praca w stajni sprawiła, że chłopak powoli nabierał tężyzny fizycznej i jego sylwetka zmieniała się z chłopięcej w męską. Oczywiście był jeszcze zbyt drobnej postury, by móc się porównywać do mężczyzn takich jak choćby ten zwalisty gbur stojący w drzwiach stajni i od jakiegoś czasu przyglądający mu się w milczeniu. Widział go już wcześniej, ale za cholere nie mógł sobie przypomnieć, kim jest ten facet. Jak przez mgłę kojarzył tę ponurą facjatę. Początkowo nawet miał wrażenie, że widział go kiedyś wśród partyzantów, ale teraz nie dałby sobie za to uciąć ręki. Na pewno był to ktoś ważny, ponieważ wcześniej mignął mu kilkakrotnie, zawsze w towarzystwie Jastrzębskiego i tego jeżdżącego na wózku inwalidy, który wydawał się nawet sympatyczny. Czego w ogóle nie dało się powiedzieć o tym milczącym typie, czekającym, aż Marek napoi zwierzęta w stajni. Chłopak zdawał sobie z tego wszystkiego sprawę, dlatego wcale się nie spieszył. Każdą czynność wykonywał powoli, z pełną celebracją. Niestety, podniósł właśnie z klepiska ostatnie wiadro wody i za chwilę chcąc nie chcąc, będzie musiał przejść obok nieznanomego, aby wyjść na podwórze i przy studni napełnić wiadra. Konie zmęczone całodziennym upałem były dziś wyjątkowo spragnione. Każdy z nich wypił ponad wiadro wody.

– Szukam koniuszego – odezwał się stojący w progu stajni mężczyzna. Jego głos był mało przyjemny, brzmiał dość opryskliwie. Marek najchętniej by go zignorował lub burknął w odpowiedzi coś niewyraźnie pod nosem. Nie mógł jednak sobie na to pozwolić.

– Koniuszy to ktoś, kto z samej definicji tego słowa zajmuje się końmi, a jak pan widzi, ja to robię, tak więc idąc tym tropem, znalazł pan koniuszego. – Marek był dumny ze swej odpowiedzi, która pierwotnie miała ograniczyć się do „pocałuj mnie w dupę”, a rozwinęła się w całkiem długie i znacznie bardziej wyszukane zdanie.

Zwalisty facet o zmęczonej twarzy Humphreya Bogarta westchnął ciężko.

– Chłopcze, nie zgrywaj mi się tutaj na mądrzejszego, niż w rzeczywistości jesteś – zaczął tym samym mało przyjemnym tonem – ale jeżeli wiesz, gdzie może być Romuald Zych, to czym prędzej podziel się ze mną tą informacją, bo mam podstawy przypuszczać, że grozi mu właśnie śmiertelne niebezpieczeństwo. – Facet będący polską i znacznie wyższą wersją Bogarta wycelował wskazujący palec w Marka i kładąc nacisk na każde słowo, dokończył: – A może tobie zależy właśnie na tym, żeby pozbyć się z tego świata Romualda Zycha i zająć jego miejsce, co? W sumie to już sam nie wiem, czy sąd postawi ci zarzut o utrudnianie śledztwa, czy może raczej o współudział w morderstwie!

Młodszy z braci Brodzkich pobladł. Upuścił trzymane za pałąk wiadro, które z głośnym brzękiem upadło na twarde podłoże. Znajdujące się w boksach konie parsknęły zaniepokojone nagłym hałasem.

– Wydaje mi się, że wiem, gdzie może przebywać Romuald – wyrzucił z siebie chłopak przestraszony perspektywą spędzenia kilku najbliższych lat w więzieniu. – Zaraz tam pana zaprowadzę!

– Daleko stąd?

Marek zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

– Pół godziny marszu.

– Samochodem się dojedzie?

Chłopak ponownie wykonał ten sam szybki ruch głową.

– Nie, droga tam wąska, wśród drzew, jedynie pieszo można.

– Dobra – rzekł polski Bogart, przyglądając się Markowi. – Dużo obowiązków tu masz, co? Napracować się trzeba, nadźwigać?

Chłopak był zdumiony pytaniem.

– Tak – przyznał nieśmiało.

– Ale trochę siły to ci jeszcze na dzisiaj zostało, hę?!
– Tak – przytaknął Marek.

Mężczyzna rozciągnął usta w uśmiechu.

– To dobrze, bo mam dla ciebie specjalne zadanie, chodźmy na zewnątrz!

Kiedy wyszli ze stajni, wysoki mężczyzna z zadowoleniem odetchnął

Kiedy wyszli ze stajni, wysoki mężczyzna z zadowoleniem odetchnął

rześkim popołudniowym powietrzem. Odwrócił się do stojącego za nim chłopaka, który na jego tle prezentował się nieco cherlawo.

– Mówisz, synu, że droga do miejsca, w którym zaszył się Romuald Zych, by w samotności poświęcić się temu, co poza końmi kocha najbardziej, jest ciężka i niewygodna?

Marek skinął. Nawet nie zauważył, w którym momencie stojący obok facet wyprostował rękę i swą wielką niczym bochen wiejskiego chleba dłonią klepnął go zamasyście w plecy. Zupełnie nieprzygotowany na to chłopak wyskoczył do przodu, jakby wystrzelony z katapulty. W tym samym momencie zza rogu stajni, od strony studni, nadjechał towarzyszący zwykle zwalistemu typowi inwalida.

– Gdzie tak pędzisz, chłopcze? – spytał go kudłaty pasażer wózka.

Marek nie zdążył odpowiedzieć. Zrobił to zamiast niego facet, który wyciągnął go ze stajni.

– Wyobraź sobie, Zygmunt, że ten młody chłopak wyjawiał mi przed chwilą, że wie, gdzie możemy znaleźć poszukiwanego przez nas Romualda Zycha!

Wiewiór pokiwał z uznaniem głową.

– Mało tego, zaproponował, że nas tam zaprowadzi...

Inwalida szeroko rozdziawił usta, udając jeszcze większe zdziwienie.

– ...wstrzymaj się z brawami! – nakręcał się coraz bardziej komisarz Wolak. – Najlepsze zostawiłem na sam koniec. Ten młody dżentelmen zgodził się pomóc tobie w przebyciu tej, jak się wyraził, „wąskiej i trudnej drogi”!

Marek Brodzki pobladł. Nie uśmiechało mu się pchanie wózka po grząskich leśnych ścieżkach. Stokroć bardziej wolałby już do wieczora nosić wypełnione wodą wiadra i poić konie. Tamto zajęcie sprawiało mu chociaż przyjemność.

– Brawo, młody człowieku! – krzyknął tymczasem Wiewiór. – Przyznam szczerze, że ostatnimi czasy rzadko można spotkać wśród twojego pokolenia tak sympatycznych, bezinteresownych i uczynnych ludzi!

Brodzki wzruszył ramionami. Jedno było pewne – dzisiejszego wieczoru będzie tak zmęczony, że zaśnie bez żadnych snów. A to oznaczało, że obraz Hanki Bralewskiej, ubranej jedynie w zwiewną

przezroczystą sukienkę, nie będzie wystawiał na próbę jego rozgrzanych podnieceniem zmysłów. Spojrzał ze złością na zwalistego typa, którego obarczył winą za taki stan rzeczy.

Chłopak nie domyślał się, że obiekt jego złości jest zarazem ojcem obiektu jego miłości.

71.

Stara drewniana chata stojąca na obrzeżach terenu należącego niegdyś do majątku Bralewskich nie prezentowała się za pięknie. Prawdę mówiąc, wyglądała, jakby przy lada podmuchu miała się zawalić. Najlepsze lata już za nią – pomyślał skradający się w jej kierunku mężczyzna. Podobnie zresztą jak moje – uzupełnił po chwili swoje przemyślenia, gdyż dzisiejszego dnia pokonał pieszko kawał drogi i teraz trudy podróży zaczęły dawać mu się we znaki. Musiał jeszcze wykrzesać z siebie trochę siły, a potem będzie mógł odpoczywać, ile tylko zapragnie.

Przez chwilę stał ukryty za drzewami lasu, który przed wieloma laty posadził jego dziad. Pamiętał to wszystko jak dziś. Miał pewnie z osiem lat, dziadek zabrał go ze sobą, żeby wspólnie doglądali parobków sadzących drzewa.

– Widzisz, Franuś – mówił mu wówczas starszy pan z sumiastymi wąsami, które przy każdej okazji z dumą podkręcał – kiedyś wyrosnie tu piękny las, mnie już nie będzie na świecie, ale mam nadzieję, że te drzewa za każdym razem, kiedy znajdziesz się w ich cieniu, będą ci o mnie przypominały.

Franuś, który teraz był w wieku swojego dziadka, zadarł głowę i przyglądał się szumiącym koronom drzew. Odczekał, aż wyrówna mu się oddech i ostrożnie wyszedł na polanę, kierując się w stronę stojącej pośrodku drewnianej chatki. Po drodze wyjął z utrzymanego na plecach chlebaka rewolwer nagan, będący rodzinną pamiątką z czasów wojny bolszewickiej. Mocno ścisnął drewnianą kolbę i zakradł się do okna szopy. Przez brudną szybę zajrzał do środka. Widok, jaki ukazał się jego oczom, nieco go uspokoił. Wszystko szło zgodnie z planem. Bez niepotrzebnych zakłóceń. Podeszedł do drzwi. Pchnął je lekko. Nieoliwione od niepamiętnych czasów zawiasy skrzypnęły głośno. Skrzywił się

mimowolnie. Od dzieciństwa nie lubił tego dźwięku. Kojarzył mu się z krnąbrnymi służącymi, którzy nie potrafili sumiennie wykonywać obowiązków.

Wszedł do środka. W nozdrza momentalnie uderzył go intensywny zapach niestrawionego alkoholu i spoconego, dawno niemytego ciała. To było znacznie gorsze niż skrzypiące drzwi. Grymas niesmaku powrócił na jego twarz. Źródło smrodu, który wypełniał całe niewielkie, ale zagracone do granic możliwości pomieszczenie, leżało na starym, poprzypalanym w wielu miejscach materacu. Franciszek schylił się po stojące na środku podłogi wiadro. Kiedy je podnosił, z obrzydzeniem spostrzegł, że jest do połowy wypełnione jakimś nieczystościami wydzielającymi intensywną woń, z którą mógł jedynie konkurować smród moczu. Wystawił wiadro na zewnątrz, podpierając nim drzwi. Nie chciał ich zamykać, gdyż wtedy odciąłby dostęp świeżego powietrza. Omijając porozrzucane na podłodze rupiecie, podszedł do śpiącego na materacu mężczyzny. Szturchnął go lekko nogą. Żadnej reakcji. Franciszek pomyślał, że niepotrzebnie zachowywał aż takie środki ostrożności podczas skradania się tutaj. Równie dobrze mógłby podjechać tu czołgiem, a i tak nie zrobiłoby to większego wrażenia na pogrążonym we śnie mężczyźnie. Tym razem już nie szturchnął, lecz kopnął śpiącego. Czubek zakurzonego buta zagłębił się w brzuch leżącego, który zamiast otworzyć oczy, mruknął coś niewyraźnie i przekręcił się na drugi bok, wystawiając w stronę gościa wypięte siedzenie. Franciszek zaklął bezsilnie pod nosem. Najchętniej wylałby na typa pogrążonego w nad wyraz silnych objęciach Morfeusza zawartość wiadra, którym podparł drzwi. Jedyne, co go przed tym powstrzymywało, to smród, który po takim zabiegu by się spotęgował. Z wściekłością popatrzył na śpiącego. Wokół niego leżało mnóstwo niedopałków papierosów, z którymi tamten musiał zasypiać niczym dziecko ze smoczkiem. To cud, że do tej pory jeszcze nie spalił siebie i całej tej budy. Franciszek wziął zamach i z całej siły kopnął czubkiem buta w wycelowany w niego tyłek. Poskutkowało. Kopniak jakimś cudem przebił się do zamroczonej alkoholem świadomości śpiącego, który wolno podźwignął się na materacu. Nim jednak otworzył oczy, wypuścił na zwiady rękę, która niczym przebudzony płaz macała dookoła. Jej ruchy stawały się coraz bardziej pospieszne i nerwowe. Uspokoila się dopiero wtedy, gdy natrafiła na stojącą w bezpiecznym miejscu butelkę. Palce wprawnie zacisnęły się na szklanej szyjce i butelka pokonała krótki i bardzo dobrze jej znany odcinek. Podróż kończyła się w chwili zetknięcia

gwintu ze spragnionymi ustami. Franciszek, obserwując tę scenę, zastanawiał się, czy to przebudzony ze snu mężczyzna pije z butelki, czy też może butelka pije z niego. W każdym razie ta symbioza była niemalże idealna.

Dopiero kiedy kilka potężnych łyków ożywczej substancji spłynęło przez gardło mężczyzny, odstawił on prawie już pustą butelkę idealnie w to samo miejsce, w którym stała wcześniej. Było to o tyle godne podziwu, że cała ta złożona logistycznie operacja została wykonana przez obudzonego typa bez otwierania oczu. Otworzył je w chwili, gdy denko butelki zetknęło się z twardym podłożem. Łądowanie zakończone, można odpiąć pasy – pomyślał Bralewski, któremu przypomniał się lot, jaki odbył przed wojną z przyjacielem testującym samoloty dla Państwowego Zakładu Lotniczego w Mielcu.

Następnie skierował swoje spojrzenie na stojącego nad nim Franciszka. Ten zerknął na niego i zastanowił się, ile prawdy jest w sentencji mówiącej, że oczy są zwierciadłem człowieczej duszy. Te przypominały oczy wilkołaka, który już dawno zapomniał, że kiedyś był człowiekiem. Nagle coś jakby błysnęło w tym zamglonym oparami alkoholu spojrzeniu. Pojawił się w nich jakiś błysk zrozumienia, z nasiąkniętego wodą mózgu nadbiegł sygnał mówiący, że stojący nad nim mężczyzna jest kimś znajomym.

– To ty – wychrypiał Romuald Zych.

Bralewski nie odpowiadał. Patrzył na śmierzący wrak człowieka i zastanawiał się, jak Jadwiga mogła komuś takiemu się oddawać. Zdawał sobie sprawę z tego, że kiedyś ten mężczyzna wyglądał inaczej, dbał o siebie, ale mimo wszystko od zawsze przecież nosił w sobie jakiś pierwiastek samounicestwienia. Nigdy nie umiał pogodzić się z tym, że kobieta, którą pokochał, jest żoną innego. Był zbyt słaby, by przejść nad tym prostym faktem do porządku dziennego i spróbować dalej normalnie żyć. Dlatego leżał teraz w tej śmierzącej norze, cuchnąc jak zwierzę.

– Jak się domyślam – Bralewski zatoczył krąg ręką, w której trzymał rewolwer – to tutaj spotykałeś się przed laty z moją żoną na miłosnych schadzkach?

Koniuszy powoli odzyskiwał świadomość, a dawka alkoholu, którą przed chwilą w siebie wlał, pozwoliła mu w miarę normalnie funkcjonować. Spośród leżących na podłodze niedopałków wybrał jeden niewypalony do końca. Włożył go do ust, coraz mniej drżącą ręką

przytknął doń płonąca zapalną i zaciągnął się głęboko.

– Widocznie ja dawałem jej coś, czego ty nigdy dać nie potrafiłeś – wychrypiał, dmuchając w stronę Bralewskiego porcją dymu przemieszana z alkoholowymi wyziewami.

Bralewski wciągnął ze świstem powietrze. Nie spodziewał się takiej riposty. Sądził, że wódka już dawno zlasowała mu mózg, ograniczając jego pracę jedynie do informowania o podstawowych czynnościach fizjologicznych i to też nie zawsze dając organizmowi znać na czas, o czym świadczyła ciemna plama w kroku spodni koniuszego. W sumie mógł od razu bez niepotrzebnych pogaduszek załatwić to, po co tu przyszedł. Wystarczyło pociągnąć za spust i byłoby po wszystkim. Tylko że wtedy nie miałby tej olbrzymiej przyjemności, jaką dawała mu... no właśnie, inaczej nie mógł tego nazwać – gra wstępna – to było najważniejsze określenie tego, co w tej chwili robił, i ten śmieć nie mógł mu w tym w żaden sposób przeszkodzić. Nawet najbardziej ciętą ripostą.

– Zapewne masz rację – powiedział, spoglądając na Zycha, który nie wiedział, do czego zmierza jego interlokutor. – Rozkoszy dawałem jej nie mniej niż ty, ale jednego dać jej nie mogłem...

Zych wyczekująco patrzył na Bralewskiego, zastanawiając się, co tym razem ten stary dziwak knuje.

– Powiedz mi – kontynuował Franciszek. – To na tym materacu Jadwiga wiała się pod tobą, patrząc w to małe okienko ze strachem, że w każdej chwili może się w nim pojawić twarz zdradzanego męża?

Koniuszy zaciągnął się resztką papierosa i pstryknął niedopałek w stronę otwartych drzwi. Przez chwilę obaj mężczyźni śledzili lot peta, który zakończył się tuż przed progiem. Zych milczał. Nie miał ochoty na rozdrapywanie ran, które pomimo upływu czasu wciąż jeszcze się nie zablizniły. Bralewski trafił w dziesiątkę.

– Bo jeżeli na tym materacu zgiliście się przed laty – Franciszek wydawał się niezrażony milczeniem koniuszego – to muszę przyznać, że nieźle zbrukałeś tę świątynię waszej miłości. Tym bardziej że chyba to właśnie tutaj poczęła się wasza córka!

Reakcji, jaką wywołały ostatnie słowa, Bralewski kompletnie się nie spodziewał. Romuald gwałtownie poderwał się z materaca, przewracając butelkę z alkoholem, jednak zupełnie nie zwrócił na to uwagi. Dосkoczył do stojącego nad nim Franciszka, od którego był o głowę niższy i jakieś

piętnaście kilogramów lżejszy. W tej chwili zupełnie mu to nie przeszkadzało. Jako były dżokej przyzwyczał się do swojej, co tu dużo mówić, dość nikczemnej postury. Złapał Bralewskiego za klapy marynarki, przyciągnął do siebie i zionąc w niego alkoholem, wycedził przez zaciśnięte zęby:

– O czym ty, do kurwy nędzy, mówisz?!

Bralewski miał problem z odepchnięciem go od siebie. Przez sekundę rozważał myśl, czy mu strzelić w brzuch, ale zrezygnował z tego, ponieważ wiedział, że dopiero teraz obudził w koniuszym prawdziwe emocje, które sprawiają, że dreszcz chorego podniecenia przybierze jeszcze bardziej na sile.

W końcu udało mu się odepchnąć go od siebie i rzucić z powrotem na materac.

– Nie waż się podnieść! – krzyknął, mierząc w jego stronę. – Bo zastrzelę cię, zanim czegokolwiek się dowiesz!

Zrezygnowany Zych usiadł. Dopiero teraz spostrzegł, że z przewróconej butelki wylała się resztką alkoholu. Sięgnął jednak po nią. Przystawił sobie do ust. Przymknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Pojedyncze krople piekącej substancji spłynęły w dół. Za mało, żeby uspokoić skołatane nerwy. Za mało, by odsunąć widmo nadciągającego delirium. Odstawił pustą butelkę. Spojrzał w wycelowaną w siebie lufę. To stamtąd miało nadejść zakończenie tej smutnej, nieudanej historii, jaką było jego życie. Odetchnął z ulgą. Żeby jeszcze tylko dowiedzieć się, co ten skurwysyn miał na myśli, a potem zamknąć oczy i poczekać, aż zrobi to, na co jemu nigdy nie starczyło odwagi.

– Mów – wycharczał.

– Żal mi ciebie – odezwał się Bralewski. – Całe życie kochałeś kobietę, która była mężatką i nie mogła być z tobą dłużej niż te kilka, kilkadziesiąt minut tutaj, w tym domku, podczas waszych potajemnych schadzek. To naprawdę przykre! – Franciszek zamilkł, jakby czekał, aż siedzący u jego stóp mężczyzna coś powie. Kiedy jednak cisza się przedłużała, kontynuował swój złośliwy wywód, który sprawiał mu coraz większą przyjemność. – Jednak nie wiedziałeś o tym, że jedna z mieszkających tu dziewcząt, której zresztą udzielałeś lekcji jazdy konnej, jest twoją córką... Przykra sprawa.

– Natalka? – spytał ze łzami w oczach Romuald.

– Tak, Natalka, którą przed paroma dniami znaleziono martwą w parku. Szkoda, bo już nigdy nie usłyszysz, jak mówi do ciebie „tatusiu”...

– Ty draniu! – syknął z całą świadomością swojej bezsilności koniuszy.
– Zabiłeś ją?

– O nie! – zaprzeczył żywo Bralewski. – Przykro mi, że posądzasz mnie o tak nikczemny czyn. Żeby cię nieco uspokoić, mogę powiedzieć, że człowiek, który zabił twoją córkę, nie żyje, a odpowiedzialność za jego śmierć spada na mnie.

Zych jednak już go nie słuchał. Schował twarz w dłoniach i zaczął płakać. Jego ciałem wstrząsały niekontrolowane spazmy.

Bralewski czuł, że podniecenie zaczęło dochodzić u niego do punktu kulminacyjnego. Czas na szczytowanie – pomyślał, po czym odciągnął kurek rewolweru i wymierzył w sam środek głowy koniuszego. Zabijając go, niewiele ryzykuje. Zdecydował, że kiedy już go zastrzeli, to spali całą tę rudę. Zanim ktokolwiek się tu pojawi, ciało Zycha będzie zwęglone i nikt nie zauważy, że został zastrzelony. Wszyscy pomyślą, że biedny pijaczyna zaprószył ogień papierosem i niczego nieświadom spłonął pogrążony w mocnym pijackim śnie. Uśmiechnął się do swoich myśli, w dole, w okolicach podbrzusza, czuł silny ucisk. Tak mocno podniecony nie był już dawno. Czasy współżycia z tą suką, która puściła się najpierw z koniuszym, a później z tym policjantem, w ogóle się nie liczyły. Ona nie potrafiła dać mu takiej przyjemności, jaką odczuwał w tej chwili.

Miałem córkę!

Ta myśl jak bumerang powracała do Romualda, a on wciąż nie umiał się z nią oswoić. Zamknął oczy. Pod zaciśniętymi powiekami wyświetliły mu się kadry z całego życia.

Podsumowanie nie wypadło pomyślnie.

Więcej stracił, niż zyskał. Najpierw w gruzach legła jego kariera, później nadeszła niemająca szans spełnienia miłość, a na koniec dowiedział się, że miał córkę, którą kilka dni temu zamordowano. Romuald nie czuł strachu. Wręcz przeciwnie, w tych ostatnich chwilach towarzyszyła mu ogromna ulga, że to wszystko wreszcie się skończy. Nie wyobrażał sobie dalszego życia. Czuł nawet swego rodzaju wdzięczność

wobec Bralewskiego, ponieważ on sam nie potrafiłby przyłożyć sobie lufy do skroni i pociągnąć za spust. Jedyne rodzaje samobójstwa, na jakie było go stać, to powolne, rozłożone na raty umieranie. Zapijanie się na śmierć. Na nic więcej nie starczało mu odwagi. Dopiero teraz zrozumiał, że tak naprawdę to przez całe życie brakowało mu odwagi. Może gdyby wcześniej potrafił zawalczyć o kobietę, którą kochał, to wszystko wyglądałoby inaczej. Wyjechaliby gdzieś z Jadwigą, uciekli przed skandalem, jaki bez wątpienia musiałyby wybuchnąć, ale byłiby razem. I, co najważniejsze, wspólnie wychowywaliby ukochaną córeczkę. Ciężące nad nim fatum zdecydowało inaczej. Powoli, bezlitośnie zabierało mu wszystko, co stanowiło dla niego sens życia. Wyścigi konne, miłość, córkę. Romuald czuł, że już dłużej nie wytrzyma. Mocniej zacisnął powieki, by powstrzymać cisnące się do oczu łzy. Nie chciał dać stojącemu nad nim mężczyźnie tej satysfakcji. Wystarczy, że widzi go w takim stanie, nie ma potrzeby, żeby do tego i tak już kiepskiego obrazu dołączyć płacz.

– Strzelaj! – krzyknął.

Chwilę później huknął strzał.

Przez kolejne dwie, może trzy sekundy nic się nie działo. W ciasnym pomieszczeniu wciąż jeszcze pobrzmiwało echo wystrzału i czuć było delikatną woń prochu.

A potem rozległ się krzyk.

I nie był to krzyk Romualda Zycha.

Krzyczał Franciszek Bralewski.

Koniuszy raz jeszcze poczuł się zawiedziony. Miał umrzeć, a jakiś zły los na powrót wcisnął go w niewygodne ramy życia. Otworzył oczy. Bralewski wciąż nad nim stał. Trzymał się za dłoń, w której jeszcze przed chwilą ścisnął rewolwer, i wrzeszczał z bólu. Romuald zauważył, że spomiędzy palców Franciszka wypływają strużki krwi. Wciąż jednak nie wiedział, co się stało. Wyjaśnienie nieoczekiwanie nadeszło od strony podpartych wiadrem z nieczystościami drzwi. Po podłodze zaterkotały koła wózka inwalidzkiego. Zych spojrział w tamtą stronę. Na wózku siedział ten kaleka, z którym przed kilkunastoma dniami miał okazję upić się koniakiem przechowywanym w dworskich piwnicach. Za nim stał komisarz Wolak. W ręku ścisnął taki sam rewolwer, z którego przed paroma sekundami mierzył do niego Bralewski. Zych przełknął ślinę.

Suchość w gardle była tak bardzo nie do zniesienia, że oddałby w tej chwili wszystko za choćby łyk czegoś mocniejszego. Powoli zaczął rozumieć, co się tutaj przed chwilą wydarzyło.

Kiedy on przygotowywał się na zejście z tego świata, do chatki podkradł się Wolak wraz ze swoim przyjacielem i strzelając w dłoń Franciszka Bralewskiego, w ostatniej chwili udaremнили mu pociągnięcie za spust.

– Podaj mi rewolwer! – krzyknął w stronę Romualda komisarz Wolak.

Koniuszy początkowo nie rozumiał, o co mu chodzi. W końcu jednak podążył za wzrokiem Wolaka i ujrzał na podłodze koło materaca połyskującą broń.

– Pchnij go w moją stronę!

Wykonał polecenie. Wolak schylił się po pistolet i podał go Wiewiórowi.

Bralewski przestał krzyczeć. Wolno przyzwyczajał się do bólu przestrelonej dłoni. Teraz dużo bardziej niż krwawiąca rana zajmowało go to, jak wybrnąć z sytuacji, w jakiej się znalazł.

Zych z trudem podniósł się z materaca. Wstał i przez chwilę łapał równowagę. To wszystko działo się zbyt szybko. Teraz zaczynał być zły, że ci ludzie ośmielili się wtargnąć do jego samotni. Z zakamarków pamięci próbował wydobyć imię inwalidy. Zadanie to okazało się zbyt trudne, dlatego drapiąc się po rozczochranych, skołtunionych włosach, wychrypiał:

– Może pan poczęstować mnie papierosem?

Wiewiór wyciągnął w jego stronę pudełko gabinetowych. Koniuszy podszedł wolno na usztywnionych nogach, przez które co chwilę przechodziły bolesne skurcze spowodowane wypłukaniem z organizmu wszelkich witamin oraz minerałów.

– Dziękuję – powiedział, kiedy w końcu udało mu się wyłuskać jednego papierosa.

– Za uratowanie życia też nam podziękujesz? – spytał Wieczorek, przypalając sobie i koniuszemu.

– Nie – odparł Zych, zaciągając się. – Za to nie jestem wam wdzięczny.

– To jest już dwóch niezadowolonych z naszej nagłej wizyty tutaj, prawda, panie Franciszku? – odezwał się Wolak, chowając rewolwer do

kieszeni.

– Nic pan nie rozumie, komisarzu – zaczął stanowczym tonem Bralewski, po czym spoglądając na Romualda, kontynuował: – Przeszkodziłście mi zastrzelić człowieka, który odpowiada za śmierć wielu kobiet!

Wolak gwizdnął przeciągle, udając zdziwienie i zaciekawienie zarazem.

– A ja myślałem, że mordercę tych kobiet zastrzelił pan w parku.

– Tamten był tylko bezmyślnym narzędziem – pospieszył z wyjaśnieniem Bralewski. – Całą intrygę wymyślił stojący przed wami koniuszy!

Romuald Zych przysłuchiwał się temu, co mówił Bralewski, i niewiele z tego wszystkiego rozumiał. Nerwowo palił papierosa i zastanawiał się, czy inwalida nie ma przypadkiem ze sobą jakiejś piersiówki, z której mógłby teraz zdrowo sobie pociągnąć. No bo jeżeli miał już żyć, to musiał zrobić wszystko, żeby uciec przed drżeniem, które lada moment może go dopaść. Koniuszy zwykł bowiem postępować w myśl zasady, że klin powinien wyprzedzać kaca. Stał i tylko czekał na odpowiednią okazję, żeby zagadać do siedzącego na wózku faceta. Cholera, jak on ma na imię?! Alkohol jednak wypłukał mu z pamięci tę jakże cenną w tej chwili informację.

– To prawda – zgodził się Wolak. – Mężczyzna zastrzelony przez pana w parku był niczym więcej jak tylko bezmyślnym narzędziem...

Bralewski odetchnął z ulgą.

– ...był człowiekiem ograniczonym umysłowo i bardzo łatwo można było nim pokierować. Ktoś, kto wiedział, jak bardzo kochał on własną siostrę, mógł w prosty sposób uczynić z niego narzędzie zemsty. Wmawiając mu, że za samobójczą śmierć dziewczyny winę ponosi jej kochanek, który najpierw ją uwiódł, a później zostawił, można było dokonać zemsty. Sprytnie manipulując upośledzonym umysłowo mężczyzną, można było wmówić mu, że dokonuje on zemsty w swoim imieniu, gdy tak naprawdę mścił się za kogoś innego! – Wolak zrobił krótką pauzę. Z satysfakcją obserwował, jak Bralewski z trudem nad sobą panuje. Przypominał w tej chwili osaczone zwierzę, które z jednej strony zdaje sobie sprawę, że walka już skończona, z drugiej wciąż jeszcze łądzi się, że wyjdzie cało z tej opresji. – Czy do tej pory wszystko się zgadza, panie Franciszku?

Bralewski milczał. Zastanawiał się, ile jeszcze wie komisarz i skąd ma te informacje. Sprawa była na tyle zagmatwana, że w sądzie bez trudu powinien się z tego wszystkiego wybronić. Tym bardziej że w przeciwieństwie do oskarżającego go policjanta nigdy nie był zaangażowany w jawną walkę z władzą ludową. W najgorszym razie udawałby niepoczytalnego, a z tym nie powinien mieć większych problemów.

– A jak myślicie – Wolak zwrócił się do Wieczorka i Zycha – kogo w swym chorym umyśle uważał za największego wroga obecny tu pan Bralewski?

Obaj zapytani mężczyźni wzruszyli ramionami. Tyle że koniuszego to wszystko w ogóle nie interesowało, natomiast Wiewiór z pewnością znał odpowiedź na postawione pytanie, nie chciał jednak psuć przyjacielowi przedstawienia.

– Otóż człowiekiem, którego tak bardzo nienawidził pan Franciszek, jestem ja!

W pomieszczeniu na chwilę zapadła cisza. Romuald upuścił na podłogę wypalonego papierosa i przydepnął go podeszwą dziurawego buta. Uznał, że nadszedł moment, na który od dłuższego czasu czekał. Wreszcie ten przynudzający komisarz przestał gadać i można wcisnąć swoją wypowiedź. Odchrząknął głośno, po czym przemówił ochryłym głosem, patrząc na Wieczorka pełnym nadziei wzrokiem. Szansa była niepowtarzalna, tym bardziej że właśnie przypomniał sobie imię inwalidy.

– Przepraszam, że się ośmielam, panie Zygmuncie, ale mam do pana jedno pytanie.

Wszyscy zgromadzeni w starej drewnianej chacie jak jeden mąż spojrzeli w stronę koniuszego, który swoim niespodziewanym wystąpieniem przyciągnął ich uwagę.

– Słucham, proszę pytać – rzekł nie mniej zaskoczony inwalida.

Romuald przejechał językiem po spierzchniętych, popękanych wargach.

– Przy naszym ostatnim spotkaniu miał pan ze sobą taką małą piersióweczkę i... jestem ciekaw, czy ma pan ją ze sobą również dzisiaj?

Bralewski z niedowierzaniem pokręcił głową.

Wiewiór uśmiechnął się tylko i zza pazuchy wyjął piersiówkę, którą rzucił koniuszemu. Ten złapał ją, wykazując się refleksem, o jaki nikt

z obserwujących całą sytuację by go nie podejrzewał.

– A wracając do przerwane go wątku – odezwał się Wieczorek – zdradź nam, proszę, dlaczego pan Franciszek miałby pałać taką nienawiścią do twojej skromnej osoby?

Wolak, w przeciwieństwie do Bralewskiego, był wdzięczny Zygmunto wi za doprowadzenie rozmowy na właściwe tory.

– Powód był oczywisty – rzekł komisarz. – Bralewski nigdy nie mógł darować mi tego, że jego żona okazywała więcej zainteresowania mnie niż jemu. Przede wszystkim jednak nienawidził mnie za to, że jestem ojcem Hanki, którą w świetle prawa uznawano za jego córkę.

– Idąc tym tropem – przerwał mu Wiewiór – Bralewski powinien także nie cierpieć swojego koniuszego, który podobnie jak ty miał romans z jego żoną i jest biologicznym ojcem drugiej dziewczyny.

– Brawo, Zygmunt! – pochwalił kolegę Wolak. – Przed kilkoma minutami udaremniliśmy panu Franciszkowi wzięcie odwetu na jednym z kochanków jego żony.

Romuald Zych, od chwili, kiedy opróżnił rzuconą mu przez inwalidę piersiówkę, z uwagą przysłuchiwał się prowadzonej rozmowie. Powoli do jego umysłu zaczęły docierać pojedyncze informacje, które układały się w spójną całość. Zrozumiał, że Bralewski nie pojawił się tutaj, aby pomóc mu zakończyć ten marny żywot, jaki w ostatnich latach stał się jego udziałem. Kula, którą miał wystrzelić w jego kierunku, nie byłaby więc kulą łaski, a jedynie kulą zemsty.

– Ciebie też chciał zastrzelić? – spytał przyjaciela Wiewiór.

– To byłoby zbyt proste – zaprzeczył Wolak. – Zemsta, jaką wymyślił dla mnie, była rozłożona w czasie. Chciał się nią delektować o wiele dłużej niż trwa naciśnięcie spustu. Dlatego wmówił pogrążonemu w żałobie po samobójstwie siostry Apolinaremu, że należy mnie ukarać. Chłopak, który całe swoje dzieciństwo spędził w domu dla sierot, łatwo dał się przekonać. Mało tego, po pewnym czasie zauważył, że zabijanie kolejnych kobiet sprawia mu rozkosz, jakiej nigdy wcześniej nie doświadczył. Odczuwał coś w rodzaju ogromnego napięcia, graniczącego z niewyobrażalnym wręcz podnieceniem. Sam nie wiedział, kiedy uzależnił się od zabijania. Rola Bralewskiego ograniczała się jedynie do poszukiwania kolejnych ofiar i planowania, gdzie i jak zostaną zamordowane.

– Serce, w które wpisana była wielka litera „W”, będąca inicjałem

twojego nazwiska, to także jego pomysł? – spytał Wiewiór.

Wolak skinął głową. Cały czas obserwował Bralewskiego, który oddychał coraz szybciej. Chyba nie wyzionie mi tu ducha – pomyślał z niepokojem.

– To nieprawda! – krzyknął, z coraz większym trudem łapiąc powietrze.

– Rozumiem, że nie chce się pan do tego wszystkiego przyznać – Wolak mówił spokojnie, absolutnie nie chciał jeszcze bardziej wzburzyć Franciszka – ale niestety wszystkie dowody świadczą na pańską niekorzyść.

– Nie o to mi chodzi! – zaperzył się jeszcze bardziej Bralewski. – To nieprawda, że litera wpisana w serce była inicjałem pochodzącym od nazwiska komisarza!

Zarówno Wiewiór, jak i Wolak byli ogromnie zaskoczeni oświadczeniem, które przed chwilą usłyszeli. Przede wszystkim oznaczało ono, że Bralewski nie zaprzecza oskarżeniom wysuniętym pod jego adresem, a to znacznie ułatwiało zakończenie sprawy. Intrygowało ich jednak, co takiego podejrzany o współudział w dokonywaniu seryjnych zabójstw mężczyzna miał im jeszcze do powiedzenia.

– Litera „W” – kontynuował Bralewski, kiedy tylko udało mu się nieco uspokoić oddech – wcale nie oznaczała nazwiska komisarza, ona symbolizowała zupełnie coś innego.

Obaj przedwojenni policjanci nie mogli w to uwierzyć. Właśnie przed chwilą ten nie do końca zrównoważony były posiadacz ziemski obalił teorię, w którą przez te wszystkie lata wierzyli. Byli pewni, że seryjny zabójca działa zgodnie z pewnym kluczem, który udało im się odnaleźć. W podejrzaniach tych utwierdzał ich podpis zostawiany przez psychopatę na plecach zamordowanych kobiet. Serce i litera „W”, będąca według nich inicjałem nazwiska „Wolak”, który notabene miał romans z każdą z ofiar. Policjantom wydawało się, że zabójstw dokonuje jakiś zazdrosny mąż lub ktoś inny mający z komisarzem na pieńku. Prowadzone poszukiwania zawężili do kręgu takich właśnie podejrzanych osób. Niestety, Wolak kompletnie pominął osobę Franciszka Bralewskiego, nie uznając za romans przygody z jego żoną. Musiało minąć wiele lat, by zrozumiał, jak duży popełnił błąd. Nie brał także pod uwagę niedorozwiniętego brata jednej ze swoich kochanek, od której samobójstwa wszystko się zaczęło. Obstawiał, że seryjnym zabójcą musi być któryś z przestępców, szukający

na nim zemsty za doprowadzenie przed sąd. Wolak ze swoim nieodłącznym kompanem Wieczorkiem, spędzili wiele tygodni na śledzeniu i przesłuchiowaniu wszystkich bandytów, których nazwiska znalazły się na sporządzonej przez nich liście. Wszystko na nic. Śledztwo przerwał wybuch wojny i kiedy wydawało się, że zabójca zginął w trakcie wojennej zawieruchy, on ponownie uderzył.

– Co w takim razie oznaczała litera „W”? – spytał Wiewiór, wrywając Wolaka z zamyślenia.

– Powoli – rzekł Bralewski, który odzyskał już panowanie nad sobą. – Nie wszystko naraz. Najpierw odpowiedzcie mi, czy zrozumieliście chociaż część mojego przekazu. Co waszym zdaniem symbolizowało wyryte na plecach ofiar serce?

– Wydaje nam się, że miłość – odparł Wiewiór, który nie był już niczego pewien.

– Właśnie! – krzyknął zadowolony Bralewski. – Miłość! A jak myślicie, dlaczego te wszystkie kobiety zginęły?

– Bo miały coś wspólnego z komisarzem Wolakiem? – Wieczorek brnął w swych domysłach dawno już przetartymi szlakami.

Pan Franciszek, nie w pełni usatysfakcjonowany, cmoknął głośno.

– Nie do końca – powiedział. – Chodzi o serce, czyli symbol miłości. Dlaczego akurat on znalazł się na ich ciele?

Wieczorek nie miał żadnego pomysłu. Wkurzała go już ta zgadywanka. Zerknął na Wolaka, który wydawał się dziwnie nieobecny. Czy nie mogą po prostu zakuć tego wariata w kajdanki i pójść w jakieś przyjemniejsze miejsce, gdzie przede wszystkim tak nie śmierdzi i nie jest duszno?! Wiewiór znał odpowiedź. Po drodze tutaj, kiedy młody Brodzki pocił się niemiłosiernie, pchając przez chaszczki i wąskie ścieżki jego wózek, Janek bezustannie mu przypominał, że jeżeli tylko się uda, muszą wydobyć jak najwięcej informacji od podejrzanego. Dlatego teraz muszą cierpliwie wysłuchać tej swoistej spowiedzi faceta, którego zaczęli ścigać przed dziesięcioma laty.

– A czy wszystkie te dziewczyny nie były przypadkiem zakochane? – spytał nieoczekiwanie Romuald, po którym nikt nie spodziewał się aż tak aktywnego udziału w rozmowie. Wszyscy myśleli, że piersiówka, którą dostał od Wiewióra, wyeliminowała go na jakiś czas, przenosząc w zupełnie inny wymiar rzeczywistości. Tymczasem on, kołysząc się na

taborecie, nie tylko słuchał, ale wyciągał również trafne wnioski.

– To prawda – zgodził się Bralewski, nie do końca zadowolony z tego, że koniuszy chwilowo przejął inicjatywę. Według niego miejsce takich jak on było w stajni lub w pomieszczeniach dla służby. Pan Franciszek, pomimo że stracił cały swój majątek, nie potrafił wyzbyć się starych, wielkopańskich przyzwyczajęń. Należał do ludzi, którzy nieprzychylnie odnoszą się do wszelkiego rodzaju zmian. – Miłość odegrała tu niebagatelną rolę. Dlatego dobrze by było, gdybyśmy zechcieli na chwilę pochylić się nad tym podobno najpiękniejszym na świecie uczuciem, co wy na to, panowie?

Wieczorek ziewnął ostentacyjnie. Tylko na to się zdobył. Wiedział, że i tak będzie musiał wysłuchać tego, co ten wariat ma im jeszcze do powiedzenia.

Wolak wciąż stał w tej samej pozie.

Zych bujał się na taborecie, jakby miał chorobę sierocą.

Bralewski niczym natchniony romantyczny wieszcz przemawiał, myśląc, że zbawia od cierpienia cały świat.

Kurwa, istny dom wariatów – pomyślał inwalida, przekładając do lewej dłoni należący do Bralewskiego rewolwer. Otarł spocone czoło i nawet nie starając się udawać zainteresowania, słuchał dalszego wywodu gościa, który najbardziej z nich wszystkich nadawał się do psychiatryka.

– Może zaczniemy od pana – Bralewski, jakby wyczuł niechęć Wiewióra. – Czy w swoim życiu zaznał pan miłości? Tej pięknej, jedynej, czystej miłości?

Wieczorka zamurowało. Czego ten wariat od niego chce?! Jakiej, kurwa, miłości? O czym on mówi?

I nagle przypomniał sobie te wszystkie porywy serca, kończące się dla niego zawsze w ten sam mało przyjemny sposób. Dziewczyny, w których się zakochał, były zwykle obojętne na jego wzdychania. Sytuacja taka powtarzała się już od gimnazjum. Nigdy nie był jakiś wyjątkowo przystojny, ale na obiekt swych westchnień wybierał zawsze najpiękniejsze dziewczyny w całej szkole. Kończyło się to dla niego tak, że dostawał kosza i długo potem nie mógł się pozbierać. Kiedy już udało mu się otrząsnąć i jako tako wyleczyć zranione serce, wtedy miłość ponownie do niego pukała. Tym razem także obiektem zauroczenia była dziewczyna nieosiągalna dla kogoś takiego jak on. Cała sytuacja

powtarzała się, a on za każdym razem potrzebował coraz więcej czasu na pozbycie się ze skutków fatalnego zauroczenia. W dorosłym życiu wcale nie było lepiej. Pracując z komisarzem Janem Wolakiem, był bezustannie narażony na opowieści o jego licznych romansach i łożkowych podbojach. Powodowało to u niego frustrację, ponieważ jego relacje z kobietami ograniczały się do spotkań z prostytutkami, którym musiał płacić za to, co inni dostawali za darmo.

– Nie rozumiem, o co panu chodzi – wykrztusił, patrząc na usłaną niedopałkami podłogę.

– Nie powiem, żeby taka odpowiedź mnie satysfakcjonowała – na twarzy Bralewskiego pojawił się wyraz triumfu – jednak widzę, że jest to dla pana dość trudny temat, dlatego nie będę dłużej pana męczył.

Po tych słowach Franciszek przeniósł wzrok na Romualda. Koniuszy momentalnie przestał się bujać na taborecie.

– Swojego koniuszego nie muszę pytać o to, czy w życiu zaznał miłości, bo jak nam wszystkim wiadomo, nad wyraz dobrze poznał jej smak. – Bralewski zrobił pauzę. Widać było, że rozkoszuje się swoim wystąpieniem. Przypominał aktora, który przez długi czas czekał na występ przed publicznością i po początkowej tremie na dobre się rozkręcił, czerpiąc ze swojej gry maksymalną przyjemność. – Czy jednak to uczucie go uszczęśliwiło? Odpowiedź na to pytanie widać gołym okiem, kiwa się przed nami na taborecie.

Zych popatrzył spode łba na pastwiącego się nad nim Bralewskiego, który w tej chwili kompletnie stracił zainteresowanie jego osobą, a całą uwagę skoncentrował na Wolaku.

– Przejdźmy teraz do komisarza Wolaka, uchodzącego swego czasu za jednego z największych lowelasów wśród stołecznych policjantów. Podobno nie było kobiety, która by mu się oparła. Miał w oczach, a i pewnie w spodniach coś, co sprawiało, że lgnęły do niego tabunami! – Bralewski zamilkł nagle. Podniósł dłoń z wycelowanym ku górze palcem wskazującym, co upodobniło go do zaaferowanego swoim wywodem profesora, który poza własną katedrą nie widzi nic innego. – Wciąż jednak otwarte pozostaje pytanie, czy komisarz Jan Wolak poznał prawdziwą naturę miłości, czy tylko gonił za jej brzydszą siostrą, więcej mającą wspólnego ze ślepym pożądaniem niż z czystym, szlachetnym uczuciem!

Człowiek, o którym była mowa, stał w bezruchu. Jego twarz nie

wyrażała żadnych uczuć, jednak przez głowę przewijały się w tej chwili setki myśli niczym chmury pędzone po niebie przez silny podmuch wiatru. Do Wolaka dotarło, że Bralewski ma dużo racji. Tak naprawdę nigdy nie udało mu się zaznać prawdziwej miłości. Wszystko, czego przez lata doświadczył, było jedynie jakimś jej wypaczeniem. Dopiero niedawno, kiedy dowiedział się, że ma córkę, w jego sercu na nowo pojawiła się miłość. Jakże jednak była ona inna od jego wyobrażeń. Pojął, że jedyną rzeczą, o jakiej marzy, jest spędzenie reszty życia ze swoim dzieckiem, no i... z Jadwigą.

Komisarz Jan Wolak wreszcie zrozumiał, czym jest prawdziwa miłość. Bał się tylko, że nie będzie miał czasu, aby móc się nią nacieszyć.

– Widzę, drogi komisarzu, że moje słowa skłoniły pana do refleksji? – Bralewski wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu. – Miłość, miłość, miłość! Kto z nas tak naprawdę jej zaznał?! Ja na pewno nie i muszę przyznać, że nie spotkałem nikogo, komu by się coś takiego przytrafiło! Smutne, prawda?

Zych potrząsnął trzymaną w ręku piersiówką. Niestety, nie usłyszał błęgiego chłopotu dochodzącego ze środka. To jest, kurwa, smutne – pomyślał.

– Co w takim razie oznaczała litera „W”? – spytał Wiewiór, chcąc jak najprędzej zakończyć rozmowę.

– Serce symbolizowało miłość – powtórzył po raz kolejny Franciszek. – Natomiast litera „W” oznaczała, że ta miłość nie jest prawdziwa, a jedynie podszywa się pod nią, będąc tak naprawdę jej brzydszą, wyklętą siostrą! Oto co nas wszystkich w życiu spotkało, wyklęta miłość! Ona potrafi długo zwodzić fałszywym urokiem, ale na koniec zawsze odsłoni swoje prawdziwe oblicze!

Coś w tym jest – pomyślał Wolak, przypominając sobie Andrzeja tak beznadziejnie zakochanego w Baśce, która bez żadnych skrupułów zdradziła go z Jastrzębskim. Czyżby na świecie naprawdę istniała tylko wyklęta miłość?

– To niemożliwe – wyszeptał Wiewiór. Nie mógł uwierzyć w to wszystko, co tutaj usłyszał. Jak ktoś musi być chory, żeby wymyślić coś takiego?

– Ja też nie jestem do końca przekonany. – Wolak jakby ocknął się z letargu. – Cała ta otoczka wydaje mi się jedynie sprytnym alibi

przygotowanym na ewentualność wpadki, żeby móc udawać niepoczytalnego.

Bralewski poczerwieniał ze złości. Jego oddech znowu stał się przyspieszony.

– Nie wierzy mi pan?!

– Tego nie powiedziałem – odparł komisarz. – Uważam jednak, że motywem przewodnim była dla pana chęć zemsty! Zemsty za to, że zmuszono pana do małżeństwa z kobietą, której tak naprawdę nigdy pan nie kochał i której nie potrafił pan dać upragnionego potomka, a kiedy okazało się, że pańska żona jest w ciąży, jak grom z jasnego nieba spadła na pana wiadomość, że ojcem dziecka jest koniuszy...

– A drugiego policjant! – wtrącił ochryplym głosem Romuald, po czym zarechotał jak opętany.

– Dzisiaj miał się tutaj odbyć jeden z ostatnich aktów sztuki, którą przez te wszystkie lata pan reżyserował, czyli scena zastrzelenia koniuszego – kontynuował Wolak.

– Wyjaśnij mi, Janek, dlaczego pan Bralewski tak długo zwlekał z zabiciem Romualda – zainteresował się Wiewiór. – Przecież mógł to zrobić dużo wcześniej.

– Właśnie nie mógł! Zbyt wielką przyjemność sprawiało mu przyglądanie się, jak człowiek, który kiedyś wygrał z nim wyścig do sypialni jego żony, z dnia na dzień staje się wrakiem. Mam rację, panie Franciszku?

Bralewski milczał.

– Natomiast Apolinary zginął po to, żeby nie pozostał nikt, kto mógłby poświadczyć, że za tymi wszystkimi zabójstwami stał obecny tutaj Franciszek Bralewski. Zaprzeczy pan temu?!

Oskarżony mężczyzna odetchnął głęboko, a potem wolno cedząc każde słowo, odparł:

– Nawet jeśli to wszystko jest prawdą, to nie ma pan żadnych dowodów, komisarzu!

– Myli się pan! – rzucił triumfująco Wolak.

Przez twarz Bralewskiego przebiegł cień niepokoju.

Komisarz dał znak Wieczorkowi, który odłożył rewolwer na stojący obok wózka taboret. Ruch ten nie umknął Bralewskiemu. Doszedł on

jednak do wniosku, że nie zdążyłby dobiec i sięgnąć po broń. Inwalida wyciągnął spod koca zeszyt i podał go Wolakowi.

– Tutaj jest wszystko opisane – rzekł komisarz triumfalnie, patrząc na Franciszka. – Zabił pan Apolinarego, ale to nie wystarczyło. Prowadził on coś w rodzaju pamiętnika, w którym notował wszystkie ważniejsze dla niego wydarzenia. Jest tam między innymi opis śmierci jego siostry. Nas przede wszystkim będzie interesowało to, w jaki sposób ten nie do końca rozgarnięty chłopak stał się seryjnym mordercą. Ewolucja, jaka się w nim dokonywała, nie zachodziła samoistnie, ktoś był jej motorem napędowym. Tym kimś jest mężczyzna, którego Apolinary nazywa w swym pamiętniku Hrabią. – Wolak zamilkł na chwilę, by dać wszystkim czas na oswojenie się z usłyszczanymi informacjami. – Nie muszę chyba wyjaśniać, kim jest ów tajemniczy człowiek. Jeśliby jednak pojawiły się jakiegokolwiek wątpliwości, to całościowa lektura wspomnień z pewnością je rozwieje.

Bralewski się roześmiał. Śmiech ten miał maskować jego bezradność i beznadziejność sytuacji, w której się znalazł.

– Nie uda się wam! – wysyczał przez zaciśnięte zęby. – Żaden sąd nie uzna tego rodzaju dowodów i nie skaze mnie na podstawie pamiętnika jakiegoś chorego psychicznie mordercy!

Wolak wzruszył ramionami.

– Też nie do końca wierzę w niezawisłość i sprawiedliwość władzy sądowniczej w Polsce Ludowej, łudzę się jednak, że w pana przypadku wyrok, jaki zapadnie, będzie pokrywał się z tym, na co pan zasługuje. W końcu nie będzie to sprawa polityczna, a więc sąd nie będzie stronniczy.

Przysłuchujący się wszystkiemu z coraz większą uwagą Romuald raz jeszcze ostentacyjnie poruszył pustą piersiówką. Podniósł się z taboretu i chwiejnym krokiem ruszył w stronę Wieczorka, by mu ją oddać.

– Pusta, drogi panie Zygmuncie – wychrypiał. – Jakby był pan tak dobry i poczęstował mnie jeszcze machorkowym...

Wolak odwrócił od niego wzrok, momentalnie tracąc zainteresowanie pijanym mężczyzną. Dużo ciekawsze było teraz studiowanie twarzy Bralewskiego, na której malowało się wiele odczuć świadczących o tym, że przedwojenny ziemianin zdaje sobie sprawę ze swojej nieciekawej sytuacji. Obserwujący go komisarz odczuwał satysfakcję, jaka towarzyszyła mu zwykle przy zakończeniu śledztwa.

– Tak czy inaczej – mówił Bralewski – zanim zapadnie wyrok, najpierw

lekarze będą musieli orzec, czy jestem poczytalny, a jak sam pan dobrze wie, takie badania trwają bardzo długo, dlatego...

Żadnemu z obecnych w pomieszczeniu mężczyzn nie udało się dowiedzieć, co chce im powiedzieć pan Franciszek, ponieważ ten nagle zamilkł. Zanim to jednak nastąpiło, rozległ się huk wystrzału.

Bralewski zdążył jeszcze przyłożyć rękę do piersi, w której poczuł nagłe ukłucie. Dłoń dotknęła czegoś lepkiego i ciepłego. Podniósł ją do oczu i spostrzegł, że cała jest umazana krwią. Kto strzelał? – zastanowił się, spoglądając coraz bardziej zamglonym wzrokiem po otaczających go mężczyznach. Komisarz Wolak krzychał coś do inwalidy. Bralewski nie mógł jednak nic usłyszeć, w jego uszach wciąż pobrzmiwało echo wystrzału przemieszane z głuchym, coraz szybszym pulsowaniem w skroniach. Mgła spowijająca jego wzrok stawała się coraz gęstsza, musiał mocno wyteżać wzrok, by cokolwiek przez nią zobaczyć. Poczł, że robi mu się coraz bardziej słabo. Zachwiał się. Wyciągnął rękę w poszukiwaniu jakiegoś podparcia. Chciał uchwycić się czegoś, co pozwoliłoby mu zachować równowagę. Dłoń trafiła w pustkę. Bralewski runął na podłogę. Nie poczuł bólu. Towarzyszyła mu jedynie ulga. Ze spokojem przyglądał się nachylającym się nad nim twarzom. Wszystkie były spowite mgłą i obracały się wokół niego niczym karuzela, na którą zabierał go co niedzielę ojciec. Lubił wówczas siadać na śnieżnobiałym koniku. Jedną ręką trzymał się jego sztucznej grzywy, a drugą machał, wyobrażając sobie, że zamiast patyka trzyma w niej szablę i jest Michałem Wołodjowskim goniącym po stepie za Azją Tuchajbejowiczem.

Przymknął oczy.

Uśmiechnął się.

Spróbował podnieść prawą rękę. Okazało się to jednak zadaniem ponad jego siły. Poczł, że ktoś szarpie go za ramię. To pewnie facet obsługujący karuzelę każe mu już zejść.

Koniec zabawy.

Czas zeskoczyć na ziemię!

Podniósł ciężkie jak ołów powieki. Spowijająca świat mgła stała się jeszcze gęstsza. Nic spoza niej nie widział. Wyteżył wzrok. Wynurzająca się z mgły twarz nie należała do pracownika lunaparku. Była to brzydka, mięsista facjata policjanta, który przed laty uwiódł mu żonę. Otwierał on szeroko usta i krzychał coś do niego. Franciszek nic nie słyszał, jakby ktoś

wyłączył dźwięk. Czuł jedynie mało przyjemny oddech pochylającego się nad nim mężczyzny.

Ciężkie powieki opadły, odcinając go od świata zewnętrznego. Ponownie poczuł szarpnięcie. Nie miał siły otworzyć oczu. Mimo to zobaczył pochylającą się nad nim twarz. Rozpoznał ją i uśmiechnął się szeroko.

Była to twarz jego ojca.

– Chyba spadłem z konika, tatusiu... – wyszeptał Franciszek Bralewski i były to ostatnie słowa, jakie wypowiedział w swoim życiu.

– Coś ty, kurwa, najlepszego narobił?! – ryknął Wiewiór, patrząc na stojącego obok niego Romualda.

Koniuszy opuścił rękę, w której trzymał rewolwer.

– Wymierzyłem sprawiedliwość – odparł o wiele mniej niż zwykle ochrypłym głosem, po czym odłożył broń na stojący obok wózka taboret.

Kilka sekund wcześniej Zych, udając, że chce zwrócić Wiewiórowi pustą pierśówkę, podszedł do niego i błyskawicznym ruchem, o jaki go nawet nie podejrzewano, sięgnął po pozostawiony bez opieki rewolwer.

Nikt nie zdążył zareagować. Padł strzał. Zanim Franciszek upadł na podłogę, do pomieszczenia wbiegli dwaj czekający na zewnątrz mężczyźni. Pierwszy próg szopy przekroczył Waclaw Hrabski. W rękę trzymał pistolet. Tuż za nim wszedł Marek Brodzki. Obaj zupełnie zdezorientowani rozglądali się dookoła, próbując zrozumieć cokolwiek z tego, co tu się przed chwilą wydarzyło. Zych domyślił się, że musieli przyjść tutaj razem z przedwojennymi policjantami i przysłuchiwali się całej rozmowie, jaka odbyła się w chatce. Hrabski miał w odpowiednim momencie wejść do środka i aresztować Bralewskiego.

Wszystko jak zwykle potoczyło się zupełnie inaczej. Zych zarechotał głośno. Los jednak bywa przewrotny – pomyślał – przecież kula, która utkwiała w piersi Bralewskiego, była przeznaczona dla mnie. Naprawdę nie tak to wszystko miało być. Wyciągnął ręce w stronę Hrabskiego.

– Proszę mnie aresztować za morderstwo, panie komendancie – wychrypiął w stronę osłupiałego milicjanta.

– Chwileczkę – powiedział Wolak, podnosząc się znad martwego Bralewskiego. – Pozwoli pan, że wyjaśnię, co się tutaj stało.

Hrabski nieufnie popatrzył na koniuszego, po czym skinął głową, dając Wolakowi przyzwolenie na zabranie głosu.

– Czy usłyszał pan, co było tu mówione, zanim padł strzał? – spytał Wolak.

Hrabski przytaknął.

– W takim razie nie ma pan wątpliwości, że Franciszek Bralewski był współodpowiedzialny za zamordowanie wielu kobiet przed wojną i po niej?

Ponowne kiwnięcie głową.

– Nie mam też wątpliwości – rzekł Hrabski – że Bralewski był chorym umysłowo człowiekiem. To wszystko, co mówił o miłości... – Były komendant zamilkł, jakby szukał odpowiednich słów, które pomogłyby mu opisać obłąd leżącego na podłodze mężczyzny. – To... to po prostu nie mieści się w głowie!

– Zapewne wszyscy zgadzamy się w jednym: Bralewski był obłąkany – rzekł Wolak. – To nie ulega wątpliwości. Kiedy zrozumiał, że nie uda mu się uniknąć odpowiedzialności, postawił wszystko na jedną kartę. Stałem najbliżej niego i dlatego rzucił się w moją stronę, by mnie obezwładnić, zabrać mi broń i uciec.

– Jak to? – spytał Hrabski, który wyraźnie nie wierzył w historię opowiadaną przez komisarza.

– To bardzo proste – pospieszył z wyjaśnieniem Wiewiór. – Pan jako biegły śledczy pewnie już się wszystkiego domyślił, ale chyba nie będzie dla pana ujmą, gdy nieco naświetlę całą sytuację?

– Oczywiście. – Hrabski wydawał się coraz mniej z tego wszystkiego rozumieć. – Już sobie wszystko poukładałem, niemniej dla potwierdzenia domysłów chciałbym do końca wysłuchać waszej relacji z wydarzeń, które się tu przed chwilą rozegrały.

Wieczorek skłonił się uprzejmie.

– Służę pomocą – rzekł przymilnym tonem. – Proszę chociaż na moment wczuć się w sytuację nieżyjącego pana Franciszka. Kto z nas trzech był dla niego najniebezpieczniejszym przeciwnikiem? Kaleka na wózku? Pijany koniuszy? Czy może przypominający boksera Janek?

– Noo... – zaczął Hrabski. – Oczywiście komisarz Wolak!

– Zgadza się! – potwierdził Wiewiór. – Dlatego właśnie Bralewski postanowił najpierw wyeliminować Janka, a później zająć się mną i Romualdem. Wykorzystał chwilę nieuwagi mojego przyjaciela i rzucił się w jego stronę! Kto wie, jak to wszystko by się skończyło, gdyby nie interwencja Romualda, który nie tracąc zimnej krwi, strzelił do Bralewskiego.

Były komendant pokręcił głową. Nie wierzył w ani jedno słowo inwalidy. Spojrzał na zegarek. I tak za dużo czasu już tu stracił. Na wieczór jest umówiony z Wandą. Musi jak najszybciej zamknąć tę sprawę. Chciał jeszcze się odświeżyć, gdyż czuł, że to właśnie dzisiaj padnie ostatni bastion strzegący drogi do zdobycia sąsiadki.

– Dacie mi to wszystko na papierze? – spytał.

– Jeśli obywatel komendant chce – rzekł Wiewiór – to sam mu podyktuję zgrabny raporcik, wszystko w piękne słowa ubierając...

– Już nie jestem komendantem – przerwał mu Hrabski – ale jakby mi pan wszystko podyktował, to nie ukrywam, że sprawniej byśmy się z tym bałaganem uporali.

– No więc umowa stoi! – powiedział Wiewiór, przeciskając się wózkami w stronę wyjścia. – Darujcie, panowie, ale muszę odetchnąć świeżym powietrzem.

Brodzki odruchowo złapał za rączki wózka i pomógł inwalidzie wydostać się na zewnątrz. W ślad za nimi podążył Wolak.

W pomieszczeniu, nie licząc Bralewskiego, zostali tylko koniuszy i były komendant. Przez kilka sekund obaj wpatrywali się w leżące na podłodze zwłoki.

– No dość już tego lenistwa, obywatelu Zych! – krzyknął Hrabski. – Macie tu jakąś taczkę?

Koniuszy skinął głową.

– Jest ogrodowy wózek, ale teraz wypełniony kompostem.

– To go zrzucicie, załadujecie na niego trupa i zawieziecie na skraj lasu. Tam zostawiłem gazik, którym przewieziemy ciało na komendę. Do roboty!

Zych szybkim krokiem wyszedł na dwór. Zadarł głowę ku niebu i przez chwilę wpatrywał się w sunące w górze obłoki. Zrozumiał, że oto dostał

drugą szansę. Tym razem postanowił jej nie zmarnować. Złapał widły i zaczął zrzucać kompost z wózka, na który za chwilę miał położyć ciało Franciszka Bralewskiego. Uśmiechnął się na myśl, że były właściciel ziemski swoją ostatnią podróż odbędzie takim właśnie pojazdem.

Bolesław Makowski szeroko otworzył okno swojego gabinetu. Chciał, żeby do środka wpadło jak najwięcej świeżego powietrza. Nienawidził zaduchu prześmierdłych tytoniowym dymem sal konferencyjnych. Sam stronił od wszelkiego rodzaju używek i nie znosił ludzi, którzy w nieumiejętny sposób się z nimi obchodzili. Od jakiegoś czasu zakazał swoim podwładnym palenia podczas organizowanych pod jego przewodnictwem narad. Spotkało się to oczywiście z bardzo nieprzychylnym przyjęciem, ponieważ większość ludzi władzy była namiętymi palaczami oddającymi się swojemu nałogowi niemal w każdej chwili. Makowski pochodził z biednej chłopskiej rodziny. Jego dzieciństwo naznaczone było ciężką pracą i brakiem higieny. Nieraz, leżąc na śmierdzącym sienniku, obiecywał sobie, że zrobi wszystko, by żyć inaczej niż jego rodzice. Nie chciał upodobnić się do swojego pracującego po osiemnaście godzin na dobę ojca, dla którego jedyną rozrywkę stanowiło wyjście do karczmy, gdzie z podobnymi do siebie chłopami upijał się podłej jakości wódką. Ojciec tłumaczył, że tylko w ten sposób może chociaż na chwilę zapomnieć o ciężkiej doli, jaka stała się jego udziałem. Makowski nawet jeszcze dzisiaj pamiętał smród panujący w chacie, w której dorastał. Była to swoista mieszanina potu, potraw gotowanych na bazie kapusty kiszzonej, dymu z kiepskiej machorki oraz nieprzetrawionego alkoholu, który w pewnym etapie życia towarzyszył jego ojcu już każdego dnia. Młody Bolek był gotów zaprzedać duszę diabłu, byle tylko żyć w warunkach nieurągających człowieczeństwu.

Wyciągnął z kieszeni małe okrągłe lusterko. Podniósł je na wysokość twarzy i przez jakiś czas przyglądał się swojemu odbiciu. Był obecnie w wieku swojego ojca, kiedy ten zmarł. Pamiętał go, gdy ten leżał na łóżku przykryty grubą, brudną i cuchnącą pierzyną. Ojciec bezustannie jęczał i zwijał się z bólu. Jego pomarszczona szarozółta twarz przypominała

oblicze starca. Nie miał siły podnieść się, żeby załatwić potrzeby fizjologiczne. Trzeba było mu przy tym pomagać. Sekretarz skrzywił się z niesmakiem, przypominając sobie tamte dni, kiedy niejednokrotnie musiał zdejmować swojego ojca ze śmierdzącego wyra, żeby pomóc usiąść mu na wiadrze, do którego mógł się załatwić. W tamtym okresie robił wszystko, żeby jak najrzadziej być w domu. Najmował się do dodatkowej pracy w młynie, wracał późną nocą. Był tak zmęczony, że padał na drewnianą ławę, przykrywał się kocem i od razu zasypiał. Dzięki zmęczeniu nie czuł panującego w chałupie smrodu ani nie słyszał jęków chorego ojca.

Sekretarz przeczesał grzebykiem włosy i wciąż patrząc w małe lusterko, z dumą stwierdził, że mu się udało. W niczym nie przypominał człowieka, który pięćdziesiąt lat temu dał mu życie. Uciekł od tego, czego tak bardzo nienawidził. Makowski się uśmiechnął. Lubił przyglądać się swoim białym równym zębom, jakimi mało kto w jego wieku mógł się pochwalić. Bieda okupacyjnego życia i skorbut sprawiły, że ludzie w dużo szybszym tempie się starzeli. Jego to wszystko na szczęście nie dotyczyło. Oczywiście miało to swoją cenę. Sekretarz odwrócił lusterko na drugą stronę, na której widniała fotografia Stalina. Oto diabeł, któremu zaprzedałem swoją duszę – pomyślał, chowając lusterko do kieszeni.

Raz jeszcze wyjrzał przez okno. W oddali na chodniku ujrzał tych dwóch, na których czekał. Wysoki i barczysty przedwojenny komisarz Jan Wolak pchał wózek ze swoim przyjacielem Zygmuntem Wieczorkiem. O ile Wolaka Makowski mógł jeszcze jako tako znieść, to osoba inwalidy nad wyraz mu przeszkadzała. Wiewiór przypominał Makowskiemu o tym wszystkim, przed czym próbował uciec. Zdawał sobie jednak sprawę z faktu, że ci dwaj są nierozłączni, że nie uda mu się pozyskać do współpracy Wolaka, jeżeli pozbędzie się kaleki. Ci faceci mieli te swoje cholerne przedwojenne zasady i nic nie było w stanie sprawić, żeby od nich odstępili. W świecie, w którym obracał się sekretarz, tacy ludzie stanowili ewenement, byli relikdami należącymi do poprzedniej epoki, dla której swoistą cezurę stanowiła wojna.

Paradoks sytuacji, w jakiej znalazł się pierwszy sekretarz, polegał na tym, że ci dwaj byli jedynymi ludźmi, którym mógł zaufać. Po śmierci Stasiaka, pomimo że przejął po nim MBP, narobił sobie wielu cichych wrogów, którzy tylko czekali na jakiegokolwiek jego potknięcie. Musiał okazać się bardziej przebiegły od nich. Na swojego zastępcę

w ministerstwie namaścił Edwarda Jastrzębskiego. Ten młody chłopak był mu bezgranicznie oddany. Zresztą nie miał innego wyjścia. To przecież on pociągnął za spust pepeszy, z której zastrzelono Stasiaka. Zrobił to wprawdzie na jego rozkaz, niemniej od tamtego momentu łączyła ich wspólna tajemnica, której kolejnym elementem było także przywłaszczenie sobie części archiwum oraz kosztowności znajdujących się na załadowanej przez Stasiaka pacy opła blitza. Te wszystkie okoliczności sprawiały właśnie, że Makowskiego z Jastrzębskim połączyła jakaś zależność, niemająca jednak nic wspólnego z przyjaźnią, ponieważ nie była ona oparta na wzajemnym zaufaniu. Wręcz przeciwnie. Obaj nieufnie patrzyli sobie na ręce, obawiając się zdrady. Układ zbudowany na czymś tak kruchym nie miał szans przetrwania. Jastrzębski był młodym, ambitnym człowiekiem, który za długo nie zadowolony się stanowiskiem zastępcy. Prędzej czy później spróbuje stanąć na czele Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego. Dlatego właśnie Makowski musiał działać. Konieczny był jakiś ruch wyprzedzający. Miał pewien pomysł, żeby jednak wszystko się powiodło, musiał przekonać do współpracy tych dwóch przedwojennych policjantów, którzy zarówno przed wojną, jak i po jej zakończeniu wykazali się nie tylko bystrością umysłu, ale i innymi godnymi uwagi cechami, w tym lojalnością wobec człowieka, któremu zgodzą się służyć. Jeśli tylko Makowskiemu udałoby się ich przekonać, że to właśnie on jest takim człowiekiem, to miałyby do dyspozycji dwóch oddanych sobie ludzi, na których mógłby bezgranicznie polegać. W tym momencie rozległo się pukanie do drzwi.

Sekretarz poprawił krawat i odwracając się od okna, zawołał:

– Wejść!

Drzwi się otworzyły i do środka wjechał wózek z Zygmuntem Wieczorkiem, a tuż za nim wszedł Jan Wolak. Sekretarz obrzucił szybkim spojrzeniem obu mężczyzn. Ku jego zaskoczeniu inwalida był dziś nie tylko starannie ogolony, ale i schludnie ubrany, a przede wszystkim nie miał na kolanach tego nie pierwszej już świeżości kraciastego koca. Towarzyszący mu Wolak również prezentował się bardziej odświętnie niż zwykle. Makowski się uśmiechnął. Podszedł do obu mężczyzn. Zatrzymał się przy Wieczorku i wyciągając ku niemu prawą rękę, powiedział:

– Cieszę się, że panowie do mnie przyszli.

– A mieliśmy inne wyjście? – spytał Wiewiór, ściskając prawicę sekretarza.

Makowski przełknął ślinę. To, że ten cholerny inwalida w końcu się umył, ogolił, przebrał, a nawet wypachnił, w ogóle nie zmieniło faktu, że w dalszym ciągu nie potrafił się powstrzymać od tych swoich uszczypliwych uwag!

– Kolega miał na myśli to, że byliśmy z panem na dzisiaj umówieni – pospieszył z wyjaśnieniem Wolak. – A należymy do ludzi, którzy zwykli nie rzucać słów na wiatr i czy jest to im na rękę, czy nie, to przychodzą na umówione spotkania.

– Bardzo miło to słyszeć – odparł Makowski, witając się z Wolakiem. – Proszę siadać, już wcześniej kazałem sekretarce nastawić samowar.

Wolak skinął grzecznie głową i pomaszerował w stronę stołu. W ślad za nim z wściekłą miną podążył Wiewiór. Ostentacyjnie odsunął na bok krzesło i zatrzymał się przy krawędzi wielkiego stołu konferencyjnego.

– Przed wszystkim chciałbym obywatelom komisarzom pogratulować zakończenia śledztwa w sprawie seryjnego mordercy – zaczął sekretarz, kiedy wszyscy już zajęli miejsca. – Muszę przyznać, że bardzo nam to wszystko na rękę. Sami byśmy sobie nie wymarzyli lepszego scenariusza. Kto by pomyślał, że seryjnym mordercą okaże się nie tylko chory psychicznie sierota, ale i przedwojenny posiadacz ziemski! Nasi redaktorzy mieli przez ostatnie dni niezłą pożywkę. Wreszcie mogli obsmarować tych przedwojennych burżujów, pokazując całą prawdę o tej do cna zepsutej i zdemoralizowanej warstwie społecznej! – Makowski przerwał na chwilę, by wziąć głębszy oddech. – Uwierzcie mi, że po serii ostatnich artykułów drastycznie spadła liczba tych, którzy jeszcze niedawno byli przeciwnikami zabierania przedwojennym obszarnikom ich ziemi przez władzę ludową! To był kawał dobrej roboty!

Wolak skrzywił się z niesmakiem. Ostatnie, czego pragnął, było to, żeby władza w celach propagandowych wykorzystywała rezultaty jego śledztwa.

– Naszym głównym i w sumie jedynym celem było dotarcie do prawdy – powiedział z naciskiem.

Makowski machnął lekceważąco ręką.

– Prawda, ona często ma drugorzędne znaczenie!

Wiewiór nie wytrzymał. Roześmiał się głośno. Przypomniała mu się rozmowa z byłym komendantem Wacławem Hrabskim, który po opróżnieniu z nim drugiej butelki księżycówki zwierzył się ze swojej

miłości do kobiety będącej wdową po zamordowanym w Katyniu polskim oficerze.

– Z czego się tak śmiejecie?! – W głosie sekretarza słyhać było oburzenie.

– Z pańskich słów, towarzyszu – odparł Wieczorek, który nagle przestał się śmiać i stał się śmiertelnie poważny. – Dla was prawda dość często ma drugorzędne znaczenie!

– Nie rozumiem, co chcecie przez to powiedzieć.

Tym razem to Wieczorek lekceważąco machnął ręką. Nie chciało mu się wyjaśniać, co miał na myśli. Nie widział w tym sensu. Sekretarz był jak mur, o który rozbijały się wszelkie logiczne argumenty. Szkoda było strzepić sobie język. Facet wydawał się zupełnie zaprzędany systemowi, w jakim żył.

W pokoju zapadła niezręczna cisza. Nawet Wolak nie miał już ochoty ratować sytuacji i w jakikolwiek sposób wygładzać tego, co powiedział jego przyjaciel.

– Czy przemyśleliście moją propozycję? – spytał po chwili sekretarz. W końcu to on był tutaj gospodarzem i nie wypadało mu zbyt długo boczyć się na swoich gości.

– Muszę przyznać, że nie do końca jest ona dla nas czytelna – odparł Wolak. – Po przedyskutowaniu wszystkiego nasunęły się nam pewne wątpliwości.

– Proszę powiedzieć jakie, a postaram się je wyjaśnić – zachęcił Makowski.

– Z tego, co nam pan wcześniej mówił, wynika, że obaj mielibyśmy powrócić do pracy w policji...

– Milicji – poprawił Wolaka sekretarz.

– No właśnie – kontynuował komisarz. – Jak pan sobie to wyobraża, przecież nie da się wymazać mojej przeszłości. Co powiedzą inni, kiedy dowiedzą się, że w Milicji Obywatelskiej pracuje człowiek, który jeszcze niedawno był poszukiwanym członkiem grupy partyzanckiej Rysia?

– Panie Janku – Makowski westchnął głęboko. – Mogę się tak do pana zwracać?

Wolak skinął głową.

– Oficjalnie nie będziecie zatrudnieni w MO. Oczywiście obaj

dostaniecie specjalne legitymacje, które dadzą wam mnóstwo uprawnień, o jakich zwykli funkcjonariusze mogliby tylko pomarzyć. Zdradzę wam w sekrecie, że o takiej swobodzie działań przed wojną nie byłoby nawet mowy!

Wieczorek z niedowierzaniem pokręcił głową.

– Od dzieciństwa byłem bardzo sceptycznie nastawiony do ludzi, którzy obiecują mi więcej, niż w rzeczywistości mogą dać – rzekł, patrząc w oczy sekretarza. – I powiem panu, że ten sceptycyzm niejednokrotnie uratował mi dupę!

Nóg ci jednak nie uratował, zawszona gnido! – pomyślał gotujący się z wściekłości sekretarz. Zmusił się jednak do uśmiechu i hamując narastającą w nim złość, powiedział:

– Sugerujecie, że chcę was oszukać?

– Nie. Uważam jednak, że swoboda działań, o jakiej pan wspomniał, będzie miała swoją cenę.

– Mianowicie?

– Przypuszczam, że w razie jakiegokolwiek wpadki, gdyby nagle zaczął się panu palić grunt pod nogami, to nikt się za nami nie wstawi, a nasze cudowne legitymacje dające nam tak wielkie uprawnienia nagle przestaną być ważne i respektowane!

Makowski przez chwilę zbierał myśli. Wolak i Wieczorek czekali na to, co powie sekretarz.

– Panowie, nie muszę przed wami ukrywać, że żyjemy w czasach, w których niczego nie możemy być pewni. Dziś rozmawiamy sobie tutaj swobodnie, w wygodnym pokoju, przy stole, a jutro wszyscy trzej możemy znaleźć się w więzieniu na Łubiance. Ani mnie, ani tym bardziej wam nikt nie jest w stanie dać stuprocentowej pewności, że tak się nie stanie. Dlatego propozycja, którą wam oferuję, wydaje mi się na obecną chwilę ze wszech miar uczciwa i godna uwagi.

Sekretarz zamilkł, gdyż do pokoju weszła jego sekretarka, dźwigająca na tacy srebrny, kunsztownie zdobiony samowar. Postawiła go na środku stołu.

– Nalać herbaty? – spytała.

Makowski skinął głową.

Kobieta pochyliła się nad tacą. Jej i tak już opięta spódniczka napięła

się jeszcze bardziej, wyraźnie ukazując oczom mężczyzn zgrabny tyłeczek ukryty za szarym materiałem. Wiewiór wpatrywał się w nią jak zahipnotyzowany. Wolak natomiast starał się robić to dużo dyskretniej niż jego kolega. W spojrzeniu sekretarza duma mieszała się z pożądaniem. Przypominał w tej chwili bogatego właściciela stajni, który demonstruje gościom jedną ze swoich najlepszych klaczy.

– Czy mogę jeszcze coś dla panów zrobić? – spytała sekretarka, kiedy tylko uporała się z nalewaniem herbaty.

Wiewiór głośno przełknął ślinę. O tak, słonko – pomyślał – możesz jeszcze coś dla mnie zrobić, tylko nie wiem, czy twój pan byłby zadowolony, widząc cię klęczącą przy moim wózku.

– Dziękuję, panno Basiu – odezwał się sekretarz, dając tym samym do zrozumienia, że pokaz się zakończył. – Na razie niczego więcej nam nie potrzeba.

Kobieta dygnęła lekko niczym uczennica przed swym profesorem i wyszła z pokoju.

– A co, jeżeli nie zgodzilibyśmy się na pańską propozycję? – spytał po jej wyjściu Wolak.

– No cóż – Makowski w teatralnym geście rozłożył ręce – szczerze mówiąc, nie brałem pod uwagę takiej możliwości. To, co wam oferuję, jest jedyną szansą, żebyście mogli nie tylko ocalić życie, ale wieść je w godnych warunkach w tej jakże dla was trudnej powojennej rzeczywistości.

Wolak spodziewał się takiej odpowiedzi. Musiał jednak się upewnić. Teraz już wiedział, że gdyby odmówili Makowskiemu, to prosto z tego budynku zostaliby przewiezieni do aresztu, a być może od razu gdzieś do lasu, gdzie musieliby klęknąć nad wykopanym dołem i czekać, aż pijani żołnierze z plutonu egzekucyjnego nacisną spust pepeszy. Stary komisarz nie bał się o swoje życie. Jednak teraz, kiedy dowiedział się, że ma córkę, a Jadwiga zgodziła się, żeby z nią zamieszkała, chciał jak najdłużej cieszyć się tym odnalezionym po latach szczęściem.

– Podczas naszej ostatniej rozmowy obiecał nam pan, że gdy zgodzimy się na współpracę, naszym jedynym obowiązkiem będzie ściganie przestępców kryminalnych. Nie będziemy musieli zajmować się szeroko przez władzę pojmowanymi wrogami ludu, czy tak?

– Rozumiem wasze obawy i mogę zapewnić, że nie zamierzam was

wykorzystać do walki z ludźmi, wśród których moglibyście spotkać wielu dawnych przyjaciół z tak zwanego podziemia antykomunistycznego. Nie będziecie musieli robić nic, co kłóciłoby się z waszymi poglądami. Panowie – sekretarz zrobił krótką pauzę – zdają sobie sprawę, że stajecie w tej chwili przed bardzo trudnym wyborem, ale uwierzcie mi, każdy inny na waszym miejscu nie zastanawiałby się zbyt długo i wybrał życie, które wam proponuję.

Wolak spojrzał pytająco na Wiewióra.

Inwalida wzruszył ramionami.

– Mówiłem ci już wcześniej, Janek, mnie wszystko jedno. Zanim czerwoni zgarnęli mnie z ulicy, to i tak miałem zamiar ze sobą skończyć. Doszedłem, a raczej dojechałem do takiego punktu w swoim życiu, że jest mi już wszystko jedno.

Kwestia wypowiedziana przez Wiewióra jedynie częściowo była zgodna z prawdą. Od momentu gdy Zygmunt spotkał swojego przyjaciela, porzucił myśli o samobójstwie i na nowo nauczył się cieszyć życiem. Umówili się jednak, że powie w ten sposób, aby zmusić sekretarza do jakichś dodatkowych ustępstw. Doszli do wniosku, że jeżeli mają podjąć współpracę z tym czerwonym diabłem, to za swoją duszę wytargują jak najlepszą cenę.

– Nie chcę być nieskromny – zaczął Wolak – ale zdążył się pan przekonać o naszej skuteczności w pracy wywiadowczo-śledczej i z pewnością dlatego zaproponował nam współpracę. Dzięki naszej pomocy MBP mogłoby osiągnąć dużo lepsze wyniki w wykrywalności wszelkiego rodzaju przestępstw, a to z kolei spowodowałoby, że i pan, jako nowy minister, miałby się czym pochwalić.

– Nie ukrywam, że właśnie taki cel mi przyświecał – przyznał Makowski.

Wolak milczał. W myślach odliczał od jednego w górę. Był przy dwunastu, kiedy Wiewiór poruszył się niespokojnie na wózku.

– Mnie się to wszystko za bardzo nie podoba! – powiedział. – Jadę na korytarz zapalić.

Makowski błagalnym wzrokiem spojrzał na Wolaka, jakby chciał, żeby zatrzymał swojego przyjaciela. W tej chwili był gotów znieść nawet smród papierosowego dymu, byle tylko kaleka przyjął jego propozycję.

– Proszę się nie krępować – rzekł sekretarz. – Niech pan zapali tutaj.

Wiewiór był już przy drzwiach. Odwrócił się i drwiącym tonem rzekł:

– Nie chcę panu nakopcić. Ostatnim razem, kiedy tu zapaliłem, widziałem, że nie za bardzo się to panu podoba.

Makowski nie zdążył odpowiedzieć, ponieważ Wieczorek już zniknął za drzwiami prowadzącymi na korytarz. Zaklął pod nosem. Spodziewał się, że kaleka będzie sprawiał problemy, nie sądził jednak, że całkowicie może sparaliżować prowadzone negocjacje. Zabicie tych dwóch przedwojennych komisarzy byłoby dla sekretarza kompletną porażką. Musiał pozyskać ich do współpracy. Ludzie, których miał do dyspozycji, byli niepotrafiącymi logicznie myśleć służbistami. Potrzebowali kogoś, od kogo mogliby nauczyć się pracy śledczej. Kimś takim był Jan Wolak oraz Zygmunt Wieczorek.

– Trudny typ – mruknął Makowski, zerkając w stronę drzwi.

Wolak westchnął ciężko. Na razie wszystko szło zgodnie z planem. Sekretarz został zmiękczony, ciekawe tylko, czy na tyle, by zgodził się na warunki, jakie chcieli mu zaproponować.

– A jak pan by się zachował na jego miejscu? Facet stracił wszystko. Jest bezdomnym kaleką, który pomieszkuje kątem w różnych miejscach. Każdemu w takiej sytuacji odechciałoby się żyć. Nie widzi dla siebie żadnej nadziei!

– Dlaczego od razu mi pan o tym nie powiedział? – spytał Makowski, który wyczuł, że pojawia się dla niego szansa. – Przecież można temu zaradzić!

– Jak? – spytał Wolak, który w głębi duszy już wiedział, że sekretarz złapał przynętę.

– Wystarczy jeden telefon, żeby pan Wieczorek miał wygodne mieszkanie. Musi pan go tylko przekonać do współpracy ze mną.

– Myślę, że da się to zrobić. Jest jednak coś jeszcze...

– Słucham, proszę mówić.

Wolak westchnął ciężko.

– Chciałbym zamieszkać wspólnie z wdową po Franciszku Bralewskim, z którą zresztą mam córkę Hankę, i problem polega na tym, że obie kobiety gnieźdzą się w małym pokoju...

Makowski poderwał się z krzesła.

– Panno Basiu! – krzyknął.

Chwilę później w pokoju pojawiła się zmysłowa sekretarka.

– Tak?

– Proszę zadzwonić do wydziału kwaterunkowego i załatwić przydział dwóch mieszkań dla obywateli Wolaka i Wieczorka.

– Jedno na parterze – wtrącił Wolak.

– Ach tak, oczywiście, jedno na parterze.

– To wszystko?

Makowski zastanawiał się przez chwilę.

– Nie – powiedział w końcu. – Niech poprosi pani tutaj pana Wieczorka, a potem proszę przynieść szampana i kawior!

– Oczywiście. – Sekretarka dygnęła i wyszła z pokoju.

Wolakowi nie uśmiechała się perspektywa picia radzieckiego szampana i jedzenia przywiezionego z Krymu kawioru wspólnie z sekretarzem partii, zdawał sobie jednak sprawę, że nie może teraz drażnić czerwonej bestii, którą chwilowo udało mu się obłaskawić.

W drzwiach pojawił się Wiewiór. Makowski odwrócił się w jego stronę i serdecznym gestem zaprosił do środka. Wolak wykorzystał ten moment i mrugnął do przyjaciela, który w odpowiedzi niedostrzegalnie skinął głową.

Otwarte jednak pozostawało zagadnienie, kto tak naprawdę wygrał dzisiejsze pertraktacje.

Godzinę później, kiedy Wolak i Wieczorek opuścili salę konferencyjną, Makowski stał w otwartym oknie i obserwował, jak jego dwaj nowi współpracownicy oddalają się wolno pełnym warszawiaków chodnikiem. Cena, jaką zapłacił za ich zgodę, nie była zbyt wygórowana. Prawdę powiedziawszy, był gotów zapłacić znacznie więcej niż dwa mieszkania w centrum stolicy. Ci mężczyźni byli mu potrzebni. Sami nawet nie wiedzieli, jak bardzo są cenni dla pierwszego sekretarza, dla którego mieli z czasem stać się oczami i uszami w pełnym konfidentów i sprzedawczyków środowisku funkcjonariuszy Milicji Obywatelskiej.

Nagle otworzyły się drzwi. Sekretarz się nie odwracał. Nie musiał. Po zbliżających się krokach rozpoznał, kto zmierza w jego stronę.

– Dobrze sobie z nimi poradziłeś – usłyszał dochodzący zza pleców męski głos.

Przez całą rozmowę z Wieczorkiem i Wolakiem wiedział, że jest obserwowany i podsłuchiwany. Starał się o tym nie myśleć, jednak świadomość tego co jakiś czas powracała. Jak wypadnę? – zastanawiał się podczas negocjacji z komisarzami. Czy człowiek, który wymyślił cały ten plan, będzie ze mnie zadowolony? Teraz poznał odpowiedź.

– Dziękuję, towarzyszu – powiedział, nie odwracając się od okna.

– Nie dziękujcie – usłyszał w odpowiedzi. – Jeszcze długa droga przed nami, zanim uda się przejąć pełnię władzy w tym kraju.

Makowski wolno pokiwał głową.

Kiedy kilka sekund później się odwrócił, w pomieszczeniu nikogo już nie było.

Jedno musiał przyznać, Nikodem Morawski potrafił pojawić się w najmniej spodziewanych okolicznościach, by potem bezszelestnie się oddalić.

Miał jeszcze jedną istotną cechę.

W żaden sposób nie dało się go wyeliminować z gry.

73.

Płyta gramofonowa przestała się obracać. W pokoju nagle zrobiło się cicho. Kobieta przekręciła się na bok i podpierając ręką głowę, zaczęła przypatrywać się leżącemu obok niej mężczyźnie. Miał zamknięte oczy, ale ona wiedziała, że nie śpi. Jego owłosiona klatka piersiowa wznosiła się miarowo przy każdym oddechu. Położyła na niej swoją dłoń i zaczęła delikatnie ją głaskać. Rozmyślała nad tym wszystkim, co jej dzisiaj powiedział. Miała nadzieję, że z nimi będzie inaczej.

Mężczyzna jakby czytał w jej myślach, ponieważ nagle otworzył oczy i wpatrując się w nią, powiedział:

– Nie przejmuj się, nasze uczucie dopiero kiełkuje i nigdy nie pozwolimy, żeby stało się takie, o jakim opowiadał Bralewski. Nasza miłość nie może stać się wyklętą.

Wanda patrzyła na niego z rozrzewnieniem. To wszystko działo się za szybko. Nie nadążała za tym. Nie chciała jednak w żaden sposób tego spowalniać, gdyż po raz pierwszy od długiego czasu była naprawdę szczęśliwa. Bała się tylko, że to szczęście pryśnie. Pojawiło się tak nagle i w taki sam sposób może zniknąć. Wiedziała, że gdyby tak się stało, to już nigdy nie umiałaby nikomu zaufać.

– Wciąż nie mogę w to wszystko uwierzyć – powiedziała.

– W co nie możesz uwierzyć? W to, że Marszałek mnie w końcu zaakceptował? – Hrabski w chwilach, kiedy nie do końca wiedział, jak się zachować, zawsze starał się rozluźnić atmosferę jakimś żartem. Od dzieciństwa miał tak, że chował się za maską wesołka niczym za tarczą, która miała uchronić go przed ciosami nieraz zadawanymi przez życie.

Wanda uśmiechnęła się, szybko jednak spoważniała i wciąż bawiąc się włosami na klatce piersiowej mężczyzny, rzekła:

– Nie mogę uwierzyć w to, że leżymy tu teraz we dwoje. Nie mogę uwierzyć w to, co przed chwilą się między nami wydarzyło, w to, że ja, wdowa po polskim oficerze zamordowanym w Katyniu, zakochałam się w mężczyźnie, który pracuje dla aparatu władzy prześladującej ludzi takich jak mój świętej pamięci mąż. Nie spodziewałam się, że kiedykolwiek jeszcze zdołam obdarzyć uczuciem inną osobę! A już na pewno nie spodziewałabym się, że taką osobą będzie ktoś pracujący w Urzędzie Bezpieczeństwa!

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Wiatr delikatnie poruszał firanką, zmniejszając panującą duchotę. Rozciągnięty na podłodze przy łóżku pies sapał głośno. On też miał już dość upału. Na szczęście zanosilo się na burzę.

– Wandziu – głos Hrabskiego drżał – przed chwilą powiedziałas, że... zakochałas się we mnie, dobrze usłyszałem?

Wanda milczała. Po jej policzku spłynęła pojedyncza łza. Waclaw podniósł dłoń i delikatnie ją wytarł.

– Tak – potwierdziła w końcu. – Zakochałam się w tobie i bardzo się tego boję!

Hrabski usiadł na łóżku i mocno ją objął.

– Wandziu – powiedział łamiącym się głosem. – Nawet nie wiesz, jak się cieszę! Nic lepszego nie mogło mnie dzisiaj spotkać! Nie bój się, proszę, i zaufaj swojemu sercu, ja też cię kocham. Chociaż to uczucie długo w nas dojrzewało, to uważam, że oboje jesteśmy już na tyle ukształtowani, że nie damy mu umrzeć, a zrobimy wszystko, by rozkwitało w nas przez długie lata!

Hrabski skończył i odetchnął głęboko. Sam siebie nigdy nie posądzał o taką elokwencję. Jednak tym razem nie przygotowywał sobie tego, co ma powiedzieć. Mówił tylko to, co dyktowało mu serce. Całkowicie poddał się uczuciu. Nie próbował ukryć się za maską błazna. Po raz pierwszy w życiu był zupełnie poważny.

– Uda nam się? – spytała Wanda. Widać było, że boi się tego wszystkiego. Potrzebuje oparcia i potwierdzenia, które pozwoliłyby jej rzucić się w wir miłości, jaka się przed nią otwierała.

– Pierwszy krok mamy już za sobą – odparł Hrabski. – Teraz wystarczy iść dalej, a razem wcale nie będzie to takie trudne, jak się wydaje.

Wanda wtuliła głowę w szyję mężczyzny. Czuła intensywną woń wody

kolońskiej, którą obficie się spryskał przed przyjściem tutaj. Chciała mu uwierzyć. Bała się, ale wiedziała, że aby się przekonać, musi zaryzykować. Jeśli teraz zrezygnowałyby z szansy, jaką daje jej los, to do końca swoich dni zastanawiałyby się, co by było gdyby. Nie wiedziała, jaka będzie ta ich miłość. Na pewno nielekka, bo kto uwierzy w szczerą uczucie pomiędzy funkcjonariuszem UB a wychowaną w sanacyjnym duchu kobietą, która jest wdową po oficerze Wojska Polskiego. Ludzie z pewnością będą wytykać ich palcami, szeptać, obmawiać. To dopiero będzie wyklęta miłość – pomyślała Wanda i pocałowała tulącego ją mężczyznę, który w tej chwili wydawał jej się równie bezbronny i zagubiony jak ona. Łóżko, na którym oboje leżeli, było niczym arka, na której przypadkowo znalazło się dwoje obcych sobie ludzi i powoli się nawzajem poznawało, odkrywając drogę nie tylko ku nowemu życiu, ale przede wszystkim ku swoim sercom.

Leżący na podłodze Marszałek podniósł się i wolno poczłapał w stronę wypełnionej wodą blaszanej miski. Upał stawał się nie do zniesienia. Przez chwilę wpatrywał się w swoje odbicie w tafli wody, a potem pyskiem zmacił je w jednej chwili.

Marszałek dobrze wiedział, czym jest miłość wyklętych. On wciąż kochał swoją panią i czekał na każdą jej pieszczotę, którą teraz musiał dzielić z kimś innym.

Ten mały kundel był najlepszym przykładem na to, że miłość i cierpliwość to dwie nierozłączne siostry.

Epilog

W ostatnich dniach na najwyższych partyjnych szczeblach władzy zapadło wiele decyzji, które nie każdemu mogą wydawać się jasne i zrozumiałe.

Jedną z nich było ponowne zatrudnienie w służbach państwowych dwóch przedwojennych komisarzy policji – Jana W. oraz Zygmunta W. Naszemu redaktorowi udało się jednak dotrzeć do wiarygodnych źródeł i zapytać o tę sprawę osoby z samego partyjnego szczytu. Wszyscy potwierdzają, że wysuwane pod adresem byłego komisarza Jana W. oskarżenia, jakoby ten podczas wojny kolaborował z gestapo, okazały się nieprawdziwe. Podobnie rzecz się ma z posądzaniem Jana W. o przynależność do leśnej bandy dowodzonej przez zastrzelonego niedawno zaplutego karła reakcji Andrzeja Ryszkowskiego ps. Ryś. Z wszystkich tych podejrzeń Jan W. został w świetle prawa oczyszczony. Ponadto udało nam się ustalić, że przedwojenny komisarz na razie nie ma partyjnej legitymacji i jak sam się wyraził w rozmowie z naszym redaktorem: „nie ma zamiaru wikłać się w żadne polityczne układy, a jedynym, co go tak naprawdę interesuje, jest ściganie przestępców i temu właśnie chce się całkowicie poświęcić”.

Większość czytelników z pewnością pamięta, że przed wrześniem trzydziestego dziewiątego Jan W. był jednym z najlepszych wywiadowców w tej części Europy, dlatego pozostaje nam żywić nadzieję, że ponowne przyjęcie go w szeregi organów ścigania okaże się dobrym posunięciem.

Wiele kontrowersji budzi także jego towarzysz – Zygmunt W. W tym wypadku wynikają one jednak nie z przeszłości byłego komisarza czy też jego politycznych sympatii, ale z faktu, że jest on osobą niepełnosprawną, poruszającą się na wózku inwalidzkim. Jak się jednak dowiedzieliśmy, intelekt Zygmunta W. w pełni rekompensuje jego fizyczną ułomność.

Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko czekać na kolejne spektakularne sukcesy tych dwóch funkcjonariuszy...

Wiewiór raz jeszcze dokładnie przeczytał artykuł podpisany dobrze mu znanymi inicjałami S.S. Zdążył się już przyzwyczaić do tego, że od wielu lat pozostaje w cieniu swojego przyjaciela Janka Wolaka, któremu nawet komunistyczny dziennikarz Staroń poświęcił w artykule więcej uwagi.

Kiedyś, gdy był jeszcze młody, odczuwał z tego powodu coś w rodzaju zazdrości. Dzisiaj to uczucie było mu już całkowicie obce. Zbyt wiele przeżył i doświadczył, by zwracać uwagę na takie drobiazgi. Doszedł do takiego etapu w życiu, że zrozumiał, iż należy cieszyć się z rzeczy małych, których na co dzień niejednokrotnie nie dostrzegamy. Z tego właśnie powodu zaczął każdego popołudnia poświęcać dwie godziny na spacer, przejażdżkę po świeżym powietrzu. Lubił przyglądać się drzewom, ptakom, biegającym po parku dzieciakom i ganiającym za nimi matkom, babciom, opiekunkom. Z pewnym zdziwieniem zauważył, że w żaden sposób nie przeszkadza mu, iż porusza się na wózku. Pogodził się z tym. Przestał walczyć ze swoim inwalidztwem. Po prostu je zaakceptował. Kiedy udało mu się tego dokonać, spostrzegł, że jego życie diametralnie się przeobraziło. Wszystko na nowo zaczęło sprawiać mu radość. Kilka razy załapał się na myśli, że cieszy się ze swojego kalectwa, bo dzięki niemu ponownie udało mu się odkryć piękno i harmonię otaczającego go świata.

Wiewiór podjechał do stolika, położył na nim gazetę, sięgnął po nożyczki i starannie zaczął wycinać dopiero co przeczytany artykuł. Gdy już się z tym uporał, otworzył swój stary, wygnieciony zeszyt, który zwykle nosił ze sobą, i wkleił do niego notatkę prasową. W zeszycie tym znajdowało się już wiele innych wycinków dotyczących pracy śledczej jego przyjaciela Janka. Niektóre z nich, podobnie jak ten dzisiejszy, wspominały także o nim. Wzmianki te były jednak marginalne. Tylko jeden artykuł był w całości poświęcony komisarzowi Zygmuntowi Wieczorkowi. Opisywał on sprawę „kościelnego zabójcy”, którego w 1937 roku Wiewiór zastrzelił.

Czasy się zmieniły. Wojna wywróciła do góry nogami cały ustanowiony w Wersalu porządek świata. Teraz Polska nie dość, że uszczuplona o wschodnie ziemie, to wraz z innymi państwami Europy Wschodniej znalazła się pod butem wujka Stalina. Wiewiór i Wolak zrozumieli, że skończył się czas idealistów. Pojęli, że w najbliższym czasie

nie uda się pokonać Związku Radzieckiego i wyzwolić kraju spod czerwonego jarzma. Dziś należało zadbać o siebie. Przyczaić się. Wstąpić w szeregi wroga nie po to, by mu pomagać, ale żeby lepiej go poznać, a później zaatakować i zniszczyć od środka. On i Janek mieli stać się kimś na wzór Mickiewiczowskiego Konrada Wallenroda.

Wieczorek parsknął śmiechem. Wyobraził sobie, jak zareagowałyby Mickiewicz na wieść o poruszającym się na wózku Wallenrodzie mającym za zadanie zniszczyć potęgę zakonu krzyżackiego. Zaraz jednak się opanował i z charakterystycznym dla siebie sarkazmem pomyślał, że jakie czasy, takie Wallenrody.

Janek podsunął mu myśl, że w całym tym partyjnym zamieszaniu, jakie ostatnio miało miejsce, umknął im jeden bardzo istotny szczegół. Chodziło o pierwszego sekretarza. Wolak podejrzewał, że jest on w tej chwili jedynie marionetką, że tak naprawdę to ktoś inny mówi mu, co ma zrobić. Stary komisarz uważał, że tajemniczym suflerem podpowiadającym Makowskiemu jest nie kto inny jak ocalony niedawno człowiek, któremu sami pomogli w dostaniu się na szczyt partyjnej władzy – Nikodem Morawski. Kto wie – pomyślał Wiewiór, odruchowo zerkając w stronę leżącego na stole zeszytu – może właśnie rozpoczyna się jedno z najniebezpieczniejszych śledztw komisarza Wolaka?

Inwalida zapalił papierosa. Na razie nie zamykał zeszytu. Czekał, aż wyschnie klej. Musiał przyznać, że zeszyt stał się swoistą prasową kroniką wyczynów komisarza Wolaka. Być może był to jedyny taki skrypt dokumentujący całość jego służby. Tym bardziej należało o niego dbać.

Zygmunt zaciągnął się po raz ostatni, po czym zgasił niedopałek w puszcze po brzegi wypełnionej petami. Ostrożnie zamknął zeszyt. Kiedy przed wieloma laty wkleił do niego pierwszy artykuł, nie spodziewał się, że kiedykolwiek uda mu się go choć w połowie zapełnić. Teraz z niepokojem zauważył, że zostało w nim wolnych jeszcze tylko kilka kartek. Zdawał sobie sprawę, że to stanowczo za mało, tym bardziej że główny bohater artykułów zaczął właśnie kolejny rozdział swojej śledczej kariery. Tym razem jako funkcjonariusz rządzonej przez komunistów Polski Ludowej.

I co najważniejsze, jego wierny Sancho Pansa znowu przy nim był.